

RICHARD DOETSCH

ZŁODZIEJE NIEBA

Dla Virginii, mojej najlepszej przyjaciółki.

Kocham Cię całym sercem

Miłość jest pociechą, którą czują tylko ci, którzy wiedzą, co ona naprawdę oznacza. Jest czymś ciepłym i bezpiecznym, wolnym od gniewu i zazdrości. Jest uczuciem euforycznym i uodparnia na okrucieństwo życia. Jest wypełnione niekończącą się nadzieją, niegasnącą wdzięcznością i prawdziwą bezinteresownością. To najrzadszy z darów.

PODZIĘKOWANIA

Z prawdziwą przyjemnością dziękuję:

Genemu i Wandzie Sgarlata, bez przyjaźni i pomocy których nie czytaliście tych słów; Irwynowi Applebaumowi, za otwarcie drzwi i stworzenie mi tej szansy; Nicie Taublib za doprowadzenie do końca całej transakcji i umożliwienie mi realizacji swojego marzenia; Kate Miciak, za niewyczerpaną cierpliwość, wskazówki i zaufanie; Joelowi Gotlerowi za dokonanie tego, co było niemożliwe; Marii Faillace i wszystkim w Fox 2000 za wzbudzenie pierwszego zainteresowania.

A przede wszystkim: Cynthii Manson. Dziękuję ci za innowacyjne myślenie, niekończącą się wiarę, kiedy natrafialiśmy na przeciwności, i za prawdziwą przyjaźń.

Podziękowania dla mojej rodziny: Ryszardowi - za ciekawość, inteligencję i siłę; Marguerite - za poczucie humoru, serce i że jest taka piękna; Isabelle - za uśmiech, śmiech i niewinność. I, co najważniejsze, Virginii, za znoszenie mojego pracoholicznego siedzenia do 3 rano. Jesteś moją inspiracją, moim śmiechem, moją radością; jesteś powodem wszystkiego, co dobre w moim życiu.

Na koniec chciałbym podziękować tobie, mój czytelniku, za poświęcenie czasu na przeczytanie *Złodziei nieba*. Obecnie, kiedy ludzie wybierają rozrywkę w postaci dwugodzinnego filmu, półgodzinnego serialu lub trzyminutowych wideoklipów, miło jest wiedzieć, że nadal są tacy, którzy wolą czytać, i pozwalają, aby historia rozgrywała się w ich wyobraźni.

Richard

NEW YORK CITY W NOCY

Michael St. Pierre nasunął na lewe oko noktowizor, rozluźnił uchwyt na linie i ponownie zaczął się opuszczać. Zamierzał wylądować w ocienionym zaułku, który teraz widział na zielono. Uważał, żeby nie patrzeć na wielkowiejskie światła błyszczące w oddali; na tym etapie nie mógł sobie pozwolić na oślepienie. Zaułek był pusty, pomijając kilka worków ze śmieciami i kilka szczurów grasujących pod osłoną nocy. Po przebiegnięciu trzydziestu metrów przez ulicę znajdzie się nad trzymetrową granitową ścianą, za którą czeka go już bezpieczny mrok Central Parku. Teraz osłaniał go cień rzucany przez otaczające budynki. Nie bał się, że zostanie złapany, najtrudniejsze miał już za sobą, a zaułek był opustoszały.

Był już jakieś osiemnaście metrów od ziemi, kiedy lewym okiem - tym wspomaganym - dostrzegł jakieś ciało. Delikatne, nagie ciało. Zobaczył je w oknie sąsiedniego budynku na piątym piętrze. W ciemnej, bezosobowej szeregowej kamienicy położonej tuż obok Piątej Alei. Mógłby przysiąc, że to była pierś. Odwrócił wzrok, nie był przecież podglądaczem. Co nie zmienia faktu, że widok był przyjemny. I do tego całkiem blisko. Nie zauważyłby niczego, gdyby nie noktowizor. Nie przestraszył się, bo kobieta nie mogła go zobaczyć; tego był pewny.

Zaczął się dalej opuszczać w ciemną, lepką noc.

Kusiło go jednak, żeby raz jeszcze spojrzeć, choćby na moment - jak żeglarza, który zobaczył syrenę. Tak, to była pierś. Właściwie dwie. Ładne, nad wciętą talią, a cały obraz skąpany był w zielonym świetle. Diabelnie mu się to podobało. Kobieta leżała na plecach. Nie mógł dostrzec jej twarzy, ale ciało miała wspaniałe. Obserwował, jak wiła się w spazmie napiętości. Myśl o pracy, upomniał sam siebie, walcząc z pożądaniem, które go nagle ogarnęło.

Poluzował linę i zaczął znowu schodzić. Zbyt wiele poświęcił godzin, żeby teraz ryzykować dla kilku spojrzeń na nieświadomych jego obecności kochanków. Jeśli będzie się trzymał planu, już wkrótce znajdzie się w domu, bezpieczny w objęciach swojej młodej żony. Z całą pewnością bardziej pociągającej niż ta - kobieta. Choć ta ma ciało, z jakim nie może się równać żadne z tych, jakie kiedykolwiek widział.

W tej chwili kobieta, jakby czytała w jego myślach, obróciła gwałtownie głowę w lewo, w stronę okna. Zastygł w bezruchu, mocno przytrzymując się liny i wstrzymując oddech. Dostrzegła go? Niemożliwe. Był w kamuflującym stroju, zatopiony w czerni nocy.

I nagle zrobiło mu się słabo.

Nie patrzyła na niego. Nie mogła. Miała na oczach ciemną przepaskę, a w ustach

knebel. A jej ciało wiło się nie z rozkoszy, ale z przerażenia. Przyjrzał się uważniej. Leżała przywiązana do stołu, z rozłożonymi rękami i nogami, i widać było, że cierpi. Ogarnęła go fala wściekłości, bo u jej boku dostrzegł nagle jakąś postać. Twarz tamtego była niewidoczna, ale za to zauważył w jego ręce strzelbę. To nie była zabawa; kobieta została wzięta siłą. I to wszystko rozgrywało się w odległości zaledwie sześciu metrów od niego.

Popatrzył w dół: zostało mu do zejścia tylko piętnaście metrów. Wolność. Poczł, że w plecaku coś się lekko przesunęło. Pół roku planował, jak zdobyć ten woreczek, który gwarantował mu przyszłość. Nie pozwoli, aby wszystko to przepadło. Nie czas grać bohatera.

Ale ona tam ciągle była; noktowizor nadał jej skórze zielony odcień. Jej ciało naprężyło się, walcząc z więzami.

Michael nie musiał słyszeć, żeby wiedzieć, że krzyczała, choć knebel tłumil jej głos.

Lato na Upper East Side. Większość mieszkańców wyjechała z miasta do Hamptons, do Greenwich, na działki, które nazywali wiejskimi, zostawiając swoje mieszkania ciemne i zakurzone aż do września. Królowie i królowe porzucili swoje zamki dla zielonych łąk i świeższego powietrza, pozostawiając za sobą lenna w Silicon Alley i imperia przy Wall Street. W trzydziestu blokach z fasadami z wapienia i ze zwalistymi, niezdarnymi irlandzkimi portierami koncentrowało się bogactwo, z jakim nie mogło się równać żadne inne na świecie.

Okazały budynek ambasady mieścił kiedyś dom i biura J.S. Vandervelde'a, barona ropy naftowej, którego imperium rywalizowało z Gettym, Rockefellerem i Carnegiem. Na początku lat siedemdziesiątych zakupił go rząd Akbiquistanu, jednak nie ze względu na jego walory architektoniczne, tylko ze względu na niedostępność: blisko metrowej grubości mury, masywne drzwi, szyby ze szkła kuloodpornego. Cóż, Vandervelde'owie znali swoje miejsce na świecie, znali swoich wrogów lepiej niż własną rodzinę i zaprojektowali dom, wykorzystując tę wiedzę. W 1915 r. Johan Sebastian Vandervelde zbudował istną twierdzę - osiem pięter domu mieszkalnego oraz siedem biurowca - i przeniósł do niej rodzinę z domu przy Fourth Street w Greenwich Village. Dla Johana Sebastiana konflikty z robotnikami były zjawiskiem normalnym i wiedział, że kiedyś przyjdzie mu za nie zapłacić. Ale nie miał ochoty plamić krwią progu własnego domu.

Akbiquestanie także znali swoje miejsce na świecie i wiedzieli, że potrzebują raczej bunkra niż biurowca. Unowocześnili dawny dom Vandervelde'a - hydraulikę, elektryczność, ogrzewanie i zabezpieczenia. Wejść można było jedynie przez drzwi frontowe, jeżeli ktoś chciał mieć do czynienia ze strażnikami, skanerami, strzelbami itp.

Ponieważ ludzie myślą raczej dwuwymiarowo, a nie przestrzennie, nigdy nie wzięto pod uwagę możliwości zaatakowania domu od góry, nawet kiedy zamieszkał w nim

ambasador. Dach wyposażony był więc jedynie w standardowe alarmy w drzwiach, oknach i świetlikach.

Opracowanie planu zajęło pół roku. Michael znał każdy kąt budynku lepiej nawet niż jego projektant. W zdobyciu planów posiadłości niezwykle pomocna okazała się Komisja Ochrony Zabytków. Kiedy jej pracownicy usłyszeli, że Michael pisze książkę o historii najsłynniejszej na świecie alei, porzucili swoje zajęcia, aby pomóc temu młodemu, miłemu człowiekowi w garniturze od Ralpho Laurena, i dostarczyli mu informacje nie tylko na temat budynku, o który mu chodziło, ale i wszystkich przylegających do niego. Forbes Carlton Smyth - Michael przyjął to nazwisko ze względu na kojarzący się z nim rodowód - zapewnił, że wymieni w swej pracy każdego z nich, dziękując za pomoc. Bez trudu też udało mu się rozpoznać amerykański system zabezpieczeń i kupić od producenta kody po nominalnej cenie. Akbquestanie nie byli bowiem szczególnie lubiani w USA.

Michael potraktował przygotowania jak prawdziwy biznesmen, dbając o najmniejsze nawet szczegóły. Był drobiazgowo profesjonalny. W planach nie pozostawiał żadnych niedomówień, analizując sytuację, nie pomijał żadnego szczegółu. Każdy przygotowany scenariusz został przećwiczony i do każdego istniały plany awaryjne. Ale jego firma była jednoosobowa. Żadnych pracowników działu naukowo - badawczego, żadnych sekretarek, żadnego wiceprezesa ds. kadrowych. Zawsze pracował sam. Nie można być zbyt ufnym, działając w niebudzącej zaufania sferze. Zawsze pilnował, by nie znaleźć się w zasięgu przeczesującego przestrzeń wokół rządów, kryminalistów czy osób ubezpieczonych na zdumiewająco wysokie kwoty. Nic nigdy nie mogło wskazywać na niego. Wchodził i po kilku minutach znikał, nie popełniał błędów, nie zostawiał śladów, żadnego tropu i, co najważniejsze, nigdy go nie złapano.

Teraz, kiedy pracownicy ONZ mieli wakacje, ambasada także pracowała ze zmniejszoną obsadą. Raptem po dwóch strażników na jednej zmianie, a w godzinach urzędowania kilka sekretarek. Pozostali wrócili do domu, nacieszyć się swoją górzystą, pustynną krainą, której byli przedstawicielami.

Ambasador Anwar Sri Ruskot był szanowanym generałem słynącym z wybitnego talentu dyplomatycznego, który nie dorównywał jednak jego największym umiejętnościom. Sławę zdobył bowiem na czarnym rynku jako czołowy kurier, paser i kupiec specjalizujący się przede wszystkim w obrocie antykami, biżuterią i obrazami. Jeśli chodzi o niego, immunitet dyplomatyczny był wynalazkiem bardziej znaczącym niż elektryczność, żarówka i kobiety razem wzięte. W kręgach policyjno - prokuratorskich aż huczało od płótek na temat jego działalności, ale FBI i Interpol były bezsilne. Gdyby oficjalnie poruszyły ten temat,

Departament Stanu miałby na karku poważny kryzys, który łatwo mógłby doprowadzić do otwartego konfliktu pomiędzy dwoma niezupełnie przyjaznymi krajami.

Kiedy generał Ruskot był w ambasadzie, zarządzał swoją firmą z ostatniego, piętnastego piętra budynku, niedostępnego dla strażników, radców, sekretarek i obsługi. Poza nim nikt nie miał tam dostępu. Ruskot twierdził, że tam właśnie prowadzi najdelikatniejsze interesy swojego kraju i międzynarodowe, i gdyby sprawy te zostały przedwcześnie ujawnione, skutki byłyby katastrofalne dla światowej dyplomacji. Toteż na piętnaste piętro nikt nigdy nie wchodził, w żadnych okolicznościach.

Michael jako pierwszy odkrył prawdziwą działalność ambasadora. Zwisając w pokoju na linie kevlarowej półtora metra nad podłogą, przyświecał sobie punktową latarką. Gabinet był duży, stanowił połączenie biblioteki dżentelmena z meliną palaczy opium. Przy jednej ścianie stało wielkie, męskie biurko, a wokół niego krzesła z wysokimi oparciami i obiciami z czerwonej skóry. Drugi kraniec pokoju przypominał namiot nomadów - pufy rozstawione wokół nargile, z której rozchodził się zatechły zapach opium. Wśród niezliczonych wschodnich antyków i cennych obrazów, tureckich dywanów i gobelinów widać było księgi rachunkowe, akta i komputery, szczegółowo dokumentujące każdą podejrzaną transakcję, każdą nielegalną płatność, każdą potajemną umowę. Przestępcy zazwyczaj ukrywają wszelkie dokumenty, ale Ruskot nie musiał się tym martwić. Nie był na amerykańskiej ziemi, ambasada stanowiła niezależne terytorium Akbiquistanu i chroniła ją Konwencja Wiedeńska.

Michael zjawił się w zaułku tuż po północy i zaraz rozpoczął wspinaczkę. Granitowa fasada czteropiętrowego butików obok Madison Avenue była jak marzenie dla każdego alpinisty. Na plecach niósł kilka zwojów cienkiej liny do wspinaczki, w pasie, starannie przymocowane taśmą, żeby nie dzwoniły, miał przypięte karabińczyki, klamry i zestaw narzędzi. Jakby to była przechadzka; wczepiając się palcami w wąziutkie szczeliny pomiędzy granitowymi płytami elewacji, wdrapał się w ciągu kilku sekund na butik, przeszedł przez dach i zaczął się wspinać na przyległą ośmiopiętrową kamienicę. Po mistrzowsku pokonywał budynek po budynku, przesuwał się na coraz większej wysokości w stronę Fifth Avenue. Uwielbiał wspinaczkę po budynkach, bo było to większe wyzwanie i dawało mu silniejsze poczucie sukcesu. Złapał bakcyła jeszcze w college'u, a jego pierwszym szczytem był akademik, popularnie zwany Wieżą. Wspiął się wtedy na dwudzieste drugie piętro, bezszmerowo wszedł i wyszedł przez okno, do gabinetu, a wszystko po to, żeby zdobyć test egzaminacyjny. Wyprawa nie dała efektów, na jakie liczył... dziewczyna, dla której ukradł ten test, i tak obląła.

Michael spuścił się na dach ambasady Akbiquistanu z sąsiedniego,

osiemnastopiętrowego budynku. Zainstalowany w 1968 roku świetlik zabezpieczony był alarmem, który jednak bez trudu wyłączył. Wyjął szybę, przez noktowizor zajrzał do ciemnego pokoju, po czym spuścił się do środka. Niesamowity apartament, niesamowita kolekcja sztuki. Michael przestudiował plany wnikliwie i mógł je teraz bez problemu odtworzyć w pamięci. Znał to miejsce w najdrobniejszych szczegółach, zanim jeszcze się w nim znalazł. Z różnych źródeł zdobył informacje, że może tu znaleźć dużą ilość diamentów, co się potwierdziło, kiedy tylko otworzył wysoki na metr osiemdziesiąt sejf Wells Fargo z 1908 roku. Rozwinął czarny rulon aksamitu i zobaczył je - rozsypane jak gwiazdy na nocnym niebie, skrzące się, migoczące. Tyle, że można by nimi napełnić litrowy słoik. Na oko warte były trzydzieści milionów czarnorynkowych, nie do wyśledzenia dolarów. I miały jeszcze tę dodatkową zaletę, że nikt nie zgłosi ich zniknięcia. Z całą pewnością były kradzione, nieubezpieczone i wiedzieli o nich tylko nieliczni. Ambasador nigdy nie zgłosił ich kradzieży, bo ryzykowałby, że zaczną mu zadawać wiele pytań o ich pochodzenie. Poza tym nie pozwolił przecież nikomu wejść do pomieszczeń na piętnastym piętrze, żeby zbadać miejsce przestępstwa. Żadnej policji, żadnego dochodzenia, żadnego problemu.

W tej samej chwili, kiedy otworzyły się drzwi sejfu, kapral Javier Samaha zaczął się niecierpliwie wiercić na swoim stanowisku przy drzwiach ambasady. Niedawno ciągnęli zapalki, żeby zobaczyć, kto wkrótce wróci do domu, i to on trafił na tę krótszą. Monotonia dwunastogodzinnej służby powodowała drętwienie stóp i ból głowy. Była to spokojna, czwartkowa noc i, jak zwykle, nic się nie działo. Jedyne ich zajęcia to jedzenie, czytanie i gra w karty. Pomimo wszystkich obaw związanych z pracą na wrogim terenie nigdy nie doszło do żadnych incydentów w ambasadzie ani żadnej napaści na któregokolwiek z jego krajan. Samaha uważał, że paranoja ambasadora i narzucone przez niego środki ostrożności, w odniesieniu do najwyższego piętra, nie miały żadnego uzasadnienia. Był XXI wiek, era tolerancji, a ich siedziba mieściła się w najbardziej liberalnym mieście na świecie. Poza tym był środek lata. Wszyscy radykałowie, studenci i uczniowie byli na wakacjach, więc co najmniej do września nie istniało ryzyko, że ktokolwiek zorganizuje choćby jakiś protest. Samaha zwrócił się w stronę recepcjonisty i powiedział, że zrobi dziś obchód wcześniej; musiał rozprostować nogi i przewietrzyć głowę. Zazwyczaj zaczynał na drugim piętrze i szedł w górę, ale - korzystając z tych niewielkich uprawnień, jakie posiadał - podjął decyzję i postanowił zacząć od samej góry.

Michael zamknął sejf i wepchnął diamenty do torby, którą wrzucił do plecaka. Spokojny, że nikt nie wejdzie do tej zabronionej strefy, przez moment podziwiał dzieła sztuki. I wtedy zauważył w rogu pokoju wysadzany kamieniami krzyż. Miał jakieś dwadzieścia trzy

centymetry długości i był gęsto inkrustowany szafirami, rubinami i szmaragdami. Michael przyszedł tylko po diamenty, ale krzyż dosłownie go przywoływał. Sam nie wiedział dlaczego, ale tak właśnie czuł. Nienawidził odstępstw od planów, a krzyża w nich nie było; zawsze niezwykle skrupulatnie wykonywał swoją pracę. Wiedział, że kluczem do sukcesu - który sprowadzał się do tego, żeby nie dać się złapać - było postępowanie zgodnie z planem. A, poza wszystkim, to miała być jego ostatnia praca.

Wrzucił krzyż do plecaka i w ciągu 93 sekund już go nie było w pokoju.

Drzwi windy otworzyły się na piętnastym piętrze. Kapral Samaria znał zakaz, ale dzisiaj ciekawość okazała się silniejsza od poczucia dyscypliny. Nikt się nawet nie zorientuje, że tu był, co więc złego mogłoby go za to spotkać? Sprawdził jedyne drzwi prowadzące do pomieszczeń na tym piętrze - jedyne w całym budynku, do których strażnicy nie mieli klucza - i, stwierdziwszy, że są zamknięte, lekko rozczarowany skierował się w stronę schodów ewakuacyjnych. A potem odwrócił się i ponownie spojrzął na rzeźbione, mahoniowe wejście do sanktuarium Ruskota. Samaha nie odnosił się ze szczególnym respektem do paranoicznego dyplomaty, ale jego obowiązkiem było chronienie generała i obrona godności swojego kraju. Cóż, nigdy się nie dowie, co jest za tymi drzwiami, pomyślał. Otworzył drzwi ewakuacyjne, wyszedł na schody i wtedy usłyszał głośne kliknięcie. Staął, nasłuchując w skupieniu. Dźwięk dochodził z apartamentu. I znów kliknięcie. Nie tak głośne jak poprzednio, ale na pewno je usłyszał, i nie był to odgłos naturalny. Wrócił i ponownie sprawdził drzwi: zamknięte. Przyłożył ucho do wypolerowanego mahoni. Był pewien, że coś słyszał. Pomyślał o konsekwencjach, o swoich obowiązkach wobec kraju, o gwałtownym charakterze generała... i jeszcze raz o gwałtownym charakterze generała.

Rezygnując z ostrożności, kopnął w drzwi. W apartamencie było ciemno, jedynie trochę światła wpadało z korytarza i nieco blasku księżycy przedostawało się przez świetlik. Zauważył, że przestronny gabinet był elegancko umeblowany. Lepiej niż pozostałe pomieszczenia ambasady. Istny podniebny pałac. Przez moment rozglądał się, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Jego uwagę przyciągnął duży sejf; zastanawiając się nad jego przeznaczeniem, sprawdził zamek. W porządku. Odwrócił się do wyjścia, myśląc, że hałas wywołał zapewne wentylator, i wtedy właśnie zauważył coś dziwnego na ścianie.

Wyglądało to jak znak wodny albo jakiś brud. Ruszył w tamtą stronę, żeby przyjrzeć się z bliska. Chociaż nie zapalił światła, w salonie było wystarczająco widno, żeby mógł dostrzec ciemny zarys na ścianie. Przebiegł palcami po jego obwodzie. Pod wpływem światła słonecznego farba na ścianie wyblakła, z wyjątkiem tego jedyne miejsca, na którym pozostał pierwotny, żywy odcień zieleni. Mała plama w kształcie krzyża.

Michael wisiał piętnaście metrów nad ziemią, z gwarancją dobrej przyszłości „w plecaku. Pozostało tylko pięć pięter do wolności. A przed oczami miał bliską śmierć, torturowaną kobietę. Dławiło go złe przeczucie, takie, które rodziło się w żołądku i zazwyczaj podpowiadało mu, żeby postąpił inaczej. Ale było ono niczym w porównaniu z obawą o los tej niewinnej ofiary.

Zaczął się pospiesznie wspinać po linie, ręka za ręką, i w ciągu kilku sekund pokonał trzydzieści metrów. Przeskoczył przez gzyms. W odległości sześciu metrów, dziewięć pięter niżej, była sześciokondygnacyjna kamienica. Wczepiając palce w elewację z cegieł wdrapał się na przyległy budynek, przebiegł na drugą stronę dachu, przytwierdził linę i zaczął się po niej spuszczać.

Lubił mieć dobry plan, a także plan zapasowy i zapasowy do zapasowego. Wolał unikać działania nieprzemysłanego. Ale teraz nakręcała go adrenalina i musiał zdać się na instynkt. Zaczął sobie przypominać wszystko, co wie: kamienica była zarejestrowana na firmę, jakąś europejską spółkę tekstylną; mieszkali w niej mąż, żona i mały sznaucer. Była zabezpieczona tanim, mało skutecznym systemem alarmowym. Budynek mieścił się w jego planie, był pozycją zabezpieczającą powrót i dlatego dokładnie go przestudiował.

W głowie kłębiły mu się różne myśli. Gdzie był mąż? Kim był napastnik? A może był nim mąż? Może w taki sposób rozwiązywali swoje problemy? Nie ma czasu na pytania, liczą się fakty, język jej ciała wyrażał błaganie o pomoc - była bliska śmierci.

Samaha właściwie nie musiał podejmować żadnej decyzji. Wyjaśnił recepcjoniście, że usłyszał jakiś hałas na piętnastym piętrze i pomimo zakazu wchodzenia tam, uznał, że ma obowiązek chronić swój kraj. Wyjaśnił, że sprawdził resztę budynku i czuje, że ktoś mógł grasować na dachu. Jediną reakcją recepcjonisty było stwierdzenie, że to nonsens. Samaha zasugerował, żeby zadzwonili na komisariat policji. Niech patrol przejedzie się po okolicy i sprawdzi, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Byłoby to dobre usprawiedliwienie tego, co zrobił: niech policja przeczesze okolicę. Jeśli złodziej był nadal gdzieś blisko, mogą go złapać, a wtedy pochwalą Samahę za bystrość i może nawet dostanie wyróżnienie. A jeśli nikogo nie złapią? Cóż, porywczy ambasador Ruskot miał wrócić za dwa tygodnie, a samowolne opuszczenie miejsca pracy w mieście takim jak Nowy Jork nie było najgorszą alternatywą.

Michael cicho wszedł do kamienicy przez okno na najwyższym piętrze. Nie miał broni palnej. Nienawidził jej, nigdy jej nie używał i nie wiedziałby, co zrobić, nawet gdyby miał przy sobie jakiś pistolet. Miał za to nóż; gładka rękojeść dobrze układała się w ręce, a śmiertelne ostrze lśniło w słabym świetle. Przesuwał go w dłoń, modląc się, żeby nie

musiał go użyć, żeby zaostrozony metal nie musiał zetknąć się z nieznaną mu dotąd elastycznością skóry.

Nasunął na oko noktowizor i wszedł do holu. Delikatne dźwięki - miotania się, pocierania nagą skórą o stół i stłumione jęki - wywoływały dreszcze, umacniając jego decyzję. Na końcu korytarza, tuż przy drzwiach, w kałuży krwi leżał martwy sznaucer. Michael przesunął się o kilka centymetrów i zajrzał do pokoju. Była to pracownia ceramiczna. Na drewnianej półce schły w rzędach gliniane garnki, na biurku stały różne farby, rozpuszczalniki, szkliwa. W rogu pokoju był duży piec do wypalania; Michael słyszał wentylator wydmuchujący z wnętrza intensywne ciepło. Czuł zapach wilgoci i ziemi, przemieszany z nienaturalną nutą jaśminu. Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Na podłodze walały się pecyny suchej gliny i porozrzucane drewniane narzędzia. Wreszcie zobaczył stół do pracy, ale to nie glinę obrabiano tej nocy.

Kobieta była blondynką około czterdziestki. Jej ciało lśniło od potu, a piersi falowały ze strachu. Nawet w tej sytuacji sprawiała wrażenie bardzo bogatej. Ciało miała pięknie wyrzeźbione, twarz perfekcyjnie wyczelowaną przez chirurga plastycznego z Park Avenue. Jej wypielęgnowane stopy zwisały poza blat, przywiązane do nóg stołu, ręce miała umocowane ponad głową, a oczy zasłaniała czarna przepaska. Spod knebla wydawała płaczliwe jęki, od których Michaela przechodziły ciarki, ale przynajmniej potwierdzały jedno: nadal żyła.

Na parapecie okna stało coś, co przypominało zestaw antycznych narzędzi chirurgicznych: noże, skalpele, piłki do kości.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nigdzie nie widział napastnika. Zsunawszy z oka noktowizor, włączył światło i podbiegł do kobiety. Jej skóra była nietknięta; kimkolwiek był prześladowca, nie rozpoczął jeszcze pracy. Michael szybko zaczął rozcinać krępujące ją więzy. Wierzgnęła nogą i wydała stłumiony krzyk, nieświadoma, że oto zjawił się wybawca.

I właśnie wtedy walec uderzył Michaela w bok głowy. Upadł do tyłu, ogluszony, tracąc poczucie czasu i miejsca. Przed oczami mignęła mu jakaś postać z twarzą zasłoniętą chustką, trzymająca w prawej ręce młot rzeźbiarski, a w lewej broń. Dudniło mu w głowie. Walczył, żeby nie stracić przytomności. W swoich planach nie uwzględniał śmierci jako możliwej opcji, ale teraz... Nie padło ani słowo, kiedy zimna lufa dotknęła jego czoła. Szalencie odrzucił młot i przez chwilę tkwił w bezruchu, jakby czerpiąc radość z przedłużającej się sceny. Michael ścisnął rękojeść noża, zadowolony, że ukrył go przed wzrokiem napastnika. Bez zastanowienia wbił ostrze w nadgarstek atakującego go mężczyzny, aż po rękojeść, aż zakrwawiony czubek wyszedł na zewnątrz z drugiej strony

ręki. Mężczyzna szarpnął się do tyłu, potknął o piec i wylądował ramieniem na rozgrzanym do tysiąca dwustu stopni metalu. Broń wypadła mu z dłoni. W koszuli natychmiast wypaliła się dziura, a powietrze wypełnił odór przypalanego ciała.

Michael zerwał się na nogi, usiłując złapać równowagę. Ciągłe jeszcze ogłuszony, przytrzymał się stołu. Wreszcie mógł przyjrzeć się napastnikowi. Oczy mężczyzny były zimne i bez wyrazu, z osmalonego ramienia unosił mu się dym, a z przedramienia płynęła krew. Ignorując ból, mężczyzna wyrwał nóż z poharatanego nadgarstka i zaatakował, wbijając ostrze w ramię Michaela. Przygniótł go do ziemi, potem złapał za rękojęć i ciągnął jak martwą świnie przez cały pokój, żeby rzucić koło pieca. Wreszcie, w nagłym przypływie wściekłości, kopnął ostrze, wywołując przeszywający ból.

Nagle trzaski radiowe oprzytomniły Michaela. Napastnik miał policję na podsłuchu. Z trudem zrozumiał podawany komunikat: „Prawdopodobnie włamanie do ambasady Akbiquistanu, radiowóz w drodze”.

Michael leżał, a jego ciało zaczynało poddawać się bólowi. Kobieta na stole wydała przejmujący krzyk, stłumiony przez knebel w ustach. Z pewnością umierała. Michael pomyślał o żonie. Co ona z tego zrozumie? Wyobraził sobie policję informującą ją o okolicznościach jego śmierci; o tym, gdzie go znaleziono, jak został zamordowany. Czy zechciałaby pomóc im w dochodzeniu? Wyjaśnić, skąd w plecaku jej męża wzięły się diamenty. Czy знаła jego nagą towarzyszkę? Czy jej mąż i ta kobieta mieli romans?

Michael potężnym szarpnięciem wyrwał nóż z ramienia. Poczul tak wściekły ból, że aż zrobiło mu się ciemno przed oczami. Był bliski omdlenia, ale ocknął się, kiedy napastnik chlusnął na niego jakimś płynem. Rozpuszczalnik spłynął na podłogę, szczypiąc go w nosie, drażniąc skórę i wżerając się w ranę. Nigdy przedtem o tym nie myślał, ale teraz nagle uświadomił sobie, że jest śmiertelnikiem. Jeśli się nie podniesie - i to natychmiast - umrze. Nie tylko on, ale i kobieta.

Stojący w drzwiach szaleniec zamachnął się, rzucając zapalony koktajl Mołotowa. W tej samej chwili Michael zerwał się na nogi. Wydawało się, że bomba z rozpuszczalnika do farb leci przez całą wieczność, wreszcie opadła łukiem i eksplodowała na rozpalonym do czerwoności piecu. Płomień błyskawicznie rozpełzł się po podłodze. Szaleniec zniknął w chwili, kiedy w ogniu stanęły drzwi.

Michael, walcząc z rwącym bólem ramienia, brnął przez pokój w gęstniejącym ogniu i dymie. Z drewnianej półki złapał brezent i okrył nim kobietę. Zerwał jej z oczu przepaskę i wyciągnął z ust knebel. Zauważyła płomienie i wrzasnęła histerycznie. Michael złapał linę i przywiązał jeden koniec do nogi stołu. Przypiął uprząż i chwycił kobietę. Zorientowała się, co

zamierza zrobić, i objęła go.

Przerzucił się przez okno w chwili, kiedy w pokoju nastąpił wybuch. Opadali chłodzeni letnim powietrzem; stół ślizgał się po podłodze, aż w końcu zablokowało go okno. Lina szarpnęła i zatrzymali się kilka pięter ponad ziemią. Płomienie lizały okno zaledwie kilka metrów nad ich głowami.

Dotknęli chodnika w chwili, kiedy okno w kamienicy eksplodowało, wyrzucając w niebo płomienie i kłęby dymu. Wnętrze kamienicy lśniło pomarańczowym blaskiem, a ogień rozprzestrzenił się na całe szóste piętro. Michael położył kobietę na ziemi. Pojękiwała, usiłując okryć się brezentem. Zerwał pas, cisnął narzędzia w krzaki i sprawdził, czy ma swój plecak z diamentami. Był. Ramię krwawiło coraz mocniej, ciemna koszula była już purpurowa. Miał nadzieję, że się nie wykrwawi; nie miał w tej chwili czasu umierać. Pochylił się nad kobietą. Jej oczy powracały do życia. Uśmiechnęła się, a po twarzy pociekły jej łzy.

Zawyły syreny i w ciągu kilku sekund po drugiej stronie ulicy z piskiem opon zahamowały trzy wozy policyjne. Michael spojrzał przez Fifth Avenue na mur prowadzący do Central Parku. Dotknął plecaka. To jego przyszłość. Wolność była w odległości zaledwie dwudziestu metrów.

Nadal miał szansę.

ROZDZIAŁ 1

Witraże. Teraz już takich nie robią: olśniewająca purpura, głęboki róż i intensywne złoto przedstawiające Wrota Niebios. Główna ozdoba starego, pobielonego wapnem kościoła. Promienie porannego słońca rzucały kolorowe cienie na parafian. Niektórzy przyszli tu, bo chcieli, większość - z przymusu. I jak w każdym domu modlitwy, niezależnie od wyznania, byli też tacy, którzy musieli siedzieć w pierwszych ławkach, przekonani, że miejsce tuż przed ołtarzem zbliża ich ku zbawieniu. Kobiety w odświętnych sukniach, mężczyźni pachnący wodą kolońską, w marynarkach, strojni w najlepsze, jedwabne krawaty, myślący, że to strój czyni człowieka świętym. Na ambonie stał ksiądz Patrick Shaunessy. Jego krótko obcięte włosy były prawie całkiem siwe i ostro kontrastowały z kruczoczarnymi brwiami. Krótkimi, grubymi rękami ukrytymi w fałdach obszernej, zielonej sutanny poruszał w rytm wypowiedzanych z irlandzkim akcentem słów. Od lat nauczał swoją trzódkę, spędzał długie godziny nad przygotowaniem kazań, ale ciągle się zastanawiał, czy udało mu się wpłynąć choćby na jedną osobę. Bo teraz, tak samo jak w latach jego młodości, przestępczość utrzymywała się na stałym poziomie, ludzie cudzołożyli i, generalnie, odchodzili od religii. Wydawało się, że ich wyznaniem stały się technika, nauka i seks, że wierzą tylko w rzeczy materialne - nie wierz w nic, czego nie możesz dotknąć. Ksiądz Shaunessy głosił więc kazania i miał nadzieję, że uda mu się uchronić przynajmniej jedną duszę na tym pełnym zamętu świecie.

Ojciec Patrick był niezwykle drobnym mężczyzną; czasami przemykało mu przez myśl, że gdyby został dżokejem, na torze w Churchill Downs z pewnością by zwyciężał. Ale miał pewien dar - głos, który był równie donośny, jak mikre było jego ciało. I to właśnie ten głos dudnił teraz w kościele.

- Nie możecie ukraść zbawienia, jak złodziej nocą, ponieważ to nie do doskonałości życia na tej ziemi dążymy, ale raczej do doskonałości wiary. To wiara w Boga da nam życie wieczne. Sama wiara jest kluczem do wiecznego zbawienia.

Zebrał kartki i jakby dla większego wrażenia wyszeptał:

- Otwórzcie modlitewniki na „Kiedy ranne wstają zorze”, strona sto trzecia.

Zgromadzeni przyłączyli się i choć nie było to wykonanie w stylu Cata Stevensa, śpiewali melodyjnie i z zaangażowaniem, a ich głosy wypełniały kościół i odbijały się echem od krokwi.

W pobliżu drzwi, jakby w ukryciu, siedziała największa wielbicielka ojca Patricka.

Ale gdyby nawet chciała się schować, nie zdołałaby; spływające na plecy płomienne, kasztanowe loki sprawiały, że trudno było jej nie dostrzec. Pełna ufności, z książeczką do nabożeństwa w dłoni, śpiewała cichym głosem. W jej przypadku takie zachowanie zaskakiwało. Odkąd skończyła trzynaście lat, należała do tych impulsywnych dzieci, które za dnia uczyły się w katolickiej szkole o siedmiu grzechach głównych po to, by wieczorem uczestniczyć w ich popełnianiu. I choć w miarę upływu lat utemperowała się nieco i nabrała poczucia odpowiedzialności, nigdy jednak do końca nie wyzbyła się tej nutki szaleństwa. W sobotę wieczorem bywała zazwyczaj na tańcach, ale w niedzielę, niezależnie od pogody, stanu zdrowia, niezależnie od wszystkiego innego, o jedenastej rano można ją było spotkać w kościele. Siedziała zawsze w tym samym miejscu, z pochyloną głową, i wprost promieniała cichą wdzięcznością za wszystko, co stanowiło jej świat. Choć nie zawsze zgadzała się z Kościołem, a jej sposób bycia z pewnością nie predestynował jej do roli świętej, wiara Mary St. Pierre zawsze była prawdziwa.

W ławce obok niej siedział w milczeniu jej mąż, z mocno zaciśniętymi w proteście ustami. Miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, był szczupły i przystojny. Szopa zmierzwionych brązowych włosów okalała jego męską bardzo interesującą twarz. Sprawiał jednak wrażenie jakby miał więcej niż swoje trzydzieści osiem lat. Przysłuchując się śpiewającym, wiercił się niecierpliwie. Jego ciemne oczy zdradzały, że myślami jest gdzieś daleko. Michael St. Pierre nie zdobył się na to, by” powiedzieć żonie, jak bardzo zmaląła jego wiara, a teraz z pewnością nie był to właściwy moment. I tak mieli wystarczająco dużo problemów.

Mary i Michael wyszli z kościoła w tłumie innych parafian. Wszyscy tłoczyli się wokół księdza, pragnąc ucisnąć mu dłoń, jakby łudzili się, że dzięki temu choć trochę jego świętości przeniknie także do ich dusz. Ojciec Shaunessy spacerował wśród nich, pozdrawiając serdecznie każdego skinieniem głowy i dziękując, kiedy chwalili mszę. Lekkim uśmiechem pokrywał dręczącą go wątpliwość, czy ktokolwiek z nich potrafiłby powtórzyć choćby jedno zdanie, niechby tylko naukę dnia, której poświęcił kazanie. Kiedy jednak napotkał spojrzenie Mary, oczy zaświeciły mu się z ożywieniem.

-Cudowna msza, ojciec - powiedziała Mary, patrząc w dół na księdza. Wyglądało to mniej więcej tak, jakby rozmawiała z dzieckiem, tak duża była między nimi różnica wzrostu. Bojąc się, że jej wzrost jest dla księdza krępujący, nie zakładała do kościoła butów na obcasie, jako że nawet na płaskiej podeszwie miała ponad metr siedemdziesiąt.

-Dziękuję, Mary - odparł, ujmując jej dłoń. - Zawsze mogę liczyć na twój uśmiech,

kiedy jestem przy ołtarzu.

Ksiądz Patrick ignorował obecność Michaela. Zachowywał się tak, jakby go tu nie było. Wyczuwając niezadowolenie męża, Mary przytuliła się do niego z uśmiechem.

Wreszcie, nie chcąc obrazić Mary, ksiądz skinął głową w stronę Michaela.

-Witaj, Mike.

-Witaj, Patricku - niechętnie odburknął Michael.

Za nimi uformowała się długa i coraz bardziej niecierpliwa kolejka chętnych do uściśnięcia księżej dłoni. Ociągając się, ojciec Patrick puścił rękę Mary.

-Pokój z tobą, dziecko.

-I z duchem twoim, ojcze.

Mary i Michael St. Pierre ruszyli zadrzewioną alejką w kierunku parkingu, podczas gdy ojciec Shaunessy dalej pozdrawiał swoich życzliwych parafian.

Stary ford taurus, rocznik 89, poobijany, podrapany, ale czysty wycofał się z przykościelnego podwórza i skierował na wschód. Michael prowadził w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w horyzont. Mary wiedziała, że znowu cierpi. Zamykał się w swoim świecie, do którego nikt poza nim nie miał wstępu, i usiłował sam sobie poradzić z gnębiącymi go problemami. Wznosił mur, który usiłowała sforsować, i za każdym razem musiała wymyślać nową strategię. W jej oczach zabłyśły iskierki i uśmiechnęła się, wyciągając rękę.

-O co chodzi? - Spojrzał na nią.

-Strzepnęłam ci tylko coś z ramienia.

-Łupież?

-Nie. Okruszek.

-Co? - Michael wzdrygnął się, jakby chodził po nim pająk. - Jaki okruszek?

- Okruszek na twoim ramieniu.

Skrzywił się, usiłując nie uśmiechnąć się.

-Pat nie jest złym facetem - stwierdziła.

-Patrzy na mnie z góry i tak, jakbym mógł zarazić całą jego trzódkę. Wydawało mi się, że księża powinni umieć przebaczać. - W głosie Michaela brzmiało rozgoryczenie.

-Takiemu niskiemu mężczyźnie musi być trudno patrzeć na ciebie z góry.

-Popatrz na świat moimi oczami, Mary. - Michael nawet na moment nie oderwał oczu od drogi.

Mary nienawidziła, kiedy tak ją strofował. Choć nie zdarzało się to często. Właściwie tylko w niedziele, godzinę przed lub po mszy. Wiedziała, że było mu wtedy

trudno, ale to przecież tylko jedna godzina w tygodniu. Patrzyła na świat jego oczami, zawsze potrafiła to robić i, jeśli o nią chodzi, uważała, że mógłby wpuścić odrobinę spokoju do swojego życia.

- Dlaczego musimy co tydzień przez to przechodzić? - Położyła pojednawczo dłoń na jego udzie.

W samochodzie zapadła nieprzyjemna cisza.

Dziesiątki samochodów wypełniały pobocza drogi. Skądś dochodziły dźwięki muzyki przypominającej Springsteena. Byli w pobliżu oceanu, w powietrzu unosił się charakterystyczny letni zapach morskiej bryzy. Mary podążała wyłożoną łupkiem ścieżką w stronę podniszczonego, szarego domu w stylu Cape Cod. Michael ostentacyjnie szedł pięć kroków za nią, nadal milczący i spięty. Mary nacisnęła dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Michael podszedł do niej. Zadzwoiła ponownie, a potem złapała za klamkę i otworzyła.

- Naprawdę nie wiem, czy mam na to ochotę - ostrzegł Michael.

- A na co ty w ogóle masz ochotę? - zapytała z całą powagą. Wydawało się, że jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

Michael nie odpowiedział.

- Przywitamy się tylko, posiedzimy pół godzinki i przed drugą wrócimy do domu.

Wzięła go za rękę i wprowadziła do środka. Pokoje były ciemne, podejrzanie puste. Mary ruszyła w głąb domu. Przeszli przez skromny pokój dzienny, potem obok jadalni, z każdym krokiem coraz wyraźniej słysząc stłumione odgłosy przyjęcia.

- Pamiętaj, żeby się uśmiechać - szepnęła, odsuwając zasłonę i rozsuwając szklane drzwi.

To nie było zwykłe przyjęcie. To było przyjęcie nad przyjęciami. Taras za domem wypełniał tłum ludzi, wylewający się aż na plażę. Na trzech grillach ostro buzował ogień; Jeśli przygotowywano na nich jakieś mięso, dawno temu musiało się już dokumentnie spalić. Z dużych głośników rozlegał się głos Springsteena, zawodzącego „Pokój Candy”.

Mary wzięła Michaela za rękę i zanurkowali w tłum, przeciskając się między podпитыmi gośćmi. Kiedy przepchnęła go na skraj tarasu, gdzie wreszcie dało się oddychać, zauważyli zbliżającego się w ich stronę wielkiego, zwałistego mężczyznę. Ludzie rozstępowali się przed nim, jakby z szacunku dla jego królewskiej postawy, potakując mu i klepiąc go po szerokich plecach. Mężczyzna nie był ani tęgi, ani bardzo muskularny - po prostu duży i zwałisty. Miał do tego ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i górował nad wszystkimi. Jego jasne włosy przywodziły na myśl surfera, ale zapewne nie produkowano wystarczająco dużych desek. Mary praktycznie zniknęła w jego objęciach.

-Nareszcie przyjęcie może się oficjalnie zacząć - oświadczył. Uwolnił Mary z uścisku, odwrócił się i objął Michaela, który poczuł się idiotycznie skrępowany, nie mogąc złapać tchu. - Jak zwykle jesteście spóźnieni.

-Byliśmy w kościele - broniła się Mary.

-Młody...? - Olbrzym spojrzał Michaelowi prosto w oczy.

-Modliłem się za twoją wielką, zakonserwowaną whisky duszę.

Spojrzenie mężczyzny stało się srogie.

- To żart.

Tamten złapał głowę Michaela w swoje ogromne łapska i przyciągnął do siebie.

- Oni są po prostu jak dziura w dupie; każdy ją ma i wszystkie śmierdzą. - Cmoknął głośno Michaela w czoło, po czym uwolnił go z uścisku. - Cieszę się, że dotarliście.

Michael nareszcie się rozluźnił.

Paul Busch zazwyczaj się nie upijał - chyba że miał po temu wyjątkowo dobry powód - nie palił, a narkotyki zawsze traktował jako Osobistego wroga. W gruncie rzeczy, jeśli pominąć jego słabość do hamburgerów, chipsów i tego typu śmieciowego jedzenia, był chyba jednym z niewielu ludzi na świecie, prowadzących najzdrowszy tryb życia. Wyjątkiem był jeden dzień w roku. Urządzał wtedy szalony weekend z okazji Dnia Pamięci. Na powitanie lata zapraszany był każdy, z kim się kiedykolwiek spotkał, rozmawiał, bił, całował, kim się opiekował, kogo przytulał lub z kim się żenił. To był jego sposób wyrażania uznania dla festiwalu życia i jego podziękowanie dla wszystkich żywych istot. A ponieważ to on ponosił cały ciężar imprezy, uważał, że ma prawo brać udział we wszystkim, łącznie z konsumpcją alkoholu. To dlatego był teraz taki wylewny i rozbawiony.

Przez dudniącą muzykę przebijały się chichoty i krzyki dzieci, coraz głośniejsze i dochodzące z coraz bliższej odległości. I nagle tuż przy nich wyrosło jak spod ziemi mniej więcej sześciolatek, dziewczynka i chłopiec. Robbie - starszy o jedenaście miesięcy od siostry - i Chrissie Busch, para jasnowłosych brzdąców o uśmiechach, które mogłyby rozświetlić głębię oceanu. Przepchnąwszy się przez tłum, wpadli prosto w wyciągnięte do nich ramiona Michaela.

- Chodźmy na trampolinę! - zawołał Robbie, ciągnąc Michaela w lewo.

-Nie, budujmy zamki z piasku! - Chrissie szarpnęła w prawo.

-Hej, a może byście się przywitali? - upomniał dzieci Busch.

-Daj spokój - odparł Michael, zachwycony malcami.

-Zostawcie go na chwilę, pozwólcie mu się najpierw czegoś napić. - Busch usiłował odsunąć dzieci na bok.

- Ale tato... tylko on chce się z nami bawić - prosił Robbie. Busch spojrzał synowi prosto w oczy.

-To dlatego, że spośród tu obecnych tylko on dorównuje wam pod względem wybitnej dojrzałości - oświadczył.

-Daj spokój - powtórzył Michael, kucając przy dzieciach.

-Tato, proszę...

Busch mógł być silnym mężczyzną, zapewne najsilniejszym, jakiego można spotkać, ale wobec własnych dzieci był wręcz bezsilny.

- Rób, jak chcesz - powiedział do Michaela, wznosząc ręce do nieba. - Ale nie przychodź do mnie z płaczem, jak cię zamordują. - Uśmiechnął się i otoczył Mary ramieniem.
- Masz ochotę na trochę zabawy, piękna damo?

I zniknęli w tłumie.

Michael usiadł z dziećmi w samym środku tłumu gości - zupełnie jakby byli w prywatnym pokoju zabaw - i jak magik uniósł ręce, demonstrując, że nic w nich nie trzyma. Dzieci spojrzały na siebie, zbite z tropu, a Michael sięgnął ręką i zza ich uszu wyciągnął po małym, pluszowym słoniku. Trudno byłoby sprawić maluchom większą radość.

Mary siedziała w gronie kobiet i przysłuchiwała się hałaśliwej gadaninie. Jej towarzyszki popijały zdobione papierowymi parasolkami drinki i objadały się chipsami. Rozmawiały o wszystkim równocześnie, od plotek przechodziły do rozczarowania małżeństwem i znów wracały do plotek... Nic, w czym Mary mogłaby uczestniczyć. Siedząca obok niej kobieta wyraźnie nie miała cierpliwości do pretensjonalnej gry, prowadzonej przez pozostałe panie. Jeannie Busch rozsiadła się wygodnie i z trudem kryjąc lekceważenie, przyglądała się, jak tłum przyjaciół jej męża i ich żony krąży, wymieniając zdawkowe uwagi i popijając. Jeannie nienawidziła przyjęć. Tych wszystkich sztucznych uśmiechów i nieszczerych gestów ludzi, których prawdziwa natura wychodziła na wierzch, kiedy tylko alkohol zmył z ich twarzy starannie wymodelowane maski. Jeannie lubiła towarzystwo niewielkiej grupy swoich przyjaciół, ale to było przyjęcie jej męża i postanowiła nie zapraszać na nie swoich bliskich, żeby nie narażać ich na to szaleństwo. Nikogo z wyjątkiem Mary. Mary była jej podporą, opoką. Pomagała jej panować nad sobą, inaczej mogłaby wybuchnąć i śmiertelnie dotknąć któregoś z podpitych kumpli Buscha lub jego szefa, albo, co gorsza, żonę szefa. Ale podczas każdego Dnia Pamięci pilnowała się, żeby przez cały czas mieć na ustach uśmiech, a w dłoni szklaneczkę wody, bo wprawdzie nienawidziła przyjęć, ale kochała Buscha.

- Jak nowa szkoła? Dobrze cię traktują? - Jej przyciszony głos przebił się przez gwar.

Mary przytaknęła głową, a włosy zaślniły w słońcu jak płomyki ognia.

-Mam grupę dwudziestu sześciu najśłodszych na świecie dzieciaków.

-Nie poradziłabym sobie z tyloma - stwierdziła Jeannie, ściągając włosy w koński ogon. - Już przy tej mojej dwójce z piekła rodem mam ręce pełne roboty.

-Chętnie bym cię od nich uwolniła - uśmiechnęła się Mary.

-Poczekaj, zobaczysz, jak to jest, kiedy będziesz miała swoje. - Jeannie przerwała na moment; w zasięgu wzroku przemknęły jej czubki głów dzieci i zaraz zniknęły w tłumie.

- Wydaje ci się, że są takie słodkie, sam miód, ale po zachodzie słońca... Wiesz, to są nocne marki, całą noc nie śpią. Przychodzą do ciebie rześkie, kiedy ty już padasz na nos. Och tak, będą cię przytulać i całować, ale to tylko pozór, taka wielka dziecięca konspiracja. Napadają na ciebie jak zwierzęta.

Mary zaśmiała się, ale wyraźnie jej uwagę przyciągało coś innego - szmaragdowozielonymi oczami wpatrywała się w rozgrywany na plaży mecz. Jeannie zorientowała się, że przyjaciółka wpatruje się w Michaela. Uśmiechnęła się i zamachała dłonią przed jej twarzą.

- Halo, halo, Ziemia do Mary...?

Mary wzdrygnęła się, uśmiechnęła z zakłopotaniem i wróciła do rzeczywistości.

-Przepraszam - powiedziała, raz jeszcze rzucając spojrzenie na męża.

-Kochana, nigdy nie przepraszaj za pożądanie.

Mecz futbolu toczył się w najlepsze. Gołe stopy śmigały po gorącym, białym piasku, a podchmieleni zawodnicy usiłowali naśladować swoje wyczyny i triumfy z młodości. Michael miał wrażenie, że za chwilę chyba eksplodują; purpurowi i spoceni z trudem łapali oddech. Ponieważ jednak byli to prawdziwi mężczyźni, nie mogło być mowy o żadnym bólu, przynajmniej nie w obecności przyjaciół.

Michael złapał podanie, odchylił się i rzucił daleko. Piłka poszybowała w stronę błękitnego nieba. Busch był dużym mężczyzną, ale wyraźnie mu to nie przeszkadzało, kiedy ruszył biegiem w stronę linii bramki, zostawiając z tyłu goniących go przeciwników. Piłka zatoczyła łuk, lądując prosto w jego dłoniach. Przyłożenie. Busch wykonał triumfalny taniec w polu punktowym, kozłując piłką i waląc się dłonią w klatkę piersiową. Potem wrócił do grupy, entuzjastycznie przybijając piątki, jakby zdobyte punkty dały im wygraną w Superbowl.

- Dobra robota, Brzoskwinek - pochwalił go Michael, zadowolony z ich zespołowego wyczynu.

Jeden z drużyny przeciwników, słysząc przezwisko, spojrzął zaciekawiony na Buscha.

- Nawet nie pytaj! - Busch rzucił mu piorunujące spojrzenie, odgarniając z oczu opadający na czoło kosmyk jasnych włosów.

Ustawili się szóstkami i Michael rozpoczął wykopem, posyłając piłkę na pole punktowe: touchback. Powoli zebrali się, pogadali na temat najnowszej reklamy piwa, po czym poklepując się, rozeszli. Busch przykucnął, stopy zapadały mu się w piasek, spojrzął w lewo, w prawo, a w końcu na swojego przeciwnika. Jason był od niego o połowę mniejszy, skórę na czubku łysej głowy miał spaloną od słońca i zaczynały się na niej robić pęcherze, ale wypite piwo miłosiernie łagodziło ból. Popatrzył Buschowi w oczy i wyszeptał kpiąco:

- Brzoskwinek? Skąd się to wzięło?

Busch zaczerwienił się gwałtownie; można było odnieść wrażenie, że czas zwolnił, kiedy wpatrzony nieruchomym wzrokiem prosto w oczy Jasona zaczął dyszeć, głęboko i rytmicznie, jak rozwścieczony byk. Piłka została wykopana. Busch, jak rozdrażniona bestia, brutalnie natarł na Jasona, wgniatając go w piasek, po czym triumfalnie stanął nad zdumionym i zmieszonym przeciwnikiem i wyszeptał, nie kryjąc zadowolenia:

- Przepraszam.

Słońce już dawno zaszło, zabierając ze sobą ciepło późnowiosennego dnia. Przyjęcie dobiegało końca. Wszędzie wały się puste butelki po piwie, dogasały grille. Większość gości dawno już odjechała albo została odtransportowana do domu, jedynie dzieci ciągle jeszcze tryskały energią, biegając z pokoju do pokoju.

Michael otulił ramiona Mary swoją niebieską, sportową marynarką. Owinęła się nią ciasno, chroniąc przed wieczornym chłodem. Pozbierali swoje rzeczy i szli w stronę Jeannie, która zegnała gości przy drzwiach wejściowych.

-Muszę jeszcze zabrać coś ze sklepu - powiedział Michael.

-O tej porze? - Mary marzyła tylko o tym, żeby znaleźć się w domu, w łóżku.

Zanim Michael zdążył odpowiedzieć, Jeannie nachyliła się i ucałowała ją w policzek.

- Dzięki, że przyszliście, kochani.

- Dziękujemy za zaproszenie.

Jeannie podała Mary dwie torby.

-To zostało, weź, proszę. Będziecie mieli co jeść co najmniej do czwartku, a mnie pomożecie zachować przez lato rozmiar szósty.

-Mike?! - Z jednego z pomieszczeń dobiegł bełkotliwy głos Buscha. Michael wszedł do kuchni, zostawiając kobiety przy drzwiach.

-Lunch we wtorek? - spytała Jeannie.

-Och, mam wizytę u lekarza - odpowiedziała Mary. - W środę?

-U Mulligana?

-O dwunastej - dodały jednocześnie.

Busch, mocno pijany, opadł na blat kuchenny i podsunął jakieś papiery.

-Potrzebny mi jest twój Johnson Hancockowitz.

-Dzięki za wszystko. To dla mnie bardzo wiele znaczy. - Michael wyciągnął pióro.

-Ty też byś to dla mnie robił. - Busch pociągnął łyk szkockiej.

-Dzieci nic nie wiedzą... no wiesz, o mnie? - Byłby chyba całkiem zdruzgotany, gdyby dzieci Buscha dowiedziały się prawdy.

- Absolutnie. I nigdy się nie dowiedzą.

Michael przerzucał kartki, które wyglądały na dokumenty prawne, i podpisywał je, całkowicie ignorując ich treść. Wiedział, o co chodzi. Kiedy doszedł do ostatniej, zebrał wszystkie razem, spiął równo spinaczem i popchnął w stronę Buscha.

-Mogę cię o coś zapytać?

-Możesz pytać o wszystko - odparł Busch, nalewając sobie kolejnego drinka.

Michael zastanawiał się przez moment.

-A ktokolwiek z tych, co byli tu dzisiaj?

-Człowieku, zaprosiłem cię, żeby cieszyć się twoją obecnością, a nie dlatego - wskazał na papiery. - Nasza przyjaźń to nie jakaś gierka. Zazwyczaj jest to pocałunek śmierci, ale... u licha, czym byłoby życie bez ryzyka. Przyjacielem Pata Garreta był Billy Kid. A poza tym, któż inny chciałby być twoim przyjacielem? - Wlał w gardło całą szklaneczkę whisky. - Tylko muszę ci coś całkiem szczerze wyznać. Jesteś słodki, ale Mary ma o wiele wspanialsze pośladki. - Busch uśmiechnął się szeroko i czknął. Wstając z krzesła, otoczył Michaela swoim potężnym ramieniem i wyprowadził go z kuchni.

Jutro, tak jak to robił już od dwudziestu czterech miesięcy, Busch wypełni formularze, które Michael podpisał: jeden do sądu, jeden dla swego oficera dowodzącego i jeden do archiwum. Były to dokumenty urzędowe, opatrzone godłem państwowym. Z nagłówkiem, wydrukowanym dużą, wytłuszczoną czcionką: KOMISJA DS. ZWOLNIENIŃ WARUNKOWYCH STANU NOWY JORK.

ROZDZIAŁ 2

Michael grzebał w biurku na zapleczu sklepu z częściami elektronicznymi do alarmów i zabezpieczeń. Sklep „Bezpiecznie i Solidnie” był starannie rozplanowany; drobne elementy wisiały na haczykach, monitory, przełączniki i tablice rozdzielcze wypełniały półki. Pod ścianą stało kilka pustych regałów, niczym wyraz oczekiwania na przyszły sukces, chociaż Michael w zasadzie zarabiał już na siebie. Od frontu znajdował się salon z najnowocześniejszymi gadżetami, zaspokajającymi najdziwniejsze potrzeby w zakresie bezpieczeństwa: miniaturowe aparaty fotograficzne, kamizelki kuloodporne, urządzenia podsłuchowe, specjalne zegarki, wykrywacze kłamstw, tajne sejfy. Większości z nich nigdy nie sprzedawał, w gruncie rzeczy to systemy alarmowe nakręcały interes; w nich przejawiał też prawdziwy talent. Michael dobrze się tu czuł. Niby nic wielkiego, ale zbudował ten sklep od podstaw i choć nadal utrzymywali się głównie z przynoszonej co tydzień przez Mary pensji, wierzył, że pewnego dnia dorobi się i jego żona będzie mogła rzucić pracę i poświęcić się rodzinie.

Niezauważony przez Michaela w drzwiach stanął mężczyzna. Dość przystojny, sześćdziesięcioparoletni. Miał długie, siwe włosy związane w ogon i ciemne brwi nad brązowymi oczami. Spod długiego płaszcza przeciwdeszczowego widać było elegancki, europejski garnitur. Robił wrażenie zamożnego.

Michael wyprostował się i w tej chwili dostrzegł gościa.

- Jezu Chryste! - krzyknął kompletnie zaskoczony.

Mężczyzna zaśmiał się cicho.

- Nie - odparł z lekko wyczuwalnym niemieckim akcentem. - Trudno byłoby mnie wziąć za Jezusa, ale dziękuję za porównanie. Nie miałem zamiaru pana przestraszyć. - Ciepły uśmiech nieznanego budził zaufanie i sympatię. Zdecydowanie miał charyzmę.

-Sklep jest zamknięty. Zapadła nieprzyjemna cisza.

-Ogromnie przepraszam, że zawracam panu głowę...

-Wybaczy pan, ale trochę się spieszę. - Michael szukał czegoś w górnej szufladzie, wreszcie wyciągnął plik projektów.

-Będę się streszczał. - Mężczyzna podał Michaelowi wizytówkę. - Myślę, że możemy sobie wzajemnie pomóc. - Przeszedł się po biurze, rozglądając się i oceniając. - Mógłbym pomóc panu rozwiązać pana problemy, a pan mógłby mi pomóc z moimi.

-Problemy? Przykro mi panie... - spojrzał na wizytówkę - Finster. - Wetknął

wizytówkę do kieszeni. Z szafki wyjął kopertę z nadrukiem „Oferta” i wrzucił ją razem z projektami do aktówki. Potem spojrzął na mężczyznę. - Nie mam żadnych problemów - powiedział krótko, idąc w stronę wyjścia.

Włączył alarm, opuścił kratę zabezpieczającą i starannie zamknął na klucz. Następnie ruszył w kierunku parkingu przy minicentrum sklepowym. Finster szedł obok niego.

Zrobili jakieś dziesięć kroków w milczeniu, po czym mężczyzna powiedział:

- Mógłbym to panu wynagrodzić...

Michael zatrzymał się.

- Hmm, rozumiem. Wiedział już, dokąd zmierza ich rozmowa. - Co, przeczytał pan o tym w gazecie? Jest pan kimś w rodzaju... sponsora? Przykro mi, już się tym nie zajmuję.

Czasami można zmienić zdanie - zasugerował Finster.

-Ja nie. - Michael postawił sprawę całkiem jasno, kończąc rozmowę.

-Gdyby jednak, to proszę zadzwonić. Tylko tyle. - Finster obserwował Michaela podchodzącego do samochodu. Na przednim siedzeniu zauważył Mary i uśmiechnął się do niej.

-Proszę nie zgubić tej wizytówki - zawołał radośnie.

-Niech pan nie czeka na mój telefon - odkrzyknął Michael, nie zadając sobie nawet trudu, żeby odwrócić głowę w jego stronę.

Mary popatrzyła na Michaela, a następnie, z zaciekawieniem, na Finstera. Odwzajemniła uśmiech i skinęła głową. Finster odpowiedział jej tym samym.

Drzwi otworzyły się, ukazując przyjemne, skromne mieszkanie. Żaden luksus, ale dzięki staraniom Mary było tu przytulnie i ciepło. Trzypokojowe mieszkanko na trzecim piętrze w apartamentowcu dla klasy średniej zupełnie im odpowiadało. Kiedy weszli do środka, do Mike'a podskoczył wielki, ośliniony owczarek berneński, opierając się na jego ramionach.

- Cześć Hawk! Dobrze pilnowałeś domu? - Michael opadł na podłogę, turlając się razem z psem, przy czym ani on, ani pies do końca tak naprawdę nie wiedzieli, który z nich tu rządzi. Tyle że dla żadnego nie miało to większego znaczenia.

-Muszę go wyprowadzić - powiedział Michael.

-Ale przyjdiesz zaraz spać? - spytała Mary z nadzieją w głosie.

-Niedługo. Muszę zrobić jeszcze parę rzeczy. - Michael nawet nie spojrzął na żonę, kiedy brał smycz ze stolika w przedpokoju.

- Nie siedź długo, dobrze? - Wiedziała, że i tak jej nie posłucha.

Michael wrócił po kwadransie; spacer zrobił im obu dobrze.

- Michael? - zawołała Mary z sypialni.

- Tak?

Nie odpowiedziała.

- Mary?

Wszedł do pokoju; było tak ciemno, że nie widział nawet własnych rąk. Próbował się rozejrzeć. Było za cicho.

- Mary? - Usiłował zapalić lampę, ale widocznie przepaliła się żarówka. - Daj spokój, Marę, przestań się chować.

Sprawił łazienkę. Pusta. Jeszcze raz spróbował zapalić lampę, znowu nic z tego.

- No dobra, to nie jest zabawne.

Drzwi od sypialni zatrzasnęły się.

Michael odruchowo przykucnął. Jeśli przedtem nie czuł się zaniepokojony, to teraz i owszem. Zwyciężył instynkt. Minęło pięć lat, ale jego mięśnie ciągle jeszcze pamiętały napięcie, jego zmysły nadal były wyostrzone. Zrobił krok do tyłu i w tym samym momencie ktoś na niego wskoczył. Serce mu załomotało i już miał uderzyć, ale instynktownie wstrzymał cios. Atakujący odwrócił go, popchnął na łóżko i sam upadł na niego, zrywając z niego koszulę bez rozpinania guzików.

Napięcie ustąpiło, kiedy usłyszał szept Mary:

- Zapomniałeś mnie pocałować.

Mary leżała w pomiętej pościeli wsparta na poduszkach i głaskała kotkę CJ, a Michael wciągał szorty. Był to moment tuż po, w ich oczach ciągle jeszcze widać było miłość, równie silną, jak sześć i pół roku temu, kiedy się poznali.

Miała wtedy dwadzieścia cztery lata, właśnie robiła magisterium na wydziale pedagogicznym. Zaproponowano jej stanowisko nauczycielki w renomowanej Wilby School w Greenwich, w stanie Connecticut, jednej z najlepszych szkół podstawowych w kraju. Choć Michael był od niej o osiem lat starszy, od pierwszej chwili zaiskrzyło.

Spotkali się najzupełniej przypadkowo. Mary, cofając auto, wjechała w samochód Michaela i wybuchła potworna awantura. Pełna emocji, ale z pewnością nie romantyczna. Przez dwadzieścia minut klócili się o to, czyja to była wina, wymieniając słowne ciosy i raniąc się wzajemnie, przy czym żadne z nich nie chciało ustąpić i przyznać się do porażki. Właściwie nie było poważniejszych szkód, ale też nie o to chodziło. Chodziło o zasadę. Zabawne - żadne z nich nie pamiętało, żeby od dwudziestu lat walczyło z kimś tak zajadle. Oboje uchodzili raczej za pacyfistów, negocjatorów w sporach innych. Ale nie tego dnia. Tego dnia wyruszyli na wojnę. Nawet policjant, który przejeżdżał obok i zatrzymał się, dał za

wygraną, postraszywszy ich przedtem aresztowaniem. Zrezygnował jednak, bo pierwszy chyba zrozumiał, o co chodzi. Po prostu byli stworzeni dla siebie. Ich walka trwała w najlepsze, kiedy Michael stwierdził nagle, że ustąpi, ale tylko pod jednym warunkiem. To oczywiście wywołało kolejną falę kłótni, ale po pięciu minutach Mary ustąpiła. Obiad. Michael w żaden rozsądny sposób nie potrafił uzasadnić, dlaczego jej to zaproponował - zrobił to instynktownie, bez zastanowienia. A Mary do dziś nie rozumiała, dlaczego się zgodziła. Nikomu jeszcze nie udało się tak łatwo rozbudzić jej irlandzkiej porywczosci, jak temu mężczyźnie.

Po dwóch miesiącach chodzenia uciekli na amerykańskie Wyspy Dziewicze, gdzie mając za plecami zachód słońca, boso, na piasku, przyrzekli sobie wierność małżeńską przed miejscowym księdzem. Nie były im potrzebne kwiaty, przyjaciele, marsz weselny. Jeśli chodzi o nich, była to wspaniała ceremonia, ponieważ każde z nich miało uczucie, że znalazło wreszcie swoją drugą połowę. Świadkami było osiemdziesięcioletnie małżeństwo, które poznali podczas lotu. Ani Mary, ani Michael nie mieli rodziny, którą chcieliby zaprosić na tę uroczystość, a jedyną osobą, która wyraziła swe oburzenie, była Jeannie Busch - ponieważ Mary nawet nie przedstawiła jej Michaela, dopóki nie wrócili z obrączkami na palcach. W pierwszej chwili Jeannie zwymyślała ją i wybiegła z domu, ale wkrótce wróciła z mnóstwem prezentów ślubnych i uśmiechem na ustach, uściskała Michaela i powitała go w ich świecie.

Zamieszkali w letnim domu Michaela w Bedford, który Mary bardzo szybko przemieniła w prawdziwy dom, nadając mu charakter i przydając ciepła. Przyzwyczajony do jedzenia poza domem, Michael początkowo czuł się dziwnie bez konieczności rezerwowania stolika, ale to bardzo szybko się zmieniło. Mary uwielbiała gotować i robiła to z prawdziwym talentem. Wkrótce jej zdolności kulinarne sprawiły, że musiał wydłużyć swoje codzienne biegi o kilometr, żeby spalać nadmiar kalorii. Z kolei Mary odkryła, że Michael ma duże zdolności manualne i wykorzystywała go do swoich nigdy niekończących się pomysłów wprowadzania zmian. Wszelkie problemy postrzegał fizycznie, mechanicznie, a nawet emocjonalnie i sprawiał, że po prostu znikwały. Oboje zresztą patrzyli na świat nieco odmiennie niż inni, a to pomagało im jeszcze bardziej doceniać się wzajemnie. Większość ludzi spędza lata narzeczeństwa na zakochiwaniu się, a następnie obserwowaniu, jak miłość stopniowo topnieje, za to Michael i Mary postawili ten porządek na głowie: codziennie odkrywali w sobie wzajemnie coś nowego i nie tylko coraz głębiej się kochali, ale też stawali się coraz bliższymi przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ 3

Cisza. Zatechłe powietrze. Nagle w suficie otwiera się krata, opada na dół i hušta na zawiasach. Postać w czerni spuszcza się z otworu i ląduje jak pantera na podłodze Muzeum Historii Świata. Rozległego, ciągnącego się kilometrami. Wszędzie w zasięgu wzroku wysokie sale, marmurowe podłogi i kolumny. Pomieszczenia wypełnione obrazami i rzeźbami. Prezentowane są tu dzieła sztuki z każdej epoki, od początków gatunku ludzkiego po współczesną twórczość komputerową; coś jakby historyczna kapsuła czasu. W świetle dnia byłby to wspaniały pomnik osiągnięć człowieka, ale słońce już dawno zaszło. Słaby blask przedostający się przez okna, stylizowane na średniowieczne, wywołuje efekt niemal surrealistyczny, okrywając wszystko cieniem.

Postać w czerni z kocim wdziękiem przemieszcza się z jednego korytarza na drugi. Kręci trzymanym w dłoni nożem; jest to raczej efekt napięcia i nadmiaru energii niż chęć zabijania. Nóż ma rękojeść z pokrytej skórą rzeźbionej kości słoniowej, na ostrzu odbijają się czasami smugi światła. Intruz trzyma nóż, jakby to był talizman odpędzający złe duchy czy przynajmniej ciekawskich, niedostrzeżonych strażników.

Człowiek przemyka przez wystawę zbroi, mijają mundury wojskowe żołnierzy różnych narodowości, różnych epok. Każdy eksponat prezentowany jest w pozycji do walki albo na koniu, jakby dusze ich właścicieli nigdy nie miały ich opuścić i nadal czekały na komendę. Obok ekspozycja Indian Anasazi, których kości wygrzebano z ich skalnych siedlisk, i małe tabliczki informujące o miejscu znalezienia starożytnych puszczeli czy zuchw. Pod ścianą rzędem stoją egipskie sarkofagi; w próżniowych, zapieczętowanych szklanych grobowcach, leżą, czekając na następne życie, które omijało je przez trzy tysiąclecia, mumie ze swoją złotą biżuterią - podarkami dla bogów, którzy nigdy ich nie otrzymali. Każdy eksponat - zbroja, ciało, kość, rzeczy należące do dawno już zmarłych - posiada aurę, która wydaje się przenikać sale i długie, zimne korytarze. Jest to celebrowanie zakłóconego życia, naruszonego wiecznego spoczynku. Przedmioty te miały spoczywać w spokoju, a jednak zostały złupione, wykradzione, wykopane dla pieniędzy, chwały lub z próżności. Trudno się nie zastanawiać, co zostało wykopane i przywiezione razem z nimi, choć bowiem w polu widzenia nie ma żywej duszy, wszędzie wyczuwalna jest czyjaś gniewna obecność.

Intruz nie zwraca uwagi na otaczające go bogactwa, pospiesznie wbiega po wspaniałych schodach, przebiega przez balkon, wreszcie wpada do okrągłej sali, na środku której stoi duża szklana gablota. Na jej zawartość pada pojedynczy promień światła.

Ostrożnie podchodzi do gabloty, okrąża ją jakby z szacunkiem. Kręci nożem w dłoni. Przesuwa rękami nad szklaną szybą, jakby delikatnie głaskał powietrze. Kiedy robi krok do tyłu, wreszcie widać, co kryje gablotę. Na granatowym aksamicie leżą brylanty. Stare, oszałamiające, bezcenne. Klejnoty, dla których zdobycia przysięgano miłość, toczono bitwy, rujnowano cesarstwa. Bez wątpienia bogactwo dawno nieistniejącego królestwa, ponieważ żadna osoba prywatna nie mogłaby posiadać tak ogromnych brylantów.

Ponownie zbliża się do gabloty, zasłaniając ją. Stoi bez ruchu, z opuszczonymi rękami, bezgłośnie oddychając. Czeką. Mijają sekundy, potem minuty. Człowiek się nie rusza. Martwe powietrze nawet nie drgnie. Korytarze wypełnia cisza. W końcu człowiek cofa się i... Gablotę jest pusta.

Człowiek w czerni bez wysiłku wspina się po nylonowej linie przez kratkę ku kanałowi wentylacyjnemu. Wewnątrz jest ciasno, kraty rzucają mdłe, upiorne światło. Sale muzealne wydają się nie mieć końca, ale kanały robią wręcz wrażenie prowadzących w nieskończoność. Pociesza go jednakże myśl, że najtrudniejsze ma za sobą, może nieco swobodniej oddychać, w worku na plecach niesie bowiem bezpiecznie ukrytą nagrodę.

Nagle gdzieś z tyłu dochodzi hałas, nasila się, rozlega się coraz bliżej. W kanale jest tak mało miejsca, że człowiek nie może się odwrócić, żeby zobaczyć, co to jest. Idzie więc dalej... nieco szybciej. To zapewne tylko trzaski cynkowej blachy, z której zrobiony jest kanał, widać stygnie teraz po ciężkiej pracy w ciągu dnia. Nie ma się czym martwić, uspokaja sam siebie, wkrótce będzie w domu.

Ponownie słyszy dźwięk. Tym razem głośniejszy, zdecydowanie bliżej i zdecydowanie nie są to trzaski blachy. Nie jest to żaden dźwięk, jakiego można się spodziewać w kanale wentylacyjnym, ani taki, jaki można usłyszeć w pustym muzeum. Staje się coraz wyraźniejszy. Nie, zdecydowanie nie jest to także dźwięk wydawany przez człowieka; raczej przez jakieś zwierzę - gardłowy, groźny. Uciekający czuje dudnienie w uszach, plecy oblewa mu zimny pot, przyspiesza. Dźwięk zbliża się, narasta jak nadchodząca burza. Człowiek podświadomie wyczuwa, że prześladowca jest potężny, bo blacha ugina się pod jego ciężarem.

Przygotował plany awaryjne na każdą ewentualność - strażnicy, alarmy, światła - na każdą dającą się przewidzieć sytuację nieprzewidzianą. Czas był dopracowany co do sekundy, nawet w przypadku jakichś drobnych usterek miała to być praca wręcz podręcznikowa, a on był autorem tego podręcznika.

Odgłosy warczenia zmieszanego z sapaniem stawały się coraz wyraźniejsze; prześladowca był już całkiem niedaleko. Poruszał się szybciej niż on, a blacha pod jego

ciężarem ugięła się i głucho dudniła.

Beznadziejny wyścig w kakofonii dźwięków, od których pękają w uszach bębni. Przechodząc przez kolejną kratkę, Michael w końcu dostrzegł światło. Patrzy w skupieniu, zdeterminowany, a po czole spływa mu pot. Pędzi kanałem wentylacyjnym niczym myszokoczek w kołowrotku. Dla postronnego widza byłby to pewnie komiczny widok, a przecież nie ma nic komicznego w nieuchronnie nadciągającej śmierci. I nie chodzi o klejnoty ani o najnowocześniejszy gadżet chroniący przed kradzieżą. Tego, co znajduje się razem z Michaeliem w kanale - cokolwiek by to było - nie powinno tu być; nie powinno być nigdzie.

Gdyby tylko mógł się wyprostować i biec normalnie; Michael jest coraz bardziej przerażony i sparaliżowany. Bola go wszystkie mięśnie, spocone dłonie ślizgają się na metalowej powierzchni o szerokości sześćdziesięciu centymetrów. Ból paraliżuje mu stawy, uszy rozsada podobny do dudnienia pociągu hałas zbliżającej się bestii. Czuje się jak uwięziony w bębnie, na którym perkusista nieustannie wybija rytm marsza śmierci.

I nagle wszystko ustaje. Zapada martwa cisza. Zatrzymuje się. Nasłuchuje. Nic. Myśli kłębią mu się w głowie. Czy bestia przyczaiła się, szykując do ataku, czy może na szczęście spadła przez którąś z kratek? Wysila słuch. Hałas był straszny, ale cisza jest dobijająca. Stawia pod znakiem zapytania kilka następnych chwil jego życia. Rodzi się uczucie klaustrofobii. Strach dosłownie sparaliżował jego ciało. Może bestia zgubiła trop i pobiegła w złym kierunku? Gdyby usłyszał choć jeden jej oddech, już coś by wiedział. Co to jest, gdzie to jest, jak mógłby się bronić przed tym w tej ciasnej klatce? Nieustannie przychodziły mu na myśl lekcje biologii z profesorem Buffingtonem: walcz lub uciekaj, przeżywają ci, którzy są najsprawniejsi.

Zerwał się do ucieczki. Nigdy nie przypuszczał, że potrafi poruszać się aż tak szybko. Zdesperowany, zmobilizował wszystkie siły, by uciec, przetrwać. Lepiej umrzeć na atak serca niż w szczękach nieznanego prześladowcy. Nieważny ból zakrwawionych rąk, podrapanych nóg, z radością zgodziłby się na rok takich cierpień, gdyby tylko udało mu się wydostać z tego kanału, z tego budynku.

I nagle z całą mocą hałas powraca. Dudni w szybie, warczy, pulsuje. Michael ma wrażenie, że dogania go powiew śmierci. A najgorsze jest to, że czuje teraz zapach bestii. Wstrętny, cuchnący jak odór gnijącego mięsa atakuje jego węch, wyciska łzy z oczu.

Wreszcie dostrzega ratunek, nad głową, w odległości pięćdziesięciu metrów. Nadzieja. Przysłowiowe światło w tunelu: wyjście z szybu. Mobilizując resztki sił, pospiesznie rzuca się w stronę światła. Dwadzieścia pięć metrów. Wkrótce ratunek będzie w zasięgu jego ręki, a bestia, jakby to czując, staje. Michael ma wrażenie, że nigdy jej nie było - hałas i smród

znikły bez śladu.

Dwadzieścia metrów od wolności Michael zatrzymuje się. Bestia znikła. Widać wróciła do swojego świata cieni, z dala od światła, to jedyne możliwe wytłumaczenie. Ale zanim zrodziło się uczucie ulgi, coś zasłoniło światło płynące z góry. Michaelowi zamarło serce; kiedy uświadomił sobie, że bestii jest więcej. Tuż przed nim błysnęła para oczu. Dzikich oczu czegoś, co jest uosobieniem zła. Oczy zwięzły się, jakby bestia szykowała się do ataku.

I wtedy znów usłyszał za sobą warczenie i ciężki oddech. Zmartwiały, niezdolny do ruchu, nie widząc nic ani przed sobą, ani za sobą. Znalazł się w pułapce. Chwila zdała się trwać nieskończoność, zamarło mu serce, umysł odrętwiał. Atakujący go czekają, niewidoczni, ale obecni. Sapią w oczekiwaniu. Ich smród jest tak przytłaczający, że ściska go w żołądku. Jest na granicy omdlenia, a może to, co czuje, jest już śmiercią, reakcją jego ciała na czekające go potępienie?

Sapanie ustaje. Czyżby bestie rozmyśliły się i odeszły? Ale nadal czuć zapach śmierci, wypełniający otaczającą go ciemność. Oczekiwanie jest torturą dla duszy.

Nagle to coś, co jest za nim, chwytą go za stopę i ciągnie do tyłu. Michael jest sparaliżowany ze strachu, głos uwiązł mu w gardle, z którego już nie wydostanie się krzyk. A potem bestia bezgłośnie ciągnie go do tyłu z przerażającą prędkością. Tym samym kanałem, z powrotem w ciemność.

Mary poderwała się z łóżka, spazmatycznie łapiąc powietrze. Poszukała wzrokiem Michaela. Nie było go. Nie wrócił do łóżka po tym, jak się kochali. Serce waliło jej w piersiach, miała wrażenie, że z ciemnych kątów wyzierają jej najgorsze strachy. CJ wygięła grzbiet w łuk, sycząc, jakby Mary była kimś obcym. Mary wyskoczyła z łóżka, nie myśląc nawet o założeniu koszuli, i wybiegła z sypialni do pokoju dziennego: pusty. Przebiegła przez kuchnię, gdzie zauważyła na blacie zjedzoną do połowy kanapkę, potem przez hol. Ani śladu Michaela. Drzwi do gabinetu były zamknięte, a spod nich wydostawała się smuga światła. Złapała za klamkę i modląc się w duchu, wtargnęła do środka.

Michael pracował przy biurku, a na podłodze, obok jego nóg, spał Hawk. Zaskoczony, obejrzał się. Przez chwilę Mary stała, błagając go wzrokiem, żeby zadał jej pytanie, a potem nagle znalazła się w jego ramionach. Z kołaczącym sercem, ale i uczuciem ulgi. Po twarzy pociekły jej łzy.

To był tylko sen.

-Kochanie...?

-Michael, obiecaj mi...

-Wszystko, co chcesz. - Michael tulił ją mocno.

-Ze już nigdy więcej tego nie zrobisz, że to już przeszłość...

Michael spojrzął jej w oczy, mówiąc wprost do jej serca:

- Obiecałem ci to dwa lata temu, kochanie, że już nigdy... Przysięgam ci, Marę. Już nigdy więcej.

ROZDZIAŁ 4

Gwar. Gwar i rwetes. A wszystko przetacza się przez główny posterunek komendy dzielnicowej policji w By - ram Hills. Gmach zbudowany w latach dwudziestych był świadkiem dwudziestokrotnego wzrostu miasta. Kiedyś pracowało tu pięciu policjantów, w ubiegłym roku ich liczba przekroczyła setkę. Niegdyś zatrzymywano przeważnie pijanych i zakłócających spokój, i to zawsze w dniu wypłaty, ale teraz zaczęło się nowe tysiąclecie i policjanci daliby sobie poobcinać lewe jaja, gdyby tylko mogli dzięki temu uniknąć kolejnego zabójstwa.

Tego ranka gliniarze kręcili się jak pszczoły w ulu, wchodząc i wychodząc, co pewien czas doprowadzali jakiegoś przestępcę do rejestracji, a potem sprowadzali do cel w piwnicy. Ubrani w niebieskie mundury młodzi posterunkowi stali na starych, marmurowych schodach, popijając kawę i skubiąc bajgle przed wyjściem na poranny patrol.

W pomieszczeniu dla detektywów na drugim piętrze było tylko trochę ciasniej, niż dawało się znieść: piętnaście biurk stłoczonych na powierzchni przeznaczonej dla pięciu. Busch, w pomiętej sportowej kurtce i dzinsach, odrabiał robotę papierkową. Tylko on mógł się zorientować w tych stertach poukładanych jedne na drugich akt. Między nimi stała do połowy wypita jego pierwsza tego dnia woda sodowa. Busch szczyił się tym, że nie był uzależniony od kawy i pączków, chociaż codzienne śniadanie - cola i batonik - nie czyniły z niego kandydata do nagrody Narodowego Instytutu Żywnienia. Od piętnastu lat pracował na tym posterunku, od pięciu jako detektyw. Kiedyś nienawidził tej pracy, ale teraz zdystansował się od niej psychicznie i odliczał czas do 18 marca za pięć lat, to kiedy przejdzie na emeryturę. Przyszedł tu, tak jak wszyscy - młody i napalony, gotowy oczyścić miasto z brudów, nieść sprawiedliwość mieszkańcom tego pięknego miejsca na ziemi. Ale przestępczość wyjaławia. Zęby nie wiadomo ile z siebie dać, zawsze znajdzie się kolejny śmierdziel, czekający za rogiem na kolejną ofiarę. Najbardziej jednak zniechęcała go niewielka liczba skazań. Jako młody idealista uważał, że areszt prowadzi do skazania, czyli uwolnienia świata od przestępcy, tymczasem połowa zatrzymanych była zwalniana i niemal natychmiast wracała do swojego procederu. Choć z czasem jego podejście zmieniło się, tak jak jego widzenie świata, nic nie mogło zmienić jego kodeksu etycznego. Zawsze myślał o sobie jako o nieugiętym strażniku prawa, narzędziu wymiaru sprawiedliwości. Jego zadaniem było zebranie dowodów i złapanie przestępcy, a to, co się działo dalej, było zadaniem innych. Nigdy nie szedł na kompromis, nie dało się go kupić, nie dało się go też odstraszyć.

Pewnego razu jego żona, Jeannie, jechała z ich synem do szpitala. Robbie złamał rękę, jeżdżąc na desce, i Jeannie mocno przyciskała pedał gazu. Funkcjonariusz, który ją zatrzymał, był aroganckim sukinsynem, który chciał wyrobić swoją miesięczną normę i nie popuścił, nawet widząc skurczone z bólu dziecko. Mandat za jazdę z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę w strefie, gdzie było ograniczenie do czterdziestu pięciu, należał do tych pięćsetdolarowych. Nie pomogły błagania, gliniarz nie zaproponował nawet, że pomoże im dotrzeć do szpitala. Jeannie sugerowała, potem prosiła, wreszcie zażądała, żeby Paul się tym zajął, żeby anulował mandat i w jakiś magiczny sposób wpłynął na swoją policyjną brać. Ale on nie chciał mieć z tym nic wspólnego, chociaż podwajało to ich składkę ubezpieczeniową. Po prostu odmówił. - Prawo to prawo - powtarzał. Jeannie nie wybaczyła mu tego przez dwa tygodnie, a przez miesiąc nie chciała się z nim kochać. - Ty masz swoje prawo - powiedziała - a ja mam swoje.

Na krześle stojącym obok biurka Buscha siedział Johnny Prefi. Z ust zwisał mu nie zapalony papieros marlboro. Jego czarne włosy stały w czub, ale nie od żelu, tylko dlatego, że od miesiąca nie widziały wody i szamponu. Na podkoszulce bez rękawów miał napis *Pieprz się. Nie gap się, bo cię zabiję. Miłego dnia.*

Łatwo było zrozumieć, dlaczego był w kajdankach.

- Johnny, jak jesteś podpalaczem na zwolnieniu warunkowym, wolno ci co najwyżej rozpalic grilla. Wszystko inne jest już naruszeniem warunków zwolnienia - powiedział Busch.

Johnny patrzył, jakby nie rozumiał, o czym tamten mówi.

-A podpalenie dla kogoś magazynu to nieco więcej niż grill na pikniku.

-Hej, ale nie było ofiar - odburknął Johnny.

-Hej, nie o to chodzi. Ogień...

-Boisz się ognia, co? - zadrwił Johnny, trafiając w czuły punkt.

-Gdybym lubił ogień - Busch był wyraźnie wkurzony - to bym został strażakiem.

I wrócił do wypełniania dokumentów. Johnny zamyślił się, usta wykrzywił mu złośliwy uśmiezek, przesunął wargami niezapalony papierosa.

- Masz ogień?

Busch spojrział na niego z niedowierzaniem. Zanim jednak zdążył wybuchnąć, podszedł kapitan Robert Delia, szef.

- Paulie, poznaj Dennisa Thala. Thal będzie z tobą w parze.

Busch podniósł się przywitać średnio przystojnego trzydziestolatka: jasnobrązowe włosy, które zaczęły się już nieco przerzedzać, porządny garnitur, zdecydowany uścisk dłoni. Język jego ciała sygnalizował arogancki entuzjazm - ramiona wyprostowane, lewa ręka w

kieszoni, głowa odrobinę przechylona na bok.

-Miło cię poznać.

-Miło móc tu być. - Głos Thala był ugrzeczniony, subtelny, przyciszony.

-Bez urazy - powiedział do Thala i zwrócił się w stronę Delii - ale nie mam czasu odgrywać niańki, kapitanie.

Delia może i był piętnaście centymetrów niższy od Buscha, ale w swoim przekonaniu mógł bez trudu rozdeptać tego faceta na miazgę i nie miał problemów z pokazaniem, kto tu rządzi.

- Posłuchaj, Paulie, detektyw Thal ma za sobą dziewięć lat służby i został nam wypożyczony przez państwo, żeby załatać braki kadrowe. Chcieli, żeby jeździł z naszymi najlepszymi, ale że są na urlopach, to go dałem do ciebie. Kapujesz?

Busch wiedział, kiedy walczyć, a kiedy odpuścić, kiwnął więc głową.

- Poza tym Paul prowadzi też u nas program zwolnień warunkowych w imieniu sądów - kontynuował kapitan.

Busch popatrzył na Thala, postanawiając dyskusję na temat opieki nad tym dzieciuchem odłożyć do następnego dnia, i przybrał poważną minę w stylu Waltera Cronkite'a.

- Jestem pewien, że kapitan powiedział ci o naszym cudownym środowisku pracy. Niektórzy nazywają je Krainą Oz, ja nazywam to Edenem, a wszyscy warunkowo zwolnieni, z którymi mamy do czynienia, są w stu procentach zresocjalizowani.

Delia chrząknął i zwrócił się do Thala.

-Pokażę ci twoje biurko, zanim zdąży cię zatruć swoimi poglądami na temat pracy stróżów prawa - stwierdził, prowadząc go w głąb pokoju.

-Do zobaczenia - zawołał Busch, nieszczerólnie pozytywnie nastawiony dziś do szefa.

-Z pewnością! - Thal obrócił się w jego stronę, dźgając powietrze palcem i puszczając do niego oko.

-Dupek - mruknął Busch.

Mary była nauczycielką, o jakiej można tylko marzyć. W niebieskiej czapce maszynisty prowadziła właśnie wokół klasy korowód pięciolatek, rapujących na całe gardło jak poborowi:

- Gdy nasz pociąg naprzód gna, jeden plus jeden to zawsze dwa. Kiedy mija drzew szpalery, dwa plus dwa to zawsze cztery. Równo stukają pociągu osie, cztery plus cztery to zawsze osiem.

Sala klasowa była wspaniale urządzona; były w niej kącki zabaw z mnóstwem

zabawek, a także miejsce do nauki. Odkąd zaczęła tu pracować dwa miesiące temu, zastępując nauczycielkę, która nie wróciła po urlopie macierzyńskim, zyskała nie tylko szacunek grona pedagogicznego, ale i miłość oraz podziw dzieci. Dosłownie uwielbiały ją.

Ku jej radości zaproponowano jej klasę przedszkolną. Umysły dzieci w tym wieku są jak nieuformowana bryła gliny, a serca ciągle jeszcze czyste. Greenwich Country Day płaciła nieco lepiej niż Wilby, ale na jej decyzji zaważyła pokusa pracy z pięciolatkami. W Greenwich uczyła piątoklasistów, czyli starszych uczniów. Kochała ich bardzo, ale czuła, że więcej by osiągnęła, gdyby miała szansę budować ich wiedzę od podstaw. Nie mogła też nie przyznać sama przed sobą, że niewinność lepiej pasowała do jej optymistycznego widzenia świata.

Do klasy weszła Liz Harvey, dyrektorka, uśmiechnęła się do rozkrzyczanych dzieci. W sali natychmiast zapadła cisza. Liz podała Mary kartkę papieru. Mary rzuciła na pismo okiem z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Wszystko dobrze?

- Wspaniale - odpowiedziała z uśmiechem Mary, nadal patrząc na wiadomość od swojego lekarza.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość. Ta klasa w dziwny sposób sprzyja płodności.

- Liz już zaczęła się zastanawiać, skąd wytrzaśnie kolejne zastępstwo. To będzie już piąta nauczycielka przedszkolna odchodząca na urlop macierzyński w ciągu trzech lat. I ona też zapewne uzna rozkosze macierzyństwa za zbyt pociągające, aby wrócić do pracy. - Jeśli mąż nie może z tobą pojechać, to chętnie cię podwiozę.

- Nie żartuj. Czy mogłabyś mnie zastąpić?

- Naturalnie.

Michael stał za ladą w „Bezpiecznie i Solidnie”, z uśmiechem patrząc na małą karteczkę, na której ręcznie napisano: „Cześć, seksowny”. Mary wsunęła ją do kieszeni niebieskiej, sportowej marynarki, którą wczoraj Michael ją okrył. Ciągłe się z nim w ten sposób bawiła, zostawiała karteczki i małe prezenciki w kieszeniach jego ubrań. Było to może dziecinne, ale Michael tym bardziej ją kochał.

- Słyszał pan, co powiedziałem? - Gburowaty, starszy mężczyzna o nazwisku Rosenfield łajał Michaela, podczas gdy młoda, piękna pani Rosenfield stała posłusznie kilka kroków za nim. - Chcę tylko, żeby mi pan to naprawił. - Kamera do systemu alarmowego leżała na ladzie po raz drugi w ciągu czternastu dni.

- Zreperuję.

Zza pleców Rosenfielda jego żona zerkała uwodzicielsko na Michaela, który bardzo

starał się nie zwracać na nią uwagi, ale niezupełnie mu się to udawało. Była zbyt piękna, a jej uśmiech zbyt promienny. Delikatnie podrapał się więc w nos palcem, na którym miał obrączkę, licząc, że kobieta zrozumie, ale pani Rosenfeld po prostu uśmiechnęła się i w odpowiedzi podniosła do góry palec, na którym miała pierścionek z dwukaratowym brylantem.

-Bezpieczeństwo mojego domu to sprawa podstawowa. Instalacje są zrobione dobrze, ale ten sprzęt... pański dobór dostawców zdecydowanie pozostawia wiele do życzenia.

- Nagle Rosenfeld zorientował się, kto przyciągał całą uwagę Michaela. - Pan wcale nie słucha tego, co mówię.

-Przepraszam, panie Rosenfeld. - Michael skoncentrował uwagę na kliencie. - Powiedziałem, że naprawię tę kamerę i zrobię to.

-Słowa to za mało. - Rosenfeld zawiesił głos, po czym złagodził ton. - Lubię pana, Michaelu. Ale być może powinien pan zmienić dziedzinę.

-Wątpię. Lubię to, co robię, i jestem w tym dobry. Rosenfeld wyraźnie nie podzielał jego opinii.

-Masz jakieś inne kwalifikacje?

-Żadnych legalnych - uśmiechnął się Michael.

- A to mi się podoba - śmiejąc się, Rosenfeld odwrócił się w stronę drzwi. - Chcę mieć tę kamerę przed weekendem. - Potem wziął żonę pod rękę i ruszył do wyjścia, powtarzając ze śmiechem: - Żadnych legalnych.

Jego piękna żona odwróciła głowę w stronę Michaela i posłała mu uśmiech, a Michael instynktownie odpowiedział jej uśmiechem, reagując na flirt jak każdy mężczyzna.

W tej samej chwili Mary, ciągle jeszcze w czapce maszynisty, wpadła do sklepu, przeciskając się obok wychodzących Rosenfeldów.

- Wierny klient? - zażartowała.

- Co? Nie. Niezadowolony, może nawet nieco napalony.

Mary otoczyła go ramionami.

-A gdybym to ja tak powiedziała, że jestem niezadowoloną, napaloną klientką?

-Musiałbym sprawdzić cały twój system. - Michael starannie dobierał słowa. - Rozebrać, zbadać wszystko, używając wyłącznie najlepszych narzędzi. A co najważniejsze, musiałbym zrobić wszystko, żebyś wyszła stąd w pełni zadowolona i została moją stałą klientką.

-Czy mogę zostać w czapce?

-Hmm... zobaczymy. - Michael pocałował żonę namiętnie. Zazdrość z pewnością nie

była elementem ich związku. Kiedy przestał ją całować, nagle uderzyła go pewna myśl. Spojrzał na zegarek.

-Czy nie powinnaś być teraz w szkole?

Michael pędził przez centrum miasta, zaciskając dłonie na kierownicy, a przez głowę z równie dużą prędkością przelatywały mu myśli. Mary siedziała obok niego, z rękami spokojnie opartymi na kolanach.

- Jak mogłaś to przede mną ukrywać?

-Niczego nie ukrywałam. Po prostu nie chciałam, żebyś się martwił na zapas.

-Co ci powiedzieli?

-Chcieli, żebym przyszła w związku z badaniem.

-I ty to nazywasz nic? Co to za badanie?

Mary wyglądała przez okno, ale zdawała sobie sprawę, że Michael jest przestraszony.

-Mary, co ci badano? Wciągnęła powietrze.

-Jajniki.

Michael jeszcze mocniej ścisnął kierownicę, usiłując złapać oddech. Bał się, że jeśli spojrzy teraz na Mary, koszmar w jakiś sposób stanie się rzeczywistością.

-Jestem pewna, że to nic poważnego. To nie jest tak, że umieram...

-Lekarz ci to powiedział? Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś te badania, a ja o niczym nie wiedziałem.

Mary zachowywała spokój. Jak zwykle optymistycznie zakładała, że wszystko będzie dobrze. Była tego pewna; powtarzała to jak mantrę.

- Hej, spójrz na mnie. - Delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Nigdzie się nie wybieram. Nasze życie dopiero zaczęło wracać na właściwe tory. Jeśli ja się nie martwię...

- Myślę, że to wyleczymy - powiedział doktor.

Michael głaskał plecy Mary, starając się w równym stopniu uspokoić ją, co i siebie. Doktor Rhineheart przybrał ojcowski ton.

- Będziemy to leczyć. Mamy bardzo wysoki wskaźnik wyleczalności, a pani choroba, jak mi się wydaje, nie rozprzestrzeniła się poza jajniki.

Siedzieli w typowym, sterylnym gabinecie lekarskim. Dębowe biurko, dwa krzesła dla gości, ramka na dwa zdjęcia, przedstawiające żonę doktora i dwójkę ich dzieci. Doktor Phillip Rhineheart, czterdziestopięciolatek, łysiejący, z siwiejącymi skroniami, stał przed nimi oparty o biurko. Zawsze wydawało mu się, że byłoby zbyt urzędowe, gdyby siedział za biurkiem i dyskutował o ludzkim życiu tak, jakby to było spotkanie biznesowe. Michael i Mary

próbowali przekonywać siebie wzajemnie, że zachowują stoicki spokój, ale Rhineheart bez trudu rozszyfrował ich grę. Zbyt często to widywał: koszmarna choroba, która zjada nie tylko ciało człowieka, ale i jego duszę, siejąc spustoszenie swoją potencjalną śmiertelnością, zarażając wszystkich bliskich strachem.

- Wiem, jak jest państwu trudno...

- A co z dziećmi? - Głos Mary pozbawiony był emocji.

Rhineheart pokręcił przecząco głową.

- Oba jajniki są zaatakowane. - Wziął głęboki wdech. - Będziemy musieli je wyciąć. - Takie właśnie chwile były najgorsze w jego pracy i zawsze kosztowały go wiele bezsennych nocy. - Przykro mi.

Mary położyła rękę na dłoni Michaela, który przez cały czas głaskał uspokajająco jej ramię. Robili wszystko, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego, wiedząc, że cienka powłoczka pozornego spokoju nie wytrzymałaby tego.

-To leczenie... ile... jak dużo... - Michael nie był w stanie dokończyć pytania.

-Tym się proszę nie martwić. Wszystko pokrywa ubezpieczenie.

-Ile? - naciskał Michael, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Rak jest zaawansowany. Koszty mogą przekroczyć dwieście pięćdziesiąt tysięcy, zależnie od leczenia, jakie zaordynujemy. Ale proszę się nie martwić. Żadnych eksperymentów. No i ubezpieczenie pokrywa wszystkie fazy terapii. - Rhineheart zrobił pauzę dla podkreślenia, że jest absolutnie pewny swojej racji. - I zapewniam pana, że nasza onkologia jest najlepsza.

Michael miał wrażenie, że ściany gabinetu wałą mu się na głowę. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny, tak nic niewart jak w tym momencie. Jak kat, zmuszany do przyciśnięcia guzika, pozbawiony możliwości uratowania życia, które kazano mu zgasić.

- Nie mamy ubezpieczenia. - Zabrzmiało to, jakby wydawał wyrok śmierci.

To się zdarza zbyt często - ludzie żyjący w nieświadomości, nieprzygotowani. Rhineheart był jednym z nielicznych lekarzy, którzy walczyli o świadczone przez rząd, obowiązkowe ubezpieczenie wszystkich obywateli USA, ale to było tylko marzenie. Zwrócił się do Mary.

-A pani szkoła? Powinna panią ubezpieczyć.

-Pracuję dopiero od dwóch miesięcy. Trzeba dziewięćdziesięciu dni, żeby się zakwalifikować. - W oczach Mary zgasła nadzieja.

- Rozumiem. - Rhineheart powoli wydychał powietrze. Może nie brać pieniędzy za swoje konsultacje, ale koszty operacji, hospitalizacja, naświetlania i chemoterapia są bardzo

drogie. Szpital to nie organizacja charytatywna. Lecznictwo jest działalnością nastawioną na zysk - z określonym budżetem, którego muszą przestrzegać, z udziałowcami, których muszą zadowolić. W lecznictwie nie chodzi już o pacjenta - celem opieki zdrowotnej stała się stopa zwrotu. Nagle znienawidził swoją pracę.

Podniósł się.

- No cóż, musimy zająć się badaniem pani krwi, żeby opracować odpowiedni program leczenia - oświadczył pewnym siebie tonem. - A pan, Michaelu, powinien porozmawiać w swoim banku. Chętnie pomogę panu przy wypełnianiu wniosku i jestem pewien, że coś pan od nich wydębi.

Michael siedział oszołomiony.

ROZDZIAŁ 5

Przez mosiężne obrotowe drzwi Michael wszedł do ogromnej rotundy First Bank of Byram Hills. Stojąc pod marmurowymi kolumnami, w przytłaczającej, ogromnej przestrzeni, w jednej chwili poczuł, jak karleje. Stał tak w tym jedynym garniturze, czując się zupełnie nie na miejscu, a ludzie biznesu pospiesznie omijali go ze wszystkich stron. Przyszedł na wyznaczone spotkanie pięć minut za późno, ale i tak musiał jeszcze czekać dwa razy tyle, zanim urzędnik bankowy ponurym gestem wskazał mu krzesło.

Kerry Seitz, małomówny wiceprezes banku, w nieskazitelnym, trzyczęściowym garniturze, uważnie studiował akta Michaela. Jego twarz miała nieodgadniony wyraz. Przez dobre piętnaście minut, przez które poznawał życie Michaela na podstawie dokumentów z agencji kredytowych, wydziału komunikacyjnego, stanowego i federalnego systemu sądownictwa, z jego ust nie padło ani słowo. Michael czuł się jak dziecko siedzące na za dużym krześle; starał się jakoś dopasować i nie wyglądać na zrozpaczonego.

W końcu Seitz podniósł głowę, przecesał palcami starannie obcięte włosy i najbardziej lodowatym tonem, jaki Michael kiedykolwiek słyszał, oświadczył:

-Przykro mi, ale nic z tego.

-Słucham?

-Nie możemy panu pomóc. - Seitz wyrzucił jego podanie do kosza na śmieci.

-Nawet mnie pan o nic nie zapytał.

-Przeczytałem pana podanie. Ten kredyt musiałby mieć zabezpieczenie majątkowe. - Seitz odłożył już na bok teczkę Michaela i zabierał się za następne dokumenty.

-Moim majątkiem jest moja firma - zaprotestował Michael; usiłował odwołać się do budzącej przerażenie, karmiącej się stereotypami duszy pracownika banku.

-Pańska historia - Seitz mówił lodowato - nazwijmy to tak, żeby nie sięgać do bardziej adekwatnych określeń, sprawia, że trudno byłoby podjąć pozytywną decyzję.

-Wiem, że popełniłem kilka błędów.

-Owszem.

-Ale nie przeszkadzało wam to, kiedy otwierałem tu mój rachunek firmowy.

-Trzymać pańskie pieniądze, a dawać panu kredyt, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Michael zerwał się z krzesła, z trudem opanowując chęć rzucenia się urzędnikowi do gardła.

-Pójdę do innego banku.

-Oszczędzę panu czasu - odparł Seitz, wstając. Zwrócił tym uwagę ochrony banku i strażnicy zaczęli się zbliżać. - Nikt panu nie pożyczy złamanego grosza. Jest pan przestępcą z wyrokiem, z bezwartościową firmą i bez żadnej historii spłaty jakiegokolwiek kredytu. Stanowi pan zbyt duże ryzyko, żeby ktokolwiek chciał je podjąć.

-Ty sukinsynu! Moja żona umiera!

- Przykro mi, ale to pańskie zmartwienie. Żegnam.

Strażnicy stanęli po obu stronach Michaela, który bez słowa odwrócił się i pospiesznie wyszedł z banku.

Obrzydliwie biały pokój. Dziwne, choć tyle mówi się o odpowiednim traktowaniu chorego, w szpitalach nadal obowiązuje antyseptyczna, ostra biel. Żadne badania dowodzące, że odcienie niebieskiego i żółtego działają relaksująco, nie znalazły uznania w świecie medycyny. Słowem, które chyba tu obowiązywało, było „bezosobowo” - najlepiej oddawało zimne podejście do leczenia, postawę personelu i projekty architektoniczne. Mary i Michael jedli jeden ze szpitalnych posiłków: pieczeń w wodnistym, brązowym sosie, wodnista fasolka szparagowa rzucona na ubite ziemniaki, bardziej kleiste niż zaprawa murarska. Do tego pół gruszki bliżej nieokreślonego koloru. I to wyjaśniło, dlaczego na łóżku leżały różne chipsy i ciasteczka. Mary siedziała oparta na poduszkach, z rurkami wchodzącymi i wychodzącymi z jej ciała w najbardziej niewygodnych miejscach.

-Chcesz, żeby ci coś przynieść?

-Nie, dziękuję. Jak było w pracy?

-Doskonale. - Nie był w sklepie od trzech dni. Sięgnął do talerza, nabrał trochę ziemniaków i powąchał.

-Dzisiaj nie są takie złe.

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Michael spojrzał na Mary w kusej, białej, szpitalnej koszuli, z krępującym rozcięciem na plecach. Zaprzedałby diabłu duszę, byle móc się z nią zamienić miejscami.

- Przepraszam - wyszeptała Mary.

-Nie bądź niemądra. Nie masz za co przepraszać. To nie twoja wina. - Michael nie mógł pozbyć się myśli, że te okropne przejścia są karą za jego przeszłość.

-Skąd weźmiemy na to pieniądze? - zapytała cicho, doskonale wiedząc, jak ogromną presję wywiera samym tylko zadaniem pytania.

-Nie martw się o to.

-Z naszych oszczędności właściwie nic nie zostało. - Mary starała się nie okazywać

zdenerwowania, niespokojnie jednak obracała w dłoni złoty krzyżyk wiszący na szyi. Był to nawyk jeszcze z dzieciństwa - zawsze, kiedy odczuwała narastający stres, jej palce biegły ku krzyżkowi, szukając ukojenia i ochrony, jakby to był jakiś obdarzony dużą mocą amulet. Z upływem lat robiła to już bezwiednie i Michael był pewien, że nawet w tej chwili nie zdawała sobie z tego sprawy. Krzyżyk dostała w prezencie na Pierwszą Komunię od ukochanego wujka i rzadko go zdejmowała. Kiedy kochali się, a ona była na górze, w świetle księżyca krzyżyk, dyndający na jej szyi błyskał; Michael czuł się wtedy skrępowany. Miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje w tych intymnych chwilach. Choć Mary mówiła, że krzyżyk chroni ją przed złem, Michael wątpił w to, a choroba tylko potwierdziła jego wątpliwości.

- Skoncentruj się na tym, żebyś wyzdrowiała. A ja to sfinansuję, nie ma sprawy. - Żołądek Michaela ścisnął się przy tych słowach. Przez wszystkie lata, odkąd byli razem, tłuście i chude, a zwłaszcza wtedy, kiedy go aresztowano i siedział w więzieniu, nigdy jej nie okłamał. Może zdarzały się drobne kłamstewka typu: *masz piękną fryzurę; ależ naturalnie, że chcę obejrzeć ten film; przecież ona wcale nie jest ładniejsza od ciebie*, ale nie takie kłamstwa prosto w oczy. A teraz, w ciągu zaledwie dwóch minut, trzykrotnie ją okłamał.

- Michael? - Mary udało się przywołać na usta taki uśmiech, który zawsze dodawał mu otuchy.

-Hmmm?

-Wszystko będzie dobrze. - Ale choć mówiła to ze szczerym przekonaniem, Michael nie mógł pozbyć się obawy, że najgorsze jest jeszcze przed nimi.

Michael starał się znaleźć jakąś wygodną pozycję na najniewygodniejszym krześle, na jakim kiedykolwiek siedział. Mary, spowita płataniną rurek i przewodów popodłączanych do jej ciała od głowy po czubki palców, spała niespokojnie. Varrisa Schrier, dyżurna pielęgniarka i jednocześnie siostra oddziałowa kierowała pracą podległego jej personelu w typowo niemieckim stylu. Określenie jej jako grubościstej byłoby zbyt uprzejme, jej ciało sprawiało bowiem wrażenie rozsadzającego białego mundurek. A twarz... Cóż, jej rysy były niemal tak szorstkie, jak jej duże dłonie. Ale charakter miała zupełnie odmienny; zawsze pełna była współczucia i zawsze przydzielano ją do najcięższych przypadków.

-Panie St. Pierre? - Michael usłyszał zaniepokojenie w jej głosie. - Niech pan pójdzie do domu i trochę się prześpi. Panu jest tak samo potrzebny wypoczynek jak pańskiej żonie.

-Nie sądzę, żeby udało mi się zasnąć.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem. Po cichu zaczęła układać czasopisma i gazety,

wyrzucać puste opakowania po żywności, czyli po prostu przywracać porządek i normalność. Michael spojrzał na Mary; szkoda, że pielęgniarka nie może z równą łatwością przywrócić jej zdrowia.

-Popatrzmy, co się dzieje. - Varrisa położyła swoją wielką, niemal męską dłoń na jego ramieniu. - Nie będzie miała z pana pożytku, jeśli nie będzie pan w stu procentach sprawny.

-Taa... cóż, nie sądzę, żeby kiedykolwiek miała sto procent pożytku ze mnie.

-Więc może nadszedł właściwy moment, żeby tak się stało - stwierdziła rzeczowym tonem. Wyciągnęła kartę Mary i zaczęła coś notować. - Nie może pan obwiniać się o jej chorobę. Zbyt często widuję ludzi, którzy szukają powodu tragedii, a kiedy nie mogą znaleźć żadnego logicznego wytłumaczenia, uciekają od logiki i zaczynają obwiniać siebie.

Pielęgniarka doskonale wiedziała, że najbliższa rodzina chorego równie mocno jak on potrzebuje wsparcia. Długo rozmawiała z Mary na temat Michaela i obie dręczył ten sam niepokój: Michael potrzebował przyjaciela, powiernika, kogoś, z kim mógłby dzielić swoje myśli i, co ważniejsze, swoją rozpacz. Dlatego, za zgodą Mary, pani Schrier godzinę temu wykonała pewien telefon.

Nagle drzwi otworzyły się cicho i stanął w nich Busch.

Busch grał samotnie w bilard na swoim ulubionym stole, którego zielone sukno śmierdziało whisky i było tak zużyte, że praktycznie całą wierzchnią warstwę miało startą. Wbijał niemal wszystkie bile, których dotknął.

Byli z Michaeliem w jednym z najbardziej ponurych pubów Ameryki Północnej. Old Stand powstał jeszcze w latach pięćdziesiątych, wtedy to ojciec Buscha grywał przy tym samym stole. O dwudziestej trzeciej trzydziści w środę było gwarno; kilku stałych bywalców, robotników, spierało się na temat związków zawodowych i tego, jaki miały wpływ na ich życie, a grupka gości w marynarkach i pod krawatami lustrowała drzwi w nadziei, że pojawi się w nich dziewczyna z ich marzeń.

- Masz ochotę na jeszcze jednego? - spytał Busch.

Michael nie odpowiedział, nonszalancko celując w tarczę rzutkami. W ogóle rzadko dzisiaj odpowiadał na zadane mu pytania. Busch machnął ręką na barmana, zamawiając kolejną rundkę. Przez całą drogę i przez ostatnie pół godziny, które spędzili tutaj, robił, co mógł, żeby przebić się przez skorupę, w jakiej tkwił Michael, i skłonić go do mówienia. Niejeden raz widział, co stres wyczynia z gliniarzami, kryminalistami, z ludźmi w ogóle. Albo wybuchali, raniąc innych, albo zamykali się w sobie, zabijając siebie. Ale Busch

wiedział też, że niewiele można zrobić, dopóki ten ktoś nie będzie chciał przyjąć pomocy.

- Życie czasami jest jak głośnie beknięcie - w końcu odezwał się Michael.

Busch złożył się i wbił dwie bile, oczyszczając stół.

- Wyjdzie z tego, jest twarda. - Przeszedł przez salę, po typowej dla baru lepkiej podłodze, kojarzącej mu się z rozgrzaną smołą w lecie, złapał trójkąt i ponownie ustawił bile.

Michael energicznie posłał rzutkę.

- Dwieście pięćdziesiąt tysiąków to więcej, niż kiedykolwiek miałem. Cholera, nigdy nawet nie udało mi się tyle ukraść.

Busch zignorował tę uwagę.

- Jak wyście mogli nie mieć ubezpieczenia?

- Myśleliśmy, że to tylko trzy miesiące. Kiedy Mary odeszła z poprzedniej pracy, straciła ciągłość ubezpieczenia i musieliśmy poczekać dziewięćdziesiąt dni, aż obejmie ją program w nowej szkole. Władze stanu zmusiły jej byłego pracodawcę do zaoferowania jej ubezpieczenia tymczasowego, ale musielibyśmy za to płacić. I uznaliśmy, że jest za drogie. Nie pomyśleliśmy...

Busch to rozumiał, jasność widzenia zawsze pojawia się dopiero po fakcie.

- To miały być tylko trzy miesiące - powtórzył Michael.

Barmanka postawiła colę dla Buscha oraz szklaneczkę whisky Jack Daniels dla Michaela i odeszła.

- Mam jakieś trzydzieści pięć tysięcy dolarów - zaoferował Busch.

- Dzięki, ale nie mógłbym wziąć twoich pieniędzy.

- To nie dla ciebie, tylko dla Mary i właśnie, że weźmiesz. - Busch przerwał grę i oparł się o stół. - Ale to i tak cholernie mało w stosunku do potrzeb. Powinni ci dać jakąś pożyczkę pod twoją firmę.

Michael pokręcił przecząco głową.

- W banku jakoś nie chcieli mi pomóc.

- A rodzina? Przecież musicie kogoś mieć.

- Matka Mary była splukana, kiedy umarła, a moi starzy nie zostawili mi ani grosza.

- Myślałeś kiedykolwiek o tym, żeby odnaleźć twoich prawdziwych rodziców?

Michael miał wprawdzie francuskie nazwisko, ale nie urodził się jako St. Pierre. O swoich prawdziwych rodzicach wiedział tylko tyle, że byli w trzech czwartych Irlandczykami i że z jakiegoś nieznanego powodu podzucili go do sierocińca, kiedy miał zaledwie miesiąc. Nigdy nie przeszedł fazy uzalania się nad sobą i szukania swoich naturalnych rodziców. Uważał się za szczęściarza, ponieważ St. Pierre'owie postanowili adoptować właśnie jego, a

nie jakieś inne dziecko.

- Trochę na to za późno - odparł. - Nie wiedziałbym nawet, gdzie zacząć.

Kilku graczy, którzy wpadli po rozegranym meczu softbolu, żeby hałaśliwie uczcić zwycięstwo, zaczęło przekrzykiwać leżącego rock - and - rolla. Busch wbijał kule z lewej i prawej, cały czas zostawiając na swoim miejscu białą bilę. Potem ustawił w linii siedem bil do strzału w narożnik, cofnął kij i gwałtownie odwrócił się do Michaela, jakby ogłuszony tym, co przyszło mu nagle do głowy:

-Kurde! Powiedz, że nie myślisz o tym, o czym ja myślę, że myślisz?

-Dałem Mary słowo. - Przeszło mu wprawdzie przez myśl, że mógłby wrócić do starego fachu, ale to by oznaczało złamanie słowa danego żonie. - Jeśli nie zdobędę tych pieniędzy... - Oczy Michaela patrzyły ponuro.

-Nie gadaj bzdur. Zawsze znajdzie się jakiś sposób.

-To niesprawiedliwe - powiedział Michael.

-Nic nie jest sprawiedliwe. Bóg nie stworzył tego świata po to, żeby był sprawiedliwy.

-Nie mam w tej chwili ochoty na gadki o Bogu.

-Dobrze, że Mary tego nie słyszy.

-No dobra, mam na sumieniu co nieco, zapłaciłem za to i nigdy się nie skarżyłem. Ale Mary? Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Jest uosobieniem dobra. Po tym wszystkim, co przeze mnie przeszła... Wiesz, że nigdy nie opuściła mszy w niedzielę? I zobacz, co się dzieje. Nie mogę uwierzyć, że mógłby istnieć Bóg, który by pozwolił, żeby jej się coś takiego przydarzyło.

Busch nie zwracał uwagi na to, że Michael za każdym razem trafiał rzutką w sam środek tarczy.

- Szukasz winnego. - Busch zastanawiał się przez moment. - I wiesz, pewnie robiłbym to samo, gdybym był na twoim miejscu.

-Mówię poważnie, Paulie. Nie widzę dowodów na to, że Bóg istnieje. Wyjaśnij mi chorobę Mary. Tylko nie wciskaj mi żadnego kitu z próbą wiary. Moją wiarę poddawano testom wielokrotnie i wynik zawsze był zerowy. Mary jest przepelniona wiarą i zobacz, co się z nią dzieje.

-Każdy potrzebuje czegoś, w co może wierzyć. - Busch usiadł na stole. - Nieważne, czy będzie to Bóg, Budda... Elvisy. Potrzebujemy wiary. To ona daje nam nadzieję, że gdzieś tam jest coś lepszego, do czego warto dążyć. Nadzieja jest tym, co nas napędza. Nakłania do wstania z łóżka z myślą, że uda nam się duża transakcja w pracy, że wieczorem pokochamy się z żoną.

-Nie da się żyć wyłącznie nadzieją. Ona ci nie zapłaci rachunków ani nie uratuje życia.

- Michael wrócił do rzucania lotkami.

-Potrzebne są nadzieja i prosty kodeks. Credo, które cię prowadzi, zmusza, żeby iść przed siebie. Moim credo jest prawo, pilnowanie jego przestrzegania. - Busch dopił resztkę coli.

Michael uśmiechnął się, spojrział na niego i uniósł szklanę z whisky.

-Za prawdę, sprawiedliwość i amerykański styl życia. Do dna, Supermanie.

-Dzięki. - Busch uśmiechnął się z przymusem. Nie udawało mu się przebić przez skorupę Michaela. - A ty? Co jest twoim motorem w życiu?

-Mary - odparł po chwili Michael.

*

Przed świtem Byram Hills Memoriał Hospital wyglądał zupełnie inaczej niż zazwyczaj - żadnych obcych, którymi trzeba by się zająć, żadnych sztucznych uśmiechów czy współczucia, które mają pomóc zagubionym i zrozpaczonym. Odwiedziny zaczynały się dopiero o dziewiątej. Tymczasem machina składająca się z pielęgniarek i lekarzy przygotowywała się do codziennej pracy, kręcili się po oddziałach, wypełniali formularze, szykowali do zabiegów.

Michael przemknął korytarzem. Był w tym samym ubraniu, w jakim stąd wyszedł pięć godzin temu. Wiedział, że nie powinno go tu teraz być, ale przebywanie z dala od Mary było dla niego zbyt trudne. A poza tym, takie zakradanie się sprawiało, że krew zaczynała mu szybciej krążyć w żyłach. Ściskając pod pachą tekturową teczkę, a w ręce dużą torbę z zakupami, skradał się, dając nura za najbliższe drzwi, kiedy tylko zbliżała się jakaś pielęgniarka.

Mary miała przejść tego ranka kolejną serię badań i Michael chciał się z nią wcześniej zobaczyć. Rachunki za same tylko badania pochłonęły już całe ich niewielkie oszczędności. Jeśli wkrótce nie zdobędzie pieniędzy na operację i leczenie, szpital wypisze Mary, przyjmą kogoś innego na jej miejsce, a ona straci tę niewielką szansę na wyzdrowienie.

Uważając, żeby nie narobić hałasu, Michael cicho wślizgnął się do pokoju. Siedząca przy małym stoliku koło łóżka Mary wyglądała na bardzo zmęczoną. Zawsze wstawała jeszcze przed wschodem słońca, kiedy świat był świeży i rześki. Jej kasztanowe włosy były w idealnym porządku, jakby wybierali się na królewski bal, ale też zawsze tak wyglądały, niezależnie od pory dnia. Mary dbała o siebie; robiła to nie z próżności, ale dla męża. Czy to chodziło o utrzymanie figury, o fryzurę czy o pokonanie pokusy ubrania się w powyciągany dres, zawsze wychodziła z założenia, że mąż powinien móc patrzeć na nią z przyjemnością.

-Dzień dobry. - Michael delikatnie pocałował ją w policzek.

-Cześć - odpowiedziała ciepło, odwzajemniając całusa.

-Jak tam śniadanie?

- Myślę, że dali nam gofra z odgrzewanej pieczeni rzymskiej.

Michael nie mógł powstrzymać uśmiechu.

-Dobrze spałeś?

-Łóżko jest za duże bez ciebie. - Michael wypakował torbę: kosmetyki, świeże ubrania, ręczniki kąpielowe - miękkie, a nie jak te szpitalne, przypominające biały papier ścierny. Wyciągnął też jej ulubioną książkę.

-Jesteś dla mnie taki dobry. - Otworzyła książkę na pierwszej stronie. - Czytałam to moim uczniom, zanim odeszłam.

-Wiem. - Michael wyciągnął magnetofon i postawił na stole. - Chcieliby, żebyś dokończyła czytanie. Nagraj im, jak będziesz miała wolną chwilę. Liz powiedziała, że wpadnie później po taśmę i puści w klasie.

-To był twój pomysł, prawda? - zapytała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Michael uśmiechnął się, dalej opróżniając torbę. W końcu wyciągnął herbatniki, wodę sodową i nadziewane ciastka czekoladowe.

-Chcesz mnie utuczyć? Na pewno nie będę jadła tego paskudztwa.

-Tak właściwie, to przyniosłem to dla siebie. - Michael rzucił jej filuterne spojrzenie. Następnie wyciągnął teczkę z napisem „Prace szkolne” i podał ją Mary.

Popatrzyła, czując żal, że nie może być teraz w klasie, ze swoimi dziećmi. Potem zaczęła oglądać obrazki przysłane jej przez uczniów. Na myśl o tym, że być może już nigdy nie zobaczy swoich maluchów, poczuła chłód na plecach.

-Przyszło mi do głowy... ale proszę cię, nie martw się, to tak na wszelki wypadek... - zrobiła pauzę. - Ze może powinnam uporządkować swoje sprawy.

-Co? - Jej słowa całkowicie zaskoczyły Michaela.

-Przepraszam, to tylko...

-Nie! Nie chcę tego słuchać. Poradzimy sobie. - Im więcej Michael myślał na ten temat, tym bardziej czuł się przygnębiony.

-Tak, naturalnie. - Mary wzięła go za rękę. - Przepraszam. Tylko, że... to tak drogo kosztuje.

-Nigdy więcej tak nie mów. St. Pierre'owie się nie poddają. - Michael starał się ze wszystkich sił nie stracić panowania nad sobą. - Nigdy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał ojciec Patrick.

- Cześć Mike, cześć Mary, przyszedłem nie w porę?

Michael spojrział na księdza. Nie mógł wybrać bardziej niewłaściwego momentu na odwiedzin.

-Czy mógłby ksiądz przyjść za jakieś pół godziny? - spytała Mary.

-Jasne, jasne. - Ksiądz kiwał potakująco głową, wycofując się za drzwi.

-Dlaczego on tu przyszedł? - Michael nie potrafił ukryć wściekłości.

-Myślałam... - Ale nie dał jej szansy dokończyć zdania. Zerwał się na nogi.

-Nic nie myślałaś. Nawet mi nie mów, że zamierzałaś przyjąć ostatnie namaszczenie.

-Wyciągasz pochopne wnioski. Poprosiłam, żeby przyszedł, bo chciałam z nim porozmawiać i pomodlić się. - Mary była teraz równie rozzłoszczona, ale w przeciwieństwie do Michaela opanowała gniew.

Michael bez celu krążył po pokoju.

- Pomodlić? Do kogo? Czy naprawdę uważasz, że gdyby On był miłosierny, to pozwoliłby, żeby cię to spotkało?

Mary milczała. Nigdy nie przypuszczała, że będzie musiała się bronić, a zwłaszcza swojej wiary przed osobą, którą kochała ponad życie. Nagle opuścił ją gniew, a na twarzy pojawił się wyraz całkowitego spokoju.

- Michael, musisz coś zrozumieć - powiedziała cicho. - Są dwie rzeczy, na które zawsze liczyłam, wiedziałam, że pomogą mi przetrwać trudne chwile. Ty i moja wiara w Boga. I właśnie teraz, kochanie, potrzebuję ich obu.

Kiedy Michael wyszedł z pokoju Mary, szpital tętnił już życiem. Wśród kilku starszych kobiet ściśniętych na ławeczce siedział ojciec Patrick. Mówił o przebaczeniu, bezwiednie przesuwając palcami po różańcu, którego koraliki były już niemal do cna wytarte. Michael zignorował go i szedł dalej korytarzem.

-Michael? - zawołał za nim ksiądz. Zatrzymał się, odwrócił i spojrział bez słowa.

-Jak się masz?

-Moja żona umiera.

-Powinieneś mieć więcej wiary, to jeszcze wcale nie jest przesądzone. Chodź ze mną, porozmawiamy. Pomodlisz się z nami. - Ksiądz gestem ręki wskazał drzwi do pokoju Mary, jakby wskazując drogę do zbawienia.

-Ty chyba rzniesz głupa - wybuchnął Michael, wprawiając Patricka w osłupienie. - Jako dziecko modliłem się i ani jedna z moich modlitw nie została wysłuchana. Spędziłem więcej niedziel niż jestem w stanie policzyć na oczekiwaniu na odpowiedź, ale nie doczekałem się niczego, prócz zdrady. A teraz moja biedna żona... Ufała Bogu

- i zobacz, co się z nią dzieje.

-Cóż, ty z pewnością nie miałeś z tym nic wspólnego. - Gniew ojca Patricka narastał z każdym słowem. - Kiedy siedziałeś w więzieniu, ona na ciebie czekała. Zrujnowałeś jej życie, a ona wspierała cię, wierzyła w ciebie. Bóg jeden wie, co ona w tobie widzi.

- Ksiądz aż trząśł się z gniewu. - Może powinieneś wreszcie przestać być tak cholernym egoistą i wesprzeć ją. Pomóc jej, zamiast tak obrzydliwie rozczulać się nad sobą.

Zbliżył się do Michaela. Gdyby nie koloratka, z chęcią cofnąłby się do czasów młodości spędzanej na ulicach i strzelił Michaela w zęby.

- Rozczulać nad sobą? - wrzasnął w odpowiedzi Michael. - Jediną osobą, której mi żal, jesteś ty, z tą swoją oszukańczą wiarą. Prowadzisz moją żonę drogą, na której nie ma nawet nadziei. - Michael odwrócił się i odszedł.

Ojciec Patrick miał wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie był aż tak wściekły. I choć ta pełna gniewu wymiana zdań tylko pogłębiła jego niechęć do Michaela, nie mógł opanować uczucia, że widzi, jak dusza tamtego dosłownie wysuwa się z ciała i przemyka białym szpitalnym korytarzem.

Michael wybiegł ze szpitala z mętlikiem w głowie. Czuł, że traci resztki nadziei. Zawsze potrafił rozwiązywać wszelkie problemy, naprawiać wszystko, a dotyczyło to nie tylko przedmiotów mechanicznych. Doskonale potrafił widzieć rzeczy z różnej perspektywy, wychodzić poza szablony i znajdować rozwiązanie. Ta umiejętność wielokrotnie ratowała mu życie i była niezwykle przydatna w jego poprzedniej karierze.

To, co wtedy robił, nie było realizacją marzeń. Został złodziejem nie z desperacji także czy z braku możliwości wykorzystania swych umiejętności w legalnym działaniu. Stało się tak pod wpływem akcji pomocy koledze.

Kiedy siedemnastoletni Michael nadal jeszcze szukał celu w życiu, jego najlepszy przyjaciel, Joe McQuarry, dobrze już wiedział, czego chce. Był doskonałym sportowcem; miał przyznane stypendium i zagwarantowane przyjęcie do college, w którym chciano go mieć w drużynie piłkarskiej. Joe odkrył swój talent bardzo wcześnie i umiał go wykorzystać. Żarty i sport. Dzięki sportowi zdobywał popularność i dziewczyny, a poczucie humoru dodawało mu uroku. No i przysparzało problemów. Jego idea zabawy polegała na psotach i naśmiewaniu się z nauczycieli. Z tego powodu miał specjalne miejsce w Holy Father High School, zarezerwowane specjalnie dla niego - w gabinecie dyrektora.

W pewien piątek Joe siedział właśnie na tym swoim specjalnym miejscu, a dyrektor, ojciec Daniels, robił mu wykład na temat chylenia się społeczeństwa ku upadkowi w efekcie

braku szacunku. Szczegółowo opisywał, jak to droga życiowa Joego, usłana różami dzięki sportowemu stypendium, bez trudu mogłaby stać się krętą, wyczerpały się bowiem jego, dyrektorskie, możliwości. Po dwóch zawieszeniach w obowiązkach ucznia, ojciec Daniels nie ma już wyboru i za następny incydent będzie go musiał wyrzucić ze szkoły. Jeśli więc Joemu wydaje się, że jest sprytniejszy od innych, niech spróbuje. W końcu Daniels oświadczył, że tym razem Joe zostaje ukarany tygodniowym zamknięciem, potem przykazał chłopcu, żeby się nie ruszał do jego powrotu, i wyszedł.

Joe siedział, przeżuwając słowa księdza i zastanawiając się, za kogo dyrektor się uważał. Przecież za trzy tygodnie on, Joe, i tak opuści tę szkołę, pójdzie dalej, a Daniels z całą pewnością zostanie tu na wiele lat. Siedział tak i przyglądał się nagrodzie stojącej na biurku dyrektora. Statuetka została przyznana ojcu Danielsowi piętnaście lat temu, w uznaniu wybitnego wpływu, jaki wywierał na życie swoich uczniów. Im dłużej Joe czekał na powrót dyrektora, tym bardziej poddawał się narastającym emocjom. A im więcej myślał o tym - o wybitnym wpływie - tym bardziej czuł się oburzony.

Wpatrywał się w statuetkę przez blisko godzinę, zanim do gabinetu weszła sekretarka i oświadczyła, że dyrektor musiał wyjechać i wróci dopiero w poniedziałek. Joe zawrzał. Ale zamiast wybuchnąć furją, pozbierał swoje rzeczy i zrobił coś, co miało pociągnąć za sobą nieodwracalne konsekwencje, których nie był w stanie przewidzieć.

Zabrał statuetkę stojącą na biurku Danielsa.

Tej nocy, kiedy Joe, Michael i ich przyjaciele włączyli się nad jeziorem i popijali piwo przy ognisku, Joe pokazał swą zdobycz. Chłopcy zarykiwali ze śmiechu, doceniając jego bohaterski wyczyn. Otoczyli go, a Michael zrobił zdjęcie złodzieja z jego łupem. Potem Joe otworzył następne piwo i wszyscy wypili za jego zdrowie, a on uroczyście wrzucił statuetkę do ognia.

Ale po północy odwaga Joego zaczęła słabnąć. Zaczęło do niego docierać, że w poniedziałek wróci ojciec Daniels i dostrzeże brak statuetki, a on będzie jedynym podejrzanym.

Trzecie przewinienie.

Michael dostrzegł strach malujący się w oczach przyjaciela. Minęło już dziesięć lat, odkąd poznali się jako ministranci w pewną zimową, lutową niedzielę, i nigdy jeszcze nie widział go tak zrozpaczonego. Joe trzymał fason przed kolegami, ale Michael czuł, że tym razem przyjaciel nie wykręci się sianem. Ani szkoła, ani rodzice Joego nie wybaczą mu tego, co zrobił. A jeśli zostanie wyrzucony ze szkoły, straci też miejsce w college'u. Noc zaczęła się od hucznej zabawy, ale kończyła w pogrzebowej atmosferze. Sześciu chłopaków wracało

do domu, współczując koledze. A najbardziej zmartwiony był Michael.

Po powrocie do domu poszedł do garażu, który jego ojciec przemienił w warsztat; lubił prace stolarskie i ślusarskie, sam wszystko w domu i ogrodzie naprawiał i ulepszał. Jako dziecko Michael często pracował z ojcem, uczył się od niego, ale gdy dorósł, zbuntował się i trzymał z daleka od warsztatu.

Tamtej nocy popatrzył na narzędzia, po czym wyciągnął z kieszeni zdjęcie. Pracował przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy, ciągle porównując efekty swojej pracy ze zdjęciem, które. Szesnaście razy próbował, zanim udało mu się ukształtować statuetkę z pleksiglasu; kolejnych osiem prób zajęło zrobienie wygrawerowanej drewnianej podstawy. W niedzielę o 23.50 ruszył przez las w kierunku szkoły. Wszedł po drzewie na dach i dostał się do środka przez właz, który od trzydziestu lat nie był zamykany. Waliło mu serce, krew pulsowała od adrenaliny i nagle poczuł taką pewność siebie, jakiej nigdy wcześniej nie znał. Niezależnie od tego, jak złe było to, co robił, w dziwny sposób czuł się dobrze, czuł, że... to jest właśnie to.

W poniedziałek rano Joe siedział w gabinecie dyrektora. Został wezwany natychmiast po przyjściu do szkoły i wiedział, że oznacza to koniec jego perspektyw życiowych. Ojciec Daniels milczał przez chwilę, a Joemu zdawało się, że trwa to całą wieczność. Czekał na początek swojego końca. Ale ksiądz go zaskoczył: przeprosił. Takiego dyrektora Joe nie znał. Przeprosił go za to, że w piątek stracił cierpliwość, nakrzyczał na niego i zostawił samego w gabinecie. Powiedział, że Joe odbył już wystarczającą karę, życzył mu powodzenia w college'u i pozwolił odejść.

Wychodząc, Joe popatrzył na stojącą na biurku ojca Danielsa statuetkę i doszedł do wniosku, że chyba śni. Był pewien, że widział ją płonąca w ognisku.

ROZDZIAŁ 6

Michael siedział przy stoliku w taniej restauracyjce. Przed nim stały dwie filiżanki z kawą, ale żadna nie była tknięta. Miał zaczerwienione, opuchnięte z niewyspania powieki. Oczy same mu się zamykały. Było już dawno po zachodzie słońca i Michael zbierał siły przed kolejną długą nocą, choć czuł się tak wyczerpany, że głowa ciążyła mu, jakby miał w niej ołów. Nerwowo pstrykał wizytówką, rozglądając się po sali. Zawiodł zaufanie Mary; trzy razy ją okłamał, a teraz jeszcze to...

Wyczerpał wszystkie możliwości. Szpital żądał informacji, w jaki sposób zapłaci za operację i za późniejsze leczenie. Zaledwie w ciągu trzech dni rachunki przekroczyły dwadzieścia tysięcy. Badania, badania i kolejne badania. Każde następne coraz bardziej bolesne i coraz droższe. Doktor Rhineheart próbował trochę zmniejszyć koszty, ale nie bardzo było na czym oszczędzać. Dyrektor administracyjny postawił sprawę całkiem jasno - jeśli Michael nie może zapłacić za leczenie, jego żona, niestety, będzie musiała opuścić oddział. Tkwili w martwym punkcie - nie mieli wystarczająco dużych dochodów, żeby płacić za leczenie, ale wystarczająco duże, żeby nie kwalifikować się do pomocy społecznej. Michael robił, co mógł, zebrał i błagał o pomoc każdego, kogo tylko znał. Busch mógł mu pożyczyć trzydzieści pięć tysięcy, likwidując swój fundusz emerytalny. Michael poczuł się tym zdruzgotany, ale przyjął pomoc - nie miał wyboru, do diabła z dumą. Tyle że pieniądze dostanie nie wcześniej niż za trzy tygodnie, a i tak kwota była dalece niewystarczająca.

Ostateczne upokorzenie przeżył wczoraj. To było ostatnie miejsce, gdzie mógł się zwrócić z prośbą o pomoc. Wykorzystał już wszystkie możliwości. Usiadł więc, przyjął zaproponowaną mu herbatę, nie chcąc okazać się nieuprzejmy, jak to bywało w przeszłości, i wyjaśnił, w czym tkwi problem. Jeśli nie zdobędzie pieniędzy, jego żona umrze. Ojciec Shaunessy i rada parafialna wysłuchali go, potakując głowami z pełnymi współczucia wyrazami twarzy, nie przerywając mu ani słowem.

A potem Kościół, w który Mary tak bardzo wierzyła, po prostu powiedział „nie”. „Nie mamy środków na to, żeby wspomagać parafian”. Za to bardzo chętnie wspomogą Mary modlitwą podczas niedzielnej mszy.

Michael siedział teraz, mieszając zimną kawę i patrząc na pozostałych klientów. Było ich tylko trzech. Siedzieli w drugiej części restauracji, cicho śmiejąc się z licha wie czego. Michael nie był w stanie odwrócić od nich wzroku. Żałował w myślach, że nie doceniał wcześniej tych chwil, kiedy życie było wolne od trosk, kiedy nie zdawał sobie jeszcze sprawy

z tego, że wystarczy jedna diagnoza lekarska, by wszystko rozsypało się jak domek z kart. Żałował, że nie cieszył się tamtymi radosnymi chwilami, nie chłonał ich, nie doceniał. Najbardziej z wszystkiego pragnął w jakiś sposób cofnąć się do nich. Miał wrażenie, że wieki minęły od dnia, kiedy ostatni raz nie czuł się przytłoczony, a to przecież było zaledwie tydzień temu. Wiedział, że nie było powrotu, ale najbardziej gnębiło go, że nie miał środków na to, żeby iść naprzód.

Nagle, jakby znikąd, pojawił się Finster, nienagannie ubrany w sportowy płaszcz od Armaniego, z siwymi włosami gładko zaczesanymi do tyłu i związanymi w ogon. Kiedy usiadł, Michael zauważył, że mężczyzna był znacznie starszy, niż mu się wydawało. Zdradzały to jego oczy, lekko zamglone i pozbawione emocji; wyraźnie niejedno w życiu przeszedł.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował przyjaciela - odezwał się Finster.

-Bywa, że sytuacja się zmienia.

-Przykro mi z powodu twojej żony - wyszeptał Niemiec z autentycznym współczuciem.

-Taa, no cóż... - Michael ciągle jeszcze wahał się, słowa przychodziły mu z trudem. - Chciałeś pogadać?

-Jak się masz?

-Mam mało czasu.

Finster zrozumiał i nachylił się w jego stronę.

- Wiem, że już się tym nie zajmujesz i szanuję to. - Wyglądało na to, że Finster zmienił nagle zdanie. Pokręcił głową. - Nie musimy o tym rozmawiać w tej chwili, może później, jak będziesz w lepszym nastroju.

- Teraz albo nigdy. - Gdyby go nie wysłuchał w tej chwili, mógłby stracić odwagę, a wtedy to samo stałoby się z Mary.

- W porządku. Ale jeśli nie będziesz zainteresowany, zrozumiem i pożegnamy się jak przyjaciele.

Michael wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem. Wiedział, że każdy, kto działał w jego dawnej branży, budził co najmniej wątpliwości.

-Jestem gotów pokryć wszystkie wydatki związane z leczeniem twojej żony, niezależnie od tego, ile wyniosą...

-W zamian za? - Michael ponaglił go, wiedząc, że nie chodziło o żadną drobną pracę. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów - szacunkowy koszt leczenia Mary - to musiała być zapłata za niebezpieczne zadanie.

-Są dwa przedmioty, które rozpaczliwie pragnę zdobyć. Znajdują się one w budynku prawie niestrzeżonym. Żadnych uzbrojonych strażników, łatwy dostęp...

-Jestem na zwolnieniu warunkowym.

-Praca jest w Europie. Nie złamałbyś słowa danego tutaj.

-Złamałbym. A co ważniejsze, złamałbym je tu. - Poklepał ręką pierś w okolicy serca.

- Obiecałem żonie.

Finster oparł łokcie na stole.

- Sytuacja się zmieniła. Jej życie wisi na włosku. Czy złożyłbyś taką obietnicę, gdybyś wiedział, że od tego zależy jej życie? Z pewnością nie.

Finster miał rację i Michael wiedział o tym. Nigdy by nie obiecał, gdyby to miało zadecydować o jej przeżyciu.

-Muszę poznać więcej szczegółów - powiedział, popijając kawę, teraz już całkiem zimną.

-Dobrze. Widzę, że przynajmniej rozważasz tę możliwość. Niestety, to jest wszystko, co mogę ci w tej chwili powiedzieć. Jeśli zdecydujesz się wziąć tę robotę, podam ci wszystkie szczegóły. Ale jak już ją weźmiesz... - Finster nie dokończył zdania.

Michael zdał sobie sprawę, że nie było odwrotu.

-Zawsze kończę to, co zacząłem.

-Jest jedna rzecz, może ważna, a może nie. To zadanie może być niezgodne z twoimi przekonaniem religijnymi. - Było to ostrzeżenie, rzucone wprawdzie mimochodem, ale jednak ostrzeżenie.

-Mów dalej.

- To byłoby w kościele.

Michael zachichotał.

- Cóż, to jeden z tych dowcipów, jakie niesie nam życie. - Odchylił się na oparcie krzesła, podnosząc filiżankę z kawą. - Nie wierzę w Boga. - Na moment zamilkł, po czym zapytał: - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Finstera wyraźnie zaskoczyła odpowiedź Michaela, zwłaszcza jego brak wiary.

- Z całego serca. Po tym wszystkim, co widziałem... - Finster przez chwilę zastanawiał się nad swoją wiarą. - Ja nie mam wątpliwości.

Kelnerka, która dołała im kawy, posłała Finsterowi uśmiech.

- Dziękuję - powiedział, skłaniając głowę.

Kobieta odgarnęła włosy z oczu i odeszła.

-Przemyśl to, proszę. - Finster wstał i położył na stole drobne za kawę. - Muszę już

iść. Mam jeszcze inne interesy do załatwienia.

-O tej porze?

-Nigdy nie słyszałeś powiedzenia, że „zmęczony nie śpi”?

- Chciałeś powiedzieć: lichy? - poprawił go Michael, uśmiechając się porozumiewawczo.

Finster odwzajemnił uśmiech i uściśnął mu rękę.

- Mam nadzieję, Michaelu, że podejmiesz słuszną decyzję.

Hawk podbiegł do drzwi, kiedy tylko usłyszał dźwięk poruszanej klamki. CJ pozostała obojętna. Prychnęła tylko na psa i ponownie zwinęła się w kłębek na kanapie. Michael wszedł do domu, a Hawk rzucił się na niego, liżąc go i śliniąc, skacząc i poszczekując z radości. Zazwyczaj Michael roztkliwiał się w obliczu tak ogromnej, bezwarunkowej miłości, ale nie dziś. Pogłaskał tylko psa i posłał go na miejsce. Potem poszedł prosto do swojego gabinetu i ze środkowej szuflady wyciągnął dużą, sztywną kopertę, otworzył ją i wyjął plik papierów. Rozłożył je na biurku i po raz tysięczny zaczął czytać:

Po odbyciu kary 3 lat 3 miesięcy i 22 dni z orzeczonych dziesięciu lat więzienia za dokonanie poważnej kradzieży, posiadanie skradzionego majątku i włamanie, Michael Edward St. Pierre uzyskuje niniejszym zwolnienie warunkowe. Decyzję taką podjęła Komisja ds. Zwolnień Warunkowych Stanu Nowy Jork na podstawie stwierdzenia, że pan St. Pierre został poddany udanemu procesowi resocjalizacji i niniejszym orzeczona mu przez Stan Nowy Jork kara została wykonana.

Na dokumencie przystawiono oficjalną, czerwoną pieczęć o treści: ZWOLNIONY WARUNKOWO.

Było to pięć i pół roku temu. W środku nocy zadzwonił telefon. Mary przeturlała się na łóżku i po trzecim dzwonku w końcu odebrała. Michaela aresztowano pod zarzutem dokonania takich czynów, o jakie nigdy w życiu by go nie podejrzewała. To była zdrada najgorsza z możliwych. Jej mąż zataił przed nią swoje życie.

Złapali go na murze do Central Parku. Już prawie go pokonał i zapewne udałoby mu się, gdyby nie nadmierna utrata krwi. Dopadło go dwóch policjantów, waląc nim o granitową ścianę. Został zakuty w kajdanki i wrzucony do radiowozu, zanim zdążył powiedzieć choć słowo. Traktowali go bardzo brutalnie, ale nie winił ich. W końcu na ulicy leżała naga kobieta, cała we krwi, na pół przytomna po strasznych przeżyciach. Gliniarze nie wiedzieli jednak, że była to krew Michaela. Zakładali, że kobieta została brutalnie zgwałcona i nie nastrojało ich to przyjaźnie. Minęły dwa dni, zanim odzyskała przytomność i złożyła krótkie oświadczenie, potwierdzające niewinność Michaela i jego męstwo. Okazał się bohaterem. Ale

w dzisiejszym świecie bohaterem jest się zaledwie przez tydzień, a w przypadku Michaela nie trwało to nawet godzinę. Nigdzie nie napisano, że to on ją uratował.

Ambasador Ruskot, który przyleciał do Stanów, oświadczył, że nigdy przedtem nie widział tych wartych trzydzieści milionów dolarów diamentów znalezionych w plecaku Michaela - nie mógł pozwolić sobie na wypytywanie i skandal - z czystej zemsty więc wywierał naciski na biuro prokuratora okręgowego, żeby jak najsurowiej potraktowano więźnia, który naruszył suwerenne terytorium jego kraju, kradnąc wysadzany klejnotami krzyż. Twierdził, że krzyż przedstawia ogromną wartość dla jego narodu i uznał kradzież za obrazę uczuć religijnych; chociaż prawda była taka, że kupił go wiele lat temu za Żelazną Kurtyną i jeszcze po prostu nie zajął się jego sprzedaniem.

Departament Stanu doskonale wiedział o ubocznych interesach ambasadora, ale był wobec niego bezsilny. Także i on wywierał naciski na prokuratora, bo stosunki z Akbikwestanem były dość chwiejne i rząd Stanów Zjednoczonych chciał okazać dobrą wolę w zakresie ochrony „przyjaciela”.

Pierwszego dnia rozprawy Mary siedziała niezwykle spokojna z tyłu sali sądowej, ale ani razu nie spojrzała Michaelowi w oczy. W geście rozpaczki napisał do niej karteczkę i nakłonił wyznaczonego z urzędu obrońcę do przekazania jej. Zgniotła ją i wetknęła głęboko do torebki, nawet na nią nie spojrzawszy. Swojemu prawnikowi powiedziała, że do końca procesu będzie grała rolę dobrej żony, ale potem ich małżeństwo też będzie skończone. Przez trzy dni Michael wchodził i wychodził z sądu ze skutymi rękami, cały czas wpatrując się w nią rozpaczliwie. Do końca procesu ani razu nie spojrzała na niego.

Michael nie miał nic na swoją obronę, a wyznaczony przez sąd obrońca był żółtodziobem tuż po studiach - była to dopiero trzecia jego sprawa. Dla złagodzenia atmosfery usiłował wprowadzić wątek bohaterstwa Michaela, ratującego życie pięknej Helen Staten - ława przysięgłych dowiedziała się, że była to żona Jamesa Statena, siedemdziesięcioletniego przemysłowca - ale nie mieli na to świadków. Pani Staten przeżywała załamanie nerwowe po przeżytym szoku i jej bełkotliwe zeznania były, delikatnie mówiąc, niespójne. Istniały też obawy, że gwałt litościwie umknął jej z pamięci. Zęby było jeszcze trudniej, dwa dni po incydencie James Staten zmarł, nie było więc już zupełnie nikogo, kto mógłby zeznawać na korzyść Michaela.

Ława przysięgłych w ciągu godziny uzgodniła stanowisko. Werdykt brzmiał: winny.

Na pokrycie kosztów sądowych i grzywnę w wysokości trzystu tysięcy dolarów Stan Nowy Jork przejął ich letni dom, rachunek bankowy Michaela, rachunek bankowy Mary i cały majątek, jaki mieli. Prokurator próbował powiązać też majątek Michaela z innymi

kradzieżami, ponieważ nie było żadnego dowodu, że kiedykolwiek zarobił jakieś pieniądze, miał legalną pracę czy wypełniał zeznanie podatkowe, ale nie udało mu się to, bo na szczęście Michael nigdy nie zostawiał po sobie żadnych śladów. Aż do tej brzemiennej w skutki nocy.

Więzienie Sing Sing w Ossining miało być domem Michaela na następne trzy i pół roku.

Mary otrzymała papiery rozwodowe w tydzień po zakończeniu procesu. Przeczytała dokumenty dwukrotnie i - do licha z religijnym zakazem - zamierzała je złożyć w sądzie. Zadzwoiła do prawnika, a ten powiedział, żeby tylko podpisała, a on zawiadomi już Michaela. Szukała w torebce długopisu, kiedy natrafiła na tę karteczkę z początku procesu. Wcale nie miała zamiaru jej czytać.

Mary,

Proszę cię, nie torturuj się wysiadywaniem na sali rozpraw podczas procesu. Wstyd, jakim cię okryłem, jest wystarczającym obciążeniem. Małżeństwo wiąże się z zaufaniem, małżeństwo wiąże się z wzajemną wiarą w siebie. A po tym, co zrobiłem, wiem, że już nigdy mi nie zaufasz. Musisz ułożyć sobie życie. Wiem, że znajdziesz kogoś innego, kto będzie cię kochał i dbał o ciebie.

M.

Następnego dnia o dziewiątej rano zjawiała się w więzieniu z papierami rozwodowymi w torebce. Powiedział jej wszystko. Wyjaśnił, że nigdy nie miał firmy konsultingowej, że jego dochody pochodziły z poprzednich kradzieży. Powiedział, że kiedy się spotkali, postanowił skończyć z tym. Miała to być jego ostatnia robota. Dzięki niej mógłby utrzymywać ją do końca życia, żeby mogła przestać pracować i oddać się bez reszty rodzinie i wychowywaniu dzieci. Wszystko przepadło przez ten krzyż i bezinteresowną brawurę. Na zakończenie powiedział, że bez problemu da jej rozwód.

Słowa Mary go zaskoczyły.

- Nigdy nie zależało mi na pieniądzach, drogich ubraniach i samochodach. Te rzeczy starzeją się i trafiają do śmieci. Największym moim skarbem było życie z tobą, wspólne starzenie się. Kocham cię, Michaelu, i ty mnie kochasz. Niczego więcej nie potrzebuję.

Odwiedzała go w każdą sobotę, a Michael dzwonił do niej w każdy poniedziałek i środę. Po pewnym czasie ich związek się odbudował. Ona była mu oddana na dobre i na złe, a on przysiągł, że nigdy więcej jej nie zdradzi.

Odkąd wyszedł z więzienia, trzy i pół roku później, stał się przykładem człowieka zresocjalizowanego. Założył własną firmę, płacił podatki i odbudował swoje małżeństwo z Mary. A co najdziwniejsze, jego najbliższym przyjacielem stał się funkcjonariusz prawa.

Zona Paula Buscha i Mary były od dawna zaprzyjaźnione, dlatego Busch poprosił o przydzielenie mu tego zadania. Paul nigdy nie był dla Michaela funkcjonariuszem nadzorującym zwolnionych warunkowo; był i zawsze będzie przyjacielem. Ich więź, której nie wyrażali słowami, zrodziła się w dniu, kiedy Michael został zwolniony, a od tego czasu wzmocniła się dziesięciokrotnie.

Michael stał w swoim gabinecie, a w uszach dźwięczały mu słowa komisji ds. zwolnień warunkowych: *Niech pan nie pozwala sobie nawet na myśl o przestępstwie, a zwłaszcza o włamaniu, bo jeśli pan to zrobi, już nigdy nie wyjdzie pan poza te więzienne mury.* Świadomość zdrady bardzo go bolała. Zdrada żony była tylko czubkiem góry lodowej - choć jego winy nic nigdy nie zmaże, być może któregoś dnia Mary zrozumie, czemu to zrobił. Ale Busch... Michael wiedział, że przyjęcie propozycji Finstera nie tylko zniszczy ich przyjaźń, ale też na zawsze postawi ich naprzeciw siebie, po dwóch stronach barykady. Szacunek, z jakim odnosił się Busch do prawa, spowoduje, że potępi wybór Michaela.

Teraz nie miał już wątpliwości, że obecna sytuacja była prawdziwą karą za jego wcześniejsze wykroczenia. Rozpaczliwie szukał w myślach innego, jakiegoś cudownego rozwiązania, które uszło jego uwagi.

Wsunął dokumenty zwolnienia warunkowego do koperty, włożył je do szuflady biurka i - zostawiając otwartą - podszedł do półek z książkami. Odzwierciedlały jego myśli i zainteresowania. Najwyższe półki wypełniały powieści: od Dickensa po Dickeya, od Conrada po Cusslera. Najniżej stały te pozycje, które wykorzystywał w przeszłości: książki o systemach alarmowych, o biżuterii, a także dotyczące historii sztuki i magii. No i te o muzeach europejskich i fotografowaniu. Półki środkowe zarezerwowane były na ich pamiątki: muszelki, wypchane zwierzęta, widokówki. Wspomnienia z ich życia zgromadzone dzięki wspólnym podróżom. Niektóre pochodziły z okresu ich narzeczeństwa: głupawe zdjęcia robione w automatach, gipsowe koty, karykatury ich dwojga tańczących na spienionych falach. I choć niektóre z nich z czasem przestawały już śmieszyć, zawsze dochodzili do wniosku, że z tej półki niczego nie zdejmą. Były to bowiem rzeczy przypominające przeżyte chwile, coś, co było im bliskie i cenne przez wszystkie lata wspólnego życia. Usunięcie ich byłoby zatem równoznaczne z wypieraniem się przeszłości, wypieraniem się siebie samych.

Do najmilszych skarbów należał krucyfiks, który dostali z okazji ślubu. Zwykły krzyż, nic cennego. Nawet nie bardzo pamiętali, kto im go dał. Wykonany z kawałka drewna z przymocowanym do niego plastikowym Jezusem, sprawiał wrażenie przedmiotu, jaki można znaleźć wśród tysięcy podobnych na pchlim targu. Żartowali sobie, że ofiarodawca ukradł go

zapewne z lusterka wstecznego nowojorskiej taksówki. Teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich kilku dniach, widok tego krzyża stał się dla Michaela nie do zniesienia. Wiedział, że zdradza Mary i Buscha, ale on też czuł się zdradzony. Te wszystkie lata pobożności i modlitw doprowadziły go tylko do tego punktu, w którym nie miał innego wyjścia.

Michael sięgnął po krucyfiks, symbol utraconej wiary, wrzucił go do szuflady obok koperty ze zwolnieniem warunkowym i starannie zamknął szufladę.

ROZDZIAŁ 7

Michael przesiedział przy łóżku Mary całą noc, ale odszedł, zanim się obudziła. Środek przeciwbólowy, jaki jej podawano, pozwalał na zaledwie kilka godzin przytomności umysłu dziennie, ale chociaż było mu przykro, że nie słyszał jej głosu, wiedział, że tak było lepiej. Po prostu nie cierpiała. Wpatrywanie się w jej twarz, nienaturalnie bladą w niebieskiej poświacie monitora tylko umocniło jego decyzję. Straci ją, jeśli nie przeprowadzą, i to natychmiast, operacji. A życie bez niej byłoby o wiele gorsze niż najcięższe nawet więzienie.

Wszystkie te myśli kotłowały mu się w głowie, kiedy Fin - ster nalewał drinka. Byli sami w jednym z najwspanialszych apartamentów hotelowych w mieście. Kryształowe karafki i stare trunki odbijały się w lustrach barku. Skórzane sofy wytyczały przestrzeń, której centralnym punktem był ogromny kominek. W jednym rogu stał koncertowy fortepian Bosendorfera, a w drugim - wspaniałe biurko w stylu Ludwika XIV.

Finster podał Michaelowi kryształową szklaneczkę z whisky.

- To Chivas, moja ulubiona. - Ujął w dłoń swoją szklaneczkę i wznosił toast. - Obyśmy następnym razem pili za sukces.

Michael zignorował jego słowa. Nie lubił oficjalnego stylu ani drogiej whisky. No i zawsze pracował sam. Nigdy też nie wykonywał pracy na czyjeś zamówienie i nagle uświadomił sobie, że tym razem, po raz pierwszy w życiu, to nie on będzie określał zasady.

- Ale dość uprzejmości. Usiądź, proszę - powiedział Finster, ze swoim lekkim akcentem. - Oczywiście dostarczę ci wszystko, czego będziesz potrzebował: pieniędzy, ludzi, wyposażenia.

Michael usiadł na kanapie, odstawił szklaneczkę na stolik i nachylił się do przodu. - Do?

-Zdobycia dwóch kluczy.

-Kluczy - powtórzył lekko zaskoczony Michael. - A do czego są te klucze?

-To antyczne klucze, jeden złoty, drugi srebrny. Pochodzą sprzed dwóch tysięcy lat. - W głosie Finstera brzmiała nutka podekscytowania.

Michael siedział spokojny jak głaz, nie okazując żadnych emocji, ale jego wewnętrzna maszynka już ruszyła: serce zaczęło bić mocniej, miał przyspieszone tętno, wróciło ożywienie. Pierwsze uderzenia adrenaliny. Wiedział jednak, że musi kontrolować emocje. Miał pracować nie dla siebie, tylko dla Mary.

-Gdzie?

-We Włoszech, w Rzymie. To nie powinno być trudne dla człowieka o twoich zdolnościach.

-Skąd pan wie, jakie mam zdolności? Nigdy się nimi nie chwaliłem.

-Z wiarygodnych źródeł.

-Od kogo? - Michael dobrze wiedział, że diabeł tkwi w szczegółach.

-Musisz mi zaufać w tej kwestii, Michaelu. - Finster uśmiechnął się.

-Bez urazy, ale w tej branży nie istnieje coś takiego, jak zaufanie.

-Na dowód dobrej wiary w ciągu godziny przeleję na twój rachunek 100 000 dolarów, żeby twoja żona mogła natychmiast rozpocząć leczenie. - Finster uparcie kierował uwagę Michaela na kwestię żony i pieniędzy.

- Ale możesz też kazać zabić mnie po skończonej robocie i nie dotrzymać warunków zapłaty.

Finster podniósł się z kanapy jak szlachetny rycerz zwracający się do króla.

- Michaelu St. Pierre, daję panu moje słowo, że nie stanie się panu żadna krzywda, a ostateczna zapłata zostanie dokonana po wykonanej pracy. Jestem człowiekiem honoru.

Na Michaelu nie zrobiło to jednak wrażenia.

-Honor złodzieja to oksymoron.

-Nigdy nie złamałem obietnicy ani nie wycofałem się z umowy. Nigdy. Gdybym to zrobił, nie mógłbym prowadzić swoich interesów.

-Nigdy też pan nie wspominał, czym się zajmuje.

Dla Michaela reakcja Finstera na to pytanie była równie wymowna, jak i sama odpowiedź. Chociaż i tak ją znał poszukiwał bowiem informacji na temat swojego nowego wspólnika. Mając taką kartotekę, jaką miał, nie mógł sobie pozwolić na to, by podszedł go jakiś nadgorliwy gliniarz. Przed przyjściem sprawdził więc tożsamość Finstera.

- Działam na całym świecie, w różnych branżach, sprzedaż detaliczna i tego typu rzeczy - Finster spojrzał Michaelowi prosto w oczy. - Ma pan moje słowo.

Michael nie był przekonany, ile jest warte słowo Finstera, ale postanowił sprawdzić to później, teraz bowiem zżerała go ciekawość.

-O który kościół chodzi?

-O kościół tak ogólnie. - Finster zawiesił głos. - Klucze znajdują się w Watykanie.

Michael wciągnął głęboko powietrze, oswajając się z wiadomością.

-W Watykanie? Chce pan, żebym je wykradł z Watykanu? Powinien pan zacząć od tej informacji.

-Jestem pewien, że teraz pan rozumie, dlaczego musiałem zachować tajemnicę. Chce

się pan wycofać?

- Nie, tyle, że to dość śmiałe przedsięwzięcie. Jeżeli - Michael położył nacisk na słowie „jeżeli” - jest to wykonalne, będzie to wymagało solidnego planowania. Takie miejsce jest wyjątkowo niebezpieczne. Nie można sobie pozwolić na błąd. To nie jest jakiś słabo chroniony budynek; w rzeczywistości to jedno z najlepiej chronionych państw na świecie. A straż? Niech się pan nie da zwieść tym głupim, bufiastym strojom. Członkowie Gwardii Szwajcarskiej należą do najskuteczniejszych, najlepiej wyszkolonych oddziałów wojskowych w Europie. A co ważniejsze, są najbardziej lojalnym wojskiem na naszej planecie.

Przez wszystkie lata, przez które zajmował się swoją dawną profesją, jednego tylko uczucia nie zaznał - strachu. A w tej właśnie chwili zaczął się bać. Serce na moment przestało mu bić. Wpakował się w bardzo niebezpieczną sytuację, z której nie było odwrotu. Zadanie mogło zakończyć się śmiercią i Mary, i jego samego, jeżeli nie potrafi go dobrze wykonać.

Najważniejszym elementem tej transakcji było to, czego Finster mu nie powiedział, a według oceny Michaela było tego dużo. Tak naprawdę nie chodziło tu o klucze ani o antyki. Kryło się za tym coś więcej. Michaelowi było obojętne, czy wiązało się to z obsesją Finstera jako kolekcjonera, czy miało służyć realizacji jakiegoś jego celu. Nigdy nie angażował się w sprawy innych i wiedział, że gdyby zajął się próbą oceny motywów tego człowieka, nie byłby w stanie skupić się na tym, co miał do zrobienia. Dla niego była to kradzież, robota, dzięki której mógł uratować życie żony. Jakie by nie były powody zainteresowania Finstera tymi kluczami, nie miało to dla niego znaczenia. Wiedział tylko, że wykradając je, wykradnie także życie dla Mary. I na tym zamierzał się skoncentrować, to pomoże osiągnąć sukces, pomimo wszelkich przeciwności.

Finster podał Michaelowi pękatają aktówkę z czarnej skóry.

- Tu są informacje na temat kluczy. Ich lokalizacja, rozkład i szczegóły miejsca, gdzie są trzymane. - Podeszedł do okna i spojrzał na miasto. - Zdajesz sobie sprawę z tego, że zaufałem ci tak samo, jak ty mnie. - Upłynął moment, zanim się odwrócił. - Poznaliśmy się całkiem niedawno, ale myślę, że osiągnęliśmy porozumienie, prawda? Michael delikatnie przytaknął głową.

- Ale jest jedna rzecz, ważniejsza od wszystkich innych, którą chcę, żebyś zrozumiał. - Finster szedł w jego kierunku, mówiąc powoli i z naciskiem. - Nie wolno ci mnie zdradzić. Nie próbuj oferować tych kluczy komukolwiek innemu za wyższą cenę. Będę wiedział, czy te, które mi przyniesiesz, są prawdziwe czy podrobione. - Zatrzymał się zaledwie trzydzieści centymetrów od Michaela, patrząc na niego z góry. - Będę wiedział - powtórzył.

Michael podniósł się z kanapy, trzymając w dłoni aktówkę i nawet na moment nie

tracąc kontaktu wzrokowego z Finsterem.

-Nie odpowiedział mi pan na pytanie, które wcześniej zadałem: do czego są te klucze? Do jakiejś szkatułki, sejfów?

-Nie, nic z tych rzeczy. Zapewne do jakichś starych drzwi, które już dawno nie istnieją.

Następnego ranka, czyli tydzień po pierwszej wizycie u lekarza, Mary znalazła się na stole operacyjnym. Guz okazał się większy, niż przewidywał doktor Rhineheart, owinał się wokół lewego jajnika i jajowodu, zaczynał już też atakować prawy jajnik. Podczas ośmiogodzinnej operacji usunęli go, jak twierdził chirurg, w całości. Rhineheart był najlepszym onkologiem w Nowym Jorku. Ukończył studia jako najlepszy student na roku i był jednym z nielicznych lekarzy, którzy mimo upływu czasu nie zamienili się w automaty. Nadal mu zależało. Za każdym razem, kiedy rak zabierał jego pacjenta, dla Rhinehearta była to osobista tragedia. Sam stracił matkę, kiedy miał piętnaście lat - umarła na raka piersi - i dlatego walczył o każdego chorego wszelkimi dostępnymi środkami. Każdą walkę traktował jak podjętą na nowo bitwę w wojnie, którą z ogromną determinacją starał się wygrać, a każdy pacjent był jego matką... ciągle i od nowa.

Kombinacja chemoterapii i naświetlań, jaką zalecił, miała usunąć wszelkie ewentualne pozostałości komórek rakowych. Była to ciężka kuracja, wymagająca od Mary mobilizacji wszystkich sił. Rhineheart wyjaśnił Mary i Michaelowi, że jest to swoisty paradoks: musi truć pacjenta po to, aby uwolnić jego ciało od jeszcze bardziej szkodliwej trucizny. To jak balansowanie po linie, ale tyle razy okazywało się skuteczne, że doktor miał niemal stuprocentową pewność wygranej.

Michael siedział przy łóżku Mary w sali pooperacyjnej, trzymając jej dłoń. Przerażony był widokiem jej woskowo - bladej twarzy. Nie mógł odpędzić ciągle powracającej myśli, że nie żyje. Nieustannie powtarzał sobie, że potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Będzie polegała na jego sile, na tym, że pomoże jej przejść przez tę gehennę tak, jak ona pomogła mu przetrwać więzienie. Wtedy Mary uratowała jego, a teraz, na Boga, on zamierza uratować ją.

Busch i Jeannie wyszli ze szpitala. Przez całą drogę do domu nie odezwali się ani słowem. Siedzieli z Michaeliem, kiedy Mary była operowana, a godziny dłużyły się w nieskończoność. Powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia, żeby rozmowa była optymistyczna i podtrzymywała na duchu. Busch z dużym trudem zachowywał pozory optymizmu, bo tak naprawdę serce ścisnął mu strach. St. Pierre'owie byli Jeannie i Paulowi bliźsi niż wszyscy inni i to okrutne zrządzenie losu zupełnie ich rozbiło. Jednakże tym, co

martwiło Buscha najbardziej, było to okropne pytanie, które kiełkowało mu w głowie.

Byli dla siebie z Michaeliem czymś więcej niż tylko przyjaciółmi. Z czasem nabrali do siebie takiego zaufania, jakie nie łączyło Buscha z nikim innym oprócz żony. Michael był przy nim, kiedy jego małżeństwo przeżywało kryzys: Busch odsunął się od Jeannie z powodu pracy - nie było groźby rozwodu, raczej taka skaza na ich związku, normalna sinusoida miłości. Michael po prostu słuchał go, a tego właśnie Buschowi trzeba było najbardziej. Otwarcie się przed kimś przychodziło mu z trudem, od dziecka uczono go, że emocje są cechą kobiecą, a mężczyzna okazujący babskie uczucia zasługuje na politowanie. Kiedy więc Busch otwierał przed nim serce, Michael nigdy nie dopuścił do tego, że rozmowa stała się krepująca. Sam odzywał się wyłącznie wówczas, kiedy było to potrzebne Buschowi. Oczywiście problemy jakoś się rozwiązały, ale to przyjaźń Michaela pomogła im przetrwać ten kryzys.

Poza tym Michael mu ufał. To było oczywiste. Był zawsze szczery, kiedy rozmawiali o jego przestępczej przeszłości, o tym, w jaki sposób odkrył, że włamanie to swoista sztuka, coś na kształt rzemiosła, a także o jego odczuciach w więzieniu, które było dla niego karą gorszą niż piekło. Michael zawsze informował Buscha w swoich planach zreformowania życia, o szukaniu godnej szacunku pracy, o założeniu firmy specjalizującej się w zabezpieczeniach. Busch był też pierwszą osobą, do której zwrócił się, kiedy dowiedział się o chorobie Mary. I chociaż zachowywał stoicki spokój, Busch widział w jego oczach bezsilność - nie mógł zdobyć pieniędzy na jej leczenie. Dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Znowu powróciło dręczące pytanie: skąd Michael wytrzasnął pieniądze?

Michael siedział przy stole w jadalni i zapoznawał się z rozłożoną przed nim zawartością starej, czarnej aktówki: mapy, książki, szkice, dokumenty.

Watykan jest rozległy, państwo w państwie. Suwerenny kraj na obszarze stu dziewięciu akrów. Za jego ochronę odpowiada przede wszystkim Gwardia Szwajcarska, której powierzono ochronę Papieża i Pałacu Papieskiego. Nie jest to armia w tradycyjnym znaczeniu: ubrana w mundury polowe, z M16 przewieszonym przez ramię. To raczej starodawna, tradycyjna formacja ochrony. Jaskrawe, bufiaste uniformy zgodne były z kanonami mody z 1589 roku. Tuniki w niebiesko - złote paski, stosowne do nich pantalone, getry i czarne pantofle bardziej pasowałyby szekspirowskiemu aktorowi niż oficerowi wojska. A pikowane nakrycia głowy kojarzyły się Michaelowi z solniczką lub pieprzniczką, ozdobioną na czubku czerwonym piórem. Ze swoimi blisko dwumetrowymi halabardami gwardziści wyglądają na lepiej wyposażonych do zabijania smoków niż obrony kraju. Generalnie ich funkcje są bliższe tym, które pełni gwardia honorowa. Tak to przynajmniej widzą laicy, zastanawiający się często: „któż miałby oblegać Stolicę Apostolską”? Ale

Kościół wie lepiej, był bowiem przez wieki atakowany z różnych stron. Dotyczyło to zarówno bezpośrednich napadów fizycznych, jak i ataków naukowców, usiłujących wyjaśnić boski ład. Zdarzały się też ataki ze strony niewyjaśnionych sił duchowych. I dlatego, pomimo dziwnych strojów, Gwardia Szwajcarska to doskonale wyszkolona jednostka wojskowa. Jej funkcje są być może tradycyjne, ale umiejętności - ultranowoczesne. Gwardziści doskonale posługują się bronią, walczą wręcz, są przygotowani do odparcia ataków terrorystycznych. I choć blisko dwumetrowe halabardy wyglądają na czysto ceremonialne, w gruncie rzeczy są to ostre jak brzytwa kosy, których Gwardia Szwajcarska mistrzowsko używa i to już od 22 stycznia 1506 roku, kiedy to została sprowadzona do Watykanu przez wojowniczego papieża Juliusza II.

II Corpo di Vigilanza jest przysadzistym kamiennym budynkiem w północno - wschodniej części placu św. Piotra. Nic rzucającego się w oczy, zwykła, prosta bryła. Nie dałoby się jednak powiedzieć tego o jego wnętrzu. Sala dowodzenia przypomina pomieszczenie, jakie można znaleźć na lotniskowcu albo w bunkrach Pentagonu. To miejsce, w którym zderzają się dwa światy: zaawansowanej technologii i sztuki. Szybkie komputery Craya obok rzeźb Berniniego, elektroniczne mapy nad obrazami Rafaela. Jakby zepsuła się machina czasu. To kwatera Żandarmerii Papieskiej, czyli policji Watykanu. Współpracująca z Gwardią Szwajcarską policja odpowiada za bezpieczeństwo pałacu i ogrodów. O ile zaciąg do Gwardii Szwajcarskiej prowadzi się wyłącznie w armii szwajcarskiej, o tyle Żandarmerię Watykańską tworzą byli włoscy żołnierze. Połączone siły Gwardii Szwajcarskiej i Żandarmerii Watykańskiej są w gotowości przez całą dobę w odróżnieniu od sił bezpieczeństwa w innych krajach, są one lojalne nie tylko wobec swego państwa, ale i wobec Boga. Gdyby jakiś fanatyk chciał umrzeć za swoje przekonania, atakując Watykan, miałby przeciwko sobie armię gotową kolektywnie oddać życie za jeszcze silniejszą wiarę. Trudno byłoby też znaleźć bardziej zdyscyplinowaną armię na świecie.

Watykan był w końcu siedzibą Arcykapłana, Papieża, przywódcy Kościoła katolickiego i od czasu zamachu na życie Jana Pawła II w 1981 roku ochrona papieża i domu papieskiego zostały potrojone.

Interesujące Michaela przedmioty znajdowały się w Muzeum Watykanu, największym muzeum świata. Choć było tam wiele bezcennych skarbów, zabezpieczenia wydawały się pozornie minimalne: kamery, alarmy i, co pewien czas, patrole strażników. Ale prawdziwe zabezpieczenia są dziesięciokrotnie większe. Wejścia i drogi ewakuacyjne zabezpieczają po mistrzowsku ukryte detektory metalu, skanery izotopów radioaktywnych, filtry zapachów wykrywające akceleranty, materiały palne i toksyczne; sprzęt mogący rozpoznać wszystko,

poczynając od urządzeń nuklearnych i wybuchowego plastiku, po zwykły proch strzelniczy. Wszędzie znajdują się ukryte kamery, a monitory - w sali dowodzenia, gdzie są przez całą dobę uważnie obserwowane. Dodatkowo spacerują po obiekcie ubrani po cywilnemu strażnicy, obserwujący wszystko, co się dzieje.

Finster dokładnie wskazał miejsce, w którym znajdowały się klucze, pozwalając Michaelowi skupić uwagę wyłącznie na sposobie ich zdobycia. Ale Michael działał w tej branży wystarczająco długo, aby wiedzieć, że nie wolno ufać nikomu prócz siebie samego. Zobowiązał się wykonać to zadanie, co wcale nie znaczy, że choć przez moment ufał Finsterowi.

Przede wszystkim, zanim zgodził się na ten skok, sprawdził Finstera. To, czego się dowiedział, mogło wielu zaimponować. Finster był miliarderem, który przyjechał dziesięć lat temu ze Wschodnich Niemiec, przemysłowcem o cechach Midasa, który z powodzeniem działał w kilku dziedzinach. Michael wykorzystał swoje źródła i wiedział, że Finster nie był karany ani też nie brał udziału w żadnych głośnych sprawach w przeszłości. To typowy, odnoszący nadmierne sukcesy Europejczyk, który chciał tego, czego nie mógł zdobyć. Superbogacze zawsze chcieli tego, co jest poza ich zasięgiem i często byli gotowi wykorzystywać wszelkie środki, uważając nie tylko, że są ponad prawem, ale też że są kimś więcej niż zwykłymi ludźmi.

Mimo że sprawdzenie Finstera dało pozytywny wynik, Michael wcale nie zaczął mu bardziej ufać. Zamierzał weryfikować i potwierdzać wszelkie uzyskane od niego informacje na temat Watykanu. Badanie sytuacji było jednym z kluczy do sukcesu i zamierzał gruntownie sprawdzać wszystko, co dostarczał jego pracodawca. Ale żadna książka czy mapa nie była w stanie zapoznać go z codziennym życiem muzeum: godzinami napływu i odpływu turystów, zachowaniem strażników i księży. Jeśli miał z nimi wygrać, musiał nie tylko pokonać środki bezpieczeństwa Żandarmerii Watykańskiej i Gwardii Szwajcarskiej, ale także doskonale poznać zasady ich działania.

Michael sięgnął po dużą kopertę przyniesioną rano przez posłańca z hotelu Finstera. Wyciągnął małe pudełko, w którym znalazł telefon satelitarny. Aparat był większy niż zwyczajne telefony komórkowe: miał dwadzieścia centymetrów długości, sześć szerokości i blisko trzy centymetry grubości. Choć nieco za duży, miał jedną zaletę: można było z niego dzwonić z każdego miejsca na świecie. Finster załączył też notatkę: *Jest bezpieczny, możesz się ze mną kontaktować w wolnej chwili, żeby informować mnie o postępach, jakie poczynisz. Ale, co ważniejsze, możesz rozmawiać z niego z żoną, ponieważ, poza wszystkim, po to ci go przestalem.*

W kopercie było też dziesięć tysięcy dolarów, dwadzieścia pięć tysięcy euro i trzy platynowe karty kredytowe wystawione na trzy różne nazwiska. Gdyby coś poszło nie tak, będzie miał dostęp do pieniędzy, by kupić sobie powrót do domu. Poza tym znalazł trzy paszporty, także na trzy różne nazwiska; prawdziwy paszport odebrano Michaelowi w związku z zawieszeniem wykonania wyroku.

Wysypał resztę zawartości koperty: bilet na samolot do Rzymu, drugi z Rzymu do domu Finstera w Niemczech i na lot powrotny do Stanów Zjednoczonych. Do tego dołączony był plan podróży. W Rzymie miał się zatrzymać w leżącym nad Tybrem hotelu Bella Coccinni.

Miał siedem dni.

Mary leżała na szpitalnym łóżku ubrana w spodnie khaki i bluzkę w kwiaty. Po tygodniu standardowe ubranie szpitalne zaczęło ją męczyć i krępować. Dobrze się czuła w ubraniu, które przypominało czasy, kiedy była jeszcze zdrowa. Choć nadal była bardzo obolała po operacji, czuła ulgę na myśl o tym, że miała to już za sobą. Nie mówiła Michaelowi, ale przerażała ją perspektywa narkozy; bała się, że już nigdy się z niej nie obudzi.

Ponad miesiąc temu po raz pierwszy obudziła się z uczuciem, że jej zazwyczaj płaski brzuch jest nieco rozdęty. Miesiączka spóźniła się już sześć tygodni, poczuła się więc radosna jak skowronek i pobiegła do apteki po test ciążowy. Od lat marzyli o dzieciach. Ciągłe próbowali. Po wyjściu Michaela z więzienia przeszli liczne badania - stwierdzono, że byli płodni jak króliki. A mimo to nie zachodziła w ciążę. Wszyscy przekonywali, że muszą być cierpliwi, że wreszcie się uda. Minęły dwa miesiące, potem dwa lata. Ani specjaliści, ani zielarze, ani modlitwy - nic nie pomagało.

Ale teraz - była o tym przekonana - będzie inaczej. Mieli rację ci, którzy radzili cierpliwość - udało się. Czuła, że nosi w sobie nowe życie. Przez całą drogę powrotną z apteki myślała o tym, w jaki sposób zaskoczy Michaela. Przy obiedzie. Może da mu w prezencie zapakowaną grzechotkę? Albo tradycyjnie zacznie robić na drutach niemowlęce skarpetki, odpoczywając w fotelu na biegunach. Nie, potrzebny jest jakiś szczególny prezent, taki dla nich obojga.

W końcu zdecydowała się na książkę doktora Seussa. Michael lubi jego książki tak samo jak ona. Wybrała „Kto zje zielone jajka sadzone”, zapakowaną w kolorowy papier z małymi słonikami. Da mu to wieczorem, w łóżku. Najchętniej już by mu powiedziała, zaskoczyłaby go w pracy, ale chciała, żeby ta chwila była pamiętna. Michael uwielbiał dzieci. Planowali, że dorobią się sporej gromadki. Musieli przejść długą drogę, ale wreszcie się

udało. To dziecko będzie pierwszym z wielu.

Wróciła do domu, otworzyła opakowanie i poszła do łazienki. Był to nieprzyjemny proces, przechodziła go przedtem niezliczoną ilość razy, ale teraz miało być inaczej.

Odczekała wymagane pięć minut. I nic. Pomyślała, że popełniła błąd i jeszcze raz uważnie przeczytała instrukcję. W pudełku był jeszcze drugi test, poczeka godzinę i powtórzy, upewniając się, że postępuje krok po kroku zgodnie z instrukcją.

Wynik był negatywny. Miała ochotę płakać. Dlaczego pozwoliła sobie na tyle nadziei? Michael zrozumiałby to, ale wiedziała, że w głębi duszy byłby rozczarowany. Wyrzuciła książkę do śmieci. Postanowiła, że nic mu nie powie. Po co go obciążać? Jedno serce złamane tego dnia wystarczy.

A teraz siedziała w łóżku szpitalnym i wpatrywała się w rzeczy, które Michael przyniósł jej przed operacją. Pomiedzy ciasteczkami a kwiatami był prezent, który kupił, myśląc, że ją to rozweseli. W oczach zakręciły się jej łzy. To była książka „Kto zje zielone jajka sadzone”.

Telewizor miał wyłączoną fonię. Pełna ekspresji gestykulacja Jerry’ego Springera nie robiła takiego wrażenia, kiedy nie wspierał jej wzburzony głos. Michael pochylił się i pocałował Mary w usta.

-Będę musiał wyjechać na kilka dni.

-Dokąd? - zapytała z uśmiechem. Udało się jej ukryć rozczarowanie.

-Na południe. Muszę podpisać jakieś dokumenty i zrobić pewną pracę dla Rosenfielda, tego, który pomógł mi pokryć wydatki.

Zbyt łatwo przychodziły mu kłamstwa i Michael był tym zmartwiony. Miał nadzieję, że nie było tego widać. Rosenfield może i lubił Michaela, współczuł im, ale nic więcej. Powiedział, że mu przykro, ale nie może pożyczyć tak dużo, nie może podjąć aż takiego ryzyka.

-Czy on ci po prostu dał te pieniądze?

-Mówiłem ci już. To pożyczka pod zastaw mojej firmy i na poczet przyszłych prac dla niego.

-Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Nie sądziłam, że są jeszcze ludzie, którzy noszą w sercu dobroczynność. - Mary bezwiednie drapała bandaż, który osłaniał wenflon na jej ręce. - Nie wiem, jak mu dziękować.

-Już mu podziękowałem. - Michael wziął ją za rękę. Mary nie miała pojęcia, że ich sklep ledwie się trzymał. Wiedziała tylko, że co tydzień Michael przynosił do domu pieniądze i była z niego dumna. Uważała, że zbudował coś z niczego. - Muszę

wyjechać dziś wieczorem.

-Naprawdę musisz? - Lada moment miała rozpocząć chemoterapię, a z tego, czego się dowiedziała, leczenie dawało poważne skutki uboczne. Obawiała się przechodzenia przez to zdana tylko na siebie.

-Wiesz, że nie ma takiego miejsca, gdzie chciałbym być bardziej niż przy tobie.

-Mogę z tobą pojechać? - Był to bardziej żart niż prośba.

-Bardzo bym tego chciał. - Ja też.

-Ale musisz zacząć terapię.

- Wiem - przytaknęła, z cieniem rozczarowania w oczach. - Po prostu szukałam pretekstu, żeby się wyrwać. Na jak długo wyjeżdżasz?

-Mniej więcej na tydzień.

-Wracaj szybko - wyszeptwała, kiedy ją przytulił. Oboje narażali życie, ale nie okazywali strachu. Każde martwiło się bardziej o to drugie, niż o siebie samego.

Dennis Thal wszedł do przebieralni. Był zlany potem, wyglądał, jakby wskoczył w ubraniu do basenu. Marzył tylko o lodowatym prysznicu. Mecz w kosza jeden na jednego z Johnem Fergusonem, nowicjuszem wśród detektywów, skończył się naturalnie wygraną Thala, i to pomimo dwóch wybitych palców u lewej ręki. Cóż, on nigdy nie przegrywał. Nienawidził przegrywać.

Busch stał, niecierpliwie czekając.

Thal był w dobrej formie, miał smukłe i zgrabne ciało. Busch zazdrościł mu, ale wiedział, że to przywilej młodości. Z czasem i on, jak wszyscy, ulegnie efektowi frytki oraz działaniu grawitacji. Teraz przypominał śliczne, w czepku urodzone dziecko. Podobno był bogaty, miał spory fundusz powierniczy, a pracował jako funkcjonariusz policji, bo go to po prostu kręciło. Busch zaczął prowadzić na własną rękę drobne rozpoznanie i jeśli okaże się to prawdą, poprosi, żeby dzieciaka przeniesiono. Prawo to coś, czego nie egzekwuje się dla zabawy czy podniesienia sobie poziomu adrenaliny. Jeśli młody chciał sobie podnieść ciśnienie, może to robić kosztem kogoś innego. Egzekwowanie przestrzegania prawa to nie sport - przynajmniej dla Buscha to praca i nie zamierzał skończyć martwy tylko dlatego, że jakiś palant szukał podniety.

-O co chodzi? - spytał Thal, otwierając szafkę.

-Miałeś się ze mną spotkać na górze piętnaście minut temu.

-Och, przepraszam, nie chciałem cię wkurzyć. - Thal odgarnął z czoła mokry, brązowy kosmyk. - Daj mi trzydzieści sekund na prysznic i jestem gotowy.

Busch ruszył do wyjścia.

- Masz trzy minuty - zawołał.

Thal rozejrzał się: nie było nikogo. Zrzucił przepecone ubranie na podłogę, wziął ręcznik i wskoczył pod prysznic. Namydlił się i zgodnie z danym słowem po trzydziestu sekundach wyskoczył spod lodowatej wody. Jego motto to sprawność. Nie ma sensu tracić czasu, kiedy są ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Uczesał się, wciągnął spodnie, przetarł buty wilgotnym ręcznikiem, potem wyjął z szafki świeżo wyprasowaną białą koszulę i szybko ją wciągnął. Nie był wstydlivy, po prostu nie chciał, żeby Busch, czy ktokolwiek inny, zobaczył jego prawe ramię. Zdawał sobie sprawę z tego, że pomimo koszuli Ralfa Laurena i mokasynów od Cole Haana, nie był tym, za kogo chciał, żeby go brano.

Poza tym wiedział, że tatuaż zwróciłby uwagę Buscha: czarna czaszka z różami wyrastającymi z połamanych kości byłaby dowodem, że słusznie go podejrzewał. Był to głupi wybryk szesnastolatka, który chciał być *cool* i dopasować się do reszty. Ale nie wyszło. Tatuaż za trzysta pięćdziesiąt dolarów zachwycał go bezpośrednio po zrobieniu, ale teraz nie pozostało już nic z pięknych artystycznych linii, za które zapłacił. A blizna po spalonej tkance przyjęła postać groteskowego paskudztwa, którego Thal nie mógł już usunąć.

Gdyby Busch zobaczył tatuaż, zaczęłyby zadawać pytania. Takie, na które Thal nie mógłby odpowiedzieć. Zbyt ciężko pracował nad swoim nieskazitelnym wizerunkiem, a coś tak niestosownego musiałoby wzbudzić u doświadczonego gliniarza, jakim był Busch, coś więcej niż tylko ciekawość. A nie po to detektyw Dennis Thal zadał sobie tyle trudu, aby przydzielono go do Buscha, by ten go rozszyfrował. Miał do wykonania zadanie i nie zamierzał sprawić zawodu swojemu pracodawcy.

*

Sterna akt po lewej stronie sięgała jakichś trzydziestu centymetrów i była sporo niższa od tej po prawej. W ciągu ostatnich pięciu minut stopy zmieniły wysokość, ponieważ Busch bezmyślnie wyciągał kolejne brązowe teczki, udawał, że je przegląda, po czym kładł po drugiej stronie biurka. Jego zwolniony warunkowo podopieczny spóźniał się już piętnaście minut - co nigdy przedtem się nie zdarzało - i Busch zaczynał być niespokojny.

- Czy niestawienie się na obowiązkowe spotkanie nie jest naruszeniem zwolnienia warunkowego? - zapytał Thal, kiedy usiadł wyprostowany, jakby połknął tyczkę, na krześle obok biurka Buscha.

Busch nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. To on decydował, a nie Thal. Właśnie zamierzał mu to uświadomić, kiedy nagle usłyszał dobiegający spod papierów stłumiony dzwonek telefonu.

Odsunął część akt i podniósł słuchawkę.

-Busch, słucham.

-Cześć, to ja. - Michael robił wrażenie, jakby z trudem łapał oddech.

-Wszystko w porządku?

Thal spojrzał pytająco, Busch szybko zmienił więc ton.

-Spóźniasz się już piętnaście minut. - Nie zamierzał informować Thala o swojej przyjaźni z Michaeliem. Wyczuwał, że ten odwróciłby kota ogonem i wykorzystał informację przeciwko niemu.

-Przepraszam, musiałem załatwić parę spraw dla Mary.

-Ja ona się ma? - zapytał Busch dość lakonicznie.

-Dzielnie się trzyma. Dziś po południu zaczyna chemię. - Michael uświadomił sobie zmianę w głosie przyjaciela. - Nie jesteś sam?

-Taa... - Teraz już wiedział, że wszystko jest jasne. - Słuchaj, powinieneś już tu być, miałeś wyznaczone spotkanie. Opuszczenie go nie wchodzi w rachubę.

-Nie chciałem postawić cię w trudnej sytuacji. - Michael zrobił pauzę. - Ale muszę na parę dni wyjechać.

Busch poczuł, że dosłownie sztywnieje.

-Na jak długo?

-Na tydzień.

-Dlaczego? - Bał się zadać to pytanie, ale musiał odgrywać swoją rolę funkcjonariusza aparatu przymusu.

Michael przyciskał do ucha słuchawkę, patrząc jednocześnie na rozłożone na stole plany Watykanu.

- To ma związek ze sfinansowaniem leczenia Mary. Dostałem zamówienie dotyczące zabezpieczeń.

Busch nie kupił tego. Przyjaciel czy nie, ale wiedział, że Michael wprowadza go w błąd. Dowie się prawdy, tyle że najpierw musi zgubić Thala.

-Kiedy?

-Muszę wyjechać dziś wieczorem.

-Ale najpierw musimy się spotkać. - Obaj wiedzieli, że Michael nie może przekroczyć granic stanu bez zezwolenia Buscha.

-Nie wiem, czy będę miał dość czasu.

-Musisz. - Busch postawił sprawę całkiem jasno. Nigdy przedtem nie rozmawiał z Michaeliem tym tonem. Chciał wiedzieć, a Michael zdawał sobie z tego sprawę, że

winien mu jest wyjaśnienia. Spotka się z nim, ale nie może mu teraz powiedzieć prawdy. W tym wypadku prawda pozbawiłaby go wolności.

Busch i Michael stali za parkanem boiska, na którym rozgrywał się właśnie mecz Małej Ligi baseballa. Kije wydawały się większe od grających dzieciaków. Busch był tu trenerem; uwielbiał sport w każdej postaci i chciał przekazać wszystko, co wie, swojemu synowi. Robbie Busch grał w drugiej bazie, zwarty i gotowy, zdeterminowany nie przepuścić żadnej przelatującej obok piłki. Mężczyźni nie patrzyli na siebie, zmuszając się do obserwowania dzieciaków na boisku.

-To dokąd się wybierasz?

-Do Wirginii, do Fredericksburga.

- Na siedem dni?

- Tak.

Uderzający stał na stanowisku, a jego zaledwie metrowe ciało było sprężone i gotowe do działania. I choć nie trafił, nie miało to znaczenia, bo te dzieciaki rzucały się do każdej piłki. Trzy rzuty, trzy uderzenia i pierwszy uderzający zбитy.

-Pozwól mi pojechać z tobą, mam trochę wolnego. We dwóch zrobimy to o połowę szybciej.

-Nie, poradzę sobie. To głównie robota techniczna, instalacyjna.

-Fatalny moment na wyjazd.

-Taką zawarłem umowę.

- A co to za umowa?

Michael spojrzał na Paula; obaj wyraźnie źle się czuli w tej podstępnej grze.

- Standardowy kontrakt.

Jeden z malców strzelił piłkę do trzeciej bazy. Bazowy w trzeciej usiłował wykonać rzut, ale spadła za blisko. Biegacz przebiegł pierwszą, kierując się do drugiej bazy. Chudy jak patyk rzucający złapał piłkę i rzucił do Robbiego, który złapał ją i pogonił do drugiej bazy, ramię w ramię z biegaczem, wyciągnął się do przodu, sięgając jak najdalej swoją krótką łapką, i zrobił dotknięcie.

- Doskonale, Robbie!

Robbie uśmiechał się szeroko do ojca. Kiedy następny rzucający wszedł do bazy, Busch spojrzał na Michaela.

- Gdzie zdobyłeś pieniądze na leczenie Mary? - zapytał poważnym tonem.

Michael uparcie wpatrywał się w grających.

- Pomógł mi jeden z moich klientów. Nie lubił być przyciskany do muru. - Ten z

Wirginii.

- Kto?

Michael zignorował pytanie.

-Zlecił mi pewną pracę i pomógł wziąć pożyczkę.

-Chyba mówiłeś, że nie masz wiarygodności kredytowej. - Rozmowa zaczynała przypominać przesłuchanie.

-Bo nie mam.

-To jak ktoś niewiarygodny może dostać pożyczkę?

- Musi mieć ofiarodawcę. - Michael spojrział prosto w twarz Buscha. - Kogoś, kto mu ufa. Dokąd ma nas zaprowadzić ta rozmowa?

- Ty mi to powiedz, Michael. Dokąd nas to zaprowadzi?

Michael po prostu wpatrywał się w niego. Nie mógł zrobić nic innego. Wiedział, że jeśli to przesłuchanie potrwa dłużej, to się sypnie, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Musiał być skoncentrowany; dziewięćdziesiąt dziewięć procent roboty polegało na tym, żeby nie dać się złapać, a Michael bał się, że to się właśnie zaraz zdarzy.

-Zaopiekujesz się Mary, kiedy mnie nie będzie?

-Przecież wiesz, że to zrobię - warknął Busch. Zaczynała go ogarniać wściekłość. Michael krył się za plecami żony. A teraz odwrócił się i zamierzał odejść...

-Nie zmuszaj mnie do zrobienia tego, co należy do moich obowiązków.

Michael nie odpowiedział, wszedł do samochodu, uruchomił silnik i powoli ruszył.

Michael jechał Mapie Avenue. Wziął ze sobą tylko lekki bagaż podręczny: letnie ubrania i wypchaną czarną aktówkę. Narzędzia i wszystko, co będzie mu potrzebne, zorganizuje sobie już we Włoszech. Nie miało sensu narażać się na niepotrzebne pytania przy odprawie celnej.

Przed odjazdem próbował dodzwonić się do Mary, ale spała. Lekarstwa, które jej dawali, pomagały nie tylko uśmierzyć, ale i przespać ból. Choć już wcześniej się z nią pożegnał, chciał jeszcze raz usłyszeć jej głos, zanim samolot wzbije się w powietrze. Miała to być pierwsza noc, którą spędzą osobno od czasu warunkowego zwolnienia. Pękało mu serce. Już raz zostawił Mary samą, i to na trzy i pół roku, które spędził w więzieniu. Obiecał jej, że nigdy więcej tego nie zrobi i oto znowu będzie sama w najtrudniejszych dla niej chwilach. Powtarzał sobie jednak w myślach: ta praca, to co innego, tu nie chodzi o zysk czy stawienie czoła wyzwaniu.

Poprosił sąsiadkę, panią McGinty, żeby karmiła i wyprowadzała przez ten czas Hawka, a starsza pani chętnie się zgodziła. Nie przyjęła nawet pieniędzy, które Michael jej

zaferował w zamian za przysługę. Miała też przechować przez tydzień CJ w swoim mieszkaniu. Cieszyła się nawet, że będzie miała towarzystwo, ponieważ w ciągu ostatniego półrocza straciła i męża, i swojego kota Charlesa. Była więc zadowolona, że znowu będzie mogła się kimś zająć.

Michael wjechał na parking długoterminowy i zapłacił za siedem dni z góry. Kiedy zamykał bagażnik, zauważył zielone torino jadące powoli po zewnętrznej stronie ogrodzenia parkingu. Zauważył go już na autostradzie; zawsze podobały mu się takie mocne samochody, toteż ten od razu rzucił mu się w oczy. Początkowo nie zwrócił większej uwagi na samochód, ale jego ciekawość wzrosła, kiedy auto jechało za nim skrótami w stronę lotniska. A teraz obserwował je przejeżdżające wzdłuż parkingu.

Zamknął samochód i ruszył w stronę terminala. Torino już się więcej nie pokazało i Michael zaczął trochę spokojniej oddychać. To wszystko paranoja. Od blisko sześciu lat nie robił już skoków i zapewne stał się nadmiernie ostrożny. Podszedł do okienka kontroli biletów, przed którym nie było nikogo. Ładna kobieta z południowym akcentem wzięła od niego bilet.

- Czy ma pan jakiś bagaż do kontroli, panie McMahon?

- Tylko torbę podręczną - odparł Michael. Występując pod przybranym nazwiskiem popełnił pierwsze przestępstwo, łamiąc tym samym warunki zwolnienia.

Urzędniczka podstemplowała bilet i skierowała go do punktu kontroli bezpieczeństwa lotu.

Busch zaczynał się czuć fatalnie. Śledził Michaela, nie wiedząc, jaki miało to cel ani co mu powie, jeśli się na niego natknie. Michael postąpił zgodnie z procedurą i to od Buscha zależało, czy pozwoli mu opuścić stan, czy nie. Wszedł do hali lotniska z postanowieniem, że po prostu pożegna Michaela, dając mu pozwolenie na wyjazd. Zaufa mu.

Po meczu odesłał syna i Jeannie do domu, uprzedzając żonę, żeby nie czekała. Potem pożyczył torino od asystenta.

Nie miał ze sobą broni, bo Jeannie narzuciła pewną zasadę. Rozsądną i, biorąc pod uwagę obecne czasy, roztrofną. Jego żona absolutnie nie zgadzała się na to, żeby w pobliżu dzieci była jakakolwiek broń. Mógł wprawdzie wstąpić do domu i zabrać ją z sejfku, razem z portfelem i odznaką policyjną, ale nie widział takiej potrzeby.

Michael szedł przez halę. Przewieszona przez ramię torba z ubraniami uderzała go w udo w rytm kroków. Czarna aktówka, którą niósł w prawej ręce, była ciężka. Doszedł do bramki kontroli bezpieczeństwa lotów, pokazał bilet, opróżnił kieszenie i umieścił bagaż na pasie transmisyjnym skanera. Kiedy przechodził przez bramkę, włączył się alarm. Zamarł, a

przez głowę przeleciały mu wspomnienia z chwili, kiedy go aresztowano. Musieli go namierzyć, pomyślał, jest załatwiony. Przed wyjściem z domu upewnił się przecież, że nie ma nic zabronionego ani w bagażu, ani na sobie i nie mógł pojąć, skąd ten sygnał. Strażnicy podeszli, żeby go przeszukać. Jeszcze raz wytrząsnął wszystko z kieszeni i odetchnął z ulgą kiedy znalazł jakąś zabłąkaną pięciocentówkę. Cofnął się i ponownie przeszedł przez bramkę. Tym razem był czysty. Mógł iść dalej.

Kiedy Busch dotarł do punktu kontroli, Michael szedł już korytarzem w kierunku wyjścia do samolotu. Zanim pomyślał, co powinien zrobić, poproszono go o bilet. Oczywiście nie miał. Tłumaczył, że jest funkcjonariuszem policji, wykonującym czynności służbowe, ale zapytali o identyfikator, którego też nie miał. Pozostało mu tylko obserwowanie Michaela wtapiającego się w tłum pasażerów zmierzających do różnych wyjść. Nie pozostało mu nic innego jak pozwolić Michaelowi odlecieć. Porozmawia z nim za siedem dni. Ale wtedy właśnie zauważył tablicę: ODLOTY MIĘDZYNARODOWE.

Od tej chwili Michael stał się uciekinierem.

Mężczyzna stojący w cieniu na płycie lotniska obserwował, jak 747 wzbija się w nocne niebo. Człowiek ten był sam i wyraźnie nie był pracownikiem linii lotniczych. Kiedy samolot nabrał już wysokości, odwrócił się i poszedł w stronę hangaru. Przeszedł obok pracowników serwisu i wózków na bagaż, a nikt nie zwracał na niego uwagi, jakby był jednym z nich albo miał specjalną przepustkę.

Przeszedł przez drzwi i dalej, tunelem bezpieczeństwa. Strażnik w niebieskim mundurze spojrzał zaskoczony na nieznanego, ale kiedy ten mignął mu przed oczami odznaką policyjną, wszystko stało się jasne.

Dennis Thal uśmiechnął się, życzył dobrej nocy i wyszedł na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 8

Kelnerka o kruczoczarnych włosach postawiła cappuccino na stole obok papierów, nad którymi pracował Michael. Była to już druga filiżanka tego wspaniałego napoju. To, co dają w Starbucks, nawet się nie umywa do oryginalnego włoskiego.

Kawiarenka Bourgino's znajdowała się tuż za murem Watykanu przy Via del Campiso, cichej, rzymskiej uliczce brukowanej kocimi łbami. Przez ostatnie dwa dni był to cel jego wypraw: lokal był mały, leżał z dala od szlaków turystycznych, a klientelę stanowiła mieszanina miejscowych i imigrantów. Jego obecności nikt więc nawet nie zauważał. Na szczęście wygląd odziedziczył przede wszystkim po rodzicach Irlandczykach, toteż ze swoimi ciemnymi włosami i ciemną karnacją mógł być uważany za Włocha.

Spędzał czas, poznając ulice i alejki, przy czym nieocenionym narzędziem była jego niesamowita pamięć. Zapamiętywanie budynków, systemów zabezpieczeń i tras już po pierwszym przejściu pozwalało mu przeznaczyć więcej czasu na rozwiązywanie problemów i szczegółów zadania i niemal zawsze gwarantowało sukces.

Michael zapoznał się z każdą istotną publikacją na temat Watykanu i jego zbiorów, ale nic z tego, co przeczytał, nie przygotowało go na aż taki przepych, jaki dostrzegał, spacerując po Via delia Conciliazione. Ogromna Bazylika Św. Piotra przerosła wszystkie jego wyobrażenia. Na placu św. Piotra zmieściłyby się prawie trzy boiska do futbolu, a podczas mszy papieskich bywało tam nawet sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Plac otaczają dwie półkoliste kolumnady, rozchodzące się od bazyliki niczym rozłożone w powitalnym geście ramiona. Tworzy je 248 kolumn doryckich zaprojektowanych przez Berniniego, każda dwunastometrowa, a ustawione są w czterech rzędach wokół całej, dziesięcioakrowej otwartej przestrzeni. Kiedy Michael spojrział w górę, nie mógł pozbyć się wrażenia, że znalazł się nagle przed sądem niezliczonych marmurowych świętych, stojących na szczycie kolumnad i spoglądających w dół na plac.

Na środku placu stoi obelisk sprowadzony do Rzymu w roku 37 przez cesarza Kaligulę. Zwieńczeniem tej ponad dwudziestopięciometrowej struktury jest krzyż i złota kula, o której mówi się, że kryje zwłoki Juliusza Cezara. W każdym innym mieście taki starożytny obelisk stanowiłby główną atrakcję turystyczną, ale tutaj ma znaczenie zaledwie drugorzędne. Watykan tworzy zupełnie inny świat, relikwini niemal zapomnianej historii, baśń z przeszłości. Święte Miasto wykracza poza możliwości wyobraźni człowieka. To wspaniałe osiągnięcie największych artystycznych umysłów, jakie kiedykolwiek żyły. Choć Michael,

przygotowując się, poznawał historię tego miasta, jego architekturę i zbiory, nie był w stanie uświadomić sobie tego wszystkiego, dopóki nie zobaczył. W Stanach Zjednoczonych był bez reszty skoncentrowany na ratowaniu życia Mary i traktował tę swoją misję po prostu jak kolejny budynek do pokonania, kolejny system zabezpieczeń do rozbrojenia, kolejną komendę policji do przechytrzenia. Nie był przygotowany na wspaniałość świata, do którego wkroczył.

Kopuła Bazyliki św. Piotra jak ogromna, wysadzana klejnotami korona sięga nieba. Przed szerokimi schodami wejściowymi stoi wielki pomnik świętego Piotra z mieczem w dłoni, broniącego Kościoła przed tymi, którzy chcieli mu zaszkodzić. Po lewej stronie jest równie duży, marmurowy posąg tego pierwszego papieża, trzymającego w dłoni pęk kluczy.

Wszędzie wokół siebie Michael widział geniusz architektoniczny. Ogromny, imponujący mur otaczający Watykan ma wysokość od dwunastu do trzydziestu metrów, a jego średniowieczna konstrukcja jest w stanie odeprzeć atak nawet współczesnej armii. Jest tu wszystko, co powinno zapewniać państwo, nawet takie, które ma nieco tylko ponad sto akrów: banki, urzędy pocztowe, rozgłośnia radiowa, gazeta, a nawet lądowisko dla helikopterów. Państwo to ma także własną walutę, sądownictwo, a na jego czele stoi jedyny w Europie monarcha absolutny. Choć Watykan z zadowoleniem przyjmuje turystów w tradycyjnych, sławnych miejscach, większość Stolicy Apostolskiej jest odizolowana; do otoczonej murami enklawy dostęp mają tylko nieliczni wybrani.

Michael spędził dwa dni na placu św. Piotra, w Kaplicy Sykstyńskiej, w licznych muzeach, fotografując i obserwując, poznając i planując. Dopóki nie rozpoczął swoich badań, nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów papieskich dóbr kulturalnych. W Watykanie istnieje kompleks dwunastu muzeów, jak niektórzy twierdzą, największy na świecie, chociaż o tytuł ten spierają się Luwr i Smithsonian. Muzeum Watykańskie obejmuje 1400 sal, a korytarze mają w sumie ponad sześć kilometrów. Zwiedzający może spędzić tu cały rok, a i tak nie zobaczy wszystkich zbiorów, gromadzonych przez dwa tysiące lat. Muzea te są w stanie zaspokoić wszelkie zainteresowania: w dziedzinie sztuki etruskiej, rzeźby klasycznej, archeologii, zabytków bliskowschodnich, malarstwa renesansowego, ksiąg, map, rękopisów, gobelinów i mebli. Są tu skarby, jakich nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, i cenne przedmioty kolekcjonowane przez ludzi na całym świecie. Od ponad stumetrowej Galerii Map, przez pełną klasycznych rzeźb rzymskich Galerię Kandelabrow, po wypełnione mumiami i sarkofagami Muzeum Egipskie - na każdym centymetrze kompleksu muzealnego znajdują się jakieś najbardziej cenione na świecie, wyjątkowe obiekty.

Choć Michael słyszał przede wszystkim o Kaplicy Sykstyńskiej i arcydziele Michała

Anioła, to znaczy zdobiącym ją suficie, zdumiony stwierdził, że ściany boczne to także prawdziwe dzieła sztuki. Najwięksi artyści swoich czasów: Perugino, Botticelli, Ghirlandaio, Rosselli stworzyli wspaniałe freski biegnące przez całą długość kaplicy. W innych miejscach można znaleźć całe sale pomalowane przez artystów tej miary, co Rafael, Pinturicchio i Signorelli, a niektóre z nich uznawane są za życiowe osiągnięcia twórców. I choć sufit Kaplicy przyćmił inne dzieła, pomniejszając ich sławę, nikt nie wątpi, że są doskonałe.

Ogromne zbiory w pierwszej chwili przytłoczyły Michaela, ale szybko odzyskał formę i zaczął zwracać szczególną uwagę na sekcję zwaną Museo Storico - Aristicoe e Tesoro. Znany jako Zakrystia i Skarbiec, ten dziesięciosalowy kompleks przylega do bazyliki Św. Piotra i kryje wiele najwspanialszych relikwii imperium chrześcijaństwa i państwa papieskiego: Crux Vaticana, zawierająca fragmenty krzyża Chrystusa, niezliczone relikwiarze, inkrustowany brylantami Kielich Stuarta, darowany przez króla Anglii Henryka IV. Rękopisy i dekryty przyjmowane przez kolejnych papieży, pastorały, krucyfiksy i broń. Jest tam również sekcja szczególnie interesująca Michaela, poświęcona pierwszemu papieżowi, a prezentowane są w niej zabytkowe przedmioty z czasów, kiedy Piotr chadzał po ulicach Rzymu: kopia krzesła św. Piotra i zardzewiałe łańcuchy, którymi był spętany przed ukrzyżowaniem przez cesarza rzymskiego Nerona. Ale największą uwagę Michaela przyciągał otoczony czcią róg sali, w którym stała jedna tylko gablota. Postument wykonany był z hebanu, ciemnego drewna, które wtapiało się w otaczający je cień, ale ostro kontrastowało ze szklaną gablotą, którą wspierało. Gablota miała sześćdziesiąt centymetrów kwadratowych i zrobiona była ze szkła o grubości półtora cala. Zainstalowana na suficie punktowa lampka oświetlała purpurową poduszkę, na której leżały klucze - cel misji Michaela. Klucze były prostej budowy, odzwierciedlającej ich wiek: dwa tysiące lat. Wręczone Świętemu Piotrowi przez Jezusa stały się dla milionów ludzi symbolem papieża i jego papieskich spadkobierców, przywódców Kościoła, założonego przez Chrystusa. Przed wszystkim występowały na papieskim herbie. Dla Michaela miały jednak inne znaczenie: były jedyną szansą uratowania umierającej żony.

I choć niegdyś pełniły konkretną funkcję, dzisiaj najwyraźniej wystawiano je w celu inspirowania nabożnego lęku. Srebrny i złoty klucz - klucze do dalszego życia Mary.

Jak oszacowano, w obrębie murów Stolicy Apostolskiej zgromadzone są dzieła sztuki, antyki, złota i srebrna biżuteria wraz z tytułami własności do dóbr kościelnych na całym świecie o łącznej wartości przekraczającej czterdzieści miliardów dolarów. Żaden kraj nie ma tak wielkiego majątku skoncentrowanego na tak małym obszarze. I z tego powodu środki zabezpieczające w Watykanie nie mają sobie równych na świecie.

Wszystkie wejścia są monitorowane zarówno przez strażników, jak i elektronicznie. Współcześni architekci rywalizowali z dawnymi mistrzami Watykanu pod względem pomysłowości. Ich projekty zabezpieczeń, choć najnowocześniejsze, przeważnie są niewidoczne. Tak więc ukryte są nie tylko wykrywacze metalu, ale i czujniki radioaktywne oraz elektroniczne czujniki wykrywające bomby. Schowane bądź nie, wszystkie nieustannie szukały zagrożenia: noży, strzelb, środków wybuchowych, nawet materiału nuklearnego.

Żołnierze Gwardii Szwajcarskiej ustawieni byli przy każdym wejściu i punkcie kontroli, ale to nie oni powodowali, że Michael wstrzymywał oddech. Gorsza była policja watykańska, spacerująca między turystami i wtapiająca się w tłum - tacy strażnicy bez mundurów. Ich fryzury, sposób, w jaki chodzili i przystawali, był czytelny dla doświadczonego obserwatora. Wchodzili w tłum i wychodzili z niego w sposób pozornie przypadkowy, ale po bliższej obserwacji można było dostrzec wzorzec. W każdej sali muzeum zawsze było ich co najmniej dwóch. Kiedy jeden wychodził, zjawiał się następny. Ich przemieszczanie się było zsynchronizowane co do sekundy. I wszyscy oni cały czas obserwowali otoczenie. Czuwali w oczekiwaniu na jakiegokolwiek najdrobniejsze choćby zagrożenie dla bezpieczeństwa tego wyjątkowego królestwa. W Zakrystii i Skarbcu było dziewięć kamer stacjonarnych, które obejmowały swym zasięgiem klucze i cały teren, którego dotyczyły plany Michaela. Kamery były wspaniale ukryte w ścianach tak, aby nie zakłócać atmosfery, ale Michael dobrze wiedział, że śledziły każdy jego ruch. Kiedy zwiedzał salę, nie tylko po to, żeby ją zapamiętać, ale i sfilmować - robił dokładnie tyle zdjęć, co przeciętny turysta. Zrozumiał, że wykonanie zadania będzie wymagało czegoś więcej niż tylko doświadczenia i pomysłowości. Jeśli miał dokonać niemożliwego i uratować w ten sposób swoją żonę, będzie musiał wykazać się wyjątkową inwencją.

- Halo - głos Mary, tak wyraźny, jakby znajdowała się w sąsiednim pokoju, sprawił Michaelowi ogromną radość. Telefon satelitarny, który dał mu Finster, był zdumiewający. Masywniejszy niż telefon komórkowy i wyraźnie odznaczający się w kieszeni, zapewniał jednak doskonały odbiór.

-Co słychać?

-Najpierw ty. Jak się masz?

-Dobrze.

-Jak leczenie?

Mary rozpoczęła chemoterapię w dniu wyjazdu Michaela, ale przez ostatnie cztery dni była zbyt słaba, aby zdobyć się na cokolwiek więcej niż tylko szept. Dziś, po raz pierwszy przypomniała dawną Mary.

-Przygotowują człowieka na najgorsze, a potem okazuje się, że wcale nie jest tak źle. - Jej głos był optymistyczny, pełen werwy. - A jak ty się masz? - zapytała.

-Wspaniale. Wszystko idzie dobrze, szybciej, niż myślałem. Mam nadzieję, że uda mi się wrócić o dzień albo dwa wcześniej. - Michael czuł ulgę, że przynajmniej w tej chwili nie kłamie.

-Tak sobie marzę, że może uda nam się wyjechać gdzieś na kilka dni, żeby pobyć trochę razem.

-Byłoby cudownie. Masz wszystko, co ci jest potrzebne?

-Jeannie przychodzi codziennie. Przyniosła mi mnóstwo twojego ulubionego śmieciowego jedzenia i całą kolekcję nieprzyzwoitych książek. Wpadł też Paul, przywiózł mi kilka obrazków namalowanych przez dzieci i był tak miły, że zabrał trochę tego, co przygotowałam do szkoły.

-W jakim był humorze?

-Dobrym. Czemu pytasz?

-Chyba go wkurzyłem.

-Michael... - powiedziała to tonem, jakim mówi rozczarowana matka.

-Zaoferował się, że pojedzie ze mną, a ja to odrzuciłem.

-Dlaczego? - W jej głosie zabrzmiała nutka smutku. - Chciał być po prostu miły.

-Myślę, że miał jakieś podejrzenia i wolał mieć mnie na oku.

-Jesteś przewrażliwiony. Wydawał mi się w dobrym nastroju. Powiedział, że bardzo czeka na twój powrót, że twój zespół przegrał dwadzieścia jeden do sześciu z powodu braku najlepszego rozgrywającego i że zamierza wyładować na tobie cały swój gniew i frustrację.

- Nie wątpię - odparł Michael.

- Michael, Paul jest twoim najlepszym przyjacielem i wierzy ci.

Mary, wieczna optymistka, walczyła wprawdzie o życie, zaczęła jednak coraz częściej myśleć o śmierci jako o ucieczce od przeraźliwej męki, która niszczyła jej ciało. Nigdy nie przyznałaby się Michaelowi, przez co przechodziła. Ból spowodowany chemoterapią był znacznie gorszy, niż przypuszczała. Ale za każdym razem, kiedy myślała o umieraniu, szybko odmawiała modlitwę, prosząc Boga o wybaczenie. Z całych sił pragnęła żyć. Żyć i cieszyć się życiem, doświadczać świata, doceniając te wszystkie rzeczy, które uznawała za naturalne, kiedy jeszcze uważała się za nieśmiertelną. Michael także walczył o jej życie, dlatego myśli o śmierci uznawała za zdradę. Przetrwaj ten koszmar, nie może sprawić Michaelowi zawodu.

Warsztat śmierdział smarami i olejami. Ich opary unosiły się z pokrytej plamami

betonowej podłogi. W rogu stały dwa rozebrane na części fiaty, ich silniki zwisały na łańcuchach z sufitu. Michael stał z tyłu, przy otwartym oknie, dzięki czemu mógł znieść zapach tego, co gotował na palniku. Nie były to opary toksyczne, ale słodki zapach kontrastował ze smrodem panującym w warsztacie, a on nie chciał zwracać na siebie uwagi. Wszystkie składniki kupił w supermarkecie, w sklepie z artykułami dla plastyków i w pobliskiej aptece: kulki na mole, gorzka sól, farby i cukier, produkty codziennego użytku. Michael wymieszał je i miksturę podgrzał do pięćdziesięciu pięciu stopni. Potem gęstą masę uformował w kulki, które pomalował na brązowo. Gotowe wsypał do pustego pudełka po pralinkach mlecznych i położył obok pudełka po batonach.

Warsztat wybrał jeszcze przed wyjazdem ze Stanów; zakład specjalizował się w naprawach fiatów i alfa romeo, a jego sześć - dziesięciopięcioletni właściciel cieszył się doskonałą opinią, zwłaszcza jeśli chodziło o usuwanie śladów poprzedniego właściciela pojazdu. Michael poszedł tam zaraz po wylądowaniu. Attilio Vitelli typowy mechanik w dawnym stylu, reperował właśnie skrzynię biegów na podjeździe przed warsztatem. Stał i w milczeniu słuchał, kiedy Michael wyjaśniał mu, że rozpaczliwie potrzebuje dostępu do tokarki i kilku narzędzi. Przywiózł oto bardzo drogie urządzenie wideo, które zostało uszkodzone wskutek lekkomyślności bagażowych, a sprowadzenie z Japonii części, potrwałoby miesiąc. Jeśli za kilka dni nie będzie miał sprawnego sprzętu straci pracę. Michael miał na sobie zieloną wiatrówkę i czapkę New York Yankees, a dzięki małym okularkom w złotej ramce wyglądał na niegroźnego inteligenta.

Vitelli patrzył na niego przez minutę, wycierając w starą szmatę ubrudzone smarem ręce. Michael pomyślał, że być może właściciel warsztatu nie zna tak dobrze angielskiego, jak się chwalił.

- A umie pan obchodzić się z tokarką? - spytał wreszcie.

- Tak. Czy mógłbym skorzystać z pana narzędzi?

Vitelli popatrzył na Michaela i wsunął się z powrotem pod maskę, wracając do pracy.

- Zapłacę panu pięćset euro i byłbym tu nie dłużej niż pięć godzin - kontynuował Michael. Nie chciał proponować wygórowanej zapłaty, mógłby tym bowiem wzbudzić jeszcze większą podejrzliwość Włocha.

- Mój mechanik za godzinę pracy dostaje 120 - powiedział Vitelli, nie odrywając się od pracy.

-Dobrze.

-Pracuje pan tylko wtedy, kiedy ja jestem w warsztacie, a jeśli jakieś narzędzia będą mi potrzebne, oddaje mi je pan natychmiast. - Wysunął głowę spod samochodu. - Ten

sprzęt, to aparat fotograficzny?

Michael zacisnął usta i pokiwał potakująco głową.

- Obiecuję, że nie będę panu przeszkadzał - zadeklarował.

Na stole roboczym w warsztacie Vitelliego leżał notebook Michaela. Na ekranie widoczna była cyfrowa sieć nałożona na różne ujęcia dwóch kluczy oraz gabloty i sali muzealnej. Obok komputera leżały owoce pracy Michaela. Perfekcyjnie dopracowane na tokarce, każdy kawałek wypieszczony i wypolerowany, każdy przedmiot bezbłędnie skonstruowany. Od czasów dzieciństwa Michael znacznie rozwinął swoje umiejętności. Potrafił z metalu i plastiku zrobić niemal wszystko, od sztucznej biżuterii po skomplikowane urządzenia mechaniczne. Mary zawsze przechwalała się wobec przyjaciół, że „Michael ma niesłychane uzdolnienia manualne”.

Vitelli wszedł do warsztatu tylko dwa razy, za każdym razem bez słowa brał narzędzia i wychodził. Ignorował Michaela, zupełnie jakby był jego pracownikiem, i pozwalał mu bez przeszkód zajmować się swoją pracą. W sumie Michael zrobił pięć elementów wyglądających zupełnie zwyczajnie, których funkcje dalece jednak wykraczały poza to, co sugerował ich wygląd.

- Profesor Higgins? - Michael wstał z kanapy i wyciągnął dłoń na powitanie. Mężczyzna zwolecił i patrzył uważnie na Michaela, ignorując zarówno wyciągniętą rękę, jak i powitanie. W końcu bez słowa poszedł dalej.

-Nazywam się Michael Mc Mahon. Zostawiłem dla pana wiadomość w recepcji. - Michael szedł szybko, żeby się z nim zrównać.

-Zechce pan wybaczyć. - Higgins nawet nie spojrzał na Michaela. Przeszedł przez elegancki, wyłożony marmurem hol w kierunku windy i nacisnął guzik.

-Pańskie nazwisko dostałem z watykańskiego Urzędu Promocji Nauki...

-Wybaczy pan, panie McMaha...

- Profesorze. A właściwie, doktorze - powiedział Michael, udając skromność. - Ale nie będę się chwalił...

- Właśnie pan to zrobił. Proszę wybaczyć. - Higgins usiłował odwrócić się tyłem, wyraźnie zirytowany. Postukiwał prawą stopą, oczekując na windę.

- Myślałem tylko, że będziemy jutro w tej samej grupie zwiedzać Watykan, a ponieważ jesteśmy krajanami...

- Kto pana przysłał? - W oczach Higginsa pojawił się wyraz zdenerwowania.

Michael spojrzał na niego zmieszany.

-Jeśli próbuje mnie pan odwieść od zamiaru... - Higgins stukał teraz nogą głośniejsz, aż

echo odbijało się od marmurowych ścian. - Jeśli chce pan podważać moje teorie, to proszę napisać własną książkę.

-Szanowny panie, musiał mnie pan z kimś pomylić. Nie jestem przeciwnikiem pańskich teorii. W gruncie rzeczy, jeśli ma pan czas na drinka, chciałbym panu powiedzieć, jak bardzo zgadzam się z niektórymi pańskimi twierdzeniami. - Michael stał, uśmiechając się w nadziei, że przynęta zostanie połknięta.

Higgins rozejrzał się po holu, zanim w końcu odwrócił się w stronę Michaela. Trwało to moment. A potem przestał nerwowo stukać nogą.

Ostatnie szczegóły zawsze dopracowywał dopiero na miejscu. Musiał po prostu dostosować swój plan do środowiska. Higgins był ostatnim fragmentem tej układanki. Przed dwoma dniami, kiedy Michael przestał badać trasy ucieczki i zajął się zagadkami związanymi z Watykanem, dzięki watykańskiemu Urzędowi Promocji Nauki poznał członków różnych grup naukowych, mających zwiedzać Watykan. Wystarczył telefon i wyjaśnienie, że chciałby nawiązać kontakt z innymi badaczami, którzy będą oglądać miasto i muzea. Potem, korzystając z różnych źródeł, zapoznawał się z życiorysami członków poszczególnych grup, i wreszcie jego uwagę przyciągnął profesor Albert Higgins. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Michael, miał też podobny kolor włosów. Ale nie to było najważniejsze. Niespodziewaną gratką była jawnie okazywana przez Higginsa pogarda w stosunku do Kościoła katolickiego.

Profesor przyjechał z Nowej Anglii, żeby przeprowadzić końcowe badania potrzebne do książki, którą pisał na temat historii Watykanu i wpływu, jaki miasto to wywarło na kształtowanie się społeczeństwa. Michael chodził za nim po muzeach i bardzo szybko poczuł do niego niechęć, zwłaszcza z powodu sposobu, w jaki zwracał się do innych, takiego protekcjonalnego. No i to traktowanie wszystkich z góry. Nieustannie też odgarniał opadające na czoło tłuste, brązowe włosy i zadzierał swój mały orli nos, patrząc z pogardą na wszystkie pozostałe rasy, wyznania i religie. Miał manię znajdowania błędów we wszystkich teoriach, z wyjątkiem własnej. Od lat głosił tezę - której miał nadzieję wkrótce dowieść - że Kościół katolicki spowodował upadek wszystkich społeczeństw i ponosił odpowiedzialność między innymi za Holokaust, komunizm, AIDS i, co najgorsze, rozpad imperium brytyjskiego, ojczyzny jego przodków.

Im więcej Michael dowiadywał się o Higginsie, tym mniejsze miał wyrzuty sumienia w związku z tym, co miał przynieść jutrzejszy dzień niczego niespodziewającemu się profesorowi.

Busch siedział przy biurku, zastanawiając się, gdzie u licha podziewa się Michael.

Gdzieś zagranicą mogło znaczyć: wszędzie. A wszędzie poza USA oznaczało bezpośrednie naruszenie zwolnienia warunkowego. Busch utrzymywał to w tajemnicy przez ostatnie cztery dni. Nie odważył się powiedzieć o tym nawet swojej żonie, bo Jeannie mogłaby wspomnieć coś na ten temat Mary, a niepokojenie jej byłoby ostatnią rzeczą, jaką należało zrobić.

Dziś rano ponownie odwiedził Mary i jej wygląd bardzo go zaniepokoił. Starła się robić dobrą minę, ale widział, że strasznie cierpi. Zapytał o Michaela, kiedy ma wrócić, ale zrobił to jakby mimochodem, w ramach pogaduszek. Powiedziała, że praca przebiega sprawnie i że wróci za kilka dni. A potem mówiła o wdzięczności dla pana Rosenfielda, człowieka, którego nigdy nawet nie spotkała, a który zapłacił za jej leczenie.

Więc Michael okłamał i Mary, i jego. Busch dobrze to znał. Kłamstwa wypływały na powierzchnię, zawsze przysłaniając coś bardziej niepokojącego, głębszego, jakieś poważniejsze nieuczciwości. Michael jest już stracony. Przeszedł na drugą stronę. To jedyne możliwe wytłumaczenie. A jednak, po raz pierwszy w swoim trzydziestodwuletnim życiu, Busch był rozdarty.

Michael był zresocjalizowany, tyle że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Cokolwiek to było, robił to dla Mary. Busch zdawał sobie sprawę z tego, że Michael stał się ofiarą, i to nie z własnej winy. Był zmuszony przekroczyć linię z miłości do swojej żony i Busch nie wątpił, że zrobiłby to samo, gdyby znalazł się w takiej sytuacji. Wielu ludzi miłość skłoniła do desperackich, głupich czynów.

Ale Busch był strażnikiem prawa. Niezależnie od wszystkiego, nie miał wyboru i kiedy Michael wróci, będzie musiał go aresztować.

ROZDZIAŁ 9

Wznosząca się na wysokość 117 metrów kopuła Bazyliki św. Piotra została zaprojektowana przez Michała Anioła, a realizacja oszałamiającej wizji włoskiego mistrza trwała czterdzieści cztery lata. Jest to dosłownie złota korona Kościoła. Kiedy grupa sześciu naukowców okrążyła ołtarz, Michael patrzył w górę, podziwiając kunszt rzemieślników sprzed 415 lat; ubrany był w luźne ubranie, jasnobrązową kamizelkę na białej oksfordzkiej koszuli, a w kieszeni na piersi tkwił futerał wypełniony długopisami. Miał też mały, skórzany plecak, w którym były między innymi dwa notesy, aparat fotograficzny, kilka długopisów, kilka książek na temat Watykanu, a także dwa opakowania słodyczy, które wyciągnął i schował do kieszeni. Na nosie miał okrągłe okulary w złotych oprawkach, nadające mu wygląd naukowca.

Dokładnie o 9.15, po godzinnym wykładzie, poświęconym szczegółowej historii tego, co mieli zobaczyć, całą grupą wyruszyli na trasę. Wycieczka pomyślana była jako przeglądowa, coś w rodzaju wprowadzenia do bardziej szczegółowych wykładów, których mieli wysłuchać po południu. Zaplanowana była na trzy godziny i kończyła się w Zakrystii i Skarbcu o 12.15. Michael nie miał zamiaru uczestniczyć w dalszych wykładach. Kiedy jego grupa będzie siedzieć w sali wykładowej, on już będzie w samolocie. Spojrzał na zegarek i włączył timer. Miał wszystko starannie zaplanowane. Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, do południa powinien wykonać swoje zadanie. Miał na to trzy godziny.

Członkowie grupy byli bardziej naukowcami niż turystami, do widoku których przyzwyczał się przez ostatnie cztery dni. Siostry Katherine i Teresa wysupłały swoje niewielkie oszczędności i wyrwały się z Cenacle Convent, gdzie pomagały szkolić przyszłe zakonnice w zakresie historii katolicyzmu. Podróżowały pod pretekstem doksztalcania się, ale w gruncie rzeczy chodziło im o jutrzejszą mszę odprawianą przez papieża na placu Świętego Piotra. Były podniecone jak fanki podążające za swoim rockowym idolem. Trzykrotnie widziały już odprawiane przez papieża msze i jego obecność wywierała na nie tak silne wrażenie, że gotowe były telepać się volkswagenem - busem, dźwigać worki ziemniaków i sprzedawać T - shirty, byle tylko móc raz jeszcze uczestniczyć w papieskiej mszy. W skład grupy wchodził też dwaj starsi wiekiem rabini: Abramowitz i Lohiem z Brooklynu, niezwykle mili, czerpiący radość z każdej chwili życia, a ich młode usposobienie zadawało kłam podeszłemu wiekowi. Wielu turystów dziwiło się, widząc ich w tym miejscu, nie zdawali sobie bowiem sprawy z tego, że choć Żydzi nie wierzą w Jezusa jako mesjasza i

zbawiciela, to jednak był on nauczycielem i Hebrajczykiem, przykładowie żyjącym Żydem i rabinem. A Piotr, dla którego zbudowano to wspaniałe miasto, był uważany za apostoła Żydów.

I był też profesor Albert Higgins. Poprzedniego wieczoru Michael wypił z nim butelkę wina, słuchając jego nuworyszowskich wywodów na temat boskości. Bez wątpienia człowiek ten mógłby opowiadać o sobie bez przerwy, i to przez długie tygodnie. Po godzinie słuchania Michael przeprosił go i oddalił się, tłumacząc, że musi wypocząć przed zaplanowaną na następny dzień wycieczką. Rankiem, kiedy członkowie grupy spotkali się przed biurami Watykanu, Higgins zachowywał się tak, jakby nigdy przedtem nie spotkał Michaela. Ledwie go zauważył. Widać należał do tych ludzi, którzy zwracają uwagę wyłącznie na to, na co mają ochotę.

Przewodnikiem grupy był brat Joseph, pracownik Watykanu i student historii tego państwa. Nieliczne włosy, jakie pozostały mu jeszcze na głowie, zaczęły wcześniej siwieć, ale okrągła twarz cherubina zachowała pewien rys chłopięcy. Ubrany był w tradycyjny strój swojego zakonu, to znaczy brązowe spodnie i białą koszulę z koloratką; trzy lata temu żona Josepha Mariano, profesora historii Watykanu na Uniwersytecie Rzymskim, zginęła w wypadku samochodowym. On w tej samej chwili stracił sens i wolę życia. Rzucił się w wir pracy i nagle poczuł powołanie. Nie był jednakże pewny, czy ma zostać księdzem, znalazł więc wyjście kompromisowe - na trzy lata został bratem zakonnym, uznając, że jeśli po tym czasie nadal będzie tego chciał, poświęci resztę życia Bogu. Ze względu na dużą wiedzę i miły uśmiech - co w obu przypadkach czyniło z niego doskonałego ambasadora - przydzielany był do wycieczek VIP - ów. Traktował swoją pracę bardzo poważnie i choć się mile uśmiechał, nie tolerował tych, którzy nie stosowali się do obowiązujących w Watykanie zasad.

Michael okazywał zainteresowanie i żywo reagował na słowa brata Josepha, ale była to tylko maska. Myślami wybiegał dwie godziny do przodu. Kiedy obudził się o świcie, raz jeszcze przeanalizował każdy najdrobniejszy szczegół planowanego skoku. Rozważał każdą nieprzewidzianą przeszkodę i przygotowane na jej wypadek plany awaryjne. Był bardziej skoncentrowany niż kiedykolwiek wcześniej. W przeszłości kradł z pobudek egoistycznych, robił to dla siebie, ale nie tym razem. Ta kradzież była dla Mary. Każdy szczegół był przemyślany, zaprojektowany, przygotowany, w trakcie realizacji. Wszystko przebiegało w przewidzianym czasie.

O dziesiątej rano Attilio Vitelli wysunął głowę spod alfy romeo i zdecydował, że nie będzie uciekał. Cztery samochody policyjne wjeżdżające na podjazd jego warsztatu nie były

dla niego niczym nowym. Wozy, które miał w warsztacie, w większości były legalne. A te, które nie były, zostały już rozmontowane, przemalowane i miały nowe dowody rejestracyjne - nie było więc nic, co by mogło naprowadzić na ślad ich dawnych właścicieli. Dziewięciu żandarmów otoczyło Vitelliego, czekając, aż pierwszy się odezwie, ale on nawet nie spojrzał, dopóki masywny, łysy dowódca grupy nie wsadził głowy pod maskę.

- Tym razem nie chodzi o samochody, Atillio - powiedział.

To przyciągnęło uwagę właściciela warsztatu.

- Wizyta towarzyska, Gianni?

Śledczy Gianni Francone nie miał żadnych dowodów obciążających Vitelliego. Zawsze tylko insynuacje i podejrzenia. Wiedział, że Vitelli prowadzi nielegalne operacje, ale po prostu nie mógł go na niczym złapać. Kiedy więc otrzymał anonimowy telefon z informacją, że ktoś planuje dziś przed południem zamach na dumę Rzymu, ktoś, kto działa z warsztatu Vitelliego, nie mógł nie skorzystać z okazji przeszukania tego miejsca.

Trzech policjantów zaczęło się rozglądać po podwórzu, a sześciu weszło do mającego trzy wjazdy warsztatu.

Francone usiadł na fiacie spyderze, sprawdzając swoim ciężarem zawieszenie auta.

- To co, przyjacielu, miałeś ostatnio jakichś gości?

...W 1546 roku Michelangelo Buonarroti został głównym architektem Bazyliki św. Piotra i zmienił wiele jej elementów, łącznie z wielką kopułą, którą widzimy nad naszymi głowami, Ale, niestety, nie dożył momentu jej ukończenia.

Michael i reszta grupy stali ciasno skupieni wokół brata Josepha, starając się nie uронić ani słowa z tego, co mówił.

- Zgromadzone tu dzieła sztuki były pozyskiwane z licznych źródeł. Niektóre pochodzą z darowizn, inne zostały zakupione. Były tworzone specjalnie dla Watykanu lub odnajdywane pod ziemią, na której obecnie stoimy. - Brat Joseph mówił po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem. Zatrzymał się przed dwunastometrowym marmurowym posągiem świętego trzymającego włócznię. - Zwróćcie państwo uwagę, że cztery duże posągi świętych wewnątrz kopuły wspierają kolumny, które otaczają ołtarz papieski. Tworzą one nisze z relikwiami. Ten posąg Longina - wskazał na postać z włócznią - został stworzony przez Berniniego, natomiast trzy pozostałe wyrzeźbili jego uczniowie. Każdy z tych posągów zawiera w sobie relikwię. Święty Longin był setnikiem, który przebił bok ukrzyżowanego Chrystusa, aby dowieść, że Chrystus nie żyje. Posąg został więc zaprojektowany tak, że zawiera czubek tego, co niektórzy zwą Włócznią Przeznaczenia. - Brat Joseph odwrócił się i poprowadził grupę do posągu przedstawiającego kobietę dźwigającą ogromny krzyż. - Posąg

świętej Heleny, matki Konstantyna, która odnalazła krzyż Chrystusa, zawiera gwoździe i fragmenty Świętego Krzyża. - Znowu obrócił się, tym razem w stronę posągu przedstawiającego kobietę, trzymającą powiewającą na wietrze chustę. - Święta Weronika, która podała Chrystusowi swoją chustę, aby otarł czoło, kiedy niósł swój krzyż do Kalwarii, upamiętnia faktyczną chustę, na której odcisnęły się rysy Pana. Zwróćcie uwagę na jej pozę: w walkach byków najbardziej klasyczny ruch nazywa się Weronika. To ten, kiedy torreador przesuwając powoli czerwoną płachtę przed głową byka, jak Weronika ocierająca pot z twarzy Chrystusa. Nazwa ta wywodzi się od tego właśnie posągu.

Brat Joseph poprowadził ich do ostatniego posągu.

- Święty Andrzej Apostoł był bratem świętego Piotra i podobnie jak on został ukrzyżowany. Przywiązano go do ukształtowanego w formie X krzyża. Zmarł w Grecji. Watykan posiadał jego głowę aż do 1966 roku, kiedy to została zwrócona greckiemu miastu Patras - gdzie Apostoł zmarł przed blisko dwoma tysiącami lat - w geście dobrej woli, na rzecz poprawy stosunków z Kościołem greckokatolickim. Z wyjątkiem głowy świętego Andrzeja, każda z relikwii, o których wspominałem, znajduje się tutaj. Wszystkie są zgromadzone w kaplicy nad świętą Weroniką.

Zaczęli schodzić kunsztownymi, marmurowymi schodami przylegającymi do posągu świętego Longina. Michael z powodzeniem występował jako profesor McMahon z Uniwersytetu St. Albans. Podrobił list polecający, który przedstawiał go i zawierał prośbę o udzielenie mu pomocy w badaniach poświęconych początkom Watykanu. Kiedy z Urzędu Promocji Nauki zadzwoniono, żeby zweryfikować jego wiarygodność, uniwersytet poinformował, że profesor McMahon jest na urlopie naukowym, podróżuje po świecie i prowadzi badania do pisanego przez siebie podręcznika. I że można zostawić mu wiadomość, jeśli chcą się z nim skontaktować, ponieważ co najmniej dwa razy w miesiącu odsłuchuje nagrania z automatycznej sekretarki. Administrator uczelni wyjaśnił, że ze względu na ograniczone fundusze wizyta profesora McMahona trwa zaledwie jeden semestr. Uniwersytet St. Albans będzie wdzięczny za wszelką pomoc, jakiej Watykan zechce udzielić profesorowi, a wdzięczności tej nada konkretny wyraz.

Na uczelni w St. Albans faktycznie pracował profesor Michael McMahon. Dzięki wyszukiwarce Google Michael znalazł wielu takich zarozumiałców, którzy nie tylko obwieszczali światu, że dzięki płatnym urlopom są nieobecni na uczelni, ale też bezmyślnie podawali swoje programy podróży. McMahon pisał książkę i podróżował po świecie, tyle że tak naprawdę był w tym czasie w odległej części Tybetu, wśród buddyjskich mnichów.

Stali teraz bezpośrednio pod bazyliką, w miejscu rzadko pokazywanym, niedostępnym

przeciętnym turystom, a zarezerwowanym w wyznaczonych terminach tylko dla czołowych naukowców i archeologów: w Świętych Grotach. Było to miejsce ciemne i ponure, w pełni zasługujące na swoją nazwę. Łagodny blask setek świec tańczył na złotych muszlach sufitu i ścianach z wypolerowanego marmuru. Grupa przeszła obok niezliczonych ozdobnych sarkofagów; jak wyjaśnił brat Joseph były one miejscem spoczynku nie tylko wszystkich papieży chowanych tu od 1549 roku, ale także cesarzy i królowych, VIP - ów i dygnitarzy.

-Pochowanych jest tu stu pięćdziesięciu trzech papieży. - Głos brata Josepha odbijał się echem od marmurowych grobowców. - A miejsca jest jeszcze dla kolejnych kilku setek. Oczywiście, mamy nadzieję, że ich służba Chrystusowi zakończy się dopiero po długim i efektywnym pontyfikacie.

-Skoro mówimy o pontyfikacie, zechciałby pan powiedzieć o tych papieżach, których pontyfikat ulegał skróceniu w wyniku morderstwa? - wtrącił Higgins.

Z twarzy brata Josepha można było wyczytać, że nienawidzi, kiedy mu się przerywa, ale odpowiedział.

- Papież Jan VIII został zamordowany podczas snu, w 882 roku. Następnie był papież Jan XII, który miał osiemnaście lat, kiedy go wybrano. Został zamordowany w grudniu 963 roku...

- Chodziło mi o wydarzenia z bliższej przeszłości. - Protekcyjny uśmiech Higginsa kojarzył się bardziej z oskarżeniem.

Brat Joseph przez długą chwilę wpatrywał się w profesora, ze wszystkich sił starając się pohamować gniew. Zapadło nieprzyjemne milczenie.

- Tak, no cóż, my też zaliczyliśmy naszą porcję intryg. W 1981 roku, kiedy papież Jan Paweł II został postrzelony, jako pierwszy dobiegł do Ojca Świętego pułkownik Alois Esterman. Osłonił papieża własnym ciałem przed dalszym atakiem. Przez długie lata papież utrzymywał bardzo bliskie kontakty z Estermanem, a w 1998 roku pułkownik Alois Esterman został mianowany przez naszego Ojca Świętego szefem Gwardii Szwajcarskiej. Tragiczne było to, że w niespełna dwie godziny po nominacji Esterman i jego żona zostali zamordowani w swoim mieszkaniu...

-A stało się to, kiedy wykryto - przerwał Higgins - że Esterman był szpiegiem wschodniemieckiej tajnej policji Stasi...

-To niestosowne - ofuknął go brat Joseph. - Skoro jest pan gościem w Watykanie, prosiłbym, żeby powstrzymał się pan od powtarzania insynuacji. Estermanowie zostali zastrzeleni przez niezadowolonego członka Gwardii Szwajcarskiej, który następnie targnął się na swoje życie. No tak, było w Watykanie morderstwo w 98...

-Właściwie - znowu przerwał mu Higgins - miałem na myśli morderstwo z 1978 roku. Higgins spojrział znacząco na grobowiec papieża Jana Pawła I.

-Jest pan źle poinformowany, szanowny panie.

-Nie mówię niczego, o czym by nie pisano. - Pozostali z rosnącym zainteresowaniem obserwowali, jak Higgins rzuca wyzwanie. - Rozumiem, że został otruty. Zakonnica zarządzająca domem papieża znalazła go martwego, w pozycji siedzącej, w łóżku. Jak długo był papieżem? Dwa tygodnie?

-To był zawał - powiedział brat Joseph przez zaciśnięte zęby. - Nasz Ojciec Święty miał atak serca.

-Ale sekcji nie zrobiono...

-Profesorze Higgins, jeśli życzy pan sobie, żeby odprowadzono pana z powrotem do pańskiego hotelu, z przyjemnością pomogę. Jeśli nie, uważam, że skończyliśmy tę dyskusję. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, by nasi goście nas obrażali.

Higgins otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale widocznie zmienił zdanie. Jego oczy rozjaśniała jednak radość z odniesienia subtelного zwycięstwa, jakim było zajęcie za skórę bratu Josephowi.

Policjanci z ożywieniem dyskutowali w warsztacie samochodowym Vitelliego. Na stole roboczym leżał stosik ścinków metalu i plastiku, trzy wygładzone, czyste kartki papieru, które wyciągnięto zmięte z kosza, i pusty pojemnik po sprężonym powietrzu. Chudy detektyw, wyglądający jak dwunastolatek, założył chirurgiczne rękawiczki i zajął się kartkami. Wziął długi kawałek grafitu i delikatnie przejechał nim po papierze.

-Widać ślady pisania na kartce, która leżała na tej.

-I...? - dopytywał się śledczy Francone.

-Wygląda to na jakiś schemat.

-To twoje? - Francone zwrócił się w stronę Vitelliego, który spokojnie palił papierosa.

-Nie. Nie potrzebuję żadnych schematów. Wszystko, czego mi potrzeba, mam tutaj. - Vitelli popukał się w czoło.

-Więc czyje to rysunki?

Vitelli wiedział, że powinien wziąć więcej od tego Amerykanina za to, że korzystał z jego narzędzi.

-Był tu taki Amerykanin. Powiedział, że chce skorzystać z moich narzędzi.

-Pozwalasz wszystkim korzystać ze swojego warsztatu? Ty, facet, który zawsze przestrzega prawa? Zaskakujesz mnie, Attilio.

-Czasami zaskakuję sam siebie. Facet wyglądał na nieszkodliwego. I zapłacił

gotówką.

Śledczy Francone początkowo wątpił w prawdziwość anonimowego telefonu, ale teraz, patrząc na te ścinki, był zadowolony, że go nie zignorował. Nie bardzo wprawdzie wiedział, czego to mogły być schematy, ale intuicja podpowiadała mu, że ludzie nie konstruują niewinnych zabawek w warsztatach specjalizujących się w przebijaniu numerów kradzionych aut.

-Wygląda na to, że twój amerykański przyjaciel zamierza coś zmaistrować. A jeśli tak jest i nie uda nam się zatrzymać go, zanim to coś zrobi... Po tych wszystkich latach, Attilio, przez które byłeś takim uczciwym biznesmenem, możesz skończyć w mamrze jako pomocnik.

-Pomocnik? W czym?

-Tego właśnie pomożesz nam się dowiedzieć. - Francone spojrzął na zegarek. Była 10.32. - I lepiej zacznij szybko myśleć, żeby się nie okazało, że właśnie zreperowałeś ostatni samochód w swoim życiu.

Grupa ruszyła w dalszą drogę po watykańskich katakumbach. Pojedynek słowny Higginsa z bratem Josephem spowodował, że wszyscy zamilkli. Kiedy dotarli do czarnej, żelaznej bramy osadzonej w granicie, której strzegło dwóch żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej, brat Joseph podał im swoje upoważnienie oraz zatwierdzoną listę członków grupy. Strażnicy przestudiowali uważnie dokumenty i twarze podopiecznych brata Josepha, zanim ich przepuścili.

Po włożeniu w zamki kilku kluczy brat Joseph otworzył bramę, za którą znajdowały się szerokie, kamienne schody. Zwiedzający schodzili parami, mówiąc prawie szeptem, świadomi, że z każdym krokiem cofają się w coraz odleglejszą przeszłość. Wreszcie znaleźli się w niskim korytarzu wykopanym w ziemi i tu już szli gęsiego. Przechodzili przez kamienne jaskinie, niektóre naturalne, inne wykute przez człowieka, aż po pięćdziesięciu metrach doszli do miejsca osłoniętego niebieską, plastikową płachtą. Joseph odsunął ją na bok i zeszli na zakurzony grunt. Było to tradycyjne wykopalisko archeologiczne, słabo oświetlona sznurem roboczych lamp polepa, pocięta na dziesięciocentymetrowe tarasy, każdy oznaczony datą. Wykopaliska pod kierunkiem i uważną kontrolą ekspertów Kościoła prowadzono tu już od siedemdziesięciu pięciu lat. Choć bowiem ich wiara była niczym niezachwiana i najgłębsza, wiedzieli, że kontrowersje zawsze kryją się kilka centymetrów pod ziemią. A nigdy nie wiadomo, jakie znaleziska mogą wywołać niechcianą debatę.

- Witajcie w Nekropolii. - Brat Joseph przerwał, pozwalając wszystkim uświadomić sobie, w jak nieprawdopodobnym znaleźli się miejscu: ulica w starożytnym mieście, ale tam,

gdzie powinni mieć niebo nad głowami, widzieli wyłącznie fundament bazyliki. - Widzicie przed sobą zderzenie dwóch światów, dwóch wyznań. Jest to miejsce pochówku zarówno chrześcijan, jak i pogan.

Ograniczona przestrzeń, na której stali, była ulicą mniej niż dwumetrowej szerokości, a po obu jej stronach znajdowały się budynki z cegły i kamienia, których drzwi pokrywały starożytne rzeźby. Słabo oświetlona droga biegła na lewo i prawo, aż ginęła w całkowitej ciemności.

- Ta sekcja, odkrywana przez trzydzieści lat, zawiera kilkanaście kunsztownie wykonanych mauzoleów. Wszystkie są pogańskie... z wyjątkiem jednego. Cały ten obszar pochodzi z okresu przed Konstantynem, a dokładnie sprzed dwóch tysięcy lat. Nekropolia to słowo pogańskie, które oznacza miasto zmarłych, podczas gdy chrześcijanie woleli nazywać takie miejsca coemeterium - i stąd wywodzi się współczesne słowo cmentarz - co tłumaczy się jako miejsce śpiących ludzi.

Brat Joseph ruszył przed siebie łagodnie opadającą ulicą. Posuwali się za nim; sprawiali wrażenie zdumionych odkrytym przez archeologów pogańskim sekretem leżącym pod główną siedzibą chrześcijaństwa.

- Ta nekropolia została odkryta i odsłonięta przez zespół watykańskich archeologów, którzy pod kierunkiem papieża Piusa XII rozpoczęli prace w 1939 roku. - Brat Joseph doszedł do otwartej sekcji. Było tu pełno porozrzucanego gruzu, widoczne były fundamenty ścian. - To wszystko, co zostało z pierwszego kościoła świętego Piotra, pierwszego papieża. Oryginalny kościół, ze 150 roku, został zburzony, ustępując miejsca pierwszej bazylice, którą w IV wieku zbudował Konstantyn. Dopiero w czasie tych niedawnych prac wykopaliskowych znaleźliśmy to, co uważamy za najbardziej przekonujący dowód, że święty Piotr naprawdę żył.

Brat Joseph wyciągnął z kieszeni spodni małą latarkę i poświecił na lewo od miejsca, w którym stali stłoczeni. Strumień światła oświetlił dużą szybę wstawioną w granitową ścianę. Za szybą znajdowało się hermetycznie zamknięte pomieszczenie. W pierwszej chwili trudno było zauważyć kości - ich kolor nie był kremowobiały, jak to pokazują w telewizyjnych programach sądowych, był znacznie ciemniejszy. Były tam piszczele, kości strzałkowe i kość udowa, obie kości przedramienia, kość promieniowa i łokciowa, leżące po obu stronach stosiku kręgów. Choć zuchwa była osobno, a zęby rozsypane wokół, wyraźnie można było odtworzyć kształt głowy i uświadomić sobie, że ta kupka kości na kamiennej płycie była kiedyś żywą istotą, wojowniczym świętym, pierwszym przywódcą potężnego Kościoła.

Niezależnie od pochodzenia czy religii, wszyscy członkowie grupy w zdumieniu patrzyli na historię, na człowieka, który dwa tysiące lat temu był prześladowany i brutalnie uśmiercony za swoje przekonania i nauki, wyśmiewany i wykpiwany, kiedy umierał, tak jak wcześniej jego nauczyciel, za wiarę.

- Gdyby z tego punktu ruszyć prosto do góry, znaleźlibyśmy się w samym środku Bazyliki. - Brat Joseph mówił dalej, pełnym nabożnej czci szeptem. - Sto dwadzieścia metrów nad tym miejscem znajduje się sam środek kopuły. Kościół Pana zbudowano nad Jego najbardziej oddanym uczniem, Piotrem, a imię to wywodzi się z łacińskiego słowa *petra*, czyli skała.

-Czy znaleziono jakieś inne ciała? - spytała siostra Katherine.

-Tylko jego. Nigdy nie udało się odnaleźć grobowca jego żony.

Wszyscy wydawali się zdziwieni, z wyjątkiem rabinów. Brat Joseph uśmiechnął się.

- Zanim jego brat Andrzej przedstawił go Chrystusowi, święty Piotr był żonatym rybakiem. Edykt wprowadzający celibat ogłoszono dopiero tysiąc lat później. Dodam, że w innych mauzoleach tam dalej nadal są zwłoki, ale w tym konkretnym grobowcu nie ma żadnych innych ciał. Grobowiec świętego Piotra uległ całkowitemu zniszczeniu wraz z pierwszym kościołem, w którym się znajdował. Ale, jak zobaczycie, jest tu wiele innych przedmiotów, które przetrwały próbę czasu. Większość na wystawie na górze. Jego krzesło, łańcuchy, którymi był spętany podczas tortur, pergaminy, które trzymał w ręce, trochę ubrań, tkanin, gliniane garnki, klucze...

Muzea były zatłoczone. Brat Joseph sprawnie poprowadził grupę przez tłum kłębiący się w Gregoriańskim Muzeum Sztuki Etruskiej, swoją władcą postawą skłaniając ludzi do zejścia mu z drogi i nie przerywając wykładu. Zwiedzali dość pobieżnie, ich uwaga skupiała się bowiem nie na dziełach sztuki, ale na powiązanej ze sobą historii Kościoła i Watykanu. Brat Joseph pozwalał im jednak zatrzymywać się na chwilę, aby mogli nacieszyć wzrok otaczającymi ich wspaniałościami. Uwagę zakonnic przyciągnęły malowidła na suficie, rabini podziwiali rzeźby, natomiast Michael i Higgins zatrzymywali się przy szklanych gablotach, w których wystawiano książki i różne przedmioty.

W Muzeum Gregoriańskim Michaela zainteresowała Sala Klejnotów. W wielkich gablotach leżały bezcenne klejnoty i artefakty. Szczególnie długo przyglądał się dużemu, złotemu medalionowi przedstawiającemu mężczyznę i kobietę splecionych w uścisku. Wykopano go w nekropolii w Vulci, a postaci były nadal tak wyraźne, jakby nie powstały jakieś dwa i pół tysiąca lat temu. Jakby miłość tych dwojga przetrwała, i to bez najmniejszego uszczerbku, dwa tysiąclecia. Kiedy Michael przyglądał się medalionowi, pomyślał nagle o

przyszłym życiu jego i Mary. Jeśli tylko uda mu się przebrnąć przez najbliższą godzinę...

A potem sięgnął do kieszeni. Ruch ten był naturalny, jakby sięgał na przykład po chusteczkę do nosa albo jakieś drobne pieniądze. Ale chodziło o co innego. Udając, że podziwia złoty medalion, pochylił się nad gablotą i przykleił pod spodem wyjętą z kieszeni brązową, plastyczną kulkę. To samo zrobił przy czterech innych gablotach, obok których zatrzymywał się podczas zwiedzania Muzeum Gregoriańskiego.

O godzinie jedenastej w Watykanie zadzwonił główny telefon. Kobieta, która nie chciała podać swojego nazwiska, stwierdziła, że wie z dobrego źródła, iż w Bazylice św. Piotra ma się odbyć protest zwolenników aborcji. Mieli go zorganizować studenci z pierwszych roczników, gotowi protestować przeciwko wszystkiemu aż do kolacji, kiedy to ich przekonania wypiera zazwyczaj głód. Watykan, jak każdy inny kraj, codziennie otrzymywał jakieś groźby, z których większość okazywała się fałszywa, ale wystarczy jedno zlekceważone ostrzeżenie i może dojść do tragedii. Dowódca Gwardii Szwajcarskiej, pułkownik Enjordin, odpowiadał za kierowanie pracą zarówno Gwardii, jak i Żandarmerii Watykańskiej, a zatem i za bezpieczeństwo oraz ochronę całego tego małego kraju. Z technicznego punktu widzenia był szefem zarówno oddziałów wojskowych, jak i policji. Każde takie zawiadomienie traktował z całą powagą i podejmował odpowiednie działania. Nigdy jednak nie zamykał kościoła czy muzeów z powodu zgłoszonego zagrożenia i nie zamierzał robić tego także i dziś. Postanowił jednak, że rozsądnie byłoby zwiększyć liczbę strażników, zarówno mundurowych, jak i tych w cywilu. Miał nowy kontyngent w trakcie szkolenia i tego rodzaju ćwiczenie zapobiegawcze mogło być wspaniałym sprawdzianem ich umiejętności. Dlatego też wysłał dodatkowych trzydziestu pięciu żandarmów z zadaniem patrolowania Watykanu.

Kiedy grupa brata Josepha weszła do Kaplicy Sykstyńskiej, Michael przekroczył wyznaczoną przez siebie samego linię, zza której nie było już odwrotu. Była godzina 11.16, grupa miała krążyć jeszcze przez godzinę, zanim dotrze do Skarbca. Michael zamierzał wykorzystać ten czas na skupienie się, oczyszczenie umysłu z wszelkich niepokojów typu: porażka, Busch, Mary. Musi być absolutnie skoncentrowany, żeby osiągnąć sukces. Powtarzał w myślach plan tak długo, aż w jego umyśle i ciele włączy się automat, działający i reagujący jak u tancerza na scenie. W każdej sekcji, przez którą przechodzili, obserwował ruchy strażników, zarówno mundurowych, jak i cywilnych. Postępowali dokładnie tak samo i o tych samych porach, jak w poprzednich dniach. Michael znał ich trasy, ich twarze, nawet imiona. I zauważył, że było ich więcej; pojawiły się nowe osoby, które dołączyły do znanych mu z widzenia członków Gwardii i Żandarmerii. Nie bardzo wiedział, z jakiego powodu. I

widać było, że są niespokojni.

Arcydzieło sztuki, jakim jest sufit w Kaplicy Sykstyńskiej, przedstawia sceny z Biblii, poczynając od historii stworzenia świata, aż do potopu. Papież Juliusz II w 1508 roku zlecił - a to, co wówczas było zleceniem, obecnie uznano by za kontrakt na pracę niewolniczą - młodemu Michałowi Aniołowi stworzenie arcydzieła dla Boga. Młody geniusz, wówczas zaledwie trzydziestotrzyletni, przyjął to wyraźnie niechętnie, uważał bowiem malarstwo za zajęcie mniej szlachetne niż rzeźbienie. Zmusiły go jednak do tego względy polityczne oraz nieugięte zarządzenie papieskie. Dzieło zajmuje blisko trzysta metrów kwadratowych, powierzchnię równą wymiarom świątyni Salomona i zawiera ponad trzysta postaci. Pomimo nietypowych warunków, pracował bez przerwy, leżąc na rusztowaniu, na wysokości dwudziestu pięciu metrów nad ziemią. Ani mróz, ani upały nie osłabiły jego inspiracji.

Na froncie Kaplicy, za ołtarzem ze złota i marmuru, znajduje się wypełniający całą ścianę fresk wspanialszy niż ten na suficie. Jest on o wiele ciemniejszy i posepniejszy, a przedstawia wizję o wiele bardziej ponurą niż malowidło na suficie. To Sąd Ostateczny, w czasie którego bezkompromisowy i bezlitosny Bóg okrutnie karze zdegenerowaną ludzkość. W 1534 roku papież Klemens VII najął Michała Anioła do wykonania tego dzieła. W tym samym czasie papież nakłonił też Michała Anioła do zaprojektowania nowych uniformów dla Gwardii Szwajcarskiej, w kolorach złotym, niebieskim i kasztanowym - czyli kolorach herbu jego rodu; Klemens VII wywodził się ze słynnego włoskiego rodu Medyceuszy, istnych bóstw biznesu i polityki włoskiego renesansu.

Michał Anioł cztery lata malował sufit kaplicy, dzieło przedstawiające wiarę i nadzieję; Najwyższa Istota jest ukazana jako żywy, miłosierny Bóg. Ale Sąd Ostateczny - którego namalowanie zabrało blisko siedem lat - budzi jedynie strach.

Przedstawiony Bóg jest bezlitosny i mściwy. Centralna postać Chrystusa, otoczonego przez ludzkość, wzywa do raj, po lewej stronie, sprawiedliwych, których ciała unoszą się z ich ziemskich grobów. Niżej, po prawej stronie, znajduje się piekło; przekłęci są do niego nieodwołalnie wciągani przez bestie z rozszczępionymi kopytami. Spod ziemi głodnym wzrokiem patrzą w górę, na swoich opornych pachołków ciemne, złe oczy Lucyfera.

To nie jest arcydzieło sztuki, to raczej ostrzeżenie: ci, którzy zdradzą Boga, staną w obliczu jego niekwestionowanego gniewu.

Po prawej stronie na dole obrazu widać postać ciągniętą przez bestię do piekła. Twarz tej potępionej duszy wykrzywia niewyobrażalne przerażenie. Jest to jedyna postać spośród trzystu znajdujących się na fresku, która patrzy wprost na oglądających dzieło. Ta dusza utracona wie, że nie zostanie zbawiona, dlatego jej oczy wpatrują się w Michaela, błagając o

zrozumienie.

Cały ten obraz przemawiał do niego, ostrzegał, że jego czyny mogą mieć poważne konsekwencje, wyłącznie takie, których nie da się cofnąć. Nagle opadły go wątpliwości. Ale szybko je stłumił, nie chodziło bowiem o niego - chodziło o Mary. Najbliższe pięć minut zadecyduje o jej przyszłości. On i tak posunął się już zbyt daleko i, jak te potępione dusze, nie mógł liczyć na zbawienie.

ROZDZIAŁ 10

Brat Joseph poprowadził grupę przez zatłoczoną Bazylikę św. Piotra do Zakrystii i Skarbcu. Było to ostatnie muzeum, jakie mieli zwiedzić w czasie tej prywatnej tury. Jeszcze piętnaście minut i przejdą do sali wykładowej, gdzie będą mogli zadawać pytania.

W Skarbcu znajdują się obrazy związane przede wszystkim ze świętym Piotrem i Apostołami oraz wpływem, jaki wywierali przez wieki. W szklanych gablotach w środku sali znajdowały się różne księgi, egzemplarze Biblii i rękopisy. Były to zaledwie okruchy tego, co znajduje się w ogromnej bibliotece kościelnej. Większość tomów kryły Archiwa Watykańskie, a dostęp do nich mieli wyłącznie ci, którzy posiadali specjalne papieskie zezwolenie. W kilku gablotach znajdowały się przedmioty z czasów Konstantyna, w innych zaś z czasów samego Chrystusa: kielichy, naczynia, monety, fragmenty odzieży czy narzędzia z dawno minionej epoki. Wyjątkowo cenne przedmioty trzymano w osobnych gablotach, często umieszczanych w sporej odległości od pozostałych. Większość eksponatów nie interesowała Michaela.

Michael sięgnął do plecaka i wyciągnął dwa notesy. Trzymając je w prawej ręce, sięgnął lewą do kieszeni po portfel.

- Albercie - zwrócił się do Higginsa - czy byłbyś tak dobry i przytrzymał mi to?

Higgins głośno wciągnął powietrze, dając wyraz irytacji. Spojrzał na Michaela z pogardą, biorąc jednak notesy. Michael znów sięgnął do plecaka, wyjął i wyciągnął czerwony długopis, który wsunął do kieszeni na piersi. Potem odebrał notesy od Higginsa, który natychmiast energicznie ruszył w kierunku grupy.

- Dzięki - zawołał za nim Michael.

Spojrzał na zegarek: była 11.59. Pochylił się nad ostatnią gablotą, trzymając w ręce coś, co wyciągnął z kieszeni, i przyczepił ten drobiazg pod gablotą - mały, brązowy przedmiot ozdobiony w środku różowym guziczkiem przylgnał w miejscu, w którym nie było go widać.

Michael dołączył do grupy podchodzącej właśnie do gabloty umocowanej na ścianie; znajdował się w niej zardzewiały łańcuch. Na plakietce z brązu wygrawerowano: *Z wdzięcznością informujemy, że dzięki hojności kościoła St. Piętro in Vincoli mamy zaszczyt pokazywać Łańcuch św. Piotra.*

- Przed śmiercią Piotr udał się z pielgrzymką do Ziemi Świętej, na Górę Kefas, gdzie modlił się przez dwa tygodnie, prosząc Ojca Świętego, by go prowadził. Niektórzy badacze

spekulowali, że wrócił do Ziemi Świętej, by złożyć hołd, inni zaś uważali, że Piotr miał przecucie tego, co go spotka, łącz nie ze śmiercią, i szedł zwrócić coś ziemi swojego Boga, bojąc się, aby nie wpadło to w ręce złemu cesarowi Rzymu, Neronowi. Podczas jego podróży wielki pożar strawił ponad dwie trzecie Rzymu, zabijając tysiące ludzi i niszcząc wiele dzielnic tego wielkiego miasta. Po powrocie Piotr zorientował się, że chrześcijanie są prześladowani przez Nerona, który oskarżył ich o zniszczenie miasta. Piotr został skuty łańcuchami - brat Joseph wskazał na łańcuchy na ścianie - i torturowany za swoją wiarę. Przez dziewięć miesięcy był przetrzymywany wraz ze świętym Pawłem w ciemności, w lochach Mamertine, a następnie Neron rozkazał go zgładzić. Uważając, że Apostoł jest niczym więcej niż uzurpatorem sięgającym po należną cesarowi władzę, kazał go ukrzyżować, kpiąc tym samym z Chrystusa. Piotr, który nie chciał, aby porównywano go z jego Zbawicielem, poprosił, aby ukrzyżowano go do góry nogami.

Wszyscy stali zaszuchani, Michael tymczasem poszedł w stronę szklanej gabloty w rogu sali. Oświetlona przez jedno punktowe światło na suficie spoczywała na metrowej wysokości cokole z onyksu, a otaczała ją barierka z aksamitnego sznura. Michael nie musiał zaglądać do gabloty; przyglądał się jej trzykrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni. Na purpurowej poduszce z aksamitu leżały tam dwa stare klucze.

Brat Joseph kontynuował swoją opowieść o ukrzyżowaniu świętego do góry nogami.

- Nero był niegodziwym władcą Rzymu. Słynny był jego cyrk, w którym na przestępców i niewolników wypuszczał lwy, dla czystej przyjemności oglądania, jak są rozszarpywani na kawałki. Jego pijackie orgie znane były całemu ówczesnemu światu, a jego dekadencji nie udało się nikomu dorównać przez następne dwa tysiące lat. Był równie zdeprawowany, jak Hitler, Pol Pot i Dżyngis Chan, jeśli porównywać na przestrzeni historii.

W latach, kiedy był wykładowcą na Uniwersytecie, brat Joseph rozwinął umiejętność angażowania uwagi studentów, zamieniając wykłady w barwne opowieści, tak że nikt nigdy nie opuszczał jego zajęć. I teraz też słuchacze zamarli, stojąc możliwie jak najbliżej niego, by nie uronić ani słowa z tego, co mówił.

Byli tak bardzo pochłonięci, że na dźwięk stłumionego odgłosu eksplozji w dalszej części sali podskoczyli ze strachu.

W muzeach watykańskich było dwieście szesnaście kamer obsługiwanych przez 36 monitorów, po sześć obrazów na monitor, zmieniających się co cztery sekundy, a obraz mógł być zatrzymany jednym kliknięciem przełącznika. Każda grupa monitorów, wciśniętych między kolumny z różowego marmuru, obsługiwana była przez trzy zmiany strażników.

Co godzinę każda zmiana miała piętnastominutową przerwę, aby dać odpoczynek

oczom.

Od ponad trzech lat nie było w Watykanie poważniejszego incydentu. Ostatni wywołał szalenię wymachując strzelbą i żądający natychmiastowego widzenia z Bogiem, bo inaczej zacznie ostrzeliwać Kaplicę Sykstyńską. Wiadomość o tym nie obiegła świata, wspomniano o niej mimochodem tylko niektóre gazety. Ujęcie Juana Medeneza przypisywano jednemu człowiekowi. Za to szybkie działanie został awansowany na pułkownika i mianowany osobiście przez papieża Jana Pawła II szefem Centralnego Zakonu Czujności. Trzydziestojednoletni Stephan Enjordin był najmłodszym w historii Watykanu dyrektorem służby ochrony. Podwładni szanowali go, ale czuli też respekt, ponieważ nie wahał się przed wymierzeniem kary za niedyskrecję, brak kompetencji lub niesubordynację. Odkąd pojawił się w Watykanie, dzięki swojemu szerokiemu uśmiechowi i dużemu poczuciu humoru należał do najbardziej lubianych żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej. Kiedy jednak zwiększył się zakres jego obowiązków i odpowiedzialności, zmienił się, uważał bowiem, że nadmierna wesołość stanowi przeszkodę w dowodzeniu. Chodził po sali dowodzenia pod II Corpo di Vigilanza, nadzorując czterdziestu trzech strażników stłoczonych w tym renesansowym pomieszczeniu dosłownie zapchanym najnowocześniejszą techniką. Jak wszyscy w Gwardii Szwajcarskiej był niezonaty - na to przyjdzie stosowny czas - i jego uwagi nie zaprzętały żadne sprawy świata zewnętrznego. Był żołnierzem, który miał jasno wytyczony kierunek, zawsze stał po stronie dobra, niezależnie od zmieniającej się polityki czy administracji. Jego misja była absolutnie jednoznaczna: chronić Boga, papieża i ten kraj o powierzchni stu czterech akrów.

Choć nie doszło do żadnych incydentów, poza tym jednym sprzed trzech lat, było wiele sytuacji, które udało się rozwiązać. Jego zespół był bardzo dobrze wyszkolony w wyłapywaniu podejrzanych osób, a Enjordin szczycił się tym, że zna się na technice i zawsze posiada aktualną wiedzę na temat najnowszych osiągnięć. Miał zresztą smykałkę do dostosowywania ich na potrzeby ochrony Watykanu. Czujniki zapachów chemicznych i bomb dostrojone były do wyspecjalizowanych urządzeń, jakimi mogli dysponować wojskowi, terroryści, fanatycy i żartownisie. Detektory zamontowane w wejściach były o wiele lepsze od tych, jakich używano na lotniskach, w ambasadach, a nawet w Białym Domu. Skonfiskowano niezliczone ilości broni, jaką próbowali wnieść liczni turyści, przeważnie absolutnie niewinni i chętni do współpracy, a jednocześnie zdumieni, że ich broń została wykryta za pomocą całkowicie niewidocznych skanerów.

Pułkownik Enjordin całkowicie wyeliminował czynnik zaskoczenia, groźną broń w ręku wroga. A jeśli wykluczy się zaskoczenie, zawsze można rozpoznać zbliżające się niebezpieczeństwo. Dlatego teraz stał z oczami wbitymi w monitory szósty i siódmy, a

mięśnie jego smukłego ciała były napięte jak struna. Wprost nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Łup! W gablocie w centrum Skarbcza rozległ się cichy huk, a spod niej zaczął się wydobywać dym. Gęsty, dławiący, który potrafił w ciągu kilku sekund sprawić, że ludzie tracili orientację. Chmura rosła i rozprzestrzeniała się po całej sali. Chwilę później zaczęły eksplodować kolejne gabloty. To, co początkowo wydawało się niegroźnym incydentem, zaczęło szybko przekształcać się w groźną sytuację. Wybuchy rozlegały się w coraz dalszych częściach sali, przypominając efekt domina. Klębiący się dym spowodował zamieszanie. Ludzie wpadli w panikę. Turyści krzyczeli, matki przytulały do siebie dzieci, włączyły się syreny systemów przeciwpożarowych. W ich ogłuszającym wyciu nie było słychać wydawanych przez ochronę rozkazów. Przerażeni ludzie, co najmniej dwieście osób w samym tylko Skarbcu, atakowali wyjścia. Dym był gęstszy niż melasa. Ludzie popychali się wzajemnie i wpadali na siebie w tym totalnym chaosie.

Niemal równocześnie do identycznych eksplozji doszło w Muzeum Gregoriańskim. Sale i korytarze wypełnił gęsty dym, w którym przerażeni turyści usiłowali dotrzeć do wyjść. Panika osiągnęła zenit, kiedy zaczęły dymić cztery kolejne gabloty.

Bez ostrzeżenia w całym muzeum przed umieszczonymi na ścianach obiektami opadły potężne metalowe żaluzje, chroniące arcydzieła przed zniszczeniem. Księgi, manuskrypty i inne obiekty zostały próżniowo zapieczętowane w swoich gablotach pod szybami o grubości dwóch i pół centymetra, chroniącymi je przed światem zewnętrznym. Freski i stare obrazy olejne, księgi i dzieła sztuki były cenionymi obiektami, stworzonymi w imię Boga. Były nie do odtworzenia, dlatego współczesny świat ruszył natychmiast z pomocą, chroniąc ceną przeszłość.

W całym tym zamieszaniu brat Joseph zachował przytomność umysłu; kazał członkom swojej grupy schwycić się za ręce, zapewniając, że ich wyprowadzi. Piekły go oczy, po policzkach płynęły mu łzy, ale nic nie mogło pokonać jego determinacji. Zakonnice i rabini uznali to wydarzenie za ekscytujące i potraktowali je jako dodatkową atrakcję dnia. I choć dym szczypał ich w oczy i drażnił gardła, silniejsza okazała się ekscytacja.

Całkiem odmiennie zareagował profesor Higgins. Nie po to przyszedł tutaj, aby umrzeć, i niech to szlag trafi, jeśli zamierzał oddać życie w tym domu modlitwy. Co napisano by w gazetach, co powiedzieliby jego koledzy i krytycy? Zapamiętano by go nie z powodu wielkich osiągnięć, ale absurdu jego śmierci: *kolejna śmierć w szponach Kościoła katolickiego, w końcu dorwali i jego*. W pewnej chwili ktoś złapał go za kark. Potem poczuł ukłucie za uchem i nagle zrobiło mu się słabo. Wpadł w panikę, wyrwał się napastnikowi i

zaczął biec w stronę czegoś, co - jego zdaniem - było wyjściem. Nie zdążył uświadomić sobie, jak bardzo się mylił, bo stracił przytomność, zanim jeszcze upadł na podłogę po zderzeniu z marmurowym posągiem świętego Tomasza z Akwinu, patrona naukowców.

Tłumy wylewały się ze wszystkich wyjść, szybko wypełniając plac Świętego Piotra. Ludzie płakali, przerażeni, że ten wspaniały przybytek Boga stanie w ogniu. Brat Józef poprowadził swoją grupę do odległego krańca placu, po czym usiadł na ziemi z uczuciem ulgi. Wszyscy byli tak zaaferowani, że nie zauważyli braku Michaela i profesora Higginsa.

Muzeum wypełniał gęsty dym, kłębiący się ku górze, a potem opadający na podłogę. Trudno było zauważyć nie tylko wyciągniętą przed siebie rękę, ale nawet czubek własnego nosa. Odgłosy paniki osłabły, w miarę jak większość ludzi wydostała się na zewnątrz. W sali zostali tylko nieprzytomny profesor Higgins i Michael.

Michael miał mniej niż pół minuty. Watykańska policja i straż pożarna powinny się lada moment pojawić. Wszystko dokładnie, co do sekundy, zaplanował. Bomby dymne z cukru i gorzkiej soli, które przygotował w warsztacie samochodowym, zadziałały bezbłędnie. Kluczową rolę odegrały w tym umieszczone w brązowej masie różowe i białe guziki; ich osłona rozpuszczała się, a zmieszanie się zawartości guzika i brązowej kulki powodowało natychmiastową reakcję chemiczną. Białe guziki miały osłonę o dwa centymetry grubszą niż różowe i działały jako zapalniki przez czterdzieści pięć minut. Różowe powodowały intensywne działanie przez pięć minut. Nie istniało żadne ryzyko, że wybuchnie pożar. Michael nie był przecież mordercą.

Złapał profesora Higginsa za nogi i pociągnął go w stronę gabloty z kluczami. Czasem i do niego los się uśmiechał. Dym był gęsty jak śmietana. Michael rozejrzał się, starając się rozpoznać dochodzące dźwięki. Na szczęście był sam...

Sięgnął do torby, wyciągnął przedmioty, które zrobił w warsztacie Vitelliego, i szybko złożył młotek. Uderzył z całej siły w płytę gabloty. Szkło nie pękło, nie powstała też charakterystyczna pajęczyna, ale młotek z diamentową, cienką igłą przebił calowej grubości szybę. Potem z rączki przez igłę dostało się do środka osiem litrów sprężonego powietrza, wypełniło próżnię i rozsadziło od wewnątrz miejsca łączenia szklanych tafli. Rozległ się dźwięk kolejnego alarmu, mieszając się z syreną przeciwpożarową i wzmagając przerażenie.

Pułkownik Stephen Enjordin i dwóch członków Gwardii Szwajcarskiej weszło do sali, kiedy ludzie wydostali się już na zewnątrz. Enjordin powiadomił straż pożarną, która dotarła do Muzeum w niespełna minutę po nim. Zareagowała też służba ochrony i trzydziestu sześciu strażników zgromadziło się przy wyjściach, dołączając do tych czterdziestu, którzy już uczestniczyli w akcji.

Enjordin i dwóch strażników przedzierał się przez Skarbiec w gęstej mgle, nawołując się, świadomi, że być może dzieje się coś, co nie ma żadnego związku z pożarem.

Michael stał przy rozbitej gablocie. Sięgnął do środka i wyjął klucze. Zostało mu czternaście sekund. Ponieważ sam ledwie widział swoje ręce, wiedział, że nikt nie jest w stanie go zobaczyć. Szybko zdemontował młotek, rozkładając go na trzy osobne elementy i włożył je do torby Higginsa. Igła gładko wsunęła się z powrotem do pióra, główkę ważącego dwa i pół kilo młotka ukrył w obudowie aparatu fotograficznego, a raczka wyglądała jak grzbiet skoroszytu. Wszystko to bez problemu zmieściło się w plecaczku Higginsa. Przyjrzał się uważnie czubkom swoich palców. Lateksowe końcówki niczym się nie różniły od prawdziwej skóry, ale nie zostawiały odcisków. Bez namysłu ściągnął je, zrolował, wsadził do ust i połknął.

Po otwarciu drzwi i uruchomieniu wentylacji, dym powoli zaczął się przeredzać. Enjordin prowadził szybkim krokiem swoich ludzi przez bazylikę, w kierunku Skarbcza, kaszłąc, machając dłońmi i rozpaczliwie starając się coś zobaczyć. Byli świetnie wyszkoleni i bez problemu potrafili rozróżnić dźwięki różnych alarmów. Wiedzieli więc, że doszło do kradzieży. W Watykanie nigdy nie powiodła się żadna kradzież i coś takiego nie mogło się zdarzyć na ich zmianie.

Błyskawicznie dotarli do gabloty z kluczami; zobaczyli stłuczone szkło, ale z powodu gęstego dymu nie mogli zajrzeć do środka. Enjordin odwrócił się i zdumiony zobaczył stojącego obok człowieka. Zwracając się do niego po włosku, zażądał wyjaśnień. Michael bardzo słabo znał ten język, ale bez trudu zorientował się, o co go pytano.

-Co pan robi? - zapytał ostrym tonem Enjordin, tym razem po angielsku.

-Ja... ja - zająknął się Michael.

- Co pan robi? Jak rozbić szkło? - wtrącił się jeden ze strażników. Vernea był największy z tej trójki, jego żółto - niebieski mundur niemal pękał na nim w szwach, a gotów był wydobyć odpowiedź, nie wzdragając się przed żadnymi metodami. Nie zamierzał też sprawić zawodu swojemu zwierzchnikowi.

Michael przypatrywał się w milczeniu strażnikowi, oddychając coraz szybciej.

Vernea załapał go wielkimi łapami za ramiona i pociągnął w stronę gabloty.

- Gdzie są klucze?! - Kradzież była zamachem na Boga, świętokradztwem, żadna kara za to nie mogła więc być zbyt brutalna. Ale...

Dym zaczął rzednąć i gablota stawała się widoczna. Najpierw tylko trochę. Vernea spojrzał uważniej, widząc, że pułkownik Enjordin pochyła się nisko nad gablotą. Niechętnie uwolnił drżące ramiona Michaela.

Na purpurowej aksamitnej poduszce leżały bowiem oba klucze.

- Przepraszam pana, przykro mi. Nie myślałem... - zwrócił się do Michaela.

Michael zamachał ręką, przerywając mu.

- Nie, proszę, nie. To ja przepraszam. Nic nie widziałem w dymie. Ten człowiek - Michael wskazał na nieprzytomnego profesora Higginsa, leżącego przed nim, twarzą do dołu.

- Nie zauważyłem go, wpadliśmy na siebie, ale gablotę... gablotę była już stłuczona.

Enjordin zignorował wyjaśnienia Amerykanina, oceniając sytuację. Oglądał zniszczoną gablotę, jakby to ona mogła mu powiedzieć, co się tu naprawdę wydarzyło, a potem, odszedłszy kawałek, zaczął oglądać pozostałe gabloty i eksponaty. Analizował wszystko - szkody, dym, dwóch podejrzanych i zapisywał wszystko w pamięci. Po chwili przykucnął przy Higginsie i obrócił go twarzą do góry. Sprawdził, co profesor - nadal nieprzytomny - miał przy sobie, ale znalazł tylko portfel i klucze hotelowe. Zajrzał do brązowego plecaka leżącego obok Higginsa, wyciągnął dwie książki i podał je swojemu podwładnemu. Zajrzał głębiej i wyciągnął trzy długopisy i różne ulotki antykościelne. Z posępną miną kontynuował przeszukiwanie i wreszcie trafił palcami na coś, czego wyciągnięcie wymagało pewnego wysiłku. Aparat fotograficzny był cięższy niż wszystkie, z jakimi się dotychczas zetknął. Obrócił go w ręce zdumiony, bo przedmiot musiał ważyć co najmniej dwa i pół kilo. Przejrzał ulotki antykościelne i twarz mu poczerwieniała. Popatrzył na Verneę, a następnie, z pogardliwym uśmiechem, ponownie na Higginsa. Już wcześniej zwrócił uwagę na tego człowieka, widział go na monitorze - rzucił się w oczy z tą swoją arogancką postawą, z wypisaną na twarzy ewidentną pogardą i lekceważeniem podczas dyskusji z bratem Josephem. Ten turysta nie okazywał Kościołowi szacunku. Enjordin musiał się bardzo hamować, miał bowiem nieprzepartą ochotę pobić go tak, żeby już nigdy nie odzyskał przytomności.

-Jest pan ranny? - zapytał Michaela mimochodem, nawet nie odwracając głowy, cały czas wpatrzony w leżącego przed nim profesora.

-Tylko roztrzęsiony. Ten pożar...

-Wyprowadzimy stąd pana - przerwał mu, zwracając się do drobniejszego ze strażników. - Reiner?

Kapral Reiner wziął Michaela za ramię i poprowadził przez rzednący dym. Dźwięk ich kroków głośno rozbrzmiewał w upiornie opustoszałym muzeum. Żołnierze Gwardii Szwajcarskiej w milczeniu zajęli pozycje wokół każdej gabloty, eksponatu i każdego wyjścia. Ich halabardy zostały zamienione na karabiny i pistolety. Michael obejrzał się za siebie, na miejsce przestępstwa, z zaskoczeniem myśląc o tym, jak szybko i sprawnie zareagowali na

zagrożenie. Enjordin kontrolował salę i swoich ludzi, którzy byli jakby jego przedłużeniem. Higgins powoli odzyskiwał przytomność, dudniło mu w głowie, miał trudności z koncentracją wzroku i czuł się zagubiony, kiedy Vernea uniósł go, stawiając na nogi. Michael żałował, że nie mógł być muchą siedzącą na ścianie podczas przesłuchania Higginsa. Wiedza o tym, jak profesor wytłumaczy posiadanie przedmiotów znalezionych w jego torbie, byłaby bezcenna. Nie miał nic na swoją obronę, jego wrogie nastawienie do Kościoła było znane i rozpowszechniane w publikacjach, łatwo więc będzie przypisać winę za incydent właśnie jemu. Ironia losu: całe życie poświęcił usiłowaniami zniszczenia Kościoła, a teraz, z głupiego powodu, tylko dlatego, że znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, to Kościół miał zniszczyć jego.

- *Un momento!* Stój! - Głośny okrzyk odbił się echem od ścian muzeum.

Michael odwrócił się i zobaczył pułkownika Enjordina pospiesznie kroczącego w ich stronę. Michaelowi serce podskoczyło do gardła. Spojrzał na Reintera, który na widok dowódcy przyjął postawę żołnierską, tracąc całe przyjazne nastawienie do Michaela. Ponad ramieniem Reintera spojrzął na odległe wyjście: stojący na warcie trzej członkowie Gwardii Szwajcarskiej zauważyli, co się dzieje i zablokowali wyjście. Michael wiedział, że niezależnie od tego, jak szybko by biegł, był w pułapce.

Enjordin gwałtownie zatrzymał się i zaczął coś wyjaśniać po włosku. Reinter bez słowa, mechanicznie potakiwał głową. Następnie obaj zwrócili się w stronę Michaela.

*

Trzy czarne minivany z włączonymi kogutami na dachach z piskiem opon zahamowały przed hotelem. Drobny, modnie ubrany konsjerż wybiegł im naprzeciw, ale został niemal zdeptany przez chmurę watykańskich i rzymskich policjantów, którzy wbiegli na schody, pozostawiając na dole kilku funkcjonariuszy mających zablokować wszystkie wyjścia. Konsjerż biegł za nimi, machając pękiem kluczy i bezskutecznie wzywając ich do zatrzymania się.

Policjanci, z bronią w dłoniach, wbiegli na trzecie piętro i bez zastanowienia wyłamali drzwi do pokoju 306. Zasapany konsjerż wpadł za nimi, trzymając w garści klucze, i opadł na stół, usiłując złapać oddech.

Przygotowana do strzału broń okazała się niepotrzebna. W pokoju nie było nikogo. Ale co ważniejsze, nie musieli wywracać wszystkiego do góry nogami. To, czego szukali, było na stole: mapy i plany Watykanu, zdjęcia muzeum i... receptura sporządzenia bomb dymnych.

Chwilę później do pokoju wpadł śledczy Francone w towarzystwie dwóch swoich

ludzi i Atilio Vitelliego. Francone usłyszał komunikat i natychmiast ruszył na miejsce zdarzenia. Z drogi przekazał pułkownikowi Enjardenowi w Watykanie informacje o tym, co znaleźli w garażu.

- Czy coś z tego, wydaje się panu znajome? - zapytał Vitelliego.

Vitelli popatrzył na stół, na pozbawiony fonii obraz telewizyjny, ukazujący dym w Watykanie, na spakowane walizki. W końcu jego wzrok spoczął na jankeskim kapeluszu wiszącym na klamce drzwi do łazienki. Tylko amator - Amerykanin mógł nosić coś tak bardzo... amerykańskiego, pomyślał.

Konsjerż w końcu złapał oddech i z szeroko otwartymi oczami zwrócił się do jednego z przybyłych.

- Co profesor zrobił? - zapytał, rozkładając ręce w geście bezradności.

Michael przyciskał kolejno wszystkie palce w wyznaczonych miejscach kartki, obracając je zgodnie z instrukcją. Reiner podał mu papierową chusteczkę, żeby mógł zetrzeć resztki atramentu, a w tym czasie strażnik robił mu zdjęcia. Michael, rozebrany do bielizny stał w małym pomieszczeniu w pobliżu placu Świętego Piotra. Były tu tylko stół i dwie lampy. Drzwi zamknięto na zasuwkę od zewnątrz. Na stole leżała zawartość torby Michaela - jego notesy, okulary słoneczne, książki na temat Watykanu. Obok jego ubrania i rzeczy wyjęte z kieszeni - portfel, paszport, pęk kluczy, PalmPilot oraz telefon.

- A zatrzymał się pan w hotelu Bella Coccinni? - pytał Reiner łamaną angielszczyzną, skupiając całą uwagę na prawie już wypełnionym formularzu.

- Zgadza się. - Michael zgniótł chusteczkę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Cały czas starał się uśmiechać.

Oficer śledczy w mundurze Policji Watykańskiej stał nad rzeczami z wykrywaczem elektronicznym, przesuwając nim na wszystkie strony. Alarm włączył się przy kluczach, Palm - Pilocie i telefonie. Detektyw podnosił każdy z tych przedmiotów, dokładnie je oglądając. Potem wyciągnął zawartość portfela - od kart kredytowych, po najmniejsze karteczki - i każdą czytał bardzo uważnie. Potem wziął PalmPilota, sprawdził programy - jakie są i jak działają - i położył z powrotem na stole. Podniósł telefon i zdziwiony jego rozmiarem i wagą, spojrzał na Michaela pytającym wzrokiem. Obrócił telefon w dłoni, otworzył obudowę i wyjął dużą, czarną baterię.

-Telefon irydium - powiedział z silnym akcentem. Michael uśmiechnął się.

-Ma niesamowity zasięg.

Oficer śledczy dokładnie obejrzał telefon niczym piękny klejnot, ale Michael zdawał sobie sprawę, że to wcale nie podziw, tylko podejrzenia. Następnie włożył baterię na miejsce

i włączył telefon.

- Pozwoli pan? - zapytał.

- Bardzo proszę.

Detektyw wprowadził numer i po chwili w jego kieszeni zadzwoniła komórka. Usatysfakcjonowany odłożył aparat na stół i zwrócił się w stronę Michaela. Sprawdził wykrywaczem całe jego ciało. Brak jakiegokolwiek sygnału. Odłożył czujnik, odwrócił się w stronę Rainera i spojrzał na niego porozumiewawczo.

Rainer podał Michaelowi ubrania i popchnął w jego stronę leżące na stole przedmioty. Michael ubierał się w milczeniu.

- Rozumie pan, profesorze McMahan. - Reiner spojrzał na paszport Michaela. - W przypadku takiego naruszenia prawa musimy zwracać uwagę na wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły. - Położył na stole długopis i przesunął papier w stronę Michaela, wskazując miejsce, gdzie miał się podpisać. - Nikt nie jest tak dociekliwy w prowadzeniu dochodzenia, jak pułkownik Enjordin. Może się zdarzyć, że będzie chciał się jeszcze z panem skontaktować, gdyby zaistniały jakieś nieprawidłowości.

- Naturalnie. - Michael skończył się ubierać i szybko podpisał formularz.

Nagle do pomieszczenia wszedł pułkownik Enjordin. Drzwi zamknęły się za nim z charakterystycznym kliknięciem, oznaczającym, że zasuwka zatrzasnęła się. Ignorując obecność Michaela, Enjordin zwrócił się do Reiner a i watykańskiego policjanta.

- Byliśmy w jego hotelu.

Michael zachował kamienny wyraz twarzy, ale serce podskoczyło mu do gardła.

- Było tam wszystko, mapy, zdjęcia. Ten *professore* wcale nie był taki sprytny.

Enjordin zmierzył Michaela wzrokiem od góry do dołu, jakby oceniając go, a potem wziął od Reiner a paszport, obejrzał, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół. Przechodząc na włoski, zaczął coś gwałtownie mówić do Rainera, który słuchał go w milczeniu, choć nieustannie obserwował Michaela.

W sali zapadło milczenie, a potem... podał Michaelowi jego paszport, zapukał trzy razy w drzwi i zasuwka odskoczyła.

Wyszli na zewnątrz w chwili, kiedy podjechała karetka pogotowia i zatrzymała się obok wozów straży pożarnej. Liczni żołnierze Gwardii Szwajcarskiej sprawdzali wychodzące za bramę tłumy ludzi, rewidując ich i zadając pytania. Popatrzyli na Michaela, ale widząc, że jest eskortowany przez kaprala Reiner a, powrócili do swych zadań.

-To było przerażające - powiedział Michael.

-Przepraszam, że naraziliśmy pana na nieprzyjemności - odparł Reiner. - Jest pan

pewien, że nic się panu nie stało?

-Jestem tylko trochę wstrząśnięty.

-Potrzebuje pan lekarza? - Strażnik spojrzał na niego ze szczerą troską.

-Nie, dziękuję, naprawdę nic mi nie jest. Marzę tylko o drinku.

-Mam nadzieję, że te przejścia nie zniechęcą pana do ponownej wizyty w Watykanie. -
Reiner skinął na pożegnanie głową, odwrócił się i pospiesznie ruszył z powrotem w stronę Muzeum.

Tłumy jeszcze się nie rozeszły, zamieszanie miało jeszcze jakiś czas potrwać. Michael odwrócił się i ruszył w kierunku hotelu, czując ulgę, że nikt nie ucierpiał, a zwiedzający będą mieli co opowiadać. Przechodząc przez plac Świętego Piotra, obok ogromnego obelisku i imponującej kolumnady, obejrzał się za siebie, na bazylikę. Choć nadal była wspaniała, nie odczuwał już jej przytłaczającej wielkości tak, jak w dniu, kiedy pierwszy raz spojrzał na to starożytne miasto.

Sięgnął do kieszeni i włączył telefon. Pragnął usłyszeć głos Mary. Pragnął powiedzieć jej, że ją kocha i że wraca do domu. Dokładnie o 1.00 wyszedł z Watykanu i uśmiechnął się, wiedząc, że właśnie wzrosły szanse Mary na wyzdrowienie.

Miał klucze.

ROZDZIAŁ 11

Michael pakował rzeczy. Pokoik w Rzymskim Zajeździe Turystycznym, za który zapłacił z góry, z trudem mieścił łóżko, ale to nie wygoda była czynnikiem decydującym. Wziął ten pokój ze względu na widok z okna. Mógł z niego oglądać doskonale oświetlony po zachodzie słońca Watykan, a co ważniejsze - wszystkie przecinające się uliczki; dzięki temu mógł się zorientować, którą mógłby uciec, gdyby tylko zaistniała taka potrzeba. Choć zameldował się w hotelu Bella Coccinni, zrobił to wyłącznie dla zachowania pozorów. Jego prawdziwą bazą był ten mały hotelik.

W telewizji pokazywano migawki z wydarzenia dnia - dym wydostający się z Muzeum Watykańskiego, zdenerwowanych, kaszlących turystów, a spiker włoskiego biura CNN informował o „...ewakuowanych jedynie z drobnymi obrażeniami”.

Michael usiadł przy małym, narożnym biurku i podłączył do notebooka kartę pamięci. Nagle na ekranie zaczęły wyświetlać się różne cyfry i w ciągu trzydziestu sekund została skasowana cała pamięć.

Komputer odegrał rolę doskonałego partnera, działającego punktualnie i bezbłędnie. O 10.00 automatycznie połączył się z posterunkiem rzymskiej policji, przez podłączony, a niemożliwy do namierzenia telefon komórkowy. W reakcji na głos człowieka, komputer uruchomił wcześniej nagraną dwudziestodwusekundową wiadomość, która wskazywała na warsztat Attilia Vitelliego jako na interesujący trop. Komputer zmodyfikował głos Michaela, który szybko przekazał informację, po czym połączenie zostało przerwane, nie zostawiając czasu na reakcję słuchającego policjanta.

Dokładnie o 11.00 komputer połączył się telefonicznie z Policją Watykańską. Głos Michaela, tym razem zmodyfikowany tak, że brzmiał jak kobiecy, ostrzegł o mającym się odbyć proteście. Chodziło o stworzenie ekranu, odwrócenie uwagi, skierowanie detektywów na trop, który zawierał określony ładunek prawdy, ale nie całą prawdę, natomiast wprowadzał zamieszanie.

Michael wyczyścił twardy dysk, kilkakrotnie przesuważąc po nim magnesem. Chociaż uruchomiony automatycznie o 11.17 wirus uszkodził komputer, niszcząc wszystkie dowody, a Michael wyczyścił całą pamięć, nigdy dość ostrożności; zawsze cenił pogląd, że najlepiej mieć pasek, szelki i jeszcze spadochron.

Michael cieszył się, że nikt nie ucierpiał - może z wyjątkiem ego i głowy profesora Higginsa, po części wskutek zderzenia z posągiem, a po części wskutek środka

oszałamiającego, który opóźnił odzyskanie przez niego świadomości. Antykatolickie ulotki, które umieścił w jego plecaku, doprowadziły strażników do furii, czego dowodem była ich wyprawa do hotelu. Hotel ten dzieliły zaledwie trzy przecznice od Bella Coccinni, a ponieważ pilnował go tylko jeden konsjerż, Michael nie miał żadnych problemów ze wślizgnięciem się rano do pokoju Higginsa i pozostawieniem tam takich dowodów, które mogły podbudować teorie i przypuszczenia Gwardii Szwajcarskiej i Policji Watykańskiej.

Wnioski, jakie wyciągnęła Policja Watykańska, potwierdziło wiele dowodów: przedmioty znalezione przy Higginsie, jego ślepa nienawiść do Kościoła, rzeczy w jego pokoju. Fakt, że nie została popełniona żadna kradzież, kierował ich uwagę na anarchistycznego wandala, a nie na oportunistycznego złodzieja. Prawda mogła wyjść na jaw dopiero wtedy, kiedy przestanie działać środek oszałamiający. Ale wówczas nikt już tej prawdy nie będzie dociekał, ponieważ wszyscy mieli już wyrobione zdanie na temat profesora.

Michael wyciągnął telefon, wyjął baterię i włożył zapasową, świeżo naładowaną.

- "Nadal nieznany jest powód tego zajścia - kontynuował reporter CNN. - A muzeum, po raz pierwszy od 45 lat jest zamknięte".

Michael odkleił nalepkę na baterii, odsłaniając szew, potem przeciął nożem spoiwo. W substancji przypominającej smołę ukryte były dwa klucze. W miejscu styków umieszczona była mała bateria, dlatego aparat funkcjonował normalnie. Działał, jedyna różnica była taka, że pojemność baterii wynosiła jedną dziesiątą tej, jaką posiada typowa. Był to taki „trojański telefon komórkowy”.

Nareszcie Michael mógł obejrzeć swoje trofea. Położył klucze na łóżku. Oblepione były czarną mazią, ale po wytarciu szlachetny metal, z jakiego je wykonano, zaczął lśnić. Ręcznikiem wyczyścił resztki smoły i wypolerował srebrny klucz na błysk. Potem wziął złoty i zaczął go oczyszczać. I wtedy dostrzegł coś, pod wpływem czego zamarło mu serce.

Złapał klucze i pospiesznie wszedł do łazienki.

- "Z różnych źródeł usłyszeliśmy, że w Zakrystii i Skarbcu oraz Muzeum Gregoriańskim zdetonowano kilka bomb dymnych, ale nikt nie został ranny". - Z pokoju dobiegał głos reportera telewizyjnego.

Michael przyjrzał się uważniej złotemu kluczowi, po czym włożył go pod strumień gorącej wody.

- "Policja potwierdziła, że na szczęście nic nie zostało ukradzione". - Głos z telewizora odbijał się echem od wyłożonych płytkami ścian łazienki.

Umywalkę wypełniła czarna woda, a klucz stał się złoty. Michael podniósł go do oczu,

uważnie oglądając. Na kluczu

wygrawerowany był napis. Bardzo małymi, niemal nieczytelnymi literkami. Z trudem je odczytał. I nie mylił się. Na kluczu widniał napis „585”.

Podniósł wzrok i ponad kluczem, który położył na brzegu umywalki, spojrzął w lustro. Potarł twarz dłońmi.

- Gównno - powiedział na głos.

Zadzwoił telefon, ale Michael go zignorował. W uszach dudnił mu odgłos walącego serca. Zamknął oczy.

Telefon zadzwonił ponownie i w tym momencie Michael eksplodował. Jednym ruchem ręki przejechał po półce, zrzucając wszystkie przybory z hukiem na podłogę.

Wybiegł z łazienki i podniósł słuchawkę.

-Halo.

-Oglądam właśnie wiadomości - odezwał się głos. - Wspaniała rzecz taka telewizja, nadająca z całego świata. Zastanawiam się, czy CNN jest na sprzedaż.

Michael zareagował milczeniem, obserwując telewizyjną relację z Watykanu. W głowie dźwięczał mu głos Finstera, mówiącego: „Będę wiedział, Michaelu, czy klucze są prawdziwe. Będę wiedział”.

-I co? - spytał Finster.

-Ci w Watykanie nie są głupi. - Michael próbował pohamować wściekłość. Napis 585 - albo 14K, według standardu amerykańskiego - był określeniem przyjętym dla złota o czystości 58,5%. Tego typu oznakowania z pewnością nie stosowano dwa tysiące lat temu.

- I...?

- I... - Michael był w rozterce. Nie wiedział, co powiedzieć, nie mógł przyznać się do porażki. Gra toczyła się o życie Mary.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Masz je?

Nie odpowiedział. Zatopiony w myślach, wpatrywał się w coś na łóżku.

- Odpowiedz. Co się dzieje? - W głosie Finstera zabrzmiała nutka napięcia.

Na łóżku Michaela leżał stos książek. Jego wzrok przyciągnęła jedna z nich: *Watykan - polityka i terytoria*. Na okładce było zdjęcie starego kościoła z kamienia. Prostota i logika nagle wydały się Michaelowi całkiem oczywiste, ale też przeszłość zawsze widzimy wyraźniej niż przyszłość. Zmyłka. Specjalność Michaela. Jak magik: zmusić publiczność, żeby patrzyła na prawą rękę, podczas gdy lewa oszukuje. Patrzycie tu, więc tam mogą zrobić coś, co wy uznacie za magię. A ludzie raczej nie kwestionują faktów, zwłaszcza tych, które

widzieli na własne oczy. Patrzcie wszyscy, proszę, na moją pustą dłoń, a ja tymczasem wyciągnę monetę z kieszeni; patrzcie na Higginsa, wroga Kościoła, a ja w tym czasie pożyczę sobie te klucze; patrzcie na te klucze w gablocie, podczas gdy ja schowam sobie gdzieś te prawdziwe.

-Michael, co się dzieje?

-Rzeczy nie zawsze są takie, jak się wydaje. - Michael powiedział to bardziej do siebie niż do słuchawki. - To przecież takie proste, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?

-O czym ty mówisz? - Głos Finstera zabrzmiał dziwnie krucho.

-Powiniem być od razu od tego zacząć. - W głosie Michaela dawało się wyczuć niezwykle skupienie. - Zobaczymy się za kilka dni.

Finster zaczął coś jeszcze mówić, ale Michael nie słuchał. Nie myśląc o tym, co robi, rozłączył rozmowę.

Ściany zdobiły obrazki namalowane kredkami świecowymi. Przedstawiały chmurki i psy, patyczkowatych ludzi i kwiatki. Jeannie Busch przywiozła je ze szkoły. Dzieci z całym zaangażowaniem rysowały, kiedy tylko usłyszały, że Mary „jest trochę zaziębiona i nie wróci do pracy przed wakacjami”. Wiele maluchów popłakało się na wieść o tym i klasa straciła swoje poczucie równowagi. Mary stanowiła bowiem punkt centralny, była namiastką rodziców, a teraz odeszła. W nadziei, że uda jej się zabić nie tylko sterylny charakter sali, ale i sterylne uczucia goszczące w sercu, Mary poprzyklejała obrazki na ścianach.

Siedziała na krześle i udawała, że czyta. Wielokrotnie robiono jej badania, ale nigdy tak często jak teraz. Leczenie nie tylko wysysało jej siłę, ale i wolę walki. Tęskniła za Michaeliem, chciała, żeby jak najszybciej wrócił. Wiedziała, że będzie katalizatorem przyspieszającym jej zdrowienie.

- Cześć, Marę - usłyszała czyjś szept. W pierwszej chwili nie zauważyła go, była trochę oszołomiona, zatopiona w myślach. Podszedł bliżej. - Cześć.

Drgnęła zaskoczona jego głosem, ale wyraz przerażenia zniknął, kiedy zobaczyła jego twarz.

- Paul. - Jej uśmiech wyrażał autentyczną radość.

- Wspaniale wyglądasz. - Faktycznie, spodziewał się, że będzie gorzej. - Jak się masz?

- Dobrze. Robią mnóstwo hałasu o nic.

Busch pochylił się, całując ją w policzek. Przyjechał prosto z pracy, w pomiętym ubraniu, z przekrzywionym krawatem, zdążył tylko uczesać swoją zmierzwioną jasną czuprynę.

- Musisz szybko wracać do domu, bo Jeannie doprowadza mnie do szału. Trzeba ją

trzymać w ryzach i zmusić, przynajmniej co jakiś czas, do śmiechu.

- Sam to doskonale potrafisz.

- Tak, ale ona śmieje się ze mnie, a nie do mnie. - Paul położył na stole pakunek. -
Przyniosłem ci trochę słodyczy i czasopisma.

Na stolikach rosły już stosy pism, Mary potrzebowałyby chyba roku, żeby je wszystkie przeczytać.

- Dziękuję. Jak się ma Jeannie?

- Odchodzi od zmysłów - powiedział niezbyt radośnie. Popatrzył na rysunki na ścianach. - Masz mnóstwo wielbicieli.

- Tak, to moja trzódka.

Zapadła długa, krępująca cisza. Busch zajął się oglądaniem obrazków.

Mary zamknęła książkę, zebrała myśli i uśmiechnęła się.

- Dziękuję, że pomogłeś Michaelowi, że pozwoliłeś mu jechać na południe i w ogóle.

Busch spojrzał na nią.

- Wiesz, jak to jest... czasami trzeba nagiąć zasady.

Buscha bolało, że Michael okłamał Mary, ale nie potrafił zdobyć się na to, żeby powiedzieć, że jej mąż wyjechał z kraju.

-Nie wiem, jak ci się odwdzięczymy.

-Po prostu wyzdrowiej.

- Obiecuj, że jak Michael wróci, dacie się zaprosić na obiad do restauracji, dobrze?

Busch wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej dłoni; z największym wysiłkiem zmusił się do uśmiechu. Miał nadzieję, wbrew logice, że uzna ten jego czuły uśmiech i gest za znak i nie będzie się domagała odpowiedzi. Nie mógł przyrzec. Nie mógł i on jej okłamać.

Mary położyła się, z coraz większym trudem skupiając myśli. Już podczas wizyty Buscha walczyła z opadającymi powiekami. Zawsze się nią opiekował, zwłaszcza wtedy, kiedy Michael był w więzieniu. Nigdy nie robił z tego sprawy, nigdy nie czuła się zakłopotana. Kiedy zgłosił się na ochotnika jako funkcjonariusz nadzorujący Michaela na zwolnieniu warunkowym, było to zaskoczeniem zarówno dla niej, jak i dla Jeannie. Pomógł Michaelowi stanąć na własnych nogach, a ich przyjaźń przekraczała wszelkie oczekiwania Mary. Była wdzięczna Paulowi za to, że odgrywał tak wielką rolę w życiu Michaela.

ROZDZIAŁ 12

Otwarta przestrzeń, pozbawiona jakichkolwiek znaków rozpoznawczych. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, tylko pustynne trawy. A w oddali niewielkie pasmo gór. Michael wspinał się na szczyt wzgórza, rzucił na ziemię płócienny plecak i zapatrzył się na otoczenie. Szedł już od kilku godzin. Nie było żadnej drogi, tylko od czasu do czasu wąskie dróżki przecinające pustynną roślinność. Był to trudny marsz, ale powtarzał sobie, że nawet w części nie tak trudny, jak to, przez co przechodzi Mary. Ruszył dalej.

Podnóże Góry Kefas było zapomnianym, opustoszałym miejscem, nie mającym żadnego znaczenia politycznego czy religijnego. Natomiast gdyby udać się pięć kilometrów na południe, do Jebel et - Tur, znanego jako Góra Oliwna, różnica byłaby zaskakująca. Opowieści o Górze Oliwnej były spisywane i przekazywane z pokolenia na pokolenie, miejsce traktowano jak ewangelię: to właśnie tu Jezus wstąpił do nieba. Ale w rzeczywistości Góra Oliwna to pasmo wzgórz ponad siedemdziesięciometrowej wysokości.

Wśród ksiązek, jakie Michael kupił, przygotowując się do skoku, była pozycja poświęcona posiadłościom Kościoła katolickiego na całym świecie. Przeczytał w niej, że w Watykanie, wśród rozlicznych skarbów, był także rejestr aktów notarialnych, a ściślej mówiąc, pokój przeznaczony na archiwum, w którym przechowywano dokumenty dotyczące posiadłości Kościoła katolickiego na świecie. W książce zamieszczono wykazy dziesiątek tysięcy kościołów podlegających papieżowi. Był tam też jeden, na który Michael zwrócił szczególną uwagę. Na całym świecie były tysiące sanktuariów nazwanych „kościół Wniebowstąpienia” - w tym na Górze Oliwnej - tak jak wiele było kościołów św. Patryka, św. Augustyna czy św. Michała. Kościół Wniebowstąpienia na Górze Kefas w Izraelu. Michael zdawał sobie sprawę, że jest to zagranie pokerowe, ale bardzo wiele faktów wskazywało na ten kierunek. Brat Joseph powiedział: „Przed śmiercią Piotr udał się z pielgrzymką... Niektórzy badacze spekulowali, że wrócił do Ziemi Świętej, by złożyć hołd, inni zaś uważali, że Piotr miał przecucie tego, co go spotka łącznie ze śmiercią i szedł zwrócić coś ziemi swojego Boga”. Piotr nie posiadał nic wartościowego, wyrzekł się bowiem wszelkiego majątku. Jediną rzeczą, którą cenił, było Słowo jego Zbawiciela, które przysiągł chronić za wszelką cenę. A jedynym fizycznym powiązaniem były klucze. I to je chronił przed cezarem, który chciał zniszczyć wszystko, co miało jakikolwiek związek ze znieawidzonymi chrześcijanami. Michael uznał więc, że święty Piotr, którego imię wywodzi się z greckiego słowa *petros*, czyli skała, udał się z pielgrzymką do prawdziwej góry, z której Chrystus

wzniósł się do Nieba - góry Petros, która w języku aramejskim nazywała się Kefas. Watykan, pokazując klucze świętego Piotra w Muzeum Watykańskim, potwierdzał ich wielkie znaczenie. W efekcie prawdziwe klucze mogły być ukryte tam, gdzie zaniósł je św. Piotr, bez większego ryzyka, że zostaną ukradzione. Kto bowiem szukałby kluczy Chrystusa w niechrześcijańskiej części świata, jeżeli były eksponowane w miejscu, w którym mógł je obejrzeć każdy?

Michael bez zastanowienia zabukował lot z Rzymu do Tel Awiwu. Po wylądowaniu pojechał do miasta, kupił potrzebne rzeczy, dotarł wypożyczonym samochodem do podnóża wzgórz w Jerozolimie i dalej wyruszył pieszo. Wspinając się na Górę Kefas, myślał o Mary. Wkrótce znowu będą razem, wypełni swoje zadanie i przynajmniej raz wykorzysta wrodzone zdolności w dobrej sprawie.

Na szczycie ostatniego wzgórza dostrzegł to, czego szukał: starożytny kościółek z kamienia. Prosta, drewniana tabliczka informowała o niedzielnych mszach. Po drugiej stronie pola rozciągał się ogromny, sięgający linii horyzontu, cmentarz. I ani żywej duszy w okolicy. Żadnego miasta, żadnych śladów cywilizacji. Kościół Wniebowstąpienia był reliktem minionej przeszłości. Oczywiście, że w tej głównie żydowskiej części świata niewielu ludzi przychodziło na niedzielne msze', jeśli w ogóle ktokolwiek się zjawiał.

Kiedy Michael otwierał drzwi kościoła, pomarańczowe światło zachodzącego słońca rzucało blask. Wnętrze było ubogie, z drewna i kamieni polnych. Żadnych okien, jedynie szczeliny w grubych kamiennych ścianach. Gasnące promienie oświetlały krucyfiks nad ołtarzem. W tym sanktuarium nie dało się określić czasu. Jeśli chodzi o Michała, mogło ono powstać tysiące lat temu. Główny ołtarz ze zniszczonego przez czas drewna i bloków skalnych przykryty był białym obrusem z papieskim symbolem dwóch skrzyżowanych kluczy. Obok blaszanej miseczki stały dwie karafki, jedna z winem, a druga z wodą. Światło dwóch świec odbijało się w starym kielichu, a z wielokrotnione rozbłyskiwało się po pomieszczeniu. Ktoś musiał pilnować świec, uznał Michael.

Obszedł ołtarz, opukał ściany, krzesło przeznaczone dla księdza, małe, zwrócone bokiem tabernakulum. Miał ze sobą różne narzędzia, ale wątpił, czy będą mu potrzebne tej nocy. Nie był w jakimś doskonale strzeżonym muzeum, ale prostym, starym kościółku, który nie miał trzymać ludzi na dystans, lecz przyciągać ich do środka. Było to miejsce, w którym przestępstwa nigdy nie brano pod uwagę, chyba że w kontekście przebaczenia.

Michael wczołgał się pod stół przy ołtarzu i położył na plecach. Popatrzył do góry: blat z litego drewna był zbyt cienki, żeby pomieścić to, czego szukał. Obrócił się i zaczął badać podłogę wokół ołtarza. Była podwyższona jakieś piętnaście centymetrów w stosunku

do pozostałej i zrobiona z wyrzuconego przez wodę drewna, którego wieku nie dałoby się określić. Opukał płyty na powierzchni nieco ponad metra. W części środkowej, pod stołem, usłyszał głuchy odgłos echa. Wyciągnął nóż, wsunął w szparę i uniósł deskę.

Na piętnaście centymetrów w głąb nie było nic prócz klepiska. Wyjął kolejne dwie przylegające deski, ale znowu tylko ubita ziemia. Schował nóż do pochwy i wstał. Podeszedł do pierwszego rzędu ławek - były stare i proste, ale solidne - i usiadł. W Kościele katolickim stosowaną praktyką było umieszczanie świętych relikwii na ołtarzu, co miało napełniać go boskością. W Watykanie istnieje nawet specjalna sekcja, zwana biblioteką relikwii, makabryczna izba, w której są wyłącznie kości świętych i starożytne eksponaty. Zadaniem pracujących tam „bibliotekarzy” jest wypełnianie maleńkich szkatulek i kopert takimi relikwiami, a następnie rozsyłanie ich do kościołów, które umieszczają je na ołtarzach. Michael wpatrywał się w prosty ołtarz, myśląc, że ten kościół nie mógł być wyjątkiem od reguły.

Wyciągnął nóż i ponownie wczołgał się pod stół. Popatrzył na ubitą ziemię, pogłaskał ją, zaczął sprawdzać palcami, ale nie znalazł nic szczególnego. Zamachnął się więc i energicznie wbił nóż w ziemię.

Poczuł ostry ból w ręce, kiedy nóż gwałtownie zatrzymał się na czymś twardym. Piętnastocentymetrowe ostrze wbiło się... ale tylko na dwanaście centymetrów. Dźgnął ziemię ponownie, trzydzieści centymetrów na lewo od pierwszego miejsca. I znowu ostrze weszło tylko w dwóch trzecich. W odległości sześćdziesięciu centymetrów na prawo nóż zachował się tak samo.

Michael zaczął pospiesznie kopać nożem. Ziemia była mocno zbita, jakby nieruszana od wieków. Bolały go już ręce. Co kilka minut przerywał i wyglądał na zewnątrz. Zaczynała mu też doskwierać samotność, było przeraźliwie cicho. Nawet kopanie wydawało się bezszmerowe... Nagle uderzył w metal. Zadźwięczało, nóż ze zgrzytem zsunął się po niewidocznej powierzchni. Michael przyspieszył wyrzucanie ziemi, górka obok niego z każdą minutą robiła się coraz wyższa.

Wreszcie coś dostrzegł. Oczyszczył to, zmiatając resztki ziemi. Była to metalowa skrzynia, porysowana i stara. Ręcznie kuta powierzchnia pozbawiona była ozdób i poobijana. Michaelowi serce zaczęło bić mocniej. Miał rację, w środku musiało kryć się coś cennego. Skrzynia miała powierzchnię około stu dwudziestu centymetrów kwadratowych. Natrafił palcami na krawędź. Nie było ani zamka, ani rączki, żadnej wskazówki, jak dostać się do środka.

Wyciągnął z plecaka przenośny palnik acetylenowo - tlenowy i zapalił go. Niebieski

ogień zatańczył, rzucając na ściany cienie. Zmniejszył ogień do minimum i przejechał bezpośrednio po krawędziach - w ich najciemniejszej części. Ogień o temperaturze tysiąca dwustu stopni błyskawicznie stopił spawy. Zgasił palnik, wyciągnął mały łom i wsunął go w powstałą szczelinę. Wieczko skrzyni zaskrzypiało, kiedy je unosił. Zajrzał do środka i dostrzegł na dnie, na głębokości trochę ponad metra, jakiś pojemnik. Wskoczył do skrzyni, kucnął i zobaczył małą, metalową szkatułkę. Wyciągnął ją na powierzchnię. Nie miała zamka, tylko zwykłą zasuwkę, którą bez trudu odsunął.

Sięgnął do wewnątrz i wyciągnął małą, drewnianą skrzyneczkę wielkości pudełka na cygara. Bardzo starą, z wyrzeźbioną na wierzchu ozdobną bramą. Michael położył ją na ołtarzu i uniósł wieczko. W środku dostrzegł jakąś białą szmatkę, podziurawioną i zużytą. Wyjął ją i delikatnie położył obok, tak jak to robił wielokrotnie w przeszłości. Zawsze znalezienie diamentów lub jakichś arcydzieł było przeżyciem duchowym, ale tym razem nie. Nie było świętym przeżyciem, zdarzeniem o charakterze boskim czy błogosławionym, ale osiągnięciem, które nie miało sobie równych w całym jego życiu. Zawartość szmatki miała być darem życia dla jego umierającej żony.

Rozwinął materiał i zobaczył dwa proste, zmatowiałe klucze. Niemal identyczne z watykańskimi replikami. Nieco większe od współczesnych kluczy, dziesięciocentymetrowej długości i grubsze. Jeden wyglądał na srebrny, a drugi - na złoty. Ale kiedy wziął je do ręki, zorientował się, że wcale nie były wykonane z metali szlachetnych, tylko pewnie z brązu i żelaza. A więc to były przedmioty, których szukał. Zawinął je z powrotem w szmatkę i umieścił w szkatułce, którą owinął swetrem i wrzucił do plecaka.

Kiedy wyszedł z kościoła, słońce dawno już zaszło. Słaba poświata zabarwiała horyzont na purpurowo. W oddali nisko nad ziemią unosiła się mgła. Ruszył ścieżką w dół, czując się coraz bezpieczniej. Ciemność to jego przyjaciel. Zawsze lubił, kiedy osłaniała go noc, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że skoro on nie widzi, to i jego nie widzą. Przepęniała go radość; zrobił, co do niego należało, i może wracać do domu.

- Przepraszam... - usłyszał czyjś głos.

Wyteżył wzrok, usiłując zobaczyć cokolwiek. Zaczął iść czujnie, zwalniając kroku.

- Mogę panu w czymś pomóc? - Głos dochodził gdzieś z góry, a nieznajomy był zupełnie niewidoczny. Jego akcent nie był jednak ani hebrajski, ani bliskowschodni. Był włoski.

Michael zatrzymał się.

- Proszę się pokazać - zawołał.

- Niestety, nie mam żadnego światła. Może pan ma jakieś?

Wyciągnął latarkę i oświetlił dróżkę, przesuwając strumień światła do przodu i do tyłu. Ale choć światło było mocne, w gęstniejącej mgle nikogo nie widział.

Nagle poczuł zimny dreszcz na plecach. Instynktownie odsunął od siebie latarkę na całą długość ręki. Wiedział, że właśnie pozwolił się zlokalizować, że światło stanowiło centralny punkt tarczy strzelniczej, którą był on sam. Usiłował coś wypatrzeć...

BUM. Z wyciągniętej ręki wypadła rozbita na kawałki latarka.

Ruszył biegiem, na skróty przez otwarte pole. Ciemność zlała się z mgłą, nie miał pojęcia, dokąd biegnie. Po prostu uciekał przed kulami. Mimo że biegł szybko, goniący go napastnik był coraz bliżej.

Całe przygotowania do akcji w Watykanie były stratą czasu. Obmyślił tę zręczną operację i przeprowadził ją bez zakłóceń, co podbudowało jego ego. Zaślepiła go próżność; to, co zrobił dziś wieczorem, było amatorszczyzną. Popelnił elementarny błąd.

W uszach czuł pulsowanie, bolały go mięśnie nóg. Choć stracił wiarę w Boga, przeszło mu przez myśl, że może nadszedł właściwy moment, żeby ją odzyskać, uklęknąć i pomodlić się. Był jednak pewny, że w tej chwili nie znajdował się na liście Bożych priorytetów. I nagle, pomimo mgły, zobaczył przed sobą nagrobki. Cmentarz.

Zmusił się do jeszcze szybszego biegu. Jeszcze tylko dziesięć metrów. Jeśli dotrze do cmentarza, będzie miał szansę. Był tak blisko sukcesu, tak blisko wykonania zadania, tak blisko uratowania Mary. Nie może przegrać.

Dobiegł do cmentarza i zaczął kluczyć między nagrobkami, przeskakując nad wystającymi płytami. Choć ledwo co widział, dokoła miał tylko groby. Tysiące grobów w każdym kierunku. Skierował się ku środkowi. Gęsta jak mleko mgła otulała ziemię szarym kocem do wysokości kolan. Michael biegł coraz prędzej, nie widząc, co ma pod nogami. W pewnej chwili potknął się o tabliczkę nagrobną i wpadł, głową do dołu, prosto do grobowca. Oszołomiony, usiłował otrząsnąć się z bólu.

Jego prześladowca był tuż za nim. Stawiał kroki ostrożnie, w równym rytmie, jak myśliwy zbliżający się do zwierzyny.

Michael nie potrafił go zlokalizować. Miał wrażenie, że jest wszędzie. Mgła utrudniała widzenie, a kropelki wody rozpraszały dźwięki w każdym kierunku, wzmacniając nawet te najbardziej odległe.

Utknął w martwym punkcie.

Miał do wyboru: biec albo się ukryć. Biegając, ryzykował ujawnienie się, ale równie niebezpieczne było ukrywanie się bez możliwości obrony. Nie miał przecież broni, nigdy jej nie nosił. Byłoby to wbrew jego najgłębszym przekonaniom. Zawsze uważał się za złodzieja

dżentelmena. Nigdy nie okradał kogoś, kogo nie było stać na to, żeby odkupić skradziony przedmiot albo kto nie był ubezpieczony. Najchętniej działał w muzeach i galeriach. Ale odbieranie komuś życia to nie jego działka. A w tej chwili akurat zajmował się dawaniem życia - życia Mary. Gdyby jednak doszło do konfrontacji pomiędzy prześladowcą a nim, zabiłby.

- Znajdę cię. - Wydawało się, że głos dobiega z każdej strony.

Michael przyłgnął do ziemi, ukrywając się za płytą grobową Ishmaela Hadacasa. Urodzony w 1896 roku, zmarł w 1967 roku. Tabliczka głosiła, że zmarł, walcząc o wolność Izraela. Koptyjski chrześcijanin oddający życie za państwo Żydów. Musiał być odważnym człowiekiem, pomyślał Michael. Szkoda, że go tu teraz nie ma. Przydałby mu się sojusznik.

- Nie masz pojęcia, co się stanie, jeśli nie zrezygnujesz. - Odezwał się znowu głos o włoskim akcencie. Kimkolwiek był, wyraźnie się bał. Michael wyczuł jego strach. Zapewne to jakiś strażnik, który zdrzemnął się na służbie, albo policjant, którego czujność uspiły lata nudy.

Michael milczał, obserwując otoczenie. Nie miał odwagi się poruszyć.

- Proszę cię, dla dobra chrześcijaństwa, dla dobra całej ludzkości. - Pozbawiony modulacji głos brzmiał niemal jak szept. - Jeśli nie zrezygnujesz, nie będę miał wyboru. Będę musiał cię zabić.

Michael wiedział, że to prawda. Powoli, cicho, zaczął się czołgać. Wytężał wzrok, uważnie wpatrując się w każdy nagrobek. Miał nadzieję, że oddalał się od głosu. Przebył jakieś sto metrów. Zaczął odliczać nagrobki, żeby móc określić odległość. Według jego oceny, czołgał się na południe, w kierunku drogi do wsi. Spojrzał na zegarek. Upłynęło dziesięć minut od czasu, kiedy ostatni raz słyszał głos prześladowcy. Może zrezygnował, może poszedł do domu, godząc się z porażką. Ale to tylko fałszywe nadzieje. Na pewno gdzieś tu jest. Obaj czekają. Wygra cierpliwszy.

Wreszcie Michael wpadł na pomysł. Zdjął ciemną kurtkę i udrapował ją na starym kamieniu nagrobnym. Odczołgał się dwadzieścia metrów i ukrył za innym nagrobkiem. Zebrał kilka kamieni i ułożył przed sobą. Ledwie dostrzegł „ubrany” pomnik. Miał nadzieję, że prześladowca da się nabrać, uzna, że to siedzący na ziemi człowiek. Nasłuchiwał, ale nie dochodziły do niego żadne odgłosy. Rozglądał się, przekonany, że mężczyzna musi gdzieś tu być i że zaraz dowie się, gdzie.

Delikatnie rzucił kamieniem w grób, na którym wisiała jego kurtka. Trafił. I znowu cisza. Złapał następny kamień i rzucił. W chwili, kiedy kamień upadł, rozległ się strzał. Kurtkę rozerwało na kawałki, razem z kamienną płytą.

Michaelowi serce podeszło do gardła, kiedy dostrzegł ogień z lufy w odległości niespełna pięciu metrów. Wstrzymał oddech. Widział teraz postać swojego prześladowcy. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt. Uważnie rozglądał się na boki, pospiesznie zbliżając się do roztrzaskanego przed chwilą celu. Sposób, w jaki ten człowiek poruszał się, jego zachowanie, przeraziło Michaela. Myślał, że to tylko strażnik albo jakiś emerytowany policjant - przecież chodziło tylko o zwyczajny kościół. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógł to być człowiek, który nie zrezygnuje z polowania. Tymczasem miał do czynienia z profesjonalistą. Tamten człowiek był żołnierzem.

Michael złapał kolejny kamień i z całej siły rzucił do góry, jakby to była piłka futbolowa. Kamień poleciał daleko, a potem spadł, uderzając w kolejną płytę nagrobną.

I zaledwie ułamek sekundy później kolejny strzał. Kolejny grobowiec roztrzaskany, a huk rozszedł się na kilometry. Ale, ku zdumieniu Michaela, strzał dochodził z odległości większej niż poprzedni. Mężczyzna cicho się oddalał.

Michael zerwał się i zaczął biec w kierunku najgęstszej mgły. Nadal słyszał strzały, które rozlegały się w równych odstępach czasu, metodycznie, ale za każdym razem coraz dalej. Nie oglądał się za siebie. Po prostu biegł naprzód.

ROZDZIAŁ 13

Na końcu długiego, półtorakilometrowego podjazdu wznosił się wielki bawarski pałac. Miał pewnie ponad sto lat, a zbudowano go z kamienia dla jakiegoś dawno zapomnianego członka niemieckiej rodziny królewskiej, sto trzydzieści kilometrów od Berlina, na tysiącakrowej działce. Mówiono, że ma ponad sto pokoi, ale zatrudnieni w nim pracownicy nie doliczyli się nigdy więcej niż osiemdziesięciu czterech. Stojące w garażu liczne eleganckie samochody rzadko kiedy były używane. Prowadził je jedynie zatrudniony tu mechanik, który dbał o ich doskonały stan, na wypadek, gdyby właściciel zdecydował się kiedyś zrobić prawo.

O dzikich wyczynach właściciela tej otoczonej wysokim murem posiadłości krążyło mnóstwo plotek. Z punktu widzenia bezpieczeństwa, pałac można było porównywać z ambasadą USA. Na samym tylko terenie, poza domem, pilnowało jej dwudziestu pracowników, otrzymujących dwa tysiące euro tygodniowo nie tylko za „specjalne zdolności”, ale i za trzymanie języka za zębami. Każdy z nich miał jakieś konkretne obowiązki: pracowali jako ogrodnicy, dbali o trawniki, wykonywali roboty murarskie, ale wszystkie te umiejętności posiadli dopiero niedawno. Wcześniej wszyscy służyli w wojsku. Cały personel był bardzo zadowolony ze swojej pracy - to, co robili, było łatwe, dostawali świetne wynagrodzenie i ani razu nie zdarzyło się, żeby musieli sobie przypomnieć, jak posługiwać się bronią. Nie bardzo więc rozumieli, po co działający legalnie biznesmen utrzymuje własną małą prywatną armię.

Hol był okazały; sięgał do trzeciego piętra, a okna z szybami ze szkła ołowianego umieszczono tak, że światło przez cały dzień wpadało do środka. Wnętrza były wspaniałe, utrzymane w starych, głębokich odcieniach: ciemne mahoniowe ściany zestawione z kasztanowo - zielonymi zasłonami. Mieszały się tu różne epoki; gobeliny były starsze niż kamień węgielny tego domu, a meble pochodziły z wszelkich możliwych okresów. Trudno było nie zauważyć bogactwa, ale nade wszystko widoczne było jedno - brak pani domu. Był to typowy dom mężczyzny. Żadnych kwiatowych akcentów w pokoju dziennym, żadnych ożywczych żółci w salonie. Wszystko było czysto męskie, łącznie z obsługą domu.

Kamerdyner był uprzejmym, starszym panem z głęboko osadzonymi oczami, ginącymi wśród niezliczonych zmarszczek. Charles prowadził dom i określał obowiązujące reguły. Znał pana lepiej niż ktokolwiek inny: jego potrzeby i zachcianki, podróże i gusta. I wiedział, że choć pan był cichy i na dystans, jeśli ktoś mu się sprzeciwił, zniknął bezpowrotnie.

Nikt też nie mógł przeszkodzić Charlsonowi w sprawianiu przyjemności właścicielowi tego rozległego domostwa. Tak właśnie został wyszkolony i, jak każdy dobry kamerdyner, robił wszystko, żeby mieć pewność, że wywiąże się ze swojego zadania bez zarzutu.

Przywitał teraz Michaela i poprowadził do biblioteki. Zgodnie ze swoimi obowiązkami zaproponował, żeby gość zdjął kurtkę i zostawił plecak, ale Michael odmówił, mocno ściskając przewieszony przez ramię skórzany worek. Nie zamierzał wypuścić go z rąk, dopóki transakcja nie zostanie ukończona. Charles nalał więc drinka i wycofał się, prosząc, aby Michael czuł się swobodnie.

Ogromną bibliotekę wypełniały książki, tysiące tomów. Michael zawsze uważał, że książki są odbiciem umysłu i duszy człowieka. A ten człowiek miał dosłownie wszystko. Przeszedł obok kominka wielkości samochodu, obok skórzanych krzeseł z odchylanymi siedzeniami i stanął przy drabinie obok półek z książkami. Drabina miała ponad 6 metrów długości - sięgała sufitu - i poruszała się po specjalnym torze. Mógłby spędzić tu całe życie, a i tak nie dotarłby nawet do drugiej półki. Wyciągnął ciemny, oprawiony w skórę tom poświęcony geologii i podszedł do okna, gdzie było więcej światła. Właśnie zamierzał zacząć go przeglądać, kiedy otworzyły się drzwi.

Stał w nich szeroko uśmiechnięty Finster, ubrany w sportową marynarkę z tweedu.

-Jedna z moich ulubionych - mrugnął, zbliżając się do Michaela. - Napisana w tysiąc dziewięćset dwunastym przez Alfreda Wegenera. Jednego z pierwszych twórców teorii tektoniki. Trzymasz w ręce jedną z jego trzech książek, które zachowały się do dziś.

-Przepraszam. - Michael zamknął książkę, nie bardzo wiedząc, co powinien z nią zrobić, zupełnie jak dziecko złapane na wykradaniu ciasteczek z puszki.

-Nonsens. Jest pan gościem w moim domu i pana obecność sprawia mi zaszczyt. Może pan robić tu wszystko, na co przyjdzie panu ochota. Proszę, proszę ją zatrzymać. Wspaniale się ją czyta.

-Nie, bardzo dziękuję.

-Proszę ją wziąć. Książka raz przeczytana staje się jedynie trofeum. Niczemu więcej nie służy.

-Dziękuję, ale nie mógłbym jej wziąć.

-Gdyby zmienił pan zdanie... - Finster wycofał się. - Niech pan pozwoli, pokażę panu dom.

- Nie mogę zostać...

- Jeszcze drinka...?

Na te słowa pojawił się Charles ze srebrną tacą, na której stały dwa kieliszki szampana. Finster podał jeden Michaelowi, a drugi uniósł w toaście.

-Za zdrowie pańskiej żony.

-Dziękuję - odparł Michael, kiedy stuknęli się kieliszkami.

-Czy uda mi się pana namówić, żeby został pan na obiad?

-Naprawdę nie mogę.

-Ale wypali pan chociaż ze mną cygaro? - Finster wyciągnął dwa cygara, oferując jedno Michaelowi.

Michael uniósł rękę w geście odmowy. Finster uśmiechnął się.

- Mam zbyt wiele nałogów: alkohol, cygara, kobiety. Niestety... jakie to było powiedzenie? Słaby ciałem...

- ... za to mocny duchem. Przepraszam, panie Finster...

-August - wtrącił Finster.

-August. Jestem pewien, że zrozumiesz. Naprawdę chciałbym jak najszybciej zakończyć nasze sprawy i wrócić do żony.

-Naturalnie. Powiedz mi tylko, co się stało w Rzymie? Nie odzywałeś się, odkąd wyjechałeś z Włoch, a podczas naszej ostatniej rozmowy byłeś bardzo tajemniczy.

-Rzym, Watykan... to tylko atrapa. - W głosie Michaela dawało się wyczuć znużenie. - Klucze znajdowały się w pobliżu Jerozolimy.

- Jerozolimy? - Finster był wyraźnie zainteresowany. - To znaczy gdzie?

- W małym kościółku na odludziu.

- Ciekawe. Byli jacyś strażnicy?

- Jeden.

Finster przez moment się zastanawiał.

-I co? Sprzątnąłeś go?

-To on próbował mnie sprzątnąć.

-I jak sobie poradziłeś?

-Uciekłem.

Finster uśmiechnął się, kiwając głową.

- Potrafiłbyś go opisać? - zapytał po chwili.

- Było ciemno. - Michael poczuł się niepewnie. - Dlaczego pytasz?

Finster sprawiał wrażenie zamyślnego. Nagle odwrócił się i otworzył drzwi na korytarz.

- Porozmawiajmy, spacerując - zaproponował.

Michael położył książkę na stole i w ślad za Finsterem wyszedł z biblioteki.

Szli przez wielki dom, mijając sale bilardowe i sale do gier, sale balowe i salony. Finster palił cygaro i powoli wydmuchiwał dym, który gęstą, szarą chmurą unosił się nad ich głowami.

-Proste przyjemności życia. - Delektował się chwilą. - Czytałem kiedyś takie opracowanie, w którym stwierdzono, że folgowanie sobie w nałogach może być zdrowe. Bo przecież czym jest nałóg, jeśli nie czymś, co jest dla nas przyjemne, czemu nie potrafimy się oprzeć? A ty masz jakieś nałogi, Michaelu?

-Już nie.

-Oczywiście. - Finster przytaknął ze zrozumieniem. Jego siwe włosy związane w koński ogon zakotływały się, uderzając go po ramionach. - Jesteś człowiekiem zresocjalizowanym. A ja przeciwnie - powiedzmy po prostu, nie spotkałem jeszcze osoby, która potrafiłaby mnie zmienić. Nie mógłbym żyć bez moich - wyciągnął przed siebie cygaro i kieliszek - słabostek.

-Tego się nigdy nie wie, dopóki się nie spróbuje.

-Ach, ale po co? Mam prawo robić, co chcę. Mam władzę: mogę się wycofać albo kontynuować, i to się liczy. Władza.

-Najwyraźniej nigdy nie byłeś żonaty.

Finster roześmiał się i poklepał Michael po ramieniu.

- Chodź. Chciałbym ci coś pokazać.

Zatrzymali się przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami, wysokimi na trzy metry, których ziemistobrazowe drewno było bardzo stare. Wydawały się dziwnie nie na miejscu, wyraźnie kontrastowały z otaczającą je elegancją reszty domu. Finster otworzył je. Zazgrzytały zawiasy, jakby w proteście. Ujrzeni kamienne schody i poczuli zapach stęchlizny. Michael nie potrafił rozpoznać tego zapachu, ale nasuwał mu nieprzyjemne wspomnienia z więzienia. Kręte schody prowadziły w dół, w ciemność, jak w filmie Borisa Karloffa.

-Nieco dramatyczna sceneria.

-Uwielbiam dramaty - powiedział radośnie Finster, ruszając przodem.

Michael zazwyczaj dobrze czuł się w ciemności, zawsze tak było, zawsze była mu przyjazna. Ale nie tym razem. Znowu poczuł odór, zapach stęchlizny, smród cel więziennych, samotność zamknięcia. Zapach beznadziejności. Echo ich kroków odbijało się od ścian. Michael szedł tuż za Finsterem, który był dziwnie milczący.

Szli co najmniej dwie minuty, a Michael nie dostrzegł nawet najmniejszego blasku światła. W miarę jak schodzili coraz głębiej pod ziemię, powietrze stawało się coraz

wilgotniejsze; było zimne, duszące, nienaturalne. Michaelowi przeszło przez myśl, że Finster mógłby go teraz zabić, a on nie miałby nawet jak się bronić. To jeden z powodów, dla których nigdy nie pracował na zlecenie. A morderstwo od poważnej kradzieży dzieli tylko jeden krok.

Nagle zapaliło się światło. Jego blask poraził Michaela, instynktownie więc zmrużył oczy. Po kilku sekundach źrenice przyzwyczyły się. Zaczął się rozglądać, i natychmiast pomyślał, że wolałby pozostać w ciemności. O ile bowiem czuł się niepewnie, idąc w ciemnościach, to jednak tam wszystko było wyłącznie wytworem jego wyobraźni. Natomiast to widział naprawdę.

Miał przed sobą całą kolekcję przedmiotów, niektórych bardzo starych, innych pochodzących z mniej odległych czasów: kamienne naczynia, średniowieczna zbroja, afrykańskie drewniane rzeźby, orientalne piktografy. Każdy przedmiot był zupełnie inny, a łączyło je tylko jedno: wszystkie miały charakter religijny. Była to złowroga galeria religii, strachu i horroru. Oparte o siebie stały szeregi obrazów, a namalowane twarze błagały o litość, jak gdyby były w jakiś sposób uwięzione na płótnie.

-Jak ci się podoba? - spytał Finster z dumą.

-Niezwykle. - Michael nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Za wszelką cenę starał się nie okazać strachu.

-Charles, mój kamerdyner, nazywa to lochem.

-Dobrze oddaje charakter miejsca.

Miał nadzieję, że żartem uda mu się pokryć narastające przerażenie. Podświadomie ścisnął schowane w plecaku pudełko z kluczami. Sam nie bardzo wiedział dlaczego, ale wydawało mu się, że było ono jedyną rzeczą w tej mroźnej krew w żyłach jaskini, która dawała mu poczucie bezpieczeństwa.

- Dziękuję. Tędy. - Finster wskazał przejście między eksponatami.

Pomieszczenie było jakby przeniesione z wczesnego średniowiecza. No i było wielkie - tego Michael był pewny, światło nie sięgało bowiem ścian bocznych, które tonęły w ciemności. Dom miał sto lat, ale to miejsce... musiało istnieć od wieków. Było z innego świata, istniejącego gdzieś głęboko pod powierzchnią ziemi. Finster przejął je na własność, wypełniając tymi makabrycznymi zbiorami, których z całą pewnością nie sprzedawano na aukcjach w Sotheby's.

Czy była to tylko kolekcja ekscentryka, czy coś więcej? Nagle Michaelowi przyszło do głowy, że może pochopnie wyciąga wnioski, że może po prostu jest to magazyn dziwacznych dzieł sztuki. Coś takiego jak strych w domu babci: pełen zdumiewających i budzących grozę rzeczy gromadzonych przez całe życie, przedmiotów, które na pierwszy rzut

oka wydają się niesamowite, ale wystarczy je obejrzeć, by dojść do wniosku, że są zwyczajne. Jak porcelanowa lalka bez oka lub stary parownik, w którym upchnięto zjedzone przez mole stare ubrania.

Doszli do dużych, drewnianych drzwi osadzonych w kamieniu. Finster wyjął z kieszeni pęk kluczy.

Pokój był mały, trzy metry na trzy i nie było w nim żadnych eksponatów. W grubych, kamiennych ścianach na wysokości półtora metra od ziemi wykuto półki. Poza tym nie było zupełnie nic, prócz ustawionego w samym środku mahoniowego cokołu.

- Tu trzymam moje najnowsze nabytki, te które sprawiają mi szczególną radość. - Finster zapalił świeczkę i uśmiechnął się - Takie światło tworzy nastrój, prawda?

Michael obserwował, jak Finster zapalał kolejne małe świecek ustawione na półce na całym obwodzie pokoju. Tu nie czuł się aż tak bardzo niespokojny. Nie było żadnych dziwnych rzeźb ani wpatrujących się w niego posągów, żadnych pełnych cierpienia oczu wyczernionych z cienia. Ściany rozjaśniało teraz światło świec. Było niemal spokojnie, zwłaszcza w porównaniu z przerażającą kolekcją za drzwiami. Michael bez słowa sięgnął do plecaka i wyciągnął rzeźbione pudełko.

- Piękne. - Finster wpatrywał się w zdobycz.

Michael wyciągnął rękę, podając mu pudełko, ale Finster cofnął się, unosząc rękę w geście protestu.

- To tobie powinien przypaść zaszczyt umieszczenia ich na cokole.

Michael, nieco zakłopotany, ustąpił. Otworzył pudełko, rozwinął tkaninę, którą były osłonięte, i podszedł do Finstera, pokazując mu klucze. Finster spojrzał, ale znowu się cofnął.

-Czy coś nie tak? - spytał Michael.

-Oszłamiające. Ich piękno mnie... oszłamia. - Finster stanął w wejściu. Michael sięgnął do pudełka, wyjął srebrny klucz i chciał mu go podać, ale znowu spotkał się z odmową. - Nie, nie. - Finster drżał. Przypominał Michaelowi pewną niepracującą matkę trójki dzieci, która wygrała samochód w konkursie. Podobnie jak w jej przypadku, tak i u Finstera nastąpiło zapewne przeciążenie umysłu, kiedy uświadomił sobie ogrom szczęścia wywołanego zdobyciem wymarzonej rzeczy.

-One nie gryzą - uśmiechnął się Michael.

-Skąd wiesz? A może? - zażartował Finster. - Wolę obejrzeć je w samotności. Bez pośpiechu. Kiedy dostaję coś, o czym tak strasznie długo marzyłem, czasami czuję się - zawahał się - ... przytłoczony.

Michael odwrócił się w stronę cokołu. Miał nadzieję, że Finster nie widział wyrazu

jego twarzy, był bowiem jeszcze bardziej przerażony niż wtedy, kiedy weszli do pierwszej sali. Finster nakłonił go do wykradnięcia kluczy, a teraz bał się, był wręcz przerażony. Odmówił dotknięcia ich, jakby były czymś skażone. W głowie Michaela kłębiły się myśli. Czy teraz, kiedy wypełnił swoją misję, groziły mu rzeczy o wiele gorsze, niż był sobie w stanie wyobrazić? Czy z tymi kluczami wiązało się coś, o czym nie wiedział? Jeśli jeden z najbardziej wpływowych ludzi na świecie bał się, to czemu on nie odczuwa strachu? Chciał już wyjść stąd na zewnątrz, zobaczyć światło dzienne, wrócić jak najszybciej do domu, do Mary. Chciał być gdziekolwiek, byle nie tu.

Położył klucze na leżącej na cokole poduszce, obok umieścił pudełko. Odchodząc, popatrzył na nie i poczuł nagle, że popełnił duży błąd. Klucze tu, w tym pokoju. Miał wrażenie, że naruszył coś więcej niż tylko prawo.

- Pieniądze zostały już przelane na twoje konto wraz z premią w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów dla ciebie i twojej żony, żebyście mogli cieszyć się życiem, jak już wyzdrowieje - odezwał się Finster, sprowadzając Michaela z powrotem do realnego świata.

Michael odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Finsterem. Niezależnie od tego, jak bardzo źle wydawało mu się to, co zrobił, wiedział, że pomoże mu to zapewnić Mary leczenie, którego tak rozpaczliwie potrzebowała. Kurację, która uratuje jej życie. I tak jak usprawiedliwiamy się, kiedy wypijamy kolejnego drinka czy zjadamy dodatkowe ciasteczko, przekonując sami siebie, że to nam nie zaszkodzi, rozluźnił się i ucisnął dłoń Finstera.

-Dziękuję - powiedział, kiedy Finster podał mu potwierdzenie przelewu.

-To ja dziękuję. I z całego serca życzę twojej żonie, żeby szybko wyzdrowiała i żebyście oboje wrócili do normalnego życia.

Finster ruszył w stronę wyjścia, a kiedy miał już zamknąć drzwi, spojrzał na swój nowy nabytek. Na jego wąskich ustach pojawił się uśmiech. Ale nie był to uśmiech radości czy szczęścia. Był to uśmiech triumfu generała, który przed chwilą pokonał wroga. Uśmiech zmęczonego bitwą wodza, któremu groziła przegrana, ale właśnie otrzymał tę jedyną broń, która nie tylko go uratuje, ale też zmieni koleje wojny.

ROZDZIAŁ 14

Pokój wypełniało światło poranka. Noc była burzliwa, zresztą wszystkie były takie, odkąd zaczęło się leczenie, ale ostatnia okazała się szczególnie ciężka. Mary dręczyły wyjątkowo silne wymioty i biegunka, wysysając z niej całą energię. Wydawało się jej, że ból dosłownie rodził się w szpiku kości. Była wyczerpana, pozbawiona tych resztek sił, jakie jej jeszcze pozostały.

Kiedy promienie słoneczne padły na jej powieki, poruszyła się. Znowu kończy się kojący sen i trzeba będzie przeżyć kolejny dzień. Obróciła się, zauważyła Michaela i nagle poczuła, że wypełnia ją radość. Po raz pierwszy, odkąd usłyszała diagnozę, czyli od blisko trzech tygodni, poczuła się ożywiona. Teraz, kiedy już wrócił, miała powód walczyć z tym potworem, który ją zaatakował, wygonić go tam, skąd przyszedł.

- Dzień dobry - wyszeptwała.

Michael układał kwiaty. Wysprzątał i odświeżył jej pokój. Koniec z dezorganizacją i bałaganem w jej życiu. Po raz pierwszy od kilku dni w pokoju były rozsunięte zasłony i Mary zapatrzyła się na błękitne niebo, jakby go nigdy jeszcze nie widziała.

-Dobry. - Michael pochylił się i pocałował ją namiętnie. Mary skarciła się w myślach. Jej głupie sny o niebezpieczeństwach i śmierci były tylko niepotrzebnym martwieniem się; Michael wrócił do niej, tak jak obiecał.

-Tęskniłam za tobą - powiedziała, siadając na łóżku i opierając się o poduszki.

-A mnie brakowało twojego uśmiechu. Jak się czujesz?

-Dużo lepiej.

-Cieszę się. - Michael wiedział, że kłamie, ale nie zamierzał jej tego wytykać, bo starała się być silna dla niego.

Mary wtuliła się w ramiona męża. Potrzebowała tego bardziej niż wszystkich myśli i modłów, leków i życzeń zdrowia. Przytulić się. I być przytulaną. Dla niej było to nie tylko braniem miłości, ale także dawaniem. Działo na nich oboje jak eliksir życia. Minął nareszcie niepokój, jaki Michael odczuwał od chwili wyjazdu z kraju, zupełnie jakby został gdzieś w Niemczech.

-Myślałem, że może - Michael odsunął się trochę, żeby spojrzeć jej w oczy - moglibyśmy pojechać na tydzień na Cape. Zatrzymalibyśmy się w „Ship’s Bell Inn”.

-I kochalibyśmy się na wydmach... - podchwyciła Mary.

- Mmmm. I jedli zupę portugalską...

- ...i świeże homary.

-A mówili ci, jak długo jeszcze? - Bardzo chciał już zabrać ją ze szpitala.

-Jeszcze tydzień. Jutro znowu będą mi tam zaglądać i grzebać.

-Też bym chciał móc tam trochę pozaglądać i pogrzebać.

-Możemy to jakoś zorganizować - powiedziała Mary, wtulając twarz w jego szyję. Zawsze uwielbiała jego zapach. Działał na nią uspokajająco, dawał poczucie bezpieczeństwa. Choć starała się z tym walczyć, przez ostatni tydzień dręczyła ją myśl, że Michael już nie wróci. Bała się tylko jednego: umierania w samotności. - Jak ci się udała podróż?

-Trwała nieco dłużej i była nieco trudniejsza, niż myślałem. - Michael zaczął masować jej plecy, zaczynając od ramion i przesuwał dłonie w dół, tak jak lubiła.

-Paul cię szukał. - Zamknęła oczy i położyła głowę na jego ramieniu.

-Mówił, o co chodzi?

- Chciał, żebyś zadzwonił do niego, jak wrócisz. Powiedział, że w sobotę macie mecz.

Bzdura. Paul zamierzał żywcem obedrzeć go ze skóry. Ale Michael poradzi sobie. Po tym wszystkim, przez co przeszedł w ostatnich tygodniach - po chorobie Mary, Watykanie, Izraelu, Finsterze - wierzył, że poradzi sobie ze wszystkim. Na razie nie będzie dzwonił do Paula. To może poczekać.

- Skończyłeś to, co miałeś zrobić? - zapytała Mary.

Michael nie powiedział jej wszystkiego, ale wiedziała, że cokolwiek robił, robił to dla niej. Teraz nie był właściwy moment, żeby go wypytywać.

-Tak. - Michael mocno ją przytulał. - Już więcej nie zostawię cię samej.

-Wiem.

Po raz pierwszy od dawna oboje wierzyli, że wszystko w końcu się ułoży pomyślnie.

Michael wszedł do ciemnego mieszkania i rzucił na stolik wyjęte ze skrzynki listy. Zajrzał do sypialni.

- Hawk? - zawołał.

Podszedł do telefonu. Automatyczna sekretarka wyświetlała na czerwono, że jest 13 odebranych wiadomości. Nacisnął guzik.

-Pierwsza wiadomość - obwieścił elektroniczny, kobiecy głos.

-Michael? To ja, zadzwoń do mnie - odezwał się głos Buscha. Michael nacisnął guzik, przechodząc do następnej wiadomości.

-Michael, zadzwoń do mnie. - Znowu Busch. Michael ponownie nacisnął guzik.

-Wiem, że wróciłeś. Nie zmuszaj mnie, żebym przyszedł i... - Michael przycisnął

guzik, przerywając odsłuchiwanie. Wyłączył automatyczną sekretarkę.

- Hawk!?! - zawołał.

Sprawdził w kuchni. Może pani McGinty wzięła go na spacer. Michael uświadomił sobie, że nigdzie nie widział też kota. Właściwie go nie cierpiał, zresztą nigdy nie lubił kotów, bo to takie kapryśne zwierzaki, i nigdy nie mógł zrozumieć, jak można je lubić. Ale to był kot Mary, a skoro ona go kochała, to... mógł przynajmniej udawać, że też go lubi. Zapewne pani McGinty po wyjeździe Michaela wzięła CJ do siebie, wypełniając próżnię, jaka powstała po jej zmarłym kocie i mężu. Była bardzo czynną sąsiadką. Musi pamiętać, żeby kupić jej jakiś prezent za to, tak że się kłopotowała.

Wziął pocztę i otwierając listy, wszedł do swojego gabinetu. Zapalił światło i aż podskoczył z wrażenia.

W jego ulubionym fotelu siedział atletycznie zbudowany mężczyzna o kruczoczarnych włosach i szaroniebieskich oczach. Zniszczona twarz i ręce wyraźnie wskazywały, że musiał wiele przeżyć. Ubrany był w czarne spodnie i zwykłą, czarną koszulę, a na nogach miał czarne mokasy; zelówki były schodzone, ale buty lśniły od pasty. Trudno było określić jego wiek, równie dobrze mógł być zniszczonym trzydziestolatkiem, jak i energicznym pięćdziesięciolatkiem. Na jego kolanach leżała kotka. Czochrał ją, jakby była jego własnością. Wyciągnięty Hawk spał na podłodze u jego stóp.

-Pan St. Pierre? - Miał włoski akcent. Michael natychmiast rozpoznał ten głos.

-Wynoś się stąd - warknął Mężczyzna nawet nie drgnął. Michael sięgnął po telefon.

- Ma pan trzydzieści sekund - ostrzegł i zaczął wykręcać numer.

- I co pan powie swojemu przyjacielowi z policji?

Michael zawahał się.

- Że w pańskim mieszkaniu siedzi człowiek, którego pan obrabował? - Siedział bez ruchu, jakby nawet nie oddychał.

Michael odłożył słuchawkę.

-Chyba pan nie sądził, że go zostawię w spokoju?

-Kim pan jest?

-Nazywam się Simon.

Michael miał wrażenie, że mężczyzna nawet nie drgnął. Michael czuł w uszach pulsowanie krwi. Próbował skoncentrować się na tym, co ma zrobić, jak zareagować.

- Chciałbym dostać z powrotem moje klucze - powiedział w końcu Simon.

Michael zrozumiał, że żadna jego praca w rzeczywistości nigdy się nie kończy. Groźba, że go odnajdą, aresztują, nieustannie wisiała w powietrzu.

-Nie bardzo wiem, o czym pan mówi.

-Naprawdę?

-Naprawdę. - Michael przeszedł przez pokój w kierunku mężczyzny. - Hawk? - zawołał cicho. W jego głosie słychać było gniew. Hawk obudził się, spojrzał i przewrócił na grzbiet, oczekując pieszczot. Michael przykucnął i zaczął drapać go po brzuchu. - Tak pies broni? - wyszeptał bardziej do siebie niż do Hawka, równocześnie próbując ocenić odwagę siedzącego przed nim mężczyzny.

-Zobaczymy, czy uda mi się odświeżyć pana pamięć - stwierdził Simon. - Niezbyt zasobny w gotówkę, z poważnie chorą żoną, biegał pan po Watykanie, podkładając bomby dymne. - Simon wykonał ręką gest dla podkreślenia słów. - Ukradł pan fałszywe klucze, potem wskoczył do samolotu lecącego do Jerozolimy, wspiał się na Górę Kefas, ukradł z kościoła kolejne dwa klucze. - Przerwał na chwilę dla wzmocnienia efektu. - Moje pociski tylko o centymetry chybiły.

-Jest pan dupkiem.

Nie przestając nawet na moment wpatrywać się w Michaela, Simon wyciągnął z kieszeni pistolet. Położył go sobie na kolanach, powoli przesunął lufę tak, że znajdowała się tuż przy głowie śpiącego na jego kolanach kota. Jego oczy nie wyrażały żadnych emocji.

- Sądzę, że to ulubieniec pańskiej żony, prawda?

Michael gotował się z wściekłości. Facet grozi mu prosto w oczy, a on nie może nic z tym zrobić.

- Niech pan powie, gdzie są klucze. - Simon spojrzał na kota, na Hawka, a potem na Michaela. - Cała wasza trójka będzie żyła, jeśli... - przerwał, celowo nie kończąc ultimatum. - A może odwiedzę Mary? Jaka to byłaby szkoda, tyle wysiłków i kończy martwa z powodu pańskiego niewłaściwego postępu.

Jeszcze nigdy działanie Michaela nie stwarzało zagrożenia dla Mary.

-Nie mam ich, zostały sprzedane.

-Komu?

-Mężczyźnie.

-Nazwisko? - zapytał Simon cicho.

Według Michaela Finster miał dwudziestu strażników, a klucze znajdowały się w podziemiach, do których nie można się było dostać inaczej, jak tylko z głównego wejścia. Nie było szansy, żeby ktoś je wykradł. Ani Simon, ani ktokolwiek inny.

- Niemiecki przemysłowiec. August Finster. - Słowa same spłynęły mu z języka, bez wyrzutów sumienia. August rozumiał, że jeśli zagra się na nosie groźnemu przeciwnikowi, to

zdarza się, że ten przeciwnik oddaje cios i czasem trafi w szczękę, a czasem w serce.

Z kocią gracją Simon zerwał się na nogi, zrzucając z kolan CJ. Był wysoki, miał co najmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów.

-Nie ma pan pojęcia, co pan zrobił - powiedział.

-Uratowałem życie mojej żonie...

-... i skazał pan świat na potępienie.

Słowa te zawisły w powietrzu, sprawiając, że Michael zaniemówił.

- Co? O czym pan mówi?

-Wierzy pan w Boga, panie St. Pierre?

-W tej chwili nie.

-To znaczy, że kiedyś pan wierzył? No to niech pan znowu zacznie wierzyć.

- Zmówię pacierz, kiedy pan sobie stąd pójdzie.

Simon nie zareagował.

- W roku pańskim 32 - zaczął - Jezus powiedział do jednego ze swoich uczniów: „Ty jesteś Piotr czyli Skala, i na tej Skale zbuduję Kościół mój. I cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie”. I dał Piotrowi dwa klucze, symbolizujące jego prawo do rozgrzeszania... lub potępienia. Prawo do kontrolowania wrót do Nieba.

Michael jeszcze nigdy nie widział człowieka równie zimnego jak ten. Z pewnością nie powstrzymałaby go śmierć Michaela ani Mary. Działał z głębszych pobudek, jakimi zazwyczaj kierują się terroryści i fanatycy.

-Myślę, że pora, by pan już sobie poszedł - powiedział Michael.

-Nadal nie rozumiesz, tak?

-Czego nie rozumiem?

-Ukradłeś klucze do Nieba.

To był wariat. Cała ta niewielka wiarygodność, jaką Simon zdobył w oczach Michaela, uleciała przez okno. A to tylko wzmocniło jego postanowienie. Myślał, że chodzi o pieniądze - nieważne, dla kogo ten facet pracował. Ale nie, to był jeden z tych Blues Brothers przekonanych o misji, jaką otrzymał od Boga.

-Teraz już naprawdę dzwonię...

-Niebo jest zamknięte, Michaelu...

-Wynoś się i to już! - Do diabła z pistoletem. Michael był gotów siłą zamknąć temu wariatowi gębę.

-Ty sobie w ogóle nie zdajesz sprawy z tego, komu sprzedałeś te klucze, prawda?

Michael złapał faceta za rękę, ale Simon był jak błyskawica. Zakręcił Michaela i cisnął go na krzesło z ogromną siłą. CJ miauknęła i uciekła. Simon pochylił się nad nim.

-Odzyskamy te klucze - oświadczył bardzo wyraźnie, pozbawionym emocji głosem. I, nie czekając na odpowiedź, wyszedł z gabinetu. Michael zerwał się na równe nogi i ruszył za nim. Nikt nie będzie wchodził samowolnie do jego domu. I nikt nigdy nie będzie mu mówił, co ma robić.

-„My” nie będziemy niczego robić. - Michael próbował kontrolować głos, który drżał pod wpływem adrenaliny. - Mam żonę, którą muszę się zająć.

-Cenisz jej duszę? - Simon nawet nie czekał na odpowiedź. - Jeśli tak, to mi pomożesz. W przeciwnym wypadku zarówno ona, jak i my wszyscy, będzie przeklęta.

- Otworzył drzwi wejściowe. - Wyruszamy za dwa dni. - Odwrócił się w stronę Michaela. - Jak mogłeś być taki głupi? Naprawdę nie wiesz, kim jest Finster?

Zszokowany Michael milczał. W życiu jeszcze nigdy nie widział nikogo, kto by poruszał się z taką szybkością.

- To spróbuj się dowiedzieć - powiedział Simon, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 15

Dean McGregor był trzykrotnym pechowcem, który robił, co mógł, żeby iść prostą drogą. Paul Busch spotykał się z nim w każdą третią środę miesiąca. Dean to typ niefrasobliwego, radosnego faceta, który zawsze znajduje się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, ma niewłaściwych przyjaciół i niewłaściwe wszystkie pomysły. Pierwszego napadu dokonał na mały sklep alkoholowy, a przecież w takim sklepie nie ma dużo gotówki - na pewno nie tyle, żeby oddać za nią pięć lat życia. Dean i jego kumple byli więc bardzo zdziwieni, kiedy na widok ich broni sprzedawca podał im ponad dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczywiście była to forsa za narkotyki - policja miała sklep na oku, bo sprzedawano tam marihuanę; pieniądze były więc starannie monitorowane przez trzech funkcjonariuszy Urzędu ds. Zwalczania Narkotyków, siedzących w samochodzie po drugiej stronie ulicy. Przyskrzynili Deana i jego szemranych przyjaciół, ale przygotowywana od sześciu miesięcy operacja spaliła na panewce. Zrobili więc wszystko, żeby Urząd mógł zażądać od wymiaru sprawiedliwości najsurowszej kary dla chłopaków. Po wyjściu z więzienia Dean był na wolności zaledwie pięć miesięcy, po czym spróbował okraść stację benzynową. Jego żona była w ciąży i chciał jej kupić coś ładnego, bo była przygnębiona tym, że coraz więcej waży. Z plastikową strzelbą - zabawką, zaatakował sprzedawcę. Kasa była zapelniona do połowy - mogło w niej być jakieś czterysta dolarów. Tym, czego nie wiedział, był fakt, że żona tego sprzedawcy też była w ciąży i ten - na co dzień pracujący jako gliniarz - dorabiał sobie na boku, żeby stworzyć jak najlepsze warunki swojemu nienarodzonemu jeszcze dziecku. Służbowy rewolwer trzymał pod ladą, ponieważ przyszedł prosto z komisariatu, a był to już trzeci dzień w tym tygodniu, kiedy zasuwiał na podwójną zmianę. Funkcjonariusz Paul Busch wyciągnął rewolwer, a Dean zsiął się ze strachu. Busch odczytał mu zwyczajową formułkę dotyczącą jego praw, a kiedy czekali na przyjazd patrolu policyjnego, który miał zabrać Deana, zaczęli rozmawiać o swoich nienarodzonych dzieciach. To wtedy Buch po raz pierwszy zrozumiał, że choć przestępstwo jest złem, czasami motywy kryminalisty mają w sobie pewną dozę szlachetności. Oczywiście nie było to usprawiedliwieniem, prawo pozostaje prawem i Dean trafił z powrotem prosto do więzienia, z wyrokiem dodatkowych piętnastu lat.

I tak oto, sześć lat później Busch i Thal siedzieli w kawiarni, zadając zwykłe pytania niedawno zwolnionemu Deanowi McGregorowi, który odsiedziawszy jedną третią kary, wyszedł za dobre sprawowanie. Busch przywitał się z nim serdecznym uściskiem dłoni. Dean

zapłacił za swoje, odbył taką karę, jaką sąd uznał za właściwą, i Buschowi to zupełnie wystarczało. Nie zajmował się sądzeniem, tylko egzekwowaniem przestrzegania prawa.

Dean wyciągnął na powitanie rękę także do Thala, ale ten spojrzał na nią i nawet nie drgnął. Spojrzenie to natychmiast zmroziło Deana, wywołując nerwowy tik, który nie opuścił go aż do końca wywiadu.

Poświęcili około pół godziny na rutynowe pytania typu: jak się masz? Jak rodzina? Czy radzisz sobie w pracy, którą ci załatwiliśmy? Nie spóźniasz się? Zwyczajowe dotyczące adaptowania się do życia poza więzieniem. Rozmowę prowadził Busch, kierując ją tak, jak chciał. Nie lubił, kiedy podopieczni czuli się w jego obecności niespokojni lub zdenerwowani. Dobre samopoczucie podczas spotkań w ramach zwolnienia warunkowego jest ważne, ponieważ kiedy ekswięcień jest zrelaksowany, otwiera się i uczciwie mówi o swojej ponownej aklimatyzacji w społeczeństwie. A kiedy się boją lub są zdesperowani, kiedy czują, że nie potrafią sobie poradzić ze światem zewnętrznym, popełniają kolejne przestępstwa. Zadanie Buscha polegało więc utrzymywaniu ich w pionie. Jeśli wracali do kryminalnej przeszłości, było to w równym stopniu jego porażką, jak i ich samych.

Kiedy zadzwonił telefon komórkowy, Busch przeprosił i odszedł kawałek od stołu. Dał Thalowi trochę swobody w wypytywaniu Deana, ale powiedział mu, żeby potem podsumował rozmowę i wskazał Deanowi właściwą drogę. Pierwsze pytanie Thala na temat snów i koszmarów Deana wydawało się nieszkodliwe, ale stało się punktem wyjścia do antagonizujących, zastraszających i konfrontacyjnych stwierdzeń.

- Śniesz o forsie McGregor? No przyznaj się. Pewnie leżysz w nocy w łóżku i nic, tylko myślisz, jak w łatwy sposób zorganizować kasę na żarcie. - Thal uśmiechnął się. - Ciekawe, za ile lat złapiemy twoje dzieciaki na tym samym, co ciebie.

Dean był zaszokowany, po twarzy zaczęły mu spływać smużki potu.

- Kiedyś wierzyłem, że człowiek może się zmienić - ciągnął Thal. - Wierzyłem w wybaczenie. Ale wiesz co, Dean? Nie wierzę, że jesteś zresocjalizowany i z całą pewnością nie powinni ci byli przebaczyć.

Po dwóch minutach rozmowy z Thalem Deanowi kompletnie puściły nerwy. Bał się tego faceta bardziej niż wszystkich tych, z którymi miał do czynienia w więzieniu. I to nie słowa Thala przerażały go najbardziej - to jego ton i sposób, w jaki błyszczały mu oczy, kiedy mówił.

Thal pochylił się i położył rękę na ramieniu Deana, jakby ten był dzieckiem.

- Budzisz moje obrzydzenie, McGregor. Zupełnie niepotrzebnie zaśmiecasz sobą świat. Lepiej módl się, żebyś mi się nie nawinął pod celownik, jak będziesz kolejny raz

popępniał przestępstwo, bo inaczej rozbryzgam twój mózg na chodniku, zeszkrobię go i dostarczę twojej żonie.

Powrót Buscha raptownie zakończył tę rozmowę.

- Dean? Spotkam się z tobą za trzy tygodnie - powiedział Busch, podkreślając słowo „spotkam”. Odprowadził wstrząśniętego podopiecznego do drzwi, uspokajająco obejmując go ramieniem.

Po chwili wrócił do stolika. Pociągnął łyk ledwo ciepłej kawy. Dosłodził. Milczał, obserwując, jak w miarę upływu czasu Thal zaczyna się niespokojnie wiercić w przewidywaniu, że Busch nie zostawi na nim suchej nitki.

W końcu Busch zebrał się w sobie, pochylił do przodu i ostrzegawczo uniósł palec do góry.

-Powiem ci to raz, jeden jedyny raz. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek zachowasz się w taki sposób wobec zwolnionego warunkowo, podejrzanego czy jakiegokolwiek człowieka, nie tylko zrobię wszystko, żeby ci odebrano prawo wykonywania tego zawodu, ale i osobiście dopilnuję, żebyś stanął przed sądem. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie sięgasz temu człowiekowi nawet do pięt. - Przerwał, starając się opanować. - Będę pracował z tobą jeszcze przez miesiąc. Ale potem dopilnuję, żeby nasze drogi nigdy więcej się nie skrzyżowały.

-Hej, ja chciałem tylko nim wstrząsnąć. Może dzięki temu zrezygnuje z jakiejś roboty, na którą się szykował. - Thal liczył, że uda mu się jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

-Nie wstrząsamymi nimi... - oświadczył Busch. - Nigdy - dodał z naciskiem.

-A skąd możemy wiedzieć, że ten facet nie zamierza naruszyć warunków zwolnienia?

-Uwierz mi, że wiedziałbym, gdyby tak było. - Busch zebrał swoją dokumentację na temat Deana McGregora i schował do aktówki.

-Jeśli więc wiesz, że ktoś złamał warunki zwolnienia, to natychmiast go aresztujesz?

-Z całą pewnością. - Busch nie wyglądał na uszczęśliwionego rozmową.

- A jak bardzo jesteśmy surowi? Kierujemy się literą prawa w stosunku do każdego? Busch spojrzał badawczo.

-O czym ty mówisz? To jest prawo. A my wprowadzamy je w życie.

-Pamiętaj, że ja się dopiero uczę na temat zwolnień warunkowych. Próbuję wzorować się na tobie.

To stwierdzenie wywołało wściekłość Buscha. Nienawidził, kiedy traktowano go protekcjonalnie.

- Ignorancja nie jest usprawiedliwieniem, jeśli chodzi o złamanie prawa i nie ma

żadnych odstępstw.

-To co robimy, kiedy ktoś złamie warunki zwolnienia?

-Łapiemy go.

-Posyłamy z powrotem do więzienia?

-O tym decyduje sędzia.

Thal zastanawiał się przez moment.

- Zawsze?

Busch był już na granicy wytrzymałości.

-Zawsze.

-To powinniśmy aresztować tego St. Pierre'a. - Kompletnie zaskoczył Buscha. - Wyjechał z kraju. Zgodnie z tym, co mówiłeś, musimy go aresztować. - Thal był na swój podły sposób wyraźnie uradowany.

Busch został trafiony z zaskoczenia. Uświadomił sobie, że ten gnojek zapędził go w pułapkę.

-Skąd wiesz? - warknął.

-Z wiarygodnego źródła.

-Wiarygodnego źródła! Gównu! Żaden sędzia tego nie kupi. Lepiej się przyznaj. - Busch doskonale wiedział, że Michael opuścił kraj. Widział, jak wsiadał do samolotu, ale myślał, że może jest jakieś wyjaśnienie i że będzie mógł to załatwić po swojemu. Ale teraz...

Teraz to Thal pochylił się i uniósł do góry palec.

-Zdobędę dowód - zapowiedział.

-I nie wspominaj przy mnie o tym, póki nie będziesz mógł tego dowieść. - Busch złapał teczkę i wstał. - Masz coś jeszcze, czego mogę cię dziś nauczyć? - spytał z otwartą pogardą.

Thal siedział przez chwilę. Wiedział, że był górą i chciał do końca to wykorzystać.

- Dlaczego nazywają cię Brzoskwinek?

Busch pochylił się przez stół i spojrzał mu prosto w oczy.

- Ty - nigdy - nie - nazywaj - mnie - Brzoskwinkiem - ostrzegł bardzo wyraźnie.

Szpitalna biblioteka była mała, ale zawierała zbiór książek, które obejmowały co najmniej podstawowe pozycje. Panowała w niej akademicka atmosfera i było cicho, tak jak można oczekiwać po bibliotece. Jedynie wyczuwalny i tu zapach środków dezynfekujących przypominał, gdzie się naprawdę było. Poza dużym zbiorem książek, czasopism i publikacji medycznych był też niezły wybór współczesnej beletrystyki i innych pozycji. Encyklopedie i

podręczniki stanowiły dar od syna pacjentki, która zmarła na serce. Michael był mu wdzięczny za jego hojność, ponieważ znalazł najnowsze wydanie encyklopedii biograficznej „Kto jest kim w międzynarodowym biznesie”. Na temat większości biznesmenów były notki liczące co najwyżej po kilka akapitów; Augustowi Engelowi Finsterowi poświęcono całą stronę.

Michael zaglądał na tę stronę przed wyruszeniem do Włoch, ale nie znalazł wówczas nic zaskakującego. To Simon zmusił go do zastanowienia. Michael nie wiedział, którego z nich bardziej powinien się bać. Nie wiedział też, czego teraz szuka, wpatrując się w stronę, którą czytał już blisko trzy tygodnie temu.

August Engel Finster pojawił się po upadku Muru Berlińskiego. Jego szaleństwo kupowania przeszło do legendy. Budując swoje imperium, potrafił wydać do trzystu milionów marek niemieckich miesięcznie. Jednakże pochodzenie jego pieniędzy owiane było tajemnicą, tak jak w przypadku wielu tytanów świata finansowego, którzy weszli na rynki ze Wschodnich Niemiec. Wielu z nich, jeśli nie wszyscy, byli w przeszłości, w ten czy inny sposób związani z rządem. Choć zarzucano im podejrzaną powiązania, jak mogli być przestępcami w kraju, w którym prawo zależało od kaprysów ich biurokratycznych braci?

Finster zbudował imperium z przędzalni, kopalni i zakładów zbrojeniowych, najczęściej nabytych w drodze prywatyzacji byłych przedsiębiorstw państwowych. Po prywatyzacji firmy te zaczęły odnosić duże sukcesy, co przypisywano wyłącznie jego smykałce do biznesu. Był uznawany za człowieka bardzo chroniącego swoją prywatność - niewiele osób znało jego strategię prowadzącą do sukcesu, a ci, którzy dla niego pracowali, byli bardzo nierozmowni i wręcz niewidzialni. Uniwersytety i konkurencja próbowali rozszyfrować jego metodę, ale nikomu nie udało się odtworzyć modelu działania Finstera w biznesie. Nigdy nie przegrywał. Przynajmniej dotychczas. Ale jak mantra powtarzało się stwierdzenie, że w którymś momencie każdy pęka i wypala się. Pewnego dnia stanie się to i z Finsterem. Ludzie zawsze kibicują, zachwycają się i popierają tego, kto się wspina, słabeusza mierzącego wysoko, sięgającego po złoto. Ale kiedy ten osiąga swój cel, fala odwraca się, następuje odpływ i ludzie zaczynają wyszukiwać wady. Słabeusz nie jest już jednym z nich, borykających się z przeciwnościami, walczących z masami. Odniósł sukces tam, gdzie im się nie udało, a to się ludziom nie podoba. Taka właśnie jest natura człowieka. Nie można rządzić światem zbyt długo, jeśli w ogóle się to komuś uda. Dotyczy to wszystkich. Szalonego na punkcie komputerów Billa Gatesa, który przejął IBM, a wypłynął przecież nie wiadomo skąd i stworzył przemysł komputerowy. A potem patrzył, jak państwa i rządy próbują rozerwać na kawałki jego imperium. A także Michaela Jacksona, króla stylu pop;

dzieciaka, który podbił świat muzyki i przekształcił branżę rozrywkową. Szalony głód jego piosenek zamienił się w szalony głód jego krwi, kiedy oskarżono go o molestowanie dziecka. Nawet prawdziwy Król został rozerwany na strzępy przez swoich fanów. Elvise załatwili najpierw Beatlesi, następnie Woodstock, a w końcu - narkotyki. I wtedy wszyscy mówili: „No widzisz, ostrzegałem cię, że tak się to skończy”. Wkrótce, jak powszechnie przewidywano, nadejdzie pora na Finstera.

Nie było na jego temat żadnych informacji z okresu przed 1990 rokiem. Michaela uderzył fakt, że człowiek ten w ciągu dziesięciu lat stworzył sieć o wartości ponad trzynastu miliardów dolarów amerykańskich, i to zaczynając od podstaw. W artykule opisywano wszystkie jego podboje biznesowe, ale nie było tam ani słowa na temat jego przeszłości: nie miał ojca, matki, sióstr ani braci. Żadnej żony, dzieci czy psów. A może miał, ale w swój mistrzowski sposób potrafił informacje o nich ukryć, tak jak ukrywał swoją strategię w biznesie. Przez ostatnie trzy lata żył na świeczniku, cały czas obserwowany przez opinię publiczną. Każdy jego krok odnotowywano, jakby był gwiazdą filmową. Na jego dossier składały się informacje o spotkaniach, z których pędził do klubów lub na galowe imprezy charytatywne. Na zdjęciach wyglądał dokładnie tak, jak podczas spotkań z Michaeliem - długie, siwe włosy związane w ogon i ciemne brwi podkreślające brązowe oczy tego białego, udomowionego lwa. Rzadko zdarzało się, aby nie towarzyszyły mu piękne kobiety. Przeważnie były dwie równocześnie, a żadna z nich nie przekroczyła zaawansowanego wieku dwudziestu dwóch lat. Jego charyzma była widoczna nawet na zdjęciach, Michael wyczuwał ją bardzo wyraźnie.

Ale... tak absolutnie zero informacji o jego pochodzeniu.

Przekartkował informator, szukając biografii innych niemieckich przemysłowców i to go trochę uspokoiło. Inni pochodzący ze Wschodnich Niemiec też nie mieli życiorysów. Stanowili coś w rodzaju małego klubu. Ty nie mówisz i ja też nie mówię. Wszyscy widać w przeszłości zrobili coś, co ich dyskwalifikowało i co woleliby, żeby zostało zapomniane. Wszyscy traktowali przeszłość jak zamknięty rozdział. Cóż, w Niemczech Wschodnich istniał komunizm w jego najgorszym wydaniu. Brakowało żywności, były prześladowania, a społeczeństwo pokornie znosiło nieszczęścia. Wszyscy bacznie obserwowali się wzajemnie, strach był na porządku dnia. Brat obracał się przeciw bratu za najprostsze nawet słowa krytyki wobec rządu. A ci, którzy głośno protestowali, znikali bez śladu w czeluściach więzienia w Berlinie Wschodnim i nigdy stamtąd nie wracali. W zaułkach, barach i piwnicach szeptano, że nawet duszom zmarłych nie udawało się przedostać za Mur Berliński. A potem Mur runął z łoskotem przy akompaniamencie wiwatów... a z ruin wyłonił się Finster.

Michael miał przed sobą książkę, w której zebrano wszystkie dostępne informacje, ale nadal nie wiedział, co ma myśleć. Ten niemiecki przemysłowiec odnosił sukcesy. Musiał być bezwzględny - nie można w końcu pływać w basenie z rekinami, jeśli nie ma się zębów - i chronił swoje życie prywatne, ale nie wydawał się tak niebezpieczny, jak to sugerował Simon. Był ekscentrykiem, Michael sam się o tym przekonał, ale to szło zazwyczaj w parze z ogromnym bogactwem i władzą. Jego dziwny zbiór dzieł sztuki magazynowany w średniowiecznych lochach wywoływał obrzydliwe wrażenie, ale była to tylko sztuka. I to samo, jak Michael podejrzewał, dotyczyło kluczy: starość, coś co trzyma się w muzeum. Może i miały historyczne znaczenie, jakie przypisywał im Simon, ale co z tego? Nie było w nich żadnej magii. Żadnej szczególnej władzy nad ludzkością. Niebiosa stanowiły pojęcie, w które Mary zapewne wierzyła, ale z zaakceptowaniem którego Michael ciągle jeszcze miał problemy.

- Znalazł pan to, czego pan szukał? - Michael podniósł głowę i zobaczył pielęgniarkę, panią Schrier.

- Nie jestem pewien - odparł.

-A kogo pan szuka w „Kto jest kim”?

-Właściwie znalazłem tę osobę.

Pielęgniarka spojrzała ponad jego ramieniem na zdjęcie siwowłosego mężczyzny.

- Finster?

- Tak. Zna go pani? - spytał Michael na wpół żartobliwie.

- Nie, osobiście nie - zaśmiała się.

Michael zamknął książkę i wstał.

- Ale nie uważa pan, że jego nazwisko naprawdę do niego pasuje? - Mówiąc to, Schrier złapała swój stos czasopism i ruszyła w kierunku drzwi.

-Czyje?

-August Engel Finster. Wszystkie te pieniądze, kobiety.

- Chyba niezupełnie rozumiem.

- Gdybym to ja miała takie nazwisko, zmieniałabym je. Te wszystkie żarty, kiedy był dzieckiem, musiały być trudne do zniesienia. Wyobraża pan go sobie na przykład w kościele? Ale myślę, że on się do tego przyzwyczył... pasuje do niego.

-Nie rozumiem...

-Po niemiecku jego nazwisko... - Schrier otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do Michaela - znaczy Wielki Anioł Ciemności. Czyli Szatan.

Michael szedł korytarzem w stronę pokoju Mary. Ciągle jeszcze nie mógł pozbierać

myśli. Czy to żart? Przypominał sobie wszystko, od pierwszego spotkania z Finsterem aż do tego, co powiedział mu Simon i informacje zdobyte od pielęgniarki. Wielki Anioł Ciemności? Już samo pojęcie Boga sprawiało mu trudność, a teraz jeszcze kazano mu przeanalizować swoją wiarę w ewentualność istnienia Szatana. Sposób zachowania Finstera był sprzeczny z tym, czego oczekiwaliby po kimś złym. W gruncie rzeczy dbał o Michaela i Mary i starał się im pomóc.

Nie.

To tylko przypadek, zbieg okoliczności, zaszczepiony w jego głowie przez tego fanatyka Simona. Nie, Finster nie mógł być... To nie są żadne klucze do Nieba, to nielogiczne. Klucze do Nieba to z pewnością mit - jak Święty Graal - coś wymyślonego przez jakiegoś dawno zmarłego księdza, który chciał rozbudzić w ludziach wiarę i strach. Biorąc to na rozum, Michael był przekonany.

Gorzej z emocjami. Emocje szalały, aż na czoło wystąpił mu pot. Nie istnieje coś takiego, jak zbieg okoliczności. Kiedy zbyt wiele czynników wskazuje na coś, to nie dzieje się tak przypadkiem. Najlepiej ujął to Sherlock Holmes: „Kiedy wyeliminuje się to, co niemożliwe, wszystko, co pozostanie, nawet najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

Uparcie wracało uczucie, jakie wzbudziły w nim lochy Finstera. Zimny strach, który wywoływał ciarki na krzyżu. Wtedy nie potrafił tego nazwać, ale teraz wszystko stawało się całkiem jasne. Powodem były cienie, obrazy i... idący przed nim człowiek. Jedyne, co dawało mu wtedy poczucie bezpieczeństwa, to było trzymane kurczowo pudełko z kluczami. Nie rozumiał wówczas nic, ale teraz wszystko zaczynało mieć sens. Spotkał się już ze złem, w więzieniu - z kilkoma współwięźniami, których jedynym pragnieniem było dręczenie i niszczenie innych. Ale wtedy udało mu się nie ulec... teraz nie. Zło czaiło się wszędzie w domu Finstera; czuł jego zapach, czuł, jak pełzało po jego skórze i tkwiło w ciszy.

Michael szedł tak głęboko zatopiony w myślach, że nie zauważył doktora Rhinehearta, który wychodził ze swojego biura.

- Michael? To dobrze. Chciałem z panem przez chwilę porozmawiać - stwierdził poważnym tonem Rhineheart.

O północy zaczęło padać i nie wyglądało na to, że wkrótce przestanie. A ponieważ wiał do tego wiatr z północy, temperatura spadła o piętnaście stopni poniżej zwykłej dla tej pory roku. Na dodatek rano nadeszły burze. Mary wyglądała przez okno, patrzyła na tańczące na horyzoncie błyskawice i odliczała, po ilu sekundach grzmot docierał do jej szpitalnego pokoju. Zrobiło się chłodno, a świat stał się nieco bardziej ponury. I to wcale nie tylko z

powodu burzy. Mary nie wiedziała, jak powiedzieć mężowi prawdę. Tak ciężko pracował i, jak podejrzewała, tak wiele poświęcił, żeby zapewnić jej opiekę. Zawsze była optymistką, to ona zawsze poprawiała nastrój wszystkim znajomym przeżywającym najczarniejsze chwile swojego życia. Była tą, na której ramieniu się wypłakiwano i która umiała natchnąć nadzieją. Ale tak było w odniesieniu do innych. A teraz, choć bardzo się starała, nie potrafiła znaleźć słów pociechy. Odpowiednich słów.

Nie była przygotowana na spotkanie z nim, kiedy nagle otworzył drzwi.

- Mm, m.. Michael? - zająknęła się, nie patrząc mu jednak w oczy. - Tak mi przykro... Tak mi strasznie przykro.

Michael wziął ją w ramiona.

- Hej, cichutko. Ci lekarze nie wiedzą, o czym mówią. - Jego głos był mocny, zdecydowany. - Zwrócimy się o opinię do innych, znajdziemy sposób... St. Pierre'owie nigdy się nie poddają.

Kiedy usłyszał diagnozę lekarza, załamał się. Ale nie płakał. I teraz też się opanuje. Nie pozwoli, żeby zobaczyła go w tym stanie.

-Michael...

-Posłuchaj, nie przeszliśmy przez to wszystko, żeby przegrać. Zawsze wszystko udawało nam się doprowadzić do celu. Ty kiedyś stałaś przy moim boku i przygotowałaś dla mnie życie, do którego mogłem wrócić. Jak wiesz, to działa w obie strony. Nie zgodzę się na rezygnację i tego samego oczekuję od ciebie. Pokonamy to...

- Odsunął się, położył jej ręce na swoich ramionach, tak jak zawsze to robił, i spojrzał jej prosto w oczy - ... Razem.

Mary odnalazła w jego słowach siłę.

-Są inni lekarze - powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

-Właśnie. Znajdziemy najlepszych.

-Słyszałam, że są różne metody leczenia, których jeszcze nie zatwierdzono - dodała Mary.

-Wypróbujemy wszystkie. - Oboje poczuli, że sinusoida ich nastrojów ruszyła do góry, karmiona optymizmem, jakim się wzajemnie zarażali.

-Zielarze, jakieś nowe sposoby leczenia trawką - rzuciła na wpół żartobliwie Mary.

-No właśnie, trochę dziwne, ale wypróbujemy wszystkie. - Uśmiechał się. - Poddam się im razem z tobą. Nigdy właściwie nie próbowaliśmy narkotyków, kiedy byliśmy młodszy, a to może być całkiem zabawne.

Mary roześmiała się, tak jak Michael chciał. Znowu się śmiała i trzymała ramiona

nieco bardziej wyprostowane.

-Ile by to nie trwało, razem sobie z tym poradzimy - powiedziała.

-Na wieki wieków amen, kochanie.

Zamilkli, pograżając się w tych samych myślach. Jak zawsze. Pomimo ich dziarskich hurradeklaracji, istniało ogromne niebezpieczeństwo, że Mary nie przeżyje. Nowotwór był złośliwy, stwierdzone liczne przerzuty i naprawdę szansa wyleczenia była bardzo mała. W miarę jak cisza przedłużała się, wyczuli nawzajem swoje myśli, a to sprawiło, że było im jeszcze trudniej cokolwiek powiedzieć.

-A jeśli... - Mary nie dokończyła. Nie wiedziała, jak to określić, ale Michael rozumiał, o co chodzi.

-Nigdzie się nie wybierasz - powiedział to tak zdecydowanie, jakby jego słowa mogły okazać się skutecznym lekarstwem.

Nastąpiła kolejna bolesna przerwa. Michael przyglądał się obrazkom i stojącym wszędzie kwiatom - to nie miało sensu, wcale nie pocieszały. Kupowanie kwiatów nabijało tylko kabzę kwaciarzowi i przypominało to, co chory tracił. Okrutne. Patrzył na torebkę z ciasteczkami, które przyniósł dla Mary. Sam nie wiedział dlaczego, po prostu wpatrywał się w niebieskie opakowanie, jakby w nim tkwiło rozwiązanie problemu, a w głowie tłukł mu się tekst z reklamy: „Dzieciaki najpierw zjadają środek, a okalające go czekoladowe ciastko zachowują na sam koniec”. I doszedł do wniosku, że nie znosi tej piosenki.

Mary widziała w jego oczach narastającą panikę.

-Będzie dobrze - mruknęła, dotykając palcami krzyżyka na szyi. Teraz to ona pocieszała. - A nawet jeśli nie, to i tak kiedyś będziemy znowu razem.

-Nie mów w ten sposób - odwarknął Michael i natychmiast pożałował swoich słów. Jak wielu mężczyzn przemieniał strach w gniew i atakował osobę, którą najbardziej kochał.

Mary ujęła go za rękę i siedziała wpatrzona w widok za oknem. Deszcz spływający po szybie jak wodospad zniekształcał odległy widok, rozmywając go w paletę wypłukanych szarości.

- Jak myślisz, jak tam jest? - wyszeptała po chwili.

Michael nie miał pojęcia, o czym mówiła, jego umysł zapadł w dziwny stan odrętwienia. Wszystko, przez co przeszedł, cała ta walka, którą stoczył w ostatnich tygodniach, była bez sensu. Przegrali bitwę. On przegrał. Zawiódł ją. Znowu.

- W niebie. - Na Mary spłynął pocieszający spokój. - Jak myślisz, jak tam jest? Myślisz, że jest pięknie? - wyszeptała, nadal patrząc w okno.

Po ciele Michaela przebiegł dreszcz, podobny do błyskawicy na niebie nad wzgórzami, a w uszach zadudniły mu słowa Simona: *Ukradłeś klucze do Nieba... Niebo jest zamknięte.*

Już wtedy zrozumiał, że Mary nie pokona raka. Wszystko, co powiedział Simon, było prawdą. Odwrócił się, przyciągnął Mary do siebie i mocno przytulił, starając się ochronić ją przed tym zabójczym potworem, który niszczył jej ciało, zabierał mu ją. Nie miał odwagi patrzeć na nią, ukrył się, biorąc ją w ramiona.

- Jestem pewien, że jest pięknie - wyszeptał.

Pół godziny wcześniej doktor Rhineheart wyjaśnił Michaelowi, jaki jest stan zdrowia Mary. Kiedy usunęli jej jajniki i jajowody, nowotwór zaatakował inne organy, przede wszystkim nerki i mózg. Na razie nie było jeszcze objawów, ale wkrótce się pojawią. Atakujący ją rak jest wyjątkowo złośliwy i rozmnaża się w zdumiewająco szybkim tempie. Zabije ją w ciągu sześciu tygodni.

ROZDZIAŁ 16

Pub The Old Stand był maksymalnie zatłoczony. Deszcz dosłownie zmył z boiska wszystkich mężczyzn, którzy tego wieczoru mieli rozgrywać ligowe mecze w baseballa. Dlatego po prostu pili. Każdy trzymał w dłoni szklaneczkę, a jedynym sposobem porozumiewania się było wzajemne przekrzykiwanie się. Jeśli ktoś chciał się tu właśnie nad czymś zastanowić, to trafił w niewłaściwe miejsce.

Michael siedział ściśnięty w boksie w głębi sali i czekał. Już ponad godzinę popijał jednego drinka. Wyszedł z pokoju Mary, kiedy usnęła, i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Przez dwie minuty nie było końca przekleństwom Buscha. Michael spodziewał się tego, więc przyjął je spokojnie. Cierpiał i nie miał się do kogo zwrócić. A dziś potrzebował przyjaciela bardziej niż kiedykolwiek. Busch wrzeszczał na temat zaufania, lojalności i przyjaźni, prawdy, zdrady i kłamstw, ale przede wszystkim na temat prawa i sytuacji, w jakiej Michael go postawił. Kiedy skończył, Michael zapytał, czy mogą się spotkać. Och tak, pewnie, że mogą, odpowiedział Busch, i kazał Michaelowi zjawić się przed dziewiątą w Old Stand. Punktualnie.

Tak więc Michael czekał. Wiedział, że będzie musiał przyznać się Buschowi do naruszenia warunków zwolnienia. Wykorzystał i nadużył ich przyjaźń. Ale choć poczucie winy z powodu zdrady przyjaciela bardzo mu ciążyło, poczucie winy z powodu zdrady żony ciążyło mu dziesięciokrotnie bardziej. Nieustannie powtarzał sobie słowa Simona. Jeśli Niebo było zamknięte - a to, co się wydarzyło w ciągu dnia, zwiększało prawdopodobieństwo, że tak właśnie było - to odebrał jej nadzieję na wieczność, zniszczył podstawy jej wiary. W jego głowie kłębiły się niespójne myśli, zagłuszające nawet otaczający go gwar.

Do boksu wcisnął się wściekły Busch i usiadł naprzeciwko Michaela. Robił co mógł, żeby nad sobą zapanować. Michael nie odezwał się, nie podniósł spuszczonego oczu. Wreszcie...

-Gdzie ty byłeś, do cholery?

-Przepraszam.

-Nawet nie próbuj tego numeru. Nie jestem w nastroju do przebaczenia. Gdzie byłeś?

-Było coś, czym musiałem się zająć.

-Coś? Nie wciskaj mi kitu. Chcę usłyszeć od ciebie, z twoich własnych ust, gdzie do cholery byłeś przez ostatnie dziesięć dni?

Michael patrzył, nie wiedząc, co powiedzieć. Chciał, żeby przestali się już zajmować

jego sprawą i żeby mogli przejść do rozmowy o Mary.

-Zdajesz sobie sprawę, w co mnie wpakowałeś? Kryłem twój tyłek przez blisko dwa tygodnie, a ja nie jestem facetem, który osłania kogokolwiek, oprócz siebie samego, rozumiesz? - Busch wyraźnie przestawał panować nad sobą. Wbił wzrok w ścianę, starając się odzyskać równowagę. Mijały sekundy.

-Przyszedłem tu prosto ze szpitala - powiedział cicho Michael.

Busch spojrział na niego i złość znikła z jego twarzy.

- I...?

Wyraz twarzy Michaela był niezwykle wymowny. Słowa były zbyt ciche. Patrzył jak zranione dziecko. Busch nigdy nie widział Michaela w takim stanie. Jasne, nie było go tu podczas choroby Mary, ale zawsze istniał cień nadziei.

-Jak bardzo jest źle?

-Przerzuty są już wszędzie.

Była to ostatnia rzecz, jakiej Busch się spodziewał. Nastawił się na to, że rozłoży Michaela na łopatki. Teraz już tego nie robi. Zapomniał o gniewie.

- Och... Mikę. Mogę jakoś pomóc?

Michael spojrział bez słowa, w jego oczach widział wyrzuty sumienia i strach.

-Wiem, że cierpisz...

-Zrobiłem coś. - Michael powiedział to miękko, z głową pochyloną jak do spowiedzi.

-Co? - Ale tak naprawdę Busch wcale już nie chciał usłyszeć odpowiedzi na to pytanie.

-Skazałem ją na potępienie. Busch, zbity z tropu, zmrużył oczy.

-Zniszczyłem wszystko, w co wierzy.

-O czym ty mówisz? To nie twoja wina, że ma raka.

-Podobno za nasze grzechy płacą ci, których kochamy.

-Bzdura. Stan Mary nie ma nic wspólnego z tym, kim byłeś, czy co robiłeś.

-Więc dlaczego to nie ja zachorowałem?

-Nie wolno ci tak myśleć! To jest straszne, ale to nie ty odpowiadasz za raka. Zdarzają się takie rzeczy, na które nie mamy wpływu. Po prostu się zdarzają.

-Tak bardzo chciałbym móc je po prostu odebrać z powrotem. - Michael mówił bardziej do siebie niż do siedzącego naprzeciwko przyjaciela.

-Co odebrać? - Busch czuł się zupełnie zagubiony. - Mikę... coś ty zrobił?

-Pojechałem do Europy - Michael przerwał na moment - ... i ukradłem dwa klucze.

Busch zamknął oczy. Wiedział, że Michael wyjechał zagranicę i zamierzał zmusić go

do przyznania się, ale nie w ten sposób. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że istniało jakieś rozsądne wyjaśnienie, bo gdyby chodziło o przestępstwo, Busch znalazłby się w najgorszej z możliwych sytuacji.

-Nie próbuj mi powiedzieć, że...

-Ukradłem te klucze, żeby zapłacić za leczenie Mary.

-Kurde, wiedziałem, że tak będzie. Obiecałeś mi!

-Taak... obiecywałem różne rzeczy.

Wydawało się, że hałas w barze narastał wraz z rosnącym napięciem między nimi. Buschowi trudno było pogodzić się z tym, że otaczający ich ludzie mogą być tacy radosni, teraz, kiedy rozsypuje się życie jego najbliższego przyjaciela.

-Michael, to jest poważne...

-Sprzedałem je człowiekowi, który nazywa się Finster...

-To o wiele gorsze, niż naruszenie warunków zwolnienia. Ja...

-On jest diabłem, Paul. Sprzedałem te klucze diabłu. - Michael powiedział to cicho, sam nie chcąc uwierzyć we własne słowa.

-Co? - To było jak grom z jasnego nieba. Chyba źle słyszał.

-Sprzedałem je diabłu. To były klucze do Nieba. Klucze do bram Niebios.

Busch przez chwilę milczał. Nie bardzo wiedział, jak zareagować. Michael przeżywał załamanie, a on nie wiedział, co zrobić.

- Pieprzysz głupoty, Michael. - Busch wyprostował się. - Popatrz na mnie. Wiem, w jakim żyjesz stresie...

- Mówię prawdę. - Michael spojrzał mu prosto w oczy.

Busch zrozumiał, że Michael naprawdę wierzy w to, co mówi, i przeraził się. Miewał do czynienia z kryminalistami, których uznano za chorych psychicznie, z ludźmi specyficznymi widzącymi świat, z ich definicjami tego, co słuszne, a co nie, definicjami dobra i zła.

-Ty naprawdę wierzysz, że spotkałeś...

-Nie ma znaczenia, w co ja wierzę... - Michael przerwał na chwilę. - To jest coś, w co Mary wierzy. Zabrałem jedyną rzecz, którą ona ceni najbardziej na świecie: jej wiarę, jej wieczne życie.

Niezależnie od tego, jak bardzo nienawidził siebie za to, Busch był przerażony, że jego najlepszy przyjaciel zwariował. Nie miał zielonego pojęcia, jak się zachować. To Jeannie zawsze zajmowała się delikatnymi sprawami. On nie był delikatny. Uciekł się więc do tricku, który zawsze pomagał mu obronić się przed paniką, jednocześnie mając nadzieję, że ściągnie w ten sposób Michaela z powrotem na ziemię.

-Wiesz, że mamy jeszcze jeden problem. Michael pochylił się do przodu.

-Naruszyłeś warunki zwolnienia. Musimy coś z tym zrobić.

-To najmniejsze z moich zmartwień.

-Nieprawda. Mogą cię znowu wsadzić.

-Powiedziałem ci to w zaufaniu... jako przyjacielowi.

- Jesteś moim przyjacielem. Ale prawo jest prawem. Jeśli ktoś dowie się, że opuściłeś kraj, a ktoś może się tego dowiedzieć - Busch doskonale pamiętał słowa Thala - obaj mamy przechłapano. Tu chodzi o prawo, Michael, a ty je naruszyłeś... świadomie.

Michael nawet nie słuchał.

-Muszę naprawić to, co zrobiłem.

-Masz jakieś urojenia, Michael. Obwiniasz się o chorobę Mary.

-Muszę już iść. - Michael podniósł się i patrzył oskarżycielsko na Buscha. - Dzięki za pomoc...

Jego sarkazm zabolął.

-Nie mogę pozwolić ci odejść Michael. - Głos Buscha brzmiał urzędowo.

-I co zrobisz, wsadzisz mnie do więzienia? Teraz, kiedy moja żona umiera?

Busch poczuł, jak znów ogarnia go wściekłość, taka sama, jaką odczuwał, wchodząc do pubu. Michael odwrócił kota ogonem i cały ciężar winy zrzucił prosto na jego barki.

- A niech cię piekło pochłonie! - wrzasnął.

Michael wyszedł, mrużąc pod nosem: „Już to zrobiło”.

Dzieci Buscha wrzeszczały jak opętane. Jak na rodzeństwo, łączyła je nienaturalnie silna więź i rzadko można je było zobaczyć osobno. Biegały po kuchni, wymachując plastikowymi tomahawkami i mieczami świetlnymi i wkładały w to niemal tyle energii, co gepard w polowanie.

Busch siedział spokojnie i bez apetytu skubał obiad, całkiem obojętny na otaczający go hałas. Nie był w nastroju do rozmowy, w ogóle nie był w nastroju do robienia czegokolwiek. Tracił dwoje najbliższych przyjaciół: jedno z powodu raka, a drugie - choroby umysłowej i nie mógł żadnemu z nich pomóc. Jeszcze nigdy nie czuł się aż tak bezradny. A co gorsza, Michael odwrócił się od niego. Jak on mógł naruszyć warunki zwolnienia po tym wszystkim, co Busch dla niego zrobił?

Jeannie siedziała naprzeciwko męża, milcząca jak i on. Bardzo często zdarzało się, że Paul po całym dniu pracy wracał zupełnie wyprany z sił. Wiedziała, że nie należy wtedy naciskać. Może tylko wysłuchać, kiedy - jeżeli w ogóle - nabierze ochoty na rozmowę. Wyrzucanie z siebie problemów przeważnie pomagało, ale zdarzało się też i tak, że ból, jaki

powodowało ponowne przeżywanie czegoś, był zbyt duży, i musiało upłynąć kilka tygodni, a czasami lat, zanim mówienie zaczynało działać jak zawór bezpieczeństwa. Paul kochał ją, a ona kochała Paula. To było najważniejsze. Czasami bywa przecież tak, że w pewnych sprawach trzeba żyć osobnym życiem.

Dzieciaki nadal biegały wokół kuchni i dźwiękoszczelna kula otaczająca Buscha zaczynała pękać. Jeannie dostrzegła jego irytację.

- Hej, wy dwoje, ryczcie nieco ciszej, dobrze? - zawołała, mając nadzieję, że uniknie tego, co było nieuniknione.

Ale dzieci są dziećmi i jedyną reakcją było to, że zaczęły krzyczeć jeszcze głośniej, biegać szybciej. Aż nagle wydarzenia zaczęły się toczyć jakby w zwolnionym tempie. Robbie potrafił ręką stojący na stole dzbanek, który spadł i rozbił się na pokrytej linoleum podłodze, a lemoniada rozprysnęła się po całej kuchni.

Busch zerwał się z krzesła.

- Nie słuchacie matki? Nie szanujecie zasad! Mam dość tego braku szacunku. I to się ma zmienić, słyszycie?

Dzieci dosłownie zamarły, tylko usta drżały im z przerażenia. Ojciec rzadko wpadał w gniew, ale kiedy mu się to przytrafiało, kara zazwyczaj była tak surowa, że potem godzinami płakały.

- W porządku dzieci, jazda na górę. Wskakiwać w piżamy, myć zęby i możecie sobie obejrzeć film. - Jeannie szybko wyprowadziła maluchy z kuchni.

Kiedy wróciła, Paul krążył wokół stołu, pocierając czoło, zaciskając i rozluźniając pięść, jakby pompował jakiś przyrząd medyczny. Nie mógł już dłużej ukrywać powodów swojego złego nastroju.

-To przez Michaela. Naruszył warunki zwolnienia. Powiedział mi. Powiedział mi o tym! - Busch wykrzyczał to tak, jakby sam nie mógł uwierzyć, że coś takiego się stało. W końcu usiadł wyczerpany. Wydawało się, że wypowiedzenie tych słów kosztowało go nie mniej sił niż przebiegnięcie maratonu. - Ukradł coś w Europie - dodał po chwili, już znacznie spokojniej.

-W Europie? Myślałam, że pojechał gdzieś na południe... - Jeannie przerwała na moment. - I co zamierzasz zrobić?

Co zamierza zrobić? Było to pytanie, na które bał się sam sobie odpowiedzieć.

- Muszę go zamknąć. - W chwili kiedy to powiedział, poczuł, jakby na język wylał mu się kwas. Cały czas wiedział, że to robi, ale głośne wypowiedzenie tej myśli sprawiło, że nagle stała się czymś rzeczywistym.

-Jestem pewna, że można to jakoś logicznie wyjaśnić.

-Zrobił to, żeby zapłacić za leczenie Mary.

-Mój Boże. - Nie potrafiła sobie wyobrazić, jaki to musiało sprawiać Paulowi ból. Zamierzał zamknąć swojego najlepszego przyjaciela. I nie tylko swojego... ich przyjaciela. A jak Mary to przyjmie?

-To nie ja ustanawiam zasady, Jeannie. Nie należy do moich obowiązków wysłuchiwanie wyjaśnień. To robota sędziego...

-Wsadzą go. A Mary tego nie przeżyje.

- Jeannie... - Busch przerwał na chwilę. - Leczenie nic nie dało. Mary ma przerzuty.

Jeannie była silną kobietą, ale nie aż tak. Pozostała w bezruchu, wstrząśnięta, a potem w lewym oku ukazała się łza. Mary od niepamiętnych czasów była jej najlepszą przyjaciółką.

- Są tego pewni? - spytała załamującym się głosem. - Przecież muszą być jakieś sposoby.

Busch pokręcił przecząco głową. Nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie.

Siedzieli w milczeniu, niezdolni do wypowiedzenia choćby słowa. Jeannie była z Paulem od ponad piętnastu lat. Zawsze był jak skała. Przez wszystkie wspólnie spędzone lata nigdy nie widziała w jego oczach łez. Nawet na pogrzebach najbliższych - matki i brata, czy nawet partnera zastrzelonego na służbie. Aż do dziś. Nie odezwał się ani słowem; po prostu siedział, a po twarzy płynęły mu łzy.

Busch stał w drzwiach dziecięcej sypialni i obserwował śpiące maluchy otulone białymi, letnimi kołderkami. Takie niewinne, takie pełne optymizmu. Życie nie zdążyło jeszcze pozbawić ich marzeń. Rodzice zawsze chcą chronić swe dzieci przed twardymi realiami świata dorosłych.

Tylko ktoś, kto ma dzieci, potrafi zrozumieć ból ojca lub matki odczuwany po skarceniu swojego malucha. Busch czuł przytłaczający wstyd z powodu swego wcześniejszego ataku. Przecież Robbie i Chrissy zachowywali się po prostu jak dzieci i nie było to żadnym grzechem. Tak bardzo starał się nie powtarzać grzechów swego ojca. Wkładał dużo serca w ich wychowanie, starał się być ich opiekunem, przyjacielem. Pragnął być dla nich wszystkim tym, czego jemu los nie dał. I przeważnie mu się udawało. Ale takie potknięcia, jak dziś wieczorem, pozwalały mu lepiej zrozumieć własnego ojca. Zawsze były jakieś okoliczności i sekrety, które lepiej było trzymać w tajemnicy przed dziećmi. Takie jak rak czy więzienie. Busch teraz nieco lepiej rozumiał, że to, co brał za obojętność ojca, w rzeczywistości było przejawem jego zaaferowania problemami, jakie niesie życie.

Każdy medal zawsze ma dwie strony. Paul uświadomił sobie, że z tego właśnie bierze

się dar mądrości, który jednak rozwija się bardzo powoli. Pochylił się, całując dzieci w zarumienione policzki i dziękując im za to, że pomagają mu wydorosnąć.

Michael złapał dwie szklanki, butelkę Jacka Daniel'sa i ruszył w kierunku gabinetu. Było tam całkiem ciemno, jedyne światło pochodziło od ulicznych lamp. Hawk spał zwinięty w kłębek w rogu, koło biurka Michaela.

- Więc teraz już wiesz - usłyszał dochodzący z ciemności głos.

Stanął, patrząc w ciemny róg pokoju. Nalał whisky i podał szklankę siedzącemu przy biurku Simonowi. Włączył lampkę i usiadł na krześle z boku.

- Sam nie wiem, w co mam wierzyć.

Przez ostatnie dwie godziny bliski obłądu Michael krążył po ulicach Byram Hills. Nie mogło być innego logicznego wytłumaczenia. Presja, w jakiej żył, w końcu złamała go. Jego życie stawało się snem, sny - koszmarami, a koszmary - rzeczywistością.

Zostawił Buscha w pubie. Tak, zniszczył swoją jedyną prawdziwą męską przyjaźń. Zostawił Mary w łóżku szpitalnym i miał świadomość, że zniszczył wszystko, w co wierzyła. Łatwo jest oszaleć, myślał, chodząc bez celu. Obłąd zaczynał się rozchodzić po nim tak jak rak po Mary, stopniowo pochłaniając jego mózg. Tyle że obłąkani nie zdawali sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje - a przynajmniej tak mówiono.

Chciał poznać odpowiedzi, ale była tylko jedna osoba, która mogła mu ich udzielić. Tylko Simon mógł ujawnić prawdę. Poza tym był jedynym, do którego Michael mógł się jeszcze zwrócić. I za to Michael go nienawidził.

-Przypomnij mi - powiedział głosem wprost ociekającym cynizmem - dlaczego miałbym wierzyć w to, co mówisz?

-Nie wierzysz sam sobie, to dlaczego miałbyś wierzyć komukolwiek innemu? A już zwłaszcza mnie?

-Więc spróbuj mnie przekonać - prowokował Michael.

-Jezus Chrystus nauczał swoich dwunastu uczniów... słyszałeś o Jego dwunastu apostołach?

-Tak, chodziłem do szkoły katolickiej - odparł Michael drwiąco.

- Kiedy Jezus dotarł do Caesarei Filipy, zapytał swoich uczniów: Za kogo mnie biorą ludzie? A oni odparli: Niektórzy mówią, że jesteś Janem Chrzcicielem; niektórzy, że Eliaszem; inni, że Jeremiaszem lub jednym z proroków. A Jezus zapytał: A wy? Kim myślicie, że jestem? Wszyscy uczniowie usiedli i zastanawiali się nad pytaniem, ale tylko jeden z nich znał odpowiedź. I ten uczeń powiedział: Tyś jest Chrystusem, Synem żyjącego Boga. A Jezus powiedział do niego: Ty jesteś Piotr i na tej skale zbuduję Kościół mój. I nadał

temu przemianowanemu na Piotra uczniowi moc potępiania lub rozgrzeszania wszystkich, którzy pragnęli zbawienia, mówiąc:

To, co zwiążesz na ziemi, będzie związane w Niebie, a co potępisz na ziemi, będzie potępione w Niebie. Dał mu moc kontrolowania wrót do wieczności. I dał Petrosowi dwa klucze obdarzone tą mocą - jeden złoty i jeden srebrny. - Simon przerwał na chwilę. - Klucze do wrót Nieba.

-Po śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowzięciu Jezusa ten uczeń, Piotr - jak go nazywano od nadanego mu przez Jezusa imienia Skąła, czyli Petra - założył Kościół Jezusa Chrystusa, stając się przywódcą chrześcijaństwa. W historii zapisał się jako pierwszy papież. Ta władza, jaką nasz Pan obdarzył Piotra, była od tego czasu przekazywana jego następcom. Wraz z kluczami. - Simon zamilkł i odchylił się na oparcie, pozwalając Michaelowi przemyśleć opowieść i czekając na jego komentarz.

-A zatem te dwa klucze - podsumował Michael - mają dla Kościoła dużą wartość?

-Nadal nawet nie masz pojęcia, jak ogromną.

-I to dlatego umieściliście coś o tak wielkiej wartości w starym kościółku na odludziu. Jacy wy jesteście sprytni. Wiesz, jakie to było łatwe? Jeśli to są faktycznie te klucze, które Jezus zostawił... - Michael przerwał, jego myśli, ukierunkowane na obronę, zmieniły kierunek. - Te klucze to tylko takie zabobonne czary - mary.

-Być może w tej chwili nie podzielasz naszych wierzeń - Simon zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pokoju - ale nie waż się kpić ze mnie. Te klucze zostały umieszczone przez Piotra przed jego śmiercią w miejscu, z którego Jezus wstąpił do nieba. W miejscu, w którym zbudowano Kościół Wniebowstąpienia...

-To tylko mit, zwykła bajka przekazywana przez wieki...

-Piotr zdecydował, a każdy następny papież zgadzał się z tym, że właśnie tam powinny pozostać. Jak długo klucze były własnością papieża i Kościoła, połączenie było zachowane. Wrota były otwarte.

- Chwileczkę - Michael uniósł dłoń. - Te klucze były przecież pod ochroną. Były pilnowane przez ciebie. - Michael nie mógł się powstrzymać przed wbiciem słownej igielki. - A ty nawaliłeś.

Simon nie odpowiedział. Wpatrywał się przez chwilę w Michaela, po czym uciekł wzrokiem w bok.

- I teraz musisz naprawić swoje zaniedbania. Czy Watykan wie o tym? - zapytał Michael, a jego pytanie zawisło w powietrzu. - Raczej wątpię, bo gdyby wiedział, byłoby was tu znacznie więcej.

Simon złapał Michaela za kołnierz, podniósł z krzesła i pociągnął do przodu.

-Powiniennem cię po prostu zabić. Albo jeszcze lepiej okaleczyć i zostawić, żebyś zbierał owoce tego, co posiałeś. Doskonale wiesz, że Finster wróci. Wróci po twoją żonę i po ciebie. Ale jedyne, co ci przychodzi do głowy, to drwić ze mnie w ten swój bezczelny, pyszałkowaty sposób. Wolisz udawać, że jesteś ode mnie lepszy, ukrywać w tym swoim przerażonym umyśle strach, który odczuwasz. Wolisz drwić ze mnie, niż ratować swoją żonę przed potępieniem. Twoja arogancja mnie mierzi. - Bez najmniejszego wysiłku cisnął Michaela na sofę.

-Dlaczego Finster miałby być tym, kim według ciebie jest? Nie widzę dowodów...

-Chcesz mieć dowód? Bardzo proszę. August Finster nakłonił cię, żebyś dokonał kradzieży, stałeś się jego pionkiem.

-Finster? To kolekcjoner, biznesmen, szanowany, odnoszący ogromne sukcesy...

-Masz rację we wszystkim, z wyjątkiem jednego... on nie jest człowiekiem.

-Skąd to wiesz? Nie. To nienormalne.

-Jego nazwisko pojawiło się w związku z jego zainteresowaniem bluźnierczą sztuką tworzoną przeciwko Kościołowi. Spisałem go wtedy na straty, uznając jego fascynacje za rodzaj choroby, tak jak zrobili to inni. Ale kiedy określone dzieła zaczęły znikać na czarnym rynku, poszperałem trochę w jego życiorysie. I wygląda na to, że on nie ma żadnego życiorysu...

-Jak większość ludzi z Bloku Wschodniego...

-Ale on, inaczej niż pozostali, nie ma też daty urodzenia. - Simon wpatrywał się w Michaela.

Michael roześmiał się.

-Uważasz to za zabawne? Nic nie wiesz o Niemcach z NRD. Oni zbierali informacje na temat każdego, niemal od chwili poczęcia. Ludzie uważają, że te rejestry przepadły, ale to nieprawda. Po prostu trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać. A ja wiedziałem. I nie ma kartoteki Finstera... nigdzie.

-I to uważasz za dowód?

Simon zignorował pytanie Michaela.

- Kilka lat temu, bez wiedzy Kościoła, nie mówiąc nikomu, wybrałem się z niespodziewaną wizytą do naszego przyjaciela do Berlina. Nikt nie znał mojego planu, a jednak on tam był, czekał na mnie, kiedy wysiadłem z pociągu. Stał na peronie. Zaprzeczył wszystkiemu. Problem polega tylko na tym, że te jego zaprzeczenia wyprzedziły jakiegokolwiek moje pytania. Wiedział dokładnie, co zamierzałem powiedzieć. A następna rzecz, którą

pamiętam, to że obudziłem się w pociągu jadącym z powrotem, nie mając zielonego pojęcia, w jaki sposób się w nim znalazłem. I od tego dnia nie było jednej nocy, żeby nie nawiedzał mnie w moich snach.

- Snach? - Michael pokręcił z niedowierzaniem głową. - Opierasz to na...

- On jest czarnym aniołem wyrzuconym z Nieba w niepamiętnych czasach.

- Bardzo wygodna opowieść, której celem jest przestraszyć świat. Małe dzieci chowające się pod łóżka. Matki kulące się ze strachu, błagające o wybaczenie. Wszyscy pędzą do dobrotliwego Boga, żeby ich ratował. Chronił przed złem Szatana. - Michael usiadł prosto, z każdym słowem czując się coraz pewniejszy siebie. - August Finster jest egotycznym biznesmenem, obdarzonym nadmierną władzą, rzucającym urok na całą Europę i, jak mi się zdaje, na... ciebie. Simon usiadł naprzeciwko Michaela.

- August Finster jest bardzo przystojny, charyzmatyczny, zabawny, pociągający, ciepły. I jest najczarniejszym złem. Wszystko w nim to tylko pozór. Odwołuje się do twoich utajonych pragnień i potrzeb. Wie, czego chcesz, czego się boisz. Wykorzystuje to. - Simon nachylił się jeszcze bliżej. Teraz przyszła kolej na niego, by wbić ostrze - ... I wykorzystał ciebie. - Jego oczy były przenikliwe i zimne. - Co za dziwny zbieg okoliczności, że odpowiedź na twoje modły pojawiła się w chwili, kiedy byłeś najbardziej zrozpaczony, że akurat wtedy powstała możliwość uzyskania tego, czego nie mogłeś znikąd uzyskać. Wszystko w zamian za małe bluźniercze zadanie. Kto w tym przypadku nawalił?

W pokoju nagle zrobiło się ciemniej, świat stał się bardziej klaustrofobiczny. Michael wyraźnie słyszał otaczające go dźwięki: oddech śpiącego psa, samochody na zewnątrz, tykanie zegarka. A wszystkie podkreślały tylko przepęniający go strach.

- Czego on chce? - zapytał.

- Tego, co zawsze. Naszych dusz. Tu wytargować jedną, tam ukraść drugą. A teraz już nie musi. Będzie miał wszystkie. Mając klucze, kontroluje wrota do Nieba.

- Dlaczego Bóg po prostu nie otworzy ich ponownie... tych wrót? Niegdyś były przecież otwarte, zanim Jezus zawisł na krzyżu. Czyż nie na tym opiera się twoja wiara?

Simon nie czuł strachu od chwili, kiedy miał szesnaście lat i przeżył w swoim życiu taki moment, jaki rzadko komu dane jest przeżyć, czy nawet zbliżyć się do niego. Taki, który zmienił całe jego życie. Tamtego dnia umarło jego serce i wszystkie uczucia. I nigdy już nie czuł strachu ani żadnych innych emocji. Aż do tej chwili.

- Bóg musiałby wrócić, co oznaczałoby spełnienie przepowiedni Pisma Świętego - koniec świata, czy jak chcesz to nazwać. Nad ziemią rozległby się dźwięk trąby Gabriela. Sygnał powrotu Boga: Sąd Ostateczny. Michael, musimy odzyskać te klucze.

Michael nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Wydawało mu się, że wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatniego miesiąca wreszcie układa się w jakiś logiczny ciąg. Każdy krok, który zrobił, prowadził go do tej chwili. Nie tylko zniszczył życie tych, których kochał, ale też zbezczescił ich wiarę, która podtrzymywała ich przy życiu.

- Musimy jechać. Nie zostało nam dużo czasu.

-Moja żona umiera. Nie mogę jej znowu zostawić.

-Przykro mi. - W głosie Simona nie było współczucia.

-Nie mogę wyjechać, jej życie...

- Jej życie gaśnie i nie możesz nic zrobić, żeby to powstrzymać. Ale... jeśli cenisz jej życie wiekuiste, jeszcze jest czas. Uratuj je, Michaelu. Zbaw jej duszę.

*

Michael przez całą noc wiercił się i kręcił. Nie mogąc spać w łóżku, przeniósł się na kanapę, na której obłuzowana sprężyna wbijała mu się w łopatkę. Wolał jednak to niż myśli, które go dręczyły, kiedy przewracał się samotny na materacu w ich królewskich rozmiarów łożu. Tak to będzie wyglądało, kiedy zabraknie Mary. Ale nie był jeszcze na to gotowy. Na razie ciągle jeszcze żyła. Tego był pewny.

To była zresztą jedyna rzecz, której był pewny.

Po wyjściu Simona chodził po ulicach. Krążył bez celu, dopóki, zupełnie nieświadomie, nie znalazł się przed szpitalem. Stał na dworze i wpatrywał się w ciemne okno pokoju Mary. Nie wszedł do środka. Bał się, że znowu ogarnie go rozpacz, a musiał myśleć logicznie i realistycznie. Jeśli miał wyjechać, trudno było przewidzieć, kiedy wróci. Może się zdarzyć, że Mary umrze w czasie jego nieobecności i jak on wtedy będzie mógł dalej żyć z tą świadomością...? Mógł pozwolić, by Simon jechał samodzielnie, ale wtedy do końca życia dręczyłaby go myśl, czy Mary trafiła do lepszego, spokojniejszego miejsca.

Wiara Michaela w Boga została zniszczona, ale Mary wierzyła dziś silniej niż przedtem. Wierzyła w nieskończone życie, w wieczność, wierzyła w Niebo.

Sprowadzało to do przeciwstawienia jego rozbitej wiary niezachwianej wierze Mary.

Decyzja została podjęta za niego.

Wyjedzie z Simonem.

ROZDZIAŁ 17

Dzień dobry, Mike. Cień Buscha padał na Michaela, który przecierał zaspane oczy.

-Jak się tu dostałeś?

-Daleś mi w zeszłym roku klucze, pamiętasz?

- Mam wrażenie, że ostatnio nie robię nic innego, tylko daję klucze niewłaściwym osobom - jęknął Michael ze znużeniem.

Kiedy Busch odsunął się na bok, poranne słońce z całą mocą uderzyło Michaela po oczach. Poczuł, że w głowie wali mu młot i natychmiast pożałował tych ostatnich dwóch szklaneczek whisky.

- Zjesz ze mną śniadanie? - zapytał słabym głosem, naciągając na głowę poduszkę, żeby zasłonić się przed światłem.

KLIK. Coś owinęło się wokół jego kostki u nogi. Michael uniósł poduszkę i spojrzał w kierunku swoich stóp. Zobaczył twarz Dennisa Thala. Nowy partner Buscha dopasowywał metalową bransoletkę założoną poniżej łydki Michaela. Nie kajdanki, nic ograniczającego ruchu. Gorzej. Bransoletka umożliwiająca monitorowanie go. Taka z wbudowanym GPS, która pozwala na śledzenie go z centrali, przez cały czas podaje jego zamiary i wysyła wszelkiego rodzaju sygnały ostrzegawcze, jeśli tylko przekroczy dozwolone granice.

Michael brutalnie szarpnął nogę; Thal uśmiechnął się jak myśliwy, który wie, że polowanie się skończyło i zdobycz nie ma ani jak, ani gdzie uciec.

-Co to, do cholery?

-Przykro mi. - Busch nie był w stanie spojrzeć mu w oczy.

-Przykro? Co ty robisz?

-Istnieje podejrzenie, że uciekniesz. Nie mogę ryzykować.

-Ucieknę? - W głosie Michaela słychać było niedowierzanie - Przed czym?

-Musiałem zgłosić twój przypadek sędziemu.

-Powiedziałem ci to jako przyjacielowi...

-Tym trudniejsze to dla mnie.

-Paul, moja żona umiera. Myślisz, że naprawdę mógłbym uciec? Ze zostawiłbym ją?

-Możesz widywać się z nią, ile chcesz. Po prostu musimy wiedzieć, gdzie jesteś. Nie chcemy, żebyś opuścił miasto... - Busch przerwał na moment - ponownie.

-Ty sukinsynu. Więc wsadzasz mnie z powrotem do więzienia!

Michael rzucił się na Buscha, ale zanim zdążył go osiągnąć, miał już na sobie Thala,

który walnął go z całej siły, a potem zaczął okładać pięściami. Nie miał nawet szansy zareagować. Kiedy osunął się na podłogę, Thal zamierzył się nogą, chcąc kopnąć go w głowę, ale w tym momencie Busch złapał go za ramiona i cisnął nim w kąt pokoju. Widok skręcającego się z bólu przyjaciela odebrał mu zdolność logicznego myślenia.

Thal wstał, otrzepał się i podszedł do Michaela.

- Taki drań jak ty zasługuje na karcer. Zgnijesz w nim, dobrze o tym wiesz. Twoja żona umrze w samotności...

Busch odzyskał nagle przytomność umysłu.

- Poczekaj na mnie w holu - wyszeptał, drżącym z wściekłości głosem.

Kiedy Thal wyszedł, Busch próbował pomóc Michaelowi podnieść się, ale ten odepchnął jego rękę.

- Mike, nic nie mogę na to poradzić. Prawo jest prawem. Nie mogę ryzykować, kryjąc cię. Ja też mam swoje obowiązki.

Niezależnie od tego, jak bardzo zależało mu na przyjacielu, miał żonę i dzieci i nie mógł pozwolić, żeby także ponosiły konsekwencje. W gruncie rzeczy był skłonny ten jeden raz, ze względu na przyjaźń, odstąpić od swych zasad, ale oprócz niego był jeszcze ktoś, kto wiedział o naruszeniu warunków zwolnienia. I było najzupełniej oczywiste, że Thal zakablowałby ich obu, dla czystej przyjemności zadrwienia sobie z nich.

- Choroba Mary wytrąciła cię z równowagi. Wyjaśnię to sędziemu. Będzie wyrozumiały. Przykro mi.

- Nie masz pojęcia, coś ty zrobił. - Słowa Michaela cięły Buscha jak brzytwa.

Michael otarł krew z nosa i odwrócił się tyłem. Busch stał przez chwilę, zdruzgotany, w końcu bez słowa wyszedł.

Mary spała wtulona w ramiona Michaela. Wślizgnął się na jej szpitalne łóżko, niby po to, żeby ją pocieszyć, ale w rzeczywistości to on raczej szukał pocieszenia, egoistycznie pragnąc poczuć dotyk jej ciała na swoim. Ciągle jeszcze nie wymyślił, jak ma jej powiedzieć, że znowu wyjeżdża. Jak można powiedzieć ukochanej kobiecie, że się ją opuszcza?

Bransoletkę, którą założono mu na kostkę zasłonił skarpetką, włożył też luźne spodnie, żeby ukryć zgrubienie. Do bransoletki zabezpieczającej przytwierdzone było szare pudełko, nieco większe niż paczka papierosów. Przy każdym kroku czuł jego obecność, ocierało się bowiem o skórę. Mógł odwiedzać Mary, ile razy chciał, musiał tylko za każdym razem zgłaszać to w dziale monitoringu i śledzenia zwolnionych warunkowo. I tak właśnie zrobił, zanim wyszedł z domu.

- Monitorowanie i śledzenie zwolnionych warunkowo - usłyszał w słuchawce głos

policjantki.

-St. Pierre. - Michael dzwonił z domu. - Wybieram się odwiedzić żonę w szpitalu.

-Potwierdzone, panie St. Pierre. Proszę nie zapomnieć zgłosić się, kiedy dotrze pan do szpitala.

Strasznie urzędowe, pomyślał Michael. Wyjaśniono mu, że będą monitorować jego poruszanie się po mieście i że będąc poza domem, musi się co godzinę zgłaszać. Jeżeli zdejmie urządzenie lub uszkodzi, albo wyjedzie poza granice miasta, zostanie natychmiast aresztowany za naruszenie warunków zwolnienia. Zastanawiał się, co by zrobili, gdyby okazało się, że wsiada do samolotu i leci zagranicę.

Michael zjawił się w szpitalu, kiedy Mary wychodziła z naświetlań. Postanowili, że będą kontynuować leczenie. Jeśli to nie pomoże, to przynajmniej zyskają trochę więcej czasu. A poza tym nigdy nic nie wiadomo, przecież cuda czasem się zdarzają.

Zjedli spokojnie śniadanie - jajka i kielbaski, które Michael kupił po drodze. Rzadko któreś z nich rzucało jakieś słowo. Michael nie miał natury pokerzysty i Mary z daleka widziała, że jest czymś przygnębiony, co tylko pogarszało sytuację.

-Masz jakieś zmartwienie. Widzę po twoich oczach, że coś cię gryzie. Co by to nie było, nie może być aż tak złe. - Mary zmusiła się do uśmiechu. - Biorąc naturalnie wszystko pod uwagę.

-Muszę znowu wyjechać. - Zawstydzony spuścił głowę. Jeszcze chyba nigdy nie musiał mówić słów, które by mu przyszły z większym trudem. - ... Ale tylko na kilka dni.

-I to cię tak martwi? - spytała Mary niemal ze śmiechem w głosie. - Nic mi się nie stanie, nie bój się. I mam tu naprawdę wspaniałą opiekę. - Ujęła jego dłoń. - Po prostu tylko wróć do mnie.

-Wróć. - Na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi. Oczywiście, że wróci.

- Wiem.

Pocałowała go. Michael wyczuł lekkie drżenie jej ciała. Zdjął kurtkę i narzucił jej na ramiona. Otuliła się, wchłaniając ciepło jego ciała i wdychając jego zapach. Zawsze bardzo lubiła zapach jego ubrań i często nosiła jego koszule i kurtki. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa.

Mary wyraźnie osłabła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zupełnie jakby nieubłagane słowa lekarza zachęciły chorobę do przyspieszonego manifestowania objawów.

Michael spędził ostatnią godzinę, leżąc przy żonie.

- To tylko kilka dni - wyszeptał, kiedy zasnęła. Nie zareagowała, nawet się nie

poruszyła. Może tak było lepiej. Michael szeptał dalej, właściwie do siebie samego. - Tak bardzo cię potrzebuję... Myślałem, że cię ratuję... a zrobiłem tak dużo złego. Muszę to naprawić... - Poglaskał Mary po czole.

- Proszę tylko, żebyś wierzyła we mnie.

Mając nadal zamknięte oczy, poruszyła się lekko i delikatnie ścisnęła jego dłoń. Wtuliła się w jego szyję, objęła go i wyszeptała cicho:

- Zawsze w ciebie wierzę.

- Nikt mnie nie uprzedził, że tu można zamarznąć na śmierć powiedziała Jane Arlidge, energicznie rozcierając dłonie i próbując się w ten sposób ogrzać. Nikt nie powiedział, że w końcu czerwca będzie jej potrzebne cieplejsze ubranie. Mogli jej chociaż, wydając w ubiegłym tygodniu mundur, dać sweter.

- Jedenaście stopni! Jedenaście lodowatych jak płatki śniegu stopni. - Młoda, żwawa funkcjonariuszka policji miała przed sobą co najmniej trzydzieści monitorów, a każdy z nich był oznakowany, na każdym był plan i mały, poruszający się zielony punkcik. Na dole każdego ekranu widoczne było imię i nazwisko, numer paszportu i status monitorowanego. Jane była świeżą absolwentką akademii, która postanowiła z marszu rozpocząć karierę zawodową; odmiennie niż jej koledzy, którzy po zakończeniu nauki pojechali na tygodniowy urlop.

Siedziała w dużym pokoju bez okien. Na tylnej ścianie znajdowały się różne systemy komputerowe typu mainframe, co najmniej dziesięć skrzyń o rozmiarach lodówki z chipami, napędami i płytami głównymi. Na podłodze leżała płatanina przewodów, a na terminalach migotały zielone, niebieskie i czerwone punkciki. W pokoju było tylko jedno względnie wygodne biurko, a przed nim krzesło o czarnym, skórzanym oparciu - zajęte właśnie przez zmarzniętą Jane - zdecydowanie lepsze od zimnych, metalowych stołków przy pozostałych stanowiskach pracy. Sala komputerowa komisariatu policji w Byram Hills nie tylko sprawiała wrażenie zimnej, ale też taka właśnie była. Jedenaście stopni to temperatura zalecana jako najwłaściwsza dla tego typu komputerów przez producenta i departament informatyczny policji. Nie jest to jednak temperatura, w której chętnie się przebywa, zwłaszcza latem. Pechowy nowicjusz, który wylosował obserwację monitorów, w nieunikniony sposób kończył ostrym zaziębieniem, ciągnącym się przeważnie aż do jesieni.

Monitory, w które Jane się wpatrywała, były - każdy z osobna - przypisane przestępcom przebywającym w areszcie domowym, oczekującym na rozprawę, miejsce w celi lub zakończenie wyroku. Ci, którym przyznano areszt domowy, stwarzali najmniejsze ryzyko. Wiedzieli, co to jest skrucha i żal, a niebezpieczeństwo, że uciekną, było bliskie zeru.

Bransoletki właściwie nie były im potrzebne, miały tylko przypominać, że nadal są obserwowani. Jane wiedziała o tym, więc jej uwaga była na ich monitorach średnio skoncentrowana. Przyniosła sobie kilka książek, tak jak poradził jej poprzednik na dyżurze - szkoda tylko, że nie powiedział też, żeby wzięła ze sobą ciepły sweter - i zajęła się krzyżówką z gazety.

Kiedy włączył się alarm, mało nie spadła z krzesła. Ostry, przenikliwy dźwięk z monitora dwudziestego siódmego. Zielony punkcik zniknął.

- Nie, nie nie... Gówno! - Panika, w jaką wpadła, potwierdziła, że była jeszcze straszną nowicjuską. Sięgając do telefonu, zrzuciła książki i gazetę, ale zanim jeszcze zdążyła wykręcić numer, punkcik jakby nigdy nic pojawił się z powrotem.

Ale i tak zadzwoniła.

-Halo? - odezwał się w słuchawce głos.

-Pan St. Pierre? - spytała nerwowo, drżącym głosem.

- Tak? - Michael odpowiedział nad wyraz spokojnie.

Jane na chwilę zamilkła. Nie przychodziły jej do głowy żadne słowa, jej mózg po tak dużej dawce adrenaliny nadal był jak galareta. Komputer nawalił? A może to ona, w swoim pierwszym dniu, popełniła jakąś pomyłkę.

- Dzwonię z pierwszego posterunku, z wydziału pierwszego. Siedzenie i monitorowanie. Miałam chwilowy brak transmisji.

- Przepraszam, zszedłem tylko na dół po pocztę.

Odetchnęła z ulgą.

- Zapewne straciłam łączność, kiedy był pan w windzie - stwierdziła, wyraźnie już spokojniejszym głosem. - Musi nas pan informować za każdym razem, kiedy wychodzi pan z mieszkania.

- Jasne. Przepraszam, jeszcze się nie przyzwyczyłem. Obiecuję, że to już się nie powtórzy.

- Dobrze. - Kryzys zażegnany. Jane odłożyła słuchawkę i wciągnęła głęboko powietrze.

*

Mały czarny worek marynarski był spakowany i leżał na stoliku w przedpokoju. Michael siedział na podłodze w pokoju dziennym, drapiąc Hawka po brzuchu. Ciągle jeszcze przytrzymał słuchawkę ramieniem przy uchu. I myślał. Intensywnie myślał.

Rzucił bezprzewodową słuchawkę na sofę i zaczął obiema rękami tarmosić psa. Prawą nogawkę miał podwiniętą powyżej założonego na kostkę urządzenia. Na podłodze leżały

narzędzia. Usunął szarą obudowę z pudełka i na moment odłączył wewnętrzny przewód. Był to test, chciał zobaczyć, jak daleko może się posunąć, zanim ściągnie sobie na głowę cały oddział policji. Okazało się, że trwałoby to dłużej, niż przypuszczał.

- No dobrze, mój psi przyjacielu - powiedział na głos. - To jak mam się z tego wydostać?

Simon, z torbą w ręce, spojrzął na zegarek. W oddali samolot kołował na płycie lotniska. Michael powiedział, że będzie tu na niego czekał. No cóż - to było pierwsze kłamstwo... ale dlaczego miałby się temu dziwić? Być może, myślał Simon, powinien sam się tym zająć. W przeszłości odzyskał już wiele przedmiotów dla Kościoła i wykonywał w imię Boga o wiele niebezpieczniejsze zadania. Dlaczego tym razem najpierw zajął się odszukaniem Michaela? Czy chodziło o klucze, czy o urażoną dumę? Nigdy przedtem nie zawiódł. Ta myśl go poraziła. Dlaczego przyjechał tutaj? Nigdy przedtem nie potrzebował pomocy, nigdy nawet nie myślał o tym, żeby jej u kogoś szukać. I dlaczego teraz prosił o nią człowieka, który go oszukał, okradł? Człowieka, o którym w gruncie rzeczy sądził, że nie jest godzien zaufania. Simon modlił się, żeby nie okazało się to jego pierwszym błędem. Jednym z wielu.

- Drugie wezwanie dla pasażerów udających się lotem numer 1225 do Berlina.

*

Jane jadła na obiad zestaw McSandwich. Godzinę temu serce przestało jej mocniej bić ze strachu. Teraz waliło jak oszalałe z innego powodu. Miał metr osiemdziesiąt dwa, jasne, jedwabiste włosy, a jego szczeka... uwielbiała takie mocno zarysowane szczęki. Doogy. Nikt nigdy nie robił szumu wokół jego imienia, bo był jednym z tych, którzy potrafią okazywać taką pewność siebie, że o żartach nie było mowy. W Akademii widziała go tylko raz, ale dobrze go zapamiętała. Nie miała pojęcia, że zostali przydzieleni do tego samego posterunku. Dowiedziała się o tym dopiero, kiedy wszedł do sali komputerów.

- Jak tu jest? - spytała, przybierając kumpelską postawę „jestem jedną z was”.

- Trudno powiedzieć. Ten mój pierwszy dzień jest okropnie spokojny. A jak to się stało, że wylądowałaś na tej Syberii?

- To lepsze niż ulica.

- Fakt - przyznał Doogy. - Ale marnujesz swoje umiejętności.

- Zgłosiłam się dobrowolnie. Powiedzieli, że następny przydział mogę wybrać sama. Wkrótce więc będę korzystać z tego, czego się nauczyłam.

- Poważnie? - zastanowił się, patrząc na te wszystkie komputery. Całkiem niezła fucha. Żadnej brudnej roboty, zlecanej przez starszych rangą funkcjonariuszy, wygodne

miejsce, gdzie można uciec przed upałem. - Dlaczego ja nic nie wiedziałem o takim układzie?

Bardzo jej się podobał sposób, w jaki skrzywił twarz w wyrazie rozczarowania.

- Nie jest źle trzymać z tymi, co wiedzą.

- Opowiedz mi coś o tym - Doogy wskazał na monitory.

- Obserwuję ruchy zwolnionych warunkowo i aresztowanych, którzy siedzą w domu. Ciekawa robota.

Przyjrzał się ekranom. Wszystkie punkciki były nieruchome.

- Wygląda to jak kiepska gra komputerowa. Nie są zbyt ruchliwi. - Przyciągnął stołek i usiadł.

Musisz pozostać skoncentrowana, nakazała sobie Jenny.

- Albo śpią, albo oglądają telewizję. Faktycznie nie są zbyt ruchliwi. Jesteś głodny? - podsunęła mu frytki.

- Jasne. - Wyciągnął rękę.

Duże dłonie. Starła się nie myśleć o tym, żeby przypadkiem się nie zorientował.

- No więc... - zająknęła się. Zaczynało jej brakować tematów na pogaduszki.

- Wyobrażam sobie, że zdążyłaś już dużo przeczytać - wskazał na książki.

Tak, był nią zainteresowany, język jego ciała wyraźnie o tym świadczył.

- Hej, a co ten ktoś wyrabia? - Wskazał na mały, zielony punkcik, który ganiał po całym ekranie jak gra wideo, która zwariowała.

Jane potrzebowała czasu, żeby wrócić na ziemię - w pierwszej chwili nie wiedziała, o czym mówił. A potem zauważyła. Monitor dwudziesty siódmy. Znowu. Rzuciła kanapkę i złapała za telefon.

Busch i Thal zapukali do drzwi wejściowych. Nikt nie odpowiedział. Usłyszeli dochodzący z mieszkania głośny łoskot, jakby coś spadało. Thal uniósł nogę, żeby kopnięciem wywalić drzwi, ale Paul powstrzymał go wzrokiem. Wyciągnął klucz i otworzył.

- Mike? - zawołał.

Wszystko wyglądało normalnie. W mieszkaniu było czysto, na stole stały świeże kwiaty. Thal ruszył w stronę gabinetu, a Busch sprawdzał pokój dzienny.

Kolejny łoskot, tym razem z sypialni. Busch ruszył w tamtym kierunku, wyciągając broń.

- Mike? - Kolejny hałas, tym razem dźwięk tłuczonego szkła. - Przestań się wygłupiać - ryknął, ale nikt nie odpowiedział. Otworzył drzwi, trzymając broń gotową do strzału, i wtedy coś skoczyło mu koło głowy. Busch miał ochotę krzyknąć ze strachu, cofnął się gwałtownie. Serce waliło mu jak młot. Schował broń.

- Pieprzony kot!

CJ uciekła do pokoju dziennego i wskoczyła na kanapę. Kilka sekund później nadbiegł Hawk. Na widok Buscha gwałtownie zahamował, obwąchał jego rękę, i złapawszy ponownie zapach kotki, rzucił się w pogoń. CJ syknęła i rzuciła się do ucieczki. Biegały w kółko po pokoju, dopóki kotka nie wskoczyła wysoko na półkę z książkami. Pies warczał i skakał, usiłując złapać ją za ogon, którym kocica machała mu przed nosem, poza jego zasięgiem.

Thal wszedł do pokoju.

- Jak to możliwe, że go tu nie ma?

I właśnie w tym momencie zauważyli bransoletkę przyczepioną do obroży Hawka. Jak się tam znalazła?

- Sprytny sukinsyn - mruknął Busch.

Thal przerzucał papiery na biurku Michaela. Znalazł otwartą książkę, kilka artykułów wyciętych z gazet. Jeden z nich zaczął czytać.

Busch tymczasem telefonował. Stał tyłem do Thala, nie mógł znieść jego widoku. Sprawdzał wszędzie: w szpitalu, na posterunku, w sklepie z alarmami. Nikt nie widział Michaela, do nikogo nie telefonował. Ostatni raz słyszano jego głos tego popołudnia o 17.07, kiedy nowicjuszka monitorująca zwolnionych warunkowo zadzwoniła, upominając Michaela za opuszczenie mieszkania w celu wyjęcia listów ze skrzynki.

Najbardziej przeraził się, kiedy Mary powiedziała, że Michael musiał wyjechać na kilka dni. Ale tą informacją nie zamierzał podzielić się ani z Thalem, ani z nikim innym. Sam tkwił teraz w szambie po uszy. Areszt domowy to był jego pomysł, to on poprzedniego dnia upierał się, żeby nie zamykać Michaela. Będzie miał poważne problemy, jeżeli go nie znajdzie, i to szybko. Jak mógł mu to zrobić?

Busch odłożył słuchawkę i odwrócił się. Thal nadal czytał. Busch spojrzał na zavalone papierami biurko. Michael musiał nad czymś pracować, to nie ulegało wątpliwości.

- Wygląda na to, że miał towarzystwo - Thal wskazał na dwie szklanki i pustą butelkę po whisky. - Myślę, że twój przyjaciel ma obsesję. - Rzucił Buschowi egzemplarz „International Business”; na okładce było zdjęcie Finstera, którego charyzmatyczny uśmiech rozjaśniał twarz, a ciemne oczy patrzyły przyjaźnie.

Trudno było nie zgodzić się z tą uwagą. Wszystkie papiery na biurku dotyczyły właśnie Finstera: artykuły z gazet i czasopism, zdjęcia.

- To ty - Thal wymierzył oskarżycielskim gestem palec w stronę twarzy Buscha - pozwoliłeś mu uciec.

Busch złapał Thala za palec, omal go przy tym nie łamiąc. Miał już dość tych zagrań.

- Zrób to jeszcze raz, a złamię ci nie tylko palec.

Thal zwinął się, skowycząc z bólu. Busch uświadomił sobie ironię sytuacji: Thal bał się bólu. Uwielbiał dręczyć innych, zadawać im cierpienie, ale sam nie potrafił sobie z nim poradzić. Po chwili jednak na twarzy Thala pojawił się grymas podniecenia, a kiedy spojrzął na Buscha, był już uśmiechnięty. I wtedy Busch zrozumiał, że wyciągnął mylny wniosek - Thalowi ból sprawiał przyjemność, niezależnie od tego, czy to on go zadawał... czy zadawano go jemu.

Simon obserwował rudowłosą stewardesse zamykającą drzwi Boeinga 747. Pogodził się z myślą, że leci sam. Wrzucił bagaż do skrytki nad siedzeniami i zajął miejsce przy oknie. Nocny lot transatlantycki był jedną z niewielu przyjemności, jakie potrafił jeszcze odczuwać. Z wysoka, sponad chmur będzie obserwował nie tylko zachód, ale i wschód słońca. Szczególnie lubił ten właśnie lot, który skracał noc. Bo choć umiał to dobrze ukryć, ciemności nadal budziły w nim strach. Noc była tą porą, podczas której rozpraszające go sprawy znikaly, a on zostawał samotny. Ze swoimi myślami i obawami, z wiedzą, jaką posiadał na temat tego, co tam było. I nic nie dało się zrobić z tym poczuciem: było jak kaszel, nasilający się, kiedy kładziesz się spać. Żebyś nie wiem jak starał się go pozbyć, ciągle wraca i łapie cię. Dlatego cieszył się chwilami, kiedy noc stawała się krótsza. Wschód słońca był dla niego zawsze jak chrzest, zmywał zło towarzyszące ciemności. To nie bajka, że wszystko, co złe, przychodzi w nocy: to fakt. Znaczenie i powiązania światła z dniem i ciemności z nocą jest o wiele głębsze, niż większość ludzi sobie to uświadamia.

Teraz, kiedy patrzył na słońce, które chyliło się ku zachodowi, zdał sobie sprawę z tego, że dosłownie przepływa obok świata, niczym statek w nocy. Nigdy nie zatrzymał się, żeby spróbować wspaniałości, jakie oferuje. Jego życie polegało na poświęcaniu się. Na pełnym poświęcaniu się pracy. Nie mógł sobie pozwolić na rodzinę - żonę i dzieci. Tamtego potwornego popołudnia w dzieciństwie został postawiony na tej ścieżce, którą zresztą bez wahania zaakceptował. Ścieżce, która doprowadziła go do tej chwili, w której wszystko to kwestionuje. Czyżby żył jedynie życiem mściciela? Nie znał miłości ani przyjaźni, nigdy nie poznał szczęścia płynącego z posiadania ukochanej osoby lub bliskiego przyjaciela, kogoś, z kim mógłby przedyskutować jakiś swój problem. Żył życiem pustelnika. Takim, które wiezie się w pojedynkę. I po którym umiera się w samotności.

Nigdy przedtem nie szukał niczyjej pomocy, więc dlaczego właśnie teraz? Udzielił cennych informacji człowiekowi, któremu nie mógł ufać. Informacji o prawdziwym znaczeniu kluczy. Tych, które Michael mu ukradł. Był katalizatorem całej tej sytuacji; sytuacji, której konsekwencje mogą ponieść wszyscy. A mimo to szukał pomocy u tego

właśnie złodzieja. To był błąd i dobrze, że nic z tego nie wyszło. Simon uznał, że tym razem miał szczęście.

- Cześć.

Simon podniósł głowę i spojrzał na Michaela stojącego w przejściu, z torbą w ręce.

Tego popołudnia Michael, po wyjściu ze szpitala od Mary a w drodze do domu zahaczył o swój sklep. Wiedział, że ryzykuje, ale musiał to zrobić. Nie miał jeszcze pomysłu, jak zdejmie bransoletkę, ale na jakie by nie wpadł rozwiązanie, bez narzędzi nic nie zdziała. Złapał kombinerkę, miniwiertarkę i piłkę, kilka zwojów przewodów i zestaw elektroniczny, którego używał do dostrajania systemów alarmowych.

Bransoletka zabezpieczająca była zaprojektowana w bardzo prosty sposób. GPS działał, kiedy Michael był poza domem, ale w domu system nie dawał dokładnego sygnału, miał bowiem trudności z przenikaniem przez ściany i ulegał zakłóceniom. GPS przekazywał sygnał do transpondera, który został ulokowany w szafce na ścianie. Natężenie sygnału z bransoletki pozwalało zlokalizować Michaela i było przekazywane na posterunek policji. Źródłem zasilania była mała, wewnętrzna bateria, z której przewody biegły po obwodzie urządzenia zabezpieczającego. Aktywacja następowała po zamknięciu wokół kostki. Zdejmowanie bransoletki nieodwracalnie uszkadzało przewody.

Ale Michael był nie tylko specjalistą od systemów zabezpieczających, był także złodziejem. Nieważne, że - pomimo ostatnich wydarzeń - uważał się za emeryta w tym zawodzie. Kiedy jeszcze był aktywny, rozbrajał wiele alarmów oraz systemów zabezpieczających i zawsze potrafił znaleźć rozwiązanie. Zaczął od wywiercenia w bransoletce dwóch otworków wielkości łebka od szpilki, po dwóch stronach, uważając, żeby ręka mu się nie ześlizgnęła i żeby nie wywiercił sobie dziury w nodze. Pod bacznym wzrokiem Hawka wsunął w nie dwa szpikulce z dziesięciomilimetrowymi przewodami, które stworzyły wtórny obwód, rodzaj obwodu zastępczego. Prąd mógł więc teraz biec dwoma obwodami; jeśli jeden był uszkodzony, działał drugi. Rozbroiwszy w ten sposób bransoletkę, bez trudu zsunął ją z nogi, a potem zawołał Hawka i przyczepił mu urządzenie do obroży.

Kiedy już znalazł się bezpieczny w samolocie, nie zadał sobie trudu, żeby wyjaśnić to Simonowi, który siedział w milczeniu obok. Lecieli już od godziny i Simon robił wrażenie bardziej zainteresowanego zachodem słońca niż faktem, że Michael wyrwał się z aresztu domowego.

Kapitan Delia krążył po pokoju. Nie mógł znaleźć innego sposobu rozładowania nagromadzonych emocji, a nie potrafił wrzeszczeć, siedząc za biurkiem.

- Pozwoliłeś mu uciec!

Busch przyzwyczajony był do takiego zachowania. Kapitan często wrzeszczał i nie robiło to większego wrażenia, tyle tylko że - w pewnym przynajmniej sensie - kapitan miał rację. Tym razem Michael go przechytrzył.

-Thal mówił, że on wyjechał z kraju. To prawda? Zechciałbyś może wyjaśnić mi, jak to się dzieje, że jeden ze zwolnionych warunkowo, za którego odpowiadasz, wyjeżdża sobie z kraju?

-Nie wyjechał z kraju. Ma umierającą żonę. - Busch nie potrafił przekonywająco kłamać, ale próbował.

-Thal powiedział, że zwiął z miasta. Więc jak: wyjechał czy nie?

-To ja jestem prowadzącym go funkcjonariuszem, a nie Thal.

- Za bardzo się spoufalasz ze swoimi zwolnionymi warunkowo. Nie możesz być ich przyjacielem. Twoje postępowanie w tej sprawie nie jest całkiem czyste. Rozważam możliwość przydzielenia tego zadania Thalowi.

- Thalowi?! To pieprzony psychopata. I uprzedzam, że skręcę mu kark, jeśli nie przestanie wtykać nosa w tę sprawę.

Delia zatrzasnął drzwi od swojego biura i odwrócił się w stronę Buscha, piorunując go wzrokiem, czerwony z wściekłości.

- To nie byłoby dobre dla twojej dalszej kariery - powiedział. Usiadł i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien podzielić się swoimi rewelacjami, czy lepiej nie. Po chwili zdecydował się. - Thal jest z wydziału wewnętrznego i siedzi ci na dupie, mój przyjacielu.

Busch poczuł się tak, jakby piętnastokilogramowy obuch walnął go w brzuch. W życiu. Wykluczone. Znowu poczuł się zdradzony, ale tym razem przez swoich. Przez drugiego gliniarza. Przez własnego szefa.

-Dlaczego mi nie powiedziałeś? - pytanie z trudem przeszło mu przez gardło.

-Co to takiego zawsze powtarzasz? Ze prawo to prawo? No cóż, tu chodzi o policję pilnującą gliniarzy, o obowiązujące gliniarzy prawo. Więc jak kazali mi siedzieć cicho, to siedziałem. - Po oczach Delii widać było, że gotuje się z gniewu.

Busch zacisnął zęby.

-Więc dlaczego teraz mi o tym mówisz?

-Myślałem, że to bzdura. Zawsze byłeś czysty jak dziewica, więc puściłem to mimo uszu. Byłem pewien, że nic na ciebie nie znajdą. - W Delii narastała kolejna fala wściekłości. - A teraz zobacz, w jakiej sytuacji mnie postawiłeś.

- Och, daruj sobie. Doskonale wiesz, że nie zrobiłem nic złego. Jestem niewinny... - Busch nigdy nie przypuszczał, że wygłosi takie stwierdzenie - ... i oświadczam ci, że nawet

jeśli okazałoby się, że St. Pierre wyjechał, to kryje się za tym coś więcej, niż widzimy. On jest niewinny.

- Nie my będziemy to oceniać. Ani nie ty. O tym zadecyduje sąd.

Busch nie znosił, kiedy ciskano mu w twarz jego własne słowa.

- Jego żona jest umierająca. Nie nawali; żeby go wsadzili do więzienia w jej ostatnich dniach.

Delia znowu przemierzał pokój.

-Nie myślisz trzeźwo. Wydaje ci się, że z kim ty masz do czynienia? - Delia robił, co mógł, żeby nie zablokować Buscha już na samym początku. - Twoim zadaniem jest obserwować ich, ponownie ich przystosowywać do życia w społeczeństwie, ułatwiać im powrót. I opieprzać, jak coś spieprzą. Jak spieprzą, to zgłaszasz ich i wracają do paki. Ale nie, ty się musisz z nimi zaprzyjaźniać, rozpieszczać ich, zapraszać do siebie na herbatki. Jezus Maria Józefie święty, nie mogłeś sobie znaleźć kumpla, który nie jest skazany?

-Wiesz, że to stek bzdur...

-Daruj sobie wymówki. - Delia przerwał mu, uniesieniem rąk wyrażając poczucie zawodu. - Thal powiedział, że pozwoliłeś mu uciec.

-To bzdura, panie kapitanie. St. Pierre opuścił mieszkanie z własnej woli, bez mojej pomocy.

-Ty zadecydowałeś, że ma być monitorowany, a on złamał warunki...

-Znam tego człowieka, panie kapitanie. Jest zresocjalizowany...

-Człowiek zresocjalizowany nie łamie warunków zwolnienia, nie zdejmuje bransoletki zabezpieczającej, nie ucieka. Tym, co mnie martwi, jest pytanie: dlaczego? Przed czym on ucieka, Paul? Albo: do czego? Boję się, że zamierza złamać prawo, i to na dużą skalę, a wtedy wszyscy dostaniemy po dupie.

- Nie, panie kapitanie! Nie złamie prawa. Znajdę go, odpowiadam za niego.

- Już raz spieprzyłeś swoją robotę. Podaj powód, dla którego już teraz miałbym nie zabrać ci odznaki?

- Ponieważ tylko ja mogę go znaleźć.

Kapitan Delia znał Paula od niepamiętnych lat. Niezależnie od tego, jak źle wyglądała cała ta sprawa, doskonale wiedział, że mówi prawdę. Nie był typem faceta, który by kłamał, który by ryzykował swoją karierę w taki sposób. Pytał Thala, kto mógł złożyć skargę na Buscha, ale jak dotąd żadne władze z kontroli wewnętrznej się nie odezwały. Delia miał obowiązek współpracować z nimi i robił to, ale musi być jakaś granica. Nigdy nie lubił

gliniarzy prowadzących dochodzenia przeciwko swoim, a nade wszystko - nie lubił Thala.

- Ale pamiętaj! Jak pójdzie na dno... to ty razem z nim - zdecydował w końcu Delia.

Busch nie odezwał się, kiwnął tylko potakująco głową. Biorąc pod uwagę okoliczności, uzyskał najwyższe votum zaufania, na jakie mógł liczyć u swojego kapitana.

Wyszedł szybko z biura szefa.

- Gdzie jest Thal? - ryknął od drzwi.

Wszyscy podnieśli głowy, ale nikt się nie odezwał. Podeszedł do biurka Thala. Puste: żadnego akcentu osobistego, żadnego, choćby najmniejszego papierka. Zwrócił się do siedzącej obok Judy Langer. Nigdy się zbytnio nie lubili, teraz też nawet nie podniosła głowy znad papierów.

- Widziałaś Thala?

- Wyszedł. - Judy nie zadała sobie nawet trudu, żeby na niego spojrzeć.

- Do...?

- Nie jestem jego niańką - mruknęła.

Busch spojrzał raz jeszcze na biurko: to nie było biurko kogoś, kto wyszedł na chwilę. Budziło raczej wrażenie, że ktoś, kto przy nim siedział, nie zamierza wrócić. W głowie wirowało mu od natłoku myśli. Wydział wewnętrzny. Czego, u licha, szukają? Przez całe życie przestrzegał prawa, nigdy nawet przez moment się nie wahał, a teraz prowadzono w jego sprawie dochodzenie, jakby był jakimś przestępcą, jednym z tych, na łapaniu których upłynęło mu życie. I na domiar wszystkiego był pod mikroskopem Thala. Było w tym jeszcze coś, co mu nie pasowało, co korzeniami sięgało znacznie głębiej... Kto wskazał palcem Buscha tym z wydziału wewnętrznego? Jedyńm sposobem na dowiedzenie się tego i ewentualne uratowanie swojej kariery, było odnalezienie Thala. Ale najpierw, zgodnie ze słowem danym Delii, musi znaleźć Michaela.

- Obiło mi się o uszy, że wyjechał w jakiejś pilnej sprawie rodzinnej - powiedziała Judy, mając nadzieję, że Busch pójdzie sobie, jeśli dowie się tego, co chce wiedzieć.

- Wiesz dokąd?

- Wydaje mi się, że słyszałam, jak mówił coś o Niemczech. Chyba o Berlinie.

Terapia sprawiła, że Mary czuła się słaba i chora. Po wyjeździe Michaela miała nadzieję, że poradzi z tym sobie, zwijając się po prostu w kłębek na łóżku i śpiąc, ale kiedy wróciła do pokoju, on czekał tam na nią.

Nie powiedział, czego naprawdę chciał, a to wydało się jej bardziej niż dziwne. Przedstawił się jako nowy partner Paula, Dennis... nie zapamiętała jego nazwiska... Przyszedł dowiedzieć się, jak Mary się czuje i na czym polegają stosunki jej męża z Buschem.

Powiedział, że potrzebuje tego do oceny pracy Buscha ze zwolnionymi warunkowo i że może się wycofa, jeśli Busch dostanie takie honorarium, na jakie w pełni zasługuje. Nie wspomniała nikomu o jego wizycie.

Ale było w nim coś. Czula się, jakby atakował jej duszę. Dennis przeraził ją bardziej niż rak.

Wiadomość, że toczyło się przeciwko niemu dochodzenie, zdruzgotała Buscha. Wydawało mu się to zupełnie niemożliwe. Nie mógł sobie przypomnieć żadnej sytuacji, w której poszedłby na jakikolwiek układ ze swoim podopiecznym, a szczególnie z Michaeliem. Doskonale kontrolował każdy swój krok, całe swoje postępowanie wobec niego. Thal pojawił się, zanim Mary zachorowała, zanim Michael ponownie otworzył „tamten” rozdział swojego życia. Dlaczego? I dlaczego Thal pojechał do Berlina? Czy chodziło mu o to, żeby złapać Michaela i jeszcze bardziej obciążyć Buscha? A może kryło się za tym coś jeszcze?

Busch siedział w pokoju komputerowym: jedna lampa, jedno krzesło, jedno biurko i jeden komputer. Żadnego okna, dywanu, obrazków czy ozdób. Baza danych Wydziału Policji w Byram Hills była ogromna. Zawierała nie tylko rejestry przestępców, dawała również dostęp do najróżniejszych bibliotek komputerowych: FBI, Interpolu, do czasopism i agencji informacyjnych.

Finstera łatwo było znaleźć. Choć nie figurował w rejestrze przestępców, mnóstwo o nim było w świecie biznesu i gwiazd. August Finster był takim Gatesem - Turnerem - Pearlmanem - Trumpem byłego Bloku Wschodniego. W archiwum Bloomberg News Busch znalazł film wideo na jego temat: nieskazitelnie ubrany Finster prowadził spotkanie zarządu, oglądał swoje rozległe posiadłości, zjawiał się na wielkich imprezach towarzyskich. Uwagę Buscha przyciągnęło ujęcie, na którym Finster tańczył przez całą noc z najpiękniejszymi kobietami, jakie Paul kiedykolwiek widział. Olśniewająco piękne, jakby prosto z wybiegu dla modelek.

-Zupełnie nieznany do czasu zjednoczenia Niemiec - mówił narrator filmu - August Finster stał się najbogatszym człowiekiem z byłych Niemiec Wschodnich. Odnoszącym, jak dotąd, sukcesy w każdym sektorze biznesu i nieznającym jeszcze smaku porażki. Jego pochodzenie jest owiane tajemnicą. Samotny, bezwzględny w interesach, ma, jak się wydaje, tylko jedną słabość: kobiety. Ujęcie przedstawiało go otoczonego tłumem piękności. Gdyby nie wzmianki o kobietach, Bush byłby rozpaczliwie znudzony.

-Znany ze swoich nocnych wyczynów, zabawiający dwie do trzech kobiet podczas jednego wieczoru, jeszcze nigdy nie został sfotografowany dwa razy z tą samą

pięknością. Zawsze można go spotkać we wszystkich najmodniejszych salonach towarzyskich, co w połączeniu z jego sprytem w biznesie i nazwiskiem...

Busch ustawił myszkę na opcji zamknięcia filmu, kiedy nagle...

- ... dało mu szeptać za jego plecami przezwisko Księżę Ciemności.

ROZDZIAŁ 18

August Finster siedział w swojej bibliotece otoczony wielbicielkami. To typowo męskie pomieszczenie, z meblami obitymi grubą skórą, świetnie nadawało się do imponowania tym, którym łatwo było zaimponować. Trzy damy z drinkami w dłoniach siedziały na kanapach przed kominkiem, a wszystkie ubrane były we wspaniałe suknie wieczorowe z najdroższych berlińskich sklepów.

Finster znajdował swoje kobiety w różny sposób. Jego bogactwo i urok osobisty zawsze okazywały się najlepszym afrodyzjakiem; atrakcyjne kobiety lgnęły do niego jak pszczoły do miodu. Elle, z ogniste rudymi włosami, natknęła się na niego rano, kiedy wyszła z sesji fotograficznej, z plikiem zdjęć w dłoni. Ta znana na świecie modelka zauważyła, że obejrzał się za nią, i natychmiast się w nim zakochała. Z kolei śliczna June przyszła na rozmowę kwalifikacyjną w Finster Industries i wyszła z zaproszeniem na wieczór. A Heidi, cóż, Heidi po prostu zjawiała się tego wieczoru nie zaproszona, ale zachęcona przez przyjaciółki, które miały już okazję poznać jego urok. Ale poza pieniędzmi i urokiem osobistym, było w nim coś jeszcze. Wszystkie to wyczuwały, ale nie potrafiły tego wyrazić słowami. Zupełnie jakby chciały wyciągnąć rękę i dotknąć czegoś szczególnego, co było bardzo pociągające, ale zawsze pozostawało nieosiągalne - jak ostatni sen przed obudzeniem, który jest tuż - tuż, ale nie można go sobie przypomnieć. Jakaś magia. I choć znany był jako król jednej nocy, nadal przychodziły do niego, a potem chełpiły się tym, jakby co najmniej miały romans z gwiazdą rocka. Był takim męskim uosobieniem seksu.

Zadzwoił telefon, ale Finster nawet nie zwrócił na to uwagi. Po trzech dzwonekach telefon umilkł. Finster nie lubił, żeby mu przeszkadzano, chyba że sprawa była wyjątkowo pilna.

- Zjemy w El Grocia - powiedział. Zawsze chodził do najmodniejszych restauracji; rzadko jednak można go było zobaczyć dwa razy w tej samej. - Mamy rezerwację na kwadrans po ósmej.

Trzy boginie uśmiechnęły się, a to oznaczało, że przyjęły do wiadomości, że są zadowolone z jego towarzystwa. Jedynie Elle wiedziała, że do EL Grocia stolik trzeba było rezerwować osiem tygodni wcześniej, i doceniała wpływy, jakie miał Finster. W jej oczach dwie pozostałe dziewczyny były niczym więcej niż napalonymi, mało rozgarniętymi idiotkami o słodkich oczach, zaproszonymi na szybki numer. Ona była inna.

- Czuję się zaszczycony, gdybyście, moje panie, wybrały miejsce, gdzie pójdziemy

potem potańczyć. - Głos Finstera wprawiał Elle w stan upojenia.

W drzwiach cicho pojawił się Charles, trzymający kopertę w prawej dłoni. Dyskretnie podał ją swojemu panu, jednocześnie nachylając się w stronę jego ucha. Ellen nie była z natury wścibska, po prostu interesowało ją życie innych. Nie chciała podsłuchiwać, ale nie mogła nic na to poradzić, że słyszała. Choć Charles mówił cicho, docierało do niej niemal wszystko. Finster spojrzał na Elle, jakby czytał w jej myślach. Jego przelotny uśmiech mógł wydawać się ciepły, ale oczy pozostały lodowate, mroząc jej serce. Nagle zawstydziła się. I przestraszyła.

A przecież nie usłyszała nic ciekawego. Tylko coś w rodzaju: „jadą; i jak oni mają czelność; i nie martw się, są bezpieczne, a on przygotuje im stosowne powitanie...”.

W tej chwili przed domem rozległ się klakson bentleya. Charles wycofał się z pokoju, a Finster poprowadził panie przed dom. Heidi i June chichotały jak nastolatki, kiedy szofer otworzył przed nimi drzwi samochodu. Finster zatrzymał się w drzwiach wejściowych i zwrócił się w stronę Elle. Otoczył ją ramieniem.

Może wszystko będzie OK. Musi wreszcie przestać podsłuchiwać; głupi nawyk. Niewiele brakowało, a znowu wpałaby z tego powodu w tarapaty. Ale przynajmniej znowu patrzył na nią ciepło. Chwała Bogu, pomyślała. Nie bała się tak od czasu, kiedy złapano ją na kradzieży szminki w sklepie Channel; była wtedy jeszcze w Paryżu.

-Pomyślałem, że może pošlemy te dwie... panienki przodem - powiedział Finster.

-Byłoby cudownie. - Elle z trudem panowała nad drżącym głosem.

-Może poczekaś więc na mnie w bibliotece? Wyprawię je i za moment wrócę. Możemy zjeść miły, spokojny obiad tutaj, tylko we dwoje.

Ruszył w stronę samochodu, a Elle uśmiechnęła się. Spojrzała za siebie na schody, jak to robiła w dzieciństwie, i pomyślała życzenie, tak jak ją uczył ojciec. Oby to szczęście trwało do końca jej życia.

Godzina 3 rano. Wysokość 9000 metrów. Większość pasażerów spała, część, ze słuchawkami na uszach, oglądała film z 1948 roku, „Spotkanie Abbota i Costello z Frankensteinem”. Simon, jak zwykle cierpiący na bezsenność, czytał *Biblię*. Choć doskonale znał całą księgę, zawsze nasuwała mu się jakaś nowa myśl, jakaś lekcja, którą mógłby wykorzystać w dalszym życiu, oczywiście zakładając, że będzie miał dość szczęścia, by dalej żyć. Michael zajął dwa przyległe fotele. Siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami i szkicował szczegółowy schemat tego, co zapamiętał z rezydencji Finstera. Miał dobrą pamięć, wyćwiczoną w czasie poprzednich skoków, dzięki stosowanej przez niego technice jednorazowych zwiadów.

-Sądziłeś, że nie przyjdę, prawda? - powiedział to cicho, bardziej do siebie niż do Simona.

-Wiedziałem, że przyjdiesz - odpowiedział, po czym wrócił do swojej lektury.

-No, przyznaj się. Nie byłeś pewien. - Michael nie lubił, kiedy go zbywano.

-A właśnie że byłem - odparł Simon, z głową nadal opuszczoną nad książką.

-Sam nie byłem pewien, dopóki nie wszedłem na pokład samolotu.

-Było wiadomo, że pojedziesz, od kiedy dowiedziałeś się, w jakiej sytuacji postawiłeś swoją żonę. Taki masz charakter. Łatwo cię rozszyfrować.

-Nic o mnie nie wiesz.

Simon nawet na moment nie oderwał oczu od *Biblii*.

-Michael Edward St. Pierre, lat trzydzieści osiem. Sierota. Adoptowany w wieku dwóch lat przez Jane i Michaela St. Pierre, uczęszczał do szkoły parafialnej, był ministrantem. Niechęć do rzeczy przyziemnych sprawiała, że jako nastolatek miewał problemy. Złodziej: klejnoty i dzieła sztuki. Bardzo ryzykowne skoki. Kradł z potrzeby emocji, a nie dla pieniędzy. Przeżył trudne chwile: Sing - Sing. Żonaty od ośmiu lat. Żona: Mary, lat trzydzieści. Bardzo cię kocha, chora na...

-Dość. - Michael nie chciał już słuchać streszczenia swojego życia sprowadzonego do jednego akapitu; tekst świetnie nadawałby się na nekrolog. Faktycznie dorastał na przedmieściach, w Armonk, małym miasteczku odległym o godzinę jazdy od Manhattanu. Adoptyjni rodzice posłali go do Holy Father Catholic High School, gdzie ojciec Dan odprawiał codzienne lekcje jak msze. Michael był stosunkowo dobrym dzieckiem. Miał na sumieniu różne figle, sprawiał kłopoty, ale nic, co by wskazywało na to, jaka będzie jego przyszłość. Kilka razy został złapany na picu i paleniu i spędził miesiąc w swoim pokoju - co może było przedsmakiem więzienia - za wrzucenie petardy do domu pani Collete. Kiedy zapalił lont i wrzucił petardę przez zasłoniętą klapkę szczelinę na drzwiach wejściowych do jej domu, z trudem mógł powstrzymać chichot. Razem z przyjaciółmi błyskawicznie uciekli, ale zupełnie niepotrzebnie. Głucha, stara, kobieta kanonadę z karabinu maszynowego wzięłaby za trzaski i stuknięcia, więc nic nie usłyszała. Myślała, że śmieci i pył wzięły się stąd, że kot znowu podarł gazetę. Po prostu otworzyła drzwi i wyrzuciła wszystko na zewnątrz. I nie zostałby złapany, gdyby nie kolega: chwalipięta Stevie Tausigenti, który powiedział o tym Kenny'emu Case'owi, który powiedział z kolei o tym swojej dziewczynie Jen Gillicio, która wygadała wszystko swojej mamie. Ta z kolei zadzwoniła do pani St. Pierre. Michael przyjął swoje miesięczne uwięzienie jak

mężczyzna... przynajmniej przez kilka dni. Potem wracał ze szkoły do domu, łapał coś do zjedzenia, szedł do swojego pokoju i... wymykał się przez okno. Matka nie była zbyt przebiegła i cieszyła się, że tak grzecznie odsiadyuje swoją karę.

Niestety, to nie matka posłała go do Sing - Sing, a trafił tam nie za petardy. Nie trzeba też dodawać, że celi nie miała okna, przez które mógłby się wymknąć. Sing - Sing było więzieniem ukrytym na wzgórzach nad rzeką Hudson. Ciche, z dala od drogi, nigdy nie było szczególnie słynne, z wyjątkiem egzekucji, jaką tam wykonano na Ethel i Juliusie Rosenbergach. Te trzy i pół roku, jakie tam spędził, były dla Michaela najgorszą torturą. Nie pod względem fizycznym. Przeżywał to jako cierpienie emocjonalne, które zdawało się nie mieć końca. Życie z dala od Mary było dla niego piekłem. Aż do ubiegłego miesiąca najbardziej bał się tego, że mógłby wrócić do więzienia i zostać rozdzielony z żoną. Przysięga, jaką jej złożył, że już nigdy nie złamie prawa, w gruncie rzeczy była przysięgą, jaką złożył sobie samemu. Nie chciał już nigdy więcej znaleźć się w świecie, w którym jej nie było, być zamkniętym gdzieś, gdzie nie istniała. Nic nie mogło go skłonić do złamania przysięgi. Nic.

Ponieważ milczenie wydawało się najlepszym sposobem uniknięcia przyznania się do porażki, Michael ponownie zajął się szkicami. Na trzech kartkach uchwycił większość szczegółów rezydencji Finstera. Na pierwszej naszkicował otoczenie, rozstawienie strażników, okna, podjazdy i oświetlenie. Wnętrza na parterze nie sprawiły problemu. Poza holem i biblioteką pamiętał wszystkie pokoje wzdłuż korytarza prowadzącego do piwnicy. Gorzej było z odtworzeniem obrazu lochów, jak Michael je w myślach nazywał. Znaczną część drogi przeszli po ciemku lub przy słabym oświetleniu. Poza tym napięcie, jakie wtedy odczuwał, trochę go rozkojarzało. Nie był więc pewny, czy wyłapał wszystkie niezbędne szczegóły. Nie potrafił określić odległości do izby, w której były klucze. Mogło to być sto kroków, a mogło być i tysiąc.

Michael odwrócił głowę, opuścił oparcie fotela i podał skończone szkice Simonowi.

-Nie wiadomo, czy klucze tam jeszcze są. A jeżeli nosi je przy sobie?

-Daleś mu te klucze? To znaczy, dałeś mu je do ręki?

-Nie... położyłem je na cokole.

-A jak on zareagował? - Ton głosu Simona wskazywał, że zna odpowiedź na to pytanie.

-Był zachwycony... - Michael zastanawiał się przez chwilę, przypominając sobie, jak to wyglądało - ale... był też przestraszony. Bał się ich dotknąć...

-Nie może ich dotykać - przerwał mu Simon.

-Dlaczego?

- Został wyrzucony z Nieba, zabroniono mu kontaktów ze wszystkim, co jest święte: z kościołami, świętymi przedmiotami... jego władza jest bezsilna wobec dzieła Boga. Według słów samego Jezusa nie wolno mu świadomie wejść na świętą ziemię - „Na tej skale zbuduję mój Kościół, a bramy piekła nie mogą go zdominować”. - Simon zamilkł na dłuższą chwilę. - A te klucze są od Boga.

Michael nie odpowiedział. Pamiętał wyraz twarzy Finstera, kiedy ten po raz pierwszy zobaczył klucze.

-Więc są tutaj? - Simon analizował szkic, zwracając szczególną uwagę na podziemia.

-W tym miejscu ostatni raz je widziałem. - Michael przez chwilę zastanawiał się, a potem spojrzał na Simona.

-Kim ty jesteś, Simonie? Tak dużo o mnie wiesz...

-Moja historia jest śmiertelnie nudna.

-Mamy siedem godzin lotu; czy może być coś nudniejszego? Nadstawiam karku dla twoich kluczy. No, ponudź mnie trochę.

Obok przeszła stewardessa, blondynka, na oko metr siedemdziesiąt pięć, nogi do samej ziemi. O jej młodości świadczyło nie tylko sprężyste ciało, ale i twarz - mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Michael uśmiechnął się przelotnie, widząc, jak Simon obserwuje jej kołyszący się w rytm kroków tyłeczek.

-Pamiętasz, jak byłeś szesnastolatkiem i jedyne, czego pragnąłeś od życia, to było właśnie to. I nie zastanawiałeś się, czy mają choć odrobinę rozumu albo czy cię kochają? - Michael miał nadzieję, że sprowokuje Simona do jakiejś reakcji. Ale tamten milczał. - Nie powiesz chyba, że jak miałeś szesnaście lat, to zamknęli cię w jakimś klasztorze?

-Nie. Jak miałem szesnaście lat, zamknęli mnie w więzieniu. Za morderstwo.

Czerwona bila coraz wolniej toczyła się po zielonym suknie, aż zatrzymała się tuż przed narożną luzą. Stała tak na krawędzi dłuższą chwilę, po czym wpadła do skórzanej sieci. Elle stłumiła wybuch radości. Grała w bilard po raz pierwszy i pomyślała, że może naprawdę ma do tego talent.

-Mam niejasne wrażenie, że ktoś tu oszukuje - powiedział Finster, unosząc brew. - Jesteś pewna, że nigdy przedtem nie grałaś? - Otoczył ręką jej talię i przyciągnął do siebie.

-Przysięgam. To pewnie fart początkującego. - Elle zarumieniła się pod wpływem jego uwagi. Uśmiechnęła się, ukradła mu całuska i zaczęła składać się do kolejnego

uderzenia. Ułożyła smukłe ciało wzdłuż stołu, uderzyła i bile się rozsypały.

-Dobrze się bawisz? - spytał Finster, wieszając wieczorową marynarkę na oparciu krzesła.

-To absolutnie cudowny wieczór - zapewniła go. I faktycznie tak uważała.

Na obiad mieli kaczkę w pomarańczach ułożoną na dzikim ryżu i jarzynach gotowanych na parze, a pili do tego Triano Rosę rocznik 45 z prywatnej piwnicy Finstera. Deser - suflet czekoladowy i brandy - podano im w bibliotece. Żartowali sobie ze świata mody i tego, jak trzeba się sprzedawać, żeby osiągnąć w nim choćby namiastkę sukcesu. Charles był przez cały wieczór na każde ich skinienie. Wydawało się, że doskonale wyczuwa, w którym momencie należy uzupełnić kieliszki. A więc to tak wygląda życie ludzi z najwyższych sfer - myślała Elle.

Nie wiedziała, czy lekki szum w głowie był skutkiem wina, czy może oszołomienia czystą radością. Czuła, że coraz bardziej kocha Finstera. Jego oczy zniewalały jej serce, umysł i duszę.

-Lubisz sztukę, Elle? Wyprostowała się zdumiona.

-To jedna z moich największych pasji.

-Naprawdę?

-Przez dwa lata w Paryżu studiowałam pod kierunkiem Francois Delacroix. Mój świat to pastele i obrazy olejne. - Jej oczy błyszczały dumą. - To zresztą właśnie tam zaczęła się moja kariera modelki.

-Opowiedz mi o tym.

- Jeden z naszych modeli odszedł bez uprzedzenia i Francois nalegał, żebym pozwała dla jego grupy. Byłam okropnie zdenerwowana i onieśmielona, ale zrobiłam to. Jeden z rysunków wpadł w oko fotografowi no i... - Zamyśliła się na moment. - Cóż, nie ułożyło się tak, jak miałam nadzieję. - W jej głosie pojawiła się nutka żalu.

-Nadal malujesz?

-Nie mam już na to czasu... ani pieniędzy.

-Bardzo chciałbym zobaczyć twoje prace. Moglibyśmy zorganizować wystawę.

Elle roześmiała się.

- Już nie ma czego. Uwierz mi, nie pozostał nawet cień po moim talencie.

- Cóż, trzeba będzie to zmienić. Mam pracownię we wschodniej części posiadłości.

Być może chciałabyś się tam urządzić.

Nie wierzyła własnym uszom. Urządzić się w jego posiadłości - to znaczyło dla niej tylko jedno. Ta cudowna noc będzie trwała przez wiele dni, tygodni, a może nawet lat. Serce

biło jej jak szalone z zachwytu.

Oparł kije bilardowe o stół i ujął ją za ręce.

-Chciałabyś zobaczyć moją kolekcję? Pokazuję ją tylko tym, którzy naprawdę potrafią docenić, dostrzec piękno.

-Byłabym zaszczycona.

Finster wziął pięcioramienny świecznik i poprowadził Ellę przez rozległy hol. Otworzył masywne drzwi prowadzące do podziemi i bez zastanowienia ruszył naprzód, trzymając wysoko świecznik.

- Jak tu ciemno - odezwała się, mając nadzieję, że nie usłyszy drżenia w jej głosie.

- Trzymaj się blisko mnie.

Cienie tańczyły na ścianach wokół schodów, po czym niknęły w ciemności. Pięć świec oświetlało zaledwie ich najbliższe otoczenie. Kiedy doszli do końca tego, co Elle uważała za przejście, Finster poprowadził ją do prostej, drewnianej ławki. Odsunął na bok coś, jakby stare narzędzia i zabrał długą linę, którą przewiesił przez oparcie ławki.

- Siadaj, proszę. - Pokazał ręką na przygotowane miejsce.

Podał jej świecznik, po czym zniknął w ciemności. Elle z trudem trzymała ciężkie srebro, modląc się. Miała spocone dłonie, a serce biło jej mocno ze strachu.

Po krótkiej chwili Finster wrócił. Oparł osiem blejtramów o ławkę, po czym pochylił się i pocałował ją długo i mocno. Elle zatraciła się w pocałunku, wolną ręką przyciągnęła go do siebie. A potem otworzyła oczy i głęboko odetchnęła.

Patrzył na nią tym swoim zniewalającym, władczym wzrokiem... Było w nim coś jeszcze, ale zanim mogła to zrozumieć, zanim jej umysł oprzytomniał, Finster pocałował ją ponownie. Tym razem zaborczo i brutalnie. Odwzajemniła jego namiętność. Nagle, bez ostrzeżenia, Finster odsunął się, zostawiając ją oszołomioną, z trudem łapiącą powietrze. Drżała w oczekiwaniu na dalszy ciąg, a on w tym czasie ustawiał obrazy, dosłownie otaczając ją nimi.

- Chcę, żebyś uczciwie powiedziała, co o nich myślisz.

Uniosła świecznik i spojrzała. W pierwszej chwili pomyślała, że to miał być żart. A w każdym razie z pewnością była to jakaś pomyłka.

- Żartujesz ze mnie? - spytała, unosząc wyżej świecznik, szukając go wzrokiem, a potem odsuwając się w strachu. Otaczały ją przerażające dzieła, jakich nie byłaby w stanie sobie nawet wyobrazić: ludzie, uginający się pod ciężarem śmierci, zdeformowane twarze krzyczące z każdego pełnego wyrazu płótna. Obrazy były wszędzie wokół niej, nigdzie natomiast nie mogła dostrzec Finstera.

-August? - zawołała i nagle zdała sobie sprawę, że świece dopalają się, pierwsza właśnie gasła. Wydawało jej się, że torturowane dusze wyskakują z płócien wprost na nią. Ponura atmosfera tego miejsca rozbudziła uspione strachy z czasów dzieciństwa - ciemność, zamknięta przestrzeń, wylazące spod łóżka potwory.

-August? Proszę cię! - zaskomliła, wstając z ławki. Zrobiła ostrożnie krok przed siebie, unosząc wysoko dogasające świece i kierując się w stronę, w której, jak się jej wydawało, znajdowało się wyjście. Szła coraz szybciej. W pewnej chwili potknęła się i upadła. Śweczki spadły na podłogę i wszystkie poza jedną jedyną natychmiast zgasły. Złapała tę jedną jak największy skarb i rozpaczliwie zaczęła szukać pozostałych. Znalazła dwa ogarki, zapaliła je i wetknęła do świecznika.

Dlaczego Finster tak z nią postąpił? Drżącą ręką znowu uniosła świecznik wysoko, usiłując odzyskać orientację. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Obrazy były wszędzie, wszędzie tam, gdzie sięgało światło świec. Wszystkie pokazywały nienawiść trawiącą ludzkość, przerażenie, szok i okrucieństwo przekraczające granice wyobraźni. Kto mógł kolekcjonować takie potworne obrazy... i dlaczego?

Była sama ze swoim strachem. I wtedy uświadomiła sobie, co zobaczyła w hipnotyzujących oczach Finstera. Nagle zrozumiała, gdzie była i kim był Finster.

Było tego za dużo, jak na jej siły. Jej umysł tego nie wytrzymał.

ROZDZIAŁ 19

Simon wyglądał przez okno samolotu, a w głowie kłębiły mu się bolesne myśli. Jeśli miał pracować razem z Michaelem, wymagało to zaufania, wzajemnego otwarcia się przed sobą. Zaczął więc mówić cichym głosem i powoli, jak w konfesjonale.

- Moja matka była zakonnicą. Nigdy nie pragnęła niczego więcej, jedynie życia w pełni poświęconego Bogu. Nigdy nie marzyła o mężu czy założeniu rodziny. Będąc sierotą, nie poznała ciepła, jakie mogą dawać matka lub ojciec. Jedyną miłością, jaką kiedykolwiek odczuwała, było umiłowanie Boga. Krążyła po rzymskokatolickich sierocińcach bez uczucia i bez celu, zamknięta w sobie, po prostu kolejne dziecko pozostawione pod opieką stanu, aż w końcu trafiła do sierocińca imienia Świętego Krzysztofa. Prowadziła go kobieta, która o oddane jej pod opiekę dzieci dbała jak o własne, pomagając im znaleźć cel w życiu. Kiedy moja mama dorosła, spędzała większość czasu, opiekując się chorymi. Robiła to z uśmiechem na ustach i delikatnie. Nocami czytała wszystkie książki, jakie tylko mogła zdobyć, zwłaszcza te dotyczące Boga. Wspaniale rozumiała Jego nauki, zupełnie jakby *Pismo Święte* napisano bezpośrednio dla niej. Im więcej czytała, tym lepiej wiedziała, dokąd musi prowadzić jej życie; jej serce w końcu znalazło swoją miłość. W dniu, kiedy skończyła szesnaście lat, wstąpiła do zakonu. Była zakochana, a wybrańcem jej serca był Kościół...

Aż do czasu, kiedy cztery lata później spotkała mojego ojca, ateistę. Był księgowym i jedyne, w co wierzył, to były liczby. Był to szybki romans, a przynajmniej tak mówili. Pobrali się po sześciu miesiącach. Mama nawet po opuszczeniu zakonu pracowała w Watykanie. Była łącznikiem archiwum z samym papieżem. Odpowiadała za historię Kościoła: to ona przechowywała jego sekrety. Mieszkaliśmy więc w Watykanie, prowadząc wygodne, nudne życie. Miałem dla siebie cały kraj - ja i ośmiuset innych. Było to całkiem normalne dzieciństwo - miałem przyjaciół, grałem w piłkę nożną. - Simon wyjrzał za okno, jakby wspomnienia przyplływały do niego zza horyzontu. Zablokował wszelkie pozostałe emocje i kontynuował.

- Pewnego dnia, kiedy miałem piętnaście lat, matka nie wróciła z pracy do domu. - Na moment przerwał. - Uznałem, że pracuje do późna. Minał jednak następny dzień. Ojciec nie mówił ani słowa na temat jej nieobecności, jakby strach przed jej utratą zasznurował mu usta. Gwardia Szwajcarska na osobiste polecenie papieża szukała jej nie tylko w Watykanie, ale - przy pomocy rzymskiej policji - w całym Rzymie. W końcu ją znaleźli... - Simon zamknął oczy. Nie mówił o tym od wielu lat. Musiał stłumić ból, musiał zdystansować się, patrzeć na

to tak, jakby przydarzyło się komuś innemu.

- W szpitalu nie pozwolono mi się z nią zobaczyć.

W końcu po miesiącu wróciła do domu. Siedziała w salonie, kiedy przyszedłem po meczu piłki nożnej. Był też papież.

Rozmawiali ze sobą cicho po łacinie. Miałem wrażenie, że jego obecność niosła jej pocieszenie, przynajmniej chwilowe.

Twarz, czy te jej części, które miała nie zabandażowane, były koszmarne pokaleczone i choć rany prawie się zgoiły, nadal były żółte, opuchnięte i zniekształcały jej rysy. Kiedy tylko pomyślę o mojej mamie, natychmiast widzę ją taką, jak wyglądała właśnie wtedy. Przez cały czas mówiła o wybaczeniu. Ze musimy wybaczyć człowiekowi, który to zrobił, że jeśli mamy to przetrwać, pozostać czymś więcej niż tylko zwierzętami. Nikt nie chciał mi powiedzieć, co się stało. Z ojcem nie miałem żadnego kontaktu. Rzadko się odzywał. Rzadko bywał w domu, a nawet kiedy był, nie przebywał w tym samym pokoju co matka. A matka uciekła w świat fantazji. Zaczęła ubierać się w długi, czarny habit, który nosiła, będąc zakonnicą; zakładała nawet kornet. Kiedy pojawiałem się w jej pobliżu, zawsze miała na ustach uśmiech, jak namalowany. Rodzice stali się zimni i odsunęli się od siebie i ode mnie. Starałem się ich pocieszyć, ale oni schowali się w bezpiecznym świecie swoich iluzji. - Simon na chwilę przerwał. - Nigdy więcej żadne z nich już mnie nie przytuliło.

Otworzył kolejną butelkę bourbona serwowanego przez linię lotniczą, wlał do szklaneczki i wypił.

- Pewnego dnia, mniej więcej pół roku po jej powrocie, wróciłem ze szkoły wcześniej niż zazwyczaj. Myślę, że matka nie usłyszała, kiedy wchodziłem. Wyszła z łazienki owinięta tylko w ręcznik i kiedy zobaczyła mnie... Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu. Wtedy zrozumiałem, dlaczego zakrywała swoje ciało, dlaczego nosiła strój zakonny. Chciała w ten sposób oszczędzić mnie, moje serce. Jej tułów i nogi pokryte były bliznami, jej skóra stała się gobelinem obrazującym zło. Matka pobiegła zawstydzona do swojego pokoju, zamknęła się i pomimo moich gorących prośb nie chciała wyjść. Wybiegłem z domu i odszukałem ojca - był w pubie. Wrzeszczałem na niego, aż w końcu powiedział mi prawdę. Po twarzy płynęły mu łzy, kiedy opisywał, jak coś się zmieniło i z głębi wydostało się zło. To on w pijanym widzie - człowiek, którego moja mama kiedyś kochała - skrzywdził ją w sposób, jakiego nie można sobie nawet wyobrazić. Pamiętam dziwne uczucie obojętności jakie mnie wtedy ogarnęło: miałem wrażenie, jakbym patrzył na obcego człowieka. Słuchałem słów, ale ich znaczenie dotarło do mnie dopiero znacznie później. Jak można było być tak bezwzględny, tak ohydny. Ta rzecz - to zwierzę - miało na twarzy maskę... Matka nigdy nie zobaczyła jego

twarży, ale i tak go rozpoznała. Potem nie chciała wymawiać jego imienia, mówiąc, że musiało to być częścią Bożego planu i upierając się, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć jego zamierzeń. Policja stwierdziła, że ten potwór zniknął. Po wyjawieniu mi tego, ojciec nigdy już nie wrócił do domu.

Michael chciał przerwać te tortury. Mówienie o tym najwyraźniej było dla Simona zabójcze, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, gardło ścisnęło mu współczucie.

- Przez następne cztery miesiące usiłowałem wytropić tego sukinsyna, który zniszczył moją matkę. Znalazłem go wreszcie w jego norze w Rzymie. Związałem i torturowałem, dopóki mi nie powiedział, dlaczego to zrobił. Chciał znać sekrety Kościoła. Tak mi powiedział. Odkrył niedawno swojego boga i chciał mu poświęcić życie tak jak matka poświęcała życie swojemu. Powiedział, że musiał znać sekrety, dzięki którym jego bóg stałby się wielki.

Kiedy matka nie chciała odpowiadać na jego pytania, gwałcił ją. Kiedy odmawiała rozmowy, ciął ją nożem, wycinał odwrócone krzyże, ale i tak nie wydusił z niej ani słowa. Wtedy zaczął ją przypalać, wypalać na całym jej ciele liczbę symbolizującą jego boga: sześćset sześćdziesiąt sześć.

Michael był w stanie głębokiego szoku; stykał się w swoim życiu z potwornościami, ale zawsze było to gdzieś daleko od niego... A teraz... Po raz pierwszy widział, jaki wpływ takie przeżycia miały na osoby najbliższe ofierze, na które nikt nie zwracał uwagi.

- Nie powstrzymał mnie fakt, że ten potwór niegdyś nosił mnie na rękach. Nie był już moim ojcem, człowiekiem, który mnie wychowywał, jedynym mężczyzną, którego moja matka kiedykolwiek kochała. Owładnęły nim rzeczy, których nie rozumiałem i nie chciałem zrozumieć. Wiedziałem tylko, co zrobił mojej matce, kobiecie, którą nazywał swoją żoną. Aresztowano mnie za zamordowanie go. Miałem tylko szesnaście lat, sędzia ulitował się nade mną, mówiąc, że zrobiłem to w stanie chwilowej niepoczytalności. Ale to nie było prawdą. - Po raz pierwszy tego wieczoru Simon spojrzał Michaelowi prosto w oczy. - Doskonale wiedziałem, co robiłem. Wyszedłem z więzienia jako dziewiętnastolatek. Ojciec nie żył, a mama... Mama przedłożyła kiedyś rodzinę nad Boga i spotkała ją za to kara. Kiedy poszedłem do więzienia, jej umysł nie wytrzymał. Pragnęła jedynie uciec z tego świata, odnaleźć spokój w Niebie. Powiesiła się tuż przed moim wyjściem na wolność. Wiesz, że popełnienie samobójstwa jest niewybaczalnym grzechem? Kościół odmawia pochówku. Moja matka została więc pogrzebana w grobie dla nędzarzy, bez błogosławieństwa Kościoła. Po tym, jak poświęciła swoje życie Kościołowi, Kościół odmówił jej wieczystego spokoju ducha. Nie miałem więc już nic. Nie miałem gdzie iść, nie miałem rodziny. Poszedłem zabrać rzeczy z

miejsca, które niegdyś nazywałem swoim domem...

- W Watykanie... - wtrącił Michael.

- Księża ulitowali się nade mną - kontynuował Simon, ignorując słowa Michaela. - Zapropowali, żebym został z nimi, abym szukał pocieszenia w Bogu. Ale ja szukałem pocieszenia gdzie indziej. Wstąpiłem do włoskiego wojska, przeszedłem specjalne szkolenie. Oficerowie uznali, że mam zdolności, które warto doskonalić. Podróżowałem trochę w imię pokoju, ale to, co robiłem, nie miało z pokojem nic wspólnego. Każde morderstwo, jakiego dokonywałem, było jak oczyszczanie mojego umysłu, mojej duszy. Za każdym razem, kiedy pociągałem za spust lub wbijałem nóż, widziałem twarz mojego ojca, a nie prawdziwej ofiary. Mój oficer dowodzący mówił, że zabijałem w obronie mojego kraju, ale mylił się. Robiłem to, aby uchronić siebie przed obłędem. Po dwóch latach czułem się ciągle tak samo; zabijanie nie pomagało wyzwolić się z nieustannie nawiedzającego mnie koszmaru, jakim był obraz pokrytego bliznami ciała mojej matki oraz mój umysł. Poprosiłem o zwolnienie i odszedłem ze służby.

Zapadła cisza, którą zakłócało tylko buczenie silników odrzutowca. Michael siedział znieruchomieły.

- Wróciłem do mieszkania w Watykanie. Odszukało mnie kilku księży, z którymi matka była zaprzyjaźniona i pytali, czy mogą mi jakoś pomóc. Doskonale wiedzieli, co robiłem w swoim życiu - nie tylko z ojcem, ale i potem, w wojsku. Czuli się odpowiedzialni za mnie, zwłaszcza w świetle tego, że Kościół skazał moją matkę na spoczynek w nie poświęconej ziemi. Wybaczyli mi moje grzechy i często mnie odwiedzali. Stali się jedynymi moimi przyjaciółmi. Dali mi pracę i dom oraz coś, co przypominało rodzinę. Byli to ludzie, którzy przez wiele lat pracowali z moją matką i stanowili część małej grupy urzędników podlegających bezpośrednio papieżowi. Choć nie mówi się o tym głośno, liczba przestępstw i wykroczeń przeciwko Kościołowi nieustannie rośnie. Przestępstwa te wynikają najczęściej z chciwości i nienawiści, ale są i takie, które mają zniszczyć katolicyzm. Ci właśnie księża zaproponowali mi coś, co - jak mnie ostrzegli - wymagało dożywotniego oddania. Powiedzieli, że chodzi o wybór drogi, z jakiej nie będzie już odwrotu, ale też takiej, do której jestem wyjątkowo dobrze wyszkolony. Zgodziłem się podjąć to zobowiązanie pod jednym warunkiem: specjalnej dyspensy dla mojej matki... I została odpowiednio pochowana. W Kościele. Odbyła się prywatna msza celebrowana przez samego papieża.

Simon zwrócił się w stronę Michaela. Już nie był głęboko zamyślony, nie wspominał pełnego udręki życia. Patrzył na świat, na Michaela. Choć obnażając się, pokazał, że jest wrażliwy i współczujący, teraz był znowu taki, jakiego Michael widział podczas ich

pierwszego spotkania w mieszkaniu: bystry, zdeterminowany i twardy.

- Otrzymałem zezwolenie na robienie wszystkiego, co może być niezbędne do wypełnienia moich obowiązków, czyli chronienia Kościoła. Zostałem strażnikiem sekretów, Michaelu. Strażnikiem tego wszystkiego, o czym z pewnością nie chciałbyś wiedzieć.

Samolot przecinał nocne niebo, jego czarny cień przesuwiał się po falach zalanego blaskiem księżyca atramentowego oceanu. Wkrótce miał nadejść świt. W słabo oświetlonej kabinie burczenie silników brzmiało jak syreni śpiew. Simon spał, zapewne wyczerpany wspomnieniami, Michael natomiast nie mógł zasnąć - siedział rozbudzony, bał się, że mogłyby mu się przyśnić koszmary Simona. Czy można być zdrowym psychicznie po tak strasznym dzieciństwie? Ale przynajmniej teraz lepiej rozumiał człowieka śpiącego na fotelu obok. Jego wcześniejsze odczucie, że Simon potrafiłby zabić, potwierdziło się. Osobną kwestią było to, czy Simon jest zrównoważony. Michael już wcześniej zastanawiał się nad tym, na ile żyje on w realnym świecie, a teraz - znając jego historię, wiedząc, co zrobił i pamiętając o braku stabilności psychicznej jego rodziców - przyjął za bardzo prawdopodobne, że jego sąsiad jest po prostu obłąkany.

Michael patrzył na czarny ocean, głęboki i tajemniczy, rozmyślając o groźbach kryjących się pod jego piękną, lśniąca powierzchnią. Skojarzyło mu się to z Finsterem. Sięgnął do schowka nad głową, szukając koca, a kiedy nie znalazł, postanowił okryć się swoją marynarką. Ciągle jeszcze delikatnie pachniała perfumami Mary. Uśmiechnął się na myśl o niej i w tej samej chwili wyczuł coś w kieszeni. Koperta, a w niej list.

Najdroższy Michaelu,

Przez lata chronił mnie i osłaniał przed niebezpieczeństwem. Wiem, że czasami wydawało ci się to głupie, a czasami, kiedy się kochaliśmy - wręcz drażniło. Ale teraz proszę cię, żebyś miał go przy sobie przez cały czas. Przeprowadził mnie przez wiele trudnych dni. Proszę cię, żebyś go nosił, żeby pomógł ci wrócić do domu i do mnie. Nos” go nie jako dowód twojej wiary, ale jako przypomnienie o mojej niezachwianej wierze w ciebie.

Kocham cię z całego serca - M.

Mary zapewne wsunęła mu to do kieszeni, kiedy wyszedł na chwilę, żeby zatelefonować i przynieść jej trochę schłodzonej wody. Nawet podczas choroby znalazła w sobie dość siły, żeby nadal robić to, za co tak bardzo ją kochał.

Wytrząsnął zawartość koperty, a kiedy patrzył na swoją dłoń, poczuł, jak wzbierają w nim wszystkie emocje, cały ból ostatniego miesiąca. Po policzkach pociekły mu łzy. Smutek przyniósł mu ciche ukojenie - coś, na co aż do tej chwili nie pozwalał sobie - budząc nadzieję, że pomoże mu to oczyścić umysł przed tym, co go jeszcze czekało.

Po jakimś czasie - nie ze strachu, jakim zaraził go tej nocy Simon, ani nie pod wpływem na nowo odczuwanego oddania Bogu i religii, ale jako wyraz wiary w Mary - założył złoty łańcuszek z krzyżykiem na szyję. Przypomnienie złożonej żonie obietnicy, że do niej wróci. Złapał krzyżyk palcami, tak jak to wielokrotnie robiła Mary, a potem - w pełni świadomy ironii sytuacji - puścił, pozwalając, aby zimny metal zsunął się po jego klatce piersiowej. Nie zadając żadnych pytań, Mary w jakiś sposób odgadła, co go czekało. Razem z krzyżykiem przekazała mu swoją wiarę w niego, ani jednym słowem nie wyraziła protestu czy gniewu, że znowu ją opuszcza. Dała mu tylko jedno proste zdanie, które wesprze go we wszystkim, co musi zrobić: że zawsze w niego wierzy. Dla niej właśnie przemierzał teraz świat, aby wkroczyć do czegoś, o czym mógł myśleć jedynie jako o wyobrażeniu Piekła.

ROZDZIAŁ 20

Boeing 747 hamował na pasie, rozcinając gęstą poranną mgłę, spowijającą lotnisko Tegel w Berlinie. Promienie słoneczne odbijały się w kroplach rosy na trawie otaczającej pas startowy. Słońce wstało, budząc kolejny dzień. Była to noc, podczas której uczucia, dawno zagrzebane w głębi duszy, wydostały się na powierzchnię, przypominając Simonowi, kim był i kim się stał. I choć niecierpliwie wypatrywał świtu, wschód słońca nie przyniósł tym razem wrażenia oczyszczenia, jakie dawał zazwyczaj. A właśnie dziś Simon liczył na to bardziej niż kiedykolwiek. Wiedział, że wkrótce znowu dopadną go koszmary. A wówczas będą przychodzić także za dnia.

Bez najmniejszego problemu przeszli przez odprawę celną. Ku zdumieniu Michaela, okazało się, że Simon dobrze zna niemiecki, dzięki czemu mógł wyjaśnić, że przyjechali tu z wizytą biznesowo - turystyczną i nie mają nic do oclenia. Poprosił też, żeby ich szybko przepuszczono, ponieważ spieszyli się na umówione spotkanie.

Michaelowi udało się w końcu przespaać kilka godzin w samolocie. Nie był to sen, po którym obudził się wypoczęty, ale przynajmniej uwolnił się od myśli o Simonie. Współczuł mu, ale jednocześnie się go bał. Utrata w tak przerażających okolicznościach matki z pewnością wywarłaby druzgocący wpływ na każde dziecko, zwłaszcza jeśli sprawcą zbrodni był ojciec, Simona jednak w pełni ukształtowała. A choć krył się pod osłoną Kościoła, z pewnością był jeszcze dalej od zbawienia niż Michael. Tajemnica, jaką ostatecznie się stał, zdumiała Michaela. Wiedział, że Kościół był jak każda inna władza. Religia mająca ponad miliard wyznawców dysponuje niezwykłą potęgą, którą stara się chronić za wszelką cenę i wszelkimi środkami. Takim właśnie środkiem stał się dla Kościoła Simon. Aby go chronić, łamał wszelkie przykazania.

- Spotkamy się w hotelu - oświadczył Simon, podając Michaelowi kopertę i wsiadając do taksówki, którą zatrzymał na całkiem pustym parkingu przed terminalem lotniska. - Muszę odebrać pewne materiały.

- Nie spóźnij się - ostrzegł go Michael.

Simon bez słowa wsiadł do taksówki, która natychmiast ruszyła. Materiały, pomyślał Michael. Bóg wie, co to znaczy. Z pewnością nie chodzi o książeczki do nabożeństwa. Przerzucił torbę przez ramię i ruszył lekkim biegiem w stronę Lehrter Strasse. Czuł się zmęczony po podróży, ciało zeszywniało mu od siedzenia w bezruchu przez wiele godzin. Mógł rozprostować trochę kości.

Ruch uliczny był niewielki, natychmiast więc dostrzegł limuzynę jadącą w odległości około stu metrów w jego kierunku. Ale nie wzbudziła jego podejrzeń. Biegł dalej po Wastin Hagen Platz. Limuzyna - czarny wydłużony mercedes - zbliżała się. Michael pobiegł Silberstrasse, ulicą licznych sklepów. Zapewne reagował zbyt emocjonalnie. To na pewno z powodu niewyspania i stresu. Po prostu dawała o sobie znać obsesja.

Limuzyna skręciła w tę samą ulicę. Zbieg okoliczności. Po prostu. Michael udawał, że ignoruje samochód. Zwolnił do kroku spacerowego i zaczął oglądać wystawy sklepów. Wszystkie były jeszcze zamknięte, ale sprzedawcy kręcili się już w środku, szykując się do pracowitego dnia. Michael zauważył ciemne odbicie limuzyny w szybie sklepu mięsnego; okno pasażera na tylnym siedzeniu opuszczało się. Wysilił wzrok, żeby zobaczyć zarys twarzy siedzącego w środku człowieka. Przyspieszył.

Limuzyna też przyspieszyła. To nie był zbieg okoliczności.

Zerwał się do biegu.

Samochód ruszył w pogoń, aż spod tylnych kół wyprysnął żwir, a z opon poszedł dym. W szybkim tempie zbliżał się, ślizgiem wchodząc w zakręt. Michael pędził ile sił w nogach. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie, wszystkie tabliczki drogowe były po niemiecku. Czarny samochód zbliżał się nieuchronnie. Michael był pewny, że ludzie w samochodzie zamierzali go przejechać. W uszach narastał mu dźwięk silnika. Wydało mu się, że usłyszał gdzieś w oddali krzyk. Potrzebny był mu plan, i to natychmiast. Od śmierci dzieliły go zaledwie sekundy. Czarne auto było tuż tuż za jego plecami. I wtedy nasunęło mu się pytanie: jeśli umrze, to co stanie się z Mary?

Skręcił w prawo i znalazł się w zaśmieconym i ciemnym zaułku. Zbyt wąskim dla limuzyny. Usłyszał pisk opon. Nie obejrzał się nawet. Sekundy później usłyszał dźwięk wyginanego, gnieczonego metalu, odbijający się echem w wąskiej ulicy. Wskoczył na pojemnik na śmieci, z którego uciekły dwa wystraszone koty. Przeskakując przez płot, odważył się spojrzeć za siebie. Limuzyna zniknęła.

Spadł na kępkę dzikich kwiatów na skraju czegoś, co wyglądało jak duży park miejski. Dalej było jezioro, po lewej bujna łąka, a w oddali - plac zabaw. I ludzie. Tłum ludzi, którzy wstali o świcie, żeby pobiegać przed pracą, wyjść na spacer z dzieckiem czy z ukochanym. Ludzie zajęci swoimi codziennymi sprawami. Było to miejsce, w którym Michael mógł się wtopić. Miejsce, w którym mógł zgubić swoich prześladowców.

Dobiegł nad staw i skrył się pod wielką wierzbą płaczącą. Był to doskonały punkt obserwacyjny. Dwie drogi prowadziły do miasta, wysokie bramy z kutego żelaza, zawieszane na słupach z białego, polerowanego marmuru, stały otworem, a sam park był otoczony

sześciometrowym murem. Michael zastanawiał się, czy ten potężny mur i ogromne bramy miały w swym założeniu zachęcać ludzi do wchodzenia do środka, czy odgrodzić park od nich. Nie mógł się uwolnić od myśli, że gdyby bramy zamknięto, park stałby się groteskowym rezerwatem przyrody, a cały świat mógłby oglądać uwieczonych w nim ludzi.

Wyrównując oddech, przebiegł w myślach minione dwie minuty. Limuzyna mercedes na niemieckich tablicach. Więc namierzyli go na lotnisku. Znali godzinę jego przylotu. Czekali, aż Simon się oddali, i dopiero wtedy zaczęli go ścigać. Kiedy szyba w oknie samochodu opuściła się przez moment mignęła twarz pasażera. Był to starszy mężczyzna. Nie mógł wprawdzie dostrzec jego rysów, ale nie miał wątpliwości. Był to Finster.

Była minuta po dziesiątej i Anna Rechtschaffen mogła już zamknąć do końca dnia, a może nawet i tygodnia. Dziesięć minut temu wysoki, śniady, przystojny jak bohater z jej najnowszej powieści mężczyzna wszedł do sklepu i Anna gotowa była przysiąc, że gdyby nie miała siedemdziesięciu siedmiu lat, rzuciłaby się na niego całym swoim blisko stukilowym ciałem, żeby pofiglować z nim na sianie. Nie zdarzyło się jej, żeby miała sprzedaż za sześć tysięcy marek od czasu wizyty papieża w 1986 roku.

Mężczyzna nie powiedział dlaczego, oświadczył tylko, że zabiera wszystkie, całą partię. Złote, srebrne, antyczne i drewniane, nawet te tanie, plastikowe, które kupiła dwa lata temu od małego Hiszpana i których nikt nie brał. Nieważne, do powieszenia na ścianie czy szyi. Wykupił wszystkie, jakie miała w sklepie. Nie zapytała, dlaczego to robi, a on niczego nie wyjaśniał. W ogóle niewiele mówił, w każdym razie nic, co warto byłoby zapamiętać, z wyjątkiem ostatniego pytania. Zadał je już po zapłaceniu gotówką, jak już podziękował. Zapytał, czy Freudenschaft była przy następnym skrzyżowaniu, czy przy dopiero drugim. Próbowała ustalić, czego szuka, a wtedy uśmiechnął się i odparł, że sklepu Stingline'a. Wskazała mu drogę i pomogła ładować pudełka do samochodu. Kiedy odjechał, nie mogła przestać się zastanawiać na tym, czego może chcieć człowiek, który wykupił u niej wszystkie święte krzyże, od sklepu z bronią.

Wyglądali jak dwaj przyjaciele, którzy po prostu wybrali się pobiegać w parku. Zbliżyli się od bramy południowej. Ale obudzili w Michaelu jakieś podejrzenia, a on dawno temu nauczył się wierzyć w swój instynkt. Obaj byli wysocy, na pewno ponad metr osiemdziesiąt każdy. Obaj byli w dresach i biegli w sposób świadczący o dobrej kondycji, jak profesjonaliści, z precyzją wojskowych. Zbliżyli się do Michaela ścieżką przeznaczoną do joggingu, nawet na moment nie spuszczać go z oczu, równym tempem. Był pewny, że potrafiliby obieć świat dookoła, nie tracąc oddechu. Byli w odległości około czterystu metrów; do bramy przed sobą miał mniej więcej połowę tej odległości.

Ruszył biegiem w stronę bramy. Wbrew rozsądkowi obejrzał się za siebie. Mężczyźni przyspieszyli, biegnąc teraz sprintem, a ich nogi pracowały rytmicznie. I skubańcy nawet nie oddychali ciężko.

Był zaledwie piętnaście metrów od wolności, kiedy na ulicy pojawiła się czarna limuzyna. Miała zniszczoną kratkę na masce, ale to wyraźnie nie wpływało na jej sprawność. Silnik burczał jak lew gotowy do skoku.

Michael wybiegł za bramę. W limuzynie zaczęła się opuszczać szyba, ale tym razem nawet nie próbował zajrzeć do środka. Biegł wzdłuż dużego centrum sklepowego, pustego, otoczonego po obu stronach lśnięciami, przeszklonymi wieżowcami biurowców. W wyschniętych ustach czuł smak żółci. Miał wrażenie, że za moment pękną mu płuca.

Chwilę po nim z bramy parku wybiegli tamci dwaj w dresach. Goniąc go, wymachiwali rękami. I to było dobre, wiedział bowiem, że nie wyciągnęli broni - przynajmniej jeszcze. Michael wyobraził sobie, że miała to być cicha akcja: wsadzą go do limuzyny, rzucają na podłogę i zabiją bez świadków.

Limuzyna pędziła uliczką dla służb miejskich i samochodów dostawczych, a panowie w dresach towarzyszyli jej. Michael wybiegł z centrum sklepowego i wbiegł pomiędzy dwa pasma samochodów tłoczących się w porannym szczycie. Hamowały z piskiem. Przebiegł na pobocze, a w głowie dudniło mu nieustannie jedno słowo, niczym mantra zsynchronizowana z jego głośno bijącym sercem: proszę, proszę, proszę.

Dwóm w dresach ruch uliczny nie przeszkadzał. Pędzili wzdłuż drogi, zaledwie dziesięć metrów za Michaelem. Przeskakiwali przez samochody i barierki na ich drodze, jakby to były zaledwie wyboje na polu. Zasapany i bez tchu, Michael rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjścia, schronienia. I znalazł. Uruchamiając rezerwę energii, skręcił w lewo... słyszał już ich oddechy za plecami. Nie oddechy - sapanie, takie jak jego.

Jego prześladowcy zbliżali się. Cały czas czekał na uderzenie, ale cios nie nastąpił. Mobilizując resztki sił, Michael przeskoczył dwumetrowy kamienny mur. Goniący go rzucili się naprzód, usiłując złapać go za stopy, ale chybili dosłownie o centymetry.

Limuzyna zahamowała z piskiem opon i stała nieruchomo. Mężczyźni w dresach nie starali się nawet pokonać muru, choć mogli to zrobić bez najmniejszego trudu. Ich twarze pozostały zimne i pozbawione uczuć, ręce opadły bezradnie. Bez słowa przyglądali się, jak Michael wbiega do kościoła.

ROZDZIAŁ 21

Przez otwarte okno do pokoju wpadało poranne słońce, rozlewało się po śnieżnobiałej pościeli, łądując na opuszczonych powiekach Buscha. Nie spał już, ale zawsze lubił poczekać, aż jego zmysły rozbudzą się zupełnie, zanim podniesie się z łóżka. Zapach świeżego morskiego powietrza zawsze poprawiał mu krążenie równie skutecznie jak kieliszek tequili. Zaprojektował i przebudował dom tak, aby w pełni wykorzystać jego położenie nad brzegiem morza. Łóżko ustawione było w stronę okna wychodzącego na wschód, kiedy więc otworzył oczy, widział ocean. Od dziecka kochał morze. Jego ojciec był rybakim ze Starego Świata, pływał przez wielką południową zatokę Long Island Sound, wypuszczając się na otwarty ocean i trałując wzdłuż szelfu atlantyckiego w poszukiwaniu sezonowych ryb. Kiedy Paul był wystarczająco duży, pełnił funkcję mata, marynarza, pomocnika - robił wszystko, czego ojciec oczekiwał. W młodości fascynował go nie tyle ocean, co właśnie ojciec. Hank Busch był potężnym mężczyzną. Miał mocne ręce i grubą skórę, gęstwinę jasnych długich włosów i brodę. Paul nie potrafił określić, gdzie kończyły się włosy, a zaczynała broda, która zawsze była poczochrana przez wiatr i splątana. Kochał swojego tatę, takiego prostego i nieskomplikowanego, ale bał się tych tygodni, kiedy ojciec był na morzu. Dwunastoletnie dzieci nie powinny mieć takich odczuć. Paul znał zagrożenia, jakie wiązały się z morzem, wiedział, że nie da się go opanować i podporządkować i że czasami pochłaniało statek tylko po to, by przypomnieć tym, którzy pływają, że są zdani na jego łaskę. Za każdym razem, kiedy tata wracał, Paul przytulał się do niego i nie chciał puścić, upojony ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa.

Ojciec nauczył go wszystkich sztuczek i umiejętności potrzebnych przy łowieniu ryb, licząc, że pewnego dnia przekaze synowi swoją łódź. Paul nigdy nie potrafił się zdobyć na powiedzenie mu, że łowienie go nie obchodzi - wiedział, że to by złamało ojcu serce. Zresztą, jeśli ceną za przebywanie z ojcem musiało być zajmowanie się śmierdzącymi rybami i pijanymi marynarzami, to niech będzie i tak. Wymiotowanie za burtę, kiedy ojciec nie widział, też było do zniesienia. Przynajmniej byli razem.

Był koniec kwietnia. W powietrzu ciągle jeszcze czuło się chłód zimy, który zawsze dłużej utrzymywał się na morzu. Wyłynęli na cztery dni. Na pokładzie było ich pięciu: Paul i jego ojciec, Sean Reardon, dwudziestoletni pomocnik, chłopak z jajami, Johnny G, potężny Jamajczyk, większy nawet od jego ojca, facet o głębokim, dudniącym głosie. Przez długie lata znajomości Paul nigdy się nie dowiedział, jak Johnny G miał na nazwisko. I Rico Libertore,

który sam nazywał siebie małym mafioso, miał bowiem wszystkiego metr sześćdziesiąt wzrostu, jeśli liczyć też dwa i pół centymetra sterczących włosów. Rico był ostry w gębie, ale jeszcze lepszy w walce. Nie zdarzyło się, żeby ktokolwiek zakpił z niego i nie zapłacił za to półkwartą krwi. Wypłynęli z Long Island Sound, opływając Block Island i kierując się ku szelfowi środkowoatlantyckiemu. Płynęli po dorsza. Była to pierwsza nocna wachta dwunastoletniego Paula i jego chrzest bojowy. Po tej wyprawie miał zostać uznany za mężczyznę.

Zarzucili sieci i usiedli do kolacji: fasola i frankfurtery - łatwe do ugotowania i smaczne. Popijali Pabst Blue Ribbons, poza Paulem, który pił coca - colę. Mężczyźni traktowali chłopca jak równego, opowiadali sprośne kawały i kleli tak barwnie, że niejednen strażnik więzienny poczułby się zażenowany. O dziewiątej zgasili światło; mieli wstać o czwartej rano. Temperatura spadła i było naprawdę lodowato, przenikliwie cztery stopnie Celsjusza. Na morzu zimno przenika przez skórę, mrozi kości, jest nie do zwalczenia nawet pod kilkoma kocami. Paul nie mógł się rozgrzać na swoim pościeliu. Mężczyźni chrapali niewiarygodnie głośno. Żaden się nie poruszył, kiedy chłopak wygrzebał się spod koców; odsypiali co najmniej sześciopak piwa. Paul wiedział, jak uruchomić grzejnik - tak jak w domu: zassać paliwo, zapalić, zamknąć drzwi i zrobi się ciepło. Mniej więcej rok wcześniej ojciec zapowiedział, że ma tego nie dotykać, ale przecież był wtedy jeszcze dzieckiem Teraz był już mężczyzną. Najwyraźniej to jego zadanie, skoro wszyscy pozostali śpią. Pompował z dziesięć razy, a potem zapalił zapałkę. I nic. Zaczął pompować ponownie. Zapalił drugą zapałkę, a w tym samym momencie przez kabinę przeleciała bryza i zdmuchnęła zapałkę, zanim zbliżył płomień do drzwiczek piecyka. Przycisnął pompkę dwadzieścia razy. Nareszcie... do trzech razy sztuka. Zapalił zapałkę i osłonił płomyk dłonią. Tym razem nie pozwolił jej zgasnąć. Wetknął ją do środka.

Wybuchło. Kule ognia wyrzuciło na zewnątrz, płomienie objęły grzejnik i rozlały się po podłodze. Paul krzyknął w panice. Przerażliwie. Kabinę wypełniał pomarańczowy blask. Zrobiło się gorąco. Rico zerwał się z pościeli i ruszył pędem w jego stronę, łapiąc po drodze gaśnicę. Rozpaczliwie próbował skierować jej wylot na grzejnik, ale gaśnica nie działała. Ogień biegł po podłodze i lizał już nogę Rica.

Paul upadł plecami na ścianę. Słyszał krzyk. Rozejrzył się, nie zdając sobie sprawy z tego, że to on krzyczy. Płomienie otoczyły go jak sfora zwierząt, ciągle zmniejszając średnicę koła, gotowe zaatakować. Kątem oka zauważył Rico turlającego się po podłodze i starającego się ugasić ogień na nodze. Płomienie tańczyły na ścianach. Paul zamarł przerażony, ale nie miał gdzie uciec. Krzyczał. Tylko krzyczał.

Aż w końcu ktoś go podniósł i przerzucił przez drzwi na świeże, nocne powietrze. Ojciec wybiegł z kabiny z płonącym grzejnikiem i wrzucił go do morza. Paul widział, jak wpadał do wody, jak gasł, zanurzając się, jak rozgrzany do czerwoności tonął w czarnej głębinie. Przez okno kabiny widział Johnny'ego G zdeptującego płomienie. Ojciec wbiegł do kabiny, żeby pomóc Ricowi. Aż do tamtej nocy Paul nigdy nie widział dorosłego mężczyzny płaczącego. Ból malujący się w oczach Rico był nie do zniesienia, po jego twarzy płynęły łzy. Przytłoczony tym Paul zaczął szlochać. Płakał, bo ogień go sparaliżował, niewiele brakowało, a zabiłby ich wszystkich.

Johnny G wyszedł na pokład, otulił Paula kocem i zaniósł do kambuza, powtarzając jego imię swoim dobrze znanym, głębokim głosem. Płomienie ugaszono, ale osmalone, poczerniałe ściany i podłoga nadal dymiły. Sean wylewał wiadra wody morskiej na pokład i miotłą zgarniał śmieci. Powietrze wypełniał gęsty, gryzący smród mokrego, przypalonego drewna. Paul patrzył z rozpaczą, jak ojciec opatrywał Rico. Kiedy w końcu bandażę zostały założone, ojciec podszedł do Paula i bez słowa przytulił go. Paul do dziś pamięta jego ręce, obejmujące go tamtej nocy. Były poparzone, zaczerwienione i ubrudzone sadzą, popalony naskórek na palcach odstawał i zwijał się, dłonie pokrywały bąble. Ale ojciec nie zwracał na to uwagi. Po prostu siedział i kołysał syna w ramionach aż do świtu.

The Byram Blonde wpłynęła do portu tuż po wschodzie słońca. Johnny G, Rico i Sean czekali na łódź, natomiast Paula ojciec zabrał do domu. Przez całą drogę nie odezwali się ani słowem.

Ojciec wniósł go do środka i położył do łóżka.

- Tak mi przykro, tato - wyszeptał Paul, kiedy ojciec wychodził z pokoju. Po twarzy pociekły mu łzy.

Ojciec odwrócił się do niego.

- To był wypadek. - Sposób, w jaki to powiedział, przekonał Paula, że naprawdę tak myślał. - Bałem się, że cię stracę. Nie potrafiłbym sobie wybaczyć, gdyby tak się stało. Morze nie zna wybaczenia. Ojciec nauczył mnie, tak jak jego nauczył ojciec, że za każdym razem, kiedy wypływasz w morze, zadajesz sobie pytanie, czy uda ci się wrócić do portu. A jeśli ci się uda, musisz dziękować Bogu nie tylko za bezpieczny powrót, ale i za wszystko, co ci dał. A kiedy staniesz na ziemi, musisz pamiętać, że jutro być może nie będziesz miał tyle szczęścia, że dziś jeszcze raz oszukałeś śmierć. I tym bardziej więc cenisz życie.

Ojciec pochylił się i pocałował go w czoło.

- Dziś nam się udało i tylko to się liczy. Kocham cię, synu. I nic nigdy tego nie zmieni.

Tego samego ranka wrócił na morze.

Nic nie zapowiadało sztormu, ale przyszedł, i to bardzo silny. Siekący, dudniący deszcz, ogromne fale, dwanaście metrów od doliny po grzbiet. Ojciec nie wrócił. The Byram Blonde uznano za zaginioną na morzu. Odprawiono mszę za Johnny'ego, Seana, Rico i ojca Paula, ale ich ciała nigdy nie odnaleziono.

Dziś, jak każdego innego dnia, Busch stał przy oknie w sypialni, obserwując uderzające o brzeg fale. Nigdy nie przestał przeszukiwać plaży w poszukiwaniu kawałków *Byram*.

Robbie i Chrissie wpadli z krzykiem do pokoju, wskoczyli na łóżko, a z niego prosto w otwarte ramiona ojca.

-Tato, dlaczego nie możesz zostać? - zapytał syn.

-Jak tylko wrócę, spędzimy cały tydzień razem - żadnej pracy, telefonów, gości.

Busch mógł na placach jednej ręki policzyć dni, które spędził z dala od swoich dzieci. Dawno temu przysiągł sobie, że nigdy ich nie zostawi w taki sposób, w jaki ojciec zostawił jego; będzie spędzał czas z nimi, tworząc wspomnienia. A teraz łamał tę przysięgę. Ból, jaki widział w oczach córki, był zaledwie częścią tego bólu, jaki on odczuwał w swoim sercu.

Kiedy pakował rzeczy do samochodu, Jenny podała mu paszport.

-Myślałam, że wypełnimy te strony razem - powiedziała, przerzucając małą, granatową książeczkę.

-Będziemy mieć na to jeszcze mnóstwo czasu - odparł Paul, unikając jej spojrzenia.

Jeannie złapała go za klapy marynarki.

- Posłuchaj mnie, Paulu Busch. Znajdziesz Michaela i błyskawicznie przywieziesz do domu wasze oba tyłki, słyszysz?

Objęli się.

- I masz się spieszyć - dodała.

Zawsze bała się, kiedy Busch wyjeżdżał. Była żoną gliniarza: dlatego każdy dzwonek telefonu wprawiał jej serce w galop. Obawiała się dnia, kiedy otworzy drzwi i zobaczy dwóch zaprzyjaźnionych policjantów, z czapkami w rękach i pochylonymi głowami.

- Też cię kocham - odparł Busch.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy się zatrzymać na lunch. - Jeannie objęła oburącz torby z zakupami.

- Czuję się doskonale, to frappuchino wystarczy mi jeszcze na jakiś czas - odparła Mary. - Proszę, pozwól mi coś zanieść.

- Po prostu ciesz się, że chodzisz.

Przez ostatnią godzinę chodziły po Westchester, kolejnym ogromnym centrum

najmodniejszych sklepów. Doktor Rhineheart zalecił taką wyprawę jako sposób na przełamanie przygnębiającej rutyny zabiegów, jakim poddawana była Mary. Był późny ranek, w sklepach kręciły się głównie szukające rozrywki matki, popychające wózki z dziećmi, oraz emeryci. Jeannie i Mary wędrowały po piętach i jeździły ruchomymi schodami, rozmawiając i śmiejąc się jak pensjonarki. I choć były tu zaledwie godzinę, Mary wyglądała, jakby ukończyła maraton. Jej ciało było słabe i kruche. Chemoterapia i naświetlania nie tylko atakowały raka, ale i resztę jej ciała. „Atakowały” nie było zresztą właściwym określeniem. Raczej zabijały. Zabijały jej raka, jej życie, jej ducha. Włosy jeszcze jej nie wypadły, ale ruda gęstwina przypominająca grzywę lwa, jaką szczyciła się jeszcze miesiąc temu była teraz matowa, przyklepana i wyraźnie przerzedzona. Początkowo Jeannie planowała, że pójda do salonu piękności, ale potem się rozmyśliła. Nie mogła pozbyć się wizji fryzjera wymywającego wspaniałe włosy jej najlepszej przyjaciółki do zera. Mary była w dostatecznie upokarzającej sytuacji i bez tego.

-Pozwól, że ja to będę niosła - powiedziała, starając się odebrać Mary niewielki pakunek.

-Hej. - Mary pociągnęła torbę w swoją stronę. - Nie jestem inwalidką.

-Nie chodziło mi...

-Jasne. Przepraszam. To tylko dlatego, że tak wiele osób traktuje człowieka inaczej, kiedy jest chory. Sprawiają, że czujesz się jak jakiś dziwak. Jakby mi urosły długie uszy i ogon, czy coś takiego. Zewnętrznie może się i trochę zmieniłam, ale moje wewnątrz zostało takie samo. - Popukała się w klatkę piersiową.

-Wiem o tym. - Jeannie otoczyła ręką ramiona Mary.

-To paskudny sposób odkrywania, kto jest prawdziwym przyjacielem. Wiedziałaś, że Paul przychodzi do mnie do szpitala codziennie rano ze świeżymi kwiatami i jedzeniem? - Mary przerwała na chwilę, zastanawiając się. - Nie opuścił ani dnia. Trzymaj się tego faceta, Jeannie. To prawdziwy opiekun.

-To dyskusyjne - zaśmiała się Jeannie. - Ten człowiek nie wie, co to znaczy być stanowczym. Radzenie sobie z kryminalistami przez cały dzień jest niczym w porównaniu z wychowywaniem dwójki dzieciaków.

-Wyzdrowieję, zobaczysz. - Mary powiedziała to cichym głosem.

-Wiem. - Ale choć słowa Mary były pocieszeniem, nie umiała dobrze kłamać i rozpaczliwie usiłowała ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

-Tylko tak bardzo martwię się o Michaela - mówiła dalej Mary. Im więcej myślała o nagłym wyjeździe męża, tym silniejsze były jej obawy. Wiedziała, jak bardzo mu na

niej zależało i że nigdy by jej nie opuścił, gdyby... gdyby nie chodziło o coś gorszego niż to, co ją czekało. A ona przecież stała w obliczu śmierci. - Nie wiem, gdzie jest ani kiedy wróci. Musi mieć jakieś problemy, Jeannie.

Jeannie ujęła Mary za rękę.

- Paul pojechał po niego - powiedziała szczerze. - Nie gniewaj się, Mary.

Przez wszystkie lata ich znajomości istniała pomiędzy nimi niewyrażana słowami więź. Jak siostry były ze sobą nierozzerwalnie związane, a po ślubie Jeannie Paul stał się dla Mary jakby bratem. On też był gotów zawsze jej pomagać. Fakt, że ich mężowie - jeden gliniarz, a drugi złodziej - zostali najlepszymi przyjaciółmi, był zawsze dla Mary źródłem radości.

-Jakżeż mogłabym się gniewać?

-Wszystko będzie dobrze. Proszę cię, nie martw się. Paul się tym zajmie.

Mary pomyślała o swojej przysiędze małżeńskiej. Powtarzała ją sobie nieustannie podczas procesu Michaela: na dobre i na złe, na dobre i na złe. Słowa te stały się jej motywem przewodnim. Uznała, że złe chwile zaliczyli jako pierwsze. I przetrwali. Oczywiście teraz przechodzą przez etap: w chorobie i zdrowiu. Ten ludzie przechodzą zazwyczaj w starszych latach. Ale nie oni. Tak więc wszystkie elementy przysięgi w ich wypadku są testowane zdecydowanie zbyt wcześnie.

-Ciagle miewam te sny - poskarżyła się. - Okropne. Jestem przerażona, Jeannie. Ciagle mam wrażenie, że on nie wróci.

-Jeśli Paul powiedział, że przywiezie Michaela, to go przywiezie. Oczywiście, może być, że po drodze zatrzymają się gdzieś na chwilę pograć w golfa, ale wrócą.

Mary uśmiechnęła się, choć słowa przyjaciółki wcale jej nie uspokoiły. Była pewna, że Michael ma problemy, i myślała tylko o tym, że przysięga mówi też:...Póki nas śmierć nie rozłączy.

ROZDZIAŁ 22

Uliczka za małym, kamiennym kościołem była stosunkowo pusta i spokojna. Michael dostrzegł w tym zrządzenie losu, kiedy tak stał, wyglądając przez jedno z witrażowych okien. Zupełnie sam w tym cichym miejscu pachnącym kadzidłem i woskiem nie mógł się oprzeć wspomnieniom z czasów, kiedy wiara miała dla niego znaczenie. Kiedy potrafił recytować mszę, jakby była fragmentem jego ulubionego podręcznika, szeptał bezgłośnie modlitwy wypowiedane przez ojca Damico, przygarbionego starego księdza mającego słabość do gnocchi i sambuci. Niegdyś wchodząc do kościoła parafialnego, odczuwał ulgę i pociechę. Było to dla niego miejsce, do którego mógł iść i pomodlić się, poprosić o pomoc czy łaskę, albo po prostu porozmawiać. To tam przemawiał do Boga. I Bóg słuchał. Jako dziecko, Michael gotów był przysiąc, że Bóg mu nawet odpowiadał. Traktował to jako własny, prywatny, mały cud.

Ale kiedy dorósł, odkrył, że Bóg przestał go słuchać. W gruncie rzeczy wyszło mu na to, że w ogóle nie słuchał. Gdy Michael zobaczył świat takim, jaki naprawdę jest, poczuł się zdradzony: więc nigdy nie doświadczył cudu?! To, co uważał za głos Boga, było głosem jego własnej podświadomości, dającym mu odpowiedzi, które sam w głębi duszy znał.

Wszystko, czego nauczono go w dzieciństwie, w co wierzył, dorastając, było wymysłem, takim samym jak tytani w mitologii greckiej czy skandynawskie opowieści o Thorze i Odynie. Bóg był po prostu kolejną baśniową postacią, do której lgną w potrzebie ludzie pełni strachu, jest dla nich fałszywą ostoją, dającą im jednoznaczne odpowiedzi wyjaśniające to, czego nie da się wyjaśnić. Wszystkie te napuszone celebracje, te postawy typu „świętszy od papieża” przyjmowane przez księży - wszystko to stało się dla niego istotą hipokryzji, przejawem kłamstwa, utrwalaniem okrutnego mitu, takiego samego jak inne mity w obojętnym świecie. Wszyscy byli tacy pewni, że ich Bóg jest prawdziwy, że to oni mają rację, że oni i ich wyznawcy są jedynymi na planecie, którzy mają szansę odnaleźć spokój i pociechę w życiu pośmiertnym.

A potem spotkał Mary i spełniał jej oczekiwania dotyczące wiary, nigdy nie odważywszy się powiedzieć, jakie są jego prawdziwe odczucia. Kochał ją i, no cóż, różne rzeczy robi się z miłości. Odsiadywał cotygodniowe msze, zatopiony nie w modlitwie, tylko w myślach - taki jego własny, drobny rytuał. Myślał wtedy o Mary i życiu, o dzieciach i pracy. Udawał, że robi to, co tak dobrze umiał w dzieciństwie, cały czas zachowując swoje poglądy dla siebie. Ale kiedy dowiedział się o chorobie Mary, nie potrafił już udawać. Miał

rację. Bóg nie istnieje.

A jednak teraz siedział w kościele, uciekając przed czymś czy przed kimś - nie bardzo wiedział. Sięgnął ręką i dotknął złotego krzyżyka od Mary. Nie poczuł żadnego przeżycia duchowego, ale poczuł ją. Ta mała złota błyskotka należała do Mary, a Mary prosiła go, żeby nigdy jej nie zdejmował. I nie zrobi tego. Nie dlatego, że wierzy w to, co ten krzyżyk reprezentuje, ale ze względu na to, co dla niego znaczy. Należał do Mary. I może będzie go chronił, nie ze względu na boską moc, ale dlatego, że będzie mu przypominał, dlaczego siedzi tu, w Niemczech, kryjąc się w tym kościele. Otóż z miłości. Nie z powodu tego, w co on wierzył, ale ze względu na to, w co wierzyła Mary.

Południe. W ciągu ranka przyszło kilkoro wiernych. Zapalili świece, klękali i modlili się w ciszy. Michael przeszedł za ołtarzem i w tym liczącym dwieście lat sanktuarium dostrzegł czerwony, neonowy znak wyjścia. Powoli otworzył drzwi. Nikogo w pobliżu. Zszedł po schodach.

Na rogu ulicy był kiosk z preclami i wodą sodową. Minęło dziesięć godzin od czasu, kiedy zjadł w samolocie ostatnią torebkę orzeszków ziemnych. Był głodny, spragniony i zmęczony. Spanie mogło poczekać, ale żołądek nie. Krótki postój był bez znaczenia.

Ale nie udało mu się przejść przez ulicę. Z piskiem opon zahamowało tuż przed nim kilka samochodów policyjnych, i wyskoczyli z nich policjanci. Krzyczeli coś po niemiecku i otoczyli go, wymachując swoimi SIG - sauerami. Michael nie potrzebował tłumacza, żeby zrozumieć. Wiedział, czego chcieli. Uniósł ręce do góry, poddając się.

Hotel Friedenburg stał frontem do Tiergarten Platz. Sześćdziesięcioletni, w 1961 roku popadł w ruinę, a wzniesienie Muru Berlińskiego spowodowało jego upadek. W latach 90. wykupiła go Grupa Omega i wydała blisko dziesięć milionów na renowację. Nic szczególnego, ale efekt był przyjemny dla oka. Przestronne pokoje, wielki basen, siłownia i obsługa w pokojach. Minibarki wypełniał alkohol, orzeszki i małe puszki coca - coli po pięć dolarów, które zazwyczaj otwiera się o trzeciej nad ranem, a potem żałuje się tego, kiedy przychodzi płacić rachunek.

W apartamencie klasy biznes były wydzielone odrębne pomieszczenia do pracy i do spania. W końcu pokoju stały dwa ogromne łóżka, a bliżej drzwi mały stół konferencyjny, biurko i miejsce do wypoczywania. Jak na pokój hotelowy, urządzenie było gustowne, ale po kilku minutach od wymeldowania się, ulatywały z pamięci stonowane odcienie kasztanu, brązu i żółci.

- Michael? - zawołał Simon, rzucając na łóżko pięć dużych worków marynarskich. Nawet podwójny napiwek nie skompensowałby chłopcu hotelowemu uszkodzonego

kregoslupa.

Simon podniósł rolety, pozwalając na moment słońcu świecić na twarz. Sprawdził telefon: nic nie mruga, żadnych wiadomości. Wziął z łóżka swoją aktówkę i wyciągnął z niej narysowane ręcznie przez Michaela plany domu Finstera. Zupełnie nie mógł się skoncentrować. Był wyczerpany, nie spał ponad dwadzieścia cztery godziny. No i miał do zrobienia jeszcze mnóstwo rzeczy, jeśli nie będzie przytomny, nawali. Byłoby to jego pierwsze niepowodzenie, ale w jego pracy niepowodzenie zdarza się tylko raz. A w tym przypadku konsekwencje ponosiłby nie tylko on.

Zastanawiał się, co robić. Przeanalizować plany? Rozpakować rzeczy? Spać? Chciałby zrobić to wszystko, ale niekoniecznie w tej kolejności.

Kupił krzyże w małym sklepiku z dewocjonaliami, a potem odnalazł Stingline'a. Dokładnie tam, gdzie skierowała go miła sprzedawczyni. Kilka lat temu, kiedy potrzebował „określonego” wyposażenia, był częstym gościem tego sklepu. Dziś znowu musiał tam iść. To taki sklep, do którego idziesz, kiedy w pozostałych nie mogą lub nie chcą ci czegoś sprzedać. Gabloty wypełniały strzelby myśliwskie, kusze i strzały oraz - dla miłośników stylu wojskowego - ubiory kamuflujące. Prawdziwe skarby trzymano jednakże na zapleczu. Herr Stingline był niegdyś członkiem Czerwonej Armii, grupy Baader - Meinhoff lub IRA, zależnie od tego, z kim się na jego temat rozmawiało. Mówiono, że miał pięćdziesiąt dwa lata. Simon zawsze zbierał dokładne *dossier* osób, z którymi miał robić transakcje, dlatego wiedział tak naprawdę, że miał sześćdziesiąt osiem. Ale niezależnie od tego, czy miał pięćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt osiem czy osiemdziesiąt pięć, nadal potrafił sprawić, że człowiek wyrzyga własne płuca, zanim zdąży wciągnąć głębszy oddech. Niemiec mówił cichym głosem i był zupełnie łysy; włosów pozbawiła go gorączka, kiedy miał osiem lat, a szkoła, przez jaką przeszedł z tego powodu, uczyniła go twardym. Od 1986 roku prowadził swój sklep, a to oznaczało, że musiał mieć jakiegoś rodzaju układy z władzami wschodnioniemieckimi oraz Stasi. Stasi, tajna policja, wschodnioniemiecka forma KGB, wtykała nos w życie wszystkich. W byłej NRD nie było takiego pojęcia jak „prywatność”. Po prostu nie istniała ona... nigdzie. Stąd wniosek, że biznes Stingline'a był znany i zapewne nawet zaopatrywany przez rząd. Ale odkąd Simon go znał, czyli od upadku Muru, ten starszy pan nigdy na nikogo nie donosił.

Simon nie pytał, jak mu się to udało, ale faktem jest, że Stingline w niespełna piętnaście minut skompletował wszystko, co było na liście zakupów: cztery krótkofalówki słuchawkowe, cztery dziewięciomilimetrowe glocki z tłumikiem, pięćdziesiąt pudełek amunicji, dwa Hecklery i Kochy PDW, wystrzelające osiemnaście pocisków na sekundę,

dwie izraelskie strzelby snajperskie Galii, cztery noktowizory, cztery noże myśliwskie oraz pudełko energety żujący eh batonów. Simon zawsze kupował po cztery i po dwie sztuki, a płacił w euro - walutą aktualnie najtrudniejszą do wyśledzenia. Wyszedł od Stingline'a, nie musząc odpowiadać na choćby jedno pytanie.

Stukanie do drzwi gwałtownie wyrwało go z zamyślenia.

-Tak? - Simon szybko podszedł do leżących na łóżku pakunków.

-Obsługa hotelowa.

Simon wyciągnął glocka i paczkę amunicji. Nie miał czasu sprawdzić broni, po prostu załadował kilka pocisków. Ostrożnie przesunął się wzdłuż ściany ku drzwiom. Nie spojrzął nawet w judasza: jaki miałyby sens patrzeć oko w oko z kimś, kto stał z drugiej strony. Powoli otworzył drzwi...

Boy hotelowy z wózkiem pełnym żywności. Chłopak nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat, na twarzy, pod warstwą Clearsilu, miał jeszcze widoczny młodzieńczy trądzik.

- Nasz hotel witając wszystkich nowych gości, zwyczajowo proponuje poczęstunek na koszt firmy - powiedział chłopak, z silnym niemieckim akcentem. Poruszał srebrnym wózkiem, a jego spocone dłonie zostawiały wilgotne odciski.

Simon przyglądał mu się, jednocześnie wsuwając broń za pasek na plecach. Gestem ręki wskazał chłopcu, żeby wszedł do środka, zostawiając otwarte drzwi.

-Przepraszam - powiedział. - Jestem trochę zmęczony. To naprawdę niepotrzebna fatyga.

-Próbki win i serów dla pana - odparł boy, wprowadzając wózek do pokoju i odkrywając bogaty zestaw serów, trochę wędzonej kielbasy, owoce, dwie butelki czerwonego wina. Simon zauważył, że wino było całkiem dobrego gatunku. Może to nie był zły pomysł wypić kieliszek, jak się już rozpakuje, przed snem.

-Otworzyć wino? - Uśmiechnął się boy, zadowolony, że jego angielski jest zrozumiały.

-Nie, dziękuję. Najpierw muszę jeszcze coś zrobić. Poradzę sobie. - Simon dał chłopcu kilka euro i poprowadził go w stronę drzwi.

I wtedy właśnie to nastąpiło. Zatrzasnęły się drzwi i okiennice, z trzaskiem opadły rolety. W pokoju zrobiło się ciemno jak w grobowcu. Simon próbował coś dostrzec, ale źrenice potrzebowały czasu, żeby się dostosować. Przykucnął i odsunął się od miejsca, w którym po raz ostatni widział chłopca. Nie wiedząc, czy ktoś jeszcze wszedł, wstrzymał oddech, próbując wyczuć, ile osób mogło być w pokoju. Natężył słuch, ale nie słyszał, żeby

ktokolwiek się poruszał. Jego źrenice powoli rozszerzyły się i zaczął dostrzegać zarysy mebli: stołu konferencyjnego, sofy... Po drugiej stronie pokoju, koło biurka, przez okiennice przeciskała się smuga światła. Słabo widoczny w głębokiej ciemności chłopiec hotelowy stał, wpatrując się w Simona, jakby pokój był oświetlony dwustuwatowymi żarówkami.

Dzieciak doskonale wiedział, gdzie był Simon, ale nie wykonał żadnego ruchu.

Czas jakby stanął w miejscu. Żaden z nich nie powiedział ani słowa. Simon mógł już nie tylko rozpoznać kształty, ale też widział wystarczająco dużo, żeby się swobodnie przemieszczać. Widział też twarz chłopca. I nagle, jakby wskutek gry światła i cienia, stała się ona twarzą Finstera.

Pod wpływem odruchu Simon wystrzelił oba pociski, trafiając tamtego prosto w lewe oko. Podniósł się i cofnął. Finster krwawił, tego Simon był pewny, krew spływała mu po twarzy jak szkarłatne łyzy. Ale nie upadł. Nawet nie drgnął.

Po chwili Finster sięgnął ręką i jakby nic się nie stało, wyciągnął z roztrzaskanego oczodołu najpierw jeden, a potem drugi pocisk. Tam, gdzie kiedyś miał oko, były teraz tylko rozerwane ciało i strzaskana kość, wszystko zalane krwią. Z rany wyodrębniła się mętna ciecz, źrenica w środku nadal reagująca na światło. Pocisk powinien przejść przez mózg, ale Finster nadal stał.

Simon przyglądał się, jak ranny położył dwa dziewięćmilimetrowe naboje na stole konferencyjnym i pchnął je w kierunku Simona.

- Proszę - powiedział uprzejmym głosem. - Możesz je zachować.

Rozległ się jakiś cichy, dudniący odgłos. Budzący mdłości wilgotny dźwięk tarcia i rozdzierania ciała, dochodzący z wnętrza Finstera. To jego oko. Odtwarzało się, a Finster zachowywał się tak, jakby to było zupełnie normalne, jakby mu odrastały włosy na ogolonej głowie albo jakby był jaszczurką, której odrasta urwany ogon.

I nagle znowu było całe. Finster ponownie wpatrzył się parą zdrowych oczu w Simona, nie mrugając powiekami, bez ruchu, jak zwykle przerażająco.

- Jak tam te sekrety, Simonie?

Nienaładowana broń wypadła z ręki Simona, wyrwana jakąś niewidzialną siłą. Moc była wszędzie, wypełniała cały pokój, Simon czuł ją, narastającą, przytłaczającą, jak ładunek elektryczny o maksymalnym napięciu. Rozpaczliwie rozglądał się, szukając swojego worka marynarskiego, tego dużego, granatowego, do którego włożył krzyże. Powinien go najpierw rozpakować...

-Masz rację. Trzeba było się najpierw rozpakować - powiedział Finster, jakby czytał w jego myślach. - A ty zamiast tego zastanawiałeś się, dekoncentrowałeś.

-Nie dostaniesz mojej...

- Duszy? - przerwał mu Finster ze śmiechem. - Ależ ja już ją mam, Simonie. Dawno temu ją utraciłeś. Ci przygarbieni, ciskający *Biblią* mężczyźni w białych koloratkach wcale nie zamierzają komuś takiemu jak ty oferować zbawienia. - Uniósł do góry palec, jakby miał się podzielić jakąś cenną informacją. - Udzielę ci małej wskazówki, Simonie, mój przyjacielu, czegoś w rodzaju tajemnicy handlowej: aby uzyskać przebaczenie, musisz naprawdę żałować swoich grzechów...

Ale to dygresja; nie to jest powodem mojej wizyty. Nie chodzi mi o twoją duszę. Moje królestwo jest pełne żalonych dusz z tego świata. Wracam tam, skąd przybyłem. Idę do domu.

Słyszając to, Simon rzucił się na Finstera i zadawał ciosy jeden po drugim. Finster odwrócił głowę, a kiedy ponownie spojrzął, był starcem odzianym w łachmany, którego nadgarstki krwawiły od jakiegoś rodzaju więzów. Jego twarz pokrywały groteskowe białe blizny, niektóre ledwie zagojone. Simon gwałtownie przerwał atak. Przerażony odskoczył od starca. Z trudem łapał powietrze, jak po ciosie w splot słoneczny.

- Prosiłem cię o wybaczenie, Simonie. Nie wiedziałem, co się ze mną działo, nie byłem sobą, kiedy zaatakowałem twoją matkę. Ona mi wybaczyła. Dlaczego ty nie możesz? Dlaczego syn nie potrafi wybaczyć ojcu?

Simon zamachnął się pięścią i zaczął walić starca raz za razem.

- Zgwałciłeś moją matkę, ukradłeś jej życie. Zostawiłeś mnie samego. - Bił bez opamiętania, nawet wtedy, kiedy starzec zaczął się osuwać na ziemię. - Jesteś jedynie złym snem, koszmarem nocnym.

I nagle, bez ostrzeżenia, starzec pod uderzeniami pięści Simona znikł. Tam, gdzie stał, pojawiła się ciemnowłosa kobieta w przezroczystej, czarnej sukni, przez którą przeświecało jej alabastrowe ciało pokryte bliznami. Odsunęła się od Simona, cofała się „chwiejnym krokiem, a wreszcie upadła pod jego ciosami.

- Synku, proszę... - błagała.

Simon poczuł lodowaty dreszcz, kiedy uświadomił sobie, że uderzył matkę, że brutalnie rzucił jej okaleczone ciało na podłogę.

- Masz zimne serce, Simonie. Przyłącz się do nas, zjednocz znowu naszą rodzinę. - Matka złapała broń Simona, trzymając ją w wyciągniętej ręce. - Jestem tak blisko, mój synku. Przyłącz się do mnie. - W lewej dłoni miała jeden lśniący pocisk.

Simon upadł na kolana, patrzył na matkę, na pistolet w jej dłoni. Czuł, jak umysł odmawia mu posłuszeństwa. Matka, która uczyła go, jak być silnym, mówiła mu, że nadszedł

czas, żeby przestał, żeby się poddał, żeby poszedł w jej ślady i odebrał sobie życie. Wszystko mu się pomieszało w głowie. Ale po chwili uniósł głowę, spojrział jej prosto w źrenice, jednocześnie wrywając broń z ręki. Jego pełne łez oczy patrzyły z nienawiścią. - Wszystko, co mówisz, to kłamstwo. Zostaniesz powstrzymany.

Postać przed nim zaczęła migotać, zmieniając się: raz była to jego torturowana matka, a zaraz potem jego potwór - ojciec; jak obraz, który usiłuje się wyostrzyć. Jedyne oczy pozostawały bez zmiany - bez życia, zimne, złe.

- Nie potrafiłeś powstrzymać przedtem, dlaczego uważasz, że teraz ci się uda? - usłyszał syczący głos, wydobywający się z ust ojca.

Coś rzuciło Simona na ścianę. Starzec zniknął, a na jego miejscu ponownie stał Finster. Simon wisiał pół metra nad ziemią z twarzą wykrzywioną bólem. Głęboko pod jego skórą następowały wybuchy, jakby pękały małe bąbelki wrzącej wody. Jego ciało zaczęło falować, wykręcać się, a małe bąbelki urosły, wydostały się tuż pod skórę, zniekształciły jego twarz. Simon zawył z bólu w myślach, ale zdławił krzyk, nie chcąc dać Finsterowi satysfakcji.

Finster podniósł broń, obejrzał ją, po czym podszedł do Simona.

- Myślisz, że trudno będzie znaleźć duszę twojej matki? - Dotykał rosnących bąbli pod skórą Simona, pozornie zafascynowany swoim dziełem. Przyjrzał się dokładnie broni, sprawdził jej ciężar, jej moc rażenia.

- Uwielbiam takie zabawki. - Uniósł glocka, celując w Simona, ale potem wpadł na lepszy pomysł. Podszedł bliżej i nachylił się do jego ucha.

- Wróć do Niebios, z których mnie wypędzono - wyszeptał cicho, ojcowskim tonem. - Dlaczego miałbym poprzestać na podbiciu świata, kiedy mogę rządzić wiecznością?

Simon zerwał się od biurka, z mocno bijącym sercem i potem spływającym po twarzy. Rolety były odsłonięte, za oknem widać było ciemną noc. Rozejrzał się po pokoju. Torby nadal leżały na łóżku nierozpakowane. Na twarzy nie miał żadnych wyprysków.

- Michael? - zawołał.

Spojrzął na zegarek: wpół do dziewiątej. Nie mógł sobie przypomnieć, w którym momencie zapadł w sen. Bolał go kark. Musiał zasnąć, studiując plany pięter. Ciało miał obolałe z powodu niewygodnej pozycji, w jakiej spał, i wcześniejszego wielogodzinnego siedzenia w samolocie. Otworzył minibarek. Zaledwie sześć pięćdziesięciogramowych buteleczek whisky, zbyt mało, żeby upić nawet szczura. Złapał słuchawkę telefonu.

- Obsługa hotelowa - usłyszał. - W czym możemy pomóc?

- Poproszę o butelkę whisky. John Daniel's. I trochę lodu.

-Zaraz przyniesiemy - odparł głos w telefonie. - Czy smakowały panu sery?

Simon rzucił okiem na wózek z jedzeniem. Było nietknięte, butelki wina nadal nieotwarte.

- Tak, doskonale.

Odłożył słuchawkę, nie odrywając oczu od wózka. Przejechał palcami po twarzy - ani śladu guzów czy wyprysków. Tak... jego sny stają się coraz gorsze. Odwrócił głowę i w tym momencie serce podskoczyło mu w panice. Złapał worek marynarski i wyciągnął pudełka z amunicją: wszystkie były zapieczętowane. Najwyraźniej miał jednak tylko zły sen, przerażający nocny koszmar. Ale jak wytłumaczyć to, co właśnie zobaczył? Na skraju stołu leżały dwa zgniecione dziewięćmilimetrowe naboje.

ROZDZIAŁ 23

Przed upadkiem Muru Berlińskiego był taki budynek, do którego wielu wchodziło, ale tylko nieliczni wychodzili. Dunkel Gefangnis był sześciopiętrową budowlą z czasów mrocznego średniowiecza. Ogromne, obite blachą drzwi - całe trzy tony metryczne - wisiały na ponadtrzymetrowych zawiasach. I zasłużyły na nazwę, jaką im nadano: wrota do wiecznego cierpienia. Budynek otaczał wysoki na dwa piętra płot z żelaznych sztachet, zakończony zardzewiałym drutem kolczastym. I choć już sam widok budynku budził strach, prawdziwie przerażające było jego siedem pięter mieszczących się w podziemiach.

W szczytowym okresie swoich rządów, Stasi, krwiożercze siły bezpieczeństwa we Wschodnich Niemczech, znane były wszystkim, ale na temat tego, co działo się za kamiennymi murami tego budynku, którym rządziły twardą ręką, słyszało się jedynie plotki. Kiedy więc zaczynały krążyć opowieści o torturach, okaleczaniu i powolnej śmierci, ludzie drżeli ze strachu, tak jak powinni. Dunkel Gefangnis stał się użytecznym narzędziem kontrolowania opinii publicznej, symbolem pomagającym podporządkować społeczeństwo. I lepiej dla ludzi, że nigdy nie dowiedzieli się prawdy. Prawda na temat tego, co działo się w tym budynku, była bowiem o wiele gorsza niż powtarzane na ucho przerażające plotki.

W 1996 roku Dunkel Gefangnis zostało przemienione w berlińską Zjednoczoną Komendę Główną Policji i System Więziennictwa. I choć posadzono drzewa, wzmocniono oświetlenie, zlikwidowano żelazny płot, nadal było to surowe więzienie, którego korytarze nawiedzała śmierć.

Więzienie znajdowało się w podziemiach i wyraźnie było widać, że pieniądze na remont zostały wykorzystane jedynie na te piętra, na które docierało światło słoneczne. W zimnym, wilgotnym powietrzu na piątym podziemnym poziomie w bloku szóstym bił smród moczu. Michael próbował chronić przed nim swoje zmysły, ale bezskutecznie. Leżał na granitowym bloku, ubrany w szary kombinezon, który mu dano w zamian za jego ubrania. Cella miała dwa i pół na dwa i pół metra, trzy ściany z granitu, a od frontu żelazne pręty. Przypominała bardziej klatkę dla zwierząt niż celę więzienną. Było tu przeraźliwie zimno i jedynym źródłem ciepła, jakie mógł wymyślić, były intensywne ćwiczenia, po których padł wyczerpany. Stracił poczucie czasu, nie miał pojęcia, ile godzin minęło od chwili, kiedy tu przybył, a nie zadano mu jeszcze nawet jednego pytania. Sąsiednie cele były puste, ale z różnych miejsc, poza głównym korytarzem, docierały do niego urywki rozmów w obcych językach. W porównaniu do tego miejsca Sing - Sing, w którym siedział w Stanach, było

pałacem.

Zastanawiał się, czy nie poprosić o możliwość zadzwonienia do ambasady amerykańskiej, ale w końcu doszedł do wniosku, że przedstawiciele jego kraju sprawdziliby we wszystkich stanach i szybko odkryli, że jest uciekinierem. Poza tym być może miejscowa policja już się z ambasadą skontaktowała albo wręcz został zatrzymany na prośbę władz USA. Nie, nie będzie dzwonił. Zresztą wcale mu tego nie zaproponowano.

Michael usłyszał dźwięk otwierających się drzwi wejściowych do bloku. Korytarzem nadszedł jakiś niesympatycznie wyglądający strażnik, ten sam zresztą, który przedtem przeszukiwał go i cisnął mu do celi więzienny kombinezon. Ale tym razem strażnik nie był sam. Michael słyszał odgłosy podwójnych kroków, a wkrótce podejrzenia się potwierdziły. W cieniu, trudny do rozpoznania stał drugi mężczyzna.

- Masz gościa.

Michael wstał, wpatrując się w mrok. Strażnik wyszedł w chwili, kiedy nieznajomy znalazł się w zasięgu słabego światła.

- Witaj, Michaelu.

Michael nie mógł oderwać spojrzenia.

- Jak tu trafiłeś? - Finster wyraźnie drżał z zimna, rozglądając się wokół siebie. - Strasznie tu zimno. A mógłbym przysiąc, że mamy lato.

Michael patrzył na niego podejrzliwie.

-Próbowałem wpłacić za ciebie kaucję, ale mówią, że czeka cię ekstradycja.

-Po co tu przyszedłeś?

-Jesteś moim przyjacielem...

-Chcesz mnie zabić? - przerwał mu Michael.

Finster spojrzał na niego zmieszany, ale w końcu wybuchnął śmiechem.

-Coś ty wymyślił... To ten święty kutas Simon! To on ci wkłada do głowy te nonsensy? To szalenie, od lat wymyśla jakieś niestworzone historie o tym, że jestem jakimś demonem. Czy ja wyglądam jak demon? - W jego głosie zabrzmiała śmiech. - To przez pieniądze, Michaelu. - Finster pochylił się jeszcze bliżej. - I kobiety - wyznał. - Ludzie uwielbiają łączyć bogactwo i seks ze złem. A przecież to skrajna głupota, nie uważasz? Kiedy widzi się strach takich ludzi, można by pomyśleć, że żyjemy w średniowieczu. Gdybym miał dać pięciocentówkę za każdego, kto nazwał mnie złym... A jeśli chodzi o twojego nowego przyjaciela Simona - to fanatyk. Wykrzykuje te brednie od lat. Dlaczego jesteś taki milczący, Michaelu? Nie cieszysz się z naszego spotkania?

-Po co tu przyszedłeś? - powtórzył Michael.

-Słyszałem, że wróciłeś po klucze. Nie zamierzałeś chyba mi ich zabrać, Michaelu...
prawda? - Finster mówił takim tonem, jakim mawiają rodzice upominający dziecko.

Michael zawahał się. Może mylił się, może istotnie Simon był fanatykiem. Może zbyt łatwo mu uwierzył.

- Wiedziałem, że mnie nie oszukasz, Michaelu. - Finster zatarł ręce, próbując je rozgrzać, po czym spuścił oczy ze smutkiem. - Słyszałem o twojej żonie...

Michael zjeżył się.

- ... że się jej pogorszyło.

Niepokój ścisnął żołądek Michaela jak żelazne kleszcze.

-Przykro mi, Michaelu - mówił dalej Finster. - Wiem, jak bardzo chciałbyś być przy niej w jej ostatnich chwilach. Zobaczę, co będę mógł zrobić, żeby przyspieszyć twój powrót do domu. No wiesz, pociągnę za pewne sznureczki.

-Niczego od ciebie nie chcę.

-Słucham? Naprawdę mi przykro z powodu twojej żony.

- Głos Finstera brzmiał niezwykle szczerze. - I wiesz... żał mi też ciebie. Nie ma nic gorszego, niż stracić ukochaną osobę.

-Skazałeś moją żonę na potępienie. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym?

-O czym nie powiedziałem?

- Kim jesteś. - Michael spojrzał mu wyzywająco w oczy.

Finster patrzył na Michaela, badał go uważnie wzrokiem, zwlekając z odpowiedzią.

-Odnalazłeś Boga? - spytał miękko.

-Nie boję się ciebie. - Michael podszedł do drzwi celi. Finster zbliżył się do samych prętów, tak blisko, że jego twarz znalazła się kilka centymetrów od twarzy Michaela. Michael nie cofnął się. Przyglądali się sobie wzajemnie, jakby widzieli się po raz pierwszy.

- Za kogo mnie uważasz, Michaelu?

Nie odpowiedział.

- Martw się o swoją żonę. Rób tak dalej, a umrze sama, wołając cię, a ty będziesz gnić do końca życia tu, gdzie jesteś.

- Finster wskazał gestem zatechłe otoczenie. - Wszystko z powodu głupiej decyzji. Mogę ci pomóc, ale jeśli zbliżysz się do moich kluczy...

-Twoich kluczy?

-Zapłaciłem ci w dobrej wierze, zawarliśmy umowę.

-Umowę, o czym ty mówisz! Nigdy nie ujawniłeś jej wszystkich warunków!

-Ty - facet, który nie wierzy - ufasz bełkotowi jakiegoś religijnego szaleńca a nie mnie? Simon mówi ci, że jestem Diabłem, a ty natychmiast stajesz się prawdziwie wierzącym. Alleluja! Czy miał jakikolwiek dowód na poparcie swoich słów? Czy to on zapłacił za leczenie twojej żony? To on ci zapłacił ćwierć miliona dolarów? Dałem ci premię, a on nawet nie zmówił za nią modlitwy. A opowiedział ci tę łązawą historyjkę o jego mamie i tacie? Jak to tata zbezczeszczył jego mamę w imieniu Diabła? Bzdury. To wszystko są bzdury. Zrobił z ciebie frajera. Chce, żebyś ukradł dla niego klucze, a potem on je sprzeda na czarnym rynku. Ratuj Niebiosa, kurde! Komu ty ufasz, Michaelu? Temu, kto ci pomógł? Czy może temu, kto chciał cię zabić?

Michael wpatrywał się w Finstera, a w jego umyśle rodziły się coraz silniejsze wątpliwości. Czy to możliwe, żeby aż tak bardzo się pomylił? Czyżby faktycznie stał się narzędziem w ręku Simona, uganiającym za głupimi, religijnymi bzdetami, podczas gdy jego żona umierała w samotności? Przecież Finster im pomógł: dał pieniądze, mówił słowa pociechy, oferował pomoc. A Simon nic nie zaproponował.

Komu miał więc wierzyć? Simonowi? Finsterowi? Własnym podejrzeniom? Ale znalazł się tu nie dla Simona, nie dla siebie - tylko dla Mary. I tego, w co Mary wierzy. Wiara: zdolność wierzenia w to, co jest niematerialne. Odsuwanie wszystkiego na bok, aby przyjąć do wiadomości możliwość czegoś większego. Umiał wierzyć w Mary, a ona zawsze wierzyła w niego. Ufał jej, Mary była jego wiarą.

- Pieprz się - odezwał się, z twarzą tuż przy twarzy Niemca.

Spojrzenie Finstera stało się przerażające. Michael instynktownie cofnął się, kiedy tamten sięgnął ręką przez grube żelazne pręty i lekko przejechał długimi, zadbanymi paznokciami po jego policzku.

- Gdybym był tym, kim myślisz, że jestem, czy sądzisz, że tolerowałbym taką bezczelność ze strony kogoś równie mało znaczącego jak ty? Zapewniam cię, że nie. Pomyśl o tym. Gdybym był tym, kim myślisz, że jestem, trafiłbym cię w twoje najczulsze miejsce. Zabrałbym jej duszę. Uczynił bym ją moją żoną na całą wieczność. Ach, ale miałbym frajdę, pieprząc twoją Mary aż do utraty zmysłów. Czy ona jest gorącą dziewczyną, Michaelu?

Finster przysunął się tak blisko, jak tylko pozwalały pręty.

- Gdybym... był tym, czego się najbardziej boisz - wysyczał.

Michael stał poszarzały, milczący, pokonany.

Smród znowu zaatakował, budząc Michaela ze snu. Nie miał pojęcia, która mogła być godzina - nie było tu żadnych okien ani zegarów. W całym bloku aresztu panowała śmiertelna

cisza, nie było słycać nawet tupotu biegających szczurów. Dwie gołe żarówki dawały tak mało światła, że trudno było cokolwiek dostrzec. Zaczął myśleć o Mary. Ile czasu upłynęło, odkąd ją widział po raz ostatni? Nie mógł sobie przypomnieć. Musi się stąd wydostać, musi porozmawiać z Mary, przytulić ją. Musi dokończyć to, po co tu przyjechał. Łoskot bramy, rozchodzący się echem po korytarzu, wyrwał go z zamyślenia. Zaskrzypiały kolejne drzwi celi, a potem zamknęły się z trzaskiem. Do uszu Michaela dotarły odgłosy dziesięciu szybkich kroków, a potem po drugiej stronie prętów stanął Ivan Crusick, oficer Interpolu, który go rejestrował. Crusick wyciągnął pęk kluczy i po kilku próbach znalazł właściwy. Otworzył celę.

- Mamy już gotowe twoje papiery do ekstradycji - oświadczył po angielsku, z silnym akcentem.

- Ach, jak miło - zadrwił Michael.

Oficer nie odpowiedział.

Szli długim, zatęchłym korytarzem w stronę pierwszej z kilku wielkich bram. Michael nie wiedział, o jakich papierach mówił Ivan, ale jeżeli tylko zamierzali go stąd wydostać, to świetnie. Nie będzie tęsknił do tego miejsca. Idąc, zauważył, że ani jedna cela nie była zajęta. A z pewnością wcześniej słycał głosy kilku więźniów. I na pewno nie słycał dźwięku otwierania bram, kiedy ich wypuszczano; to był dźwięk, którego nie da się nie rozpoznać. Nie interesował go jednak los innych więźniów. Życzył im spokoju, niezależnie od tego, jakiego przestępstwa się dopuścili. To miejsce zabijało wszelkie ludzkie odczucia. Weszli na schody, Ivan przyświecał latarką. Przejście było wąskie, typowe zresztą dla tak starej, historycznej budowli. I nie było tu światła. Kamień, z którego zbudowano ściany, był wyraźnie za gruby, żeby puścić za nim przewody. Wspinali się przez dłuższy czas, było o wiele więcej kondygnacji, niż Michael przypuszczał. Dopiero po dwóch minutach dostrzegł smugę światła padającego z góry. I w końcu weszli do nowoczesnego pomieszczenia, w którym wrzała praca. Wprost ze średniowiecznych lochów trafili do nowoczesnego pomieszczenia: komputery, kamery, bramki elektroniczne, wszystko to obsługiwane przez policjantów z dwudziestego pierwszego wieku.

Michael został doprowadzony do głównego biurka. Tam oddano mu jego ubrania oraz kilka rzeczy osobistych, które miał przy sobie. Podpisał i pozwolono mu przebrać się w osobnym pokoju. Następnie, z Ivanem u boku, przeszedł przez kilka kolejnych bram i w końcu już tylko Ivan odgradzał go od wolności.

- Proszę się odwrócić i stanąć twarzą do ściany.

Michael przechodził już tę procedurę. Nie chodziło o to, że mógł złapać jakąś broń w

ciągu ostatnich trzydziestu sekund - było to po prostu rutynowe postępowanie.

- Twarzą do mnie - polecił strażnik. Michael odwrócił się.

- Ręce przed siebie.

Na nadgarstkach Michaela zatrzasnęły się kajdanki. Poczul na skórze dotyk zimnego metalu. Ivan otworzył ostatnią bramę i milcząco pokierował Michaela w stronę wąskiego przedsionka, po czym zatrzasnął za nim drzwi. Nie powiedział ani słowa. Zostawił Michaela i wrócił do budynku.

O ile przedtem Michael był zdziwiony, to w tej chwili poczul ogłupiające zdumienie. Stał ze skutymi rękami przed posterunkiem policji w samym sercu Berlina. Protokół nakazywał, aby był eskortowany na lotnisko i w drodze powrotnej do USA, ale też przewidywał, że powinien zostać poinformowany, o co chodzi. W przedsionku były tylko dwie pary drzwi: żelazna brama, przez którą właśnie tu wszedł i drzwi wejściowe przed nim. Jeśli za nimi było piekło... Michael doszedł do wniosku, że zaryzykuje. I w tej właśnie chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich Busch.

Padał rześisty deszcz. Busch, bez parasola, eskortował zakutego w kajdanki Michaela przez ogromny parking policyjny. Obaj byli przemoczeni do suchej nitki. W strugach deszczu widać było zaledwie na kilkadziesiąt centymetrów. Nie rozglądali się wokół siebie, nie patrzyli nawet na siebie wzajemnie. Biegli w milczeniu.

- Dlaczego uciekłeś? - spytał w końcu Busch.

Michael nie odpowiedział, tylko popatrzył na kajdanki.

Był w pułapce, zupełnie jak wówczas, kiedy był w więzieniu.

- Zamierzałem ci pomóc. - W głosie Buscha dało się wyczuć wyczerpanie. Jedyne lot do Berlina był z przesiadką w Londynie, podróż trwała ponad dwanaście godzin.

- Daruj sobie Kojak, co? Panie Prawo - jest - prawem.

Ponownie zapadła cisza. Buschem targały sprzeczne odczucia. Ryzykował wszystko dla tego człowieka - swoją pracę, swoje przekonania, swoje życie, a on miał jeszcze czelność go atakować.

-Jak mogłeś narazić Mary na to wszystko?

-Nie wtrącaj się.

Och, będę się wtrącał, czy ci się to podoba czy nie. Jest w domu, walczy o życie, a ty się tu opieprzasz. Obudź się, koleś, jej życie przecieka między twoimi palcami.

- Odpieprz się. - Michael odwrócił się bez ostrzeżenia i warknął. - Odpieprz się. Nie masz pojęcia, z czym mam do czynienia. - Popchnął Buscha na samochód, uderzając go mocno skutymi pięściami. Busch przyjął cios, jego wielkie ciało zamortyzowało uderzenie.

Michael uderzał raz za razem, do chwili, kiedy tamten uznał, że dość. Uderzył Michaela raz, za to prosto w szczękę, odrzucając go na garbusa z 1999 roku.

Michael opadł na samochód, a po jego twarzy spływał deszcz.

- Nie miałem wyboru. Czy możesz to zrozumieć? Nie miałem. Kocham ją.

Po czym skuty kajdankami, przemoczony do suchej nitki, zaczął uciekać.

Busch stał bez ruchu, patrząc, jak znika w ciemności i strugach deszczu.

I w tym momencie rozległy się strzały.

Cały magazynek, szybko i z wściekłością. Odbijały się rykoszetem od mokrej nawierzchni, od samochodów.

Busch rzucił się śladem Michaela i dostrzegł go dwa rzędy samochodów dalej. Biegł z pochyloną głową. Rozległy się następne strzały. Strzelec stał gdzieś dalej, po lewej stronie. Rzucając się do przodu, Busch zbił Michaela z nóg i nakrył go swoim ciałem.

Strzały ucichły.

Nie było słyhać nic poza burzą. Busch wciągnął Michaela pomiędzy samochody, po czym wyjrzał, szukając wzrokiem napastnika. Nic nie widział w strugach deszczu. Nikogo. Przy pierwszym strzale Busch automatycznie sięgnął ręką do broni, ale był przecież nieuzbrojony. Nie mógł zabrać broni na pokład samolotu.

-Michael... co tu się, kurwa, dzieje?

-Rozepnij mnie - nalegał Michael, wskazując na kajdanki. - Rozepnij! W tym jestem wystawiony jak kaczka na cel.

Busch rozpaczliwie usiłował ocenić sytuację. Jeżeli strzelec był profesjonalistą, będzie zmieniał pozycję, oceniał swoją zdobycz i dokończy.

-I znowu mi uciekniesz - stwierdził.

-Umrę, jeśli tego nie zrobię. - Michael spojrzał na niego beznamiętnym, pełnym rozpaczny wzrokiem. - Proszę... zrób to dla Mary.

Busch złapał Michaela i pobiegli, pochyleni, między rzędami samochodów służących im za osłonę.

- Widzę, że znowu udało ci się kogoś wkurzyć - wy sapnął Busch.

Nagle Michael dostrzegł w odległości około dziesięciu metrów poruszający się cień. Rzucił się na ziemię, kryjąc za bmw, Busch zrobił to samo. Wyglądało na to, że akcja była przygotowana. Nie mogli go zabić w więzieniu, naraziliby się bowiem na zbyt wiele problemów. Czemu by więc nie wypuścić go na wolność, w miejscu doskonale nadającym się do polowania, gdzie myśliwy może go ustrzelić z bliskiej odległości? Był skuty kajdankami, pozbawiony możliwości obrony. Busch był zapewne tylko frajerem, nie zdającym sobie

sprawy z przydzielonej mu roli.

- Musimy się dostać z powrotem na stację - odezwał się Busch, a jego słowa były niemal niesłyszalne w deszczu.

Znowu rozległy się strzały, tym razem z prawej. Rzucili się w lewo, nisko pochyleni, przeskakując przez kałuże, a ich drogę co jakiś czas oświetlały błyskawice. Nagle nastąpiła zmiana - strzały zaczęły dochodzić z lewej.

Widocznie było dwóch strzelców.

Znaleźli się więc w pułapce, jak zwierzęta prowadzone na rzeź. Busch próbował otworzyć drzwi Citroëna, za którym przykucnęli, ale bezskutecznie. Nie mogli nawet wybić szyby w oknie, bo włączyłby się alarm i wskazał prześladowcom miejsce ich kryjówki, przyspieszając tylko śmierć.

I znowu strzały ucichły. Michael już nie wiedział, co było lepsze: wypełniona bębnieniem deszczu cisza czy terkot strzałów. Kiedy pociski śmigły mu koło uszu, działał instynktownie, myśląc wyłącznie o tym, żeby się ratować. Ale w ciszy... Cisza rodziła oczekiwanie, które szarpało mu duszę. Była gorsza niż powolne umieranie. Strach przed tym, co mogło się wydarzyć, paraliżował go. Napastnicy wiedzieli o tym i stosowali presję psychiczną. Skutecznie.

Busch i Michael spojrzeli na siebie. Obaj zdawali sobie sprawę z rozpaczliwej sytuacji. Busch nie przyjechał tu po to, żeby dać się zabić i nie zamierzał też pozwolić, żeby zabito Michaela. W tej chwili zmieniła się perspektywa widzenia Buscha. Potrzeba ratowania życia oczyściła jego umysł, pozwoliła mu skoncentrować się na jednym. Wiedział teraz, że Michael miał rację. Ze skutymi rękami nie miał szansy. Wyciągnął klucz od kajdanek...

Kiedy kajdanki opadły na ziemię znowu rozległy się strzały. Teraz z bliższej odległości. Pętla wokół nich zaciskała się. Michael wskazał palcem w kierunku wąskiego przejścia między samochodami i obaj równocześnie zerwali się do biegu. Za ich piętami poszła seria rykoszetów, pociski tłukły szyby, rozpruwały opony. Pewnie tak właśnie wygląda na wojnie, pomyślał Busch. Biegli w stronę opuszczonej budki strażnika parkingu. Strzały gwałtownie ucichły. Pięć sekund ciszy...

... a potem pojedynczy strzał.

Busch nagle uświadomił sobie, że deszcz był dla nich błogosławieństwem. Strzelcy byli profesjonalistami i obaj z Michaelem dawno by już nie żyli. Ściana deszczu nie tylko ich osłaniała, zaburzając atakującym pole widzenia, ale też w nieprzewidywalny sposób wpływała na trajektorię pocisków.

-Musimy trzymać się na odległość od nich obu. Jeśli nam się to uda, może damy radę

wydostać się stąd - powiedział ponuro Michael.

-Nein.

Busch odwrócił się. W odległości niespełna półtora metra zobaczyli wycelowaną w nich lufę magnum. 44. Granatowy dres mierzącego do nich człowieka był przemoczony, długie, jasne włosy przykleiły mu się do czaszki, a usta wykrzywiał grymas; Busch odniósł wrażenie, że zabójcy brakowało mięśni potrzebnych do uśmiechu. Mężczyzna skierował lufę prosto w Michaela, ale zanim zdążył pociągnąć za spust, Busch wsunął się przed przyjaciela, zasłaniając go swoim ciałem.

- Mój pocisk przebije serca was obu - zagroził napastnik.

- Anders? - zawołał za siebie.

Usłyszeli dochodzący zza jego pleców odgłos szurania. Zbliżał się drugi prześladowca. Byli w pułapce.

- Mój brat będzie zawiedziony. Założył się ze mną o pięć euro, że to on zabije. - Złożył się do strzału i...

Jego skroni dotknęła lufa strzelby, na szyi zacisnęły się czyjeś palce. Napastnik zacharzał, usiłując wciągnąć powietrze.

-Nein. - wyszeptał jakiś głos.

-Mój brat cię rozwali, zanim pociągniesz za spust - zagroził blondyn.

-Nein. Twój brat już nikogo nie rozwali. - Simon obrócił napastnika wokół jego osi, zmuszając go, by popatrzył. Na ziemi leżał Anders z dziurą w czole. - Rzuć broń.

Nie zrobił tego, a wtedy Simon bez wahania, bez emocji, strzelił mu w skroń, po czym rozluźnił chwyt, pozwalając ciału osunąć się na ziemię. Krew strużkami popłynęła po mokrej nawierzchni. Simon spojrzał w górę, ale choć jego dusza należała do Boga, oczy były zimne, bez wyrazu, martwe jak u najemnika.

-Chodźmy - zwrócił się do Michaela i Buscha.

-A co z ciałami? - W Buschu odezwał się gliniarz. Simon ruszył w szarą, deszczową noc.

-Co zrobimy z ciałami? - powtórzył Busch.

Ale Simon był już poza polem widzenia. Zniknął w strugach deszczu.

*

Berlin, nawet po zjednoczeniu, nadal miał swoje zaułki. Ciemne i głębokie. Co jakiś czas przemykał nimi szczur, szukający pożywienia, ale prócz tego żadna inna żywa istota nie zapuszczała się tam z własnej, nieprzymuszonej woli. Taki zaułek był więc doskonałym miejscem do ukrycia wypożyczonego samochodu. Simon nie chciał zwracać na siebie uwagi

jakiegoś ciekawskiego policjanta. Po fakcie zdał sobie sprawę, że nie miał powodu się martwić. Nawet na parkingu policyjnym nie było żadnego człowieka w niebieskim mundurze, tak więc zabicie dwóch zabójców nie spowodowało poruszenia, jakiego można się było spodziewać. Czekał przed więzieniem od trzynastu godzin, od chwili, kiedy dowiedział się o aresztowaniu Michaela. Wydostanie go stamtąd było niemożliwe, zamierzał jednak po prostu zabić tego, kto by towarzyszył Michaelowi podczas ekstradycji i kontynuować sprawę z Finsterem.

Deszcz przestał padać, ale wszędzie były kałuże wielkie jak jeziora. Simon siedział za kierownicą, silnik pracował na wolnym biegu, podczas gdy Michael i Busch stali na środku zaułka, kłócąc się. Deszcz zmył nagromadzone śmieci, ale nie oczyścił powietrza. Wydawało się, że smród przenika nawet przez otaczające ich ceglane ściany.

Po zabiciu przez Simona dwóch prześladowców, po prostu uciekli niezatrzymywani przez nikogo z policyjnego parkingu wypożyczonym przez Simona samochodem. Jechali w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, gryząc się w język, żeby nie wybuchnąć gniewem skierowanym przeciwko pozostałym. Milczenie przerwane zostało w chwili, kiedy Michael i Busch wysiedli z samochodu, wchodząc prosto w kałużę.

-Co zamierzasz zrobić? - zwrócił się do Buscha Michael.

-A co powinienem?

-Powinieneś wyjechać. - Simon siedział z rękami opartymi o kierownicę.

Busch odwrócił się w jego stronę.

- Nie pytałem ciebie - warknął, po czym skierował wzrok na Michaela. Czekał na odpowiedź.

-Naraziłem cię już wystarczająco dużo - powiedział Michael.

-Nie przejechałem pół świata dla czystej przyjemności.

-To, co ci mówiłem wcześniej, o tym Finsterze...

-... jest prawdą - dokończył za niego Simon, bębniąc niecierpliwie palcami po kierownicy.

-To ty nabiłeś mu głowę tymi pieprzonymi bzdurami? - Busch był tak wściekły, że aż drżał mu głos.

-To nie są bzdury - Simon wysiadł z samochodu.

-Kim ty jesteś, jakimś klepiącym *Biblię* fanatykiem, czy co?

-W tylu słowach...

Busch nie pozwolił mu dokończyć.

-W tylu słowach... nie, w czterech słowach: Zamknij. Swój. Pieprzony. Ryj.

-Jestem księdzem.

Busch zamilkł. Był wierzący. Tak bardzo, że wyznanie wiary przez drugiego człowieka nie powinno go zdziwić, ale słowa Simona mimo wszystko zdumiały go. Nie tylko mówił napastliwie, ale w końcu - a przecież Busch był świadkiem - zabił człowieka. Wsadził mu kulę w głowę sprawnie jak maszyna. Napastnik w dresie nie miał cienia szansy, co nie znaczy, że należy go żałować, bo on też nie darowałby im życia. Ale ten ksiądz nie obijał się. Busch zwrócił się do Michaela.

-Nie przyjechałem tu, żeby cię zaciągnąć na siłę z powrotem.

-Nie? Przecież to ty sprawiłeś, że mnie aresztowano.

-Wykluczone. Nikomu nie powiedziałem, że opuściłeś kraj. Ani wtedy, ani teraz. A tak na marginesie, to zostawiłeś mnie z rozdziawioną ze zdumienia gębą na bramce kontroli bezpieczeństwa na lotnisku. Co to, kurde, było? Łgałeś mi w żywe oczy. - Znowu ogarnął go gniew. - To nie ja sprawiłem, że cię aresztowano. Mój nowy były partner mnie wrobił. Pamiętasz tego pieprzonego elegancika, który spałował cię wtedy w twoim mieszkaniu?

Michael przytaknął.

-Nazywa się Thal, jest z Kontroli Wewnętrznej i węszył wokół mojego tyłka, Bóg wie czemu. A teraz uważa, że pozwoliłem ci zwiąć. Chce, żeby cię ściągnięto z powrotem, żeby mogli dobrać mi się do dupy. Ten chłopak ma dobre informacje, muszę przyznać. Wiedział, gdzie się wybierasz, jeszcze zanim wyjechałeś. Skontaktował się z Interpolem i podał dokładne miejsce twojego pobytu na godzinę przed tym, jak cię zgarnęli.

-To czemu trzymałeś mnie w kajdankach, przyjacielu? - zapytał szyderczo Michael, nadal zły na Buscha.

-Cóż... przyjacielu... jak odbierasz kogoś na podstawie międzynarodowego nakazu aresztowania, kajdanki są obowiązkowe. Miał cię odebrać Thal i przewieźć do Stanów dziś wieczorem. Jak chcesz, mogę cię zaprowadzić z powrotem. I posłuchaj - Busch pochylił się w stronę Michaela - kajdanki były dla twojego dobra. Musiałem cię zmusić do słuchania. Chciałem, żebyś mnie wysłuchał.

- Nie ma nic, co mógłbyś zrobić, żeby nam pomóc - przerwał mu niecierpliwie Simon.

- Michael, tracimy cenny czas.

Busch przeniósł wzrok na księdza.

- Widzę, że nasza znajomość wspaniale się zapowiada, ojczce.

Simon wpił się wzrokiem w Buscha, ale na gliniarzu nie zrobiło to wrażenia.

Zignorował go i ponownie zwrócił się do Michaela.

- Nie wierzę w całe to gówno, ale... - Wyciągnął teczkę i rzucił ją na maskę samochodu - ... To dotyczy tego faceta, Finstera. - Spojrzał na Simona. - ... Który jest tylko człowiekiem. - Znowu zwrócił się Michaela. - Jego działalności, zwyczajów, przyjemności, jego zainteresowań kobietami. Wizerunek nieco skrótowy, ale mogę się założyć, że masz tu znacznie więcej, niż dotychczas wiedziałeś.

Zupełnie jakby jego gniew nagle zniknął, gliniarz uśmiechnął się szeroko. Jak już tu był, to równie dobrze mógł wykorzystać ten pobyt. Złożył ręce, pocierając je energicznie.

-Więc co, macie chłopaki, jakiś plan?

-Pracujemy nad tym - odparł Michael.

-Pracujecie? - Uśmiech Buscha nagle zgasł. - Ale zespół. I co zamierzacie zrobić? Wpadniecie do niego, zastąpicie mu drogę i powiecie: „Oddaj te klucze?”.

Burza rozszalała się na nowo, a ulewny deszcz zmył resztki mgły. Simon rozkładał liczne krzyże po całym pokoju hotelowym, modląc się przy tym. W jednym roku paliły się świece z wyrytymi łacińskimi inskrypcjami, rzucając blask, który stwarzał wrażenie, jakby otaczało ich pole jakiejś świętej mocy. Spartański wystrój pokoju hotelowego nabrał skrajnie gotyckiego charakteru, co Busch chętnie wyśmiałby, gdyby jego dwaj towarzysze nie byli tak śmiertelnie poważni.

-Czy mogę zapytać, co robisz? - odezwał się Busch, wyciągając się na jednym z łóżek i z piwem w dłoni. Uznał, że w świetle tego całego otaczającego go szaleństwa jego moratorium na picie przestało obowiązywać.

-Chronię nas - odparł Simon ściszone głosem.

-Przed?

-W świetle nie widzi się ciemności. Zło unika wszystkiego, co święte.

-Nie tam, skąd pochodzę. Kogo próbujesz odpędzić, Draculę? - Busch wznosił oczy do góry.

-Powiedzmy, że chodzi o coś znacznie gorszego. - Simon nie zadał sobie trudu, żeby oderwać wzrok od swojego zajęcia.

-I naprawdę wierzysz, że te świece są w stanie to odpędzić? Ochronić nas przed potworem spod łóżka?

Simon przytaknął. Busch westchnął.

-Jasne, i to coś ma nas w garści. W pułapce. - Wstał, przeszedł się po pokoju, przyglądając się krzyżom. Nigdy jeszcze nie widział tak wielu i tak różnorodnych. - A jeśli się mylisz? Jeśli ten Finster nie jest tym, o co go podejrzewasz? Jeśli faktycznie

jest twardym miliarderem, przemysłowcem, mającym zboczoną obsesję na punkcie kluczy i ochroniarzy?

-Wówczas nie będzie to takie trudne - odparł Simon. - Ale na wszelki wypadek... - podszedł do swojej torby i wyciągnął półautomatyczny karabin Heckler&Koch.

-OK. - Busch spojrział w stronę Michaela, szukając u niego pomocy, ale Michael siedział przy stole milczący i nieruchomy. - Jakim ty jesteś księdzem? - zapytał Simona.

Simon ponownie zajął się rozkładaniem krzyży.

- Niektórzy księża opiekują się chorymi, inni wysłuchują spowiedzi, odprawiają msze, niosą Słowo. Wykonuj takie posługi, przy których ich zdolności są najlepiej wykorzystywane, te, których Kościół od nich oczekuje A ja? Ja mam talent do innych rzeczy. Ja chronię Boga. Gdybym go zabił - Simon wykonał gest w kierunku Michaela - wtedy, w Izraelu, kiedy miałem szansę...

- Zabił go? - spytał Busch z oburzeniem. - Próbowałeś zabić Michaela?

- Jesteś przedstawicielem prawa. Pilnujesz przestrzegania prawa w twoim mieście, w twojej społeczności. Cóż, ja też jestem przedstawicielem prawa. Prawo, które mnie obowiązuje, to prawo boskie. Pilnuję przestrzegania praw boskich i jeśli konieczna jest egzekucja, to... - Wzruszył ramionami. - Czy tak bardzo się różnimy?

-Nie porównuj nas - warknął Busch przez zaciśnięte zęby.

-Zamierzałeś aresztować Michaela tylko za to, że wyjechał z kraju. Chciałeś posłać go do więzienia za to, że próbował ratować życie żony. Jest twoim przyjacielem, a jednak byłeś gotów mu to zrobić? - Simon odwrócił się tyłem do Buscha i wrócił do rozkładania krzyży. - Najwyraźniej cenisz to swoje prawo bardziej niż waszą przyjaźń.

- Ułożywszy ostatni krzyż, podniósł kieliszek bourbona. - Ja cenię moje prawo bardziej niż życie. Gdybym zabrał mu jego ziemskie życie, nadal miałby życie wieczne, wszyscy mielibyśmy. Ale teraz... Cóż, nie zabrałem mu tego. Zrobił to Finster.

W dziwny sposób Busch zrozumiał Simona. Wiedział dokładnie, o czym ten szaleniec mówił. Nie zgadzał się z nim, ale rozumiał. Tyle, że to niczego nie zmieniało.

- Chcesz powiedzieć, że to Szatan mu zabrał? - zapytał na wpół ze śmiechem, obracając słowa Simona w żart.

Simon nienawidził jednak, kiedy żartowano sobie z niego.

-Jesteś tu, żeby nam pomóc? To lepiej uwierz w to, co mówię. August Finster jest złem.

-Naprawdę? - Trudno byłoby zadać to pytanie bardziej protekcjonalnym tonem. - Głosisz po świecie tę swoją gówną wartą teorię, traktujesz mojego przyjaciela jak jakieś narzędzie. Czyje rozkazy wypełnia teraz Michael, *Padre*? Co? Grasz na jego uczuciach, wykorzystując sytuację, w jakiej znalazła się jego żona. Postępujesz dokładnie tak samo, jak przedtem Finster. - Oskarżycielsko wyciągnięty palec Buscha wyładował niebezpiecznie blisko nosa Simona. - Finster przynajmniej mu zapłacił.

-Paul? - Michael wyprostował się w krześle. Zbyt wiele razy widział już Buscha wybuchającego i choć doceniał to, że występował w jego obronie, nie mógł pozwolić, żeby wszystko się znowu popsuło. Musieli współdziałać, skoncentrować się na czekającym ich zadaniu.

-On cię traktuje jak głupca, nie widzisz tego? - zachnął się Busch.

-Wiem, co robię - odparł Michael.

-Naprawdę? Mary potrzebuje cię, bardzo cię potrzebuje. Wiem, że nie jesteś w stanie teraz myśleć logicznie, ale ja jestem. Muszę cię dostarczyć do domu, zanim cię zabiją.

-Wierzę, że to, co robię, jest słuszne. Proszę cię jak przyjaciela: zaufaj mi.

Busch nie umiał z czymś takim walczyć. Wiedział, że to wszystko było bez sensu. O mało obaj z Michaelem nie zginęli, teraz tkwili w tej hotelowej dziurze bez planu, a gdzieś był ktoś czy coś, kto chciał ich zabić. Ale w oczach Michaela dostrzegł głębokie przekonanie.

-W porządku... Ale nadal nie wierzę w całe to gadanie o Diable, Piekło, wiecznym potępieniu...

-Czy wierzysz, że istnieje Niebo? - przerwał mu cicho Simon.

-To nie o to chodzi.

-Czy wierzysz w Niebo? - ryknął Simon.

-Tak - odwrzasnął Busch z wściekłością.

-To dlaczego tak ci trudno uwierzyć w Piekło? To dwie strony monety. - Simon zamilkł na chwilę, starając się uspokoić. - Żartujesz sobie z czegoś, czego nie rozumiesz. Piekło istnieje naprawdę i jest wieczne. - Teraz Simon celował palcem w twarz Buscha. - Piekło nie jest jakimś malowidłem na ścianie, a Szatan jakimś aktorem w filmie. Chciałbym, żeby był po prostu bestią z kopytami i szponami. - Głos księdza z każdym słowem brzmiał bardziej przekonująco. - Człowiek stworzył wyobrażenie Szatana i Piekła we własnych myślach: Piekło Dantejskie, dziewięć kręgów Piekła, ogień i siarka. To wszystko bzdury. Ludzka wyobraźnia. Tak jak nie potrafimy pojąć piękna i zbawienia w Niebie, tak nie potrafimy też pojąć cierpienia i męczarni w Piekło. To coś ciemnego, bezwzględnie i niewyobrażalnie złego. Piekło

- Simon roześmiał się - nie zasługuje na żadną nazwę. Nie masz pojęcia, czym jest czyste zło, ale się dowiesz... Zanim wykonamy nasze zadanie, będziesz wiedział lepiej niż inni ludzie na ziemi, co znaczy prawdziwe zło.

ROZDZIAŁ 24

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Busch i Simon spierali się, Dennis Thal zjawił się w Komendzie Głównej Zjednoczonej Policji Berlińskiej. Przedstawił dokumenty potrzebne do odebrania Michaela i odniósł wrażenie, że każdy kolejny rozmawiający z nim był coraz bardziej zmieszany. Każdy udawał, że potrzebuje tłumacza, co doprowadzało Thala do szału. Tym bardziej, że za każdym razem uzyskiwał tę samą odpowiedź. St. Pierre został odebrany, ktoś już podpisał przejęcie go i tym samym przestało już być ich problemem. Za każdym razem Thal uprzejmie przytakiwał głową, po czym prosił o rozmowę z funkcjonariuszem wyższego szczebla. Kiedy wreszcie sam komendant powtórzył mu tę informację, Thal starając się nie okazywać wściekłości wyszedł. Opis człowieka, który odebrał Michaela, był nieprecyzyjny, ale jeden szczegół pozwolił go zidentyfikować: eskortujący Michaela był *ein riesig grosse Bar* - niezwykle dużym niedźwiedziem.

Kiedy Thal znalazł się na parkingu, deszcz przestał właśnie padać. Stawka wzrosła. Paul Busch wyraźnie wyprzedzał go o krok. Teraz polował już nie na jednego zwierza, a im więcej o tym myślał, tym bardziej był podekscytowany. Jego celem był Michael, a dla przyjemności załatwi i Buscha. Załatwienie każdego z nich osobno byłoby czymś wspaniałym, ale dopaść ich razem... to rozkosz dla zmysłów.

Z zamyślenia wyrwał go widok dwóch trupów. Białe pasy na ich dresach nasiąkły już krwią. Jeden nadal ścisnął w dłoni dziewięciomilimetrowy automat. Thal rozejrzał się. Wyglądało na to, że w pobliżu nie było nikogo. Pochylił się i przeszukał zwłoki. Jeszcze nie zdążyły zeszywnieć. Zaklął: ktoś zaatakował Buscha. Ci dwaj faceci najwyraźniej byli europejskimi rezerwowymi. To znaczy, że liczone się z możliwością, że on - Thal - potrzebował wsparcia, dopuszczano możliwość, że mu się nie uda, że spieprzy sprawę. I to go wkurzyło. Zapisał sobie w pamięci, żeby poruszyć tę kwestię, kiedy już odniesie sukces. Przyjrzał się ciałom dokładniej, sprawdzając miejsca wejścia i wyjścia kuli. Rany były zadane przez profesjonalistę: - każdy strzał prosto w głowę. Ktoś więc chronił Michaela. No cóż, to tylko podnosiło wartość sprawy o kolejny punkt.

Początkowo zadaniem Thala nie było zabicie Michaela. Miał go tylko obserwować, znać każdy jego krok. Kiedy tylko dowiedziano się, że Michael był zwolniony warunkowo, Thal po prostu zaczął wewnętrzne śledztwo w sprawie oficera prowadzącego tego byłego więźnia. Znalezienie się w towarzystwie mężczyzny, z którym Michael utrzymywał najbliższy kontakt, było absurdalnie łatwe.

Przez pięć lat Thal ukrywał się za maską Departamentu Kontroli. Tajny wydział dawał mu możliwość swobodnego przemieszczania się i wymykania bez wcześniejszego uprzedzenia, a pretekstem było prowadzenie poufnego dochodzenia. Osiągał średnie wyniki, a o to mu właśnie chodziło. Przeciętność była zawsze na tym świecie ignorowana. Wszystko, co przeciętne, było dla ludzi mało interesujące. Uwagę przyciągali tylko wybitni, odnoszący sukcesy, popularni lub ponoszący sromotną klęskę. Dlatego wypracował sobie pozycję w samym środku. Nie mógł zwracać na siebie uwagi, ponieważ wtedy ryzykowałby swoją namiętność: zabijanie.

Dennis Thal był w tym wybitnie dobry i doskonale mu za to płacono. Nie dostrzegał zbyt wielu zabawnych aspektów życia, ale to, że płacono mu sownie za to, co naprawdę uwielbiał robić, zawsze odbierał jako świetny żart. Jego zwierzchnik polecił mu znaleźć sobie odpowiednią pracę, która sprawiłaby, żeby nie rzucał się w oczy. I taka była właśnie praca w Departamencie Kontroli Wewnętrznej. Zamaskowany gliniarz wśród zamaskowanych gliniarzy. Pozwalało mu to monitorować postępy dowolnego dochodzenia, które mogłoby prowadzić do niego, i dawało mu jedyną w swoim rodzaju możliwość manipulowania dochodzeniami w razie potrzeby. Właściwie całkiem lubił Departament Kontroli Wewnętrznej. Wścibiając nos w czyjeś brudy, uzyskiwał władzę pozwalającą na rujnowanie innym życia. Czy może być coś lepszego? Ale tym, co lubił najbardziej, było dorabianie na boku u tajemniczych osób, które go zatrudniały. Zarobki były ogromne, a przyjemność jeszcze większa. Znalazł więc swoje powołanie i osiągał doskonałe wyniki.

Do komendy policji w Byram Hills wślizgnął się pod pretekstem prowadzonego przez Departament Kontroli Wewnętrznej dochodzenia w sprawie systemu zwolnień warunkowych, a dokładniej - w sprawie Paula Buscha. Kapitan Delia był tak tym przerażony i tak bał się o swoją skórę, że udostępnił wszystko, co miał na temat swojego najlepszego oficera - historię Buscha, rejestry, wszystko. I, co najważniejsze, także te akta, które najbardziej interesowały Thala: teczkę z aktami Michaela St. Pierre'a.

Miał mieć Michaela na oku. Jego zadanie nie przewidywało zabicia, tylko obserwowanie. Thal był jednak Thalem, jego potrzeby były inne. Gardził Buschem, jego miłym, nijakim życiem, doskonałą postawą moralną i surowym kodeksem postępowania. Od chwili kiedy Busch potraktował go z góry, nie chcąc z nim pracować, Thal zaczął szukać punktu zaczepienia, sposobu na zniszczenie Buscha i jego wygodnego życia. W końcu był w policji kontrolującej policję. Miał wszelkie możliwości usunięcia z systemu dowolnego gliniarza uznanego za skorumpowanego. A tak się szczęśliwie złożyło, że do rozwalenia Buscha przyczyni się jego głupie poczucie przyjaźni, z powodu którego pomógł najlepszemu

przyjacielowi złamać zasady zwolnienia warunkowego! Thal będzie tylko na właściwym miejscu, aby go z tego rozliczyć. Najpierw zniszczy karierę Buscha. A potem - jego życie.

Stojąc przed komendą policji w Berlinie, Thal zdał sobie sprawę, że powinien posłuchać swojego instynktu i zabić Buscha, kiedy miał na to szansę. Teraz stracił kontrolę nad sprawą. Busch miał Michaela i obaj się wymknęli. Thal wiedział, że nie może nawalić. Gdyby tak się stało, skończyłby jako bezrobotny, i, co najtrudniejsze do zaakceptowania, bez wątplenia martwy.

Michael wymknął się ze Stanów, zanim Thal zdążył go powstrzymać, dlatego przekazano mu nową dyrektywę. Jego serce niemal zamarło z wrażenia. Mógł się już nie hamować. Nienawidził roli opiekuna do dzieci, obserwującego tylko i podglądającego. Był jak rekin, potrzebował nieustannego ruchu, polowania, nieustannie odczuwał żądzę krwi; ograniczony i zmuszany do bezczynności, dusił się i tonął.

Teraz już nie musiał obserwować: miał zabić. I nie tylko Michaela. Postanowił, że Busch też zginie. A jeśli którykolwiek z nich będzie mu sprawiać kłopoty, może wróci i odwiedzi też ich rodziny. Ta słodka Mary mogłaby się wtedy przestać martwić z powodu swojego raka...

Odgłos kroków odbijał się echem od wilgotnych kamiennych ścian. Ciemność przecięła blask zapalanej zapalki, grube cygaro rozżarzyło się, a dym powędrował w górę jaskini, gdzie tańczył wokół stalaktytów, piętnaście metrów wyżej. Pojedynczy płomień zapalki mnożył się, w miarę jak Finster zapalał kolejne świece; było ich sto, wzdłuż wszystkich ścian. Finster kontemplował swoją dziwną kolekcję religijnych dzieł sztuki. Przechodził powoli obok każdego z czią należną królom. Każda praca była starannie wyszukana, zlokalizowana, nabyta, skatalogowana i odnowiona. Duma była jego najulubiejszym grzechem śmiertelnym. Duma była wyrazem jego uznania dla siebie samego, podbudowanego osiągnięciami. A on tak bardzo lubił to, co osiągnął.

Zgromadził trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt jeden prac, ustawionych jedna przy drugiej, z jego ulubionymi na honorowych miejscach. Wiele z nich zostało kupionych w galeriach i na aukcjach. W przypadku okazjonalnych dzieł, które odnalazł u prywatnych właścicieli, w ich zbiorach lub domach, a bez których nie mógł się obejść, korzystał z innych metod. Dotyczyło to trzynastu eksponatów, z których dziewięć znaleziono w świątyniach.

Finstera szczególnie fascynowali pomniejsi bogowie i demony z wczesnych religii, które nowoczesne wiary traktowały jako mitologie. Hades i Persefona, bogowie greckiej krainy zmarłych; Anubis, egipski bóg zmarłych; Prozerpina, rzymska bogini świata zmarłych; i Loki oraz Sigun, oszukańczy bogowie skandynawscy. Najbardziej fascynowało go to, że ci

bogowie ciemności uważani byli za element siły równoważącej w swoich konkretnych królestwach. Nie byli bogami, których trzeba było pokonać i wypędzić. Budzili strach, ale otaczano ich szacunkiem, a nawet podziwem i uznawano ich obecność w codziennym życiu za konieczność. Fakt, że współczesne wiary zrobiły wszystko, aby umniejszyć znaczenie ich jedyne go księcia ciemności zdumiewał go i doprowadzał do furii.

Hinduskiemu bogu Shiwie, jednemu z najciemniejszych żeńskich bogów, wystawiano kapliczki i świątynie i do dziś zanoszono do niego modły. Zaspokajano jego potrzeby, składano ofiary, mówiono z szacunkiem, a wiele osób szukało u niego pomocy. Wyznawcami Shiwy nie gardzono. Kiedy człowiek zrobił coś złego, nie mówiono, że to Shiwa opętała jego duszę, tylko przypisywano czyn temu, kto dopuścił się go z własnej woli. Finster uwielbiał to dzieło, przed którym stał, ukradzione pod osłoną nocy ze świątyni koło Jaipuru. Sześć rąk Shiwy wyciągniętych do jej krzyczących pachółków, pogrążonych w ogniu.

Vlad wbijający na pal, wspaniały olej pędzla Rukaja, ukradziony Ceaucescu. Rumuński książę Wołoszczyzny budził ogromną sympatię Finstera. Vlad Dracula nigdy nie był bogiem. Był po prostu człowiekiem, w którym tkwiło zło w jego najczystszej postaci. Geniusz wojskowy, który siał strach w sercach nie tylko swoich wrogów, ale też i krajan. Hrabia, pochodzący z północnego, górskiego regionu, czuł żądzę władzy i niezaspokojony głód krwi. Zwycięski generał, który rozkoszował się rytuałem wbijania swych ofiar, a były ich tysiące, na pal, ich krew lała się strumieniami jako ostrzeżenie. Mając na świecie ludzi takich jak on - zwykłych, ze skłonnościami do przemocy i zła, zaspokajanymi dla ich własnej satysfakcji - nie było potrzeby sprowadzania na świat niegodziwości. Zło tkwiące w człowieku było złem człowieka.

Człowieka zawsze zło bardziej fascynowało niż dobro. Młodą dziewczynę nieodmiennie bardziej pociągał buntownik, chłopak w skórzanej kurtce i na motocyklu, który nie przestrzegał prawa. W końcu cóż mogło być interesujące w maniacu komputerowym, uosobieniu dobra? I tak było zawsze. Aktor wolał grać złego faceta, złoczyńca był bardziej intrygującym bohaterem literackim. Wystarczy poprosić kogokolwiek o podanie imion dziesięciu interesujących, dobrych osób i dziesięciu złych. Tych złych wymienił jednym tchem, ale po piątym bohaterze znalezienie kolejnych okazuje się niezwykle trudne.

Finstera zmęczyło już to wszystko. Ludzie stali się tak bardzo przewidywalni. Pomachaj im plikiem banknotów przed oczami, napomknij o seksie, a ich wola natychmiast nagnie się, jak trzcina na wietrze. Był zaledwie kusicielem, nigdy nie musiał występować w charakterze dzierżącego broń.

Ruszył dalej zwiedzać ten swój prywatny Luwr i w końcu stanął przed drzwiami

prowadzącymi do izby z kluczami, obok wisiał obraz przedstawiający wrota do Niebios. Zjawił się Charles z długim, czarnym workiem i wielkim nożem.

- Popatrzył i zorientował się, że to było dobre - mruknął Finster, nawet na chwilę nie odrywając oczu od obrazu.

Charles stał w rogu, obok wiszącego ciała. Położył na podłodze czarny, plastikowy worek, otworzył zamek błyskawiczny. Wokół unosił się zapach śmierci: wyraźnie zaczął się już rozkład ciała. Z dużym wysiłkiem Charles opuścił ciało na ziemię. Odgarnął bujne, rude włosy z niegdyś pięknej twarzy Elen i zdjął pętlę z jej spuchniętej, podrapanej szyi.

Głęboko zamyślony Finster nadal patrzył na obraz wrót do Niebios. Na jego usta zaczął wypływać lekki uśmiech.

- Jadę do domu - powiedział.

ROZDZIAŁ 25

Tysiące krzyży pokrywały okna, drzwi i ściany. Trudno było znaleźć choćby kilka centymetrów wolnych. Przypominało to Buschowi historię wielokrotnego gwałciciela, którego złapał osiem lat temu. Zdjęcia wycięte z czasopism, wyrwane z gazet, pokrywały każdy centymetr sypialni tego psychopaty. Wszystkie przedstawiały bardzo młode, jeszcze nierozwinięte dziewczęta. A psychol, zaledwie dziewiętnastoletni, kiedy Busch przyszedł go zaarrestować, po prostu siedział, zmieszany z powodu tego, co zrobił, powtarzając: „Zeus kazał mi to robić”.

Busch i Simon siedzieli na podłodze na środku pokoju, a pomiędzy nimi stała na dywanie butelka Cutty Stark. Było w niej nie więcej niż trzy centymetry whisky, chociaż otworzyli ją dopiero przed chwilą. W końcu znaleźli coś, co ich łączyło: obaj byli w sztok pijani.

- To co ty robisz ojcze, kiedy nie zwalczasz diabła, nie zabijasz ludzi i nie robisz tym podobnych świętych rzeczy? - Bełkot Buscha był ledwie zrozumiały.

- Gram... w szachy. - Simon mówił wyraźnie, ale widać było, że jest w nielepszej formie.

- Szachy są w porządku. Trochę zbyt intelektualne jak dla mnie.

- Futbol - wyrzucił z siebie Simon po długim namyśle, któremu towarzyszyło intensywne marszczenie czoła.

- Ooo... to już lepiej. - Busch wyprostował się.

- Ale nie amerykański. Piłka nożna.

Zachwyłt gliniarza osłabł.

- My - wskazał na Michaela, który sprawiał wrażenie bez reszty pochłoniętego układaniem pasjansa na łóżku - gramy w futbol. Dobry, amerykański futbol.

- Jesteście dobrzy?

-Jasne, jesteśmy dobrzy - odparował Busch.

-Trzeba być do tego silnym.

-Tak, silnym. - Busch zaczynał puchnąć z dumy.

-Szybkim?

-Im szybszy, tym lepszy.

-Byстрыm?

-Wręcz błyskotliwym. - Zastanowił się przez chwilę. - To znaczy, rozgrywający musi

być bystry.

-Jesteś rozgrywającym?

Nie - zaśmiał się Busch. - Jestem po prostu szybki i silny.

- Jak silny? - Simon, leżąc na brzuchu, wyciągnął przed siebie rękę opartą na łokciu, proponując pojedynek.

Busch uśmiechnął się szeroko. Rozprostował ręce, rozluźnił je, po czym wyciągnął się na podłodze na wprost Simona.

- Dobra, *padre*. Jesteś pewien, że chcesz?

-Pewien. - Simon napiął mięśnie, żeby mieć lepszy chwyt.

-To zrobmy to tak, żeby było ciekawie. Stawiam sto amerykańskich dolarów.

- Dobra, stówa - zgodził się pijany Simon.

Wyciągnęli pieniądze i rzucili na dywan.

Michael spoglądał na nich, pijanych, po pijacku puszących się. Wstał z łóżka i podszedł do stolika z jedzeniem. Wziął dwa smukłe kieliszki do wina i, odchrząkując dla efektu, zwrócił się od leżących na dywanie.

- Bzdura, chłopaki. Chcecie zobaczyć, który jest silniejszy? Więc zrobmy to tak, żeby naprawdę coś znaczyło. - Mówiąc to, uniósł kieliszki i roztrzaskał je o metalowy stół, tak że zostały tylko ostre jak brzytwa nóżki. Następnie podszedł do leżących i umieścił stłuczone szkło po obu stronach, na liniach opadania ich rąk. Ręka przegrywającego będzie musiała się nabić na ten kryształowy sztylet, szkło wbije się w dłoń na wylot. Michael uśmiechnął się.

- To lepsza motywacja niż sto dolców.

Simon i Busch wymienili spojrzenia.

- No - poganiał ich Michael. - Zaczynajcie. Jesteście obaj tacy pewni. Jeśli sami nie wierzycie w siebie...

Żaden z mężczyzn się nie poruszył.

- No i dobrze. - Michael przetasował karty, przerzucając je jak magik. - Wchodzę w to.

W młodości nauczył się tylko dwóch sztuczek z kartami, a zapamiętał jedną. Rozłożył w dłoni karty w wachlarz i wyciągnął je w stronę mężczyzn.

- Wyciągnijcie po jednej.

Simon i Busch spojrzeli na siebie, po czym sięgnęli do kart. Wyciągnęli po jednej, nie bardzo wiedząc, o co w tym chodzi. Alkohol wyraźnie dawał znać o sobie, kiedy tak siedzieli ogłupiali, trzymając wyciągnięte karty.

- Musicie je zobaczyć... - upomniał ich Michael.

Busch miał problemy z koncentracją, ale był pewny, że trzymał króla trefl. Simon spojrział na swojego waleta pik, po czym przycisnął go do piersi, żeby nikt nie mógł zobaczyć.

- A teraz włóżcie je z powrotem. - Michael wyciągnął rękę z talią kart, do której obaj mężczyźni posłusznie wsunęli swoje, przetasował kilka razy, dla efektu przejechał nimi po dłoni, następnie położył na podłodze.

-Bądź tak miły - zwrócił się do Buscha - i przelóż. Busch zrobił to.

-Daj mi dwie karty z wierzchu. - Michael poprosił Simona. Simon podał mu dwie karty, które Michael umieścił pod podstawkami dwóch stłuczonych kieliszków.

- Położyłem kartę wygrywającego pod szkłem przegrywającego. - Dorzucił banknot studolarowy. - Wchodzę do gry.

Simon i Busch popatrzyli na wyszczerbione szkło nad kartami, zastanawiając się i oceniając chory wybór, jakiego musieli dokonać.

- I co, boisz się, święty mężu? - zakpił po pijacku Busch.

- Na pewno nie ciebie, Brzoskwinku.

Busch poczuł przyływ furii. Chwycili się za ręce, każdy starając się uchwycić jak najwygodniej. Oparli lewe ręce na podłodze, wzmacniając dźwignię i...

- Sędziujesz - zawołali jednocześnie.

Michael złapał ich splecione dłonie, sprawdził, czy ułożone są równo i, co ważniejsze, czy są na linii szklanych bolców. Potem ledwo słyszalnie ogłosił:

- Start.

Obaj byli silni, mieli naprężone mięśnie i determinację w oczach. Ich złączone dłonie tkwiły w bezruchu chyba całą wieczność, drżąc jak silnik uruchomionego samochodu. Niemal niezauważalnie, Busch zaczął wygrywać - zaledwie odrobinę, ale splecione ręce zdecydowanie przechylały się na jego korzyść. Ze zmarszczonym czołem, skoncentrowany, drżał na całym ciele, gdy nagle... Simon zaczął zdobywać przewagę. Jeszcze nigdy w życiu Busch nie przegrał z nikim na rękę, a teraz ten pijany ksiądz miał szansę zwyciężyć.

Minęła minuta.

Wpatrzni w siebie, skoncentrowani do maksimum, z ociekającymi potem czołami oddychali spazmatycznie. Obaj nieprzyzwyczajeni do przegrywania, gotowi zrobić wszystko, żeby nie ustąpić. I choć pojedynek zaczął się jako pijackie wyzwanie, alkohol wyparował z nich pod wpływem wysiłku i sprawiali wrażenie zupełnie trzeźwych.

Po chwili szala zwycięstwa znowu zaczęła się przechylać na stronę Buscha. Najpierw niezauważalnie, ale w miarę upływu sekund dłoń Simona centymetr po centymetrze zaczęła zbliżać się do poszarpanego szkła. Busch wolałby umrzeć, niż przegrać. Dłoń księdza była w

pół drogi do poharatania, ale nawet w świetle tej nieuniknionej perspektywy Busch zacisnął zęby i cisnął. Wpatrzeni w siebie nawet na moment nie zerknęli na szklane ostrza.

Nagle ręka Simona przestała opadać. Żyły na jego szyi nabrzmiały. Dłoń tkwiła w bezruchu centymetry nad szkłem. Obaj wzrokiem rzucali sobie wyzwania, skłaniali do poddania się.

Minęły dwie minuty. Zaczynali tracić siły.

Busch skądś wykrzesał nową energię i zaczął centymetr po centymetrze prowadzić rękę Simona ku porażce. Naciskał, systematycznie przesuwając.

Dłoń Simona była tuż nad poszarpanym słupkiem szkła. Czuł, jak ostre krańce dotykają włosków na skórze, mimo to nie czuł strachu, a jedynie determinację. Ból zranionej ręki wydawał mu się niczym w porównaniu z nieznanym cierpieniem z powodu przegranej.

Michael był pewny, że żaden z nich nie przejdzie przez tę ciężką próbę, ale teraz stał jak zahipnotyzowany, patrząc na makabryczne zakończenie.

To Busch pierwszy odwrócił wzrok. Tylko na moment. Nie mógł oprzeć się i przelotnie spojrzeć na szklane ostrze, po czym pospiesznie wpatrzył się w oczy przeciwnika.

Simon nie drgnął. Szkło dotykało teraz do jego skóry, wystarczyłoby lekkie drgnięcie... Jego dłoń była już niemal nabita na szklane ostrze, kiedy...

Busch wycofał się z rozgrywki. Ręka Simona odskoczyła jak sprężyna uwolniona z bezlitosnego uścisku. Nie padło ani słowo. Busch wpatrywał się w dywan, rozcierając rękę, a Simon spoglądał to na szkło, to na swoją dłoń.

- No cóż. - Michael pochylił się, zbierając plik banknotów. - To było łatwe.

Wetknął pieniądze do kieszeni.

Busch i Simon spojrzeli na Michaela, nic nie rozumiejąc. Busch pierwszy zorientował się, o co chodzi. Wyciągnął kartę spod nóżki kieliszka i odsłonił. Piątka pik. Simon złapał i odsłonił drugą... Ósemka kier. Żadna z kart nie była tą, którą wyciągnęli. Spojrzeli na Michaela trochę zmieszani i zdrowo wkurzeni.

- No co ty, oszalałeś? - zapytał Busch.

- Wiedziałem, że ludzkie uczucia okażą się silniejsze niż wasze ego - odparł Michael.

- Chwileczkę. Wcale nie wygrałeś, przyjacielu. Możesz sobie myśleć, że jesteś taki bystry, ale spieprzyłeś zakład. Żadna z kart nie była właściwa. - Busch wyciągnął do Michaela rękę. - Oddawaj.

Michael zignorował gest gliniarza i zwrócił się do księdza.

- Daj mi swój nóż.

Simon zawahał się przez moment, po czym podciągnął prawą nogawkę, wyciągnął z

przypiętej do łydki pochwy nóż myśliwski i podał go Michaelowi.

Michael wyciągnął w stronę Buscha talię kart.

- Rzuć je w górę - polecił.

Busch wpatrywał się uważnie w Michaela. Gdyby alkohol nie przyćmił mu umysłu, chyba by go walnął.

- No, dawaj. Rzuć je wysoko.

Sapiąc z irytacji, Busch rzucił karty w powietrze, tworząc chmurę powoli opadających na ziemię czarno - czerwonych płatków. Szybkim ruchem Michael rzucił nóż.

Nóż wbił się w ścianę, przygważdżając dwie karty. Waleta pik i króla trefl. Karty, które wyciągnęli Busch i Simon. W pokoju zapadła cisza, wreszcie Busch ryknął śmiechem.

- To dlatego on jest rozgrywającym - wyjaśnił Simonowi.

- Sukinsyn - mruknął Simon i po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiech rozjaśnił jego szczupłą, śniadą twarz.

Na twarzy Michaela pojawił się tajemniczy uśmiech. Miał minę, jakby złamał kod Fortu Knox. Kiedy Buscha i Simona pochłonęła ich pijacka walka, kiedy jeden drugiemu próbował złamać rękę, Michael znalazł rozwiązanie, którego szukał. Którego wszyscy szukali.

Wiedział już, jak zdobyć klucze.

Druga nad ranem. Deszcz nadal padał. W holu hotelowym pusto. Torre Ericson przyjechał do Berlina ze Szwecji, żeby popracować w czasie letnich wakacji. Nie podróżował jeszcze po Europie, ale przysiągł sobie, że wyjedzie gdzieś, nim skończy dwadzieścia jeden lat. Berlin wydawał mu się miejscem równie dobrym jak inne, a poza tym Hotel Friedenberg był jedynym miejscem, w którym zaproponowano mu pracę gwarantującą dwa kolejne dni wolne. Oczywiście trochę wysiłku musiał włożyć w to, żeby przyzwycząić się do pracy na psiej wachcie, ale ostatecznie nie miał nic przeciwko temu. Psia było określeniem wyjątkowo dobrze pasującym; nawet pies z kulawą nogą nie zaglądał tu o tej porze, może z wyjątkiem gościa, który szukał prostytutki albo czegoś do przegryzienia, albo obu tych rzeczy jednocześnie. Poza tym między północą a szóstą rano w hotelu nic się nie działo.

Torre był więc trochę zdziwiony, kiedy nagle wszedł mężczyzna przemoczony do suchej nitki. Nieznajomy okropnie kasłał, rozglądając się i usiłując zorientować się w sytuacji. Torre pomyślał, że facet bardzo potrzebował filiżanki kawy i miejsca, żeby się wyspać. Nie obawiał się nieznajomego, miał metr osiemdziesiąt i był bardzo silny, a to dzięki uprawianej wspinaczce i grze w rugby. Wywalał wielu pijanych, a ten z pewnością nie byłby ostatnim. Ale obowiązywała uprzejmość.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

Pijany mężczyzna ruszył chwiejnie w stronę recepcji, najwyraźniej obojętny na pytanie.

- Trochę pada, prawda? - Torre przerzucił się na angielski.

Pijany znowu nie odpowiedział. Dotoczył się do recepcji, zwałił się na kontuar, mocząc przeznaczone dla gości gazety i rejestr.

- John S - Smith - wybełkotał.

-Przykro mi, ale wszyscy goście już śpią - powiedział Torre, z wyczuwalną irytacją w głosie.

-Smith na mnie czeka.

Jasne, pomyślał Torre. Doskonale potrafił rozpoznać nieprawdę.

- Może zechce pan zostawić wiadomość; zadzwonimy i prześlemy ją panu Smithowi rano.

Tego, co nastąpiło, Torre się nie spodziewał. Nieznajomy zaczął zwałać rzeczy z kontuaru, a zanim Torre zdążył mrugnąć, wyciągnął broń i przystawił mu lufę do czoła.

- Proszę mi pokazać rejestr gości - odezwał się czystym, dźwięcznym głosem.

Młody Szwed nie miał wątpliwości, że napastnik zabije go, jeśli nie spełni jego życzenia. Ale dla czupurnego dwudziestolatka, który jeszcze nie miał okazji przekonać się o swojej śmiertelności, istniała alternatywa. Też był szybki.

Pijak, który wcale nie był pijany, nie drgnął nawet, kiedy Torre nagle wyrwał mu broń.

-Z bronią do mnie, ty skurwysynu? - Młody recepcjonista czuł uderzenie adrenaliny po udanej akcji. - Masz szczęście, że cię z mety nie zabiłem. - Wycelował prosto w serce nieznajomego.

-Szybki jesteś - powiedział mężczyzna, wywołując na ustach Torre'a lekki uśmiech zażenowania i dumy.

-Jak się pieprzysz z najlepszymi...

Nie skończył zdania. Jego ciało opadło na podłogę, kiedy znaczna część głowy wprost eksplodowała, rozbryzgując się na ścianę za plecami. Nie zdążył nawet zobaczyć, że mężczyzna wyciągnął drugi pistolet i pociągnął za spust.

Dennis Thal pochylił się nad kontuarem, jego palec przebiegł po rejestrze i zatrzymał się na nazwisku Jude Iscariot. Jakże to oczywiste, pomyślał.

O drugiej piętnaście nad ranem Michael i Busch głęboko jeszcze spali, jeden na kanapie, a drugi na podłodze. Wypili tyle alkoholu, że nie byli w stanie przejść nawet kilku

metrów do łóżka. W odróżnieniu od Simona. Spędził w swoim życiu wiele bezsennych nocy, oczekując nieuniknionego i ta miała być podobna. Niespokojnie przemierzał pokój. Poprzednią godzinę spędził na sprawdzaniu broni. Wszystkie sztuki były naładowane i gotowe. Michael wyjaśnił swój plan - był sensowny, można go było przyjąć i wykonać, jeśli wszyscy trzej będą współpracować. Simon dopracował logistykę, w pamięci przeglądając sytuację i modyfikując ją tak, aby przewidzieć każdą najdrobniejszą ewentualność. Nie mogą sobie pozwolić na błąd i... nie będą mieli drugiej szansy.

Thal wyszedł z windy. Korytarz był pusty. Na wszystkich drzwiach do pokoi wisiała plakietka „Nie przeszkadzać” i zamówienie na śniadanie. Kilka pustych wózków oczekiwała na zabranie przez chłopca hotelowego.

Pokój 1283, prosto korytarzem, a potem w lewo. Thal sprawdził oba pistolety. Chłopak nawet się nie zorientował, że broń była nieodbezpieczona. Głupi. Gdyby nie próbował grać Supermana, nadal by żył, chociaż może byłby trochę obolały. Ze też wszyscy chcą być bohaterami.

Zapiawszy glocka, Thal szedł, trzymając magnum w lewej dłoni. Trzech w pokoju: St. Pierre, Busch i jakiś ksiądz. Nie potwierdził tego, ale informację przekazał mu bezpośrednio zleceniodawca. I dodał, żeby uważał na księdza. Thalowi wydało się to zabawne.

Pokój 1283. Stał przed drzwiami, koncentrując się. Oddychał płytko, ramiona miał rozluźnione. Uniósł nogę do kopnięcia.

Simon leżał w milczeniu na łóżku, ciągle jeszcze odczuwając lekkie skutki wypitego alkoholu. Potrzebował odpoczynku, ale będzie musiał odpoczywać z otwartymi oczami. Paliły się już tylko dwie świece, a ich blask rzucał migoczące światło rozjaśniające cień. Jak to się skończy, on też będzie skończony. Nie mógł już dłużej oszukiwać samego siebie. Był wypalony. Budując przez te wszystkie lata wokół siebie mur, nigdy nie szukał przyjaźni. Nie mógł pozwolić sobie na to. I nagle, przez krótką chwilę tego wieczoru zrozumiał, że wszystko mogło wyglądać inaczej. Mógł mieć życie, w którym nie byłby zawsze sam, mógł znaleźć towarzystwo, może nawet kobietę, zamiast żyć w klasztorze, w celibacie. Wszystkie te lata bólu, mszczenia się za matkę... - a może ból się wreszcie wyczerpał. Może mógłby nawet odkupić swoje winy?

Nagle poderwał się. Coś go zaniepokoiło. Popatrzył na śpiących - nie ruszali się. Wskoczył z łóżka, złapał pistolet ze stolika i wymierzył w drzwi. Krew pulsowała mu w żyłach, dudniła w uszach. Panowała ogłuszająca cisza. Czyżby to tylko jego wyobraźnia? Ogarniała go paranoja, a to prowadzi do klęski. Simon wiedział, że nie wolno mu lekceważyć własnych odczuć. Był samotnym wilkiem, ale teraz miał także dwóch towarzyszy, dwóch

nieprzytomnych, pijanych towarzyszy.

I znowu to usłyszał - delikatny szmer. Ktoś się poruszył. Ciało Simona sprężyło się. Uniósł pistolet, celując na wysokość głowy człowieka w drzwi, które przed kilkoma godzinami - choć wydawało się, że było to wieki temu - obwiesił krzyżami. Widać święte przedmioty w najmniejszym stopniu nie pomagały.

Thal trzymał teraz oba pistolety. Wystarczyło oddać trzy strzały, był tego pewien. Nie spodziewał się większego zamieszania, bo pistolety były z tłumikami, a na korytarzach było pusto. W niespełną minutę powinien mieć to za sobą. Potem złapie samolot o szóstej i zanim zapadnie noc, będzie już w Stanach. Jego pracodawca zgodził się, że jeśli wyśle tych trzech tam, za drzwiami, na drugi świat, to może odejść z honorarium, jakiego nie byłby w stanie wydać, nawet gdyby żył dziesięć razy.

Płynnym ruchem nacisnął stopą kłamkę. Drzwi otworzyły się do środka. Thal wtoczył się, z bronią gotową do strzału.

ROZDZIAŁ 26

Już dwa dni i ani słowa od Michaela. Pomimo zapewnień Jeannie, Mary była niespokojna. W głębi duszy czuła, że mąż ma poważne problemy. Gdyby mógł zatelefonować, z pewnością by to zrobił. A jej czas się kończył. Coraz szybciej. Przerzuty rozprzestrzeniały się jak pożar w lesie. Miała coraz częstsze ataki bólu i choć nie chciała się do tego przyznać, stawała się coraz bardziej uzależniona od morfiny.

Dziś rano wyszła ze szpitala, wbrew zaleceniom doktora, bo pragnęła być w domu, wśród swoich rzeczy. Pragnęła tam czekać na powrót Michaela. Odebrała Hawka i CJ od pani McGinty. Starsza pani przyniosła Mary garnek zupy oraz zieloną sałatę i ani słowem nie napomknęła o chorobie. Znała ból umierania i wiedziała, jak się zachować w takiej sytuacji.

Mary weszła do gabinetu i zobaczyła, że biurko Michaela pokrywają papiery: artykuły z gazet na temat niemieckiego biznesmena, zdjęcia, czasopisma... Bałagan na biurku zupełnie nie pasował do jej zazwyczaj pedantycznego męża. Najwyraźniej musiał wyjeżdżać w pośpiechu. Mary już od pewnego czasu podejrzewała, że złamał daną jej obietnicę. Przed laty, kiedy dowiedziała się prawdy o jego życiu, czuła się oszukana i wściekła. I choć w końcu przełamała się i wybaczyła, jej zaufanie odradzało się bardzo powoli. Teraz, kiedy zobaczyła te papiery, jej podejrzania jeszcze się nasiliły. Wiedziała jednak, że Michael ją kocha i że nigdy by jej nie zdradził. Była pewna, że cokolwiek robił, jego intencje były szlachetne.

-Cześć! - zawołała Jeannie z przedpokoju.

-Już przychodzę! - Mary zebrała papiery Michaela i wetknęła je do najniższej szuflady biurka. Kiedy odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, zauważyła na krześle jakiś przedmiot. Podniosła go, i mało nie zemdlała - była to bransoletka zabezpieczająca, z nadrukiem „Własność Wydziału Policji w Byram Hills”. Michael ma problemy o wiele większe, niż sobie wyobrażała.

-Przyniosłam ci trochę jedzenia - powiedziała Jeannie, idąc w jej stronę.

Mary nie wiedziała, co zrobić. Nie mogła powiedzieć Jeannie o Michaelu, przynajmniej jeszcze nie teraz. Przeszło jej przez myśl, że może Jeannie nie wie o tym i że może dlatego Paul pojechał śladem Michaela. Odsunęła od siebie tę myśl i wetknęła bransoletkę do kieszeni.

Nieduża, ale zupełnie wystarczająca na jej potrzeby kuchnia była ulubionym miejscem Mary. Lubiła swoje dębowe szafki i sprzęty z polerowanego aluminium. Lubiła gotować, traktowała to jako formę twórczości artystycznej: tak jak malowanie czy rzeźbienie było to

coś, co doskonaliło się z czasem i wymagało talentu oraz cierpliwości. Wymagało też nieco wiedzy ścisłej, zwłaszcza z zakresu chemii - zbyt dużo jednego składnika i zbyt mało drugiego mogło spowodować klęskę. Największą przyjemność sprawiało jej, kiedy obiad był gotowy w chwili powrotu Michaela do domu. Może to i było staromodne i niezgodne z hasłami ruchu emancypacji kobiet, ale Mary miała wszystko w nosie - jej sprawiało to przyjemność.

- Mój Boże - jęknęła Jeannie. - Skąd się wzięło tyle jedzenia?

Mary gotowała całe popołudnie i doszła do wniosku, że to jedna z najbardziej relaksujących czynności, jakie wykonywała od miesiąca. Lodówka była więc teraz wypełniona po brzegi.

-Mówiłam ci, że nagotowałam jak dla plutonu wojska.

-Kto to wszystko zje?

Mary już miała odpowiedzieć, że Michael, ale imię zamarło jej na ustach.

Jeannie instynktownie pożałowała pytania. Wzięła Mary za rękę.

-Paul dzwonił.

-Znalazł Michaela?

-Tak, rozmawialiśmy wczesnym popołudniem. Są w hotelu w Berlinie.

-W Berlinie? I co powiedział?

-Niewiele. Spieszył się. Mówił, że wszystko w porządku i że za kilka dni wróca.

-Masz numer telefonu?

-Nie chciał mi podać - powiedziała Jeannie z przebiegłym uśmiechem.

-Ale? - Mary zbyt dobrze znała Jeannie i czuła, że przyjaciółka ma jakiegoś asa w rękawie.

-No cóż... Powiedzmy, że on nie jest jedynym detektywem w rodzinie.

- Jesteś taka przebiegła. - Mary uśmiechnęła się radośnie. - Możemy do nich zadzwonić?

- Tam jest teraz środek nocy.

Mary spojrzała na nią nieco rozczarowana, ale jednocześnie wyraźnie odprężona.

- Zadzwonimy, jak tylko zjemy obiad - postanowiła. - Przynajmniej wiemy, że są bezpieczni.

Jeannie nie była tego taka pewna. Paul powiedział, że wszystko w porządku, ale że muszą z Michaeliem szybko załatwić jedną sprawę i to jej nie bardzo pasowało. Mąż nie miał przecież żadnych innych spraw poza przywiezieniem Michaela. Nie miał nic innego do załatwienia, chyba że...

Mary nakryła do stołu i podała smażone żeberka czosnkowe z młodymi ziemniakami i zieloną sałatą od pani McGinty. Niewiele rozmawiały, a jeśli już, to głównie na temat wybryków dzieci Jeannie i fali upałów.

Zegar pokazywał dopiero ósmą, ale Mary czuła się tak, jakby była północ. Kompletnie wyczerpana. Z tygodnia na tydzień wyraźnie ubywało jej sił, a lekarstwa pozbawiały ją resztek energii życiowej.

Z deserem przenieśli się na kanapę w pokoju dziennym. Mary trudno było prowadzić rozmowę. Myślała tylko o tym, jak bardzo chciałyby porozmawiać z Michaeliem. I choć czerpała pociechę z zapewnień Jeannie, że był bezpieczny, jej wątpliwości mógł rozwiać tylko jego głos.

Niepokój Mary był tak oczywisty, że Jeannie impulsywnie otworzyła torebkę i wyciągnęła karteczkę z zapisanym numerem. Sięgnęła do telefonu.

-Za późno, żeby dzwonić - zaprotestowała Mary.

-Tak myślisz? - Jeannie zadziornie uniosła głowę. - Nie wiem, jak to jest z twoim mężem, ale mojemu zdarzało się budzić mnie w środku nocy ze znacznie mniej istotnych powodów. Przeżyje to jakoś. - Wykręciła numer i podała Mary słuchawkę. - To numer bezpośrednio do ich pokoju.

Mary poczuła ściskanie w żołądku - uczucie towarzyszące pełnemu napięcia oczekiwaniu. Kiedy już upewni się, że Michael jest bezpieczny, będzie mogła spokojnie zasnąć. Zadzźwięczał podwójny, jednostajny, europejski sygnał. Drugi raz. Mary czuła się jak dziecko w Boże Narodzenie, czekające na komendę, że może otworzyć drzwi do pokoju, w którym pod drzewkiem leżą prezenty. Trzeci sygnał. Spojrzała na Jeannie. Wymuszony uśmiech. Zaczynała odczuwać niepokój. Jest druga nad ranem. Dlaczego Michael nie odbiera?

Jeannie popatrzyła raz jeszcze na numer zapisany na karteczce. Była przekonana, że wykręciła właściwy.

- Zapewne siedzą w barze, przy drinku - skłamała.

Mary czuła narastający strach. Nie potrafiła powstrzymać łez. Oni nie poszli na drinka. Działo się coś złego. Coś bardzo złego.

Klub nocny Jaskinia Rozpusty zaczynał tętnić życiem dopiero o północy. Był to jeden ze starszych klubów w Berlinie, dobrze znany i odwiedzany przez europejską elitę. Ekskluzywne miejsce zabawy dla bogatych, oferujące wszelkie rozrywki, od miłych po sprośne. Klub - jeden z zaledwie kilku budynków, które przetrwały obie wojny światowe - mieścił się w dawnym gmachu opery, wzniesionej jeszcze w czasach króla Wilhelma I. Jego

rozliczne kondygnacje mieściły parkiety i salony, a centralnym punktem była wielka scena, której wystrój zmieniał się co wieczór, jak scenografia teatralna. Czasem był to krajobraz wiejski, czasem wioska średniowieczna. Tym razem starożytny Rzym: tło stanowiło Colosseum, gladiatorzy walczący z dumnymi, dzikimi lwami, kobiety omdlewające w ramionach triumfujących wojowników. Światła dyskotekowe, punktowe i migające, tańczyły po tapetach i tłumach ludzi, oświetlając niemal surrealistyczną orgię dwóch zderzających się tysiącleci. Dekadencja, o jakiej nawet nie śniło się cesarom.

Na balkonach tłoczyli się fotografowie, w nadziei uchwycenia jakiejś sceny, którą można by potem sprzedać i ujawnić całemu światu. Młode i piękne pary o najróżniejszych upodobaniach i orientacjach, splecione w namiętnych uściskach zapadały się w wielkie pluszowe kanapy. Tu przegrywały wszelkie wartości, moralisci byli na straconej pozycji. Z sufitu, z głośnika wielkości przyczepy do traktora, płynęła muzyka - eklektyczna mieszanina stylów disco, new wave i techno - punk - co nie robiło większego wrażenia na Finsterze, tańczącym z dwiema oszalamiającymi dziewczynami, Audrey i Vaughn. Spotkali się przy wejściu i od tego momentu się nie rozstawali. O ile Vaughn nie miała pojęcia, kim był ten starszy mężczyzna w swetrze od Armaniego, o tyle Audrey z daleka już wypatrzyła go wchodzącego do klubu. Wiedziała, kim był August Finster: czarujący, odnoszący ogromne sukcesy i - co było dla niej najistotniejsze - nieprzyzwoicie bogaty. Obie dziewczyny, przyjaciółki z czasów szkolnych spędzonych w Londynie, były identyczne: ubrane w niebiesko - czarne suknie od Prądy, lakiierki Gino, naszyjniki z diamentową łezką od Cartiera. Różniły się jedynie kolorem długich loków: Audrey miała czarne jak noc, natomiast Vaughn - jasne jak angielska słoma.

Myślały jedynie o tym, ile zyskają na seksualnym trójkątku. Nigdy nie uważały się za prostytutki; były rozrywką oferującą się najpopularniejszemu mężczyźnie tygodnia lub czasem po prostu zdobyczą słabych mężczyzn. Lubiły tych posiadających władzę i pieniądze, panów wszechświata, ale one też posiadały władzę, nawet jeśli była ona bardziej pierwotna, bardziej nadprzyrodzona niż ta należąca do mężczyzn, jakich spotykały. Wiedziały, w jaki sposób skłonić nawet najbardziej wpływowych osobników płci męskiej, aby klęcząc przed nimi, błagali je jak dzieci.

Ten mężczyzna był jednak inny. Zazwyczaj zdobycze Audrey i Vaughn to byli faceci uważający, że mają władzę, i obnoszący się z tym, by ukryć własną niepewność. Tego natomiast otaczała aura spokoju, pewności siebie. Wiedział, kim jest, ale nie demonstrował tego. I przez chwilę Audrey czuła w brzuchu ucisk, a nie była to choroba, jaką zaraziła się od Phillipe w łazience. Po prostu facet był inny, robił wrażenie, że dostrzega jej seksualne

manipulacje, zaglądał do jej serca, a jego oczy przenikały jej ciało i chciały osiąść jej duszę.

Ale to była tylko przelotna myśl, w rodzaju tych o aktualnej cenie ubrań i narkotyków. Poza tym nigdy nie miała szczególnej intuicji.

Finster poruszał się w rytmie swoich partnerek, z gracją, która zadawała kłam jego wiekowi. Wykonywał taniec zwycięstwa, w jego żyłach krążyła krew bogata w adrenalinę, jaką pobudziło poczucie sukcesu. Tańczył beztrąsko, miał cel bowiem w zasięgu ręki: wkrótce będzie wolny od wszelkich przeszkód. Dał polecenie, aby zabić. Zrobił to niechętnie, ale dłużej już nie mógł ryzykować. Pogardzał Simonem i gdyby tylko mógł - gdyby to było dopuszczalne, gdyby był zdolny do tego - z radością sam pociągnąłby za spust. Finster i ksiądz już nieraz wchodzili sobie w drogę, bo mnich dążył do usunięcia Finstera ze świata. Ale już mu się to nie uda.

Innym przypadkiem był Michael. Finster właściwie go polubił. Większość mężczyzn chowa się do nory, kiedy staną przed tak ogromnymi przeszkodami, ale Michael był inny. Miał w sobie siłę, motywację porównywalną z tą, która napędzała Finstera. Niestety, stał się wrogiem. I to najgorszego rodzaju. Jego motywacją nie była chciwość czy żądza, lecz miłość. I dlatego Finster polecił zabić także i jego.

Nie miał natomiast nic przeciwko temu dużemu gliniarzowi, ponieważ jednak Thalowi tak bardzo zależało na włączeniu Buscha do zlecenia, Finster ustąpił. Thal był jedną z najdoskonalszych machin zła, jakie Finster kiedykolwiek napotkał wśród ludzi. Zero respektu dla innych czy dla życia. Przyjemność czerpał jedynie z zadawania cierpienia. Doskonały pracownik: punktualny, dokładny i wyzuty z litości. Finster zastanawiał się, jaka byłaby reakcja Thala, gdyby poznał prawdziwą tożsamość zleceniodawcy.

Nie miał skrupułów, wydając polecenie zabicia tych ludzi. Poza wszystkim, śmierć to tylko kolejny krok w życiu, który wszyscy muszą w jakimś momencie wykonać. Ci trzej byli dla niego bardziej jak muchy, które trzeba trafić packą, niż jak ludzie. Ich śmierć oznaczała usunięcie ostatniej przeszkody uniemożliwiającej Finsterowi powrót do domu.

Audrey przyniosła kolejne drinki, muzyka grała, tańczyli, popijając czwartą tej nocy kolejkę.

-Jesteście bardzo niebezpieczne, dziewczęta. - Finster uśmiechnął się, obserwując, jak ocierają się o siebie.

-Praktyka czyni mistrza. - Vaughn udało się przekrzyczeć muzykę.

- A jak dużą macie praktykę?

Dziewczęta uśmiechnęły się równocześnie.

- Myślę, że po prostu trzeba będzie sprawdzić, czy naprawdę jesteście takie dobre -

skwitował Finster.

I dalej tańczyli.

ROZDZIAŁ 27

Drzwi otworzyły się gwałtownie, waląc o ścianę z taką siłą, że aż poleciały drzazgi. Thal wpadł do ciemnego pokoju z bronią gotową do strzału. Posuwał się przed siebie, przebiegając pomieszczenie wzrokiem od ściany do ściany w poszukiwaniu swoich celów.

Ale w pokoju nie było nikogo. Ani śladu żywej duszy. Apartament był pusty. Thal metodycznie sprawdził pokój, garderoby, łazienkę, zajrzał pod łóżko, do każdego kąta. Nikogo nie było. Pokój wyglądał na niezamieszkały. W jaki sposób zniknęli? Skąd wiedzieli? Przebiegł w myślach zdarzenia ostatnich dziesięciu minut. Recepcjonista: martwy, zanim zdążył kogokolwiek zaalarmować. Hol był pusty. Nie widział absolutnie nikogo prócz recepcjonisty. To nie do zrozumienia. Jego zleceniodawca będzie miał problem, a dla niego to wręcz koszmar. Znał dobrze cenę porażki i nie miał zamiaru jej płacić. Wyśledził tę trójkę tutaj. Wyśledzi ich zatem i gdzie indziej.

Ciszę w pokoju zburzył dźwięk telefonu. Telefon, dzwoniący o drugiej piętnaście nad ranem, w jakimś innym pokoju, ale... niedaleko.

Kiedy trzasnęły drzwi, Simon przeturlał się na prawo i wycelował. Był gotów wsadzić cały magazynek w tego, kto wszedłby. Nie zastanawiałby się, czy to przyjaciel, czy wróg. Zresztą żaden przyjaciel nie wyważa drzwi pokoju o drugiej piętnaście nad ranem.

Ale nie było takiej potrzeby. Nikt nie wszedł, drzwi wcale się nie otworzyły... Hałas dochodził z pokoju piętro wyżej.

Simon zarezerwował w hotelu trzy pokoje, każdy na inne nazwisko. Bardzo przezornie, jak się okazało. Szansa jeden do trzech. Ktokolwiek ich tropił, dał się zwieść oczywistemu, fałszywemu nazwisku o religijnym brzmieniu, Jude Iscariot. To był stary trick Simona. Zarezerwować co najmniej dwa pokoje, jeden pod subtelnie oczywistym nazwiskiem, a pozostałe na nazwiska tak powszechne, jak liście w lesie.

Opuścił broń. Nie mieli zbyt dużo czasu. Dzięki fortelowi zyskali co najwyżej kilka minut.

Serce niemal wyskoczyło mu z piersi, kiedy zadzwonił telefon. Michael i Busch zerwali się, obudzeni z głębokiego snu. Michael rzucił się w stronę telefonu, ale Simon był pierwszy. Położył dłoń na słuchawce, kręcąc przecząco głową. Telefon zadzwonił ponownie.

Busch i Michael w końcu zauważyli broń w ręce Simona.

- O co chodzi? - wyszeptał Busch.

Simon przyłożył palec do ust, ponownie dając głową znak, żeby był cicho. Telefon

zadzwoił po raz trzeci. Busch rozłożył dłonie, powtarzając gestem pytanie. Simon wskazał na sufit.

- Musimy stąd spadać - wyszeptał.

Choć zaspani i nieprzytomni, natychmiast zrozumieli. Złapali swoje rzeczy i pomogli Simonowi spakować broń do worków marynarskich.

Simon pędził wypożyczonym audi turbo autostradą, jedną z nielicznych legalnych publicznych tras wyścigowych na świecie. W ciągu ostatniej godziny wyprzedziło go zaledwie jedno bmw 8, wszystkie inne auta zostawiał w tyle.

- Dokąd jedziemy? - spytał Busch, nieco niespokojny z powodu prędkości, z jaką migał mu za oknami krajobraz Niemiec.

- Do jakiegoś motelu za miastem. - Simon wpatrywał się uważnie w drogę.

- A skąd mamy wiedzieć, że tam nas nie wytropią?

- Nie wiemy.

Busch nigdy jeszcze nie był po tej stronie barykady i wcale mu się to nie podobało. Nie, żeby nie czuł podwyższonego poziomu adrenaliny w odpowiedzi na wszystkie te wybiegi, do jakich się uciekali. Po prostu wolał być myśliwym niż zwierzyną; negatywne konsekwencje działań myśliwego były bowiem zawsze minimalizowane.

- To tak dotychczas żyłeś? - spytał Michaela, siedzącego z zamkniętymi oczami na tylnym siedzeniu obok niego.

- Jestem przekonany, że to Mary dzwoniła - powiedział Michael bardziej do siebie niż do kogokolwiek.

- Zobaczysz ją niedługo. „Jeszcze czterdzieści osiem godzin i będziemy z powrotem w kraju”. To twoje słowa.

Michael otworzył oczy i zwrócił się do Buscha. Po twarzy przemknął mu uśmiech.

- Chyba nigdy nie przypuszczałeś, że będziemy razem robić coś takiego, co?

Wszyscy doskonale wyczuwali ironię sytuacji.

- Jesteś pewien co do tego, co zrobi Finster? Jesteś pewien, że wiesz, gdzie będzie jutro w nocy? - spytał Simon.

- Gwarantuję - odpowiedział Busch, zanim zwrócił się ponownie do Michaela. - A dasz mi robotę w swoim sklepie, jak mnie wywalą ze służby?

- Zamknij się. Nikt cię znikąd nie wywali. Po prostu musisz mi zaufać.

- Jasne. Ufałem ci wcześniej i zobacz, do czego mnie to doprowadziło. - Busch uniósł rękę, wskazując na ich samochód pędzący sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Jestem więc twoim dłużnikiem.

- Wystawię ci rachunek. - Busch przechylił się przez siedzenie w stronę Simona. - Masz jakieś podejrzenie, kto mógł rozwalić tego gościa w recepcji? - Nie.

-Zdajesz sobie sprawę, że będą węszyli po okolicy w sprawie tego pokoju i tych krzyży w ilościach większych niż na konwencji biblijnej?

-Mhm.

-Gliniarze pewnie już nas szukają...

-Mhm, ale nie mają pojęcia, kim jesteśmy.

-Nie mają pojęcia... - powtórzył Busch bez przekonania.

-Mam trochę doświadczenia w tego typu sprawach. I jestem pewien, że twój przyjaciel też.

Busch spojrział na Michaela, który uniósł brwi z miną świadczącą o pełnym wahania potwierdzeniu.

-Finster naprawdę chce twojej śmierci. - Busch powiedział głośno to, co było zupełnie oczywiste.

-Bardzo mnie ekscytuje, że przywiązuje do mnie tak dużą wagę - skomentował Michael.

-Nie pusz się. Myślę, że on raczej chce nas wszystkich wyprawić na tamten świat - powiedział Simon.

-To bardzo pocieszające - odparł Busch, obserwując przemykający za oknami krajobraz.

-Naucz się cieszyć małym. W końcu wydostaliśmy się żywi - zażartował Simon.

Jak na faceta z poczuciem humoru, Buscha za szybko przestało to bawić. Ale groziła mu śmierć, a to było coś, czego jeszcze trzy dni temu nie byłby w stanie pojąć. Był gotów zrobić dla przyjaciela dużo - czyż nie mówił zawsze, że gotów był oddać za niego życie? Tyle że stało się to aż nazbyt realne. Nigdy jeszcze nie musiał uciekać. Aż do dzisiejszej nocy.

O 2.17 nad ranem Thal, trzymając w obu rękach pistolety, stał na środku pokoju hotelowego, patrząc na niewyobrażalną wprost kolekcję krzyży rozwieszonych dosłownie wszędzie. Usiłował coś z tego zrozumieć. Dzwonek telefonu, którego nikt nie odebrał, skłonił go do zejścia piętro niżej i doprowadził do tego religijnego schronienia, które robiło wrażenie, jakby znalazło się na niewłaściwym miejscu. Telefon przestał wreszcie dzwonić.

- Co to jest, do cholery? - wymruczał Thal.

Przynajmniej wiedział, że tym razem trafił do właściwego pokoju. Ale o co chodzi z tymi dziwnymi krzyżami? Tak jakby krzyż miał go powstrzymać. Przez myśl przeszło mu, że może te krzyże miały powstrzymać kogoś lub coś innego. Dracula i wilkołaki to fikcja, ale

krzyże były tu naprawdę. I nie służyły do modlitwy - do tego wystarczyłby jeden. Te najwyraźniej miały przed czymś chronić. Thal dawno temu przestał być wierzący; Bóg był dobry dla słabych, jak wielki brat, do którego pomocy można się uciec, kiedy za rogiem czyha ciemność. Ale te setki krzyży najwyraźniej miały coś odstraszyć, coś, w obronie przed czym nie wystarczała konwencjonalna broń. Tylko co? Zanim zdążył rozważyć nurtujący go problem, usłyszał dochodzący zza pleców krzyk.

- Stój!

Zrobił dokładnie odwrotnie. Niemiecki policjant był martwy, zanim jego roztrzaskana głowa dotknęła dywanu. Thal zrugął się w myślach za brak ostrożności.

Nie miał czasu przeszukiwać pokoju, złapał tylko kilka krzyży - mając nadzieję, że później je zidentyfikuje - i wybiegł.

Pomknął korytarzem, pospiesznie wpychając broń za pasek od spodni i przycisnął guzik, żeby ściągnąć windę. Jeśli na dole byli gliniarze, lepiej zachować się zwyczajnie i jakby nigdy nie usiłować dostać się do drzwi wejściowych. Zapewne w holu panuje duże zamieszanie, skoro znaleziono już zwłoki recepcjonisty. Jednakże kiedy drzwi windy otworzyły się, nastąpiła gwałtowna zmiana planów; taka, która nadawała się na tytuły artykułów prasowych, i którą pamięta się przez długie lata.

Z windy celowali do niego trzech policjanci. Thal uniósł trzęsące się ręce do góry, udając przerażenie.

- On nie żyje... Martwy - wyjąkał po angielsku, drżącą ręką wskazując na korytarz.

Dwaj gliniarze pobiegli w stronę pokoju, z bronią gotową do strzału.

- Jestem Amerykaninem. Oni zbiegli schodami. - Po twarzy Thala płynęły łzy. - Zbiegli schodami.

Był dumny z tego, że potrafił dostosować się do każdej sytuacji i nastroju. W tej chwili jednak przede wszystkim ekscytowało go uczucie parzenia w plecy, w miejscu, gdzie wetknął dymiącą jeszcze lufę pistoletu. Był przekonany, że czuje swąd spalenizny.

Stojący przed nim policjant, nowicjusz o nazwisku Schmidt, przez krótkofalówkę zwracał się o pomoc.

-Obstawcie schody na dole - powiedział po niemiecku, po czym podszedł bliżej do Thala.

-Jak wyglądali - zapytał.

Thal przez moment chciał dać opis Simona, Michaela i Buscha, ale pomyślał, że jeśli to zrobi, uciekinierzy ukryją się jeszcze głębiej. A on wołał, żeby czuli się pewnie. Zresztą nie chciał, by ktokolwiek polował na jego zwierzynek. Zaczął więc bełkotać coś, z uniesionymi

rękami, trzęsąc się na całym ciele.

- Może pan opuścić ręce - odezwał się wzburzony młody policjant.

Jego słowom towarzyszyły głosy partnerów, którzy widać weszli już do pokoju, gdzie leżał zamordowany funkcjonariusz. Ciekawość ciągnęła nowicjusza w tamtą stronę, choć broń ciągle miał wycelowaną w Thala. Zerknął i zobaczył swojego kumpla, Jona Reiberga, z którym razem przechodził szkolenie, leżącego w kałuży krwi, z lewą stopą szarpaną ostatnimi drgawkami. Przez dobre piętnaście sekund nie mógł oderwać oczu od makabrycznego widoku. Kiedy z powrotem zerknął na Amerykanina, ten stał oparty o ścianę naprzeciwko drzwi do pokoju, w prawej ręce trzymał mały krzyż, który nieświadomie pocierał kciukiem, płacząc jak dziecko. Schmidt ponownie zerknął do pokoju i zobaczył, że jeden z policjantów wymiotuje w kącie. Cała scena robiła wrażenie nierealnej. Nagle zdumiony nowicjusz spostrzegł, że trzeci gliniarz okręca się wokół osi i pada.

Schmidt nawet nie poczuł, kiedy kula trafiła go w serce. Odgłos strzału wydał mu się tak odległy. Miał wrażenie, że czas stanął w miejscu, kiedy patrzył, jak dwaj policjanci padają na ziemię pod gradem kul z dwóch pistoletów trzymany przez mężczyznę stojącego w drzwiach. Schmidtowni wydało się to bardzo dziwne, kiedy obserwował, jak ten człowiek, po którego twarzy ciągle jeszcze płynęły łzy, raz za razem pociąga za spusty monstrualnie dużych pistoletów. Co się stało z krzyżem, który przed chwilą miał w dłoni? Schmidt opadł na kolana, czując ogromne zmęczenie, ale ani śladu bólu. I wtedy je zauważył. Były wszędzie, w całym pokoju. Dlaczego nie dostrzegł ich, kiedy zajrzał tam po raz pierwszy? Upadł i umarł wśród trzech tysięcy krzyży.

Thal zerwał z ciała Reiberga oznakę policyjną i pobiegł klatką schodową trzy piętra w górę i do końca korytarza. Zatrzymał się przy pokoju 1474, na drzwiach wisiała plakietka „Nie przeszkadzać”. Zapukał.

- Czego, u diabła? - odezwał się poirytowany głos po angielsku.

Thal nie odezwał się, wsłuchując w odgłos zbliżających się do drzwi kroków. Po trzydziestu sekundach drzwi uchyliły się i Thal podetknął oznakę policyjną Reiberga pod nos gościa.

-Przepraszam pana - odezwał się po angielsku, z silnym niemieckim akcentem.

-Co się tu do cholery dzieje? Pożar, czy co?

-Zajmę panu tylko moment.

ROZDZIAŁ 28

Świt. W bawarskiej wsi, tuż za polem jęczmienia, wysoki do kolan tuman mgły zaczynał rozplywać się w porannym słońcu. Michael i Busch siedzieli na płocie, obserwując stado pasących się krów. Musiało ich być ze trzysta, objadających się i nieświadomych zbliżającego się końca. Michael nie mógł uwolnić się od myśli, że krowy przechodzą przez życie nieświadome swojej przyszłości, nieświadome tego, że ich przyszłość jest kontrolowana przez coś wyższego niż porządek życia.

Simon zarejestrował ich w małym motelu o trzeciej trzydzieści rano. Stary, pomarszczony recepcjonista i ksiądz pogadali sobie dość długo na temat zanikania na świecie wiary oraz całego pokolenia utraconego na rzecz telewizji. Niemiecki, jakim posługiwał się Simon, był niezmiernie gramatyczny, a dodana do tego koloratka - Simon najwyraźniej nosił ją wyłącznie wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne - oddalała jakiegokolwiek ewentualne podejrzenia w związku z tak dziwną porą podróżowania. Mały hol nie był odnawiany pewnie od dwudziestu lat i to było zaletą. Im bowiem mniej rzucało się w oczy miejsce, tym mniej i oni rzucali się w oczy. Simon wziął klucze i delikatnie zamknął drzwi wejściowe.

Do pokoi motelowych prowadził chodnik, wzdłuż którego rosły begonie, posadzone przez równie starą żonę recepcjonisty. Simon poprosił o pokój możliwie jak najdalej od drogi, tłumacząc to potrzebą spokojnej modlitwy i medytacji. Bezpieczny w tym odosobnieniu, przeprowadził Michaela i Buscha i zamknął drzwi. Pokój był ubogo wyposażony - dwa pojedyncze łóżka, szafa i łazienka. Szybko poszli spać, a Michael objął pierwszą wartę. Tym razem nie było krzyży - jedynie broń.

Mimo ostatnich wypadków nie zamierzali zmienić planu. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin chcieli ukraść klucze. Każdy z nich miał przypisaną sobie rolę, ale całą akcją dowodzić miał Michael. To on ułożył plan, a pozostali mieli korzystać z jego doświadczenia.

Poranek był rześki i pogodny; Michael oddychał głęboko, zmuszając się do zapamiętania tej chwili. Nie licząc lekkiego zapaszku dolatującego od bydła, powietrze było idealnie czyste. Przez całą noc analizował w myślach swój plan, rozgrywając wszelkie możliwe scenariusze. Nigdy przecież nie zostawiał niczego niedopracowanego, choć zawsze liczył na łut szczęścia.

-Rozmawiałaś z Mary? - spytał Busch, siedząc z nogami opartymi na środkowej barierce płotu. Gdyby miał kowbojski kapelusz, mógłby udawać Johna Wayne'a,

obserwującego pasące się stado.

-Wyszła ze szpitala.

-To wspaniale. Jest w domu?

-Tak sędzę. Tam jest teraz pierwsza w nocy, nie będę jej budził. Bóg wie, jak bardzo potrzebuje snu. Spróbuję zadzwonić do niej po lunchu.

-Jesteś pewien, że nie chcesz teraz wrócić? Moglibyśmy pozbyć się księdza i polecieć jeszcze dziś wieczorem.

Michael myślał o tym niezliczoną ilość razy. Męczyło go to, odkąd przyjechał trzy dni temu do Niemiec. Uganiał się za cieniami i mitami. Co to miało za znaczenie? Mogli z Buschem wyjechać i niech sobie Simon sam próbuje ukraść te klucze. Michael właściwie chciał być jedynie z Mary. Nie mieli już dla siebie dużo czasu, a ten, który im został, marnował tu, tysiące kilometrów od niej. Zżerało go poczucie winy. To było nie fair w stosunku do nich obojga. Mary potrzebowała go tak bardzo, jak on potrzebował jej. Tylko jedno, zarówno w czasie ostatniej nocy, jak i teraz, powstrzymywało Michaela. Nie potrafił stawić czoła ewentualności, że Mary umierałaby w otchłani, uwięziona na zawsze w czyścicu, że jej wiara, jej nadzieja na życie wieczne zostałyby zniszczone - i to przez niego. Wątpliwości co do tego, czy Mary spoczywa w spokoju, zrujnowałyby resztę jego życia.

I byłaby to jego wina.

Michael spojrział na Buscha.

- Jeśli chcesz się wycofać, zrozumiem.

- Jak się powiedziało A... - Busch uśmiechnął się szeroko.

Mimo wszystko czekające ich ryzyko budziło podekscytowanie. Wreszcie rozumiał, co czuł jego ojciec, kiedy wypływał w morze. Podekscytowanie płynące ze świadomości, że nigdy nie wiadomo, co jest za linią horyzontu. Dzięki ryzyku człowiek wie, że żyje.

Mary obudziła się o świcie. Czując, że już nie zaśnie, z trudem podniosła się więc z łóżka i poszła pod prysznic. Strumień gorącej wody na plecach i wypełniająca kabinę para pomogły jej oczyścić umysł z koszmarów sennych. Coraz częściej nawiedzały ją złe sny. I choć nie zdawała sobie z tego sprawy, było to jednym z głównych powodów, dla których wyszła ze szpitala. Chciała wrócić do świata, który kontrolowała, do miejsca, gdzie jej umysł był spokojny, gdzie mogła zdusić dręczące ją potworności.

Zaczynało się to zawsze tak samo: ona i Michael w ich szczęśliwych dniach, kiedy była jeszcze zdrowa. Śmieli się i tańczyli w Country House, ich ulubionym klubie. Wyobrażenie było tak silne, że niemal czuła ich bijące serce. A potem byli w domu, w łóżku, ubrania rozrzucone, a oni kochali się, przy dźwiękach cichej muzyki. Była szczęśliwa, tak

bardzo, że czuła, jakby wznosiła się do góry... po to, by nagle opaść w głęboką ciemność, najczarniejszą otchłań, jaką kiedykolwiek widziała.

I choć nie było tam żadnego światła, wiedziała, że On tam był. Ten sam mężczyzna. Okręzał ją, wachał jej włosy, czuła jego cierpki oddech na szyi. I szeptał, drażniąc ją, paskudnym tonem: „Mary, Mary, gdzie pojechał twój mąż?”.

Jej umysł wrzeszczał, ale usta były bezsilne, zasznurowane czarnymi, zakrwawionymi szwami, jej głos uwięziony był w głowie. Sparaliżowana, niezdolna do walki, do uderzenia tego czegoś, co krążyło wokół niej. I czuła obecność jeszcze kogoś. Gliniarza. Tego, który odwiedził ją trzy dni temu w szpitalu. Dennisa. Nie powiedział, o co mu właściwie chodziło. Czy to nie dziwne? Powiedział, że jest nowym partnerem Paula, że po prostu wpadł spytać, jak ona się ma i na czym opierają się stosunki łączące jej męża z Buschem. Dlaczego więc tak bardzo ją przestraszył?

Dennis był w tle, stał tam, czekając u jego boku. Śmieli się. Był to złośliwy śmiech hieny, który otaczał ją, zagłuszając każdą myśl. Jak ostrze noża, ich śmiech sięgał gdzieś w głąb niej, ostry i śmiertelny, po to, by zrobić coś, czego nigdy nie dopuszczała do swoich myśli. Wyrzynał duszę z jej ciała.

Czuła, jak dusza odłącza się od niej, w miarę jak ich śmiech stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej okrutny. Czuła się absolutnie pusta, jakby jej ciało usychało. Obserwowała odpływającą duszę, świecącą jak rozproszone światelko w gęstej mgle. A on połykał ją, jak bestia pożerająca ciało dziecka. Niewidzialny człowiek, który nie był jednak człowiekiem.

I każdej nocy najbardziej wytrącało ją z równowagi coś, co sprawiało, że nie mogła już później zasnąć - krótkie mignięcie światła gdzieś z góry, z daleka, przechodzące przez ten ciemny, podziemny pokój. Przechodziło nad tym czymś, co połykało jej duszę, nad tym człowiekiem, który zawsze wydawał się jej znany, ale którego twarzy nigdy nie pamiętała po przebudzeniu. Światło przesunęło się nad jej usychającym, zjedzonym przez raka ciałem, ostatecznie zatrzymując się nad Michaeliem leżącym na wznak na podłodze i patrzącym na nią, ale nie oczami, tylko pustymi oczodołami wypełnionymi krwią. A na jego ustach widoczny był pełen przerażenia, bezgłośny krzyk.

Mary zrywała się noc w noc, cała oblana potem. Jedynie strumieniem gorącej wody była w stanie zmyć z siebie przerażenie.

Tego ranka wyszła spod prysznic, owinięła się dużym ręcznikiem i włożyła za duży już teraz szlafrok. Nie chciała patrzeć na swoje ręce, stopy, ciało. Usunęła lub zakryła wszystkie lustra w domu, starając się za wszelką cenę unikać oglądania siebie tak

wyniszczonej.

Z apetytem, jakiego nie miała od kilku dni, zjadła śniadanie, ubrała się i wyszła z domu.

Chciała, żeby w domu były świeże kwiaty na powrót Michaela, zatrzymała się więc przy Troy's Nursery, żeby kupić kilka bukietów. Choć nie udało się jej porozmawiać z Michaeliem poprzedniej nocy, nie wpadała w panikę. Brak wiadomości, to dobra wiadomość, powtarzała sobie. Jeannie przekonywała ją, że z Michaeliem i Paulem wszystko jest w porządku. Albo się już wyrejestrowali, albo przenieśli do innego hotelu. Za dwa dni będą w domu - Jeannie mówiła to z dużą pewnością, a przecież ona nigdy nie kłamie.

Szła Maple Avenue i z niezrozumiałych dla siebie powodów czuła się energiczna, gotowa stawić czoło wszelkim wyzwaniom. Zauważała drobiazgi, na które wcześniej nie zwracała uwagi: symetrię, z jaką posadzono jodły nad stawem dla kaczek, beczasowość białej wieżyczki obserwacyjnej, piękno starego kościoła, z jego iglicą sięgającą ku Niebu. I tłum ludzi, zawsze uśmiechających się, kiedy odpowiadali na powitanie. Mieli w oczach nadzieję, która była zaraźliwa. Pomimo wszystkiego, przez co przeszła, zawsze jeszcze istniała nadzieja.

Mówi się, że duch człowieka jest największą siłą w naturze. Pokonuje każdego rodzaju przeciwności: fizyczne, psychiczne, duchowe. To on napędza postęp i wynalazczość. Wyprowadził człowieka z jaskini i umożliwił mu spacer po Księżycu. Matka natura stawiała wszelkie przeszkody, rzucała piłki na aut, a jednak nieustająco przegrywała. Duch napęłnia optymizmem, dodaje siły, napędza wolę życia i odnoszenia sukcesów. Ale przede wszystkim jest źródłem nadziei. Duch popycha człowieka naprzód i nigdy nie został pokonany.

Ale mówi się także, że pogoda ducha sygnalizuje ostateczne pogorszenie, że cisza zapada zawsze przed burzą, że żarówka zawsze świeci najjaśniej przed przepaleniem się.

O czwartej po południu Mary zgłosiła się do Byram Hills Memorial Hospital. Już po raz ostatni.

Finster wyglądał przez okno swojej wspaniałej posiadłości. Wielu ludzi nazywało ją zamkiem, ale jej konstrukcja w gruncie rzeczy nie przypominała tych wymyślnych budowli. Budynek raczej pasował do baronów rabusiów z końca lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Patrzył więc na swoją ciągnącą się kilometrami, zalesioną ziemię, przez dolinę, w stronę lasów, które były tak wysokie, że czubki drzew ginęły w chmurach. Obserwował ogrodników i pracowników porządkowych, którzy przycinali krzaki i kosili trawę. Żadnemu z nich nie przeszkadzała broń za pasem ani krótkofalówki. W końcu kiedyś jako najemnicy taszczyli po trzydzieści kilo wyposażenia wojskowego na plecach,

przedzierając się przez dżungle i pustynie, a nad głowami przelatywały im pociski. W sumie mieli pracę spokojniejszą niż większość z nich kiedykolwiek znała. Był to środek ostrożności, jaki Finster zawsze podejmował. Świadomy grożącego mu napadu, nie miał ochoty ryzykować. Dzisiaj nie będzie inaczej; zapowiedział już Charlesowi, że wszyscy ochroniarze - dwudziestu - mają być w pełni gotowi. Chciał, żeby chroniona była brama frontowa, żeby wzdłuż murów ogrodzenia chodziły patrole, a na dachu byli snajperzy z noktowizorami. Ochrona szczelniejsza niż w jakimkolwiek więzieniu. Nie ma miejsca na błąd ani na porażkę. Nikt nie zabierze tego, co jest jego prawowitą własnością. Żadnego ryzyka tej ostatniej nocy.

Takie same środki ostrożności podjął, wynajmując Thala do mokrej roboty. Od dwóch dni nie miał jednak od niego wiadomości, nie znalazł też informacji o ostatecznym sprzęgnięciu jego trzech przeciwników. Czytał co prawda o strzelaninie w Hotelu Friedenberg, co potwierdzało, że Thal działał, ale Finster chciał dowodów. Chciał ciał. Thal był dobrym pracownikiem, o wiele lepszym niż jego poprzednicy. Przez ostatnie pięć lat wykonywał polecenia wydawane mu przez telefon i znał tylko głos Finstera. Większość spraw dotyczyła biznesu, karał zdrady. Bo choć August Finster bardzo chciałby sam wykonywać te zadania, było to coś, czego nie mógł robić.

Miał zakaz.

Był to jeden z nielicznych przywilejów, jakich nie posiadał: nie mógł bezpośrednio odbierać komukolwiek życia. Targować się o duszę - bardzo proszę; dokonywać cudów - ależ tak, ale osobiście zabijać - nie. Nieważne. I tak doczeka chwili, kiedy zbierze owoce śmierci. Bo śmierć zawsze przychodzi, wcześniej czy później. Zresztą, gdyby miał możliwość likwidowania ludzi, to na czym polegałaby przyjemność? Wkrótce nie byłoby kogo korumpować, nie byłoby dusz do zbierania.

Jego cel był poważniejszy, o zakrojonych na dłuższą metę skutkach.

I po to właśnie był mu potrzebny Thal. Był łatwym sposobem rozwiązania problemu: człowiek zabijający innych ludzi. Jeśli ktokolwiek nie dotrzymał umowy lub wycofywał się z obietnicy, zjawiał się Thal i pomagał mu szybko zniknąć z powierzchni ziemi.

Finster nigdy nie spotkał się z Thalem, nie miał ochoty ryzykować. Ale obserwował go. Thal był najbliższy ze wszystkich znanych mu osób - istota pozbawiona duszy. Żadnych skrupułów, żadnych wahań, niezależnie od zadania. Duch Thala był zakopany głęboko, w możliwie najbardziej niezycliwym obszarze ludzkiego serca. Ale ostatnio Finster dostrzegł pewną jego słabość. Gliniarz o nazwisku Busch. Wydaje się, że Thal miał obsesję na jego punkcie. Pozwalał się ponosić prywatnym odczuciom. Zżerały jego umysł, osłabiając zdolność działania. Finster wyczuwał osłabienie formy Thala. Jego skuteczność, dotychczas

bez zarzutu, zaczęła nagle budzić wątpliwości. Powinien był wykonać to proste zadanie i zameldować Finsterowi. Oczywiście nadal mu ufał, choć pojawiły się pewne rysy. Nawet jeśli Thal nie zabił tych trzech, wystarczy, żeby skupił na sobie ich uwagę do jutra. Jutro Finstera już tu nie będzie.

Bez żadnych „do widzenia”, „adieu” czy „auf Wiedersehen”. Po prostu zniknie. Bez śladu. Jego zniknięcie z pewnością stanie się jedną z wielkich zagadek świata. Jak Amelii Earhart, po zniknięciu której nie znaleziono żadnych tropów. Nie będzie żadnych spadkobierców, żadnego testamentu, tylko ogromna fortuna stworzona w niespełna dziesięć lat. Nie znajdą żadnego krewnego, rodziców, żon czy dzieci. Oczywiście pojawi się wielu pretendentów, ale żaden legalny krewniak nigdy nie zgłosi roszczeń.

Żadnych odpowiedzi. Same pytania.

ROZDZIAŁ 29

Lasy wokół Waldbergu były ciemniejsze niż noc. To lasy Braci Grimm, po których Hansel i Gretel kroczyli tą samą ścieżką co Czerwony Kapturek, lasy, w których wilk zawsze wyglądał zza krzaka. Nic dziwnego, że rodziły się tu mroczne legendy i bajki. Gęste korony drzew uniemożliwiały dojrzenie choćby skrawka nieba. Martwa cisza rodziła pierwotny strach, który przywodził na myśl wiedźmy, trolle i chochliki. Dobrze się składało, że posiadłość Finstera rozciągała się aż dotąd. Brama była przy drodze, w odległości pięciu kilometrów, i stanowiła jedyną oznakę cywilizacji przez następne dziesięć kilometrów.

Paul Busch wysiadł z nieoznakowanego mercedesa, jakiego używała niemiecka policja. Przenośny kogut przymocowany był do dachu tuż nad drzwiami kierowcy, i rzucał czerwony blask na wiecznie zielone drzewa. Busch podszedł do purpurowego kabrioletu kierowanego przez piękną kobietę w czarnych okularach słonecznych od Vuarneta. Jej czarne włosy były tylko nieznacznie potargane przez wiatr. Kiedy bliżej jej się przyjrzał, stwierdził, że była nie tylko piękna, ale wprost oszałamiająca.

- *Guten Abend, Fraulein* - powiedział, usiłując mówić z niemieckim akcentem.

Audrey nie spojrzała nawet na niego, szukając w torebce prawa jazdy i karty rejestracyjnej wozu.

- *Guten Abend, Herr Kommissar. Gist es ein Problem?*

- *Sprechen Sie English?*

- Tak, w gruncie rzeczy... - Słowa zamarły jej w ustach, kiedy rozpoznała Komisarza.

- Prawo jazdy, proszę.

Podawała mu, z lekkim grymasem obrzydzenia.

- Jak poszło? - spytał Busch.

- Pojechałam do domu z Vaughn. Jeszcze się z nią nie widziałam.

- Podejrzewał coś?

- Wiem, co robię. Chciałam, żebym się z nim spotkała, sprowokowała go, rozbudziła i zostawiła.

- I jak ci poszło?

- Wróciłam po krótkiej chwili, nie? Zrobiłam tak, żeby zapragnął tego, czego nie dostał ubiegłej nocy. Czyli to, o co prosiłeś.

- Czyli to, za co zapłaciłem - upomniał ją Busch. Rzucił okiem na nazwisko na prawie jazdy i zachichotał. - Miss Charm?

-Daj spokój.

-Czy to nie przestępstwo, podszywać się pod kogoś innego?

-Zamierzałam zapytać cię o to samo - odparowała cios. Wzrok Buscha zbił ją z tropu. Audrey było jej prawdziwym imieniem, ale nazwisko... Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Lipschitz i nie miała ochoty ujawniać go komukolwiek.

Busch poznał się z Audrey tuż przed odebraniem poprzedniego dnia Michaela z więzienia. Miała rekomendacje nie tylko z policji berlińskiej, ale i szefa kręgu klubowców, Christiana Croix. Busch nie był właściwie pewny, czy Christian był chłopakiem czy dziewczyną - był kimś o nieokreślonej płci, kimś pomiędzy macho a laleczką, z muskularnym tułowiem rozpierającym bluzeczkę z angory. Był faktycznym szefem dziewczynek klubowych, niemieckim dwudziesto - parolatką, który rządził nocnym życiem. Jeśli zdecydował, że coś ma być, to było. Jeśli natomiast postanowił, że się skończyło - to było skończone, puste, zamknięte. Audrey i Vaughn należały do stałych bywalczyń klubów, uwielbianych za ich taniec, eleganckie stroje, talenty seksualne i umiejętność zarobienia na życie dzięki słabości innych. Christian podał numer telefonu Audrey, kiedy zagrożono mu aresztowaniem za posiadanie meskaliny.

Busch spotkał się z nią w pubie, wyjaśnił sytuację, powiedział, w jaki sposób mogłaby szybko zarobić trochę pieniędzy na tym, w czym jest najlepsza, a jednocześnie nie trafić do więzienia. Busch w samolocie nauczył się *dossier*' Finstera na pamięć; zapoznał się z jego zwyczajami i upodobaniami; wszystko tam było bardzo dobrze udokumentowane. A Audrey świetnie się nadawała na przynętę. Busch zapłacił jej za to, żeby wzbudziła zainteresowanie Finstera, ale nie pozwoliła mu się dotknąć. Znalezienie go nie było dla niej problemem. Finster uwielbiał kluby, a panienki obstawiające te miejsca zawsze doskonale wiedziały, gdzie spędzał wieczór.

Audrey nie uprzedziła o umowie z Buschem swojej przyjaciółki, Vaughn, dlatego ta była mocno zdziwiona, gdy Audrey wykręciła się zeszłej nocy od dalszej zabawy, udając chorobę, ale nadal uwodzicielsko czarując przemysłowca i zapewniając sobie w ten sposób rzadką możliwość umówienia się z nim na drugą randkę.

-Jakoś nie widzę, żebyś wypisywał mandat - odezwała się do Buscha.

-Czas na drugą część umowy - odpowiedział. - Muszę cię poprosić o ostatnią przysługę.

-Mam użyć ręki czy ust?

-Przekupstwo? To bardzo poważne wykroczenie. Gorsze niż jazda z nadmierną prędkością, gorsze niż prostytutka.

-Skończyły mi się przysługi - potarła palce, oczekując na pieniądze.

-Wstyd by było, gdybyś miała spędzić noc w areszcie.

-Czego chcesz?

-Chcę, żebyś go gdzieś zabrała.

-Kogo? - spytała, choć doskonale wiedziała, o kogo chodzi.

-Skończ z tą zabawą. - Busch machnął jej przed oczami rulonikiem pieniędzy.

-Dokąd? - w jej głosie zabrzmiało znużenie, mówiła ze wzrokiem wbitym w banknoty. Busch podał jej karteczkę. Spojrzała na reklamę klubu.

-Dlaczego tam? Ma tam być jakiś najazd policji, czy co?

-Nic takiego. Żadnej akcji policyjnej, nikt nikogo nie skrzywdzi. To nowy lokal, należy do mojego przyjaciela - skłamał. - Jest świetny, trudno się tam dostać, a na niego wchodzi się łatwiej niż na bilet.

-A jeśli odmówię?

-To będą konsekwencje.

-I co, aresztujesz mnie?

-Powiem mu, że go szpiegujesz. Sam nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że nie będzie zadowolony. - Busch pozwolił, żeby jego odpowiedź zawisła na chwilę w nocnej ciszy.

Audrey siedziała, rozważając jego słowa. Była duża różnica pomiędzy tym, za co Busch jej płacił, a co miała szansę uzyskać od Finstera - za te ekstra pieniądze mogła pojechać na resztę lata do Nicei i to była pociągająca opcja. Wiedziała, że gliniarz - jeśli był gliniarzem, w co szczerze wątpiła - płacił jej za dobrze, żeby to było bezpieczne. A matka zawsze jej powtarzała, że jak się tańczy z Diabłem, to trzeba za to zapłacić.

-Jak mam go przekonać, żeby chciał tam iść?

-Nie sądzę, żebyś miała z tym problem. Użyj swojego kobiecego sprytu. - Podał jej plik banknotów. - A to za kłopot.

Bez dalszego namysłu uruchomiła silnik kabrioletu i ruszyła w stronę posiadłości Finstera.

Cztery i pół kilometra dalej, przy leśnej drodze stało czarne audi z wyłączonym silnikiem, zasłonięte gałęziami. Simon zajął pozycję, wpatrując się przez lornetkę w posępną czarną bramę. Była to klasyczna brama, ozdobna, z kutego żelaza, wisząca na zawiasach umocowanych na dwóch kamiennych kolumnach. Wzornictwo nawiązywało do gotyku - tańczące cherubiny, a na górnych prętach gargulce. Kolumny oświetlały dwie lampy gazowe. Ich płomień dawał słaby blask, a długie cienie migotały na wijącym się podjeździe. Simon nie

widział jeszcze wjazdu, który mógłby się równać temu. Była to brama zabezpieczająca w pełnym tego słowa znaczeniu.

Minęły dwie godziny od chwili, kiedy brama otworzyła się, żeby wpuścić czerwonego fiata z czarnowłosą pięknoską za kierownicą. Simon z trudem panował nad sobą. Choć nigdy nie złamał przysięgi życia w celibacie, wiele godzin spędził na odmawianiu modlitwy za grzeszne myśli. Brama zatrzasnęła się szybko za samochodem. Dwusekundowa szansa na wejście do środka, ale jeszcze nie teraz. Busch gwarantował, że kobieta współpracuje z nimi, że wywabi Finstera z domu. Trzeba tylko poczekać. Zresztą i tak nie planowali wejścia przez bramę.

Posiadłość była ogrodzona ponad czterometrowym murem. Kiedy Michael był tydzień wcześniej u Finstera zauważył laserowe monitory kontrolujące mur po wewnętrznej stronie. Trudne do pokonania, ale nie ma rzeczy niemożliwych. Wiedział też, że system zabezpieczający dom był wyprodukowany przez Hughes Aircraft, i że tego typu systemy wojsko amerykańskie stosowało w swoich jednostkach o podwyższonym stopniu zabezpieczeń. Kod zmieniał się codziennie. Cholernie trudny system, ale... nie ma rzeczy niemożliwych. Był jednak pewien element zabezpieczenia, na który nie był przygotowany; nie był wyszkolony w tym zakresie, co więcej - zawsze starannie tego unikał. Podczas poprzedniej wizyty zauważył pracowników zajętych porządkowaniem terenu. Mieli szerokie bary, wąskie biodra, ukształtowane w wojsku sylwetki. I byli uzbrojeni po zęby.

Michael siedział z Simonem koło audi i choć wiał ciepły letni wietrzyk, czuł zimny dreszcz na plecach. Otaczał go dziki las, w którym wyraźnie brakowało życia. Żadnych odgłosów zwierzyny, żadnych ptaków nad głową. W letnie noce w lesie przeważnie słychać świerszcze, a tu panowała martwa cisza. Najdziwniejsze było to, że brakowało nawet owadów. Żadnych robaków, żadnych much czy komarów. Zazwyczaj w lesie widziało się pajęczyny, pająki gotowe do rozciągania swojej sieci. Zazwyczaj, ale nie tu. Las Augusta Finstera był wolny od jakichkolwiek przejawów życia.

Usłyszawszy ciche gwizdnięcie, Michael zerwał się i zdążył dostrzec zbliżającą się czarną limuzynę - tę samą, która ścigała go w drodze z lotniska, na tych samych numerach, tyle że miała zreperowany i nowo pomalowany przód. Halogenowe reflektory rozcinały ciemność, oświetlając nawet część lasu. Ogromne wrota cicho otworzyły się i mercedes przejechał przez nie, nabrał prędkości, wpadł na drogę i zniknął.

Czterdziestopięciominutową podróż samochodem umilali sobie, popijając drinki. Barek ze świeżo uzupełnionymi zapasami zaopatrzonego był w alkohole z najwyższej półki: Dom Perignon, Chivas, Moet i Gray Goose. Nie było w nim tylko piwa. W kryształowych

szklaneczkach od Tiffany'ego pobrzękiwały kostki lodu, za oknami bezgłośny świat zewnętrzny migał z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przez przyciemnione szyby można już było dostrzec światła śródmieścia Berlina. Na obszernym siedzeniu siedziało czworo pasażerów. Wszyscy roześmiani, z wyjątkiem jednego. Finster był nieobecny duchem, jednocześnie radosny i smutny. Wyglądał przez okno z uczuciem, że mające nadejść spełnienie marzeń może działać orzeźwiająco.

Ale jego nastrój nie trwał długo. Po chwili objął Joy, tę miedzianowłosą. Pod prawą ręką czuł jej ciepłe i pełne piersi, odrobinę za sztywne pod bawelnianą sukienką. Silikon. Ale to nie miało dla Finstera znaczenia. Doskonale zdawał sobie sprawę z iluzji, jakie niesie życie, i masek, jakie wszyscy nakładamy. Lnianowłosa Zoe siedziała naprzeciwko Finstera, z bosymi stopami opartymi na jego kolanach i piła trzeciego drinka. Była pływaczką z niemieckiego zespołu olimpijczyków, a Finster uwielbiał sposób, w jaki jej ramiona wypełniały srebrną bluzkę.

Niecierpliwie czekał na rozwój wydarzeń tej nocy. Joy, ruda; Zoe, blondynka; i Audrey, czarnowłosa piękność, siedząca po jego lewej ręce. Trzy różne smaki podczas jego pożegnalnej uczty.

-Dokąd jedziemy? - spytała Joy.

-Decyzja należy do was, moje panie.

- Ja wybieram! - Lekko pijana Zoe prosiła jak dziecko.

- Nie! Ja! - poprosiła Joy.

Audrey pogładziła policzek Finstera, pieszcząc jego ciało swoim.

-Znam doskonale miejsce - powiedziała. - Nowe, zmysłowe, skrajnie dekadentkie. Niebo na ziemi.

-Lubię takie miejsca - stwierdził Finster.

-Rapture? - Joy zaświeciły się oczy.

-Rapture? - spytała Zoe z nadzieją w głosie.

-Myślisz, że udałoby ci się nas tam wprowadzić? - szepnęła Audrey do ucha Finsterowi, doskonale wiedząc, że mógł i, co ważniejsze, że nie potrafiłby oprzeć się wyzwaniu.

Finster siedział w milczeniu, parząc na swój miniharem, na wyluzowane partnerki, na ich rozgrzane ciała. Nie zdecydował jeszcze, gdzie pójdą. Rapture było z pewnością dobrym pomysłem, miejscem, które trzeba zobaczyć, ale Finster nie był przekonany, czy zasługuje na to, by być jego ostatnim wspomnieniem z Niemiec, kraju, do którego czuł się przywiązany. Nowy klub, którego jeszcze nie sprawdził. Czy to noc odpowiednia na coś nowego, czy

przeznaczona na nostalgię?

Doktor Rhineheart biegł korytarzem, a towarzyszyły mu dwie pielęgniarki. Sanitariusz popychał na wózku zestaw do reanimacji, starając się dotrzymać im kroku. Wpadli do izolatki, w której rozlegał się dźwięk alarmu. Monitor pracy serca pokazywał zieloną płaską linię. U Mary St. Pierre nastąpiło zatrzymanie akcji serca, jej ciało spoczywało bez ruchu na łóżku.

Jeszcze przed czterema godzinami wracała samochodem z ośrodka opieki, planując, że zje lunch w domu, ale zatrzymała się przy kościele św. Piusa w Byram Hills, gdzie zatopiła się w modlitwie. Dziękowała Bogu za przyjaciół i za życie, za miłość, którą odczuwała. Dziękowała Mu za męża, człowieka, który zrezygnował ze swojego życia, żeby zdobyć jej serce. Modliła się o siłę. Nie dla niej; dla Michaela, żeby przetrwał, żeby znalazł w sobie wolę życia, kiedy jej już nie będzie. Modliła się o to, żeby ponownie znalazł w życiu miłość. Jest zbyt dobrym człowiekiem, aby miał żyć samotnie, miał w sobie za dużo miłości. Życzyła mu dzieci, szczęścia i cierpliwości. Bardzo chciałaby móc żyć z nim, stojąc u jego boku, ale wiedziała, że tak nie będzie. I myślała o tym dniu, za wiele lat, kiedy się znowu połączą.

Kichnęła tylko raz, lekko i cicho. Zakryła usta dłonią, jak ją uczono w dzieciństwie. Robiła sobie wymówki, przeszukując torebkę - miała przecież zamiar wziąć paczkę chusteczek. Już poprzedniej nocy czuła, że łapie ją jakieś przeziębienie i wiedziała, że może to być dla niej groźne. No i na to się właśnie zanosilo.

Pospiesznie wróciła do samochodu, gdzie zawsze miała zapas chusteczek w schowku na rękawiczki. Dopiero kiedy otworzyła samochód i sięgnęła do schowka, zauważyła małe plamki krwi, jak piegi. Nie było ich dużo, tyle tylko, żeby je zauważyć. Były na prawej ręce, tej, którą zasłoniła usta.

W drodze do szpitala z trudem kontrolowała zachowanie. Trzęsły się jej ręce, czuła zimny pot. Wrócił strach i to z całą siłą. Chciała, żeby Michael był przy niej.

Doktor Rhineheart umieścił w izolatce. Powiedział, że wyniki badań będą za kilka godzin i żeby się nie martwiła. Pojawienie się krwi przy kichaniu nie jest niczym niezwykłym. Ciśnienie skurczowe czasem powodowało, że pękały naczynia w płucach. Nie pojawiły się żadne inne symptomy, ale na wszelki wypadek podłączy ją na noc pod monitory. Pocieszał, że wszystkie wskaźniki świadczą o stabilnym stanie, więc rano pewnie wyjdzie do domu.

Teraz, trzy godziny później, doktor podłączył defibrylator do jej klatki piersiowej. Włączył. Elektroniczny głos maszyny zaczął odliczać: „Trzy... dwa... jeden... *START*”. Zabrzmiał alarm i przez ciało Mary przeszedł silny strumień prądu. Jej nieprzytomne ciało

wygięło się w łuk, ręka bezwładnie zsunęła się z materaca.

Trwało to ułamek sekundy, po czym Mary opadła na łóżko, nadal z zamkniętymi oczami, z pozbawioną koloru twarzą. Rhineheart pochylił się nad nią ze stetoskopem. Nic. Ekran monitorujący pokazywał płaską, zieloną linię i nieustannie popiskiwał.

Doktor ponownie uruchomił urządzenie.

„Trzy... dwa... jeden... *START*”.

I znowu jej ciało uniosło się na łóżku, tym razem nieco wyżej.

Mary leżała bezwładnie, jej serce nie pracowało, ale umysł działał na wysokich obrotach. Wydawało jej się, że znajduje się wcale nie w białym pokoju szpitalnym, ale raczej w ciemnym, przypominającym jaskinię korytarzu. Nie dającym się opisać i spokojnym. Nic nie czuła - żadnego bólu, żadnej radości. Zupełnie nic. Słyszała słabo wołanie doktora Rheinhearta. Nerwowo pracował nad kimś. Mary miała nadzieję, że mu się uda. Szła korytarzem, próbując otworzyć różne drzwi, ale wszystkie były zamknięte. Gdzieś w pobliżu słyszała szmer głosów, cichych i nie do rozróżnienia. Szła w kierunku tego dźwięku, którego ton i intonacja stawały się coraz wyraźniejsze. Doszła do końca korytarza, do miejsca, gdzie przypominał literę T. Głosy tłumu - z pewnością musiało być bardzo dużo ludzi - dochodziły jakby zza wszystkich drzwi. Nie wiedziała, czy ma iść w lewo, czy w prawo, kiedy nagle poczuła potworny ból, przechodzący przez jej żyły. Jak ogień, ból wpałał sobie drogę przez jej skórę.

Ale po chwili cierpienie ustało. Nadal stała przed wyborem - w lewo, czy w prawo? Głosy narastały, jak ryk na stadionie: głosy mężczyzn, kobiet, płacz przerażonych dzieci. Wszyscy sprawiali wrażenie zdezorientowanych, błagali ją o pomoc. Jak miasto zagubionych dusz. Poszła na prawo, krążąc korytarzem - jak się jej zdawało - długie godziny. Przerażone głosy mąciły jej myśli, jej umysł szarpało poczucie dezorientacji. W końcu doszła do drzwi, które zdecydowanie różniły się od pozostałych: czarne jak heban, bardzo stare. Sięgnęła do zardzewiałej klamki. Weszła.

Twarz ją zdumiała, przeraziła. Nie trzeba było go spotkać wcześniej, żeby wiedzieć, kim był.

Jej ciało ponownie szarpnęło coś z całej siły, wywołując silny ból. Miała wrażenie, że unosi ją do góry, a białe lampy świeciły ostro, oślepiając.

Rhineheart pochylił się nad Mary, na ustach miał cień uśmiechu.

- Nie odejdziesz tak łatwo.

Mary leżała nieprzytomna, ale żywa. Jej serce powracało do normalnego rytmu.

- Zawiadom mnie, kiedy się obudzi - powiedział do towarzyszącej mu pielęgniarki.

A potem zwrócił się do drugiej, pani Schrier, która stała z lekko zaczerwienionymi oczami. Wziął ją za ramię i poprowadził w róg pokoju.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale znajdź jej męża - powiedział i ruszył w stronę drzwi. - Jej organizm szybko słabnie. Nie wiem, jak długo pożyje.

ROZDZIAŁ 30

Simon i Michael kucali w lesie, dwadzieścia pięć metrów od monstualnej, czarnej bramy posiadłości Finstera. Minęły dwie godziny. Ich sytuacja była niekorzystna; obaj byli z tego niezadowoleni. Nie mieli pojęcia, z iloma dokładnie ochraniarzami mogą mieć do czynienia, zanim dostaną się do domu. Szacowali, że z dwunastoma. Tak wynikało z rozeznania Michaela podczas jego pierwszej wizyty, jeżeli obsadzone były podstawowe punkty bezpieczeństwa. Tyle, że te podstawowe punkty to było minimum, do jakiego ograniczyliby się ktoś o szczupłych zasobach finansowych. Ale nie Finster.

A jeżeli kluczy nie było tam, gdzie je zostawił? Ta minimalna liczba ochraniarzy stanowiłaby odpowiedź na to pytanie. Ale jeżeli klucze były w domu, wówczas mogą liczyć się z tym, że pilnuje ich cała armia. Sztuczka polegała na tym, żeby dostać się do domu, zanim ich wykryją. To jak z porywaniem flagi; istotą zabawy było dotrzeć jak najbliżej nagrody, nie dając się złapać.

-Mamy coraz mniej czasu - wyszeptał Simon. Jego słuchawka w uchu zawierała mikrofon połączony z telefonem komórkowym.

-Cierpliwości - odpowiedział przez telefon komórkowy Busch, jego głos był odległy, sygnał czasami uciekał z powodu słabego zasięgu telefonii komórkowej na wiejskich terenach.

Simon nie był już taki pewny, czy im się uda - za długo to trwało - ale za nic w świecie nie przyznałby się do porażki.

Pół godziny po północy kolejka na zewnątrz klubu nadal rosła. Kasztanowa aksamitna lina powstrzymywała setki niktosiów, kiedy Ktosie byli wylewnie witani i eskortowani do środka. W całej tej scenie dominowała nerwowość, przypominająca Buschowi złote lata w Nowym Jorku. Studio 54, The Tunnel, The Palladium. Wtedy było inaczej, muzyka była lepsza - każde pokolenie uważa, że za jej czasów muzyka była lepsza - mniej było snobizmu, a rozrywka nie kosztowała dwutygodniowej pensji.

Busch stał w pobliżu drzwi, przedstawivszy się wcześniej klubowym ochraniarzom jako gliniarz z Nowego Jorku, pracujący wspólnie z Interpolem nad ekstradycją uciekiniera. Miało nie być żadnego najazdu, żadnego przeszukiwania pod kątem narkotyków, alfonsów czy lubieżnego zachowania. Busch miał spokojnie obserwować swojego człowieka, a we właściwym momencie dyskretnie zrobić, co do niego należy. Po tych wszystkich zapewnieniach, ochraniarz chętnie zgodził się na współpracę. Nie zaszkodziło też pięćset

euro.

Busch wcale nie był szczęśliwy na myśl o tym, że będzie musiał wejść do środka. Nienawidził stylu techno, dudniącej muzyki, niespójnych tekstów wymieszanych z durnym rapem. Był facetem, który albo słucha Springsteena, albo nie słucha niczego. Musiał sprawić, aby Finster wszedł do klubu, niczego nie podejrzewając, nieświadomy tego, gdzie naprawdę był. To jedyny sposób, jeśli Michael i Simon mieli mieć jakąkolwiek szansę na sukces.

- Busch... - usłyszał w telefonie głos Simona.

-Tak?

-Dlaczego *Brzoskwinek*?

-Męczy cię to, co? - Busch oparł się o drzwi.

-Po prostu nudzę się.

-Dawna dziewczyna z Georgii uwielbiała album *Zjedz brzoskwinie* Allman Brothers i zawsze nazywała mnie „Nowojorską brzoskwinia”.

- Mówisz poważnie? - W głosie Simona zabrzmiała nieufność.

- Opowiedział ci historię Allman Brothers? - zapytał szeptem Michael. Leżał w trawie, obserwując przez lornetkę bramę. Simon potwierdził. Michael pokręcił przecząco głową.

- Jego żona tak nazywa określoną część jego ciała - powiedział, z trudem powstrzymując parsknięcie.

Busch był wkurzony. Chociaż Michael nie miał słuchawki, słyszał bełkot dochodzący z zestawu Simona.

-Co on powiedział? Mówił, że...

-Hej, zrelaksuj się - przerwał mu Simon.

-Sam się zrelaksuj...

Nagle w telefonie zapadła cisza. Absolutna cisza.

- Busch? On tylko żartował...

Zero reakcji.

- Paul, jesteś tam? - Simon postukał w słuchawkę. - Słyszysz mnie?

Michael spojrzał na niego pytająco.

- Wyłączył się. - Simon nagle zrobił się śmiertelnie poważny.

W końcu, po chwili, która wydawała się trwać nieskończoność, Busch odezwał się.

- Jest tu - powiedział wyraźnym, poważnym głosem.

Z limuzyny wysiadły trzy piękności, Audrey, Zoe i Joy, zmysłowe, zapierające dech w piersiach, z włosami rozwiewanymi przez letni wietrzyk. Stały przy drzwiach samochodu, bacznie obserwowane przez tłum. Pojawieniu się Finstera towarzyszyły „ochy” i „achy”.

jakimi witane są gwiazdy filmowe podczas uroczystości wręczania Oscarów. Tłum rozstał się jak Morze Czerwone i czwórka gości pomaszzerowała po czerwonym dywanie do wejścia. Szepty, radosne okrzyki i gwizdy tworzyły zgiełk, a naciskający na aksamitny sznur chętni do wejścia wyciągali szyje, żeby popatrzeć na znanego przemysłowca i jego piękne towarzyszki.

Busch cicho wślizgnął się do klubu, stanął w kącie i obserwował przez drzwi, jak ochroniarz usunął sznur blokujący wejście i z ukłonem witał gości. Przyglądał się, jak weszli i ruszyli prosto w stronę parkietu tanecznego. Wyglądało to tak, jakby poprzedzała ich jakaś niewidoczna bariera, jakby tańczący z szacunkiem ustępowali im miejsca. Ludzie albo wpatrywali się, albo kompletnie ignorowali Finstera. Albo byli zachwyceni jego obecnością, albo zupełnie obojętni. Obojętni pod wpływem alkoholu, narkotyków lub wybujałego ego. Finster był niezwykle charyzmatyczny, robił wrażenie, że ten klub, ludzie, świat należą do niego.

Busch oparł się o odległy kraniec baru i zamówił Jacka Danielsa z lodem. Był tu wyraźnie nie na miejscu; jego spodnie khaki i podkoszulka sprawiały, że natychmiast rzucał się w oczy. W całym swoim życiu nie widział tylu części ciała ozdobionych kolczykami. Uszy, nosy, usta i brwi; brzuchy, sutki, policzki, nawet szczęki. Puścił wodze fantazji i wyobraził sobie jeszcze parę miejsc nadających się do tego. I tatuaże... W swoim czasie widział mnóstwo skazanych, którzy zdobili swoje ciało niezliczoną ilością dzieł, niezbyt twórczych, których tematy nawiązywały przeważnie do matek, dziewczyn lub postaci fantastycznych. Ale tu decydowały pieniądze, ci ludzie za mozaiki, które mieli na swoich ciałach, mogliby kupić Mona Lisę.

Busch otworzył klapkę telefonu, włożył do ucha słuchawkę. Widział, że połączenie było udane, ale w ogłuszającej muzyce ledwie słyszał głos Simona. Pociągnął łyk.

- Zaczynamy - powiedział głośno i wyraźnie.

Nie czekając na odpowiedź, wyłączył telefon i wsadził aparat do kieszeni. Oparł się plecami o bar i spojrzał w górę.

Sufit był na wysokości trzydziestu metrów, widać było grube, drewniane krokwie, które położono dwieście lat temu. Wyobraził sobie szok architekta, gdyby ten dożył dnia, w którym jego dzieło zostało odarte ze świętości. Dudniąca muzyka, w rytm której ciała ocierały się o siebie, alkohol, który lał się strumieniami, ogromne ilości narkotyków - współczesna Sodomia i Gomora. Hedonizm w najczystszej postaci.

Busch stał przy barze. Nie po to, żeby pić, ale dlatego, że znajdował się w połowie drogi pomiędzy Finsterem a wyjściem. Jedyne wyjście. Nie mógł zrozumieć, po co ludzie tłoczyli się tu - w klubie musiało być około pięciuset osób, a dobre drugie tyle na zewnątrz.

Uświadomił sobie nagle, że w razie pożaru miejsce to zamieniało się w idealną pułapkę, ale uznał, że pomimo panicznego strachu przed ogniem, tym razem wytrzyma. Było tylko jedno wyjście. Finster nie mógł więc opuścić klubu bez wiedzy Buscha. Wszystko szło zgodnie z planem i Busch zaczynał mieć nadzieję, że się powiedzie. Simon i Michael z pewnością zaczęli już. A przecież istniało ryzyko. Finster mógł pójść do kilku miejsc tej nocy, ale to, Rapture - uniesienie, ekstaza - pasowało do sytuacji pod wieloma względami znacznie lepiej, niż ktokolwiek zdawał sobie z tego sprawę.

Finster był w klubie. I nie miał na razie zamiaru wyjść.

Al Graham odbył służbę w Gwardii Narodowej i brał udział w Pustynnej Burzy, chociaż wylądował dopiero 28 lutego 1991 roku, czyli w ostatnim dniu walk, i tak naprawdę nigdy nie widział żadnej akcji. W gruncie rzeczy nigdy też nie użył broni w walce. Jego dowódcą był pułkownik T.C. Roberts, kawał sukinsyna, pieprzony piechociarz z piechoty morskiej, który potrafił zmusić skorpiona do odwrócenia wzroku. Pułkownik zadzwonił do niego cztery tygodnie temu z kuszącą propozycją łatwej roboty za oszałamiające pieniądze. A na dodatek, jeśli będzie miał szczęście, może mu się trafić okazja strzelenia do żywego celu.

Al stał teraz na warcie z Javeedem Waquimem przy drodze wjazdowej, dwadzieścia pięć metrów od bramy. Mieli mieć baczenie na bramę, ale ponieważ ich zdaniem brama była bardzo solidna, nie zwracali na nią szczególnej uwagi. Nikt nigdy nie próbował żadnego zamachu na ich pracodawcę, a zresztą, kto byłby taki głupi, żeby próbować przedostać się przez chroniący posiadłość system zabezpieczeń i strażników? Pułkownik powiadomił ich wcześniej, że będzie to ich ostatnia noc i że za wybitną służbę dostaną rano premię w wysokości pięciu tysięcy amerykańskich dolarów. Co więcej, zaproponował im posady „obrońców pokoju” u jakiegoś afrykańskiego dyktatora wojskowego, który spodziewał się rebelii. Sześciomiesięczna gaża z góry i gwarancja, że z pewnością będą mieli okazję sobie postrzelać. Ale Al i Javed nie doczekali ranka. Obaj byli martwi, zanim zdążyli upaść na ziemię.

Michael popracował chwilę nad monitorami laserowymi Hiecena, szybko robiąc obejście, następnie obaj z Simonem przedostali się przez mur i ukryli w lesie koło podjazdu. Simon ściągnął z głowy martwego Ala zestaw odbiorczo nadawczy, otarł z niego krew, potem wyciągnął zza paska radio i położył na ziemi obok plecaka. Wyjął małe, czarne pudełko wielkości niewielkiej książeczki, z mikrofonem i kilkoma świecącymi diodami. Od lat nie używał analizatora/szyfratora częstotliwości, ale nadal było to stosunkowo proste. Założył na głowę zakrwawione słuchawki i przycisnął guzik. Radio na moment wyłączyło się, po czym weszło w tryb nadawania - czyli działało. Simon włączył małe, czarne pudełko i wyciągnął

antnę. Ponownie przycisnął tryb nadawania. Czarne pudełko zaczęło skanować. Po 3 sekundach zapaliła się zielona dioda i na ekranie wyświetliła się częstotliwość. Simon zaczepił pudełko na pasku od spodni.

Lasy na terenie posiadłości Finstera były gęste i ciemne. Simon nasunął na lewe oko noktowizor i poruszał się powoli, starannie obserwując teren dookoła siebie. Michael poruszał się za nim, uważając, żeby nie stracić go z oczu. Im bliżej byli domu, tym większe odczuwał napięcie. Złe przeczucie zrodziło się w chwili, kiedy po raz pierwszy zabił, a teraz z każdym krokiem rosło. Trzymali w dłoniach HK MP5; Simon zmodyfikował komorę i zainstalował tłumiki. Była to broń działająca w dwóch trybach, można z niej było oddać pojedynczy strzał lub, jeśli spust był dociśnięty do końca, wystrzelić czternaście razy na sekundę. Książę spędził znaczną część późnego popołudnia i wczesnego wieczoru, ucząc Michaela, w jaki sposób posługiwać się posiadaną przez nich bronią. Jak nie dopuścić, żeby karabin maszynowy miał odrzut przy strzelaniu, jak ustawiać broń, mierzyć do celu i nie zawahać się. Dziewięćmilimetrowe glocki, w jakie byli uzbrojeni, zawierały po siedemnaście nabojów każdy plus jeden w komorze. Simon nie tracił natomiast czasu, żeby nauczyć Michaela używania izraelskiego karabinu snajperskiego Galii - trzeba było lat praktyki, żeby zostać snajperem, a doskonałym mógł być tylko ktoś obdarzony talentem.

W uchu Simona zaskrzeczało radio.

-Punkt kontrolny.

-Alpha - odezwał się głęboki głos.

-Bravo - zgłosił się następny.

-Charlie... Delta... Edward... Gary... - Każdy głos był inny, każdy odpowiadał w przećwiczony sposób. - Hooper... Isaac... Jack - krótka przerwa, a po chwili: - Luke... Mark... Nathan... Oscar... - kolejna przerwa - Quint... Richard... Steven... Thomas.

-Kevin? Paul? Odpowiedzcie - odezwał się autorytatywnym tonem inny głos.

Simon natychmiast włączył zagłuszanie częstotliwości. Dwa szybkie przyciśnięcia guzika wysyłały statyczny sygnał w całym paśmie.

- Jeszcze raz?

Simon ponownie uruchomił zagłuszacz, tym razem z przerwami, jednocześnie mówiąc do mikrofonu.

-Problem z sygnałem. Zabrzmiało to jak „Pro... nałem”.

-Zostańcie na swoim miejscu, wyślę kogoś do was. Simon odpowiedział jedynie przyciśnięciem zagłuszacza.

Złapał Michaela za rękę i ruszyli w stronę drogi. W oddali usłyszeli odgłosy

uruchamianego silnika motocykla.

-Mamy osiemnastu plus tyłu, ilu dowodzi - relacjonował Simon, kiedy już zajęli pozycję na obrzeżu drogi. Wyciągnął karabin Galii z wypasionym, o dużym zasięgu noktowizorem.

-Dziewiętnastu wartowników - powtórzył Michael. - Jak przejdziemy obok dziewiętnastu?

Simon bez słowa przykręcił tłumik na końcu lufy.

Motocykl był coraz bliżej. Simon położył się w trawie. Rozłożył kolbę, opuścił dwójnog i założył w odległości jednej trzeciej od wylotu lufy, podpierając karabin. Światła zbliżającego się motocykla ślizgały się po drzewach. Simon włożył do magazynka taśmę z dwudziestoma nabojami i wycelował w środek drogi.

- Dziewiętnastu - powtórzył Michael.

Warkot stawał się coraz głośniejszy. Simon wpatrywał się uważnie w drogę. Motocyklista był tuż - tuż. Simon wzruszył ramionami, zacisnął palce, wygiął szyję. Przyłożył oko do lornetki. Motocyklista był w odległości dwudziestu metrów. Jechał co najmniej dziewięćdziesiąt na godzinę.

Simon wciągnął głęboko powietrze i wstrzymał oddech. I bez fanfar pociągnął za spust.

Wyciszony strzał zabrzmiał, jakby ktoś puknął z zabawki. Strażnik zleciał z motoru do tyłu; pocisk trafił go w sam środek czoła. Spadł na ziemię, koziółkując i turlając się jak worek, a motocykl jechał dalej, gwałtownie zbaczając z drogi, wreszcie wpadł do lasu. Ciało wylądowało na ziemi niespełna pół metra od nich. Simon natychmiast zarzucił karabin na ramię i z pomocą Michaela przeciągnął je między drzewa.

W powietrzu wisiał gryzący dym; jego ubrania na długo przesiąkną smrodem papierosów i innych spalanych substancji. Busch nienawidził tego: głośnie muzyka bez spójnego tekstu przypominała mu fabryczne dudnienie, a od migających świateł miał mroczki przed oczami. Czy naprawdę kiedy był młodszy, to wyglądało całkiem inaczej? Jeszcze nigdy tak silnie nie odczuwał luki pokoleniowej.

Minęła godzina, a ten srebrnowłosy magnat o energii nastolatka nadal brylował roześmiany na parkiecie, razem z tymi swoimi trzema damami na jedną noc. Żadnego drinka, żadnej przerwy na odpoczynek. Facet musiał coś sobie dać w żyłę, bo nikt by nie wytrzymał tak długo. A jednak wszyscy oni wydawali się równie rześcy jak w chwili zjawienia się.

Buscha kusiło, żeby zadzwonić do Michaela i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja, ale bał się, że telefon mógłby go rozkojarzyć. Jego zadaniem było dopilnowanie Finstera. Jak

długo tkwił w klubie, był niegroźny, a sądząc po ekstatycznym sposobie tańczenia, nigdzie się jeszcze nie wybierał. Michael i Simon będą mieli tyle czasu, ile potrzebują. Stojąc tak przy barze, z kieliszkiem w dłoni i patrząc na piękne kobiety, Busch doszedł do wniosku, że mógł dostać łatwiejsze zadanie tej nocy.

Finster cały czas tańczył ze swoimi dziewczętami. Przebijał się w tłumie. Krążył po parkiecie. Podnosił temperaturę otoczenia. Co jakiś czas zwracał się do innych tańczących, uwodzicielsko poruszając biodrami obok kobiet, których było tu mnóstwo. Busch nie mógł wyjść z podziwu: leciały na niego jak muchy do miodu, a żadna nie potrafiła zignorować tego siwowłosego faceta. Kiedy się zbliżał, natychmiast zapominały o chłopakach, z którymi przyszły. Ale żaden z „zapomnianych” nie obrażał się. Jakby polujące nocą sowy w Niemczech otaczały Finstera szacunkiem. Może wszyscy łudzili się, że spłynię na nich choć odrobina jego czaru. Busch nagle uświadomił sobie źródło niewyczerpanej energii tego podstarzałego miliardera: on po prostu żywił się tym otaczającym go pożądaniem, tym uwielbieniem.

W miarę narastania napięcia w muzyce, tancerze, pijący, naćpani, dosłownie wszyscy zbliżali się do Finstera, jakby był magnesem, nieustająco przyciągającym ich uwagę. Busch analizował tę dziwną cechę zachowania ludzi i w żaden sposób nie mógł jej rozgryźć. Ale jedno wiedział: Finster tego właśnie pragnął. Był to rodzaj władzy, którą świadomie rozciągał, absolutnie pewny jej mocy. Byłby najgorszego rodzaju przywódcą, swoją charyzmą przyciągającym tysiące wielbicieli. W porównaniu z nim Jim Jones wydawał się nikim, a wszelkie fanatyczne kultowe samobójstwa przypominały zbiórki harcerskie. Zapewne w taki sam sposób Finster prowadził swoje biznesy; czarował tych, z którymi zawierał transakcje, posługując się swoim urokiem jak zwodniczym nożem, śmiertelnym sojusznikiem pomagającym wykończyć przeciwników.

Melodia osiągnęła apogeum, tak jak uwaga wszystkich, skupiona na Finsterze, jakby był wodzem plemienia. Finster czuł wpatrzone w siebie oczy. Barmanów, DJ - a, całego tłumu. Tylko jedna osoba patrzyła gdzie indziej.

Audrey. Patrzyła w stronę baru. Finster pobiegł za jej wzrokiem, zwalniając tempo tańca. I wtedy właśnie dostrzegł Buscha. Stanowczo zanadto rzucającego się w oczy w tym tłumie.

Nagle czar prysł, każdy wrócił do własnego małego świata. Finster odwrócił się w stronę Audrey, która ze zlaną zimnym potem piękną twarzą drżała z przerażenia, jakby zobaczyła śmierć. Dał się oszukać, omamić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Po prostu wiedział, że tym nieznanym jest Paul Busch. Nie wiedział, co ten amerykański gliiniarz tu

robił, ale z całą pewnością był żywy, a jeśli on żył, to żyli także Michael i ten pieprzony ksiądz.

Z Thalem policzy się później.

Musi chronić swoje klucze.

Audrey cofnęła się, jakby w oczekiwaniu ciosu. Zoe i Joy nadal tańczyły. Żadna z nich nie dostrzegła prerażenia Audrey. Obejmowały Finstera, usiłując przywrócić wcześniejszy nastrój, ale przeklinając, wyrwał im się i ruszył w stronę wyjścia. Tym razem tłum nie rozstępował się przed nim. Wydawało się, że ściana otaczających go ludzi wręcz gęstniała. Miał błyszczące z gniewu oczy, płonął z wściekłości. Gotów był rozgnieść na miazgę każdego, kto mu stał na drodze. Za wszelką cenę musiał wydostać się i dotrzeć do domu.

Busch zamarł, w stanie kompletnej paniki. Bez ruchu obserwował, jak Finster przedziera się przez tłum. Nie słyszał już muzyki, która jeszcze przed momentem atakowała jego uszy. W martwej ciszy obserwował, jak ich plan wywraca się do góry nogami. Jeśli Finster dotrze do drzwi, Michael i Simon w żaden sposób nie będą mogli dokończyć zadania.

Z lasu wyszli na angielski ogród, którego krańce oświetlały reflektory. Podczas poprzedniej wizyty Michael nie uświadomił sobie nawet, jak ogromny był dom. Na kamienną fasadę padały zniekształcone cienie krzewów i drzew. Zrozumiał, co skłoniło Finstera do kupienia tej posiadłości: nie tylko podkreślała jego władzę, ale była też wyzwaniem dla tych, którzy mogli być tak głupi, żeby próbować się do niej dostać. Simon rozłożył ukształtowane w literę V nóżki Galila, opierając je na kamiennym murze. Teren sprawiał wrażenie opustoszałego. Ksiądz włączył zagłuszacz częstotliwości, odcinając łączność radiową między pozostałymi osiemnastoma wartownikami. To tylko kwestia czasu, zanim wpadną w panikę. Normalne zjawisko wśród żołnierzy: muszą mieć stały kontakt z dowódcą, bo chcąc osiągnąć wojskową precyzję, działają wyłącznie na bezpośredni rozkaz. A kiedy dowództwo milczy i wydaje się, że padło, zachowują się jak pozbawione steru statki, kręcące się beznadziejnie w kółko, zawsze na granicy zatonięcia.

Simon zaczął przyglądać się domowi przez lornetkę karabinu, badając front, wszystkie jego szczegóły, okna i drzwi. Kolejno oglądał pierwsze, potem drugie i trzecie piętro. Coś przyciągnęło jego uwagę. Na niebieskim, wyłożonym łupkiem dachu. Jakieś poruszenie. Trzech ludzi. Ukryci między dekoracyjnym fryzem a parapetem. Snajperzy. Stukali w słuchawki, mamrotali do siebie, zapewne zaniepokojeni nagłą utratą łączności.

Simon ustawił widoczność na jednego, stojącego najdalej, głupka w białej czapce malarskiej z odchylonym do tyłu rondem. Nagle czapka spadła i można by pomyśleć, że zwiął

ją wiatr, gdyby nie fakt, że gwałtownie zmieniała kolor. Kula przeszła prosto przez głowę jej właściciela.

Simon nastawił karabin na środkowego snajpera, który usłyszawszy z boku siebie jakiś hałas, odwrócił się. Dostrzegł śmierć kolegi niemal w tym samym momencie, kiedy podzielił jego los. Koło fortuny obróciło się na trzeciego. Szykował się do ataku, kucając za kamienną fasadą, wodząc lufą karabinu w poszukiwaniu celu.

W tym samym momencie przed domem zaczęli się gromadzić inni ochraniarze. Kręcąc się jak bydłęta w stadzie, wyraźnie nie wiedzieli, co robić. Stukali w słuchawki i mówili przyciszonymi głosami. Snajper wychylił się, żeby ich ostrzec, ale nie zdążył powiedzieć ani słowa. Ksiądz pociągnął za spust. Mężczyzna upadł na parapet, po czym poleciał w dół ze strzelbą w dłoni. Stojący pod domem odskoczyli, rozpraszając się i klnąc, kiedy ciało spadło jak worek ziemniaków u ich stóp.

Simon nie tracił czasu. W zamieszaniu wywołanym przez usiłujących się ukryć ochraniarzy, wypuszczane przez Simona serie odbijały się od ziemi i ścian. Padały ciała, bryzgała krew.

Niektórzy jednak mieli doświadczenie i potrafili zachować zimną krew. Ci namierzili pozycję Simona i kryjąc się za samochodami, zaczęli strzelać w tym kierunku.

Michael skulił się za murem. Pociski świstały mu nad głową, roztrzaskując kamień, trafiając w drzewa. Zrozumiał teraz strach żołnierza, który w takiej sytuacji stał jak sparaliżowany, niezdolny do ruchu, niezdolny do pociągnięcia palcem za spust. Nieważne, jak długo go szkolono, nigdy nie było wiadomo, jak zachowa się na polu walki, dopóki nie znajduje się pod obstrzałem. Michael spojrzał na Simona, który nawet nie drgnął, nieprzerwanie strzelając. Był brutalnie wydajny, jak miotacz rozgrywający swoją doskonałą grę. Z zabójczą precyzją wystrzeliwał magazynki jeden po drugim, potem wymieniał je z taką wprawą, że kiedy pusty padał na ziemię, karabin zaczynał już nową serię.

Myśli Michaela nieustannie biegły do templariuszy, wojowników Boga, pierwszych do ataku i cofających się jako ostatni w czasie krucjat. Ale czyż nie było tak zawsze, w całej historii? Mojżesz zabijający ludzi Ramzesa w Morzu Czerwonym. Rycerze urządzający krucjaty na rzecz chrześcijaństwa. A hiszpańska inkwizycja? Czyż w całej historii nie było tak, że Kościół w praktyce i Kościół w modlitwie wydawały się diametralnie różne? A przecież wszystko to było w imię Boga. Zawsze w walce o coś, co postrzegano jako większe dobro. I ci, którzy walczyli za Kościół, wierzyli głęboko, że toczą dobrą walkę. Tak samo wierzył Simon, zabijając jednego po drugim. Żadnych skrupułów, żadnego wahania. Miał jeden, jedyny cel: odzyskać klucze dla swojego Kościoła.

Nagle Michael dostrzegł czerwoną plamkę nienaturalnie pełzającą do przodu i do tyłu, szukającą w ciemności celu, niczym jakaś zagubiona, jasna mucha szukająca schronienia.

Plamka wylądowała na plecach Simona i pomaszerowała w kierunku szyi. Simon nie reagował na ten znak śmierci i nieświadomy niczego kontynuował swój atak. Michael poczuł, że strach ustąpił. Uniósł swój HK i zaczął strzelać, a pociski rozszczerpiały pnie drzew, kiedy wodził karabinem w poszukiwaniu niewidocznego strzelca. Opróżnił magazynek, włożył następny. Czerwona plamka zniknęła. Dym się rozwiął. Simon nawet nie drgnął, ze wzrokiem nieruchomo wbitym w lornetkę karabinu. Na trawniku leżało już osiem ciał.

- Jest ich pewnie więcej - wyszeptał ksiądz, nie odrywając wzroku.

Michael spojrzał w kierunku lasu. Zawsze lubił ciemność, sposób, w jaki go otaczała, przytulała, chroniła. Ale teraz chroniła też innych, spowijając ich, kiedy leżeli, czekając tylko na okazję, by go zabić. Niechętnie sprawdził broń i zaczął się czołgać w kierunku drzew.

- Licz, ilu zabiłeś - usłyszał głos Simona.

Licz, ilu zabiłeś. Jasne. Siebie też? - pomyślał, kiedy doczołgał się do głębszego cienia i wstał. Zza drzew nie było widać świateł domu. Ostrożnie rozglądał się dokoła, trzymając broń tak, jak uczył go Simon i ściskając tak mocno, aż mu pobielały stawy. W myślach poprowadził linię od księdza do punktu, z którego wychodził czerwony strumień światła.

- Jeden - mruknął, kiedy trącił butem pierwszego zabitego przez siebie.

Pochylił się nad ciałem, nie wiedząc, czego szuka, kiedy drzewo po jego prawej stronie eksplodowało od strzałów, a odpryśnięte drzazgi zadrasnęły go w policzek. Uskoczył na lewo, zajmując pozycję za dużym dębem i strzelając w kierunku, z którego został zaatakowany. Na jego salwę odpowiedziała wściekła kanonada. Nagle zapiekło go draśnięte przez kulę ramię. To nie była jego zabawa: znał się na alarmach i elektronice, był złodziejem, a to, co robił teraz, wcale mu nie pasowało.

Oparł się plecami o drzewo, mając nadzieję, że było wystarczająco duże, żeby stanowić jako taką ochronę. Simon nauczył go zestrzeliwać puszki. Małe, nieruchome puszki po pepsi i coca - coli. Te cele ruszały się i były niewidzialne. I strzelały. Nie wiedział, czy pozostali gromadzili się gdzieś, czy mógł ich tam zaatakować. Simon zapewne już nie żył. Spojrzał w górę. Przerzucił broń przez ramię. Znieruchomiał na chwilę, nasłuchując. Nic nie słyszał. Po chwili wyprostował się i zaczął się wspinać.

Dwunastu. Simon odczuwał zadowolenie, coś, czego nie przeżywał od wielu lat. Choć mogło się to wydawać bardzo dziwne, znowu czuł się na właściwym miejscu. I chociaż wiedział, że powinien mieć wątpliwości, wcale ich nie miał. Ci ludzie chronili zło. Należeli do najgorszej kategorii żołnierzy, lojalnych wobec tych, którzy najwięcej płacili. Nie czuł

skruchy, kiedy padali martwi. Zostaną osądzeni w życiu pozagrobowym - jeśli będzie ono jeszcze istniało po dzisiejszej nocy.

Strzelanina wyostrzyła mu umysł, zmuszając do instynktownych reakcji. Od czasu jego służby we włoskiej armii upłynęło piętnaście lat, ale czuł się tak, jakby to było wczoraj. **Tylko** trzy razy w życiu znalazł się pod tak silnym ostrzałem i to dodało mu energii; presja wywoływała u niego dodatkowe siły. A jeśli to nie było presją, to słowo „presja” nie istnieje. Przez cały czas nie zapomniał nawet na chwilę o swoim powołaniu. O tym, że jest księdzem. Takim, który posiadał szczególny obowiązek chronienia Kościoła i wiary. Za wszelką cenę. Każdemu pociągnięciu za spust towarzyszyła modlitwa o odnowę i wybaczenie. Zawsze ją odmawiał, kiedy zabił człowieka. A odmawiał tyle razy, że nawet nie potrafił zliczyć.

Starął się ignorować ból w prawym ramieniu. Wyraźnie przeszedł przez nie pocisk. Ciepło częściowo zasklepiło ranę wlotową, ale wylotowa była otwarta. Czuł krew wsiąkającą w koszulę. Strzelanina ucichła i zapadła cisza. Jego taktyka ściągnięcia ochroniarzy w jedno miejsce sprawdziła się. Wyeliminował ich znaczną część, ale pozostali byli teraz w stanie gotowości i to oni urządzali polowanie. Kilku najtrudniejszych do zabicia, a zawsze największym wyzwaniem był ostatni przeciwnik.

Pułkownik T. C. Roberts wyszedł z domu. Miał dobre metr osiemdziesiąt wzrostu, niemal tyle samo w obwodzie klatki piersiowej. Rozejrzał się, zobaczył leżące ciała zabitych. Nie miał pojęcia, ilu pozostało przy życiu. Radio nie działało, coś zagłuszało łączność.

Choć już nie służył w piechocie morskiej USA, zawsze przedstawiał się, podając stopień wojskowy, dzięki czemu natychmiast zyskiwał władzę i szacunek ludzi. Oczywiście, kiedy odchodził, sąd wojenny zdegradował go. Sposób, w jaki traktował tego prostodusznego żołnierza, nie spodobał się wyższemu dowództwu, zwłaszcza kiedy zwiększył zakres kar aż po karę śmierci. To, że zadał śmiertelny cios kolbą karabinu, uderzając w skroń tego młodego Południowca, a potem zrzucił winę na sierżanta, nie przysporzył mu sojuszników podczas procesu. Ucieczka z więzienia wojskowego była jednak łatwa, a znalezienie najemnych żołnierzy jeszcze łatwiejsze. Roberts znał wielu walczących w Pustynnej Burzy, niezadowolonych ze zbyt wczesnego przerwania walki. Byli to niekoniecznie najbardziej utalentowani żołnierze, ale z pewnością mieli motywację. Silniejszą niż tylko chęć życia. Kierowała nimi bowiem potrzeba krwi.

Roberts podrapał bliznę na nosie. Biegła ona od lewego oka, przez mostek nosa, do prawego policzka i od czasu tamtego incydentu z ulicznym włóczęgą dwa lata temu sprawiała problemy. Włóczęga nigdy więcej już nikogo nie zadrasnął, ale Roberts codziennie przeklinał duszę tego gada, który go oszpecił. Nikt nie przekroczy progu tego domu - taką obietnicę

złożył Finsterowi i zamierzał jej dotrzymać. Zastanawiał się, czy nie powiadomić Finstera telefonicznie, ale doszedł do wniosku, że lepiej tego nie robić. Najpierw musi odzyskać kontrolę nad sytuacją, zmniejszyć szkody i odeprzeć atak.

Włączył w domu alarm i stał, obserwując rozciągający się przed nim dobrze oświetlony teren. Nie widział jednak nic poza zasięgiem lamp i w duchu przeklął swoich ludzi za głupotę. Równie dobrze mogli nosić na sobie tarcze strzelnicze i mieć na oczach zaślepki. Wyciągnął colta i szybką serią zestrzelił kolejno wszystkie reflektory, nie chybiając ani razu. Rozprysnęły się na kawałki i zgasły. Posiadłość zalała ciemność. Przynajmniej nieco wyrównał szanse. Nadeszła pora, aby zamienić się miejscami z napastnikami.

ROZDZIAŁ 31

Busch rzucił się pędem przez tańczący tłum, a w uszach dudniła mu muzyka. Było to jak przedzieranie się przez błoto, w takim tempie mu to szło. Młodzi i piękni okazali się bezwzględni. Obojętni na narastające w nim uczucie paniki. Zdawało się nawet, że ktoś go kopnął, niby przypadkowo; Amerykanin nie pasował tu.

Finster znał takich ludzi, więc przesuwiał się między nimi z łatwością, po prostu rozpychając ich na boki. Musiał wydostać się z tego zadymionego klubu i dotrzeć do domu. Pozwolił sobie na chwilę beztroski, ciesząc się zabawą w tę ostatnią noc. Całe to uwielbienie, ta pazerność - stał się taki sam, jak ci, którymi manipulował. I choć domu strzegło dwudziestu jeden uzbrojonych ochroniarzy, był przekonany, że mogli zawieść. Nie miał zamiaru tracić wszystkiego, o co walczył. Te klucze były jego przeznaczeniem.

Finster miał przewagę nad amerykańskim policjantem: był już poza parkietem, w odległości jakichś dwudziestu metrów od drzwi. Stracił gliniarza z pola widzenia, ale też gliniarz wcale nie był dla niego ważny. W gruncie rzeczy nigdy żaden człowiek nie stanowił problemu dla Finstera, który był wyjątkowo pewny siebie i swoich możliwości. Myślał jedynie o swoich kluczach, o zabezpieczeniu ich przed tamtymi dwoma - złodziejem i księdzem. W odległości dziesięciu metrów od drzwi natknął się jednak na mur. Ludzki mur. Stał tam Busch w majestacie swoich stu trzydziestu kilogramów.

- Z drogi! - wrzasnął Finster, przekrzykując muzykę.

Busch nie odezwał się. Wpatrywał się w tego człowieka, którego tak wielu ludzi się bało, który wzbudził taki strach w Michaelu.

- Wiesz, kim jestem? Oślepię cię, zanim zdążysz zmrużyć oczy. - W głosie Finstera brzmiała wściekłość, chociaż jego ciało pozostało spokojne, nieruchome.

Busch w końcu go widział - żywego, a nie zdjęcie czy jakiś program w telewizji. Zobaczył Finstera z bliska. W jego bezruchu, w dziwny sposób kontrastującym z ewidentnym gniewem było coś niepokojąco nienaturalnego, jakaś zapowiedź. Otaczała go jakaś aura, jakby odrażające pole. Busch doszedł do wniosku, że jego oczy były złe. Nie przypominały oczu innych ludzi. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale one nie kłamały. To nie były oczy człowieka; to były oczy diabła. Wbrew logice Busch w końcu uwierzył w to, do czego Michael i Simon tak bardzo starali się go przekonać. Finster był uosobieniem ciemności. Ale w tym szczególnym momencie nie miało to dla Buscha znaczenia.

- Nie możesz mnie oślepić - odpowiedział. - Nie tu.

Finster nie zrozumiał. Próbował odepchnąć gliniarza, ale ten nawet nie drgnął.

- Nie masz pojęcia, gdzie jesteś - powiedział Busch, pewnym siebie tonem.

Finster napierał.

- Zejdź mi z drogi, zanim...

- Jesteś na świętej ziemi - przerwał mu Busch. - To miejsce - wskazał ręką - było kościołem. Poświęconym w imię Boga. Sanktuarium.

Zdumiony Finster rozejrzał się wokół siebie i poczuł, że gotuje się wewnątrz. Niewiarygodne, ale to faktycznie był kościół. Witraże w pięciometrowych oknach przedstawiały Drogę Krzyżową. W odległym krańcu, na podwyższeniu, znajdował się marmurowy ołtarz, na którym DJ ustawił swój sprzęt muzyczny. Za siedzenia służyły stare, drewniane ławki. A balkon - to był chór. Kształt klubu stał się teraz oczywisty: to był kształt krzyża.

-Osobiście uważam to za chore, ale dziś świetnie służy moim celom - powiedział Busch, a na jego ustach zaczął pojawiać się szeroki uśmiech.

-To znaczy? - Gniew Finstera nareszcie zaczął się objawiać także fizycznie; zrobił się czerwony na twarzy i drżał.

Busch wyciągnął rękę i schwycił go za ramię, ściskając mocno dla podkreślenia słów.

- Przytrzymam cię tu, ślepego i bezradnego. - Finster próbował wyrwać - mu się z uścisku, ale nie mógł. - Jesteś uwięziony w tym jedynym miejscu, do którego zabroniono ci wchodzić... i... jesteś w sytuacji bez wyjścia.

Busch uśmiechnął się od ucha do ucha. Pokonał tego, o którym mówiono, że jest nie do pokonania.

Michael był na wysokości piętnastu metrów i przemieszczał się wśród koron drzew. Poruszanie się w ten sposób nie sprawiało mu trudności, ale jego podstęp okazał się trudny w realizacji. Uwaga, jaką musiał poświęcać na zachowanie ciszy, wyczerpywała jego energię. Wykorzystywał ciemność i dochodzące z oddali odgłosy strzałów z karabinu. Rana była niegroźna, stracił niewiele krwi, ale bolały go już palce i stopy. Zastanawiał się, czy ma szansę odzyskać klucze przed powrotem Finstera do domu.

Do jego uszu dotarł dźwięk deptanych suchych liści. Zamarł. Pod drzewem dostrzegł sylwetkę człowieka poruszającego się w ciemnościach. Jeden z żołnierzy Finstera. Michael oparł się o gałęzie, cicho klinując między nimi. Zdjął z ramienia karabin i wymierzył. Musi go trafić pierwszym strzałem, żeby nie zdradzić swojego miejsca jakimś innym tropicielom. W przeciwnym wypadku z całą pewnością zginie; jak długo jest tu, na górze nie ma możliwości ukrycia się. Przez moment rozważał, czy nie pozwolić odejść tamtemu, a potem

zejść na ziemię. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, w jakiej fatalnej sytuacji się znalazł. Siedząc na wysokości piętnastu metrów, stał się wygodnym celem.

Człowiek zatrzymał się tuż pod nim. Michael opanował się i wycelował w czubek jego głowy.

Strażnik padł w miejscu; pocisk przeszedł mu przez czaszkę, gardło i dalej wbił się w ciało. Michael rozejrzył się.

- Drugi - wyszeptał. Rachunek zabitych.

Odczekał chwilę, po czym zszedł z drzewa. Uwielbiał wspinać się, ale tak bardzo przywykł do ceglanych i kamiennych budynków, że zapomniał o radości, jaką w dzieciństwie sprawiało mu chodzenie po drzewach. Wspaniałe miejsca do uchwycenia się, doskonałe podparcia pod nogi. Pomyślał, że miło byłoby znowu być dzieckiem. Wtedy przynajmniej nie musiałyby być tutaj. Zeskoczył, lądując koło ciała. Pochylił się, żeby przeszukać żołnierza.

- Nie ruszaj się.

Michael nie potrafił powiedzieć, skąd dochodził głos.

- Ręce do góry.

Ktoś z tyłu zdjął mu broń z ramienia. Kolba karabinu uderzyła go w głowę, aż poleciał do przodu.

- Ilu? - warknął żołnierz.

Michael nie odezwał się i dostał kolejny cios w głowę.

- Odpowiadaj sukinsynu.

Żołnierz, który zaatakował Michaela, miał na imię Jax, ale oczywiście nie przedstawił się.

Pod wpływem uderzenia Michael osunął się na kolana, a nerki przeszły mu ostry ból. Stracił oddech. Usłyszał metaliczne kliknięcie ładowanej broni. Żołnierz przytknął lufę do jego ucha, wciskając go w ziemię.

-Masz dziesięć sekund.

-OK. - Michael w popłochu szukał pomysłu. - Pokażę ci, gdzie są.

- Wstawaj.

Z trudem, ale podniósł się i ruszył, modląc się, żeby szedł w dobrym kierunku.

- Macie tu niezłą akcję, przyjacielu - powiedział, starając się rozluźnić atmosferę. Szedł cały czas z rękami do góry. - Pewnie jest tu cała armia, co?

Odgłos kroków idącego za nim najemnika dudnił mu w uszach. Michael nie miał wątpliwości, że człowiek ten bez wahania strzeliłby mu w plecy. Doszli do polanki, na której przedtem był Simon, ale oczywiście już z niej zniknął. W powietrzu unosił się jeszcze zapach

prochu, na ziemi rozrzucone były łuski.

- No i? - warknął Jax, podejrzewając podstęp.

Michael rozejrzył się, nie mając pojęcia, gdzie poszedł jego partner. Popatrzył w kierunku nieoświetlonego domu, który wyglądał jak monstrualny cień zasłaniający nocne niebo.

-Idź dalej. - Najemnik popchnął go lufą przystawioną do pleców w kierunku domu. Kiedy wyszli na podjazd, z cienia wyszli inni żołnierze. Było ich pięciu, uzbrojonych po zęby.

-Macie jeszcze kogoś? - zawołał Jax do kolegów.

-Nikogo - odparł jeden. - Myślisz, że był tylko ten?

-Co najmniej dwóch - odparł ponuro Jax.

Michael nie był w stanie rozpoznać, kto rozmawiał z Jaxem, ale na pewno nie był to dowódca. Trochę podniosła go na duchu wiadomość, że nie złapali Simona, ale mógł też przecież leżeć gdzieś w krzakach, w kałuży krwi.

-Gdzie jest pułkownik? - zapytał Jax.

-Nie widziałem go, odkąd rozpoczęła się strzelanina.

-Co z nim zrobisz? - Jeden z najemników wskazał na Michaela.

-Wycisnę z niego, o co chodzi, a potem użyję jako cel ćwiczebny w strzelaniu. - Jax zwrócił się do Michaela. - No więc, co takiego ważnego jest w tym domu, że postawiliście na nogi wszystkich dwudziestu jeden strażników?

-Ale już nie ma dwudziestu jeden, prawda? - odparł Michael i natychmiast pożałował swojej buty, bo wylądował twarzą na podjeździe. Nie wiedział, kto go uderzył, ale z pewnością było ich kilku. Skulił się pod ciosami. Najgorsze były kopnięcia, z pewnością miał połamane zębra, bo przy każdym oddechu przeszywał go ból. W ustach czuł metaliczny smak krwi. Najemnicy otoczyli go jak wygłodniałe hieny, śmiejąc się i rechocząc ze swojej bezbronnej ofiary. Z trudem zachowując przytomność, Michael uświadomił sobie, że swoimi głupimi uwagami mówią więcej o sobie, niż byliby w stanie wyciągnąć z niego.

-Ilu was jest?

-Dla kogo pracujesz?

-Czego tu szukasz?

-Dlaczego zaatakowałeś spokojnego biznesmena?

Nie mają pojęcia, o co może chodzić, pomyślał Michael. Ci ludzie nie wiedzieli o Finsterze zupełnie nic, uważali go za kulturalnego, bogatego biznesmena. Nie mieli pojęcia o

tym, co kryły podziemia tego domu. Michael uniósł nieco głowę i spojrzał wyzywająco na Jaxa, który wyrzucał z siebie pytania. Twarz żołnierza była zimna, bez życia, resztki włosów opadały siwymi kępkami wokół uszu. A jego oczy... jego oczy zdradzały szaleństwo. Michael usłyszał jeszcze, że Jax mamrocze coś na temat sznura i szyi, ale nie dotarło to do niego, bo stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 32

Busch i Finster stali naprzeciw siebie. Busch szerzył w uśmiechu zęby tak szeroko, że jego dentysta byłby dumny. Klub przyjął ich konfrontację obojętnie. Muzyka nadal dudniła, tancerze nadal wirowali. Wcześniej Busch nie wierzył w to, w co wierzył Simon, i uważał plan Michaela za głupotę. A jednak stał tu, miażdżąc ramię Finstera i jedyne, co tamten mógł zrobić, było bezsensowne wyrywanie się.

Finster wpadł w panikę, jakiej jeszcze nigdy nie przeżył. W głowie miał mętlik, bezskutecznie szukał jakiegoś rozwiązania. Po raz pierwszy czuł się taki słaby, pozbawiony mocy. Utkwił w tym przerażającym miejscu jak w pułapce. Sceny z witraży krzyczały w jego ciemnym sercu, marmurowe ściany waliły się na niego. Pełen wzgardy uśmiech olbrzyma wyciskał z niego życie.

I nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Triumfalnie uniósł do góry opuszczoną głowę, zajrzał Buschowi głęboko w oczy... i uśmiechnął się. A potem zaczął szaleć. Dosłownie. Wywracał oczami tak, że widoczne były tylko białka. Ręce mu drżały i wymachiwał nimi nieprzytomnie. Na szeroko otwartych, bezwolnych ustach pojawiła się piana. Ciałem wstrząsały silne drgawki, jakby tańczył w ataku epilepsji. Rzucał głową do przodu i do tyłu, a potem upadł na podłogę i wił się jak plaster masła na gorącej patelni, z zaciśniętymi pięściami, rzucając głową na boki, uderzając o parkiet. Ludzie zaczęli zwracać na niego uwagę, odsuwać się, przypuszczając, że to kolejny przypadek przedawkowania.

Wyraz twarzy Buscha zmieniał się, od aroganckiego triumfu do skrajnego przerażenia. Nie wiedział, co myśleć, kiedy Finster wił się u jego stóp. Wokół zaczął gromadzić się krąg ciekawskich - niektórzy byli zafascynowani sceną, inni przerażeni. Dźwięk muzyki zagłuszył krzyk jakiejś kobiety. Trzech potężnych ochroniarzy odepchnęło Buscha. Złapali Finstera i zanieśli go na sofę w jednej z grot. Widać było, że postępują rutynowo, takie sytuacje zapewne przytrafiały im się co noc - klienci, którzy przedawkowali i znaleźli się na krawędzi śmierci. Ich zadaniem było dopilnowanie, żeby śmierć nie nastąpiła jednak w klubie. Trudno byłoby im odpowiedzieć na pytania policji, dotyczące dostępnych tu form rozrywki.

Za nimi szedł w stronę holu coraz większy tłum, wiedziony niezdrową ciekawością, zafascynowany tym, co przytrafiło się temu nędznemu narkomanowi, który wcześniej tak ich czarował. Patrzcie, taka gwiazda u szczytu sławy, a tymczasem oni, jak dopisze im szczęście, będą mogli powiedzieć, że widzieli, jak umierał. Tłum odsuwał Buscha coraz dalej i dalej od tego, co się działo.

Nosze pojawiły się szybciej, niż Busch zdążył o nich pomyśleć. Ochroniarze bez wysiłku unieśli Finstera i przypięli pasami. Wokół nich zgromadziła się już blisko połowa klubowych gości. W pewnej chwili Busch znalazł się gdzieś na samym końcu. Krzyczał, żeby go przepuszczono, ale jego krzyki ignorowano. Był bezradnym amerykańskim gliniarzem w obcym kraju, nie miał żadnych uprawnień, żadnej władzy, odpychany był coraz dalej, gdy tymczasem Finstera wynoszono z klubu. Nie wiadomo skąd pojawiło się nagle więcej ochroniarzy, którzy powstrzymywali ciekawskich.

Busch przepchnął się przez morze ludzi i wydostał na ulicę obok paparazzich i gapiących się tłumów, czekających na szansę wejścia do klubu. Kiedy dotarł wreszcie do krawężnika, zobaczył znikające w mroku tylne światła ambulansu i jadącą tuż za nim limuzynę Finstera.

Michael ocknął się i to, co zobaczył, to była masakra. Po podjeździe płynęła stróżkami krew. Nie wiedział, czy to jego, dlatego bał się poruszyć. Nad głową świszczały mu pociski. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, zauważył leżących obok żołnierzy: dwóch zabitych, trzech żyło. I ci trzej strzelali we wszystkich kierunkach.

Na prawo od Michaela, zasłonięty zielonym peugeotem, strzelał Jax. Z dzikim spojrzeniem siekł po ogrodzie, a jego ciało drżało od odrzutu szybkostrzelnego karabinu. Jeden z żołnierzy upadł na ziemię. Michael usłyszał ostatnie świsty jego oddechu, wydostające się przez dziurę wielkości dziesięciocentówki w szyi.

-Gdzie jest pułkownik? - Drugi z żyjących wartowników usiłował przekrzyczeć terkot karabinów.

-Nie wiem - odpowiedział Jax.

-Troszkę się przestraszył i schował? A miał być odważnym i godnym chwały dowódcą.

Jax odwrócił się i wymierzył do swojego towarzysza.

- Zajmij się lepiej wrogiem - warknął, wskazując na otaczającą ich ciemność.

Michael w milczeniu obserwował narastanie niezgody. To nie byli żołnierze. To byli ci, których wojsko odrzuciło, weekendowi wojownicy niestabilni psychicznie. Ale byli uzbrojeni. Simon musiał być gdzieś w okolicy i kolejno ich eliminował. Ale jeśli chodzi o Michaela, robił to nie dość szybko.

Jax odwrócił się, zauważył, że Michael odzyskał przytomność i te nieliczne szare komórki, które miał jeszcze w mózgu, zaczęły pracować.

- Patrzcie, kto to się ocknął.

Złapał Michaela za włosy i postawił na nogi.

-No niech mnie... - powiedział drugi wartownik, wstając.

-Cicho - przerwał mu Jax. - Połóż się.

-Hej, a kto ci dał prawo rozkazywania? - warknął strażnik, stojąc ze zmrużonymi oczami i usiłując zobaczyć coś w ciemności. W mroku zaterkotał karabin, a echo niosło odgłos po całej dolinie.

-Kurwa - powiedział żołnierz i padł martwy.

*

Simon leżał za starą kamienną studnią, z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości. Ochroniarze byli bez szans, padali na ziemię jeden po drugim, od jednego strzału. Simon nie chybiał i nawet na moment nie dekoncentrował się.

Według jego obliczeń przy życiu zostało już tylko dwóch przeciwników: dowódca i jeden żołnierz. Ten z siwymi kępkami włosów nadal ukrywał się za peugeotem, ale nie było wiadomo, gdzie jest dowódca. Simon skanował podjazd noktowizorem karabinu i dostrzegł Michaela. Stał na miękkich nogach, mocno pobity, a za nim widoczny był łysiejący strażnik; opierał lufę karabinu pod szczęką Michaela. Simon rozpaczliwie próbował znaleźć możliwość zastrzelenia go, ale strażnik nie był głupi, szarpał Michaela na różne strony, nie dając możliwości wycelowania. Sto metrów, boczny wiatr i mały, poruszający się cel. Simon nie mógł ryzykować. Zbliżył się pięćdziesiąt metrów.

Położył się na płaskim terenie, rozstawił nóżki karabinu i wyjął pistolety. Rozprostował palce, aż zatrzeszczały stawy. Ułożył prawą rękę wokół wspornika karabinu, ułożył kolbę w zagłębieniu lewego ramienia, położył palec wskazujący na cynglu i przysunął oko do noktowizora. Przesuwał celownik w lewo i prawo o kilka milimetrów, ostatecznie ustawiając krzyżyk na klapie zielonego francuskiego samochodu. Stopniowo podnosił swój cel, wytyczając linię strzału, centymetry na lewo od prawego ramienia Michaela. Głowa strażnika poruszała się, wchodząc w celownik i wychodząc z niego po półtorej sekundy, aby moment później ponownie przejść przez celownik. Simon wziął poprawkę na lekki wietrzyk, wymierzył... odliczył... wypuścił z płuc powietrze... i rozpoczął modlitwę. Kiedy głowa strażnika zaczęła wchodzić na pozycję, Simon ustawił palec w gotowości.

But trafił Simona prosto w skroń. Karabin wypadł mu z rąk, opróżniając magazynek w stronę drzew. Simon potoczył się, instynktownie usiłując zamortyzować uderzenie. Kiedy zerwał się na równe nogi, w głowie czuł pulsowanie. Przed nim stał człowiek ubrany w mundur polowy oficera, oszpecony jedną z najstraszliwszych szram, jakie Simon kiedykolwiek widział. Pod wpływem bijącej w oczy pewności siebie tego człowieka, Simon zawahał się przez moment. „Pułkownik” uzbrojony był w pistolety - na obu biodrach - ale w

ręku nie miał broni.

Szykowali się do walki, mierząc się wzajemnie wzrokiem przez niewidoczną barierę. Pułkownik zaatakował pierwszy, mocnym kopnięciem w zebra. Simon poleciał do tyłu, ale odzyskał równowagę na tyle szybko, że uniknął drugiego kopnięcia. Posłał na pułkownika serię ciosów pięścią, ale wszystkie zostały zablokowane. Jak gdyby przeciwnik potrafił czytać w jego myślach. Simon walczył z silniejszym i zdawał sobie z tego sprawę. Napastnik ruszył z lawiną ciosów i kopnięć, zadawanych błyskawicznie jeden po drugim. Każdy cios systematycznie zmuszał Simona do cofania się, coraz dalej od jego broni. Zszedł niżej, atakując nogi i brzuch pułkownika i zaczynając odzyskiwać straconą pozycję. W oczach pułkownika pojawiło się napięcie. Simon atakował nadal, wkładając całą energię w każdy cios, jakby każdy z nich miał być ostatnim. Za późno zdał sobie sprawę ze swojego błędu. Pułkownik pozwalał mu tracić energię, udając ból i przegraną. W chwili kiedy Simon sobie to uświadomił, pułkownik zaatakował, zadając ciosy jeden po drugim.

Simon zaczynał słabnąć, jego ciało zawodziło. Cofał się, odsuwając od przeciwnika, a jednocześnie swojej broni, dopóki nie zatrzymał się plecami na murze. Czuł chłód kamienia sięgającego do wysokości pasa. Studnia. Poczul dochodzący z dołu zapach wilgoci.

Bez ostrzeżenia pułkownik rzucił się do przodu, łapiąc księdza rękami za gardło. Simon rozpaczliwie próbował uwolnić się z uchwytu, ale nie miał dość siły. Trafił na przeciwnika, który przewyższał go nie tylko siłą, ale i inteligencją i strategią. Pułkownik naparł całym ciałem na Simona, przeginając go nad studnią. Simon widział głęboką bliznę, białą zniekształconą skórę biegnącą aż do obojczyka. Silne palce bezlitośnie odcinały mu dopływ powietrza. Słyszał dudnienie w uszach zmieszane z echem odgłosu kamyczków spadających nad jego ramieniem do studni, co najmniej dwadzieścia metrów w dół. Noc stawała się coraz ciemniejsza i Simon poczuł, jak odpływa.

I nagle palce na szyi rozluźniły uchwyt. Simon łapczywie wciągnął powietrze, przygnieciony przez napastnika, który niespodzianie zwałił się na niego całym ciężarem. Poczul ostry ból głowy, kiedy w jego krwi zaczął znowu krążyć tlen. Zdumiony wysunął się spod ciała, które ześlizgnęło się i oparło na krawędzi studni. W plecach pułkownika tkwił nóż.

A obok stał Michael, poraniony, zakrwawiony. Z trudem zdobył się na cień uśmiechu, kiedy Simon opadł na ziemię koło zimnego, omszałego kamienia. Po chwili podszedł i wyciągnął z pleców martwego pułkownika nóż. Bez zastanowienia złapał za nogi, unióś je do góry i pozwolił ciału osunąć się do studni. Można było spokojnie odliczyć do pięciu, zanim głęboko w dole rozległ się chłopot wody.

Simon nie pytał Michaela, w jaki sposób wymknął się tamtemu strażnikowi, ale nabrał szacunku do człowieka, którego zaledwie tydzień temu zamierzał zabić.

Michael wsunął nóż do pochwy na kostce; zabrał go jednemu z martwych żołnierzy, a potem zabił nim Jaxa, odrażającego najemnika, który go więził przez ostatnie pół godziny.

Kiedy Michael służył mu za tarczę, szarpany przez niego do przodu i tyłu, nagle rozległ się pojedynczy strzał z karabinu. Jax wtedy rzucił Michaela na ziemię i przydusił mu kark butem, sam chowając się za peugeot. Michael, osłabiony i obezwładniony, szukał wzrokiem leżącego w pobliżu martwego strażnika, żeby znaleźć jakąś broń, ale ciężki but najemnika przyciskał go do ziemi i nie bardzo mógł ruszać głową. W pewnej chwili uświadomił sobie, że wszyscy oni mieli przypięte do nogi noże. Jax mocno naciskał na kark Michaela, wdeptując jego twarz w asfalt. Michael sięgnął ręką do tyłu, trafił na kolano, opuścił niżej, na łydkę i... znalazł. Szybko wyciągnął nóż z pochwy i zrobił szybkie cięcia. Pierwsze do góry i w bok, przecinając ściętno podkolanowe i arterię udową; drugie - ten sam ruch w lewej nodze. Wartownik upadł, tracąc przytomność wskutek gwałtownego upływu krwi. Wolny Michael zadał mu trzeci cios, ostateczny.

Busch nigdy jeszcze nie prowadził z prędkością ponad stu osiemdziesięciu na godzinę, a dziś nie schodził poniżej. Dotarcie do samochodu zajęło mu dziesięć minut, kolejne pięć wydostanie się z bocznych uliczek. Przez cały czas nerwowo usiłował połączyć się przez komórkę z Simonem, za każdym razem jednak odzywał się kobiecy głos mówiący coś po niemiecku, co jak sobie wyobrażał, znaczyło: Przepraszamy, osoba, z którą usiłujesz się połączyć znajduje się poza obszarem zasięgu. Proszę zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Busch zostawił wiadomość, nie wiedząc, czy kiedykolwiek ją odbiorą. Była prosta: „Uciekajcie, uciekajcie natychmiast! On wraca!!!”.

W ciągu kilku minut ich misterny plan trafił szlag - i to dosłownie. Busch nie miał wątpliwości, że Simonowi uda się minąć strażników i wejść do domu, a Michaelowi zabrać klucze. I zanim ktokolwiek by się zorientował, byłiby już na lotnisku i wzbijali się w powietrze. Busch miał jedyne zadanie - przytrzymać Finstera w klubie, w którym poprzednio był kościół. Nacisnął klawisz łączenia.

-No, odbierzcie...

-*Es tut mir...*

-Kurwa!

Busch rozłączył się. Dlaczego mają wyłączony telefon? Pędził między samochodami jak szalony, sygnalizując światłami, trąbiąc. Pięć kilometrów za miastem zauważył na

poboczu ambulans, z otwartymi drzwiami i z migającym kogutem. Nie musiał się zatrzymywać, żeby wiedzieć, że kierowca i załoga nie żyją.

Myślał tylko o jednym: Finster był na wolności, wkurzony i pędził do domu.

ROZDZIAŁ 33

Teannie Busch czuwała. Buczenie respiratora połączone I z zapachem środków odkażających wywołały migrenę; która męczyła ją od dobrych dwóch godzin. Ostatnie minuty zachodu słońca pomalowały mały pokój na pomarańczowo. Jeannie była wdzięczna za każdą odrobinę koloru po tak długim wpatrywaniu się w sterylną biel obowiązującą na oddziale intensywnej opieki.

Mary spała. Lek, który zmniejszał jej ból, wyłączał także jej świadomość. Miała bladą, obrzmiałą od leków twarz, a jej włosy były smutnym wspomnieniem niegdysiejszej doskonałości. Gasła na oczach Jeannie. Lekarz nie potrafił powiedzieć nawet w przybliżeniu, ile jej zostało czasu, ale nie było go dużo. Jeannie wiedziała, czego Mary bała się najbardziej: że umrze w samotności. Skoro nie było Michaela, ona będzie towarzyszyć przyjaciółce. Zostawiła dzieci u siostry i nie zamierzała odejść od łóżka Mary do powrotu Michaela, nieważne, jak długo będzie to trwało.

Zadzwoiła raz jeszcze do hotelu, którego nazwę podał jej Paul, ale ogarnęło ją przerażenie, kiedy odebrał jakiś nadmiernie ciekawski policjant. Dopytywał się, czy wie, z kim podróżował jej mąż? A dokąd pojechał? Mówił też coś o strzelaninie i trupach. Pospiesznie rozłączyła rozmowę. Powinni już wrócić, tak przynajmniej mówił Paul. Miał tylko pojechać i zaraz wracać, tak obiecywał. Jako żona policjanta, doskonale znając swoją rolę, odpędziła myśli na ten temat. Teraz była potrzebna Mary.

Praca serca Mary zaczęła się poprawiać, światelko na monitorze migzło szybciej. Mary zaczęła się kręcić, poruszała nogami, głowę wcisnęła w poduszkę. Jeannie dostrzegła gwałtowny ruch jej gałek ocznych. Mary śniła. Jęczała, najpierw niewyraźnie, potem na czole pojawiły się jej kropelki potu.

To musiał być ten sen. Jeannie wiedziała o nękających Mary koszmarach; przyjaciółka aż za często dzieliła się z nią swoimi strachami. Zawsze związanymi z Michaeliem, z jego powrotem do dawnej działalności i przyplaceniem tego życiem, czego Mary musiała być bezradnym świadkiem. Jeannie wiedziała, że jedynym sposobem zakończenia kosmaru było gwałtowne przebudzenie Mary. Pochyliła się, wzięła wilgotną ściereczkę i przetarła jej czoło.

- Cii... - wyszeptwała jak do dziecka. - Już dobrze, jestem tu z tobą.

W duchu przeklęła podawane Mary leki za to, że więziły przyjaciółkę w świecie kosmarów.

Ciało Mary zeszywniało. Jeannie delikatnie wzięła ją za rękę. Czuła się zupełnie

bezradna. Nie mogła nic zrobić, żeby ulżyć cierpieniu przyjaciółki. Mary rzucała głową na boki, jakby usiłowała wyrzucić z niej nękające myśli. Ale tkwiła w świecie, z którego nie mogła uciec. Opowiadała kiedyś Jeannie, że jej sny nigdy nie mają zakończenia, że zawsze budzi się w ostatniej chwili. Ale dziś nie miała wyboru, musiała przeżyć cały swój koszmar, aż do przerażającego końca.

Jeannie była związana z Michaelem i Mary od wielu lat i teraz czuła, że oto wali się także jej świat. Mary umierała, Michael miał problemy, a jeszcze dodatkowo nie wiedziała, co dzieje się z Paulem. Kochała męża za jego szorstkość, oddanie dzieciom, zasady moralne, o których inni już dawno zapomnieli. Wbrew logice miała nadzieję, że Paul i Michael byli bezpieczni, ale coś jej uparcie podpowiadało, że najgorsze jeszcze przed nimi.

Obserwowała nerwowe pobudzenie Mary, jej ciało naprężające się spazmatycznie, pościel mokrą od potu. Najwyraźniej koszmar zbliżał się do kulminacji. Proszę, niech to się skończy, modliła się Jeannie za nich wszystkich.

Drzwi do domu otworzyły się z impetem. Usłyszeli głośne pikanie alarmu, odzywające się z jednosekundowymi przerwami.

-Zdążymy go wyłączyć? - zapytał szeptem Simon.

-Spokojnie, mam sześćdziesiąt sekund. - Już pięćdziesiąt osiem.

Michael wszedł do holu, wszystkie światła były wyłączone, dom zalewała głęboka ciemność. Wyciągnął latarkę, otworzył mahoniową szafę koło drzwi i wyciągnął nóż. Rozsunął wiszące w szafie płaszcze i dotarł do gładkiego, białego programatora alarmu. Spojrzał na licznik: odliczał, poczynając od czterdziestu pięciu, wyświetlając czerwone elektroniczne cyferki. Nie było klawiatury, jedynie otwór na kartę magnetyczną. A Michael nie miał karty.

-OK - powiedział.

-Co OK? - zawołał Simon, odwracając głowę przez ramię. Michael milczał przez moment, robiąc głęboki wydech.

Miał trzydzieści osiem sekund.

-Widzisz, to jest...

-Nie wyjaśniaj mi - przerwał Simon.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był patrol lokalnej policji. Trudno byłoby ukryć dwadzieścia jeden martwych ciał, a jeszcze trudniej wyjaśnić. Zaraz by się tu zrobiło gęsto od policjantów i nie mieliby szansy uciec.

Michael skoncentrował się, przytrzymał latarkę zębami, obrócił nóż i wsunął go za panel alarmu. Otworzył przykrywkę i wpatrzył się w system. Gęstwina przewodów

przypominała raczej talerz spaghetti niż system bezpieczeństwa. Ostrzegawcze pikanie było teraz dwukrotnie szybsze.

Wyciągnął z kieszeni parę przewodów zakończonych krokodylkami. Przebierał palcami gęstwinę dwudziestu kilku kabelków, szukając właściwych - nie było typowych niebieskiego i czerwonego, to był system kodowany, każdy przewód miał swój kolor, który pasował do pary w innym kolorze, zgodnie z kodem. Szanse znalezienia właściwej pary wynosiły jak trzysta osiemdziesiąt do jednego. Niestety, mieli trochę za mało czasu. Dziewiętnaście sekund. Pikanie było już niemal ciągłe. Michael patrzył na przewody, zatopiony w myślach.

- Mamy mnóstwo czasu, no nie? - pospieszał go Simon.

Dziewięć sekund. Gdyby tylko miał godzinę... może udałoby mu się złamać ten system. I nagle znalazł wyjście. Śledząc bieg przewodów przez puszkę do małego, czarnego chipu, znalazł te prowadzące do miernika czasu. Zapiął jednego krokodylka. Cztery sekundy.

-Nie mamy na to całego dnia. - Głos Simona drżał ze zdenerwowania.

-A właśnie, że... - Michael zrobił pauzę, wpinając drugiego krokodylka - mamy.

Licznik rozbłysnął i tam, gdzie przedtem pokazywał dwie sekundy, pojawiło się dziesięć godzin. - Jeśli nie możesz zresetować alarmu, trzeba zresetować zegar - wyjaśnił z westchnieniem ulgi.

Ruszyli do środka. Weszli w korytarz za holem wejściowym i biblioteką. Słabe światło padające z bocznych pokoi umożliwiło wyłączenie latarki. Michael nie tracił tym razem czasu na rozglądanie się po pokojach. Dziś wszystko miało dla niego zupełnie inny wydźwięk. Przedtem bogactwo zgromadzone przez właściciela budziło jego podziw i zdumienie, ale teraz... czuł jedynie odrazę.

W końcu dotarli do ogromnych, drewnianych drzwi. Były lekko uchylone. Michael ujął ręką dużą czarną klamkę. Zawiasy zaskrzypiały, protestując głośniejsz niż alarm. Simon błyskawicznie okręcił się na pięcie, z bronią gotową do strzału, przygotowany, że ktoś nadbiegnie, usłyszawszy hałas.

Z kamiennego zejścia dochodził smród. Michael znów poczuł strach. Weszli w ciemność, Simon z pistoletem przygotowanym do strzału. Nie włączali latarek, żeby nie stanowić łatwego celu, ale zapłacili za to trudem schodzenia sześćdziesiąt metrów w dół w całkowitej ciemności, mając jedynie śliski kamień i wyslizganą poręcz za przewodnika. Szli po omszałych schodach. Michael nie mógł pozbyć się wrażenia, że przypomina mu to cele w niemieckim więzieniu: w powietrzu wisiało trudne do określenia zagrożenie.

Zeszli z ostatniego schodka i stanęli na ubitym klepisku?. Nie mieli już poręczy, która

pomagałaby znaleźć właściwy kierunek. Zatrzymali się w atramentowej ciemności, czując smród padliny.

- Może trochę światła... - zaczął Michael, w tej samej chwili Simon popchnął go brutalnie na ziemię.

Strzał nadleciał z niewiadomego kierunku; trzask wybuchu, który ogłuszył ich, odbijając się echem od kamiennych ścian. Przykucnęli, nie wiedząc, co mają zrobić ani gdzie może być wartownik, którego nie spodziewali się tu zastać.

-Przeturlam się na prawo. Spróbuj ściągnąć na siebie jego ogień - wyszeptał Simon.

-Fajnie, dzięki.

Simon cicho odsunął się, zostawiając Michaela samego w miejscu, które wywoływało u niego takie złe wspomnienia. Spróbuj ściągnąć na siebie jego ogień. Wspaniale.

Poczołgał się kilka kroków wzdłuż ściany, szukając po omacku jakiejś półki. Palce zapadły się w miejscu, gdzie mech był miękki. Po cichu wydłubał go nożem, oczyszczając ustęp, a potem wcisnął tam końcówkę latarki. Była wystarczająco wysoko i daleko jak na cel - ten sam trick zastosował już wobec Simona na cmentarzu. Wszystko zależało od perspektywy, zręczności, magii - zawsze można sprawić, żeby atakujący widział to, co się chce, żeby widział.

Nisko pochylając głowę, wyciągnął rękę i zapalił latarkę, której ostry, wąski strumień światła padł na przerażające dzieła sztuki. Starał się odsunąć jak najdalej od jasnego obszaru, ale zanim zrobił krok, karabin odezwał się ponownie. Pięć strzałów, jeden po drugim. Wydawało się, że ze wszystkich kierunków naraz.

Latarka została roztrzaskana, a ich ponownie ogarnęła gęsta, dusząca ciemność. Nastąpiła ogłuszająca cisza. I ani znaku od Simona. Potem Michael usłyszał ciche skrobanie. Starając sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów, ruszył w stronę pokoju. Trzymał przed sobą glocka, kierując lufę w stronę, z której dochodziły dźwięki. Wdawały się ciche i dochodziły z dołu, jakby ktoś drapał kamień paznokciami. Z każdym krokiem z ciemności dobiegały nowe odgłosy. Tuż przed nim rozlegał się powolny, bulgoczący świst, jakby ktoś próbował oddychać przez płytką kałużę. Michael przykucnął i lufą pistoletu dźgał przestrzeń przed sobą. W pewnym momencie trafił na coś miękkiego, kruchego. Oddychającego płytko, zaczął sprawdzać. Natrafił na rękę i odłożył pistolet. Pod palcami wyczuł włosy, delikatne, niemal kruche. I cienką jak papier skórę. Nagle z tyłu złapała Michaela za ramię czyjaś ręka. Przerazenie go sparaliżowało.

Ksiądz włączył latarkę i zobaczył Michaela klęczącego nad ciałem mężczyzny mającego dobrze ponad dziewięćdziesiątkę.

Michael spojrzął na Simona.

-To tylko starzec - powiedział ze ściśniętym gardłem.

-Kto to? - Simon opuścił pistolet.

-Charles... kamerdyner Finstera. - Michael nie zdążył dokończyć, kiedy starzec wydał z siebie ostatnie, płytkie westchnienie.

Simon stanął nad ciałem, przeżegnał się i odmówił krótką modlitwę za zmarłych. Co za ironia, pomyślał Michael: odmawiał modlitwę za kogoś, kogo sam przed chwilą zabił.

Ruszyli dalej, w głąb galerii. Otaczały ich gęste cienie, wszędzie panował przenikliwy smród rozkładających się ciał. Oświetlając pomieszczenie, Simon ze zdumieniem patrzył wokół. Matka wrzeszcząca z cierpienia, tuląca zakrwawione dzieci. Wojownik wypruwający wnętrzności tych, którzy poddali się. Obrazy gloryfikujące śmierć; płótna przedstawiające rozkładające się ciała; dusze wołające o uwolnienie; rodzaj ludzki bezwzględnie podporządkowany złu. Tysiące dzieł sztuki, każde bardziej przerażające od poprzedniego. Czuł się, jakby zstąpił do piekła.

Przemknęło mu przez myśl, że zanim opuszczą ten loch, wszystkie te dzieła należałoby zniszczyć. To nie była sztuka; to było coś bez porównania gorszego, niż kiedykolwiek przedtem zdarzyło mu się widzieć. Nikt nie powinien oglądać takiej kolekcji; te potworne obrazy zostały stworzone przez człowieka, a nie przez żadnych bogów zła czy przez Szatana. Stworzyli je artyści owładnięci myślami, których Simon nigdy nie potrafił pojąć.

- Pospiesz się - pogończył go Michael. Rzucił wzrokiem na oświetlone przez latarkę ściany, zroszone naturalną rdzawą wilgocią wyglądały, jakby kapała z nich krew. Ledwie widoczne stalaktyty zwisały niczym sztylety, w każdej chwili gotowe spaść na nich. - Nie mam ochoty być tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Simon oderwał wzrok od dzieł i ruszył za nim, ale jego myśli cały czas krążyły przy ostatnim obrazie w rzędzie. Stał daleko, w pobliżu drzwi, oparty o stertę innych. Wysoki i szeroki na ponad metr, wyróżniał się spośród innych. Jedyne źródło światła w ciemności. Pięknie przedstawione wrota do Niebios. Simon patrzył na nie z szacunkiem, myśląc, że zawsze istnieje nadzieja, niezależnie od tego, jak bardzo źle wygląda sytuacja. I przypomniało mu się...

Finsterowi było obojętne, czy pozyska dusze tu, na ziemi, czy tam. Chciał mieć wszystkie, chciał zdobyć ziemię, z której go wygnano, zanim rozpoczął się czas. Simon zakipiał gniewem, zmobilizował się i energicznie ruszył korytarzem przed siebie.

Michael stał już przed drzwiami izby, w której były klucze. Lśniące, hebanowe drzwi, wypolerowane na wysoki połysk, wysokie na metr osiemdziesiąt, z małym progiem

zmuszającym do pochylenia głowy. Bez trudu poradził sobie z bardzo starym zamkiem i złapał zardzewiałe, żelazne kółko, służące za klamkę. Kiedy otworzył, Simon rozjaśnił się.

Na kamiennym cokole na środku małej krypty, na krwistoczerwonej poduszce leżały dwa klucze. Wyglądały na równie zwykłe i niegroźne jak w dniu, kiedy Michael je ukradł. Proste, rzeźbione pudełko, w których je przechowywano, leżało obok, na kamiennej półce wśród setek świec, w większości doszczętnie wypalonych. Michael poczuł przyływ nadziei. Po raz pierwszy był bliski naprawienia zła, które tak bardzo zaszkodziło jego żonie.

Stanęli po obu stronach cokołu. Pomieszczenie było tak małe, że plecami niemal dotykali ścian. Michael oglądał cokół, szukając alarmów i pułapek. Przejechał palcami wzdłuż kamiennej podstawy i drewnianej kolumny, aż do czerwonej poduszki i pod nią. Nic nie znalazł. W pewnym momencie dostrzegł jednak lekkie miganie. Spojrzał na Simona, a następnie na jego telefon przypięty do paska. Migало maleńkie zielone światełko, sygnalizujące odebrane wiadomości. Simon wyciągnął telefon i spojrzał: *1 wiadomość, 19 nieodebranych połączeń. Brak sygnału.* Jedyne Busch znał ten numer.

Byli jakieś sześćdziesiąt metrów pod ziemią, nad głowami mieli tysiące ton pyłu i skały, ale mimo wszystko dotarł do nich przeraźliwy łoskot. Jakby samolot uderzył w zbocze góry. Ziemia i skała dosłownie zadrżały, z sufitu posypał się duszący pył. Byli pewni, że za moment rozpadnie się świat.

*

Ogromne drzwi frontowe wypadły z zawiasów i wylądowały na głównych schodach. Siła uderzenia zamieniła wspaniałą kondygnację stopni w kupę gruzu. Finster, w stanie absolutnej furii, przebiegł przez dom. Można by odnieść wrażenie, że poprzedzała go niewidzialna fala: drewniane ściany drżały i wydymały się wokół niego jak balony, obrazy spadały, posągi przewracały się na ziemię. Finster niszczył wszystko, co znalazło się na jego drodze.

W ciągu pięciu minut jazdy karetką w pełni odzyskał świadomość. Jeszcze nigdy nie został tak potwornie oszukany, załatwiony przez własne żądze, próżność i pazerność. To się już nigdy nie powtórzy, przysięgał sobie. Ku zdumieniu towarzyszącego mu sanitariusza zerwał pasy ograniczające mu ruchy, otworzył tylne drzwi i wyskoczył z ambulansu pędzącego po autostradzie. Jego szofer śledził ambulans, obserwując z uśmiechem, jak Finster wypadał na drogę. Gwałtownie zakręcił, niebezpiecznie blisko objeżdżając turlające się ciało, następnie przyspieszył, jadąc obok ambulansu i spychając go, zmuszając przerażonego kierowcę do zjechania na pobocze. Finster podniósł się z jezdni i otrzepał.

To właśnie kierowca Finstera wyciągnął z karetki dwóch sanitariuszy. Zginęli, zadając

sobie pewnie w myślach pytanie, kim był ich ostatni pasażer.

Kiedy limuzyna przejechała przez bramę, wyrwijąc jej skrzydła z kamiennych wsporników, Finster zobaczył pierwsze dwie ofiary. Nie docenił Michaela i księdza, a przecenił swój mały oddział najemników. Lata, przez które był bogatym przemysłowcem, sprawiły, że zapomniał, jaką siłą dysponuje człowiek stojący w obliczu śmierci. A jeszcze silniejszy jest ten, kto stara się ochronić kogoś ukochanego. Dopiero jednak kiedy limuzyna dotarła na szczyt podjazdu, Finster pojął rozmiary masakry. Wszędzie leżały porzucane ciała martwych żołnierzy, wszystko było pochłapane krwią. Jego furia narastała lawinowo, z każdym krokiem był coraz bardziej wściekły. Wreszcie wybuchła, kiedy wpadł do środka, niszcząc drzwi wejściowe.

W ciągu kilku sekund znalazł się przy drzwiach do piwnicy, zbiegł po schodach. Nie potrzebował światła, znał drogę na pamięć. Był u siebie.

Finster, potykając się, bardziej jak zwierzę niż człowiek, szedł przez swoją galerię sztuki. Przygarbiony, cicho stawiał kroki, ostrożnie rozglądając się i wachając powietrze. Wyczuł coś po prawej stronie, za obrazami rosyjskich scen wojennych, ale poszedł dalej, nie zatrzymując się. Uwielbiał polowania, tropienie i zaskakiwanie zwierzyny, bawienie się z nią w kotka i myszkę, pozwalanie jej wierzyć, że jest sprytna, że może cię oszukać, kiedy w rzeczywistości była zamknięta w pułapce.

Szedł w ciemności w kierunku pokoju z kluczami, obok obrazu wrót Niebios. To z niego czerpał motywację. Obraz nakręcał go, pomagał skoncentrować się na celu, jak więźniowi przypięta na ścianie fotografia gór nie pozwala zapomnieć, jak to jest na wolności. Dawał po prostu nadzieję.

I nikt nie mógł go jej pozbawić, a ktokolwiek odważyłby się spróbować, musiał za to zapłacić. Ujął zardzewiałe, żelazne kółko w swoją zimną dłoń i pociągnął. Czarne drzwi trzeszcząc, z oporem, otworzyły się.

Wpadł bez ostrzeżenia, lewą ręką brutalnie sięgając przed siebie, biorąc we władanie noc. Pokój zaczął drżeć, powietrze było naładowane jak chmura burzowa, w ciemności zaczęły strzelać niebieskie iskierki. Posągi przewracały się, obrazy spadły ze ścian, pozornie martwy pokój nagle ożył, siejąc zamieszanie i masakrując wszystko. Z ciemności wyłoniły się dwie osoby: Michael i Simon. Unosili się do góry, niesieni przez niewidoczny wiatr, coraz wyżej, wyżej w górę aż wgniotło ich w sufit, niebezpiecznie blisko ostrych jak nóż stalaktytów. Z rozłożonymi rękami i nogami, jakby siła grawitacji zmieniła kierunek. W jednej chwili całe ich uzbrojenie - broń palna, noże - spadło na ziemię.

- Dlaczego? - ryknął Finster. - Naprawdę myśleliście, że możecie pokonać MNIE? -

Stanął pod nimi, patrząc do góry i poruszając nimi jak bezradnymi marionetkami na niewidocznym sznurku.

Choć wcześniej Michael miał wątpliwości co do prawdziwej tożsamości swojego byłego zleceniodawcy, teraz czuł jedynie strach. Zobaczył ożywające pochodnie i świece same zapalające się wzdłuż wszystkich ścian jaskini. Przedtem nie zdawał sobie sprawy z ilości tych przerażających dzieł sztuki zgromadzonych przez Finstera. Było ich dziesięciokrotnie więcej, niż poprzednio zauważył, a wszystkie upiornie oświetlone migoczącym, pomarańczowym blaskiem pochodni. Większa niż boisko do piłki nożnej przestrzeń pod nim, ta największa jaskinia, jaką kiedykolwiek widziano, gęsto była wypełniona niezliczonymi dziełami sztuki, od krańca po kraniec. Sufit był dziwnie pofałdowany, stalaktyty dziurawiły cienie jak zęby sterczące z pyska jakiejś bestii. Finster nerwowo spacerował poniżej. Jego ubranie było wymięte i porozrywane, a ciało przypominało naprężoną sprężynę. Nawet z oddali Michael widział w świetle świec, że oczy Finstera stały się czerwone, głębokie i groźne.

- Oddajcie mi to, co jest moje! - ryczał Finster - Dajcie... mi... moje... klucze!

Simon wyraźnie cierpiał - jego policzek rozcięty był przez stalaktyt, a krew spływała po twarzy i spadała jak deszcz na klepisko. Ale w jego oczach nie było nawet cienia strachu, kiedy usiłował walczyć z krępującą go niewidzialną ręką.

-To nigdy nie były twoje klucze - wycedził przez zęby.

-Ale teraz są! Tak jak i wszystko, co się z nimi wiąże. Natychmiast oddajcie mi moje klucze, zanim wyrwę wam serca.

Twarz Michaela wykrzywił ból.

- Złożyłeś... mi... obietnicę - wyjąkał bez tchu.

Simon spojrzał na Michaela zaskoczony jego słowami.

-A powiedziałeś, że nigdy nie łamiesz umowy.

-No więc? - zadrwił Finster.

-Obiecałeś, że mnie nie skrzywdzisz.

-Jaki spryciarz - uśmiechnął się Finster. - Jaki przewidujący. - Spojrzał na Simona. - Obawiam się, że z tobą nie wiążą mnie podobne ustalenia. - Simona mocniej wgniotło w sufit, wyciskając z jego płuc powietrze, jakby na jego klatce piersiowej zaciskało się jakieś imadło.

-Oddajcie je - ryknął Finster.

Odszedł pospiesznie, ale zatrzymał się przed drzwiami pokoju z kluczami.

- Masz rację, Michaelu. Obiecałem cię nie skrzywdzić - zadrwił, odwracając się w

jego stronę - ale właśnie dlatego on pracuje dla mnie. A nie przypominam sobie, żeby on składał ci taką obietnicę.

Po zasnutych cieniem schodach zszedł kierowca Finstera, ten sam, który jechał za karetką i zatrzymał się na autostradzie. W lewej ręce trzymał pistolet. Ten sam, którym zabił sanitariuszy.

Dennis Thal zamierzał wreszcie poprawić swoją reputację u szefa.

Pojawił się wcześniej tej nocy. Finster stał akurat w bibliotece, radując oczy powabami Joy. Nie powiedział ani słowa, wzrokiem tylko karcąc go za ewidentną porażkę. Thal nie przypuszczał, że ten tajemniczy głos wydający mu polecenia przez telefon, który kierował nim, należał do tego słynnego miliardera. Oczy Finstera tak go onieśmiały, że nie potrafił przyznać się do niepowodzenia. Bał się, że umrze, zanim wypowie ostatnie słowo.

Powiedział więc tylko jedyne, co mu przyszło do głowy.

- Nie żyją.

Wzrok Finstera złagodniał. Ostatnia przeszkoda na drodze do sukcesu - Michael St. Pierre i ten szalony ksiądz - została usunięta. Ale nadal był wytrawnym biznesmenem, ostrożnym i sprytnym. Nie mógł pozwolić sobie na błąd. Dlatego otoczył ochroną swój dom, mobilizując wszelkie środki, każdego, kogo miał do dyspozycji. Cała jego prywatna armia, łącznie z kierowcą, miały za zadanie pilnować jego kluczy. A Thalowi polecił być tego wieczoru jego szoferem.

Prowadząc limuzynę, Thal, mający za sobą Finstera i jego chichoczące piękności, przez cały czas spodziewał się, że dostanie kulkę w tył głowy. Ale strzał nie nastąpił. Wydawało mu się, że jego twarz zdradza kłamstwo; był pewny, że prawda musi wyjść na jaw. Przez dwie godziny czekał przed klubem, zastanawiając się, w jaki sposób Finster zada mu śmierć, kiedy tylko dowie się wszystkiego. Ale w miarę upływu czasu zaczął przekonywać sam siebie, że Finster się nie dowie lub może... Może jemu uda się zabić Finstera.

Jego rozmyślania przerwał widok szefa wynoszonego na noszach. Popędził do limuzyny i ruszył za karetką. Kiedy Finster wyskoczył z ambulansu, Thal spisał go na straty, przekonany, że nie mógł przeżyć skoku. Wskoczył do karetki i wziął odwet na sanitariuszach, pakując w nich po kulce. Kiedy jednak wrócił do limuzyny, zobaczył Finstera podnoszącego się z jezdni, otrzępującego, bez jednego nawet zadrapania. To wtedy Thal zdał sobie sprawę, że nie doceniał swojego pracodawcy. Kiedy wjechali na teren posiadłości, taranując bramę, i zobaczył rozrzucone po całym terenie trupy, myśli zaczęły mu się kotłować po głowie. A kiedy drzwi wejściowe wyleciały z zawiasów od jednego dotknięcia ręki Finstera... no cóż, wówczas Thal poczuł wprost uwielbienie dla swego szefa.

Thal stał, wpatrując się w mężczyzn wciśniętych wysoko w sufit jaskini. W końcu przynajmniej dowiedział się, czyje rozkazy wypełniał przez ostatnie pięć lat. Nie wzbudziło to w nim nawet cienia strachu, serce nawet na moment nie zmieniło rytmu pracy.

-Powstrzymają cię - powiedział Simon. Był rozplaszczony na suficie, miał purpurową twarz i nabrzmiałe żyły na szyi. Trudno było powiedzieć, czy echo niosące się w jaskini było odgłosem łamanych kości Simona, czy kruszącej się skały. - Nie możesz...

-Ależ oczywiście - zakpił Finster, otwierając drzwi do izby z kluczami.

-Nie możesz ukraść Nieba - wysapał Simon.

-Już to zrobiłem. A teraz oddaj... - przerwał. Trzeszczące drzwi izby otworzyły się na całą szerokość, w ciemnej jaskini zaczęły się zapalać świece. Finster stał, wpatrując się w pokój. Dostrzegł błysk purpurowej poduszki. Przekrzywił głowę, zezując. I nagle na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

W tym samym momencie Simon i Michael spadli na klepisko jaskini.

Finster jak zahipnotyzowany wpatrywał się w klucze. Złodzieje nie ukradli ich, przerwał im w odpowiednim momencie. Wyprostował się. Uniósł dłonie do skroni, odgarnął do tyłu długie, siwe włosy. Odzyskiwał swoją dawną postać.

- Zabierz ich stąd - polecił Thalowi, nawet nie patrząc na obu mężczyzn, którzy śmieli się mu przeciwstawić. Jego triumfalny głos ponownie brzmiał melodyjnie. - I zrób z nimi to, co potrafisz najlepiej.

ROZDZIAŁ 34

Thal wyprowadził Simona i Michaela przez drzwi frontowe, trzymając broń wycelowaną w ich plecy. Byli podrapani i zakrwawieni, a ich oziębiałe umysły nie mogły pogodzić się z potworną mocą, z jaką przed chwilą mieli do czynienia.

Thal wyciągnął dwie pary kajdanek, skuł im ręce na plecach, potem otworzył przednie drzwi samochodu i wepchnął ich na siedzenie. Sam usiadł za kierownicą, trzymając pistolet wycelowany w głowę Simona. Ruszył w noc, minął rozległe ogrody i wysokie mury, zjechał z drogi dojazdowej na pole. Światła samochodu rozjaśniały mrok. Zatrzymał się kilka metrów od starej studni.

Wysiadł, otworzył drzwi i brutalnie wyciągnął Michaela za włosy. Rzucił go na kamienną obudowę studni. Michael zemdlął i leżał oświetlony jak na scenie. Thal wrócił błyskawicznie do samochodu i przyłożył do gardła Simona wielki nóż.

- Jeszcze nigdy dotąd nie zabiłem księdza - powiedział, wyciągając Simona i rzucając na ziemię, twarzą do dołu. Ksiądz nie bronił się, nadal ledwie żywy po ataku Finstera.

Halogenowe reflektory dawały więcej światła, niż było go za dnia. Cienie stawały się wydłużone i surowe. Zupełnie jakby byli w jasnym teatrze, którego widownią była otaczająca ich ciemność. Thal wetknął pistolet za pasek i rozłożył na wilgotnej od rosy trawie kolekcję noży: z piłką i składany, do filetowania, ząbkowany i do odcinania od kości. Kolekcję, która wyglądałaby naturalnie w sklepie rzeźniczym, ale w tym otoczeniu jej cel był zupełnie inny. Oczywisty.

- Widziałeś kiedyś, jak się zdejmuje mięso ze świeżo ubitej sarny? - spytał Michaela rzeczowym tonem.

Michael, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, patrzył bezradnie.

- Nie? Przynajmniej będziesz wiedział, czego się spodziewać. - Thal wziął do ręki nóż do filetowania. - Ten jest najostrzejszy. Przecina skórę jak jedwab. Jest tak ostry, że w zasadzie ledwie czujesz, kiedy tnie. Uświadamiasz sobie, że brakuje ci kawałka ciała dopiero wtedy, kiedy chłodne powietrze uderza w świeżo odsłonięte nerwy. - Thal przycisnął kolanem tył głowy Simona, unieruchamiając go całkowicie. - Słyszałem opowieść o twojej matce i naprawdę stała się dla mnie źródłem inspiracji.

-Zbaw duszę swoją - wymamrotał Simon, z twarzą wciśniętą w trawę.

-Czy to standardowa odzywka, jakiej was uczą w seminarium?

-Jesteś wzmowie...

-Och, nie. Zaczyna się. Alleluja, amen, Pan Jezus, zbaw mnie Panie itp., itd... - Thal przewrócił oczami. - Daruj mi, co? Przeszkadzasz mi się skoncentrować. - Z doświadczeniem chirurga rozciął koszulę Simona na plecach.

Michael zmagął się z kamienną obudową studni, z jego piersi dobywały się głębokie jęki.

- Ten nóż to narzędzie artysty, które trzyma się delikatnie, jak pędzel, między kciukiem, palcem wskazującym i środkowym - zademonstrował Thal.

Nagle Michael dostrzegł coś dziwnego. Palce Thala, mały i serdeczny, sterczały nienormalnie, nie zginając się, tak jak powinny. Nie zauważył tego wcześniej, ale teraz... Zrobiło mu się jeszcze ciemniej na duszy. Widział już te narzędzia. Pamiętał tę noc. Przypomniawsobnie swój własny nóż wbijający się w ramię, za który był potem ciągnięty po podłodze pracowni. I ból, który odczuwał do dziś, narastający przy zmianie pogody. Przypomniawsobnie też, że był to pierwszy raz, kiedy chciał kogoś zabić, odrażającego zwyrodnialca, mężczyznę, który chciał zadać nieludzkie cierpienia kobiecie.

- Jak twoje ramię? - zapytał z uśmiechem Thal.

Wszystkie te elementy łamigłówek nagle złożyły się w umyśle Michaela w jedną całość. Już wiedział, kim Thal naprawdę był... I jak Finster dowiedział się o Michaelu i jego umiejętnościach... I dlaczego Thal od samego początku go nienawidził.

Leżące na trawie przed nim narzędzia to te same, które widział na parapecie w apartamencie przy Fifth Avenue pięć i pół roku temu. To Dennis Thal zaatakował Helen Staten i szykował się do jakichś potwornych czynów. To przez niego Michaelowi nie udało się uciec po robocie w ambasadzie Akbiquistanu. Był człowiekiem, z którym Michael walczył i powodem, dla którego został złapany i trafił do więzienia.

- No więc już wiesz, dlaczego tak mnie interesujesz - stwierdził radośnie Thal, wracając do swojego zajęcia. - Teraz to będzie jedynie ćwiczenie, żeby dać ci poczuć, co cię czeka. Nie uważasz, że oczekiwanie jest czymś znacznie ważniejszym niż samo spełnienie? Już od pewnego czasu zastanawiałem się nad sposobem zadania wam śmierci. Miałem nadzieję, że jeśli polecę cię Finsterowi jako tego, który ma ukraść klucze, to w końcu zostanę nagrodzony. Będziesz moją Kaplicą Sykstyńską.

Skrępowany Michael bezradnie o kamienie pocierał się studni; w gardle czuł ucisk.

- Proszę, siedź spokojnie - upomniawsobnie go Thal. - Możesz mnie przestraszyć, a wtedy ręka mi drgnie i wbiję to ostrze prosto w serce twójgo przyjaciela.

Simon opanował reakcje, odcinając się od wszelkich uczuć. W głowie nieustannie tłoczyły mu się myśli o ojcu robiącym to samo jego matce. Przeżyła to bez żadnego

przygotowania, nie mając charakteru utwardzonego służbą w wojsku. Jego szacunek dla jej cierpienia wzrósł, teraz bowiem czekał go ten sam los. Gwałt na jego duszy.

Thal całą uwagę skupił na tym, co zamierzał zrobić. Przykucnął nad Simonem, z zamiarem oddzielenia skóry od mięśni i nie usłyszał szmeru unoszącej się stopy ani nie dostrzegł cienia człowieka.

Usztywniony metalem czubek buta trafił go prosto w ucho, a siła ciosu rzuciła go na ziemię. Ciało ślizgiem sunęło po wilgotnej trawie. Z ucha leciała mu krew. Nie bardzo mógł skupić myśli, ale jedno wiedział: gigantyczny cień chciał go zabić. Z energią zapędzonego w róg zwierzęcia Thal zerwał się na nogi, jego ręka sięgnęła do pasa. Był szybki, ale niewystarczająco. I oto dwaj policjanci mierzyli się wzrokiem. Obaj trzymali w dłoniach broń wycelowaną bezpośrednio w drugiego.

-Nieco daleko od twojej jurysdykcji - zadrwił Thal.

-To nie ma nic wspólnego z prawem.

Thal bał się. Czuł taki prawdziwy, obezwładniający strach, który paraliżował go od stóp, przez serce i wzywał oczami. Thal żywił się strachem, jaki wywoływał u innych, była to rozkosz dla jego zmysłów, ale nigdy sam nie przeżył czegoś takiego. A było to niszczące, zamieniało nogi w galarete, tumańczyło umysł. Zrobił to, co jako jedyne przyszło mu na myśl: rzucił się w lewo, jednocześnie oddając szybkie strzały z pistoletu.

Busch przeturlał się, oddając strzał za strzał. Thal zniknął w ciemności poza światłem reflektorów. Michael i Simon byli teraz doskonałymi celami: oświetleni, ze skutymi rękami. Busch zdawał sobie z tego sprawę. Złapał przyjaciela i pociągnął go do cienia za studnię, następnie biegiem wrócił w oświetloną przestrzeń po Simona. Nie zatrzymał się, pomimo kul przelatujących obok i rozrywających ziemię koło jego stóp. Uchylił się tylko, rzucił na ziemię i podnosił. Złapał księdza za nogi i wyciągnął z kręgu światła.

Znalazłszy się w ciemności, dotaszczył Simona do studni, oparł o jej obudowę, złapał kajdanki Michaela i trzymając za łańcuch, polecił:

- Nawet nie oddychaj!

Wystrzelił i rozerwał łańcuch. To samo zrobił z kajdankami Simona.

- Zostańcie tu - polecił i zniknął w ciemności.

Busch czołgał się po polu, starając się pozostawać w ciemności. Noc była cicha, rozlegał się jedynie odgłos włączonego na wolnym biegu silnika limuzyny. Gdyby udało mu się dostać za kierownicę, mógłby podjechać, złapać przyjaciół i uciec. Nawet gdyby Thal przestrelał opony, odjechaliby na taką odległość, że byliby bezpieczni. Busch przesuwiał się za samochodem, świadom, że w każdej chwili może dostać kulę. Był zupełnie ogłupiały. To

nie był zbieg okoliczności, że Thal pracował i z nim, i dla Finstera. Busch zawsze mógł polegać na swoim instynkcie, a teraz żałował, że nie posłuchał, kiedy ostrzegał go przed Dennisem Thalem. Teraz już bez wahania zabiłby Thala. Do diabła z prawem.

Strzał trafił w maskę limuzyny, dziurawiąc blachę. Busch skulił się. Miał jeszcze pięć naboji w magazynku, ale będzie to nieistotne, jeśli Thal go trafi. Rzucił się biegiem i otworzył drzwi od strony kierowcy.

Pocisk trafił go w prawe ramię. Ręka opadła bezwładnie, kiedy siła uderzenia rzuciła go na samochód. Poślizgnął się na trawie i upadł. Lewą ręką starał się uchwycić broń. Przeczesał palcami trawę, ignorując ból, mając pistolet już tuż - tuż...

But miażdżył mu brutalnie dwa palce. Thal kucnął, podniósł pistolet Buscha i rzucił go w ciemność.

- Cześć, Brzoskwinek. - Ucho Thala nadal mocno krwawiło. - Same błędy. Niektóre z przeoczenia, inne fatalne. Co się stało z prawem? - drażnił się z Buschem. - Pamiętasz prawo, twoje prawo? Żadnych odstępstw, żadnego obchodzenia?

Oskarżenie zabolalo Buscha równie mocno jak potłuczone ciało. Nadal był gliniarzem. I choć Thal oskarżał go o złamanie kodeksu prawnego, przecież wcale tego nie zrobił. Odłożył tylko na chwilę swoje prawo na półkę, kiedy wtrąciło się prawo wyższego rzędu, prawo przyjaźni i lojalności. Kompromis moralny. Czasami zachodziły takie okoliczności i czasami istniała potrzeba przymknięcia oka, kiedy życie dokonywało gwałtownego zwrotu. Ale zawsze była cena, jaką się za to płaciło.

Wciskając stopę mocniej w dłoń Buscha, z twarzą zalaną czerwonym światłem tylnych lamp samochodu, Thal załadował nowy magazynek do pistoletu. Mierzył prosto w głowę.

- Śmierć twojej żony będzie równie powolna, jak twoja będzie szybka - powiedział, uśmiechając się pogardliwie.

Busch zbladł. Tego właśnie najbardziej się obawiał.

Thal złapał pistolet obiema rękami, mierząc starannie, żeby nie spudłować.

I nagle, znienacka, uszło z niego całe powietrze, jak z przebitego balonika. Poleciał do tyłu, na limuzynę, a zanim zdążył się zorientować i zasłonić, nastąpiły kolejne ciosy. Michael i Simon zaatakowali go, poruszając się błyskawicznie, a potem równie zwinnie wycofali się.

Thal z trudem utrzymywał się na nogach. Nie miał już broni i był ciężko ranny. Po raz drugi tej nocy czekał na kulę, która zada mu śmierć. Ale nikt nie strzelał. Po prostu stali i patrzyli na niego wszyscy trzej: Busch, Simon i Michael, bez ruchu, w milczeniu. Obserwowali go i czekali. Thal nie wiedział, jak ma to zrozumieć. Ale nie mógł oddychać. I

też nie wiedział, dlaczego. Złapał ręką za brzuch, a ręka stała się lepka, śliska. Przebłysk pamięci nasunął mu wspomnienie twarzy jego ofiar. Helen Staten, James Staten, kobiety, mężczyźni, kilkanaście ofiar, wszystkie patrzące w ciszy, milczący świadkowie jego odejścia.

Nie czuł cięcia. Skalpel był tak ostry, że nic nie poczuł. Nie widział też Simona, który go ranił. Czuł tylko, że wypływają mu jelita; wymykały mu się przez palce jak śliski węgorz, kiedy rozpaczliwie próbował je utrzymać. Wylewały się z jego rozciętego brzucha na trawę. Pochylił się, na próżno starając się je z powrotem wepchnąć, potknął się i upadł. Otoczył go zimny welon śmierci.

I umarł.

ROZDZIAŁ 35

Cień Finstera tańczył na ścianie małej izby w blasku dopalających się świec. Finster, znowu spokojny, opanowany, kulturalny, podziwiał swoje klucze spoczywające na poduszce. Chwile obawy, że poniesie porażkę, minęły: klucze nadal są w jego ręku i wkrótce wróci do domu.

Wbrew temu, co mówił, nigdy nie zszedł tutaj, żeby podziwiać swój skarb, z wyjątkiem tej pierwszej nocy, kiedy go otrzymał. W gruncie rzeczy zupełnie go nie obchodziło, jak te klucze wyglądają, ważne było tylko to, do czego służą. Ale w tej chwili miał ochotę zaspokoić swoją próżność, napawać się nimi. Stał i wpatrywał się z uznaniem; już nic nie stało mu na przeszkodzie.

Na zewnątrz, w galerii, w sekcji poświęconej hinduskiemu bogu Kali, wetknięty za stosem obrazów tykał czasomierz, odliczając do zera. Pięć takich czasomierzy było ulokowanych w jaskini; ustawione były w półminutowych odstępach. Bomby zapalające, skompaktowane, ale wywołujące bardzo skuteczny ogień. Nie były to bomby wstrząsowe, działały raczej jak opryskiwacze chemiczne. Uaktywnione wyskakiwały w powietrze na trzy metry i rozrzucały kleistą, podobną do żelu substancję, która zapalała się w kontakcie z powietrzem.

Finster nie zwrócił uwagi na dźwięk za ciężkimi, czarnymi drzwiami, ani na szum, który jak sądził, był odgłosem ognia. Chodził wokół postumentu i pochylał się nisko nad kluczami, po raz pierwszy przyglądając się badawczo wszystkim szczegółom. Spod drzwi doszedł głośny syk; szalejący w jaskini ogień wysysał powietrze z małego pomieszczenia. Ostatnie świece zaczęły przygasać z braku tlenu. Już tylko nieliczne oświetlały trofeum Finstera, ich blask odbijał się od cennego metalu. Nagle na twarzy Finstera pojawił się wyraz zaskoczenia.

Coś było nie w porządku. I nie chodziło o ogień za drzwiami. Michael i Simon byli o krok od osiągnięcia sukcesu. Ktoś tak silnie motywowany jak oni nie rezygnuje, nie poddaje się. Miłość, jaką Michael darzył swoją żonę, była silniejsza niż jakiegokolwiek uczucie, z jakim Finster się spotkał. Dlaczego w takim razie odpuścił, dlaczego tak łatwo zrezygnował? Chyba że...

Finster przyjrzał się kluczom jeszcze dokładniej. Z wahaniem sięgnął po srebrny, doskonale wiedząc, że nie wolno mu dotykać niczego, co jest święte. Przesunął palce jeszcze bliżej. To była jedyna możliwość upewnienia się. Jedyny prawdziwy test. Pokonując strach,

położył rękę na kluczach. I wtedy nastąpił wybuch. Wybuch wściekłości. Wrzeszczał na całe gardło. Dał się oszukać. Na złotym kluczu dostrzegł bowiem wytarty, ale nadal widoczny ślad znaku cechowego: 585.

Finster odwrócił się i z rozmachem otworzył drzwi. Wpadła przez nie kula ognia, uniosła się do góry, po czym zaczęła opadać, rozlewając się po całej izbie. Płonące płótna obrazów wypełniały pomieszczenie gryzącym, oleistym dymem, pod wpływem gorąca topniały metalowe rzeźby. Wybuchła ostatnia z bomb zapalających, a podobny do napalmu żel rozprysnął się dokoła. Ryk ognia był ogłuszający, ale krzyk wydobywający się z ust Finstera był jeszcze przeraźliwszy.

ROZDZIAŁ 36

Busch był w rozsypce. Simon i Michael owinęli mu rękę i opatrzyli ramię. Leżał niewygodnie na masce limuzyny, ale wciąż powtarzał, że wszystko jest w porządku. Zamierzał przeżyć.

- Więc macie je... - Głos Buscha był ledwie odrobinę głośniejszy niż szept.

Simon przytaknął, z zachwytem patrząc na klucze. Ostrożnie trzymał je w dłoni, jakby były ze szkła i mogły się stłuc, gdyby tylko na nie mocniej dmuchnął.

-Takie zwyczajne...

-Taa..

-Panowie, musimy zwiewać - przerwał im Michael. Busch nadal patrzył na klucze. Nie mógł się opanować.

-Mogę?

Bardzo delikatnie Simon położył je na jego rękę. Były większe, niż Busch przypuszczał, ale właściwie takie zwyczajne. Myślał, że mając je poczuje się olśniony, wypełniony Bogiem czy coś w tym rodzaju, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego poczuł zdumienie, że coś tak małego - jeśli wziąć pod uwagę kontekst - może znaczyć tak dużo. Michael ryzykował pójście do więzienia, życie - wszystko - żeby zwrócić te dwa kawałki metalu. Buscha poruszyła nie ich symbolika, ale moc, jaką budziły. Wiara w to, co niewidoczne, tak silna, że ludzie byli gotowi toczyć o nią wojny, umierać za nią, poświęcać wszystko. Z powodu wiary w obietnicę. To cud, cud wiary, rozumiał go dobrze, ale aż do tej chwili nie przeżywał go naprawdę. I z tego właśnie powodu czuł, że wszystko skończy się dobrze.

- Chłopaki, ruszajcie się. - Michael był coraz bardziej niecierpliwy.

Busch podał klucze Simonowi, który zawinął je starannie w kawałek aksamitu, po czym schował do kieszeni. Busch poczuł ulgę. Mimo wszystko wrócą z Michaelem do domu.

Francuskie okna biblioteki otworzyły się z hukiem, a płomienie eksplodowały na zewnątrz. Ogromny, murowany dom zamienił się w piekło. Okna pękały pod wpływem wysokiej temperatury, płomienie oświetlały nocne niebo. Z płonącego domu wybiegła jakaś postać i rzuciła się pędem w ich stronę. Niczym piekielna bestia przebiegła dwieście metrów w ciągu kilku sekund.

- Natychmiast oddajcie! - Głos ryczał ze wszystkich stron. I zanim zdążyli zareagować, stał przed nimi, w popalonym ubraniu, które dziwnie kontrastowało z jego skórą,

gładką i bez skazy, bez oparzeń czy zadrapań, zupełnie jakby przed chwilą nie wybiegł z rozgrzanego do tysiąca dwustu stopni płonącego domu.

Michael zrobił krok do przodu, gotowy na przyjęcie ataku.

- Dlaczego uważasz...

Ale zanim dokończył, Finster złapał go za nadgarstek i powalił na ziemię.

- Ześlę na ciebie takie cierpienie, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić...

- Dałeś mi słowo - jęknął Michael, leżąc na ziemi.

- Nie mówiłem do ciebie. - Finster zwrócił się do Buscha. - Nigdy. Więcej. Sanktuarium. - Ryczał do rannego policjanta.

Busch wzdrygnął się, rozpaczliwie starając się zsunąć z maski samochodu. Upadł, łamiąc ranne ramię. Był jak sparaliżowany i choć nie wydał żadnego jęku, w myślach był z bólu.

Jego koszmary senne ziściły się: płonął, czuł na skórze ogień, chociaż nie było żadnych płomieni. Znowu był na łodzi - łodzi swojego ojca - na pokładzie szalał pożar, ogień palił jego nogi, dochodził do piersi. Znowu był bezradnym dzieckiem, bezbronnym wobec tego potwora. Ból był nie do zniesienia.

- Przestań! - krzyknął Michael.

- Daj mi klucze! - Finster przewrócił Michaela, rycząc głosem równie niebezpiecznym, jak ogień, który trawił jego rezydencję.

Oczy Finstera były zimne, martwe, czarne jak najgłębsza otchłań oceanu. Michael drżał ze strachu tak przejmującego, jakiego nie był w stanie sobie wyobrazić. Strachu już nie tylko o niego samego czy o Mary, ale i o Buscha, Simona, o wszystkich. Przerażony zwrócił się w stronę Simona. Książd w odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

- Oddajcie je albo ześlę cierpienie na wszystkich tych, kogo znacie i kochacie - zagroził Finster.

- Nigdy! - krzyknął Simon.

Michael obserwował bezradnie, jak Busch wije się w wilgotnej trawie, uderzając się po twarzy, ściskając rękami swoje wielkie ciało, rozpaczliwie usiłując zdławić niewidoczne płomienie.

- Nie! Przestań! - krzyknął Michael, nie mogąc znieść cierpienia przyjaciela. - Jeśli ci je oddam, obiecasz, że przestaniesz? Obiecasz, że nie ześlesz na nikogo cierpienia...

- Nie obiecuję! - ryknął Finster.

- No to nie ma umowy - wyszeptał Michael boleśnie, wiedząc, że jego słowa przypieczętują śmierć najbliższego przyjaciela.

-Michael! Nie wchodź z nim w układy. - Z wielkim trudem wydusił z siebie Busch.

-KLUCZE! - Finster stanął nos w nos z Michaeliem i ział na niego obrzydliwym, mdlącym oddechem.

Busch zwijał się, przewracając.

- Nie chcę... być... kartą przetargową - wyjęczał i w tym samym momencie dostrzegł coś w trawie. Z bolesnym wysiłkiem sięgnął po to.

Michael kątem oka dostrzegł jego ruch.

-Paul! Nie! Jezu Chryste...

-Nie ma go tu - zadrwił Finster.

Palce Buscha zacisnęły się wokół pistoletu, uniósł go, mierząc do Finstera.

- Nic mi tym nie zrobisz - syknął Finster, nie zadając sobie nawet trudu, żeby spojrzeć na wycelowaną w jego plecy broń.

Ale Busch wcale nie zamierzał strzelać do Finstera. Przyłożył lufę do swojej głowy.

-Obiecuj, że zaopiekujesz się Jeannie i dziećmi...

-Paul!!! - krzyknął rozpaczliwie Michael.

-Nie pozwól, żeby twoje starania i moje poświęcenie poszły na marne...

Busch jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył równie jasnych chwil, jak ta. Jakby ból, który odczuwał, był chrztem bojowym, nie do zniesienia, ale mimo to w jakiś sposób oczyszczającym. Wierzył w Michaela, wierzył w Simona. A przede wszystkim wierzył w klucze.

-Paul, nie...

-Obiecuj mi - powtórzył, patrząc błagalnie na Michaela.

-Obiecuję - wyszeptał, wiedząc, że zgadza się tym samym na śmierć przyjaciela.

Palec Buscha z trudem ułożył się na cynglu, pociągnął, ale ręka opadła bezwładnie. Pistolet nie wypalił. Jego ciało wygięło się w łuk, oczy rozwarły się szeroko, opadł na ziemię.

-Zabiłeś go! - krzyknął Michael.

-Nie - zaprzeczył Finster. - Chciałbyś, żebym to ja zrobił, co? Byłoby to takie wygodne. Jego ciało nie mogło znieść tego. Dostał zawału. Myślę, że jeśli szybko nie dostanie się do szpitala, umrze... Daj mi te klucze, Michaelu, a ja pozwolę wam odejść. Daj mi klucze i będziesz mógł go uratować. Ciągle jeszcze jest na to czas. Czy chcesz zawrzeć transakcję o jego życie? Jeśli nie, to jego śmierć pozostanie w twojej świadomości na zawsze.

Michael czuł się jak sparaliżowany: życie Paula, czy dusza Mary? Jakiego by nie dokonał wyboru, Finster miał rację: do końca życia będzie mu ciążyło poczucie winy.

Świadomość ta rozbudziła wściekłość, wypierającą całą logikę i rozsądek. Zawrzał i rzucił się na Finstera. Jediną jego reakcją był złośliwy śmiech. Owładnięty gniewem Michael zacisnął dłonie na jego szyi.

I wtedy pojawiła się Mary.

Tam, gdzie przedtem był Finster.

Mary St. Pierre.

Michael dusił swoją żonę.

- Michael... proszę... nie zabijaj mnie - jęknęła.

Michael zamarł ze strachu, kiedy jego żona z trudem łąpała oddech.

-Mary! Mary, przepraszam...

-Zamknij oczy, Michaelu. To tylko sztuczka - ostrzegł go cicho Simon. - W głębi duszy sam wiesz, że to nie twoja żona. Nie poddawaj się. - Po raz pierwszy Michael dostrzegł u Simona cień współczucia.

Opuścił ręce, osunął się na ziemię ze spuszczoną głową, szlochając. Pokonany. Mary położyła mu rękę na ramieniu, a kiedy Michael spojrział na nią, przekształciła się z powrotem w Finstera.

- Jeśli dasz mi klucze, Michaelu, będziesz mógł uratować od śmierci swojego przyjaciela, a ja wpuszczę twoją żonę do nieba. Tego właśnie chce, prawda? To dlatego tu jesteś. Gwarantuję, że będzie miała wieczne spoczywanie. - Finster zrobił pauzę. - Daję ci na to moje słowo.

Michael jeszcze nigdy nie czuł się tak zagubiony. Spojrział na Simona.

- Jego słowo nie ma żadnej wartości - ostrzegł go Simon.

Michael podniósł się w milczeniu. Po twarzy płynęły mu łzy. Podszedł do Simona.

-Daj mi klucze - zażądał, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

-Co? - Simon nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. - Nie przyjechałem tu taki kawał drogi, żeby... - z trudem panował nad sobą. - Nie ma znaczenia, Michaelu, co się stanie z nami. Tu chodzi o Boga...

Rozczarowanie, jakie Michael tłumił od dłuższego czasu, znalazło wreszcie ujście.

-Całą tę drogę przebrnęliśmy sami! Żadnej pomocy od Boga. Gdzie On był? Jeśli chce mieć te klucze z powrotem, to dlaczego nam nie pomaga? Dlaczego nie dał mi znaku?

- Jego głos był pełen wzdargy. - Może sobie sam je zabrać. Mnie On nie jest potrzebny. Nic dla mnie nie zrobił, absolutnie nic! I nic - zupełnie nic - dla mojej żony!

-Michael, nie...

- Masz rację, Michaelu. - Finster kuł żelazo, póki gorące. - Dawno już cię porzucił.

-To nieprawda, Michaelu. Twoje nazwisko: St. Pierre. Święty Piotr. Czy myślisz, że to zbieg okoliczności? Byłeś do tego przeznaczony.

-Nie! - wściekł się Finster. - To nieprawda. Pomyśl Michaelu. - Jego głos stał się słodki. - Jeśli to prawda, to znaczy, że to Bóg zesłał na ciebie cierpienie. A jeśli nie... - podszedł bliżej - to znaczy, że cię porzucił.

Słowa Finstera dudniły w uszach Michaela. Zwrócił się do Simona.

- Daj mi klucze.

-Musisz mnie najpierw zabić.

-Nie zmuszaj mnie do tego...

- ... Pozwól, że ci pomogę. - Kiedy Finster złożył tę ofertę, przez ciało Simona przebiegł spazm cierpienia. Jego ręce rozprostowały się na boki, jakby był ukrzyżowany.

-Kogoś mi przypominasz. Hmm, kto to mógł być - odezwał się słodko Finster, przykładając dłoń do brody.

-Michaelu, zdradziłeś Boga. Nigdy nie ujrzysz wrót Niebios - wysapał resztką sił Simon.

-Ty też nie - uśmiechnął się Finster.

Michael sięgnął i wyjął aksamitną ściereczkę z kieszeni Simona. Odwijając klucze, odwrócił się przodem do Finstera.

- Jeśli dam ci te klucze, dusza mojej żony będzie należała do Boga, będzie miała zapewnione wieczne życie w Niebie, będzie spoczywała w pokoju - powiedział, po czym zwrócił się w stronę bezwładnego ciała Buscha i dodał: - a ty mi nie wejdiesz w drogę, kiedy będziemy starali się go uratować. Pozwolisz też żyć Simonowi. Nie ściągniesz cierpienia na nikogo, kogo znam. Obiecuj mi to.

Finster niecierpliwie sięgnął po klucze.

- Obiecuj mi! - warknął Michael, chowając klucze za siebie.

- Masz... moje słowo - ustąpił Finster.

Simon opadł na ziemię, na wpół martwy.

Michael zbliżył się do Finstera z wyciągniętą ręką, na jego otwartej dłoni leżały klucze. Drżąc, Finster cofnął się o krok.

-Poczekaj. Ja nie mogę ich dotknąć.

-Więc położę je w jakimś bezpiecznym miejscu.

-Michael, zastanów się - jęknął Simon. - Wybaczenie, Michaelu. Musisz pamiętać, że zawsze jest jeszcze wybaczenie.

-To wybacz mi, Simonie.

A potem, ku zdumieniu Finstera i Simona, podszedł do kamiennego kręgu, ciągle jeszcze oświetlonego reflektorami limuzyny i bez namysłu wrzucił klucze do studni.

-Coś ty zrobił?! - wrzasnął Finster, podbiegając do studni.

-To twoja studnia. Jestem pewien, że znajdziesz sposób, żeby je odzyskać.

-Ale ja nie mogę ich dotknąć - zaprotestował Finster.

- To nie mój problem.

Michael podszedł do limuzyny i otworzył drzwi. Sięgnął po Simona, który gniewnie odepchnął jego rękę. Bez słowa Michael podszedł do Buscha, złapał przyjaciela pod pachy i pociągnął w stronę samochodu. Milcząc, Simon przyłączył się. Chwycił Buscha za nogi i wspólnymi siłami umieścili go w limuzynie. A potem odjechali.

ROZDZIAŁ 37

Lasy w bawarskich górach są bardziej pierwotne niż gdziekolwiek indziej na świecie. Nic dziwnego, że germańskie opowieści o Zygfrydzie, pogromcy smoków, zrodziły się właśnie tu. Światło słoneczne przedziera się przez korony drzew i dociera do poszycia leśnego wyłącznie w najśłoneczniejsze dni, a nawet i wtedy jest go zbyt mało, aby choćby czytać tam książkę. Rozkładająca się ściółka i poszycie tworzyły miękkie podłoże, w którym kryły się robaki, ptaki i wilki. W wielu miejscach cywilizacja jest tu tylko wspomnieniem, człowiek nie był tu od czasów wielkiego wycięcia drzew w minionym wieku. Wiekowe, zarośnięte mchem drogi drwali służą jako jedyne szlaki komunikacyjne dla mieszkańców małych, prymitywnych wsi, jedynej pozostałości po okresie bumu, obecnie ledwie utrzymujących się przy życiu dzięki lokalnemu handlowi.

Na południowo - zachodnim krańcu puszczy, dwadzieścia kilometrów od najbliższego miasta, skupiło się kilka starych budynków. Otaczający je płot z drewna i kamieni miał około kilometra i porośnięty był płataniną winnego grona i powoju. Drewniane i kamienne chaty zbudowano przed wiekami. Skupiały się one wokół ogromnej budowli z kamieni polnych, która wznosiła się na wysokość czterech pięter, rywalizując z czubkami drzew o dominację. Podobny do zamku budynek stał na podstawie granitowej i nie dało się określić, w którym miejscu kończyła się rzeźba autorstwa środowiska naturalnego, a zaczynała struktura wykonana przez człowieka. Krążyły plotki, że całe miasto wyrosło z ziemi jako kolejny krok w ewolucji Matki Natury. W polu widzenia nie było żywej duszy, jakby wszyscy spakowali się i uciekli do cywilizacji, nie mogąc poradzić sobie z dzikim, nieudomowionym światem.

Na skraju opuszczonej osady, ukryty w wieczornym cieniu, stał kamienny pub. Rozwalający się dach z gontu porastał mech, miejscami sterczały z niego kępki trawy. Był to przysadzisty budynek na granicy lasu. Szyld zapraszał zmęczonych turystów na szklanekę piwa.

Umeblowanie było proste i równie stare jak sam budynek. Kilka stołów i ławki na klepisku oraz stare okna ze szkła ołowianego, popękane i wymagające odmalowania. Na ścianach wisiało mnóstwo średniowiecznych gobelinów przedstawiających rycerzy, smoki i pejzaże. Michael siedział samotnie przy stole, ponury i popijał piwo. Nie było nikogo, z wyjątkiem barmana, który stał do niego tyłem i czyścił szklanki. Michael rozpaczliwie próbował dodzwonić się do Mary, żeby powiedzieć jej, że niedługo wraca, i zmarł z przerażenia, kiedy centrala połączyła go z jej pokojem. Odebrała pielęgniarka, która

przywitała go słowami: „Oddział intensywnej opieki. Czym mogę służyć?”.

Pielęgniarka błagała go, żeby szybko wracał. Żona wzywała go, jak powiedziała, a zostało jej już bardzo mało czasu. Od piętnastu godzin Mary była w śpiączce.

Michael chciał powiedzieć Mary, że naprawił swój błąd. Zamiast tego, powiedział pielęgniarce, że będzie za dwadzieścia godzin. Została mu jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Przez pub przeleciał huragan, wprawiając wszystko w ruch. Michael trzymał mocno szklanę, kiedy wiatr rozdmuchiwał płomienie w kominku, wznosząc wszędzie chmury pyłu. Zaraz potem pojawił się on. Wpatrywał się złowieszczo w Michaela, idąc przez salę i siadając po drugiej stronie stołu. Ubrany był na czarno, siwe włosy miał związane mocno w ogon, a dłonie zaciśnięte w pięści. Michael odniósł wrażenie, że światło w sali zgasło, że zostało dosłownie wessane w ciało Finstera jak w czarną dziurę. Emanowała z niego upiorna ciemność.

- Oddaj moje klucze - wysyczał.

Michael siedział bez ruchu, z mocno bijącym sercem. Głupio łudził się, że Finster nie wejdzie do studni, że może już uznać cały ten koszmar za zakończony. Teraz uświadomił sobie swoją naiwność. Zaryzykował i przegrał. To było głupie posunięcie, opóźniło tylko to, co było i tak nieuniknione. Uciekł z posiadłości Finstera z Simonem udzielającym ostatniego namaszczenia jego najlepszemu przyjacielowi, Paulowi Buschowi, który leżał na tylnym siedzeniu limuzyny ledwie żywy. Dotarli do szpitala na przedmieściu Berlina i wtaszczyli Buscha do izby przyjęć. Jak tylko lekarz zajął się Buschem, Simon i Michael wsiedli z powrotem do samochodu. Jechali na południe. Pędzili autostradą, wiedząc, że ucieczka była po prostu opóźnieniem tego, co ich czekało.

- Słucham? - Michael zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Złapał mocniej szklanę, jakby to ona mogła mu uratować życie.

Twarz Finstera zrobiła się obrzydliwie czerwona; oparł ręce na stole i wyprostował palce wnętrzem dłoni do góry. Wpatrywał się w Michaela. Michael nie spuścił oczu, nie musiał. Wiedział, co siedzący przed nim mężczyzna trzyma. W każdej ręce trzymał klucz - jeden srebrny, drugi złoty.

- Ach, więc ktoś zszedł do studni - Michael wskazał gestem głowy na dłonie Finstera.

Ten wpatrywał się w niego z furją, a nienawiść wypełniała go po brzegi. Wreszcie cisnął w Michaela podrobionymi kluczami z taniego metalu.

- Chcę moje klucze. Natychmiast!

Michael siedział bez ruchu.

Finster przechylił się przez stół, złapał go za gardło i uniósł bez trudu do góry.

- Dusza twojej żony jest moja! - wysyczał.

Dusił Michaela, który próbował walczyć, ale bez skutku.

- Wyrwę duszę Mary prosto z jej serca i będę niszczyć ją codziennie, przez całą wieczność. Rozumiesz? - Brutalnie potrząsnął Michaeliem. - Oddaj moje KLUCZE!

Cisnął Michaeliem o ścianę, jakby rzucał szmacianą lalkę. Michael był potłuczony, zakrwawiony i oszołomiony, bez tchu. Nie miał siły ruszyć się. Był pewny, że Finster złamał mu kolejne żebro. Wzrokiem szukał barmana, licząc na jego pomoc, ale ten najwyraźniej zmył się przy pierwszym sygnale kłopotów. Finster chodził po sali, pusząc się z dumy. Był przekonany, że za chwilę dostanie to, po co przyszedł, i odjedzie.

- Sprytny sukinsyn. - Złapał piwo Michaela. - Nigdy nie rób przekrętów, jeśli zawierasz umowę. Matka cię tego nie nauczyła? A jeśli to robisz, bądź gotów ponieść konsekwencje. - Jednym łykiem wypił całą zawartość szklanki i starł ręką pianę z ust. - Dałem ci to, czego chciałeś. Dostałeś pieniądze na jej leczenie. To nie moja wina, że nie pomogło. To nie była moja wina i ty o tym wiesz. Nie mam takiej mocy, wbrew temu, co ludzie gadają. Nikt nie jest w stanie dać życia. Ale zabrać je... - przerwał, pozwalając groźbie wisieć przez moment w powietrzu. - Pomogłem ci, Michaelu, a ty mnie zdradziłeś. Przystałem na twoje warunki, pozwoliłem temu nawiedzonemu księdzu żyć, przysiągłem, że twoja żona ma zapewnione wieczne życie. A ty mnie zdradziłeś po raz drugi. Złamałeś dane mi słowo, Michaelu. Mary jest więc moja.

W oczach Michaela płonęła nienawiść. Usiłował wstać.

-Nie trudź się. - Finster pokazał ręką, żeby usiadł. - Jesteś skończony. - Machnął dłonią i stół podniósł się do pionu, przechylając w stronę Michaela. - Miałeś dwa komplety kluczy - wysyczał.

-Właściwie to miał trzy. - Zza baru doszedł radosny głos. - Ale ty nigdy nie słyngałeś z inteligencji, prawda?

Finster odwrócił się i zobaczył przechylnego przez ladę barmana. Mężczyzna był zabandażowany, prawą rękę miał na temblaku. Rany na twarzy zagoją się z czasem, ale blizny pozostaną pamiątką na całe życie. Bez zastanowienia złapał Simona za włosy, trzasnął jego głową w bar i rzucił go na ścianę, na której stały butelki.

-Byłeś zbyt wściekły, żeby jasno myśleć... - usłyszał głos Michaela z drugiej strony sali.

-Chcę prawdziwe klucze i to natychmiast! - ryknął Finster.

Podbiegł do Michaela z taką prędkością, że rozmywał się w oczach, i brutalnie poderwał go z podłogi, przyciągając blisko do siebie.

- Tylko jeden z was może je mieć, więc tylko jeden z was jest chroniony przez nie - rzucił Michelelem w róg sali. Zamknął oczy. Zaczął się trząść, bardziej teraz przypominając bestię niż człowieka. Wszelkie cechy ludzkie znikwały w miarę narastania jego wściekłości. Wiatr nadal hulał po sali, a szalejący w kominku ogień odbijał się tęczą w potłuczonych szklankach. Na suficie tańczyły groźne cienie.

Simon zerwał się na nogi oszołomiony, walcząc z własną słabością. Oparł się zdrowym ramieniem o bar i naciskał z całej siły. I powoli bar zaczął się przesuwać. Nieznacznie, początkowo zaledwie kilka centymetrów, ale poruszał się. Przesuwał się po podłodze, popychany przez milczącego księdza, który wkładał w tę czynność całą swoją siłę.

Zaskoczony Finster ponownie złapał Simona i unióśł go w powietrze.

-Co ty...

-Słyszałeś kiedyś powiedzenie: „Oszukasz mnie raz - powinieneś się wstydzić - pełen wściekłości głos Michaela dochodził z drugiej części sali - ale jeśli oszukasz mnie dwa razy, to ja powinienem się wstydzić”?

Finster zignorował Michaela.

- Tym razem nic cię nie uratuje mnichu - syczał, dusząc Simona. - Żadne strzelby, żadne noże. Żaden Bóg nie wtrąci się i nie uratuje cię od śmierci. A jak umrzesz, nie będziesz miał gdzie pójść - nie dostaniesz się do Nieba, nie otrzymasz wiecznej nagrody za życie pełne poświęcenia dla Boga. - Rzucił Simona na ścianę. - Będę tylko ja.

Michael z trudem podniósł się na kolana.

- W każdym razie, powiedziałbym, że zrobiłem z ciebie głupca trzy...

Finster wyciągnął rękę i Michael przeleciawszy przez salę jak stał do magnesu, został wciągnięty w jego uścisk. Daremnie usiłował uwolnić swoją szyję z żelaznego uścisku jego dłoni.

-Cztery - skorygował Michaela Simon, z trudem łapiąc powietrze.

-Cztery razy okpiony - zgodził się Michael słabnącym głosem, czując, że traci przytomność. Zakrwawiony i pobity, mimo wszystko walczył, kontynuując przez zaciśnięte zęby.

-Oszukałem cię i wszedłeś do klubu tanecznego, który był kościołem. To raz. - Głos miał tak słaby, że był to raczej szept. - Oszukałem cię z pierwszym kompletem fałszywych kluczy, które położyłem w twojej galerii. Dwa.

-Drugi komplet kluczy wrzucony do studni - dorzucił Simon.

-To trzy - zgodził się Michael, patrząc na księdza. - A numer cztery...

Finster doszedł do kresu wytrzymałości. Nikt nie śmiał żartować ze śmierci, zwłaszcza

z okrutnej śmierci, a on ją personifikował. Miał dość gry prowadzonej przez Michaela i Simona. Teraz zagrają swoją ostatnią grę, której reguły on im podyktuje.

- Dla ciebie nie ma numeru cztery. Zamierzam przykuć łańcuchem twoją duszę do moich stóp, żebyś codziennie, każdego dnia, był świadkiem cierpień, jakie ściągnę na twoją żonę. - Rzucił Michaela na odległą ścianę, ale tym razem Michael nie spadł; wisiał jak obraz. Z nosa ciekła mu krew, w głowie miał mętlik.

Finster wyciągnął lewą rękę i z pasa Michaela wyskoczył nóż. Przeleciał przez salę prosto do Finstera, zaledwie kilka centymetrów od niego zakręcił i wylądował w jego wyciągniętej dłoni. Finster zaczął obracać rękojeścią, podziwiając błysk ostrza i śmiercionośny czubek. Potem ponownie wyciągnął lewą rękę. Koszula Michaela rozsunęła się, wyrywając guziki. Miał teraz obnażoną klatkę piersiową.

Finster podszedł i podniósł ostrze do jego oczu.

- Sam sobie odbierzesz życie.

Michael milczał, usta mu drżały.

- Ja tego nie mogę zrobić - kontynuował szyderczym tonem. - Mogę pozbawić cię woli, doprowadzić na granicę śmierci, torturować tak, że będziesz błagał o śmierć, ale nie mogę przeprowadzić cię przez tę granicę. Myślę, że poznałeś ten sekret, przyglądając się swojemu umierającemu przyjacielowi. - Finster wskazał nożem na Simona. - Nie mogę dokonać ostatecznego aktu, zrobisz więc to za mnie. Dasz mi klucze. A potem weźmiesz swój nóż i wbijesz sobie prosto w serce. A jeśli nie zechcesz oddać mi kluczy za życia, nie będzie dla mnie problemem zabranie ci ich, jak już będziesz martwy.

Z oczu Michaela wyzierało coraz2 większe przerażenie. Jego ciało nie było w stanie zareagować na rozkazy umysłu. Nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź - głowę miał wypełnioną jedynie strachem, że zawiódł Simona, zawiódł swoją żonę. I - w końcu Michael przyznał się do tego przed sobą - strach, że zawiódł Boga.

Finster przejechał nożem po gołej klatce piersiowej Michaela i zatrzymał czubek na wysokości serca. Złapał Michaela za lewą rękę, bez wysiłku pociągając ją do siebie. Wbrew woli palce dłoni otworzyły się. Finster umieścił w nich nóż, a palce zacisnęły się wokół rękojeści. Po klatce piersiowej pociekła kropelka krwi z miejsca, które uciskał czubek noża. Finster cofnął się, podziwiając obraz, jaki tworzyła postać Michaela na ścianie. Na granicy popelnienia samobójstwa.

Michael walczył ze wszystkich sił. Ręka drżała mu z napięcia, na czoło wystąpił pot, ale nie był w stanie odsunąć noża od swojego ciała. Mobilizował całą swoją siłę, mięśnie miał napięte z wysiłku, ale bezskutecznie.

I nagle, bez ostrzeżenia, ręka opadła, nóż wypadł, uderzając o ścianę. Odzyskał kontrolę nad swoją ręką. Zsunął się na ziemię, zdumiony, nie rozumiejąc dlaczego. Dopóki nie spojrzał na Finstera, który wpatrywał się w Michaela, a dokładniej w kieszeń jego koszuli. Był zdekoncentrowany, wyraźnie nie interesował się już natychmiastową śmiercią Michaela. Przez twarz Finstera przemknął uśmiech. Z kieszeni koszuli Michaela wystawał bowiem krzyżyk Mary na długim, złotym łańcuszku. A obok niego wisały dwa klucze.

Finster sięgnął po nie.

Michael zbladł.

- Nie wolno ci ich dotykać.

- Głupiec - roześmiał się Finster. Pochylił się i po prostu wyciągnął je z kieszeni za długi łańcuch. Kiedy zakołysały się w powietrzu, Finster poczuł dobrze mu znane mdłości. Jego ciało skurczyło się, kiedy klucze się zbliżały. Tak, to były te właściwe. Pomimo bólu, jaki szarpał jego ciało, triumfował.

- Moje - powiedział z widoczną satysfakcją.

Michael spojrzał na klatkę piersiową, na której nosił krzyżyk Mary. Nie było go. Nosił go nie dla Boga, ale dla żony. To ona upierała się, że zapewni mu bezpieczeństwo, że będzie go chronić i sprowadzi do domu, do niej. Nie wierzył jej wtedy. Ale teraz już tak.

- Wszystko jest twoje - powiedział, wrywając łańcuszek z krzyżykiem Mary i kluczami z ręki Finstera i wciskając mu go przez głowę tak, aby zawisł na szyi. Finster usiłował się odchylić, ale za późno. Jego umysł był zamglony, a ciało osłabione wskutek przebywania w pobliżu prawdziwych kluczy.

Kiedy łańcuszek zawisł mu na szyi, klucze opadły na klatkę piersiową Finstera. Rozległ się nieludzki krzyk z głębi Piekieł. Ból był nie do zniesienia. Finster kręcił się po sali, uderzając o ściany i stoły, wirując wokół swojej osi, aż upadł na podłogę, gdzie wił się w niewyobrażalnym bólu. Z jego czarnej koszuli wydobywały się ogień i krew, klucze paliły bowiem jego ciało, wnikając w skórę.

Michael odskoczył do ściany, starając się zejść Finsterowi z drogi. Simon patrzył beznamiętnym wzrokiem na spełnienie się tego, do czego od tak dawna dążył. Wreszcie Finster znieruchomiał. Nie poruszał się, nie wydawał żadnego dźwięku. Z jego poparzonej klatki piersiowej unosił się dym, a oczy stanęły mu w ślup. Stoły i krzesła były powywracane, na podłodze pełno było śladów szponów. Z miliardera uchodziło życie.

Michael spojrzał na Simona. Ksiądz był na wpół przytomny. Obaj utracili dużo krwi, byli poranieni, mieli połamane kości. Dla Simona to zapewne nic nowego - pomyślał - ale dla mnie to pierwszy i ostatni raz.

Podszedł do Finstera. Popatrzył na klucze, które wtopiły się w jego klatkę piersiową. Nikt nie uwierzy, że był tego świadkiem. Widział więcej, niż można nawet żyjąc dziesięć razy. Ale w końcu dostał to, po co przyszedł i jeszcze premię: przeżyje.

Ukucnął nad ciałem; poczuł smród spalenizny. Klucze były gorące, kiedy ich dotknął. Owinął je szmatką i pociągnął, ale nie drgnęły. Wtopiły się w ciało i kość obojczyka. Michael zaparł się nogami, złapał mocniej i pociągnął z całej siły.

Finster otworzył oczy. Michael zamarł z przerażenia, kiedy Finster zerwał się na nogi, wirując, nerwowo szarpiąc szponami klatkę piersiową, drąc i rozrywając własną skórę. Desperacko usiłował uwolnić się od śmierci. Skóra odrywała się, kiedy wciskał palce w ciało, usiłując uwolnić się od kluczy. W pewnej chwili, ostatkiem sił, złapał za łańcuch i wyrwał je. Klucze pofrunęły w powietrzu, obracając się, przez całą salę i wylądowały pod stołem.

Finster zaatakował. Zaciśnął rękę na gardle Michaela, dusząc go. Michael miał wrażenie, że umiera. Jedyne o czym mógł myśleć, to poparzona klatka piersiowa Finstera, z wyraźnym śladem kluczy.

- Żadnych więcej sztuczek. - W głosie Finstera brzmiało teraz czyste zło. Nie pozostał ani ślad dawnego, uwodzicielskiego Niemca, którego wielcy przemysłowcy uczyli się przez ostatnie dziesięć lat.

Michael zachłysnął się. W oczach mu migotało, ogarniała go ciemność. Usiłował zmobilizować resztkę energii, zadać ostatni cios i zakończyć to szaleństwo.

- Numer cztery - wymamrotał, łapiąc odrobinę powietrza, po czym sięgnął ręką i zerwał ze ściany gobelin, który przedstawiał rycerza na czarnym rumaku wbijającego lancę w serce ogromnego, wyszczerzonego smoka. Ręcznie utkana materia spadła na ziemię, ukazując ołtarz. Bardzo prosty, wieki temu wykonany z drewna i kamienia.

Oczy Finstera otworzyły się szeroko.

- Tym razem nie ma nikogo, kto by cię wyniósł - kontynuował Michael z nową energią.

Finster upadł na ziemię, skulił się, niezdolny kontrolować rozrywający go ból. Przez głowę przeleciała mu ostatnia klarowna myśl, zanim spłonął na popiół. Był już tak blisko zemścić się na Tym, który go wyklął. Pożałował, że przybrał ludzką postać, że uległ ludzkim słabościom i przyjemnościom. Stał się ich ofiarą, uzależnił od pożądania i chciwości. Dał się ściągnąć do tego kościoła tylko dlatego, że jego ciało było słabe. Oglupilo jego zmysły, oślepiło. A teraz jego ludzka powłoka zniknęła, jego ducha już nie chroniło ciało. Płonął w piekielnym bólu. Jego dusza była skąpana w świetle, czuł się tak, jakby był zmuszony patrzeć na słońce, nie mogąc odwrócić oczu. Ciało Finstera zaczęło się kurczyć,

pojawił się dym i miejscami płomienie.

Powłoka, jaką było ciało Augusta Finstera, zamieniała się w popiół.

Michael z trudem wstał i pomógł podnieść się Simonowi. Przywrócili porządek w małej kaplicy, wypchnęli bar przez drzwi wejściowe i porozstawiali stłoczone z tyłu ławki w równe rzędy, żeby parafianie mogli się bez przeszkód modlić. Starannie przywrócili do ładu ołtarz, ustawili kielich i świece, żeby były gotowe na mszę, która się nigdy nie odbędzie.

Simon podniósł z podłogi gobelin z rycerzem i podał jeden jego koniec Michaelowi. Przenieśli go przez kościół i stanęli nad resztkami ciała Finstera. Simon przykrył nogi zwłok. Kiedy Michael pochylił się, żeby zakryć głowę Finstera, ten uniósł rękę i chwycił go za nadgarstek.

W twarzy, której prawie nie było, krwistoczerwonej i wykrzywionej furją, pociemniałej w nicość, jakiej Michael jeszcze nigdy w życiu nie widział, świeciło coś, co z trudem przypominało oczy. To, co leżało przed Michaeliem, było prawdziwym potworem, w niczym nie przypominającym Augusta Finstera.

Głos nie wydobywał się z ust, nie dotarł również do uszu Simona. Brzmiał wyłącznie w głowie Michaela. I Michael wiedział, że mówi prawdę.

- Nigdy nie umrę. - Głos docierał równocześnie ze wszystkich kierunków. - Bez ciemności nie może być światła. - Michael spojrzał głęboko w oczy bestii. - Zawsze tu będę.

Bez namysłu Michael oswobodził ręce, przeszedł przez salę i podniósł klucze. Trzymał je z szacunkiem, przebiegając palcami po starym metalu. Podobnie jak i krzyżyk Mary były skromne, nie rzucały się w oczy, a jednak wzbudzały wiarę i siłę znacznie większą, niż Michael był sobie w stanie wyobrazić. Dla świata reprezentowały wiarę, dla Mary - nadzieję, a dla Michaela były symbolem miłości.

Zdjął klucze z łańcuszka, zostawiając na nim jedynie krzyżyk Mary. Podał klucze Simonowi, potem podszedł do Finstera i przykucnął. Finster leżał bez ruchu, jego piekielne oczy zamaryły otwarte. Ze spalonego ciała nadal wydobywał się dym. Michael ostrożnie zawiesił na szyi trupa łańcuszek, układając krzyż na środku szerniałej piersi.

ROZDZIAŁ 38

Pięć minut później Michael i Simon wyszli z kaplicy. Zapadła noc, głębsza i bardziej przejrzysta, niż kiedykolwiek widzieli. Otaczający ich las robił wrażenie, jakby ożył, słysząc było świerszcze i sowy, żaby i cykady. Nad drzewami unosił się srebrny księżyc, dający wystarczająco dużo światła, żeby można się było poruszać.

Simon pomógł Michaelowi przykryć średniowiecznym gobelinem spalone zwłoki Finstera, po czym popchnął go przed ołtarz. Zdmuchnęli ogień ze świec, poskładali stoły i krzesła w rogu, zostawiając miejsce w takim samym porządku, w jakim było przed ich przyjściem.

Michael stał w świetle księżyca, kiedy Simon zdejmował fałszywy szyld niemieckiej piwiarni i zawieszał prawdziwy, który ukryli w krzakach. Wycięte w drewnie słowa były po niemiecku, ale Simon przetłumaczył je Michaelowi:

KAPLICA ŚWIĘTEGO ZBAWICIELA
NIE ODPRAWIA SIĘ MSZY
ZAPRASZAMY PODRÓŻNYCH,
CHCĄCYCH SIĘ POMODLIĆ
LUB SZUKAJĄCYCH SCHRONIENIA

Ich plan powstawał w pośpiechu, wymyślili go naprędce. Nie była to ulubiona metoda działania Michaela, ale zaczynał być w tym dobry. Sprzymierzeńcy, z jakimi się skontaktowali, byli niezmiernie pomocni. Przygotowali kaplicę, przyozdabiając ją jak bar tuż przed przybyciem Michaela i Simona.

Kiedy Simon zawiesił tablicę informacyjną kościoła, wokół i w środku otaczających domów dało się wyczuć poruszenie, jakby ożyły. Wyszły z nich tłumy ludzi. Podeszli do kaplicy. Szli w milczeniu, ich sutanny i suknie szurały po ziemi. Inni nadeszli z ciemności, z taczkami i narzędziami. Mnich ciągnął starodawny wózek, wypełniony cegłami i piaskiem.

W ciągu kilku godzin zbudowano nowe mury, w kilka dni budynek był ukończony. Kaplicę otaczała teraz nowa budowla z cegieł i cementu. Nie było drzwi ani okien - żadnej możliwości wejścia lub wyjścia. Zasypanie wszystkiego zajęło nieco dłużej. Około miesiąca. Ziemię przywożono i narzucano ręcznie, a kiedy skończono, gigantyczny kopiec pokrył cały budynek. Posadzono kwiaty, drzewa i trawę, tak że całość zmieszała się z otoczeniem. Na szczycie kopca umieszczono marmurowy posąg. Przysłano go z Watykanu, z Kaplicy Sykstyńskiej. Wyrzeźbiony przez Michała Anioła w 1530 roku, został pobłogosławiony przez

papieża i był czczony za jego przejmujące pokazanie sceny, w której Jezus podaje parę kluczy apostołowi Szymonowi Piotrowi.

ROZDZIAŁ 39

Na szpitalnych oknach osiadała para. O siódmej rano były już trzydzieści trzy stopnie. Następowala zmiana personelu: lekarzy i pielęgniarki o zmęczonych oczach zastępowali lekarze i pielęgniarki o niemniej zmęczonych oczach. Podrapany i posiniaczony Michael szedł pustymi, białymi korytarzami, obok pustych pokoi i pustych stanowisk pracy. Miał dziwne wrażenie, że w całym szpitalu jest tylko jedna pacjentka.

Przyleciał pierwszym lotem z Monachium, o świcie, goniąc słońce; leciał nad oceanem cały czas we wschodzącym słońcu i jaśniejącym niebie. Śmiertelnie zmęczony, po nieprzespanych siedemdziesięciu dwóch godzinach, nie mógł nawet na moment zmrużyć oka. Wpatrywał się w rozmyty horyzont, w jasne, niebieskoróżowe niebo, jakie jest zazwyczaj na chwilę przed rozbudzeniem się świata. Chciał, żeby samolot leciał jeszcze szybciej.

Wszedł cicho do pokoju, spodziewając się, że Mary będzie nieruchoma, w stanie śpiączki. Ale nie spała. Leżała, czekając, jakby wiedziała, że się zbliża. Jeżeli jej wychudzenie zaskoczyło go, to nie okazał tego. Na jej widok oczy wypełniły mu łzy ulgi. Bez słowa objął ją i przytulił. Oboje byli zachwyceni, że żyją.

- Przepraszam, że się spóźniłem - wymruczał, głaszcząc ją po policzku.

- Najważniejsze, że wróciłeś - odpowiedziała cicho. - Tylko to ma znaczenie.

- Zabieram cię do domu.

Mary uśmiechnęła się, nie ruszając z objęć męża.

- Myślałem, że może... moglibyśmy pojechać do Cape na tydzień, zatrzymać się w Ship's Bell, kochać na wydmach - wyszeptał Michael z głową wtuloną w jej ramię.

-Mmm. Jeść zupę portugalską, świeże kraby. - Mary czuła ogarniającą ją głęboką radość.

-Biegać po plaży, chlapać się w wodzie. Czuć na plecach ciepłe promienie słońca... -

Michael przytulał ją, a promienie porannego słońca delikatnie oświetlały jej twarz.

ROZDZIAŁ 40

Ku zdumieniu wszystkich Paul Busch przeżył. Niemieccy lekarze powiedzieli, że miał dużo szczęścia, wychodząc z tego zawału, i zalecili powstrzymanie się od jedzenia czerwonego mięsa i obniżenie cholesterolu. Zszyli mu ramię i nastavili dwa palce. Pięć tysięcy euro, jakie dał im Simon, skutecznie wyciszyły wszelkie dociekania co do pochodzenia tych ran. Pięć dni później Busch był już w na tyle dobrym stanie, że mógł polecieć do Stanów i samodzielnie wysiąść z samolotu, prosto w ramiona Jeannie. Najpierw tuliła go przez dziesięć minut, a potem zrugła jak burego kota za wszystkie zmartwienia, jakie na nią ściągnął.

A jeszcze później siedział na krześle w gabinecie kapitana Delii, a szef stał nad nim i obsobaczał go.

-Mówisz, że wycofujesz wniosek o naruszenie zwolnienia warunkowego? - wrzeszczał Delia.

-Zona tego człowieka umiera, pracował uczciwie, żeby zarobić na ratowanie jej - odparł Busch.

-To o co było tyle szumu? - Delia nerwowo krążył po biurze. - Po co areszt domowy?

-Przesadziłem. Myślałem, że korzysta z okazji. Kiedy poznałem okoliczności, zmieniłem zdanie. Nie złamał prawa Stanów Zjednoczonych, naruszył wyłącznie drobny zakaz opuszczania stanu. Nie mogłbym żyć ze świadomością, że wtrącono faceta do więzienia za taki drobiazg. A ty mógłbyś?

-Żadnych więcej przyjaźni ze zwolnionymi warunkowo, Paul. Mówię poważnie. - Delia zdjął marynarkę, powiesił na oparciu krzesła i ciężko usiadł. Spojrzał na obandażowane palce Buscha.

- Możesz wyjaśnić, co się stało?

- Dzieciaki, drzwi samochodu, moje palce i potworny ból.

-Rozsypujesz się. - Delia uśmiechnął się. - Mówiono, że miałeś jakieś problemy z sercem. Myślisz, że pociągniesz jeszcze rok, jak się będziesz zużywał w takim tempie?

-Jestem w porządku. To tylko za dużo czerwonego mięsa. Chociaż Jeannie namawia mnie, żebym odszedł ze służby.

-A co ty o tym myślisz?

-Myślałem o pójściu na łatwiznę i otwarciu baru. Sam nie wiem. Boję się, że nie

dam rady żyć, jak nie będę widział twojej radosnej twarzy codziennie rano. - Busch wstał i otworzył drzwi.

-Widziałeś Thala? - zatrzymał go Delia.

-Thala? - Busch spojrzał na szefa.

-Tak, Thala. Pamiętasz? Ten od Spraw Wewnętrznych. Dochodzenie w twojej sprawie.

-Jeśli o mnie chodzi, to mógł zdechnąć.

- Hej, nie żartujemy w takich sprawach.

- Dam ci znać, jak go zobaczę. - Busch spokojnie wyszedł z gabinetu kapitana.

ROZDZIAŁ 41

Apartament prywatny mieści się we wschodniej części Pałacu Watykańskiego, a okna wychodzą na plac Świętego Piotra. Niedostępny dla świata, zawsze był miejscem, w którym papież był sam; miejscem, w którym zwierzchnik Kościoła katolickiego mógł mieć choć cień wrażenia, że żyje jak normalny człowiek. Mahoniowe półki w bibliotece mieściły pięć tysięcy tomów. Był to prywatny pokój papieża, w którym mógł czytać książki, czasopisma, gazety, jednocześnie nie zrywając z wiekową tradycją powołania duchowego. W rogu stały trzy duże telewizory, podające serwisy informacyjne z całego świata. Jako człowiek mówiący w ośmiu językach, papież czuł się u siebie w dowolnym kraju; lubił też oglądać wiadomości, które kształtowały opinie ludzi.

Simon siedział w karmazynowym pokoju przyjęć ze spuszczoneymi oczami. Sofy i krzesła były wyłożone czerwonym aksamitem ze złotym obramowaniem, przypominając epokę renesansu, kiedy w miejscu tym tętniło serce świata, zarówno politycznego, jak i duchowego.

Czarna sutanna i koloratka Simona ostro kontrastowały z kolorowym wnętrzem. Ten strój zawsze krępował Simona, jakby nie zasługiwał na to, by go nosić. Chociaż tradycyjny strój księdza miał też na niego wpływ uspokajający. Jakby wchłaniał duchowe intencje materiału. Siedział z rękami złożonymi na kolanach, mocno trzymając w nich drewniane pudełko, wyrzeźbione przez stolarza dwa tysiące lat temu. Uniósł pokrywkę, po raz ostatni podziwiając klucze.

Otworzyły się drzwi do apartamentu.

-Jego Świątobliwość prosi, ojczy - powiedział po włosku niski, łysy człowiek. Arcybiskup Batiste, sekretarz osobisty papieża, był w tradycyjnej purpurowej szacie, właściwej dla jego urzędu.

-Dziękuję, Wasza Eminencjo - skłonił się Simon. - Czy Jego Świątobliwość został powiadomiony o mojej prośbie?

Simon uważał, że było tylko jedno prawdziwie bezpieczne miejsce dla kluczy: w rękach najlepiej chronionego człowieka na świecie.

- Ojciec Święty uznał to za zabawne - odparł kardynał. - Nigdy przedtem nie nosił przy sobie kluczy.

Weszli do prywatnych pomieszczeń, gdzie oczekiwał ich Papież.

ROZDZIAŁ 42

Liście były jeszcze zielone, ale już wkrótce miały zacząć żółknąć. Wkrótce pojawi się mozaika szkarłatu i złota, jak to się dzieje od zawsze. Zasadzone miesiąc wcześniej kwiaty były jeszcze w pełnym rozkwicie. To były jej ulubione kwiaty - stokrotki. Michael klęczał na prostej płycie, po raz tysięczny odczytując napis:

Mary St. Pierre Dar Boży dla Michaela Dar Michaela dla Boga.

Spędzili ze sobą całe trzy tygodnie. Mary promieniała. Była radośnie uśmiechnięta, a jej zielone oczy błyszczały. Przez całe dni nie robili zupełnie nic. Wyłączyli telefon, telewizor, komputer. Jedzenie i potrzebne rzeczy dostarczano im do domu. A oni tylko rozmawiali, jedli, śmieli się, cieszyli swoją obecnością. Nie wyrażali swojej miłości słowami, ale spojrzzeniami i czynami. Kochanie jest pociechą, którą czują tylko ci, którzy wiedzą, co ono naprawdę oznacza. Jest czymś ciepłym i bezpiecznym, wolnym od gniewu i zazdrości. Jest uczuciem euforycznym i uodparnia na okrucieństwo życia.

A potem bez ostrzeżenia, bez bólu, umarła.

We śnie, u boku męża.

Michael leżał przy niej przez długie godziny, trzymając ją za rękę i cicho płacząc.

ROZDZIAŁ 43

Michael siedział przy biurku. Przed nim leżały wyciągi bankowe. Na rachunku w banku na Kajmanach miał dwieście siedemdziesiąt sześć tysięcy dolarów. Ale to wszystko było na nic. Mary odeszła; wszystkie jego wysiłki, aby ją uratować, sprowadziły go na drogę, która pozostawiała teraz otwartą wątpliwość, czy Mary żyje wiecznym życiem. Simon zapewniał go, że wszystko było w porządku, ale Michael nie miał pewności.

I te pieniądze. Pochodziły od Finstera. Były splamione i złe. Nagroda za wystąpienie przeciwko Bogu i Kościołowi, która przyniosła jedynie cierpienie.

Hawk zaszczekał i rzucił się w stronę drzwi. Odezwał się dzwonek. Michael wsunął wyciąg bankowy do kieszeni spodni i wyszedł z gabinetu, otworzył. Przed nim stała wysoka kobieta w trudnym do określenia wieku.

- Pan St. Pierre? - spytała z jakimś trudnym do określenia akcentem.

Michael przyjrzał się jej uważnie. Równie dobrze mogła mieć pod czterdziestkę, jak i być dobrze zakonserwowaną pięćdziesiątką.

- Tak mi ogromnie przykro z powodu pańskiej żony - podała Michaelowi ozdobną kopertę. - Watykan przesyła swoje najgłębsze kondolencje i modły w czasie pańskiej żałoby.

Michael odwrócił wzrok. Nie wiedział, jakie jest teraz jego nastawienie do Kościoła. Zwłaszcza po całym tym chaosie, jaki w nim spowodował.

Kobieta uśmiechnęła się, jakby wyczuła jego zawstydzenie.

- Panie St. Pierre, proszę wierzyć, że Kościół rozumie, czym jest pokusa. Ale co ważniejsze, Kościół zawsze wierzy w przebaczenie.

Michael spojrzał na jej wizytówkę.

-Czy pani jest zakonnica?

-Nie - zaśmiała się. - Nazywam się Genevieve. Simon jest moim starym przyjacielem. Prowadzę we Włoszech sierociniec i przyjechałam tu zbierać datki.

Michael stał w milczeniu, patrząc na kopertę.

- Oczywiście nie od pana - uśmiechnęła się. - Będę uczestniczyć w imprezie charytatywnej w mieście. Simon prosił, żebym zajrzała do pana i zobaczyła, jak pan sobie radzi.

-Radzę sobie - odparł. Ale oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

-Jeśli mogę coś zrobić... - Wyciągnęła rękę. - Każdy przeżywa rozpacz na swój sposób. Czasami ci, którzy to sami przeszli, mogą być pomocni.

Ujął jej wyciągniętą dłoń. Była miękka i wyjątkowo delikatna. Przez moment czuł zadowolenie z obecności tej kobiety. Nie był pewny, czy to z powodu jej miłego sposobu bycia, czy dlatego, że prowadziła sierociniec, co go poruszyło. Choć został adoptowany jako niemowlę i wychowywany był przez kochających rodziców, zawsze czuł pokrewieństwo duszy z osieroconymi. To byli ludzie naprawdę samotni. A ona opiekowała się zapomnianymi dziećmi, pomagała im uświadomić sobie, że nie były osamotnione, wnosząc miłość do ich świata.

Michael wsunął rękę do kieszeni spodni, dotknął wyciągu bankowego i pomyślał: Może jednak wyniknie z tego coś dobrego. Już wiedział, co zrobi z pieniędzmi.

To nie da mu spokoju, nikt nie może sprawić, żeby odzyskał spokój. Ani ta kobieta, ani Simon, ani Busch, ani nawet Kościół, nieważne jak potężny. Nikt nie potrafił bowiem odpowiedzieć na pytanie, które nadal dręczyło go w snach. Nie wiedział, czy Mary spoczywa w pokoju. Czy naprawdę odnalazła Niebo ze swoich modlitw?

ROZDZIAŁ 44

Była późna noc. Michael siedział w gabinecie zwinięty na ulubionym krześle Mary, Hawk chrapał u jego nóg, CJ spała na jego kolanach. Michael był zupełnie wykończony i w końcu zapadł w rozpaczliwie potrzebny mu sen.

Zgłosił się na ochotnika, że pomoże Buschowi trenować zespół jego syna. Od pięciu tygodni trwały rozgrywki, a oni wygrywali codzienne mecze 18:12. Nadal niepokonani.

Michael liczył na rutynę, coś, co wniesie w jego życie określony porządek, pomoże wypełnić próżnię. Praca i futbol dziecięcy. To było wszystko, na co na razie było go stać. Na początek.

Choć srebrny i złoty klucz zostały zwrócone, a on był świadkiem rzeczy, których nie potrafiłby wyjaśnić, nadal gnębiły go wątpliwości. Nawiedzały go w ciągu dnia i podczas snu. Gnębiła go ciągła obawa, że „jeżeli jednak nie, to co wtedy”?

Pytanie o życie po życiu.

I rozpaczliwie potrzebował odpowiedzi: mętlik jaki miał w głowie przez ostatnie tygodnie zupełnie go wyniszczył. Nie potrafił sobie wyobrazić kolejnych lat takiego życia.

Spał dziewięć godzin - rekord od wielu miesięcy. Nagle cichutko do pokoju weszła Mary, jej włosy znowu tworzyły lśniący gąszcz. Miała alabastrową skórę i zielone oczy pełne blasku. Stała, patrząc na Michaela i uśmiechając się na widok pozycji, w jakiej śpi. Usiadła przy biurku i cicho otworzyła szufladę, wsunęła do środka rękę, szukała czegoś.

I wreszcie wyciągnęła. Stała przy półce z książkami, wpatrując się w pamiątkowe zdjęcia, a w jej oczach pojawił się wyraz szczęścia.

Umieściła to na ścianie - nadal był tam gwóźdź - chwilę ustawiając go, zanim w końcu odsunęła się, podziwiając efekt wypełnienia pustego miejsca, które było tam zbyt długo.

Teraz wisiał tam prosty krucyfiks, w całej swojej tandecie, w całym swoim znaczeniu.

Wróciła do Michaela, stanęła z boku, pochyliła się i delikatnie go pocałowała.

Otworzył oczy, jakby wiedział, że tu jest i przez moment uśmiechali się do siebie ciepłym, czułym uśmiechem, póki do pokoju nie wpadły pierwsze promyki porannego słońca i nie rozlały się we wstęgi światła.

W pełni rozbudzony Michael rozprostował się; CJ zeskoczyła z jego kolan na kanapę. Michael wstał i podszedł do ściany.

Wyprostował krzyż i uśmiechnął się...

...ponieważ już wiedział, że spoczywała w pokoju.

Dzięki cudowi uzyskał odpowiedź na swoje pytanie.

ROZDZIAŁ 45

W środku Schwarzwaldy, w regionie, do którego zaglądamy tylko nieliczni, istnieje ściśle strzeżony obszar wokół opuszczonego niegdyś klasztoru. Pilnuje go pięciu żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej, na stałe oddelegowanych z Watykanu. Przebywając wśród zakonników, braci i księży, nie muszą nosić swoich tradycyjnych niebiesko - kasztanowo - żółtych mundurów. Strzegą liczącego pięćset lat posągu. A dokładniej - znajdującego się pod nim grobowca.

Poza Watykanem, jest to jedyne miejsce na świecie, w którym stacjonuje Gwardia Szwajcarska.